



Od czasu niezwykłych wydarzeń opisanych w Atramentowej krwi, kiedy to opowieść Atramentowe serce w czarodziejski sposób wciągnęła Meggie, Mo i Smolipalucha na swoje karty, życie w Atramentowym Świecie stało się nie do zniesienia. Ciężka nadzieja na odmianę złego losu pojawia się dopiero wtedy, gdy Mo zawiera niebezpieczny układ ze śmiercią.

...świat wytrzymujący konkurencję ze światem Tolkiena...

- „The Times”

ATRAMENTOWA ŚMIERĆ

CORNELIA FUNKE

Może to tęsknota wiąże ze sobą wszystkie rzeczy.

Dla Rolfa, zawsze - nie ma lepszej rzeczy niż poślubienie Smolipalucha.

Dla Ileen, doświadczonej w cierpieniu, która była zawsze przy mnie, rozumiejąc i kojąc mój ból.

Dla Andrew, Angie, Antonii, Cama i Jamesa, Caroline, Feliksa, Mikki oraz - nie mniej ważnych Lionela i Olivera za światło, ciepło i przyjaźń, którymi opromieniali mroczne dni.

A także dla Miasta Aniołów, które karmiło mnie dzikim pięknem i poczuciem, że wreszcie odnalazłam swój Atramentowy Świat.

A to jest w nim?

Atramentowe serce

Meggie

Córka Mo i Resy; podobnie jak ojciec potrafi, czytając książkę na głos, ożywiać jej postacie. Od blisko roku Meggie mieszka z rodzicami u Elinor,

ciotki Resy. Od czasu przygód w wiosce Capricorna Meggie pragnie jednego: pisać tak jak Fenoglio, aby mogła nie tylko sprowadzać do realnego świata postacie z książek, ale też odsyłać je z powrotem za pomocą odpowiednio dobranych słów.

Mortimer Folchart, zwany Mo lub Czarodziejski Język

Introligator, „lekarz książek”, jak nazywa go córka. Potrafi on, jak mówi Meggie, „samym tylko głosem malować obrazy w powietrzu”. Mo przywołał z pewnej książki postacie Capricorna, Basty i Smolipalucha, ale wtedy zniknęła w tej samej książce jego żona Resa. Od tego czasu unika czytania na głos.

Resa (Teresa)

Żona Mo, matka Meggie i ulubiona siostrzenica Elinor. Spędziła wiele lat w Atramentowym Świecie. Dariusz sprowadził ją znów do naszego świata, ale straciła przy tym głos. Po „powrocie” przez kilka lat była służącą Mortoli i Capricorna; tam poznała Smolipalucha i nauczyła go czytać i pisać.

Elinor Loredan

Ciotka Resy; bibliofilka, zwana też złośliwie pozeraczką książek. Przez wiele lat wolała towarzystwo książek niż ludzi. Jednak po przygodach w wiosce Capricorna w jej domu zamieszkali nie tylko Meggie, Mo i Resa, ale także lektor Dariusz oraz cała gromada wrózek, gnomów i szklanych ludzików.

Fenoglio

Poeta i pisarz; to on napisał książkę, wokół której wszystko się kręci, pod tytułem Atramentowe serce, i stworzył opisany tam Atramentowy Świat. Z tej właśnie książki pochodzą Basta, Smolipaluch i Capricorn; Fenoglio napisał również słowa, które zabiły Capricorna i za pomocą których Meggie sprowadziła z Atramentowego serca Ciebie. W zamian za to tej samej nocy autor został przeniesiony do własnej historii.

Smolipaluch

Zwany także połykaczem ognia, przez dziesięć lat mieszkał wbrew własnej woli w naszym świecie, kiedy Mo sprowadził go z jego historii. Trzy długie blizny na twarzy to ślady noża Basty. Smolipaluch nie rozstaje się z oswojoną kuną imieniem Gwin. Na końcu kradnie Mo egzemplarz Atramentowego serca, książki, z której pochodzi i do której rozpaczliwie próbuje powrócić. Aby spełnić swe marzenie,

Smolipaluch sprzymierzy! się nawet z Capricornem, zdradzając Mo i Meggie. Ponadto zataił przed Mo miejsce pobytu jego żony Resy, jej zaś nie powiedział nic o Meggie i Mo. Uczynił to z zemsty za to, że Mo wyrwał go z jego ukochanego świata.

Gwin

Kuna z różkami towarzysząca Smolipaluchowi. W pierwotnej wersji Atramentowego serca Smolipaluch miał zginąć przy próbie ratowania Gwina przed ludźmi Capricorna.

Farid

Tego arabskiego chłopca Mo przez pomyłkę sprowadził z Baśni z tysiąca i jednej nocy; jest on biegły w podkradaniu się, kradzieżach, szpiegowaniu, pętaniu więźniów i innych zbójckich sztuczках. W naszym świecie staje się jednak pilnym uczniem Smolipalucha i jest mu ślepo oddany.

Capricorn

Herszt bandy podpalaczy i szantażystów, którego Mo ożywił, czytając Atramentowe serce. Przez blisko dziesięć lat polował na Mo, chcąc, by ten swoją sztuką pomnożył jego potęgę i bogactwo. Postanowił też spalić wszystkie egzemplarze Atramentowego serca, aby nigdy już żaden lektor nie mógł go odesłać z powrotem do świata, który opuścił. Uwięził Meggie i zmusił ją, by sprowadziła Cień - jego dawnego krwiożerczego sługę. Ostatecznie Capricorn poniósł śmierć za sprawą Cienia, słów Fenoglia i głosu Meggie.

Mortola

Zwana inaczej Sroką. Matka Capricorna, trucicielka. Resa, matka Meggie, przez kilka lat była jej służącą. Capricorn utrzymywał, że jest jego gospodynią, wstydził się bowiem jej (i własnego) niskiego pochodzenia. Mortola jest inteligentniejsza - a zarazem gorsza - od niejednego łotra na tronie występującego w tej historii.

Basta

Jeden z najbardziej oddanych pomocników Capricorna. Bardzo przesądny i zakochany w swoim nożu, bez którego nie rusza się nawet na krok. Wiele lat temu Basta pokaleczył nożem twarz Smolipalucha. Właściwie z woli Capricorna miał zostać zabity przez Cień, gdyż pozwolił umknąć Smolipaluchowi. Ale śmierć Capricorna uratowała mu życie. Uchronił się nawet przed słowami Fenoglia, które sprawiły, że wielu ludzi Capricorna zginęło wraz ze swym panem. Stało się tak być może dlatego, że kiedy Cień siał zniszczenie wśród podpalaczy, Basta był akurat uwięziony przez swego pana. On sam jednak twierdzi, że to jego historia zachowała go przy życiu, bo tak bardzo za nim tęskniła.

Dariusz

Dawny lektor Capricorna, przez Bastę zwany Jąkałą. Pomaga Elinor w bibliotece. Ponieważ podczas głośnej lektury często bardzo się bał, postacie, które sprowadzał z książek, zjawiały się z reguły okaleczone (na przykład Resa straciła mowę). fi

Atramentowa krew

Dodatkowo w drugiej części trylogii o Atramentowym Świecie występują:

Z naszego Świata

Orfeusz - poeta i lektor, przez Farida nazywany Świecą Gębą. Cerber - pies Orfeusza. Cukier - osilek, inaczej człowiek-szafa; służy Mortoli, a później Orfeuszowi.

Z Atramentowego Świata

Waganci (kuglarska brać). Podniebny Tancerz - dawniej linskoczek, obecnie posłaniec; przyjaciel Smolipalucha. Czarny Książę - mistrz w rzucaniu nożami, król wagantów, najlepszy przyjaciel Smolipalucha; zawsze towarzyszy mu wierny niedźwiedź. Niedźwiedź - czarny niedźwiedź, którego Czarny Książę uratował od niedoli tańczącego niedźwiedzia. Kopeć - połykacz ognia. Baptysta - aktor, twórca masek dla aktorów, o twarzy oszpeconej ospą. Siłacz - potrafi zginać żelazne sztaby i podnosić do góry kilku mężczyzn naraz.

W Nieprzebytym Lesie

Rusałki - żyją w sadzawkach i stawach w Nieprzebytym Lesie. Błękitne wróżki - to za nimi tak bardzo tęsknił Smolipaluch, przebywając na wygnaniu w naszym świecie.

Ogniste elfy - robią miód, który daje zdolność rozumienia języka ognia. Białe damy - pomocnice śmierci. Sójka - wymyślony przez Fenoglia-legendarny dobry zbójca, który, jak niegdyś Robin Hood, mści się na możnych i pomaga prostemu ludowi.

W Ombrze

Minerwa - gospodyni Fenoglia.

Despina - córka Minerwy.

Iwo - syn Minerwy.

Kryształek - szklany ludzik Fenoglia.

Na zamku w Ombrze

Tłusty Książę - pan zamku i miasta Ombra; od śmierci syna zwany także Smutnym Księciem. Cosimo - zwany również Pięknym Cosimem; zmarły syn Tłustego Księcia. Tulio - paż Tłustego Księcia o twarzy porosłej sierścią.

Wiolanta - zwana inaczej Brzydką Wiolantą; córka Żmijogłowego i wdowa po Pięknym Cosimie. Jacopo - syn Cosima i Wiolanty. Balbulus - iluminator; Wiolanta przywiozła go do Ombrzy jako „posag”. Brianna - służy u Wiolanty; córka Roksany i Smolipalucha. Anselmo - strażnik.

W zagrodzie Roksany

Roksana - żona Smolipalucha; dawniej wagantka, potem porzuciła wędrowny tryb życia; uprawia zioła lecznicze, jest cenioną zielarką. Jehan - syn Roksany z drugiego

małżeństwa; jego ojciec, mąż Roksany, od dawna nie żyje. Skoczek - kuna z różkami.
Rosanna - młodsza nieżyjąca córka Smolipalucha i Roksany.

W TAJNYM obozie Dwupalcy - wagant, dobrze gra na flecie, chociaż ma u jednej ręki tylko dwa palce.

Krzywopalca - stara wagantka; jest przeciwna temu, by waganci ukrywali Mo i Resę w Tajnym Obozie. Benedykta - niedowidząca wagantka. Mina - ciężarna wagantka. Pokrzywa - zielarka.

w gospodzie na skraju Nieprzebytego Lasu

Karczmarz - znany z kiepskiej kuchni. Mszanka - „leśna kobieta”, zielarka.

W Mysim Młynie

Młynarz - odziedziczył młyn po poprzednim młynarzu, który był wrogiem Żmijogłowego. Syn młynarza - błądy ze strachu; ciekawe dlaczego?

W PRZYTUŁKU DLA CHORYCH Puszczyk - cyrulik; opiekował się Smolipaluchem, kiedy ten był jeszcze dzieckiem.

Bella - stara zielarka, zna Smolipalucha prawie tak samo długo jak Puszczyk. Carla - mała posługaczka.

W Mrocznym Zamku

Żmijogłowy - zwany także Srebrnym Księciem, najokrutniejszy książę w Atramentowym Świecie. Piąta żona Żmijogłowego - urodziła już dwie córki, jest znów w ciąży; Żmijogłowy ma nadzieję, że tym razem urodzi mu się wreszcie syn. Rozpruwacz - jeden z podpalaczy Capricorna; pracuje teraz dla Żmijogłowego.

Piszczalka - zwany też Srebrnym Nosem; dawniej grajek Capricorna, obecnie śpiewa swoje ponure piosenki dla księcia Mrocznego Zamku. Podpalacz - następca Capricorna, obecnie herold Żmijogłowego. Taddeo - bibliotekarz. Pancerni - rycerze Żmijogłowego.

W Borsuczej Jamie

Drab - zbójca, sojusznik Czarnego Księcia.

Atramentowa śmierć

Dodatkowo w trzeciej części trylogii o Atramentowym Świecie występują:

Blyszczek - szklany ludzik Orfeusza,

starszy brat Jaspisa; zarozumiały i zły, ślepo oddany swemu panu; na każdym kroku dokucza bratu.

Cielęca Głowa - patrz: Orfeusz.

Czarnobrody - zbójca, zwolennik

Draba.

Doria - zbójnik; młodszy brat Siłacza; przyjaciel Luca; zakochany w Meggie. Gekon - zbójca, najbliższy kompan Draba.

Góra Mięsa - znany także jako Oss - ochroniarz Orfeusza; wyjątkowo tępy i okrutny; znęca się nad Faridem, kiedy ten przejściowo przystaje na służbę u Orfeusza. Jaspis - szklany ludzik Orfeusza, młodszy brat Błyszczka, dobry, dręczony przez Błyszczka; później przyłącza się do Smolipalucha. Jedwabnik - zbójca. Jeż - zbójca.

Krętacz - zbójca, zwolennik Draba. Kuternoga - zbójca, zwolennik Draba. Paluch - ochroniarz Zmijogłowego, okropny typ, znany z wymyślnych tortur, jakie zadaje swoim ofiarom. Podwójnooki - patrz: Orfeusz z drugiej części trylogii.

Postrach Elfów - zbójca, zwolennik Draba.

Słony Książę - dziadek Wiolanty ze strony matki; rozczarowany ludźmi, odgrodził swoje córki od świata, nie wypuszczając ich z Zamku na Jeziorze, gdzie mamił je rajskimi widokami wymalowanymi na murach i ścianach. Smolarz - zbójca. Szczapa - szwagier Żmijogłowego; namiestnik Ombry; człowiek nieudolny, pyszałkowaty i tchórzliwy, okrutny dla swoich poddanych. Szpon - zbójca, zwolennik Draba. Włóczęga - zbójca, zwolennik Draba. Zamek na Jeziorze - ojczyzna matki Wiolanty; opuszczona, niedostępna twierdza pośrodku jeziora zamieszkanego przez ogromne, drapieżne ryby; tylko nieliczni znają tajne podwodne przejście prowadzące wprost na dziedziniec zamkowy; miejsce ostatecznej, decydującej rozprawy.

Zamek Szkieletów - miejsce przebywania umarłych.

Jestem pieśnią, która śpiewa ptaka. Jestem liściem, który stwarza las. Jestem przyplływem, co ściąga księżyc. Jestem nurtem, co ujarzmią piach. Jestem chmurą tchnącą wiatru powiew; ziemią, która daje słońcu blask; jestem iskrą, która krzesze krzemień. Dźwiękiem, który kształt formuje rąk. Słowem, co człowieka wypowiada.

Charles Causley, Jestem pieśnią

Rozdział 1

Zwyczajna kartka papieru i pies

Słuchaj - krok nocy milknie w bezmiernej ciszy; lampa ma niby świeższ ćwierka, że ledwie słyszysz.

Złocisty blask pełgający na księgach zalśni - to przęśła mostów wiodących w krainę baśni.

Rainer Maria Rilke, Larom w ofierze

Światło księżyca padało na szlafrok Elinor narzucony na nocną koszulę, na jej gołe nogi - i na psa leżącego u jej stóp. Psa Orfeusza. Jak on na nią patrzył tymi wiecznie smutnymi oczami! Jakby pytał, dlaczego, na wszystkie intrygujące zapachy świata, ta kobieta w środku nocy siedzi w bibliotece w otoczeniu milczących ksiąg, gapiąc się w pustkę.

- Właśnie, dlaczego? - rozległ się w ciszy głos Elinor. - Dlatego że nie mogę spać, ty głupi zwierzaku!

Te opryskliwe słowa nie przeszkodziły jej pogłaskać psa.

„Do tego już doszło, Elinor - myślała, podnosząc się ciężko z fotela - że spędzasz nocę na rozmowach z psem. A na dodatek nie lubisz psów, zwłaszcza tego tutaj, który hałaśliwym złajaniem przypomina ci swojego obrzydliwego pana!”

Zatrzymała go mimo bolesnych wspomnień, jakie w niej budził, podobnie jak fotel, w którym kiedyś siedziała Sroka. Mortola... Za każdym razem gdy wchodziła do pogrążonej w ciszy biblioteki, zdawało jej się, że słyszy jej głos, że widzi Mortimera i Resę rozmawiających między regałami albo Meggie siedzącą na parapecie z książką na kolanach, z jasnymi włosami opadającymi na twarz... Wspomnienia - to wszystko, co jej pozostało. Równie nieuchwytnie jak obrazy zakłete na kartach ksiąg. A co będzie, kiedy nawet wspomnienia zatra się w pamięci? Wówczas będzie ostatecznie skazana na samą siebie, na ciszę i pustkę w swym sercu. I na tego szkaradnego psa.

Jak staro wyglądały w świetle księżyca jej gołe nogi.

„Światło księżyca!” - pomyślała z goryczą, poruszając palcami stóp. Ileż to znała opowieści o magicznej mocy księżycowej poświaty. Wszystko to kłamstwa. Głowę miała wypchaną drukowanymi kłamstwami. Nawet na księżyc nie potrafiła spojrzeć inaczej niż przez zasłonę ze słów. Ach, gdyby można wymazać z pamięci i serca te wszystkie słowa i choć jeden raz spojrzeć na świat własnymi oczami!

„Boże, Elinor, nastrój masz jak zwykle fantastyczny! - myślała, człapiąc w kierunku witryny, gdzie przechowywała to, co prócz psa pozostawił w jej domu Orfeusz. - Po prostu pławisz się w sentymentalnych uczuciach, tak jak ten głupi pies tarza się w każdej napotkanej kałuży”.

Kartka papieru leżąca za szkłem witryny wyglądała niepozornie, ot, zwykła kartka w linie gęsto zapisana niebieskim atramentem. Zupełne zero w porównaniu z bogato iluminowanymi foliałami rozłożonymi w pozostałych gablotach, chociaż każda literka na kartce zdawała się świadczyć o wysokim mniemaniu, jakie Orfeusz miał o sobie.

„Mam nadzieję, że ogniste elfy dawno wypaliły mu ten zarozumiały uśmieszek wiecznie przyklejony do warg! - myślała Elinor, otwierając gablotkę. - Mam nadzieję, że

pancerni nadziali go na swoje spisy... albo jeszcze lepiej - że szczęł gdzieś z głodu w Nieprzebytym Lesie i że konał powoli”.

Nie pierwszy to już raz z rozkoszą wyobrażała sobie żaloszny koniec Orfeusza w Atramentowym Świecie. Obrazy te koily ból jej samotnego serca jak najlepszy lek.

Kartka zaczynała już żółknąć. Tani papier, wszystko tandeta! Słowa zapisane na kartce doprawdy niczym nie zdradzały, że przeniosły swego autora w inny świat, i to na oczach Elinor. Obok kartki leżały trzy zdjęcia, jedno Meggie i dwa Resy - pierwsze pochodziło z dzieciństwa, a na drugim, zrobionym zaledwie kilka miesięcy temu, była w towarzystwie Mortimera. Oboje uśmiechnięci, szczęśliwi. Każdej nocy Elinor wciąż na nowo oglądała te fotografie. Teraz już przynajmniej nie płakała, ale łzy czały się gdzieś na dnie serca. Gorzkie łzy. Po brzegi wypełniały jej serce. Paskudne uczucie.

Zaginieni.

Meggie.

Resa.

Mortimer.

Minęły już prawie trzy miesiące, od kiedy zniknęli. A Meggie nawet kilka dni wcześniej...

Pies przeciągnął się, przyczłapał do niej zaspany i wsunął pysk do kieszeni jej szlafroka, dobrze wiedząc, że znajdzie tam ulubione przysmaki.

- No, już dobrze - mruknęła Elinor, wsuwając mu do pyska śmierdzącego suchara. - Gdzie się podziewa twój pan, co?

Podsunęła mu pod nos kartkę, a zwierzę obwąchiwało ją, jakby przez litery wyczuwało właściciela.

Wpatrując się w kartkę, Elinor zaczęła czytać, starannie formując słowa wargami: Waliczkach Ombry... Ileż to razy w ciągu ostatnich miesięcy, tak jak dziś, stała nocą pośród książek, które nic już dla niej nie znaczyły, od kiedy była z nimi sama. Oskarżały ją wymownym milczeniem, jakby wiedziały, że oddałyby je wszystkie bez wyjątku za tę trójkę ludzi, których utraciła. Zaginieni w książce.

- Nauczę się, do licha! - wykrzyknęła tonem krnąbrnego dziecka. - Nauczę się je tak czytać, aby i mnie połknęły, na pewno się nauczę!

Pies patrzył na nią tak, jak gdyby wierzył w każde jej słowo, w przeciwieństwie do Elinor, która w ogóle sobie nie wierzyła. O nie. Nie była Czarodziejskim Językiem. Choćby męczyła się przez dziesięć i więcej lat, słowa nigdy nie będą dźwięczeć, kiedy ona je

wypowiada. Nie będą dla niej śpiewać. Tak jak dla Meggie i Mortimera czy choćby dla tego po trzykroć przekłętego Orfeusza. A przecież tak je kochała przez całe życie.

Kartka w jej ręce poczęła drżeć, kiedy Elinor się rozpląkała. Znowu te łzy, które aż dotąd udawało jej się powstrzymać, a które wypełniały jej serce po brzegi. Po prostu czara się przelała. Głośny szloch Elinor sprawił, że pies skulił się ze strachu u jej stóp. Co to za absurd, żeby człowiekowi ciekła z oczu woda, kiedy odczuwa ból w sercu. Bohaterki tragiczne w książkach były zawsze bardzo piękne, ani słowa o podpuchniętych oczach lub czerwonym nosie.

„A ja zawsze mam czerwony nos, kiedy się rozbeczę - myślała Elinor. - Nie mogłabym występować w żadnej z tych książek”.

- Elinor?

Elinor odwróciła się gwałtownie, ocierając łzy z twarzy. W drzwiach stał Dariusz w zbyt obszernym szlafroku, który podarowała mu na urodziny.

- O co chodzi? - burknęła. Gdzie się znów podziała ta przekłeta chustka do nosa? Pochlipując, wyciągnęła ją z rękawa i wytarła nos. - Trzy miesiące, już trzy miesiące, jak ich nie ma, Dariuszu! Czy to nie jest powód do łez? Oczywiście, że jest! Co się tak na mnie gapisz tymi sowimi oczami? Choćbyśmy zgromadzili nie wiem ile książek - szerokim gestem wskazała wypełnione po brzegi regały - kupili, zamienili, ukradli... żadna nie opowie mi tego, co chcę wiedzieć! Tysiące stron, a na żadnej z nich nie ma ani słowa o tych, o których chciałabym coś usłyszeć. Co mnie obchodzą inne książki? Interesują mnie tylko losy tych trzech osób. Co słyszeć u Meggie? Jak się miewają Resa i Mortimer? Czy są szczęśliwi, Dariuszu? Czy w ogóle jeszcze żyją? Czy ich kiedykolwiek znów zobaczę?

Dariusz ogarnął wzrokiem książki, jakby miał nadzieję, że w którejś z nich znajdą się jednak odpowiedzi na te pytania. Ale milczał, tak samo jak one.

- Przyniosę ci gorącego mleka z miodem - powiedział wreszcie i poszedł do kuchni.

Elinor znów została sama z książkami, księżycem i szkaradnym psem Orfeusza.

Rozdział 2

Wioska jak każda inna

Wiatr jak potok ciemności targal drzewami, Księżyc jak galeon-zjawa tkwił w oceanie chmur, Srebrzyła się wstęga szosy na liliowych wrzosowiskach, A zbójca jechał -

Jechał - jechał - zbójca jechał wytrwale ku drzwiom gospody.

Alfred Noyce, Zbójca

W koronach drzew rozpoczęły już swoje tańce wróżki - roje miniaturowych błękitnych istotek. Blask gwiazd posrebrzał ich skrzydełka i Czarny Książę z niepokojem spojrzał w niebo. Było wciąż tak czarne jak okoliczne wzgórza, ale wróżki nigdy się nie myliły. Tylko nadciągający świt mógł je wywabić z gniazd, zwłaszcza w tak zimną noc jak dzisiaj, a wioska, której zbiory zbójcy tym razem próbowali uratować, znajdowała się zbyt blisko Ombry. O świcie musi ich tu już nie być.

Kilkanaście nędznych chałup, malutkie, kamieniste poletka i mur tak niski, że nie stanowił przeszkody nawet dla dzieci, nie mówiąc o żołnierzach - oto cała wioska. Taka jak wiele innych. Trzydzieści kobiet, ani jednego mężczyzny i kilka dziesiątków dzieci bez ojców. Dwa dni temu w sąsiedniej wiosce żołnierze nowego namiestnika Ombry zabrali chłopom prawie całe zbiory. Wtedy się spóźnili, ale tym razem mogło się udać. Już od kilku godzin kopali jamy, pokazywali kobietom, jak ukryć pod ziemią zwierzęta i zapasy...

Siłacz przydźwigał ostatni worek pospiesznie wykopanych ziemniaków. Jego prosta twarz była czerwona z wysiłku. Taki sam kolor przybierała, kiedy walczył albo się upijał. Ostrożnie spuścili worek do schowka, który urządzili na skraju pól. Na pobliskich wzgórzach żaby czyniły taki harmider, jakby chciały co prędzej obudzić dzień. Mo zasłonił wejście matą splecioną z gałęzi. Czaty na wzgórzach kręciły się niespokojnie; tam też zauważono błękitne wróżki. Najwyższy czas wynieść się stąd, wrócić do lasu, gdzie zawsze znajdzie się jakaś kryjówka, chociaż z rozkazu nowego namiestnika coraz więcej żołnierzy patrolowało wzgórze. Szczapa, tak go przezwały wdowy Ombry. Odpowiednie imię dla niepozornego zięcia Zmijogłowego. Jego głód tej odrobiny dóbr, którą posiadali poddani, był nienasycony.

Mo otarł pot z czoła. Boże, jaki był zmęczony. Od wielu dni prawie nie sypiał. Było po prostu zbyt wiele wsi, które chcieli uratować przed żołnierzami.

- Wyglądasz, jakbyś wcale nie spał - powiedziała do niego wczoraj Resa, kiedy się obudziła, nie zdając sobie sprawy z tego, że on dopiero co się położył.

Zbył ją historyjką, że męczą go złe sny, że bezsenne noce spędza nad książką, którą postanowił zrobić z jej rysunków wróżek i szklanych ludzików. Dzisiaj też miał nadzieję, że Resa i Meggie będą jeszcze spały, kiedy wróci do samotnej zagrody, gdzie umieścił ich Czarny Książę - o godzinę drogi na wschód od Ombry, daleko od kraju, gdzie wciąż jeszcze rządził Zmijo-głowy, którego książka stworzona przez Mo uczyniła nieśmiertelnym.

„Już niedługo - pocieszał się Mo. - Wkrótce książka przestanie go chronić”. Ileż razy już to powtarzał, a Zmijogłowy wciąż był nieśmiertelny.

Jakaś dziewczynka przypatrywała mu się z bojaźliwą ciekawością. Ile mogła mieć lat? Sześć? Siedem? Jakże to było dawno, kiedy Meggie była taka mała. Dziecko zatrzymało się o krok od niego.

Z cienia wyszedł Drab i zbliżył się do dziewczynki.

- Tak, obejrzyj go sobie dokładnie! - szepnął do małej. - To naprawdę on! Sójka! Takie mikrusy jak ty zjada garściami na kolację.

Drab uwielbiał takie żarciki. Mo nie wypowiedział słów, które cisnęły mu się na usta. Mała miała takie same jasne włosy jak Meggie.

- Nie wierz mu! - szepnął, nachylając się do dziewczynki. - Dlaczego nie śpisz, jak inni?

Mała przyglądała mu się bez słowa. Potem podwinęła rękaw jego koszuli, aż ukazała się blizna. Słynna blizna, o której opowiadały pieśni...

Jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia, patrzyła na niego z tą mieszaniną czci i lęku, którą dostrzegał w tyłu oczach. Sójka! Dziecko uciekło do matki, a Mo wyprostował się. Za każdym razem kiedy odczuwał ból w piersiach w miejscu, gdzie zraniła go Mortola, myślał, że to tędy właśnie ten obcy dostał się do środka - ten zbójca, którego Fenoglio obdarzył jego twarzą i jego głosem. A może zawsze był częścią niego i tylko czekał w uśpieniu, aby Fenoglio go zbudził?

Czasami, kiedy do głodującej wsi dostarczali mięso czy parę worków zboża, które odebrali poborcom Szczapy, przychodziły do niego kobiety i całowały go po rękach.

- Idźcie do Czarnego Księcia i jemu podziękujcie - bronił się Mo.

A Czarny Książę tylko się śmiał:

- Spraw sobie niedźwiedzia, to cię zostawią w spokoju.

W jednej z chat zapłakało dziecko. Na niebie pokazała się zorza, a Mo zdawało się, że słyszy stukot końskich kopyt. Jeźdźcy, dziesięciu, może więcej. Jak szybko uszy uczyły się rozróżniać odgłosy, dużo szybciej niż oczy uczą się rozpoznawać litery. Wróżki rozpierzchły się na wszystkie strony. Kobiety z krzykiem rzuciły się do chat, gdzie spały ich dzieci. Ręka Mo powędrowała do rękojeści miecza. Tak jakby nigdy nic innego nie robiła. Był to wciąż ten sam miecz, który podniósł wtedy z posadzki w Mrocznym Zamku, miecz, który przedtem należał do Podpalacza. Świtało.

Ludzie mówią, że przychodzą zawsze o świcie, bo zorza przypomina im łuny pożarów. Miał nadzieję, że upili się na jednej z niezliczonych uczt swego pana.

Czarny Książę skinął na swoich, aby stanęli przy murze, lecz cóż to było? Zaledwie kilka warstw kamieni poukładanych byle jak. Chaty też nie dawały schronienia. Niedźwiedź

parskał i stękał. Po chwili z mroku wyłonili się jeźdźcy. Było ich co najmniej dziesięciu; na piersiach nosili nowy herb Ombry: bazyliuszka na czerwonym tle. Byli zaskoczeni widokiem mężczyzn. Spodziewali się zastać w wiosce płaczące kobiety, wrzeszczące bachory, ale nie mężczyzn, i to w dodatku uzbrojonych. Zdumieni wstrzymali konie.

Tak, byli pijani. To dobrze, nie będą tacy sprawni.

Ich wahanie nie trwało jednak długo. Szybko się zorientowali, że są lepiej uzbrojeni od tych obdartusów. W dodatku mieli konie.

Głupcy! Umrą, nim zdążą zrozumieć, że dobre uzbrojenie to nie wszystko.

- Sójko! - powiedział Drab do Mo ochryplym szeptem. - Musimy zabić wszystkich. Mam nadzieję, że twoje dobre serce wie o tym. Jeśli choć jeden z nich wróci do Ombry, jutro cała wieś stanie w płomieniach.

Mo w milczeniu skinał głową. Tak jakby nie wiedział! Konie zarżały donośnie, kiedy jeźdźcy dźgnęli je ostrogami i ruszyli ku zbójcom. Mo ogarnęło takie samo uczucie jak wtedy na Żmijowej Górze, kiedy zabił Bastę. Uczynił to z zimną krwią. Tak zimną jak szron pod stopami. Nie czuł strachu, tylko lęk przed samym sobą. A potem usłyszał krzyki. Jęki. Zobaczył krew. Czuł bicie własnego serca, o wiele za szybkie i za głośne. Kłuć, dźgać, wyciągać miecz z ciała innego człowieka, widzieć cudzą krew na własnym ubraniu, twarze wykrzywione nienawiścią (a może strachem). Na szczęście pod hełmami żołnierzy trudno było dostrzec twarze. Byli tacy młodzi! Poharatane członki, poharatane ciała. Uważaj, za tobą! Zabij! Szybko! Żaden nie może ujść z życiem! Sójka.

Jeden z żołnierzy wyszeptał to imię, nim Mo przebił go mieczem. Może w ostatniej chwili zdążył jeszcze pomyśleć o srebrze, jakie otrzymałby na zamku w Ombry za jego zwłoki, więcej srebra, niż żołnierz zdoła zrabować przez całe życie. Mo wyciągnął miecz z jego piersi. Byli bez pancerzy. Po co pancerze przeciwko kobietom i dzieciom? Jaki chłód ogarniał człowieka od zabijania, choć skóra paliła, a krew pulsowała w żyłach jak w gorączce.

Tak, zabili wszystkich. W chatach panowała przeraźliwa cisza, kiedy zrzucali trupy w przepaść. Wśród nich były ciała ich dwóch towarzyszy, których kości mieszały się z kośćmi wroga. Nie było czasu na pochówek.

Czarny Książę miał paskudną ranę na ramieniu. Mo obandażował je, jak umiał, podczas gdy niedźwiedź siedział zmartwiony obok. Z jednej z chat wybiegło dziecko, ta sama dziewczynka, która przedtem podwinęła mu rękaw. Z daleka wyglądała rzeczywiście jak Meggie. Meggie, Resa - miał nadzieję, że po powrocie zastanie je śpiące. Inaczej jak by wytłumaczył tę krew? Tyle krwi.

„Kiedyś w końcu noc okryje kirem także dni, Mortimerze” - pomyślał. Krwawe noce, radosne dni. Cudowne dni, kiedy Meggie pokazywała mu to wszystko, o czym na Zamku Żmijogłowego na Żmijowej Górze, kiedy zabił Bastę. Uczynił to z zimną krwią. Tak zimną jak szron pod stopami. Nie czuł strachu, tylko lęk przed samym sobą. A potem usłyszał krzyki. Jęki. Zobaczył krew. Czuł bicie własnego serca, o wiele za szybkie i za głośne. Kłuć, dźgać, wyciągać miecz z ciała innego człowieka, widzieć cudzą krew na własnym ubraniu, twarze wykrzywione nienawiścią (a może strachem). Na szczęście pod hełmami żołnierzy trudno było dostrzec twarze. Byli tacy młodzi! Poharatane członki, poharatane ciała. Uważaj, za tobą! Zabij! Szybko! Żaden nie może ujsć z życiem! Sójka.

Jeden z żołnierzy wyszeptał to imię, nim Mo przebił go mieczem. Może w ostatniej chwili zdążył jeszcze pomyśleć o srebrze, jakie otrzymałby na zamku w Ombrze za jego zwłoki, więcej srebra, niż żołnierz zdoła zrabować przez całe życie. Mo wyciągnął miecz z jego piersi. Byli bez pancerzy. Po co pancerze przeciwko kobietom i dzieciom? Jaki chłód ogarniał człowieka od zabijania, choć skóra paliła, a krew pulsowała w żyłach jak w gorączce.

Tak, zabili wszystkich. W chatach panowała przeraźliwa cisza, kiedy zrzucali trupy w przepaść. Wśród nich były ciała ich dwóch towarzyszy, których kości mieszały się z kośćmi wroga. Nie było czasu na pochówek.

Czarny Książę miał paskudną ranę na ramieniu. Mo obandażował je, jak umiał, podczas gdy niedźwiedź siedział zmartwiony obok. Z jednej z chat wybiegło dziecko, ta sama dziewczynka, która przedtem podwinęła mu rękaw. Z daleka wyglądała rzeczywiście jak Meggie. Meggie, Resa - miał nadzieję, że po powrocie zastanie je śpiące. Inaczej jak by wytłumaczył tę krew? Tyle krwi.

„Kiedyś w końcu noc okryje kirem także dni, Mortimerze” - pomyślał. Krwawe noce, radosne dni. Cudowne dni, kiedy Meggie pokazywała mu to wszystko, o czym na Zamku Żmijogłowego mogła mu tylko opowiadać. Nimfy o skórze pokrytej łuskami, mieszkające w stawach pod wodą, po której powierzchni pływały najpiękniejsze kwiaty, ślady stóp olbrzymów, którzy dawno stąd odeszli, kwiaty śpiewające, kiedy się ich dotknęło, drzewa sięgające niemal nieba, mszanki ukazujące się między korzeniami, jakby dopiero co wyległy się z kory... Spokojne dni. Krwawe noce.

Zabrali konie, a ślady walki zatarli, jak się dało. W słowach podziękowania, jakimi pożegnały ich kobiety, wyczuwało się lęk. Zobaczyły na własne oczy, że ich dobroczyńcy potrafią tak samo sprawnie zabijać jak ich prześladowcy.

Drab powrócił z końmi i większością ludzi do obozu. Prawie codziennie zmieniali miejsce noclegu. Teraz rozbili obóz w mrocznym wąwozie, tak mrocznym, że nawet za dnia

było tam prawie tak samo ciemno jak w nocy. Poślą po Roksanę, żeby opatrzyła rannych. A Mo wróci tam, gdzie spały Resa i Meggie, do opuszczonej zagrody, którą wynalazł im Czarny Książę, bo Resa nie chciała nocować w obozach zbójców, a i Meggie po tylu tygodniach spędzonych pod gołym niebem pragnęła mieć namiastkę domu.

Czarny Książę towarzyszył mu, jak to miał w zwyczaju.

- Jasne - zakpił Drab, kiedy się rozstawali. - Sójka nie rusza się nigdzie bez świty!

Mo, któremu serce wciąż jeszcze kołatało w piersi po tej strasznej rzezi, miał ochotę zwalić Draba z konia, ale książe powstrzymał go.

Wracali piechotą. Dla ich zmęczonych nóg była to tortura, ale w ten sposób trudniej będzie znaleźć ich ślady, niż gdyby jechali konno. A zagroda musiała pozostać bezpieczna. Było tam wszystko, co Mo kochał.

Dom i na wpół zrujnowane stajnie za każdym razem pojawiały się tak zniecka, jakby je ktoś zgubił pośród drzew. Po polach, które niegdyś żywiły mieszkańców zagrody, nie pozostał nawet ślad. Dawno też zniknęła droga, która kiedyś musiała prowadzić do najbliższej wsi. Las wszystko pochłonął. Tutaj nie nazywano go Nieprzebytym Lasem, które to miano nosił na południu. Miał tu tyle nazw, ile wioski się w nim mieściło: Las Wrózek, Ciemny Las, Las Mszanek. A ten kawałek, gdzie mieściła się zagroda Sójki, jeśli wierzyć Siłaczowi, nazywał się Skowrończym Lasem. Meggie śmiała się z tego.

„Skowrończy Las? Bzdura. Siłacz wszystko nazywa ptasimi imionami! - mówiła. - U niego nawet wróżki noszą ptasie imiona, chociaż każdy wie, że one nie cierpią ptaków. Baptysta mówi, że on nosi nazwę Świetlisty Las. To o wiele lepiej do niego pasuje. Czy widziałeś gdziekolwiek tyle robaczek świętojańskich i ognistych elfów, nie mówiąc już o tych rojach świecących żuczków w koronach drzew...?”

Niezależnie od tego, jak się las nazywał, Mo za każdym razem odczuwał pośród jego drzew błogosławiony spokój i przypominał sobie, że także to, a nie tylko żołnierze Szczapy, stanowi część Atramentowego Świata. Pierwsze promienie słońca przedarły się między konarami, rzucając złote cętki na pobliskie drzewa, a wróżki jak szalone wirowały w zimnym jesiennym słońcu. Wkręcały się niedźwiedziowi w łeb, aż musiał się od nich opędzać, a Czarny Książę złapał jedną z nich i z uśmiechem przytknął ją sobie do ucha, jakby rozumiał jej swarliwy język.

„Czy w moim świecie było tak samo?” - myślał Mo.

Dlaczego nie mógł sobie przypomnieć? Czy tam życie również składało się z oszałamiających kontrastów - mroku i światła, okrucieństwa i piękna, tak oszałamiającego piękna, że czuł się jak pijany?

Czarny Książę kazał swoim ludziom dzień i noc strzec zagrody. Dzisiaj straż trzymał między innymi Gekon. Kiedy ukazali się zza drzew, Gekon z ponurą miną wyszedł z walącej się stajni. Był to ruchliwy, niewysoki człowieczek z wyłupiastymi oczami, i stąd wzięło się jego przezwisko. Na ramieniu siedziała mu jedna z jego oswojonych wron. Książę używał ich czasem jako posłańców, ale zwykle kradły dla Gekona jedzenie na straganach. Mo za każdym razem nie mógł wyjść ze zdziwienia, jaką to zdobycz potrafią przynieść w dziobach.

Gekon zbladł na widok ich zakrwawionych ubrań. Wyglądało jednak na to, że cienie Atramentowego Świata i tej nocy nie dosięgły samotnej zagrody w lesie.

Mo skierował się do studni. Słaniał się na nogach i Czarny Książę podtrzymał go pod ramię, choć sam ze zmęczenia ledwie powłóczył nogami.

- O mały włos - powiedział cicho, jakby jego słowa mogły spłoszyć spokój niby senną marę. - Jeśli nie będziemy ostrożniejsi, w następnej wiosce żołnierze już będą na nas czekać. Za cenę, jaką Żmija wyznaczył za twoją głowę, można by kupić całą Ombre. Własnym ludziom już nie dowierzam, a w okolicznych wioskach rozpoznają cię nawet dzieci. Może powinienes przez jakiś czas pozostać tu w ukryciu?

Mo odpędził wróżki, których chmary unosiły się nad studnią, i spuścił do środka drewniane wiadro.

- Bzdura. Ciebie też rozpoznają.

Woda w głębinie błyszcząca srebrzyście, jakby to księżyc ukrył się w niej przed porankiem.

„Przypomina studnię przed chatą czarownika Merlina - myślał Mo, oplukując twarz zimną wodą i przemywając ranę poniżej łokcia, którą zadał mu miecz któregoś z żołnierzy. - Brakuje tylko chatki na kurzej nóżce...”

- Dlaczego się uśmiechasz? - spytał Czarny Książę, opierając się o cembrowinę.

Niedźwiedź, pomrukując, rył nosem w wilgotnej ziemi.

- Przypomniała mi się pewna historia, którą dawno temu czytałem - odparł Mo, podsuwając niedźwiedziowi wiadro pełne wody. - Kiedyś ci ją opowiem. To bardzo piękna historia, chociaż źle się kończy.

Czarny Książę potrząsnął głową.

- Jeśli się źle kończy, to nie chcę, żebyś mi ją opowiadał - oświadczył, ocierając zmęczoną twarz.

Gekon nie był jedyną osobą pilnującą uspiętej chaty. Mo uśmiechnął się na widok Baptysty, który właśnie wyszedł z rozwalającej się szopy. Baptysta nie palił się do zabijania, ale ze wszystkich zbójców Mo najbardziej lubił właśnie jego i Siłacza i łatwiej mu było

opuszczać nocą chatę, jeśli jeden z nich czuwał nad spokojnym snem Resy i Meggie. Baptysta nadal występował na jarmarkach w charakterze klauna, chociaż mało kto rzucał mu teraz miedziaka. Na drwiny Draba odpowiadał niezmiennie: „Nie chcę, żeby zupełnie zapomnieli o śmiechu!”. Lubił ukrywać zniekształconą ospą twarz za własnoręcznie wykonanymi maskami, śmiejącymi się lub płaczącymi, zależnie od jego nastroju. Ale kiedy podszedł do Mo stojącego u studni, podał mu nie maskę, lecz tobołek z czarnymi ubraniami.

- Witaj, Sójko - rzekł z głębokim ukłonem, jakim pozdrowiał publiczność. - Przepraszam, że tyle zwlekałem z zamówieniem, ale skończyły mi się nici. To teraz towar deficytowy w Ombrze, jak wszystko inne zresztą, na szczęście Gekon - złożył mu taki sam ukłon - wysłał jedną ze swych czarnych pierzastych przyjaciółek, a ta ukradła kilka szpulek jednemu z nielicznych kupców, którzy bogacą się z łaski nowego namiestnika.

Czarny Książę spojrzał pytająco na Mo.

- Czarne ubranie? Po co?

- Strój intrologatora. To jest przecież mój prawdziwy zawód, nie pamiętasz? Poza tym nocą to dobry kamuflaż. A to - dodał, wskazując na zbroczoną krwią koszulę - też powinienem ufar-bować na czarno, bo inaczej trzeba będzie ją wyrzucić.

Książę patrzył na niego w zamyśleniu.

- Wiem, że moje zdanie cię nie interesuje, ale powtórzę jeszcze raz: zostań przez kilka dni tu w lesie. Zapomnij o świecie, tak jak świat zapomniał o tej zagrodzie.

Troska malująca się na śniadej twarzy przyjaciela tak bardzo wzruszyła Mo, że przez chwilę wahał się, czy przyjąć zawiniątko, które mu przyniósł Baptysta. Ale tylko przez chwilę.

Po odejściu Czarnego Księcia Mo ukrył zakrwawioną koszulę i spodnie w dawniejszej piekarni, w której urządził sobie warsztat intrologatorski, i włożył czarne ubranie. Leżało jak ulał. Tak przyodziany wśliznął się do domu - wraz z porankiem zaglądającym przez okienka bez szyb.

Nie zawiódł się, Meggie i Resa jeszcze spały. Do izby Meg-gie zaplątała się samotna wróżka. Mo wabił ją cichym głosem, dopóki nie usiadła mu na rękę.

„Widzieliście coś takiego? - dziwił się za każdym razem Drab. - Nawet wróżki są zakochane w jego głosie. Chyba tylko ja nie ulegam jego czarowi”.

Mo wypuścił wróżkę na dwór, po czym podciągnął Meggie kóldrę na ramiona, jak czynił to dawniej, kiedy byli tylko we dwoje, i przyjrzał się jej twarzy. Przez sen wyglądała o wiele bardziej dziecinnie niż po przebudzeniu. Wyszepiała czyjeś imię. Farid. Czy pierwsze zakochanie oznacza, że jest się już zupełnie dorosłym?

- Gdzie byłeś?

Mo drgnął i odwrócił się. W drzwiach stała Resa, przecierając zaspane oczy.

- Oglądałem poranne tany wróżek. Noce są coraz zimniej-sze. Wkrótce przestaną w ogóle opuszczać gniazda.

Nie było to do końca kłamstwo. A rękawy czarnego fartucha były na tyle długie, że ukrywały świeżą ranę.

- Chodź, bo obudzimy naszą dorosłą córeczkę. Pociągnął ją za sobą do izby, która służyła im za sypialnię.

- Co to za ubranie?

- Strój introligatora. Baptysta mi go uszył. Czarne jak atrament. Pasuje, co? Poprosiłem go, żeby uszył też coś dla ciebie i Meggie. Wkrótce będzie ci potrzebna nowa suknia.

Delikatnie położył dłoń na jej brzuchu. Jeszcze nic nie było znać. Dziecko ich pierwszego świata - ale spostrzegli się dopiero w tym świecie. Resa powiedziała mu o tym zaledwie tydzień temu.

- Co byś chciał, córeczkę czy synka?

- A mogę wybierać?

Próbował sobie wtedy wyobrazić, co poczuje, kiedy znów będzie trzymał w dłoni drobne paluszki, tak drobne, że z trudem obejmą jego kciuk. W samą porę, bo wkrótce Meggie naprawdę przestanie być dzieckiem.

- Coraz częściej mam nudności - powiedziała teraz Resa. - Jutro pojedę do Roksany, ona na pewno coś na to poradzi.

- Na pewno - zgodził się Mo, obejmując ją. Radosne dni. Krwawe noce.

Rozdział 3

Pisane srebro

A że się w rzeczach mrocznych najbardziej lubowai, Więc zapuszcza! żaluzje, w pokoju się chował, W nagim, tchnącym wilgocią, wysokim pokoju, i w głębokiej zadumie czytał powieść swoją, Pełną ciężkich nieb rudych, lasów zatopionych i drzew rozrostłych gwiezdnie i kwiatów czerwonych.

Artur Rimbaud, Siedmioletni poeci

Ma się rozumieć, że Orfeusz nie kopał sam. Stał sobie obok w wyszukanym stroju i patrzył, jak to Farid się poci. Chłopak wykopał dwa doły i pracował teraz nad trzecim, który sięgał mu już do piersi.

Ziemia była mokra i ciężka od padających przez kilka dni deszczów, a łopata, o którą wystarał się Góra Mięsa, okazała się zupełnie do niczego. I jeszcze ten wisielec nad jego głową, którym wiatr kołysał nieustannie. Powróż był przegniły i Farid bał się, że trup spadnie mu na głowę i pogrzebie go pod górą cuchnących kości.

Na szubienicy stojącej po prawej stronie dołu dyndało trzech kolejnych skazańców. Nowy namiestnik uwielbiał wieszać ludzi. Mieszkańcy Ombrzy szeptali sobie na ucho, że Szczapa każe sporządzać dla siebie peruki z ich włosów i że z tego powodu wiele kobiet musiało oddać życie...

- Co się tak grzebiesz? Pospiesz się, dzień już blisko! Kop szybciej! - zbeształ go Orfeusz, końcem stopy strącając do dołu ludzką czaszkę.

Walały się pod szubienicami niczym jakieś koszmarnie owoce.

W istocie nadchodził świt. Przekłęta Świecąca Gęba! Kazał mu kopać całą noc! Farid z rozkoszą skrzyłby mu ten jego biały tłusty kark.

- Szybciej? To może niech kopie ten twój wspaniały goryl - odkrzyknął Farid z dołu. - Przynajmniej na coś by się przydał!

Góra Mięsa skrzyżował na piersi tłuste ramiona, uśmiechając się pogardliwie. Orfeusz znalazł tego osiłka na rynku, gdzie usługiwał jednemu z balwierzy, przytrzymując pacjentów przy usuwaniu spróchniałych zębów.

„Co ty znowu wygadujesz? - powiedział z wyższością Orfeusz, kiedy Farid zapytał go, po co mu jeszcze jeden służący. - W Ombrze nawet handlarze starzyzny mają swoich ochroniarzy z powodu wałęsającej się wszędzie hołoty. A przecież nie mogą się ze mną mierzyć bogactwem!”

Jeśli o to chodzi, to miał całkowitą rację. A ponieważ zaproponował dużo więcej, niż płacił balwierz, Góra Mięsa bez słowa poszedł za nimi, zwłaszcza że uszy go już bolały od wrzasków torturowanych pacjentów. Zwał się Oss - wyjątkowo krótkie imię jak na tak wielkie chłopisko. Ale z drugiej strony pasowało do niego, odzywał się bowiem niezmiernie rzadko, w związku z czym Farid na początku podejrzewał, że w tej szpetnej gębie w ogóle nie ma języka. Ale za to jadł za czterech i coraz częściej zdarzało się, że połykał także porcję Farida przyniesioną przez służące Orfeusza. Farid poskarżył się, ale od kiedy Oss zaczął się na niego pod schodami do piwnicy, wolał chodzić spać z pustym żołądkiem lub ukraść coś na bazarze, niż z nim zadzierać. Góra Mięsa ostatecznie obrzydził mu służbę u Orfeusza. To wciskał mu odłamki szkła do siennika, to podstawiał mu nogę na schodach albo zniecka chwycił za włosy... Farid musiał bez przerwy mieć się przed nim na baczności. Tylko nocą

był bezpieczny, kiedy OsS jak wierny pies kładł się pod drzwiami sypialni Orfeusza.

- Ochroniarze nie są od tego, żeby kopać! - wyjaśnił Orfeusz znużonym tonem, chodząc nerwowo od jednego dołu do drugiego. - A jak będziesz się tak ślimaczył, to wkrótce naprawdę przyda się nam ochroniarz, bo w południe mają tu wieszać dwóch kłusowników!

- No proszę! Zawsze ci powtarzam, żebyś po prostu umieszczał skarby koło swojego domu!

Ale Orfeusz z upodobaniem wybierał miejsca, które Farida napawały lękiem - szubienice, cmentarze, spalone domy. Świecąca Gęba naprawdę nie bał się duchów, to trzeba mu było przyznać. Farid otarł pot z czoła.

- Albo mógłbyś chociaż dokładnie opisać, pod którą z tych przeklętych szubienic ten skarb się znajduje. I dlaczego, na wszystkie demony świata, musi być schowany tak głęboko?!

- Nie tak głęboko! Koło mojego domu! - drwił Orfeusz, krzywiąc pogardliwie swoje dziewczęce wargi. - Bardzo pomysłowe! Wydaje ci się, że to pasuje do tej historii? Nawet Fenoglio nie wpadłby na tak nedorzeczny pomysł. Ale po co ja ci to wszystko tłumaczę! Nigdy nic z tego nie zrozumiesz.

- Naprawdę? - wykrzyknął Farid, wbijając łopatę w ziemię z taką furją, że nie mógł jej potem wyciągnąć. - Ale przynajmniej to jedno doskonale rozumiem, że sprowadzasz jeden skarb po drugim, zgrywasz bogatego kupca, najmujesz kolejne służące, a Smolipaluch nadal przebywa wśród umarłych!

Farid czuł, że znów zbiera mu się na płacz. Ból, jaki przeżywał, był wciąż tak samo dotkliwy jak tamtej nocy, kiedy Smolipaluch umarł za niego. Ach, gdyby tak mógł zapomnieć jego zeszytniała twarz! Gdyby mógł go pamiętać takim, jaki był za życia. Tymczasem widział go ciągle w tamtej kopalni, jak leży zimny i milczący, a jego serce jest kawałkiem lodu.

- Sprzykrzyło mi się być twoim służącym! - krzyknął, zadzierając głowę i zapominając w szale o powieszonych, którym na pewno nie podobało się, że ktoś wrzeszczy na miejscu ich kaźni. - Ty też nie wykonałeś swojej części umowy! Zagrzebałeś się w tym świecie jak czerw w sadle, zamiast wreszcie przywrócić Smolipalucha do życia. Postawiłeś na nim krzyżyk, tak jak wszyscy inni! Fenoglio ma rację: jesteś tyle wart co perfumowany pęcherz świński! Powiem Meggie, żeby cię odesłała z powrotem! Na pewno mnie posłucha, przekonasz się!

Oss spojrział pytająco na Orfeusza, błagając go wzrokiem o przyzwolenie, by mógł stłuc Farida na kwaśne jabłko, ale Orfeusz nie zwracał na niego uwagi.

- A, więc to o to chodzi! - powiedział Orfeusz, z trudem hamując gniew. - Niewiarygodna, niedościgniona Meggie, córka nie mniej sławnego ojca, który obecnie przybrał imię pewnego ptaszka i ukrywa się w lesie z bandą parszywych zbójców, a obdartusy waganci prześcigają się w tworzeniu coraz to nowych pieśni na jego temat!

Orfeusz poprawił okulary i spojrział w niebo takim wzrokiem, jakby chciał się poskarżyć z powodu tej niezasłużonej chwały. Lubił przezwisko, jakie zawdzięczał okularom: Podwójnooki. Mieszkańcy Ombry wymawiali je ze wstrętem i lękiem, ale Orfeusza napawało to tym większą radością. A poza tym okulary były dowodem na prawdziwość tych wszystkich kłamstw, jakich naopowiadał o swoim pochodzeniu: że przybył zza morza, z dalekiej krainy, gdzie wszyscy książęta mają podwójne oczy, co pozwala im czytać w myślach poddanych. Ze jest nieślubnym synem tamtejszego króla, który musiał uciekać przed własnym bratem, kiedy żona brata zapalała do niego płomienną miłością.

„Na boga ksiąg, cóż za nędzna historia! - wykrzyknął Fenoglio, kiedy Farid powtórzył dzieciom Minerwy opowieść Orfeusza. - Ten człowiek to prawdziwy tygiel! W jego mózgu nie powstał nigdy żaden oryginalny pomysł. Potrafi tylko przetapiać pomysły innych”.

I cóż z tego, skoro Fenoglio trawił dni i noce na bezpłodnym uzalaniu się nad sobą, a tymczasem Orfeusz z całym spokojem pracował nad tym, by wycisnąć na jego historii własne piętno. Tej historii, o której zdawał się wiedzieć więcej niż jej twórca.

„Czy znasz najgorętsze pragnienie człowieka, który tak pokochał pewną książkę, że czyta ją w kółko i nie może przestać? - spytał Farida, gdy po raz pierwszy stanął przed bramą Ombry. - Nie, jasne, że nie znasz, skądże byś mógł znać? Jedyna myśl, jaką książka wywołuje w twojej głowie, to ta, że dobrze się pali w chłodne noce. Ale mimo to powiem ci. Człowiek ten pragnie być częścią jej świata. Ale oczywiście nie nędznym nadwornym poetą, tę rolę pozostawiam Fenogliowi, choć Bogiem a prawdą nawet w tym jest żaloszny!”.

Orfeusz zabrał się do roboty zaraz trzeciej nocy, w brudnej gospodzie tuż pod murami. Wysłał Farida do miasta, żeby wyszabrował wina i świec, wyciągnął spod opończy zatłuszczony kawałek papieru i rysik - no i oczywiście tę po trzykroć przeklętą książkę. Jego palce wędrowały po stronicach, wyszukując słowa, tak jak sroki wyszukują świecidelka. A Farid w swojej naiwności myślał, że słowa, którymi Orfeusz tak pilnie pokrywał kartkę papieru, uciszą jego ból i sprowadzą Smolipalucha. Ale Orfeuszowi co innego było w głowie. Wypędził Farida, zanim zaczął odczytywać na głos to, co napisał, i jeszcze przed świtem

Farid wykopał dla niego pierwszy skarb na cmentarzu zaraz za przytułkiem. Orfeusz cieszył się jak dziecko na widok srebrnych monet. A Farid wodził oczami po grobach, połykając łzy.

Za pieniądze Orfeusz ubrał się dostatnio, wynajął dwie służące i kucharkę, a także kupił okazały dom handlarza jedwabiu. Poprzedni właściciel wyruszył na poszukiwanie synów, którzy pociągnęli wraz z Cosimem do Nieprzebitego Lasu i od tej pory wszelki śluch po nich zaginął.

Orfeusz podał się za kupca spełniającego najbardziej dziwaczne życzenia klientów. Wkrótce nawet do Szczapy dotarły plotki, że obcy o rzadkich jasnych włosach i skórze tak bladej, jaką zwykle miewają tylko księżęta, potrafi wystarać się o różne niezwykle rzeczy: nakrapiane koboldy, wróżki kolorowe jak motyle, ozdoby ze skrzydełek ognistych elfów, pasy wysadzone łuskami nimf, pstrokate konie w złote łaty do karoc księżęcych i inne stwory, jakie mieszkańcy Ombry do tej pory znali tylko z bajek. W książce Fenoglia można było znaleźć właściwe słowa do wielu rzeczy, trzeba je było tylko inaczej pozostawiać. Czasem istota, którą stworzył Orfeusz, kończyła żywot, ledwie zdążyła zaczerpnąć tchu, lub też okazywała się zbyt jadowita (świadczyły o tym zabandażowane ręce Góry Mięsa), ale jemu to nie przeszkadzało. Nie obchodziło go, że w lesie umierały z głodu ogniste elfy, bo nagle odpadały im skrzydła, ani to, że pewnego ranka znaleziono w stawie martwe nimfy bez łusek. Wyciągał nić po nici z delikatnej tkaniny starego człowieka, tworząc własne wzory, jakby naszywał łatki na wielki dywan Fenoglia, i bogacił się tym, co jego głos potrafił wydobyć ze słów innego.

Niech będzie przeklęty. Po tysiącokroć i jeden raz przeklęty. Dość tego!

- Nie będę już nic dla ciebie robił! Nic, rozumiesz?

Farid otrzepał ręce z lepkiej ziemi i próbował wygramolić się na powierzchnię, ale Oss na dany przez Orfeusza znak strącił go z powrotem do dołu.

- Kop! - warknął.

- Sam sobie kop! - wrzasnął Farid, trzęsąc się w przepoco-nym ubraniu, nie wiedzieć, z zimna czy z wściekłości. - Twój wytworny pan to hochsztapler! Już raz siedział w więzieniu za swoje kłamstwa i trafi tam z powrotem!

Orfeusz zmrużył oczy. Nie cierpiał, gdy przypominano mu o tym rozdziale jego życia.

- Jestem pewien, że należałeś do tych łgarzy, którzy wyciągają starym babciom pieniądze z kieszeni. Ale tutaj nadymasz się jak ropucha, bo nagle twoje kłamstwa stają się prawdą, wkradasz się w łaski szwagra Żmijogłowego i myślisz, że jesteś sprytniejszy od wszystkich! - pieklił się Farid. - A co ty w ogóle potrafisz? Wyczarować wróżki, które wyglądają tak, jakby wpadły do kubła farbiarza, skrzynie pełne skarbów, ozdoby z elfich

skrzydeł dla Szczapy. Ale tego, po co cię tu sprowadziliśmy, nie potrafisz dokonać. Smolipaluch nie żyje. Nie żyje. Nadal... nie... żyje!

Znowu te przeklęte łzy cisnące się do oczu. Farid otarł je z policzków brudnymi palcami. Tymczasem Góra Mięsa wlepił w niego spojrzenie bez wyrazu, jak ktoś, kto nie rozumie ani słowa. Jakżeby miał rozumieć? Co Oss mógł wiedzieć o słowach zbieranych przez Orfeusza, co mógł wiedzieć o księżce i głosie Orfeusza?

- Nikt - mnie - nie - sprowadził! - wyrzekł Orfeusz zduszonym głosem, przechylając się przez krawędź dołu, jakby chciał plunąć tymi słowami w twarz Faridowi. -1 nie życzę sobie, żeby mi przypominał o Smolipaluchu ktoś, kto stał się przyczyną jego śmierci! Znałem jego imię, kiedy ciebie nie było jeszcze na świecie, i nikt inny, tylko ja jeden sprowadzę go z powrotem, chociaż tak gruntownie usunąłeś go z tej historii... Ale jak i kiedy to zrobię, zależy tylko ode mnie. A teraz kop. A może myślisz, ty arabska wyrocznio - smagał słowami Farida, który miał wrażenie, jakby go krojono na cieniutkie plasterki - że łatwiej mi będzie pisać, kiedy będę musiał zwolnić służące i sam pracować sobie ubrania?

Przeklęty. Niech będzie przeklęty. Farid spuścił głowę, żeby Orfeusz nie zobaczył jego łez.

„Kto stał się przyczyną jego śmierci...”

- A może mi powiesz, dlaczego wydają zdobyte z takim trudem srebro, żeby słuchać beznadziejnych piosenek wagantów? - perorował Orfeusz. - Dlatego, że zapomniałem o Smolipaluchu? Nie, dlatego, że do tej pory nie zdołałeś się dowiedzieć, gdzie i jak można porozmawiać z białymi damami! I dlatego dalej wysłuchuję marnych pieśni, sterczę przy umierających żebrakach i przekupuję zielarki, żeby mnie wezwały, jak tylko ktoś się wybiera na tamten świat. Byłoby oczywiście o wiele łatwiej, gdybyś tak jak twój mistrz potrafił ogniem zwabić białe damy, ale próbowaliśmy już tego wiele razy bez skutku. Gdyby cię chociaż raz odwiedziły, jak to podobno chętnie robią z tymi, których już raz dotknęły. Ale i to nie! Nie pomogła także świeża kurza krew wystawiona w miseczce pod drzwiami ani nawet kości dziecięce, za które dałem grabarzom sakiewkę srebra, bo strażnicy naopowiadali ci bzdur, że wtedy białe damy zlecą się w te pędy!

Tak, tak! Farid zatkał sobie uszy rękami. Orfeusz miał rację. Wszystkiego już próbowali, ale białe damy się nie pokazywały. A nikt inny nie mógł zdradzić Orfeuszowi, w jaki sposób może wyrwać Smolipalucha z ramion śmierci.

Bez słowa wyciągnął łopatę z ziemi i wrócił do kopania. Miał już bąble na palcach, gdy wreszcie łopata uderzyła o drewno. Szkatułka, którą wydobył z ziemi, nie była duża, ale tak jak ostatnia po brzegi wypełniona srebrnymi monetami. Farid podsłuchał, jak Orfeusz

zaklinał ją słowami: Pod szubienicami na Ponurym Wzgórzu, na długo przedtem zanim Tłusty Książę kazał ściąć dęby na trumnę dla syna, banda rozbójników ukryła szkatułę ze srebrem. Potem wybuchła między nimi kłótnia. Pozabijali się nawzajem, lecz srebro do dziś leży pod ziemią, gdzie bieleją ich kości.

Drewno było zmurszałe i Farid pomyślał tak samo jak poprzednim razem, że może szkatuła leżała już w ziemi pod szubienicą, zanim jeszcze Orfeusz napisał tamte słowa. Świecąca Gęba zbywał te wątpliwości zarozumiałym uśmieszkiem, ale Farid nie miał pewności, czy zna prawdę.

- No proszę. A nie mówiłem? Myślę, że na miesiąc powinno wystarczyć.

Farid miał ochotę łopatą ziemi zetrzeć mu z twarzy ten zarozumiały uśmiech., Na miesiąc! Za pieniądze, które wraz z Górą Mięsa ładowali do skórzanych worów, można było przez miesiąc napełniać brzuchy głodujących mieszkańców całej Ombry.

- Jak długo to jeszcze będzie trwało? Kat pewnie już wchodzi na wzgórze ze świeżą strawą dla szubienic. - Kiedy Orfeusz był zdenerwowany, jego głos nie brzmiał zbyt imponująco.

Farid bez słowa zawiązał ostatni pękaty worek, zepchnął pustą szkatułę do dołu i jeszcze raz spojrzął na dyndających wisielców. Na Ponurym Wzgórzu już dawniej stawiano szubienice, ale dopiero Szczapa uczynił je głównym miejscem straceń. Fetor rozkładających się ciał na szubienicach pod bramą miasta docierał czasem aż wysoko na zamek, a woń ta zupełnie nie pasowała do wykwintnego jadła, jakie spożywał szwagier Zmijogło-wego, podczas gdy cała Ombra głodowała.

- Zamówiłeś wagantów na dzisiejszy wieczór?

Farid tylko skinął głową, niosąc za Orfeuszem ciężkie worki.

- Ten wczorajszy wyglądał obrzydliwie! - mówił Orfeusz, podczas gdy Góra Mięsa pomagał mu dosiąść konia. - Jakby ktoś ożywił stracha na wróble! A z jego prawie bezzębnych ust wydobywały się te same co zawsze beznadziejne teksty: piękna księżna pokochała ubogiego waganta, lalalala, piękny królewicz pokochał chłopską córkę, lalalali... Ani słowa o białych damach.

Farid słuchał jednym uchem. Nie lubił wagantów, gdyż większość z nich śpiewała i tańczyła dla Szczapy i nie chcieli już mieć Czarnego Księcia za króla, ponieważ zbyt otwarcie walczył z okupantami.

- Ale z drugiej strony - ciągnął Orfeusz - strach na wróble znał parę nowszych pieśni o Sójce. Kosztowało mnie wiele zachodu, żeby je z niego wyciągnąć, a śpiewał tak cicho, jakby

Szczapa we własnej osobie czaił się pod moim oknem. Jedną z nich usłyszałem po raz pierwszy. Czy jesteś pewien, że Fenoglio nie zaczął znów pisać?

- Całkiem pewien.

Farid założył plecak i zagwizdał cicho przez zęby, jak to czynił Smolipaluch. Zza szubienicy wypadł Skoczek z myszą w pyszczku. Farid miał teraz tylko młodszą kunę, Gwin został z Roksaną, jakby chciał być tam, dokąd Smolipaluch najpierw skieruje kroki, gdyby jakimś cudem śmierć wypuściła go ze swych kościstych objęć.

- A skąd jesteś taki pewien? - spytał Orfeusz, krzywiąc się z niesmakiem, kiedy Skoczek wylądował na ramieniu Farida i zniknął w plecaku.

Świecąca Gęba brzydził się kuny, ale tolerował ją prawdopodobnie dlatego, że niegdyś należała do Smolipalucha.

- Szklany ludzik Fenoglią mi powiedział, a on chyba wie najlepiej.

Kryształek nieustannie uskarżał się na swój ciężki żywot, od kiedy Fenoglio nie mieszkał już w zamku, tylko znów na poddaszu u Minerwy. Zresztą i Farid przeklinał strome drewniane schody, po których musiał się wdrapywać, kiedy Orfeusz posyłał go do Fenoglią z pytaniami, których było bez liku. Jakie kraje leżą na południe od morza, z którym graniczą posiadłości Żmijo-głowego? Czy książę rządzący na północ od Ombry jest spokrewniony z żoną Żmijogłowego? Gdzie dokładnie przebywają olbrzymy lub czy może zdażyły już wyginąć? Czy ryby drapieżne żyjące w stawach pożerają także rusałki?

Zdarzało się, że Fenoglio w ogóle nie wpuszczał Farida do mieszkania, pozostawiając go na schodach, po których ten wdrapał się z takim trudem. Ale czasem, gdy był mocno pijany, ogarniała go wena gawędziarska. Wtedy zalewał chłopca takim potokiem informacji, że głowa mu pękała, a po powrocie Orfeusz dręczył go pytaniami, póki wszystkiego z niego nie wyciągnął. Istne wariactwo. Lecz nie było wyjścia, bo kiedy tylko ci dwaj próbowali ze sobą bezpośrednio rozmawiać, po kilku minutach wybuchała kłótnia.

- Dobrze, bardzo dobrze! Za bardzo by się wszystko skomplikowało, gdyby stary znów wolał słowa od wina! Jego ostatnie pomysły spowodowały beznadziejny chaos. - Orfeusz ujął cugle i spojrzał w niebo, próbując ocenić, kiedy znów nadejdzie deszczowy dzień, szary i smutny jak twarze mieszkańców Ombry. - Zbójcy w maskach, księgi nieśmiertelności, książę powstający z martwych! - wyliczał, potrząsając głową i kierując konia na ścieżkę prowadzącą do Ombry. - Kto wie, co by mu jeszcze przyszło do głowy! Nie, nie, lepiej będzie, jeśli Fenoglio utopi w winie resztkę rozumu, jaka mu jeszcze została. Sam się zajmę jego historią. Rozumiem ją dużo lepiej od niego.

Farid nie słuchał, wyprowadzając z krzaków swojego osła. Niech Świecąca Gęba gada zdrów. Było mu wszystko jedno, który z nich dwóch napisze słowa przywracające Smolipalucha do życia. Żeby to tylko wreszcie nastąpiło! Choćby mieli przy tym diabli wziąć całą tę przeklętą historię.

Osiół jak zwykle próbował ugryźć Farida, kiedy ten wskakiwał na jego kościsty grzbiet. Orfeusz miał jednego z najpiękniejszych koni w Ombrze - mimo tuszy był dobrym jeźdźcem - ale powodowany skapstwem dla Farida kupił tylko osła, który gryzł i miał łeb wyliniały ze starości. Góry Mięsa nie udźwignęłyby nawet dwa osły, biegł więc lekkim truchtem obok Orfeusza niby przerośnięty pies, z twarzą zlaną potem, to w górę, to w dół po wąskich ścieżkach, które wiły się pośród wzgórz otaczających miasto.

- A więc dobrze, Fenoglio nie pisze - mówił Orfeusz, który lubił myśleć na głos. Miało się wrażenie, że tylko wtedy potrafi uporządkować myśli, kiedy słyszy własny głos. - Ale skąd się w takim razie biorą te wszystkie opowieści o Sójce? Opiekuje się wdowami, podrzuca srebro na progach biedaków, mięso pochodzące z kłusownictwa pojawia się na talerzach półsierot...

Czy to wszystko jest rzeczywiście dziełem Mortimera Folcharta, czy też Fenoglio pomaga mu uczynnymi słowami?

Z naprzeciwka nadjechał wóz i Orfeusz, złorzeczając, zjechał w bok w cierniste krzaki, a Góra Mięsa, uśmiechając się głupawo, gapił się na dwóch młodzieńców kłęczących na wozie, z rękami związanymi na plecach powrozem i twarzami pobladłymi i skurczonymi ze strachu. Jeden z nich miał oczy jeszcze jaśniejsze niż Meggie, obaj zaś byli mniej więcej w wieku Farida. To zrozumiałe, gdyby byli starsi, pociągnęliby z Cosimem na wojnę i dawno już by zginęli. Ale tego ranka nie było to dla nich pociechą. Z Ombrzy widać będzie ich zwłoki dyndające na stryczku - przestroga dla tych, których głód przywodził do kłusownictwa - lecz delikatny nos Szczapy ich nie poczuje.

„Czy na szubienicy umiera się tak szybko, że białe damy nie zdążą się pojawić?” - pomyślał Farid, dotykając odruchowo tego miejsca na plecach, gdzie wniknął nóż Basty. Do niego też chyba nie przyszły. W każdym razie nie przypominał sobie, by je widział. Nie pamiętał nawet bólu, tylko twarz Meggie, gdy się ocknął, a potem, kiedy się odwrócił, zobaczył martwego Smolipalucha...

„Dlaczego nie napiszesz, żeby zabrały mnie zamiast Smolipalucha?” - spytał kiedyś Orfeusza, ale ten tylko się roześmiał drwiąco.

„Ciebie? Naprawdę wyobrażasz sobie, że białe damy wymienią Ognistego Tancerza na takiego złodziejzka jak ty? O nie, musimy znaleźć dla nich lepszą przynętę”.

Worki pełne srebra przyczepione do łąku siodła zaczęły podskakiwać, kiedy Orfeusz dał ostrogi koniowi, a twarz Ossa była tak czerwona i nabiegła krwią z wysiłku, jakby za chwilę jego głowa na tłustym karku miała eksplodować.

„Przeklęta Świecąca Gęba! Meggie powinna go odesłać z powrotem! - myślał Farid, popędzając osła piętami. - Im szybciej, tym lepiej!”. Tylko kto jej napisze słowa? I kto oprócz Orfeusza jest w stanie przywrócić Smolipalucha do życia?

„On już nigdy nie wróci! - szeptał jakiś głos w jego duszy. - Smolipaluch nie żyje, Faridzie. Nie żyje”.

„I co z tego? - sprzeciwił się temu głosowi. - W tym świecie to nic nie znaczy. Ja też wróciłem”.

Ach, gdyby był zapamiętał drogę!

Rozdział 4

Atramentowe szaty

Pamiętam, jakby to było wczoraj, wierzyłem, że mam pod skórą światło, i jeśli naciąć skórę - rozbłyszę jasno. Dziś, gdy na drodze życia upadnę - stuknę kolano i pokaże się krew.

Billy Collins, Dziesięciolecie

Poranek obudził Meggie bladym światłem padającym na jej twarz i powietrzem tak świeżym, jakby przed nią nikt nim nie oddychał. Za oknem świergotały wróżki niby ptaki, które nauczyły się mówić, a gdzieś w oddali rozległ się ostry skrzek sójki, tak jej się przynajmniej wydawało. Siłacz potrafił tak świetnie naśladować ptaki, jakby mieszkały w jego piersi, i wszystkie mu ochoczo odpowiadały: skowronki, drwinniczki, dzięcioły, słowiki i oswojone wrony Gekona.

Możesz już nie spać. Słyszała na dworze jego głos oraz głos matki. Może wreszcie zjawiał się Farid? Zerwała się z siennika (zupełnie już zapomniała, jak to jest, kiedy się śpi w prawdziwym łóżku) i pobiegła do okna. Już od wielu dni wyglądała Farida, bo obiecał jej, że przyjdzie. Ale na dworze byli tylko rodzice i Siłacz, który uśmiechnął się do niej, jak tylko ją zobaczył w oknie.

Możesz pomagać Resie siodłać jednego z tych koni, które już czekały w stajni, gdy się tu sprowadzili. Były to wspaniałe rumaki i musiały należeć do jakiegoś szlachcica ze świty Szczapy, ale Meggie wolała się nie zastanawiać - jak przy wszystkim, co dla nich zdobywał Czarny Książę - w jaki sposób wpadły w ręce zbójców. Kochała Czarnego Księcia, Baptystę i

Silacza, ale niektórzy ze zbójców, tacy jak Drab czy Gekon, napawali ją lękiem, choć byli to ci sami ludzie, którzy uratowali ich z rąk wrogów na Żmijowej Górze.

- Zbójcy to zbójcy, Meggie - mawiał Farid. - Księżę robi to, co robi, dla dobra innych, ale wielu z jego ludzi pragnie sobie tylko napchać kieszenie, nie odczuwając potrzeby pracy w polu czy w warsztacie.

Ach, Farid... Meggie zrobiło się wstyd, że tak bardzo za nim tęskni.

Matka była bardzo blada. W ostatnim czasie Resa miała często nudności i pewnie dlatego wybierała się do Roksany. W takich sprawach nikt nie umiał pomóc lepiej niż ona, oprócz Puszczyka oczywiście, ale on sam czuł się nie najlepiej od śmierci Smolipalucha, zwłaszcza gdy się dowiedział, że Żmijogłowy kazał spalić przytułek, który przez tyle lat prowadził po tamtej stronie lasu. Co się stało z Bella i innymi zielarkami - nikt nie umiał powiedzieć.

Kiedy Meggie wyszła za próg, pod jej stopami smyrnęła mysz z różkami jak u kuny Smolipalucha, a w jej włosy wczepiła się wróżka, ale Meggie umiała już sobie z nimi radzić. Robiło się coraz zimniej i wróżki rzadziej opuszczały gniazda, ale wciąż uganiały się za ludzkimi włosami.

- Nic ich bardziej nie grzeje - powtarzał Baptysta. - Oprócz sierści niedźwiedzi. Ale wrywać sierść niedźwiedziom to zbyt niebezpieczne zajęcie.

Poranek był tak chłodny, że Meggie kulila się z zimna, obejmując własne ciało skrzyżowanymi ramionami. Ubrania, o jakie wystarali się im zbójcy, ani w polowie nie były tak ciepłe jak swetry, które w taką pogodę wkładała w tym drugim świecie. Prawie ze wzruszeniem myślała o ciepłych skarpetach, które zostały w szafie Elinor.

Mo odwrócił się i uśmiechnął do niej, kiedy podeszła. Był zmęczony, ale szczęśliwy. Ostatnio mało sypiał. Często do późna w nocy pracował w prowizorycznym warsztacie, używając skąpego zestawu narzędzi, o które wystarał mu się Fenoglio. I wciąż chodził do lasu - sam lub z Czarnym Księciem. Myślał, że ona o tym nie wie, ale Meggie już kilka razy widziała, jak przychodzili po niego zbójcy - kiedy nie mogąc spać, stała przy oknie i wyglądała Farida. Wzywali Mo, naśladując głos sójki. Meggie prawie co noc słyszała skrzek sójki.

- Czy czujesz się już lepiej? - spytała, patrząc z niepokojem na matkę. - Może to jednak te grzyby, których nazbierałyśmy kilka dni temu?

- Nie, to nie grzyby - odparła Resa i spojrzała z uśmiechem na Mo. - Roksana z pewnością znajdzie na to jakieś ziółka. Chcesz jechać ze mną? Może zastaniemy Brianę, bo nie w każdy dzień wypada jej służba u Orfeusza.

Brianna! Dlaczego miałyby pragnąć jej towarzystwa? Tylko dlatego, że była jej rówieśniczką? Po śmierci Cosima Brzydka Wiolanta zwolniła Briannę ze służby. Była to spóźniona kara za to, że dawniej wołała towarzystwo jej męża. Brianna najpierw pomagała Roksanie w polu, ale teraz pracowała dla Orfeusza, tak samo jak Farid. Orfeusz miał już pięć służących i Farid żartował, że wkrótce Świecząca Gęba nie będzie nawet sam cesał resztek swych włosów. Orfeusz zatrudniał tylko piękne dziewczęta, a Brianna była bardzo piękna, tak piękna, że Meggie czuła się przy niej jak brzydkie kaczątko obok łabędzia. A na dodatek Brianna była córką Smolipalucha.

„To co z tego? - zaproponował gwałtownie Farid, gdy tylko Meggie poruszyła ten temat. - Przecież nawet z nią nie rozmawiam. Ona mnie po prostu nienawidzi, tak samo zresztą jak jej matka”.

Ale mimo wszystko... Farid prawie codziennie ją widywał, ją i te wszystkie piękne dziewczęta, które pracowały w domu Orfeusza. A do niej nie zaglądał już drugi tydzień.

- No to jak, jedziesz? - Resa spojrzała na nią badawczo. Meggie zarumieniła się, jak gdyby matka mogła czytać w jej myślach.

- Nie - odparła - raczej nie, chyba zostanę. Siłacz pojedzie z tobą?

- Oczywiście.

Siłacz postawił sobie za cel strzec jej i Resy. Meggie nie była pewna, czy Mo go o to prosił, czy też zbójca czynił to sam z siebie, chcąc w ten sposób okazać Sójce swoje oddanie.

Również i dzisiaj pomagał jej dosiąść konia. Resa skarżyła się ciągle na niedogodność jazdy konnej w sukience, wołałaby strój męski, choć już raz z tego powodu została niewolnicą Mortoli.

- Wrócę przed zmrokiem - powiedziała do Mo. - Może Roksana przy okazji da mi coś na twoją bezsenność.

Po chwili Resa i Siłacz zniknęli między drzewami i Meggie została sama z Mo, jak dawniej, gdy mieli tylko siebie.

- Naprawdę nie wygląda najlepiej! - powiedziała.

- Nie martw się, Roksana znajdzie na to radę - uspokoił ją Mo, spoglądając w kierunku piekarni, gdzie mieściła się jego pracownia, a Meggie zastanawiała się, skąd jej ojciec ma to czarne ubranie. - Ja też muszę cię opuścić, ale wrócę przed wieczorem. Gekon i Baptysta trzymają straż w stajni, a księżę przyśle jeszcze Kuternogę, póki Siłacza nie ma. We trzech przypilnują cię lepiej niż ja.

Coś w jego głosie obudziło w niej podejrzania. Co to było? Kłamstwo? Mo zmienił się, od kiedy Mortola tak ciężko go raniła, że ledwie przeżył. Był teraz bardziej zamknięty w sobie, a często także nieobecny myślami, tak jakby częśćka jego ja pozostała w tamtej jaskini, w której o mało nie umarł, albo w lochu Mrocznego Zamku.

- Dokąd idziesz? Pójdę z tobą - oświadczyła Meggie, biorąc go pod ramię. - Co się stało? - dodała zdziwiona, bo wzdrygnął się gwałtownie, gdy dotknęła jego ręki.

- Nic się nie stało - bąknął, gładząc machinalnie rękaw czarnego fartucha i unikając jej wzroku.

- Znowu gdzieś chodziłeś z księciem. Widziałam go dziś w nocy na podwórku. Co tu jest grane?

- Nic, Meggie, naprawdę nic - odparł z twarzą bez wyrazu, pogłaskał ją po policzku i skierował się do warsztatu.

Meggie ruszyła za nim.

- Zupełnie nic? - nie dawała za wygraną. Drzwi do pracowni były tak niskie, że Mo, wchodząc, musiał pochylić głowę. - Skąd wzięłeś to czarne ubranie?

- To strój introligatora. Baptysta mi go uszył.

Podszedł do stołu, przy którym pracował. Leżały tam kawałki skóry, kilka arkuszy pergaminu, dratwa, nóż do papieru i ta niewielka książeczka z rysunkami Resy, którą oprawił w ciągu ostatnich tygodni, pełna wizerunków wróżek, ognistych elfów i szklanych ludzików; były tam także portrety Czarnego Księcia, Siłacza, Baptysty i Roksany. A nawet Farida. Książka była opakowana w papier i przewiązana sznurkiem, jakby Mo wybierał się w podróż. Książka, czarne ubranie...

Meggie za dobrze go znała!

- Nie, Mo! - wykrzyknęła, chwytając książkę i chowając ją za plecami. Może Resa dałaby się na to nabrać, lecz nie ona.

- Co? - spytał niewinnie Mo. Był teraz dużo lepszy w udawaniu niż dawniej.

- Idziesz do Ombry, do Balbulusa. Zwariowałeś? To zbyt niebezpieczne!

W pierwszej chwili Mo chciał zaprzeczyć, ale szybko zdał sobie sprawę z bezcelowości kłamstwa.

- A więc dobrze - przyznał z westchnieniem. - Widzę, że nie dasz się nabrać. Myślałem, że teraz, kiedy jesteś już prawie dorosła, będzie mi łatwiej wyprowadzić cię w pole. Niestety, myliłem się.

Objął ją i delikatnie wyjął jej z ręki książkę.

- Masz rację, chcę odwiedzić Balbulusa, nim Szczapa sprzeda resztę tych cudownych ksiąg, o których mi opowiadałaś. Fe-noglio przemyci mnie na zamek jako introligatora. Jak myślisz, ile beczek wina dostaje Szczapa za jedną książkę? Ponoć opróżnił już pół biblioteki, żeby zapłacić za wystawne uczyty.

- Mo! To strasznie niebezpieczne! A jeśli cię ktoś rozpozna?

- Kto? Żaden z mieszkańców Ombry nigdy mnie nie widział.

- Ale któryś z żołnierzy mógłby cię pamiętać z Mrocznego Zamku. A poza tym jest tu podobno Kopeć! Jego nie zmyli czarne ubranie.

- Głupstwa! Kiedy mnie widział poprzednim razem, byłem umierający. I lepiej by było dla niego, żeby mnie nie spotkał.

Przy tych słowach twarz Mo, tak dobrze Meggie znana, stała się nagle obca i zimna jak lód.

- No nie patrz na mnie z takim strachem! - powiedział Mo, uśmiechając się do niej, lecz uśmiech zaraz zniknął z jego twarzy. - Czy wiesz, Meggie, że czuję się tak, jak gdyby moje ręce należały do kogoś obcego? - mówił dalej, wyciągając ku niej dłonie, jakby mogła dostrzec w nich zmianę. - Nigdy nie podejrzewałem, że potrafią robić te wszystkie rzeczy, które teraz robią - i to robić dobrze...

Mo spojrział na swoje dłonie, jakby ich nie poznawał. Jakże często Meggie przyglądała się tym dłoniom, gdy przycinały i zszywały karty, naciągały skórę na okładki... albo naklejały plaster na jej rozbite kolano. Wiedziała aż za dobrze, o jakich to rzeczach mówi Mo. Niejeden raz obserwowała, jak ćwiczył za stajniami z Baptystą albo Siłaczem, wprawiając się we władaniu tym samym mieczem, który przyniósł z Mrocznego Zamku.

Mieczem Podpalacza. Potrafił się nim posługiwać równie zręcznie jak nożem do papieru czy falcarką. Sójka.

- Myślę, że czas już przypomnieć moim rękóm, co jest ich właściwym zawodem, Meggie. Ja sam chciałbym sobie o tym przypomnieć. Fenoglio opowiedział Balbulusowi, że znalazł introligatora, który potrafi tak oprawić jego prace w księgi, jak na to zasługują. Ale Balbulus życzy sobie zobaczyć tego introligatora, zanim powierzy mu swoje dzieła. I dlatego chcę pojechać do niego i przekonać go, że znam się na tym rzemiośle równie dobrze jak on na swoim. Zresztą ty sama jesteś winna, że nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę jego pracownię! Pamiętasz, jak mi opowiadałaś w wieży Mrocznego Zamku o pędzlach i barwnikach Balbulusa? - I naśladując jej głos, wyrecytował: „On jest iluminatorem, Mo! Na zamku w Ombrze. Najlepszym miniaturzystą w świecie. Zobaczyłbyś jego pędzle, farby...”.

- Tak - szepnęła - pamiętam.

Pamiętała nawet, co jej wtedy odpowiedział: „Naprawdę chętnie bym zobaczył te pędzelki”. Ale pamiętała także, jak straszliwie się wtedy o niego bała.

- Czy Resa wie, dokąd masz zamiar się udać? - spytała, przykładając mu rękę do piersi w miejscu, gdzie pozostała blizna przypominająca o tym, że o mało nie umarł.

Mo nie musiał odpowiadać. Poznała po jego oczach, w których malowało się poczucie winy, że nie wtajemniczył Resy w swoje plany. Meggie obrzuciła spojrzeniem narzędzia introligatorskie. Może Mo ma rację. Może już naprawdę czas przypomnieć jego rękom ich dawne czynności. Może i w tym świecie Mo mógłby wykonywać zawód, który tak ukochał w tamtym poprzednim. Chociaż podobno Szczapa uważał książki za rzeczy równie zbędne jak krosty na twarzy. Problem w tym, że Ombra należała do Żmijogłowego, a jego żołnierze byli wszędzie. Co będzie, jeśli któryś z jego ludzi połapie się, że Mo zaledwie kilka miesięcy temu był więźniem ich straszego pana?

- Mo... - Meggie cisnęły się na usta słowa, które przez ostatnie dni często przychodziły jej do głowy, lecz które bała się wypowiedzieć, bo nie była pewna, czy naprawdę tak myśli. - Czy ty też zastanawiasz się czasem nad tym, że powinniśmy wrócić? - zaczęła niepewnie. - Wrócić do Elinor i Dariusza... Wiem, że sama cię namawiałam do pozostania, ale... Żmija wszędzie cię szuka, a ty noc w noc idziesz do lasu ze zbrojcami... Może Resa tego nie zauważa, ale ja tak! Przecież wszystko już widzieliśmy - wróżki i nimfy, i Nieprzebyty Las, i szklane ludziki... - Jakże trudno było znaleźć właściwe słowa, słowa, które by i jej samej odkryły, co się dzieje w jej sercu. - Może... może już czas. Wiem, że Fenoglio przestał pisać, ale moglibyśmy poprosić Orfeusza. On jest o ciebie zazdrosny i na pewno by się ucieszył, gdybyśmy odeszli, a on byłby jedynym lektorem w tej historii!

Mo tylko na nią spojrział. Słowa nie były potrzebne, Meggie dobrze wiedziała, co myśli. Zamienili się rolami, teraz on nie chciał wrócić. Na stole, między grubymi kartami czerpanego papieru i nożami dostarczonymi przez Fenoglię, leżało pióro z ogona sójki...

- Chodź tu!

Mo usiadł na brzegu stołu i przyciągnął ją do siebie, jak wtedy, gdy była jeszcze małą dziewczynką. Tak wiele czasu upłynęło. Całe wieki. Miała wrażenie, jakby to była zupełnie inna historia i zupełnie inna Meggie. Ale kiedy Mo położył jej rękę na ramieniu, na chwilę przeniosła się duchem do tamtej historii, poczuła się bezpieczna, a z jej serca zniknęła tęsknota, która się w nim zagnieździła, jak gdyby mieszkała tam od zawsze... Tęsknota za chłopcem z czarnymi włosami i palcami powalnymi sadzą.

- Wiem, dlaczego chcesz wrócić - powiedział cicho Mo. Być może zmienił się, ale nadal potrafił czytać w jej myślach tak samo dobrze jak ona w jego. - Jak długo nie widziałas Farida? Pięć dni, sześć?

- Dwanaście! - szepnęła Meggie żałośnie i ukryła twarz na jego ramieniu.

- Dwanaście? A może poprosimy Siłacza, żeby mu zawiązał parę supełków na tych jego cienkich rączkach?

Meggie roześmiała się. Co ona robi, jeśli kiedyś nie będzie przy niej Mo, żeby ją rozśmieszyć?

- Ja jeszcze nie widziałem wszystkiego, Meggie - rzekł poważnie Mo. - Nie widziałem najważniejszego - ksiąg Balbulusa. Ręcznie ilustrowanych ksiąg, Meggie, rękopisów nieprzysypanych pyłem niezliczonych lat, ksiąg, na których kartach ledwie obeschła farba, a skóra na okładkach jest miękka i jedwabista... Kto wie? może nawet Balbulus pozwoli mi przyglądać się swojej pracy. Wyobraź sobie tylko! Ileż to razy marzyłem o tym, żeby choć raz zobaczyć, jak malarz umieszcza na pergaminie te miniaturowe twarze, jak wokół inicjałów poczynają się wic kunsztowne girlandy i jak...

Twarc Meggie rozjaśnił uśmiech.

- Dobrze już, dobrze - powiedziała, zasłaniając mu usta dłonią. - Dobrze - powtórzyła. - Pojedziemy do Balbulusa... ale razem.

„Jak dawniej - dodała w myślach. - Tylko ty i ja”.

A gdy Mo chciał zaprotestować, znowu zasłoniła mu usta.

- Sam to powiedziałeś! Wtedy, w tej opuszczonej kopalni. - W kopalni, gdzie umarł Smolipaluch... I Meggie cichym głosem powtórzyła słowa Mo tak dokładnie, jakby każde z nich było wypisane głęboko w jej sercu: „Pokaż mi wróżki, Meggie. I rusalki. Zaprowadź mnie do iluminatora na zamku w Ombrze. Przekonajmy się, czy jego pędzelki są naprawdę tak delikatne, jak mówisz”.

Mo wstał i zaczął porządkować narzędzia leżące na stole, tak jak to robił w warsztacie w ogrodzie Elinor.

- Tak, chyba tak właśnie powiedziałem - przyznał, nie patrząc na nią. - Ale w Ombrze rządzi obecnie szwagier Zmijogło-wego. Co by powiedziała mama, gdybym cię naraził na takie niebezpieczeństwo?

Mama. No tak...

- Resa nie musi o tym wiedzieć. Proszę cię, Mo! Musisz mnie zabrać ze sobą! Bo jeśli nie... to poproszę Gekona, żeby powiedział Czarnemu Księciu, dokąd się udałeś, a wtedy nigdy nie dotrzesz do Ombry!

Mo odwrócił głowę, ale Meggie usłyszała jego cichy śmiech.

- To jest szantaż. Czyżbym sam cię tego nauczył?

Z ciężkim westchnieniem znów spojrzał na nią i przyglądał jej się długo.

- No dobrze - rzekł wreszcie. - Obejrzyjmy razem te pióra i pędzle. W końcu byliśmy już razem w Mrocznym Zamku. W porównaniu z tym Ombra nie będzie chyba taka straszna, co? - Poglądził czarny kitel. - Jakże jestem rad, że tutejsi introligatorzy nie noszą strojów w kolorze klajstru - zażartował, wkładając książkę do torby umieszczonej u siodła. - A jeśli chodzi o mamę, to po odwiedzinach u Balbulusa pojedę po nią do Roksany, tylko ani słowa o naszej wycieczce! Sądzę, że od dłuższego czasu zastanawiasz się, dlaczego mama ma nudności rano.

Meggie patrzyła na niego zdumiona, nic nie rozumiejąc. Czowała się strasznie głupio.

- Braciszek czy siostrzyczka? Co byś wołała? - Mo promieniał radością. - Biedna Elinor, wyobraź sobie, że czekała na tę wiadomość, od kiedy u niej zamieszkaliśmy. A my tymczasem zabraliśmy dziecko do innego świata.

Braciszek czy siostrzyczka... Kiedy Meggie była mała, udawała przez pewien czas, że ma niewidzialną siostrę. Parzyła jej herbatę ze stokrotek, piekła babki z piasku.

- Ale... kiedy się o tym dowiedzieliście?

- Pochodzi z tej samej historii co ty, jeśli o to pytasz. Z domu Elinor, mówiąc dokładnie. To jest dziecko z krwi i kości, nie zrobione ze słów, atramentu i papieru. Chociaż - ktoś to wie? Może po prostu przenieśliśmy się z jednej historii do drugiej. Co o tym myślisz?

Meggie rozejrzała się wokoło, popatrzyła na stół, narzędzia na stole, pióro sójki... i czarne ubranie Mo. Wszystko to było przecież zrobione ze słów, słów Fenoglia. Dom, zagroda, słońce i księżyc.

„No, a my? - myślała Meggie. - Z czego my jesteśmy zrobieni? Resa, ja, Mo i to dziecko, które ma przyjść na świat?”. Już nie była pewna odpowiedzi. A może nigdy jej nie znała?

Było tak, jakby wszystkie rzeczy dokoła szeptały jej o tym, co będzie, i o tym, co było. A gdy spojrzała na swoje ręce, wydawało jej się, że dostrzega na nich drobne literki, które układają się w słowa: „A potem narodziło się nowe dziecko”.

Rozdział 5

Fenoglio użala się nad sobą

*- Co to jest? - zapytał Harry roztrzęsionym głosem.- To jest myślodsiewnia - odpowiedział Dumbledore.
- Czasami czuję, a sędzę, że i ty znasz to uczucie, że kłębi mi się w głowie za dużo myśli i wspomnień.*

Joannę K. Rowling, Harry Potter i czara ognia

Fenoglio leżał w łóżku. Zdarzało mu się to dość często w ciągu ostatnich tygodni... a może miesięcy. Co za różnica? Z ponurą miną przyglądał się gniazdom wrózek ponad głową. Wszystkie były puste - z wyjątkiem jednego, skąd bez ustanku dochodziło trajkotanie przerywane głośnym kichaniem. Gniazdo mieniło się tęczowo, jak plama oleju na wodzie. Orfeusz! Wróżki w tym świecie były błękitne, do diabła! Było to napisane w książce czarno na białym. Co ta Cieleca Głowa sobie myśli, żeby je przemalowywać na kolory tęczy? A co gorsza, tęczowe wróżki przepędzały te błękitne, gdy tylko je dopadły. Kolorowe wróżki, łaciate koboldy, podobno biegają już nawet po tym świecie czterorękie szklane ludziki. W głowie mu się kręciło, gdy o tym myślał. A myślał o tym bez przerwy, zastanawiając się, co też nowego wyskrobał Orfeusz w tym swoim wielkim, urządzonym z przepychem domu, otoczony światą, jakby był najważniejszym człowiekiem w mieście!

Fenoglio prawie codziennie wysyłał Kryształka na przespiegi, ale nie można było powiedzieć, żeby szklany człowieczek miał zdolności w tym kierunku. Co to, to nie. A poza tym Fenoglio podejrzewał, że Kryształek większość czasu spędza w uliczce szwaczek, nadskakując żeńskiej części swego gatunku..

„No, cóż, Fenoglio - pomyślał zgryźliwie - powinieneś był wpisać nieco więcej poczucia obowiązku w ich szklane łepetyny. Niestety, to nie jest twój jedyny błąd...”.

Chwytał właśnie za dzban z winem stojący obok łoża, by utopić w trunku nieprzyjemne myśli, gdy w małym okienku w dachu pojawiła się drobna postać. Nareszcie! Członki Kryształka, zwykle blad różowe, przybrały barwę karmazynowa. Szklane ludziki nie pociły się, ale od wysiłku zmieniały kolor (on sam ustanowił tę regułę, jak wszystkie inne, i mimo najlepszych chęci nie potrafił sobie przypomnieć dlaczego). Tylko po kiego licha ten mały dureń biega po dachach? Cóż za lekkomyślność, zważywszy, że wystarczy, by taki ludzik upadł na podłogę, a rozpryskuje się na tysiąc kawałków! No tak, szklane ludziki może nie należały do idealnych szpiegów, ale za to miały niewielkie rozmiary; łatwo mogły się stłuc, ale z drugiej strony były przezroczyste, co okazywało się korzystne przy tajnych misjach.

- No? Co pisze? Opowiadaj!

Fenoglio z dzbanem w ręku poczłapał boso do człowieczka. Za każdą szpiegowską akcję Krysztalek żądał zapłaty w postaci naparstka wina. Powtarzał nieustannie, że szpiegowanie nie należy do klasycznego repertuaru usług szklanego ludzika i musi być osobno wynagradzane. Naparstek wina nie był zbyt wygórowaną zapłatą, Fenoglio musiał to przyznać, ale z drugiej strony Krysztalek niewiele się do tej pory dowiedział. A poza tym wino mu szkodziło. Stawał się jeszcze bardziej bezczelny, nie mówiąc o tym, że potem godzinami mu się odbijało.

- Czy mógłbym złapać tchu, zanim zacznę opowiadać? - spytał zadziornie Krysztalek.

No proszę. Już się stawia. Obraża się o byle co.

- Przecież oddychasz. I najwyraźniej możesz też mówić!

Fenoglio zdjął skrzata z liny opuszczonej z dymnika, po której zjeżdżał w dół, i posadził go na stoliku, który nabył niedawno na jarmarku w zamian za swój pulpit pisarski.

- Zaczniemy od początku - powiedział, zaczerpnąwszy naparstkiem wina z dzbana. - Co on pisze?

Krysztalek upił łyk wina i zaczął kręcić z niesmakiem swym spurpurowiałym nosem.

- Twoje wino jest coraz gorsze! - stwierdził obrażonym tonem. - Powinienem zażądać innego wynagrodzenia!

Fenoglio odebrał mu naparstek i odparł ze złością:

- Jeszcze sobie nawet na to nie zasłużyłeś! Przyznaj, że znowu niczego się nie dowiedziałeś!

Człowieczek skrzyżował ręce na piersiach.

- Tak sądzisz? - rzucił wyzywająco.

Fenoglio ogarnęła czarna rozpacz. I nawet nie mógł nim porządnie potrząsnąć z obawy, że złamie mu rękę albo skręci kark.

Z ponurą miną postawił z powrotem naparstek na stoliku, a skrzat zanurzył w nim paluszek i oblizał.

- Wykopał kolejny skarb - oznajmił z satysfakcją.

- Znowu? Do diabła, wydaje więcej srebra niż Szczapa!

Fenoglio nie mógł przeboleć, że to nie on wpadł na ten pomysł. Z drugiej strony... potrzebowałby lektora, żeby zamienić słowa na brzęczącą monetę, a nie był pewien, czy Meggie lub jej ojciec użyczyliby mu swego głosu do tak prozaicznych celów.

- Dobrze, wykopał skarb. Co dalej?

- Och, pisze różne rzeczy, ale zdaje się, że nie jest z tego zadowolony. Czy ci już opowiadałem, że teraz pracuje dla niego dwóch szklanych ludzików? Ten czwororęki, którym

tak się pysznił przed wszystkimi... - tu Kryształek zniżył głos, jakby wzdragał się przed wyznaniem czegoś tak okropnego - podobno ze złości cisnął nim o ścianę! Każdy w Ombrze słyszał już o tym, ale cóż, Orfeusz dobrze płaci... - Spojrzał z wyrzutem na Fenoglia, ale ten zignorował aluzję. - Teraz pracują dla niego ci dwaj bracia, Jaspis i Błyszczyk. Starszy to potwór! Wyobraź sobie...

- Dwaj? Po co Cielecej Głowie aż dwóch szklanych ludzików? Tak bez ceregieli używa sobie na mojej historii, że potrzebuje aż dwóch pomocników do przycinania piór?

Skręcało go ze złości. Ale przynajmniej jedna dobra wiadomość: czwororęki ludzik pożegnał się z życiem. Może Orfeusz wreszcie zrozumie, że jego twory nie są warte papieru, na którym powołuje je do życia.

- Dobrze. Jeszcze coś?

Kryształek milczał obrażony, skrzyżowawszy ręce na piersiach. Nie cierpiał, kiedy ktoś mu przerywał.

- Wielkie nieba, przestań się tak certolić! - ofuknął go Feno-glio, podsuwając mu bliżej naparstek z winem. - Co takiego pisze? Wymyśla nową egzotyczną zwierzynę łowną dla Szczapy? Pieski z różkami dla dworek? A może doszedł do wniosku, że w moim świecie brakuje nakrapianych karzełek?

Kryształek znów zanurzył palec w winie.

- Musisz mi kupić nowe spodnie - stwierdził. - Podarły mi się przy tych niedorzecznych wspinaczkach. Zresztą i tak były już całkiem wyświechtane. Ty możesz chodzić, w czym chcesz, ale ja nie po to żyję wśród ludzi, żeby być gorzej ubrany niż moi kuzyni w lesie.

Były dni, kiedy Fenoglio miał po prostu ochotę przełamać Kryształka na pół.

- Spodnie? A co mnie obchodzą twoje spodnie! - zawołał z gniewem.

Kryształek pociągnął z naparstka spory łyk - i wypluł wino pod nogi.

- To wino jest jak ocet! - wrzasnął. - To pó to narażam się na obrzucenie kośćmi? Po to czołgałem się po ptasich odchodach i potłuczonych dachówkach? Nie patrz na mnie z takim niedowierzaniem! Myślisz, że kłamię? Ten Błyszczyk rzucał we mnie kurzymi kośćmi, kiedy mnie przyłapał nad papierami Orfeusza! Próbował mnie nawet wyrzucić przez okno!

Westchnął ciężko i otarł szklane stopy zbrzyżane winem.

- No więc dobrze. Przeczytałem coś o dzikich świniach z rogami, ale było bardzo niewyraźnie napisane, potem coś o śpiewających rybach, ale zupełnie bez sensu, i o białych damach. Wygląda na to, że Podwójnooki nadal zbiera wszystko, cokolwiek waganci śpiewają na ich temat...

- Tak, tak, ale to wszyscy w Ombrze wiedzą! I po to tak długo wałęsałeś się po świecie?

Fenoglio w rozpaczę złapał się za głowę. To wino było naprawdę kiepskie. Zdawało mu się, że jego głowa z dnia na dzień waży coraz więcej. Niech to lichy.

Kryształek przełknął łyk wina, twarz mu się wykrzywiła.

„Szkłany głupiec! Rano znowu go będzie bolał żołądek” - myślał Fenoglio.

- Wszystko mi jedno, to mój ostatni raport! - oznajmił Kryształek, który zdążył już dostać czkawki. - Nigdy więcej nie będę szpiegował! W każdym razie dopóki ten Błyszczek tam pracuje. Jest silny jak kobold i podobno połamiał już ręce dwóm szklanym ludzikom!

- Dobrze już, dobrze. Jesteś beznadziejnym szpiegiem - mruczał Fenoglio, niepewnym krokiem kierując się w stronę łóżka. - Przyznaj, że wolisz się uganiać za szklanymi damulkami w uliczce szwaczek. Myślisz, że o tym nie wiem?

Stękając, rzucił się na słomiany siennik i zapatrzył w puste gniazda wrózek pod sufitem. Czy może być coś bardziej żalnego niż poeta, któremu słowa przestały być posłuszne? Czy może kogoś spotkać gorszy los, niż kiedy musi się bezsilnie przyglądać, jak ktoś inny przekręca jego słowa i zaśmieca świat przez niego stworzony bezsensownymi kolorowymi plamami? Nie ma już komnaty w zamku, nie ma skrzyni z wyszukаныmi ubraniami, nie niedowierzaniem! Myślisz, że kłamię? Ten Błyszczek rzucał we mnie kurzymi kośćmi, kiedy mnie przyłapał nad papierami Orfeusza! Próbował mnie nawet wyrzucić przez okno!

Westchnął ciężko i otarł szklane stopy zbryzgane winem.

- No więc dobrze. Przeczytałem coś o dzikich świniach z rogami, ale było bardzo niewyraźnie napisane, potem coś o śpiewających rybach, ale zupełnie bez sensu, i o białych damach. Wygląda na to, że Podwójnooki nadal zbiera wszystko, cokolwiek waganci śpiewają na ich temat...

- Tak, tak, ale to wszyscy w Ombrze wiedzą! I po to tak długo wałęsałeś się po świecie?

Fenoglio w rozpaczę złapał się za głowę. To wino było naprawdę kiepskie. Zdawało mu się, że jego głowa z dnia na dzień waży coraz więcej. Niech to lichy.

Kryształek przełknął łyk wina, twarz mu się wykrzywiła.

„Szkłany głupiec! Rano znowu go będzie bolał żołądek” - myślał Fenoglio.

- Wszystko mi jedno, to mój ostatni raport! - oznajmił Kryształek, który zdążył już dostać czkawki. - Nigdy więcej nie będę szpiegował! W każdym razie dopóki ten Błyszczek tam pracuje. Jest silny jak kobold i podobno połamiał już ręce dwóm szklanym ludzikom!

- Dobrze już, dobrze. Jesteś beznadziejnym szpiegiem - mruzczał Fenoglio, niepewnym krokiem kierując się w stronę łóżka. - Przyznaj, że wolisz się uganiać za szklanymi damulkami w uliczce szwaczek. Myślisz, że o tym nie wiem?

Stękając, rzucił się na słomiany siennik i zapatrzył w puste gniazda wrózek pod sufitem. Czy może być coś bardziej żalosego niż poeta, któremu słowa przestały być posłuszne? Czy może kogoś spotkać gorszy los, niż kiedy musi się bezsilnie przyglądać, jak ktoś inny przekręca jego słowa i zaśmiewa świat przez niego stworzony bezsensownymi kolorowymi plamami? Nie ma już komnaty w zamku, nie ma skrzyni z wyszukаныmi ubraniami, nie ma konia na usługi jaśnie pana poety nadwornego! Pozostała mu tylko izdebka na poddaszu domu Minerwy. I tak miał szczęście, że zechciała go przygarnąć po tym, jak jego słowa i pieśni walnie przyczyniły się do tego, że straciła męża, a jej dzieci - ojca. Przecież cała Ombra wiedziała, jaką rolę odegrał w nieszczęsnej wojnie Cosima. Fenoglio sam się dziwił, że wdowy jeszcze go nie wyciągnęły z łóżka i nie ukatrupiły. Musiały być zbyt zajęte ratowaniem siebie i dzieci od śmierci głodowej.

„A gdzie się, biedaku, podziejesz? - powiedziała po prostu Minerwa, gdy stanął w drzwiach. - Na zamku nie potrzebują teraz poety, będą śpiewać pieśni Piszczalki”.

Okazało się, że miała rację. Szczapa lubował się w krwawych wierszach Srebrnego Nosa. Sam zresztą próbował składać nieporadne rymy opiewające jego myśliwskie przygody.

Na szczęście Wiolanta jeszcze czasem po niego posyłała. Nie miała oczywiście pojęcia, że Fenoglio sprzedaje jej słowa ukradzione poetom innego świata, ale w końcu płaciła marnie. Córka Żmijogłowego była biedniejsza od dam dworu nowego namiestnika, Fenoglio musiał więc dorabiać na jarmarku jako skryba. Kryształek z satysfakcją rozgłaszał wszem wobec, jak to jego pan nisko upadł.

„Ale kto by tam słuchał ćwierkania szklanego skrzata? Niech sobie gada do woli ta przezroczyista pokraka!” - myślał mściwie Fenoglio.

Na darmo co wieczór Kryształek kładł mu na stole czysty arkusz pergaminu - poeta Fenoglio na zawsze pożegnał się ze słowami! Odtąd będzie zapisywał tylko słowa skradzione innym, nie licząc tej suchej, beznamiętnej paplaniny, której używa się w testamentach, umowach sprzedaży-kupna i temu podobnych błazeństwach. Czas słów żywych minął bezpowrotnie! Okazały się podstępne i zabójcze - krwiożercze atramentowe potwory sprowadzające na świat same nieszczęścia. Nie będzie im więcej pomagał w tym dziele zniszczenia. Widok ulic bez mężczyzn sprawiał, że musiał w winie topić bezbrzeżny smutek, jaki od śmierci Cosima odbierał mu ochotę do życia.

Młodziki bez śladu zarostu, trzęsący się starcy, kaleki i żebracy, wędrowni handlarze, którzy jeszcze nie wiedzieli, że w Ombrze nie uświadczą się miedziaka, albo robili interesy z krwiopicjami mieszkającymi na zamku - oto wszystko, co można było zobaczyć na ulicach niegdyś tętniących życiem. Były jeszcze kobiety z oczami czerwonymi i opuchłymi od płaczu, dzieci sieroty, ludzie z tamtej strony lasu ostrzący sobie zęby na młode wdowy lub opuszczony warsztat... i żołnierze. Zaiste, żołnierzy w Ombrze nie brakowało! Brali, co chcieli, dzień po dniu, noc po nocy. Żaden dom nie był przed nimi bezpieczny. Nazywali to odszkodowaniami wojennymi. I w gruncie rzeczy mieli rację, bo czyż to nie Cosi-mo był agresorem, jego najpiękniejszy, najbardziej niewinny twór (tak się przynajmniej Fenogliowi wydawało). A teraz leżał martwy w sarkofagu, który Tłusty Książę kazał sporządzić dla swojego syna, podczas gdy spoczywające tam wcześniej zwłoki ze spaloną, niemożliwą do rozpoznania twarzą (zapewne był to ten pierwszy, prawdziwy Cosimo) spoczęły na cmentarzu położonym na wzgórzu za miastem, pomiędzy poddanymi.

„Wcale nie najgorsze miejsce - myślał Fenoglio - w porównaniu z kamienną samotnią w podziemiach zamku”.

Co prawda Minerwa twierdziła, że Wiolanta codziennie odwiedzała sarkofag, oficjalnie po to, by opłakiwać zmarłego męża, a w rzeczywistości (jak szeptano po kątach) po to, by spotykać się ze swoimi szpiegami. Ludzie mówili, że Wiolanta nawet nie musi im płacić. Żywiółowa nienawiść do Szczapy sprawiała, że dziesiątkami oddawali się na jej usługi, nie oczekując w zamian żadnej nagrody. Nic dziwnego. Wystarczył sam widok tej kreatury, tego uperfumowanego kata wyglądającego jak zmokła kura, namiestnika z łaski krwiożerczego szwagra. Kurze jajo z domalowaną twarzą do złudzenia przypominałoby nowego pana Ombry.

„Ale to nie ja go wymyśliłem - dumiał Fenoglio. - To samowolny twór mojej opowieści!”.

Pierwszą urzędową czynnością nowego władcy było umieszczenie przy bramie miejskiej listy kar, jakie odtąd miały być w Ombrze stosowane. Lista opatrzona była obrazkami, aby także niepiśmienni wiedzieli, co ich czeka. Wydłubanie oka za to, obcięcie ręki za owo, chłosty, pręgierz, przypalanie ciała, oślepienie... Fenoglio za każdym razem odwracał głowę, mijając obwieszczenia, i zakrywał oczy dzieciom Minerwy (Iwo zawsze protestował przeciwko temu), gdy musiał udać się z nimi na rynek, gdzie wymierzano większość kar. Ale krzyki dręczonych i tak było słychać. Na szczęście w tym mieście bez mężczyzn pozostało niewielu kandydatów na skazańców. Mury miejskie opuściło też wiele

kobiet z dziećmi, udając się hen za Nieprzebyty Las, który już nie chronił Ombry przed księciem mieszkającym na jego drugim końcu - nieśmiertelnym Zmijo-głowym.

„Tak, Fenoglio, ten pomysł zrodził się niewątpliwie w twojej głowie - myślał pisarz. - Ale chodzą słuchy, że Srebrnego Księcia ta jego nieśmiertelność niespecjalnie cieszy...”.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Kto to mógł być? Do diabła, znowu o czymś zapomniał! Oczywiście! Gdzie ta przekłeta kartka, którą przyniosła mu w nocy wrona? Kryształek o mało nie umarł ze strachu, gdy przysiadła na krawędzi dymnika. Mortimer miał zamiar zjawić się w Ombrze! Właśnie dzisiaj! Ale przecież umówił się z nim przed bramą. Do licha, co za lekkomyślność! Na każdym rogu wisiały listy gończe za Sójką. Na szczęście wizerunek na obwieszczeniu w niczym nie przypominał Mortimera, ale mimo wszystko!

Pukanie się powtórzyło.

Kryształek zeszywniał, zapominając wyjąć palec z wina. Taki szklany ludzik nie nadawał się nawet do otwierania drzwi! Orfeusz na pewno nie musiał ich sam otwierać. Podobno jego nowy ochroniarz był tak wielki, że nie mieścił się w bramie miejskiej. Ochroniarz!

„Jeśli kiedykolwiek wrócę do pisania - myślał Fenoglio - stworzę sobie takiego olbrzyma, że Cielecej Głowie oczy wyjdą na wierzch ze zdumienia”.

Pukający wyraźnie się niecierpliwił.

- Dobrze, dobrze, już idę!

Szukając spodni, potknął się o pusty dzban po winie. Próbował niezdarnie trafić nogą w nogawkę. Cały był obolały. Przekłeta starość! Dlaczego nie napisał opowieści, w której ludzie są wiecznie młodzi?

„Bo to by było nudne - odpowiedział sam sobie, skacząc ku drzwiom na jednej nodze i próbując naciągnąć drugą nogawkę. - Śmiertelnie nudne”.

- Przepraszam cię, Mortimerze! - krzyknął. - Kryształek za późno mnie obudził!

Z tyłu za jego plecami rozległo się oburzone gderanie szklanego ludzika, ale głos za drzwiami nie należał do Mortimera, choć był równie melodyjny. Orfeusz! O wilku mowa! Czego on tu szukał? Chciał się poskarżyć, że Kryształek szpiegował w jego domu?

„Jeśli ktokolwiek ma tu powód do skarg, to tylko ja - pomyślał Fenoglio. - To jest w końcu moja opowieść, którą on plądruje i przekręca! Nędzna Cieleca Głowa, Księżyc w Pełni, Ropucha, Chłoptaś...”.

Fenoglio miał na podorędziu wiele epitetów pod adresem Orfeusza, co jeden, to bardziej zjadliwy.

Czy nie wystarczy, że bez przerwy nasyła na niego tego chłopaka? Musi go jeszcze osobiście niepokoić? Znowu będzie mu zadawał tysiące głupich pytań.

„Sam jesteś sobie winien, Fenoglio!” - strofował się w myślach.

Ileż to razy przeklinał samego siebie za te słowa, które na usilną prośbę Meggie napisał wtedy w tej opuszczonej kopalni:

Wezwał więc na pomoc innego, młodszego, imieniem Orfeusz, który biegle obchodził się z literami, choć nie tak po mistrzowsku jak Fenoglio, i postanowił przekazać mu swoją sztukę, jak czyni to każdy mistrz. Chciał, by Orfeusz przez czas jakiś zamiast niego zabawiał się słowami - uwodził i kłamał, tworzył i niweczył, wypędzał i sprowadzał - Fenoglio zaś poczeka, aż minie mu zmęczenie, aż znów poczuje ochotę parania się literami. Wówczas odeśle Orfeusza do świata, z którego go wezwał, sam zaś wleje w swoją historię nowe życie, używając jej świeżych, nieużytych słów.

- Powiniennem go natychmiast odesłać! - warknął, odtrącając nogą pusty dzban. - Wypisać stąd na zawsze!

- Wypisać? Czy dobrze słyszę, że mowa jest o pisaniu? - zakpił za jego plecami Kryształek.

Fenoglio obejrzał się. Ludzik odzyskał tymczasem swój zwykły kolor. Fenoglio rzucił w niego skórką chleba, ale chybił sromotnie, na co skrzat westchnął z politowaniem.

- Fenoglio? Fenoglio, wiem, że tam jesteś! Otwórz drzwi. Boże, jak on nienawidził tego głosu! Ten człowiek zasiewał słowa w jego historii niczym chwasty. Jego własne słowa!

- Nie, nie ma mnie! - mruknął Fenoglio. - W każdym razie nie dla ciebie, Cieleca Głowo.

„Fenoglio, czy śmierć jest mężczyzną, czy kobietą? Czy białe damy były niegdyś ludźmi? Fenoglio, jak mam sprowadzić Smo-lipalucha, skoro nie chcesz mi zdradzić najprostszych reguł, jakimi rządzi się ten świat?”.

Do diabła, kto go prosił, żeby sprowadzał Smolipalucha? Przecież już by dawno nie żył, gdyby wszystko szło tak, jak było napisane w książce. A co się tyczy „najprostszych reguł”... od kiedy to życie i śmierć rządziły się prostymi regułami? Skąd, u kata (a tych było w Ombrze co niemiara), miał wiedzieć, jak to funkcjonuje w tej czy w innej historii? Nigdy nie zastanawiał się nad śmiercią ani nad tym, co dzieje się z człowiekiem po śmierci.

- Oczywiście, że jest w domu. Fenoglio!

To był głos Minerwy. Do licha, Cieleca Głowa wezwał ją na pomoc. Sprytne! Co jak co, ale głupi to on nie był.

Fenoglio ukrył pod ławą puste dzbany, włożył drugą nogę w spodnie i odciągnął zasuwę.

- No proszę! - rzekła Minerwa, lustrując go krytycznym spojrzeniem od gołych stóp po zmierzwioną siwą czuprynę. - Powiedziałam twojemu gościowi, że jesteś w domu.

Była bardzo smutna i padała ze zmęczenia. Pracowała na zamku jako kucharka, Fenoglio poprosił Wioletę, żeby ją tam umieściła. Ale Szczapa uwielbiał nocne uczty i często Minerwa wracała do domu o świcie. Kiedyś pewnie umrze z wycieńczenia i zmęczenia i osieroci dzieci. Cóż za nędza! Co zostało z jego cudownej Ombry!

- Witaj, Fenoglio - odezwał się Orfeusz, wysuwając się zza pleców Minerwy.

Na jego wargach jak zawsze igrał niewinny uśmiezek, którym pokrywał nieczne zamiary. A w rękach oczywiście miał karteczki, na których notował pytania. Czym on płacił za te wytworne stroje? Fenoglio nie nosił takich sukien nawet w swoich najlepszych czasach, gdy był nadwornym poetą.

„Zapomniałeś o skarbach?” - przeleciało mu przez głowę.

Minerwa bez słowa zeszła na dół po stromych drewnianych schodach, a do izby wszedł zwalisty mężczyzna, który mimo pochylonej głowy z trudem przecisnął się przez wąskie i niskie drzwi.

„Aha, to ten słynny ochroniarz” - pomyślał Fenoglio.

W ciasnej izbie zrobiło się jeszcze ciasniej. Za to Farid wciąż nie zabierał zbyt wiele miejsca, chociaż odegrał już w tej historii niepoślednią rolę. Anioł śmierci... Wsunął się za swoim panem tak nieśmiało, jakby wstydził się jego towarzystwa.

- A więc, Fenoglio, z przykrością muszę stwierdzić - zaczął Orfeusz, lecz jego zarozumiała mina przeczyła jego słowom - że odkryłem w twojej historii kolejne niedorzeczności.

Niedorzeczności!

- Posłałem do ciebie Farida ze stosownymi pytaniami, ale udzieliłeś mi bardzo dziwnych odpowiedzi. - Tu Orfeusz z ważną miną poprawił okulary i wyciągnął spod drogiego jedwabnego płaszcza książkę. Tak, Cieleca Głowa przyniósł książkę Fenoglia do świata, o którym ta książka opowiadała: Atramentowe serce, ostatni istniejący egzemplarz! Ale czy oddał ją jej autorowi? Gdzie tam! - Przykro mi, Fenoglio - oznajmił zaraz na początku z tym swoim zarozumiałym uśmiechem (szybko pozbył się maski posłusznego ucznia) - ale ta książka należy do mnie. Chyba nie myślisz poważnie, że autor jest naturalnym właścicielem każdego egzemplarza książki, którą napisał?

Nadęty smyk z twarzą jak księżyc w pełni! Jak on rozmawiał z nim, Fenogliem - twórcą tego wszystkiego, co go otaczało, nawet powietrza, którym oddychał! A teraz ma jeszcze czelność przychodzić do niego z takimi insynuacjami!

- Znowu chcesz się czegoś dowiedzieć ode mnie na temat śmierci? - spytał, wsuwając stopy w zniszczone buty. - Po co? Żebyś mógł nadal wmawiać temu biednemu chłopakowi, że potrafisz odebrać Smolipalucha białym damom? A wszystko po to tylko, żeby cię mógł dalej obsługiwać.

Farid zacisnął wargi. Kuna Smolipalucha siedząca na jego ramieniu otworzyła oczy. A może to była inna kuna?

- Co ty znowu za głupstwa opowiadasz! - zdenerwował się Orfeusz (nie trzeba było wiele, żeby go obrazić). - Czy ja wyglądam na kogoś, kogo nie stać na służących? Mam sześć posługa-czek, ochroniarza, kucharkę i tego chłopaka. I w każdej chwili mogę wynająć kolejnych służących, jeśli będę potrzebował. Wiesz bardzo dobrze, dlaczego chcę sprowadzić Smolipalucha. Wcale nie dla Farida. Po prostu jego miejsce jest w tej historii. Bez niego traci połowę wartości, jak kwiat bez płatków czy niebo bez gwiazd...

- ...jak las bez drzew...

Orfeusz splonął rumieńcem. Fenoglio lubił go peszyć, to była jedna z niewielu przyjemności, jakie mu pozostały.

- Jesteś pijany, starcze! - fuknął Orfeusz, a potrafił być nieprzyjemny.

- Pijany czy trzeźwy znam się na słowach sto razy lepiej niż ty. Ty handlujesz używanym towarem. Prujesz to, co znajdziesz, żeby udziergać inną rzecz, tak jakby opowieść była parą starych skarpetek! Więc przestań mi opowiadać, jaka jest rola Smolipalucha w tej historii. Bądź łaskaw sobie przypomnieć, że uśmierciłem go na długo przedtem, nim zdecydował się odejść z białymi damami. A ty masz czelność nachodzić mnie i pouczać na temat mojej własnej opowieści! Popatrz lepiej na to! - zawołał Fenoglio, wskazując gniazdo wrózek mieniące się barwami tęczy. - Kolorowe wróżki! Od kiedy zbudowały to ohydne gniazdo nad moją głową, nie ma nocy, żeby mi się nie śniły koszmary. A poza tym kradną błękitnym zapasy!

- No to co! - wzruszył tłustymi ramionami Orfeusz. - Ale musisz przyznać, że wyglądają ładnie. Wydawało mi się to po prostu nudne, że wszystkie są błękitne.

- Wydawało ci się! - wrzasnął Fenoglio tak głośno, że jedna z tęczyowych wrózek przestała trąkotać i zdziwiona wychyliła się z gniazda. - W takim razie napisz sobie własny świat! Bo ten jest mój, zrozumiano? Mój! I nie życzę sobie, żebyś odstawiał w nim fuszerkę!

Przyznaję, że popełniłem kilka błędów w życiu, ale największym błędem było sprowadzenie tutaj ciebie.

Orfeusz ze znudzoną miną oglądał swoje poobgryzane paznokcie.

- Nie mogę już tego dłużej słuchać! - wyrzekł groźnym szeptem. - Tych wszystkich bredni: ty mnie sprowadziłeś swoimi słowami, ona mnie sprowadziła swoim czytaniem... Tak się składa, że jestem teraz jedynym człowiekiem, który tu pisze i czyta. Ciebie słowa już dawno przestały słuchać, starcze, i dobrze o tym wiesz!

- Ale kiedyś zaczną mnie znów słuchać! A wówczas pierwsze, co napiszę, to będzie bilet powrotny dla ciebie!

- Co ty nie powiesz? A ciekaw jestem, kto przeczyta te twoje wspaniałe słowa? O ile wiem, potrzebujesz lektora, w przeciwieństwie do mnie.

- No i co z tego? - zawołał poiryutowany Fenoglio, zbliżając się do Orfeusza i mrugając swoimi oczami dalekowiedza. - Poproszę Mortimera! Nie na darmo nazywają go Czarodziejskim Językiem, chociaż obecnie nosi nieco inne imię. Zapytaj chłopaka! Bez Mortimera nadal tkwiłby na pustyni i zgarniał łajno wielbłądzie.

- Mortimer! - fuknął Orfeusz, z trudem przywołując na usta pogardliwy uśmiech. - Czy już tak głęboko schowałeś głowę do dzbana z winem, że nie wiesz, co się dzieje w twoim świecie? Mortimer już nie jest lektorem. Nasz introligator woli teraz bawić się w zbójcę, odgrywa rolę, którą mu skroiliśmy na miarę.

Z gardła ochroniarza wydobył się nieokreślony charkot, zapewne miał to być śmiech. Co za obrzydliwy typ, czy to on go stworzył, czy Orfeusz? Przez chwilę Fenoglio patrzył zirytowany na zwalistą postać Ossa, po czym znowu zwrócił się do Orfeusza:

- Mylisz się, nie skroiliśmy mu jej na miarę! Było dokładnie odwrotnie: to Mortimer był modelem do roli Sójki... O ile wiem, odgrywa tę rolę znakomicie. Z tego jednak wcale nie wynika, że Sójka nie ma już czarodziejskiego języka. Nie mówiąc już o jego utalentowanej córeczce.

Orfeusz znów przyglądał się swoim paznokciom, podczas gdy jego ochroniarz pochłaniał resztę śniadania Fenoglia.

- Naprawdę? - rzekł od niechcienia. - I wiesz, gdzie on się teraz znajduje?

- Jasne! Przychodzi... - Fenoglio zamilkł, gdyż chłopiec podskoczył do niego i zatkał mu usta ręką. Dlaczego ciągle zapomina jego imię?

„Skleroza, Fenoglio, skleroza...” - skarcił się w myśli.

- Nikt nie wie, gdzie jest Sójka! - zawołał Farid, a w jego czarnych oczach malował się niemy wyrzut. - Nikt!

Oczywiście. Po trzykroć przeklęty zapijaczony dureń! Jak mógł zapomnieć, że Orfeusz zieleniał z zazdrości na najlżejszą wzmiankę o Mortimerze, a w dodatku był też stałym gościem Szczapy? Poniewczasie miał ochotę odgryźć sobie język.

Za to Orfeusz promieniał.

- Nie rób takiej przerażonej miny, starcze! A więc Mortimer przychodzi do ciebie. Co za zuchwalstwo. Może chce dowieść prawdy słów pieśni o jego niezwykłej odwadze, zanim go powieszają? Bo tak właśnie skończy, jak wszyscy bohaterowie. Obaj doskonale o tym wiemy. Ale nie martw się, nie mam zamiaru posyłać go na szubienicę. Zrobią to za mnie inni. Ja chcę z nim tylko porozmawiać o białych damach. Niewielu jest takich, co przeżyli spotkanie z nimi, dlatego naprawdę chętnie pogadałbym z nim na ten temat. Ludzie opowiadają sobie niestworzone rzeczy o tych, którym udało się wyrwać z ich objęć.

- Powiem mu, gdybym go przypadkiem spotkał - burknął Fenoglio. - Ale nie wyobrażam sobie, żeby zechciał gadać z tobą. W końcu nie poznałby się z białymi damami, gdybyś go tu nie sprowadził na rozkaz Mortoli. Kryształek! - zawołał na skrzata, idąc ku drzwiom z największą godnością, na jaką pozwalały mu wykoślawione buty. - Mam kilka sprawunków do załatwienia na mieście. Pożegnaj gości, tylko trzymaj się z daleka od kuny.

Fenoglio rzucił się w dół po schodach nieledwie z takim pośpiechem, jak wtedy gdy odwiedził go Basta. Mortimer na pewno już czeka pod bramą! Co będzie, jeśli Orfeusz zobaczy, że Mortimer udaje się na zamek, i doniesie o wszystkim Szczapie?

W połowie schodów dopędził go chłopiec. Farid, właśnie, tak miał na imię. Skleroza.

- Czy Czarodziejski Język naprawdę przychodzi do Ombry? - szepnął, z ogromnym trudem łapiąc oddech. - Nie martw się,

Orfeusz go nie zdradzi. Jeszcze nie teraz! Czy będzie z nim Meggie?

- Farid! - zabrzmiał władczy głos Orfeusza patrzącego na nich z góry, jakby był królem tego świata. - Jeśli ten stary dureń nie przekaze Mortimerowi wiadomości, ty mu powiedz, zrozumiano?

Fenoglio nie posiadał się z oburzenia.

„Stary dureń!» - myślał ze złością. - O, bogowie słów, zwróćcie mi je wreszcie, abym mógł usunąć tę Cielecą Głowę z mojej historii!”

Chciał dać Orfeuszowi ciętą odpowiedź, ale język odmówił mu posłuszeństwa, a Farid niecierpliwie pociągnął go za sobą.

Rozdział 6

Smutek Ombry

Dworzanie nazywali mnie szczęśliwym księciem. i byłem rzeczywiście szczęśliwy, jeśli przyjemności oznaczają szczęście. Tak żyłem i tak też umarłem. Ale po śmierci ustawiono mnie tutaj, skąd widać całą brzydotę i nędzę mojego miasta, i chociaż moje serce jest z ołowiu, trudno mi nie płakać.

Oscar Wilde, Szczęśliwy książę

Meggie wiedziała od Farida, jak trudno jest teraz dostać się do Ombry, i powtórzyła wszystko dokładnie Mo.

- Strażnicy przy bramie to już nie są niewinni głupcy, jak dawniej. Kiedy cię zapytają, czego szukasz w Ombrze, lepiej, żebyś miał przygotowaną składną odpowiedź. Czegokolwiek od ciebie zażądata, okaż pokorę i posłuszeństwo. Rzadko kogo rewidują dokładnie. Czasem można mieć szczęście i przepuszczają cię w ogóle bez zatrzymywania.

Ale nie mieli szczęścia. Strażnicy zatrzymali ich, a Meggie miała ochotę zawrócić Mo, kiedy jeden z nich kazał mu zsiąść z konia i opryskliwym tonem zażądał okazania dowodów jego rzemiosła. Podczas gdy strażnik oglądał książkę z rysunkami jej matki, Meggie myślała gorączkowo, czy widziała już może tę ledwie widoczną spod hełmu twarz w Mrocznym Zamku i czy strażnik znajdzie nóż ukryty w szerokim pasie, który miał na sobie Mo. Nikomu w Ombrze nie wolno było nosić broni prócz okupantów. Ale Baptysta tak zręcznie ukrył schowek, że nawet nieufne ręce żołnierza nie wymacały noża.

Meggie była zadowolona, że Mo ma przy sobie nóż, gdy wreszcie minęli bramę z ciężkimi żelaznymi okuciami, schylając głowy pod pikami strażników, i wjechali do miasta, które teraz należało do Zmijogłowego.

Nie była w Ombrze od tamtego czasu, kiedy wraz ze Smoli-paluchem wyruszyła do Tajnego Obozu wagantów. Pamiętała, choć zdawało jej się, że było to całe wieki temu, jak biegła uliczkami miasta, ściskając w ręce list Resy z wiadomością, że Mortola strzelała do jej ojca. Na chwilę przycisnęła twarz do pleców Mo, szczęśliwa, że znowu był z nią, cały i zdrowy, i że wreszcie będzie mogła mu pokazać to, o czym mu tyle razy opowiadała: pracownię Balbulusa i książki Tłustego Księcia. Na jedną cudowną chwilę zapomniała o lęku i zdawało jej się, że cały Atramentowy Świat należy tylko do niego i do niej.

Ombra podobała się Mo. Meggie wyczytała to z jego twarzy, poznała po sposobie, w jaki co chwila powściągał konia, uważnie przyglądając się każdej uliczce. Choć trudno było nie dostrzec śladów okupacji, dawna Ombra żyła nadal we wszystkim, co wyszło spod ręki kamieniarzy i zdobiło bramy, kolumny, łuki okien. Ich dzieł nie dało się zrabować, wyrwane

z murów byłyby warte niewiele więcej niż bruk uliczny. Tak więc nadal kamienne kwiaty rozkwitały pod oknami i balkonami, ich girlandy oplatały kolumny i gzymsy frontonów, z szarego piaskowca murów wychylały się groteskowo wykrzywione twarze pokazujące języki i płaczące kamiennymi łzami. Najeźdźcy nie oszczędzili tylko herbu Tłustego Księcia - na potrzaskanych kamiennych wizerunkach jedynie po resztkach grzywy można było jeszcze rozpoznać lwa.

- Ta uliczka po prawej prowadzi na rynek - szepnęła Meggie, a Mo tylko skinął głowę jak we śnie.

Pewnie słyszał w duchu słowa, które niegdyś pozwoliły mu wyobrazić sobie to, co teraz widział na własne oczy. Meggie znała Atramentowy Świat wyłącznie z opowieści mamy, ale Mo czytał książkę Fenoglia po wielokroć, tyle razy, ile razy próbował pośród słów odnaleźć Resę.

- Czy Ombra wygląda tak, jak ją sobie wyobrażałeś? - spytała cicho Meggie.

- Tak - odparł szeptem Mo. - A właściwie i tak, i nie.

Na rynku kłębiły się tłumy, jakby w mieście nadal panował poczciwy Tłusty Książę, tyle że prawie nie widać było mężczyzn. Za to pojawili się kuglarze. Szwagier Zmijogłowego pozwolił im występować w murach miasta, ale podobno tylko tym, którzy zgodzili się dla niego szpiegować.

Mo ściągnął konia, omijając grupkę dzieci tłoczących się na małym placu. Dzieci było w Ombrze co niemiara, choć ich ojcowie poginęli.

Ponad głowami malców Meggie dostrzegła wirujące zapalone pochodnie, dwie, trzy, cztery, sypały skry gasnące w chłodnym powietrzu. „Farid?” - przemknęło jej przez myśl, chociaż wiedziała, że Farid po śmierci Smolipalucha stronił od pokazów. Dopiero gdy Mo naciągnął kaptur na głowę, spojrzała uważniej i zobaczyła dobrze znaną naoliwioną twarz z wiecznie przyklejonym sztucznym uśmiechem. Kopec!

Meggie kurczowo wczepiła się w płaszcz ojca, ale Mo jechał spokojnie dalej, jakby tuż obok wcale nie znajdował się ten, który go zdradził. Zginęło wtedy kilkunastu wagantów, tylko dlatego, że Kopec znał położenie Tajnego Obozu, i niewiele brakowało, by Mo znalazł się pośród ofiar. Wszyscy w mieście wiedzieli, że Kopec czuł się w Mrocznym Zamku jak u siebie w domu, że Piszczalka sownie wynagrodził mu w srebrze tę podłą zdradę, a teraz Kopec zwąchał się ze Szczapą. I ten oto człowiek stał sobie spokojnie na rynku Ombrzy, uśmiechnięty i zadowolony, gdyż pozbył się konkurencji, od kiedy umarł Smolipaluch, a Farid stracił ochotę do występów. Zaiste - Ombra miała nowych panów! A najlepszym tego dowodem była sztucznie uśmiechnięta nieruchoma twarz Kopcia. Chodziły słuchy, że to

alchemicy Zmijogłowego zdradzili Kopciowi sekrety sztuki obchodzenia się z ogniem, ale był to mroczny ogień, podstępny i zabójczy, jak ten proszek, którym Kopeć go pętał, gdyż inaczej nie chciał mu być posłuszny. Siłacz opowiadał Meggie, że dym omamiał zmysły widzów, tak ii zdawało im się, że mają do czynienia z największym na świecie połykaczem ognia.

Niezależnie od tego, ile w tych opowieściach było prawdy, dzieci oklaskiwały Kopcia, choć nawet w połowie nie podrzucał pochodni tak wysoko jak Smolipaluch i Farid, dzięki temu zapominały bowiem na chwilę o smutnych matkach i obowiązkach czekających w domu.

- Mo, proszę! - szepnęła Meggie, odwracając szybko głowę, gdy Kopeć spojrział w ich kierunku. - Zawróćmy, on może cię rozpoznać!

Zamkną bramy. Będą ich ścigać po uliczkach jak szczury, póki nie wpadną w pułapkę...

Ale Mo tylko lekko potrząsnął głową i osadził konia za którymś ze straganów.

- Nie ma obawy, Kopeć jest zbyt zajęty odpędzaniem ognia od swojej urodziwej twarzy! - szepnął do niej. - Ale lepiej zsiądźmy z konia. Na piechotę będziemy się mniej rzucać w oczy.

Trzymany za uzdę koń spłoszył się, gdy weszli w gęsty tłum, ale Mo uspokoił go kilkoma łagodnymi słowami. Pośród straganów Meggie dostrzegła zonglera, który niegdyś należał do drużyny Czarnego Księcia. Wielu waganów zmieniło pana, od kiedy Szczapa zaczął napełniać ich kieszenie srebrem. Nie były to dla nich złe czasy, a i handlarze nie mogli narzekać na swój los. Wprawdzie kobiet Ombry nie stać było na kupno towarów piętrzących się na straganach, ale za to Szczapa i jego kompani nabywali wszystko dzięki zasobom wyciśniętym z Ombry: klejnoty, broń, egzotyczne przysmaki, których nazw pewnie sam Fenoglio nie pamiętał. Nawet konie można tu było kupić... A Mo chłonał oczami to barwne widowisko, nie zważając na obecność Kopcia.

Zdawało się, że pragnie zapamiętać każdą ujrzaną twarz, każdy towar oferowany przez kupców. W końcu jednak jego wzrok spoczął na wieżach sterczących wysoko ponad dachami domów, a w Meggie zamarło serce. Mo był zdecydowany udać się na zamek i teraz Meggie przeklinała siebie za to, że mu tyle opowiadała o Balbulusie i jego sztuce.

Wstrzymała oddech na widok listu gończego za Sójką, ale Mo spojrział z rozbawieniem na plakat i przejechał dłonią po swoich czarnych włosach, które strzygł teraz krótko, na chłopską modłę. Może myślał, że jego beztroska uspokoi Meggie, ale skutek był wręcz przeciwny. Meggie przestraszyła się. Kiedy się tak zachowywał, był dla niej Sójką, obcym człowiekiem z twarzą jej ojca.

Co będzie, jeśli przypadkiem spotkają żołnierza, który ich pilnował w Mrocznym Zamku? Czy ten tam nie przygląda im się podejrzliwie? A tamta wagantka? Przypomina jedną z kobiet, które opuściły wraz z nimi Mroczny Zamek.

„Idź dalej, Mo!” - błagała w myślach.

Miała ochotę pociągnąć go w jakąś boczną uliczkę, ukryć w bramie przed tymi natrętnymi oczami. Dwójka malców uczepliła się jej spódnicy, nadstawiając ręce po datek. Meggie uśmiechnęła się do nich bezradnie, nie miała ani grosza. Dzieciaki były strasznie wynędzniałe. Przez tłum precyzyjnie się żołnierz i brutalnie odepchnął żebrzące dzieci.

„Ach, gdybyśmy już byli w pracowni Balbulusa!” - pomyślała Meggie i wpadła na Mo, który nagle stanął jak wryty.

Obok straganu balwierza, który z pomocą dwu kuglarzy na cały głos zachwalał swoje cudowne leki, stał pręgierz otoczony wianuszkami wyrostków. Kobieta stojąca pod pręgierzem, której tylko głowa i ręce wystawały z drewnianych otworów, była sztywna i bezradna jak lalka. Jej twarz i ręce oblepione były zgniłymi warzywami i owocami oraz wszelkimi nieczystościami, jakimi obrzucali ją bezlitośnie małe dzieci.

Meggie już kiedyś, w towarzystwie Fenoglia, widziała podobną scenę, ale Mo był tak wstrząśnięty, jakby zupełnie zapomniał, po co przyszedł do Ombry. Pobladł prawie tak jak ta kobieta, na której twarzy łyzy mieszały się z nieczystościami, i Meggie pomyślała, że za chwilę dobiedzie noża ukrytego za pazuchą.

- Mo! - zawołała i chwytając go za połę płaszcza, odciągnęła szybko od pręgierza, bo dzieciaki zaczynały się już na niego oglądać, i skierowała w uliczkę prowadzącą do zamku.

- Widziałeś już takie rzeczy? - spytał ojciec, patrząc na nią takim wzrokiem, jakby nie mógł uwierzyć, że ta scena nią nie wstrząsnęła.

Meggie ogarnął wstyd.

- Tak - przyznała zakłopotana. - Kilka razy. Pręgierz istniał już za czasów Tłustego Księcia.

Mo wciąż patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Tylko nie próbuj mnie przekonywać, że można się przyzwyczaić do tego widoku.

Meggie spuściła głowę. Owszem, można.

Mo wciągnął głęboko powietrze w piersi, jakby na widok cierpiącej kobiety wstrzymał oddech, i w milczeniu ruszył przed siebie. Nie odezwał się już ani słowem, dopóki nie stanęli na placu przed zamkiem.

Obok bramy zamkowej znajdował się kolejny pręgierz. Gołe ręce wyrostka sterczące z otworów obsiadły ogniste elfy. Mo podał Meggie cugle i zanim zdążyła go zatrzymać,

podszedł zdecydowanym krokiem do pręgierza. Nie zwracając uwagi na strażników przy bramie ani na przechodzącą obok kobietę, która z przerażeniem odwróciła głowę, odpędził elfy z wychudzonych rąk chłopca. Wyrostek spojrzał na niego zaskoczony. Na jego twarzy malował się wyraz lęku i wstydu. Meggie przypomniała sobie historię, którą jej kiedyś opowiedział Farid, o tym, że Smolipaluch i Czarny Książę ramię w ramię stali pod pręgierzem, kiedy byli tak mali jak ten chłopiec, który z takim niedowierzaniem patrzył teraz na swojego dobroczyńcę.

- Mortimer!

Meggie dopiero po dłuższej chwili poznała mężczyznę, który odciągnął Mo od pręgierza. Siwe włosy sięgały Fenogliowi prawie do pasa, miał podkrążone oczy i kilkudniowy zarost. Uderzyło ją, jak staro wygląda. Nigdy nie myślała o tym, ale teraz nagle zdała sobie sprawę z jego wieku.

- Czyś ty zwariował? - strofował jej ojca przyciszonym głosem. - Cześć, Meggie - rzucił jej na powitanie.

Meggie poczuła, że się rumieni, gdy za plecami pisarza ujrzała Farida. Farid.

„Zachowaj dystans! - nakazała sobie, ale już na jej wargach wykwitł radosny uśmiech. - Nie uśmiechaj się!”. Ale jak tu się nie uśmiechać, kiedy tak cudownie jest widzieć jego twarz? Skoczek siedzący na ramieniu Farida otworzył oczy i na jej widok machnął ospale ogonem.

- Cześć, Meggie! Co u ciebie słychać? - powitał ją Farid, głaszcząc z zakłopotaniem puszysty ogon Skoczka.

Dwanaście dni. Dwanaście długich dni nie dawał znaku życia. Obiecała sobie solennie, że nie odezwie się do niego ani słowem, kiedy go zobaczy. Ale nie potrafiła się na niego gniewać. Był wciąż tak przeraźliwie smutny. Nie miał już jak dawniej roześmianej twarzy, do której przywykła tak jak do jego czarnych oczu. Uśmiechnął się do niej, ale był to zaledwie cień dawnego uśmiechu.

- Bardzo chciałem cię wcześniej odwiedzić, ale Orfeusz mnie nie puszczał! - usprawiedliwiał się Farid, ale myślami był przy Czarodziejskim Języku, którego pożerał wzrokiem.

Fenoglio pociągnął Mo za sobą na bezpieczną odległość od pręgierza i strażników. Meggie ruszyła za nimi. Koń się płoszył, ale Farid go uspokoił; Smolipaluch nauczył go rozmawiać ze zwierzętami. Szedł obok Meggie, prawie się o nią ocierając, lecz myślami był gdzie indziej.

- Co to miało znaczyć? - mówił Fenoglio, przytrzymując Mo, jakby się obawiał, że ten wróci do pręgierza. - Chcesz, żeby strażnicy twoją głowę też wsadzili w coś takiego? Ba, z pewnością by ją od razu nadziali na spisę!

- To były ogniste elfy, Fenoglio, spaliłyby mu skórę - odparł Mo głosem ochryłym z gniewu.

- Mnie tego nie musisz mówić, sam wymyśliłem te szkarady. Chłopakowi nic nie będzie. Zresztą to pewnie złodziej i nic mnie on nie obchodzi.

Mo uwolnił się z uścisku Fenogli i raptownie odwrócił się do niego plecami, jakby musiał się powstrzymać, by go nie uderzyć. Mierzył oczami strażę i ich uzbrojenie, mury zamkowe i pręgierz, jak gdyby szukał sposobu usunięcia ich wszystkich z jego świata.

„Nie przyglądaj się strażnikom, Mo!” - myślała Meggie. To była pierwsza rzecz, jaką Fenoglio wbił jej do głowy: nie patrz w oczy żołnierzom, szlachcicom, nikomu, kto ma prawo do noszenia broni.

- Czy mam im popsuć apetyt na skórę tego chłopca, Czarodziejski Języku? - spytał Farid, stając między Fenogliem a Mo.

Skoczek fuknął na starego człowieka, jakby widział w nim przyczynę wszelkiego zła tego świata, a Farid, nie czekając na zgodę Mo, podbiegł do pręgierza. Ogniste elfy znowu obsiadły obnażone ramiona chłopca. Farid strzelił palcami, posypały się skry i elfy z przypalonymi skrzydełkami, furkocząc wściekle, odleciały w popłochu. Jeden ze strażników chwycił za pikę, lecz nim zdążył postąpić krok, Farid wyciągnął rękę, rysując ogniem na murze bazyliuszka, skłonił się przed strażnikami, którzy z niedowierzaniem wpatrywali się w płonący znak herbowy ich pana - i spokojnie wrócił do Mo.

- Niepotrzebne zuchwalstwo, mój drogi! - warknął Fenoglio z dezaprobatą, ale Farid nie zwrócił na niego uwagi.

- Dlaczego tu przyszedłeś, Czarodziejski Języku? - spytał, zniżając głos. - To niebezpieczne!

Ale oczy mu błyszczały, gdy to mówił. Bo Farid kochał niebezpieczeństwo i kochał Mo za to, że był Sójką.

- Chcę obejrzeć parę książek.

- Książek? - powtórzył Farid, a minę miał tak zbaraniałą, że Mo uśmiechnął się mimo woli.

- Tak, książek. Niezwykłych książek.

Mo spojrział w górę na najwyższą wieżę zamkową. Meggie opisała mu dokładnie, gdzie może znaleźć Balbulusa.

- Co porabia Orfeusz? - zagadnął, przyglądając się strażnikom, którzy właśnie przeszukiwali dostawę rzeźnika, jakby nie bardzo wiedzieli, po co to robią. - Słyszałem, że bez przerwy się bogaci.

- To prawda!

Farid ostrożnie pogłaskał Meggie po plecach. W obecności Mo starał się zachowywać powściągliwie. Czuł ogromny respekt przed ojcami. Jednak Mo z pewnością zauważył, że Meggie się zarumieniła.

- O tak, bogaci się, ale dla Smolipalucha nie zdołał jeszcze niczego wymyślić! Myśli tylko o skarbach i o tym, co może sprzedać Szczapie: dzikie świny z rogami, złote pieski miniaturki, pajęczce motyle, liściowi ludzie i inne rzeczy, jakie mu tylko przyjdą do głowy.

- Pajęczce motyle, liściowi ludzie? - zaniepokoił się Fenoglio, ale Farid nie zważał na niego.

- Orfeusz chce z tobą porozmawiać! - szepnął do Mo. - O białych damach. Proszę, spotkaj się z nim! Może wiesz coś, co mu pomoże sprowadzić Smolipalucha!

Mo spojrział na niego z litością. Meggie wiedziała, że ojciec, tak samo jak ona, nie wierzył w powrót Smolipalucha.

- Bzdura - powiedział Mo, odruchowo kładąc rękę na piersi, gdzie zraniła go Mortola.

- Nic nie wiem. Nic, czego nie wiedzieliby także inni.

Strażnicy przepuścili rzeźnika, a jeden z nich znów zaczął się przyglądać Mo. Na murze nadal płonął wizerunek bazyliuszka. Mo odwrócił się plecami do żołnierzy.

- Posłuchaj! - szepnął do Meggie. - Źle zrobiłem, że cię zabrałem ze sobą. Myślę, że powinnaś zostać z Faridem, a ja pójdę sam do Balbulusa. Niech Farid zaprowadzi cię do Roksany, potem przyjdę tam po was.

- Idź, idź, będę na nią uważał - powiedział skwapliwie Farid, kładąc Meggie dłoń na ramieniu.

Ale Meggie niecierpliwie strąciła jego rękę. Nie podobało jej się, że Mo chce iść sam na zamek, chociaż miała wielką ochotę zostać z Faridem. Tyle dni go nie widziała!

- Wcale nie musisz na mnie uważać! - zawołała ostrzej, niż zamierzała.

Była zakochana i czuła się z tym głupio.

- Meggie ma rację, nie trzeba na nią uważać - powiedział Mo, delikatnie wyjmując córcę wodze z ręki. - Jak się nad tym dobrze zastanowić, to częściej ona uważała na mnie niż ja na nią. Wkrótce wrócę - uspokoił ją. - Obiecuję. I ani słowa mamie. - Meggie w milczeniu

skieła głową. - Nie rób takiej zmartwionej miny - szepnął do niej tonem spiskowca. - Pieśni mówią, że Sójka nie rozstaje się ze swoją piękną córeczką. Bez ciebie nie będę się tak rzucał w oczy.

- Tak, ale pieśni kłamią - odszepnęła Meggie. - On nie ma córki. Sójka nie jest ojcem, tylko zbójcą.

Mo przyglądał jej się w milczeniu, wreszcie pocałował ją w czoło, jakby chciał zetrzeć słowa, które wypowiedziała, i poszedł do bramy z Fenogliem, wyraźnie już zniecierpliwionym.

Meggie nie spuszczała go z oczu, gdy obaj zatrzymali się koło strażników. W nowym czarnym ubraniu jej ojciec wyglądał jeszcze bardziej obco niż do tej pory. Oto przybył introligator z dalekiego świata, by wreszcie nadać godną oprawę malowidłom słynnego Balbulusa. Kogo obchodziło, że po drodze został zbójcą?

Farid chwycił Meggie za rękę, gdy tylko Mo odwrócił się do nich plecami.

- Twój ojciec jest odważny jak lew - szepnął - ale trochę postrzelony, jeśli mam być szczerzy. Gdybym to ja był Sójką, noga moja nie powstałaby za tą bramą, a już na pewno nie z powodu jakichś tam książek!

- Nie rozumiesz tego - odszepnęła Meggie. - Nic innego nie mogłoby go do tego skłonić.

Meggie myliła się, ale dopiero później miała się o tym przekonać.

Żołnierze bez problemu przepuścili poetę i introligatora. Mo obejrzał się jeszcze raz na Meggie, zanim przeszedł przez okazałą bramę zaopatrzoną w ciężką podnoszoną kratę szczerzącą ostre jak piki stalowe zęby na każdego, kto pod nią przechodził. Od kiedy Szczapa zamieszkał na zamku, kratę opuszczano wraz z zapadnięciem zmroku, a także za każdym razem, gdy na zamku któryś z dzwonów zaczynał bić na alarm. Meggie już raz słyszała odgłos opuszczanej kraty i teraz, gdy Mo zniknął za potężnymi murami, bezwiednie czekała na to samo: bicie dzwonów, grzechot łańcuchów, na których zawieszona była krata, głucho uderzenie żelaznych zębów o bruk...

- Meggie? - Farid ujął ją pod brodę i obrócił jej twarz ku sobie. - Wierz mi, że już dawno bym cię odwiedził, ale Orfeusz każe mi harować przez cały dzień, a nocą zakradam się do zagrody Roksany. Ona prawie co noc odwiedza to miejsce, gdzie ukryła Smolipalucha, dobrze o tym wiem! Próbuję ją śledzić, ale za każdym razem mnie nakryje, zanim zdążę za nią pójść. Tę jej głupią gęś można przekupić bułką z rodzynekami, ale zawsze coś staje mi na przeszkodzie: jak nie ugryzie mnie Linchetto, to zdradzi mnie Gwin... Roksana wpuszcza go teraz nawet do domu, chociaż dawniej rzucała w niego kamieniami.

Co on bredził? Nie miała najmniejszej ochoty rozmawiać o Smolipaluchu albo o Gwinie.

„Jeśli za mną tęskniłeś - kołatało jej w głowie - to dlaczego choćby raz nie przyszedłeś do mnie zamiast do Roksany? Choćby jeden raz...”.

Odpowiedź była prosta: bo nie tęsknił za nią tak bardzo jak ona za nim. Kochał bardziej Smolipalucha niż ją. Zawsze już będzie go kochał, chociaż Smolipaluch nie żyje. Jednak pozwalała się całować, mimo że zaledwie parę kroków dalej chłopiec pod pręgierzem nadal cierpiał od ognistych elfów.

„Tylko nie próbuj mnie przekonywać, że można się przyzwyczaić do tego widoku...”.

Kopcia zauważyła dopiero wtedy, gdy już rozmawiał ze strażnikami.

- O co chodzi? - spytał Farid, widząc, że Meggie przygląda się czemuś ponad jego ramieniem. - Aha, Kopec. No tak, jest częstym gościem na zamku. Nędzny zdrajca! Jak go widzę, mam ochotę poderznąć mu gardło.

- Musimy ostrzec Mo!

Straże przepuściły połykacza ognia jak dobrego znajomego. Meggie zrobiła krok w kierunku strażników, ale Farid odciągnął ją w tył.

- Dokąd chcesz iść? On nie zobaczy twojego ojca! Zamek jest wielki, a Czarodziejski Język udaje się do Balbulusa. Kopec na pewno tam nie zblądzi. Wśród dam dworu ma trzy kochanki, które odwiedza - o ile nie przechwyci go Jacopo. Musi mu urządzać pokazy co najmniej dwa razy dziennie, ale nadal jest marnym połykaczem ognia, chociaż, jak mówią, posługuje się podejrzanymi sztuczkami. Nędzny szpieg! Naprawdę zastanawiam się, dlaczego Czarny Książę jeszcze go nie zabił... albo twój ojciec. Co tak na mnie patrzysz? - spytał, widząc przerażenie w oczach Meggie. - W końcu Czarodziejski Język zgładził Bastę. Co prawda ja tego nie widziałem...

Farid patrzył w bok, jak zawsze gdy wspominał o tych godzinach, podczas których leżał martwy.

Meggie nie odrywała wzroku od bramy. Zdawało jej się, że słyszy głos Mo: „Głupstwa! Kiedy mnie widział poprzednim razem, byłem umierający. I lepiej by było dla niego, żeby mnie nie spotkał”.

Sójka! Coś w niej krzychało: „Przestań go tak nazywać!”.

- Chodź! - powiedział Farid, biorąc ją za rękę. - Czarodziejski Język powiedział, że mam cię zaprowadzić do Roksany. Będzie wniebowzięta, jak mnie zobaczy! Oczywiście nie da nic poznać po sobie ze względu na ciebie.

- Nie! - Meggie wyrwała mu rękę, choć tak dobrze było czuć ciepło jego dłoni. - Zostanę tutaj, dokładnie w tym miejscu, dopóki Mo nie wróci.

Farid westchnął i wznosił oczy ku niebu, ale znał ją na tyle dobrze, by nie protestować.

- Cudownie! - powiedział, zniżając głos. - A jak znam twojego ojca, będzie długo oglądał te przeklęte książki. Może cię chociaż pocałuję, bo inaczej strażnicy zaczną się zastanawiać, co my tu jeszcze robimy.

Rozdział 7

Niebezpieczne odwiedziny

Czy mnie Bóg mocą Wiedzy Wiekuistej Z góry przymusza z całą bezwzględnością (Co zwać by trzeba prostą koniecznością)? Czy mnie wolnością wyboru obdarza, By człek mógł czynić, jako sam uważa?

Geoffrey Chaucer, Opowieści kanterberyjskie

Pokora. Pokora i unizoność. Mo nigdy nie był w tym dobry.

„Nigdy ci to nie przyszło do głowy w tamtym świecie? - pytał sam siebie. - Pochyl głowę, nie prostuj się, niech patrzą na ciebie z góry, choć jesteś wyższy od nich. Zachowuj się tak, jakbyś uważał to za najzupełniej naturalne, że oni rządzą, a inni harują”.

Jakie to trudne.

- A więc to ty jesteś tym introligatorem, którego oczekuje Balbulus - powiedział jeden ze strażników, oglądając jego czarne ubranie. - Co to było przed chwilą z tym wyrostkiem? Nie podoba ci się nasz pręgierz?

„Opuść niżej głowę, Mortimerze! Rusz się. Niech myślą, że się boisz. Zapomnij o gniewie, zapomnij o chłopcu jęczącym z bólu”.

- To się już nie powtórzy.

- Ręczę za niego! On... on nie pochodzi stąd! - powiedział szybko Fenoglio. - Musi się dopiero przyzwyczaić do sztuki rządzenia naszego nowego namiestnika. Ale teraz pozwólcie... Balbulus łatwo się niecierpliwi...

To mówiąc, uklonił się w pas strażnikom i szybko pociągnął Mo za sobą.

Zamek w Ombrze... Trudno się dziwić, że Mo zapomniał o bożym świecie, gdy weszli na rozległy dziedziniec zamkowy. W jednej chwili stanęły mu przed oczami wszystkie sceny z książki Fenoglio, które rozgrywały się w tym miejscu.

- Wielkie nieba, mało brakowało! - szepnął Fenoglio, kiedy odprowadzali konia do stajni. - Przypomnę ci po raz ostatni: tutaj jesteś introligatorem! Jeśli spróbujesz się jeszcze raz zabawić w Sójkę - będziesz martwy. Do diabła, Mortimerze, żałuję, że zgodziłem się przyprowadzić cię tutaj. Popatrz na tych wszystkich żołnierzy. Zupełnie jakbyśmy byli w Mrocznym Zamku!

- O nie, wierz mi, jest różnica! - szepnął Mo.

Starął się nie patrzeć w stronę nadzianych na piki głów zdobionych mury. Dwie z nich należały do ludzi Czarnego Księcia, ale nie rozpoznałby ich, gdyby Siłacz nie opowiedział mu wcześniej o ich losie.

- Inaczej wyobrażałem sobie zamek, kiedy czytałem o nim w twojej książce - zwierzył się szeptem Fenogliowi.

- Mnie tego nie musisz mówić! - syknął tamten. - Najpierw Cosimo wszystko przebudował, a teraz Szczapa wprowadza swoje porządki. Kazał nawet pozrywać gniazda drwinniczków złotych, a popatrz na te baraki, które pobudował i gromadzi w nich zrabowane dobra. Zastanawiam się, czy Zmijogłowy zdaje sobie sprawę, jak niewiele z tego trafia do Mrocznego Zamku. Jeśli się zorientuje, Szczapa może mieć kłopoty.

- Tak, Szczapa poczyna sobie bezceremonialnie - zgodził się Mo. Pochylił głowę, bo właśnie zbliżało się dwóch stajennych. Nawet tacy ludzie nosili tu broń. Nie na wiele zda się jego nóż, gdyby go rozpoznano. - Przechwyciliśmy parę transportów - ciągnął szeptem, gdy stajenni ich minęli - ale zawartość skrzyń wcale nie przedstawiała się imponująco. Fenoglio przyjrzał mu się uważnie.

- A więc naprawdę to robisz! - Co?

Stary pisarz obejrzał się lękliwie dokoła, ale nikt nie zwracał na nich uwagi.

- No, te wszystkie rzeczy, o których opowiadają w pieśniach! - szepnął. - Chodzi mi o to, że większość tych utworów to nędzne wycpiny, ale postać Sójki jest wciąż ta sama, więc... Powiedz mi, jak to jest? Jak się czujesz w jego roli?

Właśnie mijała ich służąca, która niosła dwie zarżnięte gęsi. Krew kapała na bruk i Mo odwrócił głowę.

- Roli? Dla ciebie to wciąż tylko rola, gra? - odparł opryskliwie Mo.

Były chwile, kiedy dałby wiele za to, by móc czytać w myślach Fenogli. Ale kto wie, może kiedyś przeczyta jego myśli czarno na białym na papierze i odnajdzie w nich siebie oмотanego słowami, jak mucha pajęczyną.

- Przyznaję, że ta gra stała się niebezpieczna, ale naprawdę cieszę się, że przyjąłeś na siebie tę rolę! W sumie miałem rację, sam widzisz, że ten świat potrzebuje Sój...

Mo rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, gdyż właśnie mijała ich grupka żołnierzy, i Fenoglio przełknął imię, które nie tak dawno temu po raz pierwszy wypisał na kawałku pergaminu. Ale kiedy z uśmiechem odprowadzał żołnierzy wzrokiem, przypominał człowieka, który podłożył bombę w domu swoich wrogów i siedzi pośród nich zadowolony, że ci niczego nie podejrzewają.

Okropny staruch.

Mo przekonał się, że wewnętrzny dziedziniec również nie przypomina tego znanego mu z lektury książki. Począł recytować półgłosem czytane dawno temu słowa:

- Żona Tłustego Księcia założyła ogród, nie mogąc znieść otaczającej ją kamiennej pustyni. Posadziła kwiaty pochodzące z obcych krajów i mogła teraz śnić o egzotycznych morzach, miastach i górach, gdzie mieszkają smoki. Z jaj wyłęgły się ptaki o złotych piersiach gnieźdzące się na drzewach jak pierzaste owoce, sprowadziła też z Nieprzebytego Lasu sadzonkę drzewa, którego Uście potrafiły rozmawiać z księżycem.

Fenoglio spojrzał na niego zdumiony.

- Nie wiedziałeś, że znam twoją książkę na pamięć? - powiedział Mo. - Zapomniałeś już, ile razy ją czytałem, kiedy twoje słowa wchłonęły moją żonę?

Ptaki o złotych piersiach także zniknęły z wewnętrznego dziedzińca. W kamiennej sadzawce odbijał się posąg Szczapy, a drzewo rozmawiające z księżycem, jeśli w ogóle tu kiedykolwiek rośło, musiało zostać ścięte. Na miejscu dawnego ogrodu stały budy, a psy myśliwskie nowego pana Ombry, węsząc, wsadzały nosy między srebrne szczebelki drzwiczek.

„To już dawno nie jest twoja historia, starcze” - pomyślał Mo, kiedy szli przez dziedziniec ku zamkowi. Ale kto ją w takim razie opowiadał? Może Orfeusz? A może to Zmijogłowy przejął rolę narratora i opowiada tę historię krwią i żelazem zamiast atramentem i piórem?

Do Balbulusa zaprowadził ich Tulio, służący z twarzą pokrytą sierścią, o którym w książce Fenogli można było przeczytać, że to syn karzełka i mszanki.

- Co u ciebie słyhać? - spytał Fenoglio, kiedy Tulio prowadził ich krętymi korytarzami.

Tak jakby się kiedykolwiek interesował losem swoich postaci! Tulio wzruszył ramionami.

- Polują na mnie - powiedział ledwie słyszalnym szeptem. - Przyjaciele naszego nowego pana... a on ma wielu przyjaciół. Ścigają mnie, zamykają razem z psami, ale Wiolanta mnie broni. Naprawdę to robi, chociaż jej syn jest chyba najgorszy z nich.

- Jej syn? - szepnął Mo do Fenoglia.

- Tak, czy Meggie nie opowiadała ci o nim? - odszepnął pisarz. - To Jacopo, szatański pomiot, wierna kopia dziadka, chociaż zewnątrznie z dnia na dzień coraz bardziej przypomina ojca. Ale po Cosimie nie uronił ani jednej łzy. Przeciwnie: podobno zasmarował farbami Balbulusa kamienny posąg ojca na sarkofagu, a wieczorem na ucztach siedzi po prawicy Szczapy albo na kolanach u Kopcia zamiast przy matce. Podobno ją nawet szpieguje i donosi na nią dziadkowi.

W książce Fenoglia nie było opisu drzwi, przed którymi się zatrzymali, z trudem łapiąc oddech po pokonaniu niezliczonych stromych schodów. Mo bezwiednie wyciągnął rękę i pogładził misterne metalowe litery, którymi pokryte były drzwi.

„Nie masz pojęcia, jakie one są piękne - opowiadała mu Meggie, gdy siedzieli razem w celi w wieży Mrocznego Zamku. - Są tak misterne ze sobą splecione, jakby ktoś narysował je roztopionym srebrem”.

Tulio uniósł owłosioną piąstkę i zastukał. Głos zapraszający ich do wejścia mógł być tylko głosem Balbulusa. Zimny, wyniosły, apodyktyczny... Meggie nie szczędziła negatywnych określeń najlepszemu miniaturzyscie Atramentowego Świata. Wspiąwszy się na palce, Tulio ujął klamkę... i przerażony ją puścił.

- Tulio! - dobiegł ich z dołu głos dziecka, najwyraźniej nawykłego do rozkazywania. - Tulio, gdzie się podziewasz? Masz trzymać Kopciowi pochodnie!

- Jacopo! - szepnął Tulio w taki sposób, jakby wymawiał nazwę zaraźliwej choroby.

Skulony schował się za plecami Mo.

Po schodach wbiegł chłopiec w wieku sześciu, siedmiu lat. Mo nigdy nie widział Pięknego Cosima. Szczapa kazał zniszczyć wszystkie jego posągi, ale Baptysta miał jeszcze parę starych monet z jego wizerunkiem. Była to twarz zbyt piękna, aby była prawdziwa - tak opisywano powszechnie wygląd Cosima. Patrząc na chłopca, Mo dostrzegł w jego jeszcze dziecinnie pulchnej twarzyczce załóżki urody ojca. Ale nie była to twarz sympatyczna. Oczy Jacopa spoglądały czujnie, usta zaciskały się ponuro jak u starca. Czarna tunika miała naszyte srebrne wizerunki herbowej żmii dziadka, taki sam srebrny wzór był wytłoczony na pasie, ale na szyi Jacopa na skórzanym sznureczku kołysał się srebrny nos - znak firmowy Piszczalki.

Fenoglio rzucił Mo zaniepokojone spojrzenie i wysunął się naprzód, jakby chciał go zasłonić przed wzrokiem chłopca.

„Masz trzymać Kopciowi pochodnie” - powtarzał w myśli Mo jego słowa.

„I co teraz?” - zastanawiał się. Odruchowo spojrzął w dół schodów, ale chłopiec przyszedł sam, a zamek był ogromny. Mimo to jego ręka powędrowała do pasa.

- Kto to jest? - spytał zasapany Jacopo i tylko przekora wibrująca w jego piskliwym głosiku zdradzała małego chłopca.

- To... - zająknął się Fenoglio - to jest nowy introligator, Wasza Wysokość! - wyjaśnił z ukłonem. - Pamięta Wasza Wysokość, że Balbulus już dawno skarżył się na tutejszych introligatorów.

- A ten jest lepszy? - parsknął Jacopo, krzyżując krótkie, dziecinne ręce. - Nie wygląda na introligatora. Introligatorzy są starzy i bladzi, bo nie wychodzą w ogóle na dwór.

- Czasami wychodzimy - sprostował Mo - żeby wyszukać skórę, stemple, noże albo wysuszyć zawilgocony pergamin.

Chłopiec jakoś nie wzbudzał w nim lęku, chociaż słyszał już

o nim tyle złego. Syn Cosima przypominał mu kolegę, z którym chodził do klasy, a który miał pecha być synem dyrektora szkoły. Na podwórku szkolnym paradował dumnie niby kopia własnego ojca, ale tak naprawdę zawsze bał się wszystkich i wszystkiego.

„To prawda, Mortimerze - myślał Mo. - Ale to był tylko syn dyrektora szkoły. A ten chłopiec jest wnukiem Zmijogłowego, miej się więc na baczności”.

Jacopo zmarszczył czoło i zadzierając głowę, przyglądał mu się z niechęcią. Najwidoczniej nie podobało mu się, że Mo tak bardzo przewyższał go wzrostem.

- Nie ukloniłeś się! - powiedział. - Musisz mi się uklonić! Mo poczuł na twarzy ostrzegawczy wzrok Fenoglia. Pochylił głowę.

- Wasza Wysokość!

Z trudem się do tego nagiął. Wolałby ganiać się z tym małym po korytarzach zamkowych, jak to robił z Meggie w domu Eli-nor, a może wówczas Jacopo okazałby się jednak dzieckiem pod tymi pozami, jakie przybierał na wzór swojego dziadka.

Jacopo odpowiedział na jego ukłon wielkodusznym skinieniem, a Mo jeszcze bardziej pochylił głowę, by ukryć uśmiech.

- Mój dziadek ma kłopoty z pewną książką - oznajmił Jacopo butnym tonem. - Poważne kłopoty. Może ty byś mógł mu pomóc.

Kłopoty z książką... Mo zdawało się, że serce przestało mu bić w piersiach... Widział tę książkę dokładnie przed sobą, czuł pod palcami dotyk papieru, tyle pustych białych kart...

- Dziadek powiesił już wielu introligatorów z powodu tej książki - zauważył Jacopo, taksując Mo wzrokiem, jakby zastanawiał się, jak duża powinna być pętla na jego szyję. - Jednego kazał nawet obdrzeć ze skóry, takiego, co twierdził, że potrafi ją uzdrowić. Odważyłbyś się spróbować? Ale musiałbyś pojechać ze mną do Mrocznego Zamku, żeby dziadek zobaczył, że to ja cię znalazłem, a nie Szczapa.

Na szczęście Mo nie musiał odpowiadać, gdyż w tym momencie otworzyły się zdobione literami drzwi i stanął w nich mężczyzna z gniewną twarzą.

- Co się tu dzieje? - zwrócił się surowo do Tulia. - Najpierw pukają, ale nikt nie wchodzi, potem gadają, aż pędzel wypada mi z ręki. Ponieważ wygląda na to, że ten gość jednak nie do mnie przyszedł, byłbym wdzięczny wszystkim zainteresowanym, gdyby zechcieli gdzie indziej kontynuować rozmowę. W tym zamku jest pod dostatkiem komnat, w których nikt nie zajmuje się poważnymi sprawami.

Balbulus... Meggie trafnie go opisała. Lekko sepleniąca mowa, perkaty nos, obwisłe policzki, ciemnokasztanowe włosy przeredzające się nad czołem, choć był jeszcze młodym człowiekiem. Iluminator... sądząc po pracach, które Mo do tej pory oglądał, jeden z najlepszych w tym i w jego własnym świecie. Mo natychmiast zapomniał o Jacopie i Fenogliu, pręgierzu i uwięzionym chłopcu, o żołnierzach na podwórku zamkowym i o Kopciu. Myślał tylko o tym, by się dostać do środka przez te drzwi. Już ukradkowe spojrzenie do wnętrza pracowni ponad ramieniem Balbulusa sprawiło, że serce poczęło mu szybciej bić w piersiach, jakby był małym niecierpliwym chłopcem. Tak samo biło mu, gdy po raz pierwszy trzymał w dłoni pracę malarza, w celi Mrocznego Zamku, gdzie groziła mu śmierć. Wtedy też na widok książki zapomniał o całym świecie. Litery przepływały tak płynnie jedna w drugą, jakby nie było nic bardziej naturalnego dla ręki ludzkiej, no i te malowidła! Żywy, oddychający pergamin!

- Rozmawiam tam, gdzie chcę i kiedy chcę! Jestem wnukiem Żmijogłowego! - ostro zabrzmiał piskliwy głosik Jacopa. - Natychmiast powiadomię wujka, że znowu zachowujesz się imper-tynencko! Powiem mu, żeby pozabierał ci wszystkie pędzle! - I rzuciwszy Balbulusowi ostatnie groźne spojrzenie, odwrócił się na pięcie. - Chodź, Tulio! Bo każę cię zamknąć w psiarni!

Wciągając głowę w ramiona, mały służka pokornie stanął u boku Jacopa, a wnuk Żmijogłowego raz jeszcze zlustrował Mo od stóp do głów, po czym zbiegł po schodach - jak zwyczajny mały chłopiec.

- Wynośmy się stąd, Mortimerze! - szepnął Fenoglio. - Nie powinieneś być tu w ogóle przychodzić! Kopec tu jest! To źle, bardzo źle.

Ale oto już Balbulus niecierpliwym gestem zapraszał ich do wnętrza pracowni. I cóż teraz obchodził Mo jakiś Kopec! Myślał już tylko o tym, co zobaczy za tymi zdobionymi drzwiami.

Ileż to godzin spędził w życiu na oglądaniu sztuki ilumina-torskiej, schylając się nisko nad zatłuszczonymi kartami, śledząc za pomocą szkła powiększającego najdrobniejszy ślad

pędzla, zastanawiając się, jak te wszystkie cudenka znalazły się na kartach - miniaturowe twarze, fantastyczne stwory, krajobrazy, kwiaty... maleńkie smoki, owady tak prawdziwe, że zdawały się pełznąć po kartach, i kunsztownie splecione litery, jakby te linie niczym rośliny wyrastały bezpośrednio ze stron.

Czy te wszystkie skarby czekały na niego tam na pulpitych?

Zapewne. Ale Balbulus zasłaniał sobą prace, jakby stał na straży. Jego oczy były zupełnie pozbawione wyrazu i Mo zastanawiał się, jak człowiek tak chłodno patrzący na świat może malować takie dzieła. Obrazy tak pełne siły i ognia...

- Witaj, Atramentowy Tkaczu. - Balbulus skinął głową Fenogliowi, obrzucając go badawczym spojrzeniem, przed którym nic nie mogło się ukryć: ani niechlujny zarost, ani podkrążone oczy, ani znużenie starego człowieka.

„Ciekawe, co zobaczy we mnie” - pomyślał Mo.

- A więc to ty jesteś tym introligatorem? - zagadnął Balbulus, przyglądając się Mo z taką uwagą, jakby zamierzał uwiecznić go na pergaminie. - Fenoglio opowiada cuda o twojej biegłości w rzemiośle.

- Naprawdę? - rzekł Mo, ale myślami był gdzie indziej. Jedyne, czego pragnął, to zobaczyć wreszcie te malowidła, ale Balbulus jakby naumyślnie wciąż je sobą zasłaniał... O co tu chodziło?

„Pokaż mi wreszcie swoje dzieła! - myślał niecierpliwie Mo. - Powinno ci schlebiać, że zjawilem się tu z ich powodu, choć ryzykuję życie”.

Wielkie nieba, co za pędzelki! A te farby...

Fenoglio trącił go łokciem i Mo z trudem oderwał wzrok od narzędzi iluminatora i spojrzał w jego bezbarwne oczy.

- Wybacz, panie... Tak, to ja jestem tym introligatorem. Z pewnością chciałbyś zobaczyć próbkę moich umiejętności. Nie miałem zbyt dobrego materiału pod ręką, ale...

Tu Mo sięgnął ręką pod obszerną opończę (Baptysta musiał się nieźle natrudzić, by ukraść tyle czarnej tkaniny), ale Balbulus potrząsnął głową.

- Nie musisz mi dawać żadnych dowodów - powiedział, nie spuszczać Mo z oczu. - Taddeo, bibliotekarz w Mrocznym Zamku, opowiedział mi ze szczegółami, jakie dałeś tam dowody swoich umiejętności.

Zgubiony. Był zgubiony.

Mo poczuł na sobie przerażony wzrok Fenoglia.

„Tak, masz rację, że na mnie patrzysz! - pomyślał. - Pewnie mam na czole wypisane czarno na białym: lekkomyślny dureń”.

Tymczasem Balbulus się uśmiechał. Jego uśmiech był równie bez wyrazu jak jego oczy.

- Tak, Taddeo wszystko mi o tobie opowiedział - mówił z charakterystycznym plaskaniem języka o zęby, co tak dobrze naśladowała Meggie. - To człowiek dość powściągliwy, ale pa-negiryk na twoją cześć przysłał mi nawet na piśmie. Cóż, niewielu chyba znajdzie się takich zuchów w twoim zawodzie, co potrafią w księdze zakłąć śmierć.

Fenoglio ścisnął go tak mocno za ramię, że Mo odczuł cały ogrom jego przerażenia. Ale co on sobie wyobrażał? Ze odwróci się teraz na pięcie i najspokojniej w świecie opuszczą pracownię Balbulusa? Na pewno pod drzwiami stoją już strażę. A jeśli nie pod drzwiami, to na dole przy schodach. Jak szybko człowiek przyzwyczajał się do myśli, że w każdej chwili mogą pojawić się żołnierze mający prawo bezkarnie cię zatrzymać, wtrącić do lochu, zabić...

Ach, jaki blask bil od farb Balbulusa: tych cynobrów, sjen, umbr... Były tak piękne. To ich piękno zwabiło go w pułapkę. Większość ptaków wabi się kawałkiem chleba, garścią ziarna. I tylko w przypadku Sójki przynętą okazały się litery i obrazy.

- Doprawdy nie wiem, o czym mówisz, szlachetny Balbulu-sie! - wyjąkał Fenoglio, nie puszczać ramienia Mo. - Bibliotekarz z Mrocznego Zamku, powiadasz? Ależ skąd...! Mortimer nigdy nie był po tamtej stronie lasu. On pochodzi... z północy... tak, dobrze mówię, z północy.

„Jak on marnie kłamie - pomyślał Mo. - Jak na kogoś, kto wymyśla historie, powinien lepiej znać się na kłamaniu”.

Ale ponieważ on sam w ogóle nie potrafił kłamać, więc milczał. Milczał, przeklinając swoją ciekawość, niecierpliwość, swoją lekkomyślność. Tymczasem Balbulus wciąż mierzył go wzrokiem. Jak mógł się spodziewać, że wystarczy włożyć czarne ubranie, by odsunąć na bok rolę, jaką przyszło mu odgrywać w tym świecie? Że ciałem i duszą tkwiąc w tej historii, będzie mógł na parę godzin stać się na powrót introligatorem Mortimerem?

- Ach, przestań, Atramentowy Tkaczu! - zniecierpliwiał się Balbulus. - Uważasz mnie za głupca? Od razu się domyśliłem, o kim mowa, jak tylko o nim wspomniałeś. Prawdziwy mistrz w swoim zawodzie - czyż nie tak się wyraziłeś? Słowa potrafią być zdradliwe, ty powinieneś wiedzieć to najlepiej.

Fenoglio nic na to nie odrzekł. A Mo ostrożnie pomacał nóż ukryty w pasie. Podarował mu go Czarna Księżę, gdy opuszczali Mroczny Zamek.

„Miej go zawsze przy sobie - powiedział mu wtedy - nawet kiedy się kładziesz spać”.

Posłuchał jego rady, ale na co zda się nóż w takiej sytuacji? Zginąłby, nim zdążyłby dotrzeć do podnóża schodów. Kto wie, może nawet Jacopo zorientował się, kogo ma przed sobą, i ze swej strony podniósł alarm. Szybko, łapcie go! Sójka dobrowolnie wleciał do klatki.

„Przykro mi, Meggie - pomyślał - twój ojciec to głupiec. To po to wyciągnęłaś go z Mrocznego Zamku, żeby się pozwolił schwytać w innym?”. Dlaczego jej nie posłuchał, kiedy spotkali Kopcia na rynku?

Czy Fenoglio stworzył kiedyś pieśń, w której Sójka przeżywa strach? Kiedy walczył, nie odczuwał lęku. Strach dopadał go wówczas, gdy pomyślał o pętach, łańcuchach i lochach, i rozpaczy, która ogarniała go za kratami. Tak jak teraz. Czuł smak lęku na języku, odczuwał go w żołądku i w kolanach.

„Jedynie, co jest w tym dobrego, to to, że pracownia iluminatora jest odpowiednim miejscem śmierci dla introligatora” - pomyślał.

Ale oto znów pojawił się Sójka, przeklinając introligatora za lekkomyślność.

- A wiesz, co zrobiło na nim największe wrażenie? - zwrócił się Balbulus do Mo, strząsając z rękawa odrobinę żółtego pigmentu, który niby pyłek kwiatowy przyłgnał do granatowego jedwabiu. - Twoje ręce. Taddeo nie mógł wyjść ze zdumienia, że te same ręce, które znają się na zabijaniu, potrafią tak delikatnie obchodzić się z kartami książki. Masz piękne dłonie. Spójrz na moje! - Balbulus rozczapierzył dłonie, przyglądając im się z obrzydzeniem. - Ręce chłopca. Niezgrabne, grubo ciosane. Chcesz zobaczyć, co one mimo wszystko potrafią?

I w końcu, zapraszając go gestem, Balbulus odstąpił w bok, niczym sztukmistrz podnoszący zasłonę. Fenoglio chciał powstrzymać Mo, ale ten pragnął przynajmniej zakosztować przynęty, skoro i tak już wpadł w pułapkę.

I wreszcie je zobaczył. Iluminowane strony, jeszcze piękniejsze od tych, które podziwiał w Mrocznym Zamku. Na jednej z nich Balbulus ozdobił inicjał własnego imienia: literka B pyszniła się na pergaminie wspaniałym przybraniem w złocie i ciemnej zieleni i dawała schronienie gniazdu ognistych elfów. Na sąsiedniej stronicy girlandy z liści i kwiatów otaczały ilustrację nie większą od obrazków na kartach do gry. Mo śledził wzrokiem kwietne girlandy, pośród których nie brakowało nawet dojrzałych torebek nasiennych, roje ognistych elfów, dziwaczne owoce, maleńkie istotki, których imion nie znał. Malowidło ujęte w tak kunsztowne ramy przedstawiało dwóch mężczyzn w otoczeniu wrózek. Ukazani byli na tle wioski, za nimi stała grupa mężczyzn w łachmanach. Jeden z nich był czarny i miał u boku niedźwiedzia, drugi był w masce ptaka, a w ręce trzymał nóż introligatorski.

- Czarna i biała ręka sprawiedliwości. Książę i Sójka - powiedział z dumą Balbulus. - Będę go musiał odrobinę przerobić, jesteś wyższy, niż myślałem, a twoja postawa... Ale co ja mówię, z pewnością nie zależy ci na tym, by to malowidło zbytnio cię przypominało. Co prawda przeznaczone jest tylko dla oczu Wiolanty, nasz nowy namiestnik nigdy go nie zobaczy, gdyż na szczęście nie ma powodu, by miał się wdrapywać po tyłu schodkach. Dla Szczapy wartość obrazu mierzy się liczbą beczek wina, które można za niego otrzymać. Ale jeśli Wiolanta nie ukryje zbyt dobrze tego malowidła, to i tak wkrótce zamieni je, jak wszystko, co wychodzi spod mojej ręki, na rzeczony beczki albo na nową posrebrzaną perukę. Ma szczęście, że jestem ilumina-torem Balbulusem, a nie Sójką, bo już dawno zrobiłbym pergamin z jego perfumowanej skóry.

W głosie Balbulusa drgała nienawiść czarna jak noc.

Przez ułamek sekundy Mo miał wrażenie, że dostrzega w jego obojętnych oczach ogień, który uczynił go takim mistrzem w rzemiośle.

Na korytarzu dały się słyszeć kroki, ciężkie i miarowe, jakie Mo często słyszał w Mrocznym Zamku. Kroki żołnierzy.

- Jaka szkoda, chętnie bym z tobą dłużej porozmawiał - westchnął Balbulus, gdy drzwi do pracowni gwałtownie się otwały. - Ale obawiam się, że w tym zamku są osoby o wiele wyżej ode mnie postawione, które pragną z tobą pomówić.

Fenoglio z przerażeniem przyglądał się, jak trzech żołnierzy bierze Mo w środek.

- Możesz odejść, Atramentowy Tkaczu! - rzekł Balbulus. - Ale to... to jakieś straszliwe nieporozumienie! - zawołał drżącym głosem Fenoglio, z całych sił starając się ukryć strach, ale nawet Mo nie dał się na to nabrać.

- Może nie powinieneś był tak dokładnie opisywać go w swoich pieśniach - stwierdził Balbulus znudzonym głosem. - O ile wiem, już raz go to zgubiło. Popatrz tylko na moje obrazy: ja go zawsze przedstawiam w masce!

Mo słyszał jeszcze protesty Fenoglia, kiedy żołnierze pociągnęli go w dół po schodach. Resa! Nie, o nią nie musiał się martwić, na razie była bezpieczna u Roksany, no i był z nią Siłacz. Ale co z Meggie? Czy Farid zdążył ją zaprowadzić do Roksany? Czarny Książę zatroszczy się o nie obie, wielokrotnie mu to obiecywał. Kto wie, może uda im się wrócić do Elinor, do jej starego domu wypełnionego po sam sufit książkami, do świata, gdzie ciało nie jest stworzone z liter. A może jest?

Mo starał się nie myśleć, gdzie on wtedy będzie. Jedno było pewne: Sójka i introligator umrą tą samą śmiercią.

Rozdział 8

Cierpienie Roksany

- Nie mogę uwierzyć - szepnął! Strużek.

Paul Stewart, Północ nad Sanctaphraksem

Resa często odwiedzała Roksanę, choć ta mieszkała daleko od Ombry, a drogi były coraz mniej bezpieczne. Siłacz stanowił dobrą ochronę i Mo puszczał ją, świadom tego, że przez wiele lat dawała sobie radę w tym świecie bez nich obu.

Resa zaprzyjaźniła się z Roksaną, gdy wspólnie troszczyły się o rannych w opuszczonej kopalni pod Żmijową Górą, a długa droga przez Nieprzebyty Las jeszcze pogłębiła ich przyjaźń. Roksana nigdy nie pytała, dlaczego tamtej nocy, kiedy to Smolipaluch dobił targu z białymi damami, Resa płakała prawie tak samo rozpaczliwie jak ona. Zawarły przyjaźń nie za pomocą słów, lecz dzieląc to, czego nie da się wyrazić w żadnym języku.

Nocami Resa odszukiwała Roksanę płaczącą pod drzewami z dala od innych, obejmowała ją i pocieszała, choć dobrze wiedziała, że tego bólu nie da się ukoić. Nie mówiła Roksanie o swoim cierpieniu, gdy Mortola strzeliła do Mo, i o swoim niewypowiedzianym lęku, że może go stracić na zawsze. Ostatecznie bowiem nie straciła go, choć przez kilka długich jak wieczność chwil była przekonana, że tak właśnie jest. Jeśli o nią chodzi, to siedząc przy Mo w ciemnej jaskini i chłodząc mu rozpalone gorączką czoło, tylko sobie wyobrażała, jak by to było, gdyby go już nigdy więcej nie zobaczyła, nie mogła dotykać, słuchać jego głosu. Ale lęk przed bólem był czym innym niż sam ból. Mo przecież żył. Rozmawiał z nią, spał obok niej, obejmował ją. A Smolipaluch nigdy już nie obejmie Roksany. W każdym razie w tym życiu. Miała tylko wspomnienia, a to jest czasem gorsze, niż gdyby człowiek nie miał nic.

Wiedziała, że Roksana już po raz drugi przeżywa ten sam ból. Za pierwszym razem - jak opowiedział Resie Czarny Książę - ogień nie pozostawił Roksanie nawet ciała. Może to dlatego teraz tak zazdrośnie strzegła zwłok Smolipalucha. Nikt nie wiedział, gdzie je ukryła, by go odwiedzać, gdy tęsknota nie dawała jej zasnąć.

Po raz pierwszy udała się do zagrody Roksany, gdy Mo przez długi czas gorączkował i nie mógł sypiać w nocy. Dawniej, w służbie u Mortoli, często musiała zbierać zioła, lecz były to bez wyjątku rośliny przynoszące śmierć. Roksana nauczyła ją znajdować lecznicze siostry owych śmiertelnych ziół, pokazała jej, które listki są dobre na bezsenność, które korzonki na ból od zadawnionej rany. Wyjaśniła jej, że w tym świecie dobrze jest pozostawić

pod drzewem, gdzie się zrywało zioła, miseczkę mleka lub jajko, żeby udobruchać skrzaty mieszkające między korzeniami. Niektóre rośliny wydzielały tak silny egzotyczny zapach, że Resie kręciło się od tego w głowie. Inne znała dobrze z ogrodu Elinor, ale nie miała pojęcia, jaką moc skrywają ich listki i łodyżki. I tak Atramentowy Świat uczył ją lepiej rozumieć jej własny świat i przypominały jej się słowa, które dawno temu wypowiedział Mo: „Nie sądzisz, że powinno się od czasu do czasu czytać historie, w których wszystko jest nieco inne niż w naszym świecie? Nic nie daje lepszej okazji do zastanowienia się, dlaczego drzewa są zielone, a nie czerwone, i dlaczego mamy pięć, a nie sześć palców u rąk”.

Roksana oczywiście znała lekarstwo na nudności. Właśnie objaśniała Resie, jakie zioła pomogą jej później przy karmieniu piersią, gdy na podwórko wjechał Fenoglio. Resa, niczego nieświadoma, zdziwiła się, dlaczego na jego pomarszczonej twarzy maluje się takie poczucie winy, jakby założył jedną z masek Baptysty. Ale potem ujrzała Farida i wykrzywioną strachem twarz córki.

Roksana obejmowała ją, gdy Fenoglio urywanym głosem opowiadał o tym, co się wydarzyło. Resa nie wiedziała, jakie uczucie wygrywa w jej sercu: strach, rozpacz czy gniew? Chyba gniew. Tak, czuła przede wszystkim gniew, że Mo postąpił tak lekkomyślnie.

- Jak mogłaś mu pozwolić tam pójść! - zwróciła się do Meg-gie tak ostrym tonem, że Siłacz aż się skurczył ze strachu.

Wyrzuciła z siebie te słowa, nim jeszcze zdążyła ich pożałować. Ale gniew w sercu pozostał, gniew, że Mo pojechał na zamek, choć zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, gniew, że zrobił to za jej plecami. Ani jednym słowem nie zdradził się z tym, co zamierza, ale córkę zabrał ze sobą.

Łkanie rozdarło jej piersi, a Roksana bezradnie głaskała ją po włosach. Łzy gniewu, łzy strachu. Miała dość lęku. Lęku przed cierpieniem Roksany.

Rozdział 9

Niebezpieczeństwo

- Przeszkodzisz okrucieństwu? - spytała. - I chciwości, i temu wszystkiemu? Nie wydaje mi się, że potrafisz. Jesteś bardzo mądry, ale, och, nie potrafiłbyś niczego takiego.

Mervyn Peake, Tytus Groan

Wrzucaj go do lochu, cóż by innego? A co potem? Mo pamięta! doskonale, co mu Zmijogłowy mówi! o uśmiercaniu: „Może to trwać wiele dni i nocy”. Śmiałość i odwaga, jakie towarzyszyły mu od tygodni, zimny spokój, jaki zasiały w jego sercu nienawiść i białe

damy - wszystko to prysło nagle, jakby nigdy nie doznawał podobnych uczuć. Nie bał się samej śmierci, od kiedy zetknął się z białymi damami. Śmierć wydawała mu się czymś znajomym, czasem wręcz pożądanym. Ale inną rzeczą było umieranie, a inną to, czego bał się niemal jeszcze bardziej: uwięzienie. Zbyt dobrze przypominał sobie rozpacz czającą się wewnątrz zakratowanej celi, ciszę, w której własny oddech rani uszy, każda myśl jest nieznośną męczarnią, a każda godzina rodzi pokusę, by uderzyć głową o mur i stracić słuch i czucie.

Od czasu gdy siedział zamknięty w celi na wieży Mrocznego Zamku, Mo nie znosił zamkniętych okien i drzwi. Po Meggie uwięzienie spłynęło jak woda po kacze, ale Resa przeżywała to tak samo jak on, a gdy któreś z nich lęk chwycił w nocy za gardło, tylko w ramionach drugiego mogło znaleźć ukojenie i sen. Wszystko, tylko nie więzienie.

To właśnie czyniło walkę tak łatwą - że można było wybrać śmierć zamiast niewoli.

Mógłby jednemu z prowadzących go żołnierzy wyrwać miecz w ciemniejszym korytarzu, z dala od innych straży. Ale strażnicy byli wszędzie i wszyscy mieli na piersiach herb Szczapy. Zacisnął pięści, bo palce rwały się do wprowadzenia w czyn tego pomysłu.

„Jeszcze nie teraz, Mortimerze!” - pomyślał.

Kolejne schody oświetlone pochodniami. Zdał sobie sprawę, że prowadzą w dół, w mroczne trzewia zamku. Więzienie znajdowało się zawsze wysoko w górze lub głęboko pod ziemią. Re-sa opowiadała mu o podziemnych lochach Mrocznego Zamku, gdzie czasami bała się, że nie będzie miała czym oddychać. Ale przynajmniej ci tutaj nie biją i nie popychają go, tak jak żołnierze w Mrocznym Zamku. Ciekawe, czy podczas tortur i ćwiartowania są równie uprzejmi. Schodzili wciąż niżej i niżej, schodek po schodku prowadził ich coraz głębiej w dół. Jeden z żołnierzy poprzedał go, dwóch szło za nim; czuł na karku ich oddechy.

„Teraz, Mortimerze. Spróbuj! Jest ich tylko trzech!”.

Twarze mieli tak młode, dziecinne twarze bez zarostu, przerażone pod sztuczną marsową miną. Od kiedy to dzieci bawią się w żołnierzy?

„Tak było zawsze - odpowiedział sam sobie. - Dzieci to najlepsi żołnierze, bo jeszcze wierzą we własną nieśmiertelność”.

Tylko trzech. Ale zaczną krzyżeć, nawet jeśli zabije ich dość szybko, i ściągną mu innych na głowę.

U wylotu schodów znajdowały się drzwi. Żołnierz idący przodem otworzył je.

„Teraz! Na co jeszcze czekasz?”.

Mo rozprostował palce, szykując się do akcji. Serce zabiło mu mocniej w piersi, jakby chciało poddać nowy rytm.

- Sójko! - z ukłonem zwrócił się do niego żołnierz, po czym z lekko zakłopotaną miną odsunął się, robiąc mu przejście.

Mo spojrzął na pozostałych dwóch. Na ich twarzach malowały się podziw, lęk, cześć. Spotykał się z tym teraz często u ludzi, z tą mieszaniną uczuć, która brała się nie tyle z jego czynów, ile ze słów Fenoglia. Z wahaniem wszedł do środka i dopiero wtedy zorientował się, dokąd go przyprowadzili.

Była to krypta książąt Ombry. O tej krypcie też czytał w książce Fenoglia. Pisarz opiewał ją w pięknych słowach, jakby tęsknił za tym, by pewnego dnia samemu spocząć w takim miejscu. Ale w książce Fenoglia nie było jeszcze najwspanialszego ze znajdujących się tam sarkofagów. W nogach sarkofagu Cosima płonęły wysokie woskowe świece barwy miodu. Powietrze było słodkie od ich zapachu, a kamienny wizerunek księcia na wieku, spoczywający na różach z alabastru, uśmiechał się, jak gdyby śnił przyjemny sen.

Obok sarkofagu, wyprostowana, jakby dla zatuszowania swej drobnej postury, stała młoda kobieta w czerni, z włosami gładko szesany do tyłu.

Żołnierze skłonili przed nią głowy, wypowiadając z szacunkiem jej imię.

Wiolanta. Córka Żmijogłowego. Z przyzwyczajenia nazywano ją wciąż Brzydką Wiolantą, chociaż szpecące znamię, któremu zawdzięczała przezwisko, kładło się teraz już tylko ledwo zauważalnym cieniem na policzku. Podobno zbladło tego dnia, kiedy Cosimo powstał z martwych. Tylko po to, by wkrótce powrócić do ich krainy.

Brzydka Wiolanta.

Cóż za przydomek! Pewnie niełatwo było z nim żyć. Ale poddani Wiolanty wymawiali to przezwisko z czułością. Mówiono, że każe nocą wywozić do głodujących wiosek resztki z książęcej kuchni, że karmi potrzebujących w Ombrze, sprzedając srebrne uprząże i konie z książęcych stajni, chociaż Szczapa zamykał ją za karę w komnatach zamkowych. Wstawiała się za skazańcami wywożonymi na miejsce stracenia i za tymi, którzy znikali w lochach - choć jej słowa nie znajdowały posłuchu. Wiolan-ta była bezsilna we własnym zamku - tak to przedstawiał Mo Czarny Książę. Nawet syn jej nie słuchał, ale Szczapa mimo to bał się jej, bo w końcu była córką jego nieśmiertelnego szwagra.

Dlaczego przyprowadzili go do niej, i to w dodatku na miejsce wiecznego spoczynku jej męża? Czy chciała zainkasować nagrodę za jego głowę, ubiegając w ten sposób namiestnika?

- Ma bliźnę? - spytała, nie odwracając wzroku od jego twarzy.

Jeden z żołnierzy nieśmiało podszedł do Mo, ale on sam podciągnął rękaw, tak jak to uczyniła tamta dziewczynka poprzedniej nocy. Bliźna, którą pozostawiły psy Basty dawno

temu, w innym życiu, w innym świecie. Fenoglio osnuł na jej tle całą opowieść i czasem Mo miał wrażenie, jakby starzec wyblakłym atramentem własnoręcznie namalował mu tę bliznę na ramieniu.

Wiolanta podeszła do niego z szelestem ciężkich sukien szorujących o posadzkę. Była naprawdę drobna, sporo niższa od Meggie. Kiedy sięgnęła do wyszywanego woreczka u pasa, Mo spodziewał się, że wyciągnie beryl, o którym opowiadała mu Meggie, tymczasem Wiolanta wydobyła z woreczka prawdziwe okulary. Gładko szlifowane szkła, srebrna oprawka, wzorem musiały być okulary Orfeusza. Pewnie niełatwo było znaleźć szlifierza, który podjął się tego zadania.

- Rzeczywiście. To właśnie ta opiewana w pieśniach blizna. Niebezpieczna rzecz - rzekła Wiolanta. Szkła powiększały jej oczy, które nie były oczami jej ojca. - A więc Balbulus miał rację. Czy wiesz, że mój ojciec znów podwoił nagrodę wyznaczoną za twoją głowę?

- Słyszałem o tym - odparł Mo, spuszczać rękaw.

- A jednak zjawileś się tu, by obejrzeć malowidła Balbulusa. Podoba mi się to. Najwidoczniej jest prawdą, co mówią o tobie pieśni: że jesteś nieustraszony i wręcz kochasz niebezpieczeństwa.

Przyglądała mu się z taką uwagą, jakby porównywała go z człowiekiem na miniaturze Balbulusa. Ale kiedy odwzajemnił jej spojrzenie, twarz jej spurpurowiała, Mo nie był pewien, czy z zakłopotania, czy z gniewu, że ośmielił się na nią patrzeć. Odwróciła się raptownie, podeszła do sarkofagu i pogłaskała alabastrowe róże, jak gdyby chciała je ożywić.

- Na twoim miejscu postąpiłabym tak samo. Od dawna myślałam, że jesteśmy do siebie podobni. Gdy tylko usłyszałam pierwszą pieśń o tobie. W tym świecie nieszczęście wylega się jak komary w stawie, ale można z nim walczyć. Oboje to zrozumieliśmy. Kradłam pieniądze z kasy państwowej, zanim jeszcze ktokolwiek usłyszał o tobie. Na nowy szpital, na schronisko dla ubogich lub przytułek dla sierot... Zawsze urządziłam to tak, że któryś z zarządców odpowiadał za kradzież. Oni wszyscy przecież zasługują na stryczek.

Odwróciła się ku niemu. Krnąbrnie wysunięta broda znamionowała upór. Meggie też miała czasem taką minę. Wiolan-ta wydawała się bardzo stara, a zarazem bardzo młoda. Jakie były jej zamiary? Czy wyda go ojcu, by za otrzymaną nagrodę nakarmić ludzi albo kupić wreszcie Balbulusowi dostateczną ilość pergaminu i farb? Każdy w Ombrze wiedział, że zastawiła obrączkę ślubną, by zdobyć pieniądze na jego pędzle. „Czy byłoby coś bardziej naturalnego - myślał Mo - niż sprzedaż skóry intrologatora na nowe księgi?”.

Jeden z żołnierzy wciąż stał za nim, pozostali dwaj pilnowali drzwi. Było to zapewne jedyne wyjście z krypty. Trzech. Było ich tylko trzech...

- Znam każdą pieśń o tobie. Kazałam je wszystkie zapisać - powiedziała Wiołanta.

Jej oczy za okularami były szare i dziwnie wyblakłe, jakby same przyznawały się do swojej słabości. Nie, oczy te nie przypominały jaszczurzych oczu Zmijogłowego. Musiały to być oczy jej matki. Książkę, w której zaklęta została śmierć, Mo oprawił w komnacie, gdzie niegdyś przebywała księżna ze swoją brzydką córką. Czy Wiołanta pamiętała tę komnatę? Na pewno.

- Te nowe pieśni są bardzo kiepskie - ciągnęła - ale Balbulus wyrównuje ich braki literackie swoimi obrazami. Od kiedy ojciec uczynił Szczapę panem tego zamku, Balbulus pracuje głównie po nocach, a ja przechowuję te książki u siebie, żeby nie podzieliły losu innych. Czytam je, gdy Szczapa ucztuje w wielkiej sali jadalnej. Czytam je głośno, by słowa stłumiły odgłosy uczt: pijackie okrzyki, głupawy rechot, płacz Tulia ściganego po korytarzach... A każde ich słowo napełnia moje serce nadzieją, że któregoś dnia staniesz w tej sali pośród nich, mając u boku Czarnego Księcia, i wszystkich ich pozabijasz. Jednego po drugim. A ja będę stała obok, nurzając stopy we krwi.

Żołnierze Wiołanty ani drgnęli. Musieli często słyszeć podobne słowa z ust swej pani.

Wiołanta postąpiła krok w jego kierunku.

- Kazałam cię wszędzie szukać, gdy tylko dowiedziałam się od ludzi ojca, że ukrywasz się po tej stronie lasu. Chciałam ich ubiec, ale ty potrafisz stać się niewidzialny. Pewnie ukrywają cię koboldy i wróżki, dokładnie tak, jak to opisują pieśni, a mszan-ki leczą twoje rany...

Mo nie mógł powstrzymać uśmiechu. W tej chwili twarz Wiołanty przypominała twarz Meggie, kiedy opowiadała mu jedną ze swoich ulubionych historii.

- Dlaczego się uśmiechasz? - spytała Wiołanta, marszcząc czoło, i z jej jasnych oczu spozjrzał na niego Żmijogłowy.

„Miej się na baczności, Mo!”

- O, wiem dobrze, dlaczego! Myślisz sobie, to tylko kobieta, właściwie dziewczyna, bez męża, bez żołnierzy. To prawda, że większość moich żołnierzy poległa w lesie, gdyż memu mężowi za bardzo się spieszyło do rozprawy z moim ojcem. Ale ja nie jestem taka głupia! Powiedziałam Balbulusowi: „Każ ogłosić, że poszukujesz nowego introligatora. Może w ten sposób znajdziemy Sójkę. Jeśli jest taki, jak go opisał Taddeo, na pewno przyjdzie, żeby obejrzeć twoje miniatury. A wówczas, gdy już będzie więźniem w moim zamku, tak jak niegdyś był więźniem w Mrocznym Zamku - spytam go, czy pomoże mi zgładzić mojego

nieśmiertelnego ojca”. - Uśmiech rozbawienia wykwitł na jej wargach, gdy Mo rzucił żołnierzom spłoszone spojrzenie. - Nie musisz się niczego obawiać! Moi żołnierze są mi oddani na śmierć i życie. Ludzie mego ojca pozabijali ich braci i ojców w Nieprzebytym Lesie!

- Twój ojciec, pani, nie będzie już długo nieśmiertelny. Słowa te wyrwały mu się z ust mimo woli.

„Głupcze! - skarcił się. - Zapomniałeś, kto przed tobą stoi, tylko dlatego, że jej twarz przypomina ci twarz córki?”. Ale Wiolanta uśmiechnęła się tylko.

- A więc to prawda, co mi powiedział bibliotekarz ojca? - spytała cicho, jakby umarli mogli ich usłyszeć. - Kiedy ojciec poczuł się gorzej, myślał najpierw, że to jedna z jego służących go otruła.

- Mortola - wyrzekł głucho Mo.

Za każdym razem, gdy wypowiadał jej imię, widział oczyma duszy, jak podnosi fuzję do ramienia.

- Znasz ją? - Wiolanta tak jak on zdawała się unikać wymawiania jej imienia. - Ojciec kazał ją torturować, by wydobyć z niej zeznanie, jakiej trucizny użyła - ciągnęła - a gdy się nie przyznała, wtrącił ją do lochu, lecz ona pewnego dnia zniknęła. Mam nadzieję, że nie żyje. Podobno to ona otruła moją matkę. - Przejechała ręką po sukni, jakby mówiła o jakości materiału, a nie o śmierci matki. - Mniejsza o to. Wreszcie ojciec połapał się, kto jest winien, że jego ciało zaczyna obumierać. Taddeo już wkrótce po twojej ucieczce zauważył, że książka wydaje podejrzany zapach, a kartki zaczynają pęcznieć. Zatrzaski przez jakiś czas jeszcze wytrzymały i tuszowały zniszczenia, które, jak przypuszczam, zostały przez ciebie zaplanowane. Biedny Taddeo o mało nie umarł ze strachu, gdy odkrył, w jakim stanie jest książka. Prócz ojca jest jedynym człowiekiem, któremu wolno dotykać księgi i który wie, gdzie jest ukryta... Zna nawet te trzy słowa, które należy wpisać, by odebrać nieśmiertelność. Każdego innego, kto by posiadał tę wiedzę, ojciec kazałby natychmiast zgładzić. Ale staremu bibliotekarzowi ufa jak nikomu na świecie, może dlatego, że Taddeo przez długie lata był jego nauczycielem i zawsze brał go w obronę przed dziadkiem. Kto to może wiedzieć? Oczywiście Taddeo nie zdradził mojemu ojcu, co się dzieje z książką. Za taką wiadomość ojciec nie zawahałby się powiesić nawet swojego starego nauczyciela. Dlatego Taddeo potajemnie wzywał po kolei wszystkich introligatorów mieszkających między Nieprzebytym Lasem a morzem, a gdy żaden nie potrafił pomóc, za radą Balbulusa kazał sporządzić drugą księgę, do złudzenia przypominającą oryginał, którą pokazywał ojcu, gdy ten życzył sobie ją widzieć. Tymczasem z ojcem z dnia na dzień jest coraz gorzej. Cały świat już o tym wie. Jego

oddech cuchnie jak odstana woda w kałuży, a ciało marznie mu okropnie, jakby białe damy były już tak blisko, że czuje na twarzy ich tchnienie. To się nazywa zemsta, Sójko! Nieskończone życie obarczone nieskończonym cierpieniem. Nie wygląda to na dzieło anioła, lecz przebiegłego szatana. Którym z nich jesteś naprawdę? Mo nic na to nie odrzekł.

„Nie ufaj jej!” - szeptał ostrzegawczy głos w jego duszy. Ale serce mówiło mu co innego.

- Ojciec przez długi czas podejrzewał tylko Mortolę - ciągnęła Wiolanta. - Przestał cię nawet ścigać. Ale pewnego dnia jeden z tych introligatorów, których Taddeo wzywał na pomoc, zdradził ojcu, co się dzieje z książką. Miał chyba nadzieję na nagrodę, ale zamiast tego ojciec kazał go zgładzić, nie życząc sobie, by ktokolwiek wiedział, jak stoi sprawa jego nieśmiertelności. Ale wkrótce plotka się rozniosła. Po tamtej stronie lasu nie pozostał chyba przy życiu ani jeden introligator – szubienica czekała każdego, kto nie potrafił uzdrowić książki. A Taddeo trafił do najciemniejszego lochu pod zamkiem - „żeby twoje ciało gniło tak samo powoli jak moje”, powiedział podobno mój ojciec. Nie wiem, czy jeszcze żyje. Taddeo to zgrzybiały starzec, a lochy Mrocznego Zamku zmogły młodszych od niego.

Mo poczuł nudności, tak jak wtedy w Mrocznym Zamku, gdy opraciał książkę o pustych kartach, by ratować Resę, Meggie i siebie. Już wówczas czuł, że wymienia ich życie na życie wielu innych ludzi. Biedny strachliwy Taddeo. Oczyma duszy Mo widział go skurczonego w lochu bez najmniejszego choćby okienka. Widział także tych wszystkich introligatorów, całkiem wyraźnie ich widział, wysoko w górze kołysanych podmuchami wiatru... Zamknął oczy.

- Proszę, proszę. Zupełnie jak w tych pieśniach - usłyszał głos Wiolanty. - W jego piersi bije serce zdolne jak żadne do współczucia - zacytowała. - Wydaje się, że jest ci naprawdę przykro, że inni umierają za to, co ty sam zrobiłeś. Nie bądź głupi. Mój ojciec lubi zabijać, gdyby nie powiesił introligatorów, powiesiłby innych! Ostatecznie to nie żaden introligator, lecz alchemik znalazł sposób na uratowanie książki. Podobno jest to mało apetyczny sposób, a ponadto alchemik nie zdołał cofnąć zmian. Ale osiągnął przynajmniej tyle, że książka przestała gnić, a ojciec tym usilniej zaczął cię poszukiwać, gdyż wierzy, że tylko ty jeden możesz zdjąć z niego klątwę, którą zręcznie ukryłeś między kartami. Nie czekaj, aż cię znajdzie. Uprowadź go! Sprzymierz się ze mną. Razem zdołamy go pokonać - ja i ty, Sójko, jego córka i zbójca, który już raz zdołał go przechytrzyć. Pomóż mi go zabić. Wspólnie dokonamy tego z łatwością!

Nie mógł znieść jej wzroku. Patrzyła na niego z taką nadzieją jak dziecko, które właśnie wypowiedziało swoje najskrytsze pragnienie. Chodź, Sójko, zabijemy mojego ojca...!

„Co trzeba zrobić córce - myślał Mo - by wzbudzić w niej takie uczucia?”.

- Nie wszystkie córki kochają ojców, Sójko - rzekła Wiolan-ta, jakby wzorem Meggie czytała w jego myślach. - Podobno twoja córka bardzo cię kocha - tak samo jak ty ją. Ale mój ojciec zabije je obie, twoją córkę, twoją żonę, wszystkich, których kochasz, a na końcu zabije ciebie. Nie dopuści do tego, byś nadal czynił go pośmiewiskiem poddanych. Znajdzie cię, choćbyś się nadal tak sprytnie ukrywał jak lis w norze, bo jego ciało nieustannie przypomina mu o tym, co mu zrobiłeś. Pod wpływem słońca skóra przyczynia mu niewymownego bólu, a członki ma tak obrzmiałe, że nie może dosięść konia. Nawet chodzenie sprawia mu trudność. Dniem i nocą rozmyśla, jak by tu zaszkodzić tobie i twoim bliskim. Na jego polecenie Piszczalka pisze pieśni o twojej śmierci tak okropne, że ci, co je słyszeli, podobno nie mogą spać po nocach. A niebawem przyśle go do Ombry, żeby i tutaj śpiewał te pieśni - i ścigał cię. Piszczalka od dawna czekał tylko na przyzwolenie; na pewno cię znajdzie. Zginiesz przez swoje współczucie dla biedaków. Zgładzi tylu niewinnych ludzi, że wreszcie ich krew wywabi cię z kryjówki. Ale jeśli ci pomogę...

W tym miejscu jakiś głos na zewnątrz przerwał Wiolancie. Był to głos dziecka nawykłego do rozkazywania dorosłym, a dochodził z góry, z końca długich schodów wiodących do krypty.

- Na pewno jest u niej, przekonasz się! - wołał podniecony Ja-copo. - Balbulus potrafi kłamać, zwłaszcza gdy kłamie dla dobra mojej matki! Ale jedno go zdradza - kiedy kłamie, szarpie rękawy płaszcza i zachowuje się jeszcze bardziej impertynencko niż zwykle. Dziadek mnie nauczył zwracać uwagę na takie drobiazgi.

Żołnierze pilnujący wejścia spojrzeli pytająco na swoją panią, ale Wiolanta, nie zwracając na nich uwagi, nasłuchiwała uważnie, co się dzieje na schodach. Kiedy przez drzwi dobiegł ich drugi głos, Mo po raz pierwszy zobaczył lęk w nieustraszonych oczach księżnej. Z łatwością rozpoznał ten głos, choć słyszał go tylko w malignie, i wyciągnął nóż. Kopeć miał głos tak chropawy, jakby ogień, z którym tak kiepsko sobie radził, osmalił mu struny głosowe.

„Jego głos jest ostrzeżeniem - mawiała Resa - ostrzeżeniem przed jego piękną twarzą i uśmiechem przyklejonym do warg”.

- Tak, tak, Jacopo, jesteś bardzo sprytny - mówił Kopeć z lekką kpina w głosie, której chłopiec zapewne nie wyczuł. - Ale dlaczego w takim razie nie idziemy do komnat twojej matki?

- Bo nie byłaby taka głupia, żeby go przyjmować u siebie. Moja matka jest mądra, mądrzejsza od was wszystkich!

Wiolanta podeszła do Mo i chwyciła go za ramię.

- Schowaj nóż! - szepnęła. - Sójka nie umrze w tym zamku, nie chcę usłyszeć kiedyś takiej pieśni. Chodź ze mną.

Skinęła na żołnierza, który stał za plecami Mo - był to wysoki, szeroki w barach młodzieniec trzymający miecz tak niezdarnie, jakby po raz pierwszy w życiu miał go w ręce - i pospieszyła między sarkofagi z taką pewnością, że znać było, iż nieraz ukrywała tu kogoś przed swoim synem. W krypcie stało kilkanaście sarkofagów. Na wiekach leżały śpiące wiecznym snem kamienne postacie z kamiennymi mieczami ułożonymi na piersiach, z granitowymi psami u nóg, z głowami na marmurowych poduszkach. Wiolanta mijała je obojętnie, aż zatrzymała się przed ostatnim sarkofagiem, którego gładkie wieko pęknięte było przez środek, tak jakby umarły próbował wyjść z grobu.

- Jeśli nie znajdziemy tu Sójki, postraszymy Balbulusa? Wrócimy do pracowni i przywołasz ogień, żeby trochę opalił jego księgi! - mówił Jacopo z taką zawiścią w głosie, jakby Balbulus był jego starszym bratem, którego matka kocha bardziej od niego.

Młoda twarz żołnierza nabiegła krwią z wysiłku, gdy zabrał się do odsuwania części pękniętego wieka w nogach sarkofagu. Sarkofag był pusty, ale Mo na chwilę przestał oddychać z wrażenia, układając się na dnie kamiennej trumny.

Czy Wiolanta wyrzuciła kości zmarłego, by mieć kryjówkę dla swoich szpiegów? Żołnierz zasunął na powrót połówkę wieka i w środku zapanowały egipskie ciemności. Jedynie przez kilka okrągłych otworków układających się we wzór kwiatu wnikało nieco światła i powietrza.

„Oddychaj, Mo, wolno i spokojnie”.

Nie wypuszczał noża z garści. Szkoda, że nie dałoby się użyć żadnego z tych kamiennych mieczy, które dzierżyły postacie na sarkofagach.

„Myślisz, że warto ryzykować własną skórę, żeby zobaczyć parę wymalowanych koźlich skór?” - spytał Baptysta, kiedy Mo poprosił go o uszycie czarnych ubrań i pasa.

„Ależ z ciebie głupiec, Mortimerze - rozmyślał. - Czy ten świat nie dał ci dość dowodów na to, jaki jest niebezpieczny?”.

Ale te wymalowane koźle skóry były naprawdę piękne!

Pukanie do drzwi krypty. Odsuwa się rygiel. Głosy stają się wyraźniejsze. Kroki... Mo próbował zobaczyć przez dziurki, co się dzieje na zewnątrz, ale dostrzegł tylko fragment sąsiedniego sarkofagu i skraj sukni Wiolanty, który zaraz zniknął, gdy spiesznie ruszyła ku drzwiom. Nie, oczy tu na nic się nie zdadzą. Opuścił głowę, przyłożył ucho do kamiennej

podłogi i nasłuchiwał. Nie wiedział, że oddychanie może czynić tyle hałasu. Czy może być bardziej zdradliwy odgłos między umarłymi?

„A jeśli to nie przypadek, że Kopec pojawia się właśnie w takiej chwili?” - szeptał jakiś głos w jego duszy.

Jeśli Wiolanta tylko na niego czekała?

„Nie wszystkie córki kochają ojców”.

A może Brzydka Wiolanta postanowiła ofiarować ojcu bezcenny prezent? „Spójrz, kogo ci przywiodłam - powie. - Sójkę. Głupiec, przebrał się za wronę, myślał, że mnie tym zmyli”.

- Wasza Wysokość! - Głos Kopcia odbił się takim echem od kamiennego sklepienia, jakby tamten stał tuż obok sarkofagu, w którym leżał Mo. - Wybacz, pani, że zakłócamy twoją żalobę. Ale twój syn chciał, bym spotkał się z gościem, którego dzisiaj przyjęłaś u siebie. Podobno to mój stary i bardzo groźny znajomy.

- Gościem? - powiedziała Wiolanta głosem tak zimnym jak kamień pod głową Mo. - Jedynym gościem tutaj jest śmierć, a przed nią próżno ostrzegać człowieka.

Kopec roześmiał się chrapliwie.

- Z pewnością, Wasza Wysokość. Ale Jacopo wspominał o gościu z krwi i kości, o introligatorze, wysoki, ciemne włosy...

- Wiem, że Balbulus przyjmował dzisiaj jakiegoś introligatora - przerwała mu Wiolanta. - Od dawna poszukuje kogoś, kto zna się lepiej na tym zawodzie niż ci w Ombrze.

Co to był za odgłos? Aha, to Jacopo podskakuje na kamiennej posadzce. A więc i on robi czasem to co inne dzieci. Podskoki Jacopa zbliżały się coraz bardziej. Ach, jak trudno było utrzymać ciało w martwym bezruchu, kiedy oddech unosił piersi. Mo zamknął oczy, by nie widzieć kamiennych ścian wokół.

„Oddychaj jak najpłycej, Mortimerze - napominał się w myślach - tak lekko i cicho jak wróżki”.

Odgłos podskoków urwał się tuż obok...

- Ukryłaś go! - zabrzmiały nad nim słowa Jacopa tak wyraźnie, jakby mówił do niego.
- Może powinniśmy przeszukać sarkofagi, Kopciu?

Ta myśl zdawała się zachwycać małego, ale Kopec zaśmiał się nerwowo i powiedział:

- Chyba nie będzie to potrzebne, jeśli wyjaśnimy twojej matce, z kim ma do czynienia. Ten introligator - zwrócił się do Wiolanty - to najpewniej ten sam, którego poszukuje twój ojciec, pani.

- Sójka? Sójka tu na zamku? - zdziwiła się Wiolanta tak szczerze, że nawet Mo gotów był jej uwierzyć. - Zawsze mówiłam ojcu: zobaczysz, że któregoś dnia zuchwalstwo zgubi tego zbója! Tylko nie waż się mówić o tym Szczapie. To ja chcę złować Sójkę, aby ojciec zrozumiał, komu należy się tron Ombry! Wzmocniłeś strażę przy bramie? Posłałeś żołnierzy do Balbulusa?

- N-nie... - wyjąkał zakłopotany Kopeć. - To znaczy... nie ma go już u Balbulusa, pewnie...

- Co? Ty głupcze! - wykrzyknęła Wiolanta ostro, do złudzenia przypominając w tym ojca. - Trzeba opuścić kratę w bramie. Natychmiast! Jeśli ojciec się dowie, że Sójka był na zamku, w mojej bibliotece, a potem najspokojniej w świecie sobie odjechał... - Jak groźnie brzmiały jej słowa w chłodzie grobowej krypty. O tak, Wiolanta była mądra, jej syn miał rację. - Sandro! - zawołała (to musiał być jeden z jej żołnierzy). - Powiedz strażom przy bramie, żeby opuścili kratę. Nikt nie może wyjechać z zamku. Nikt, słyszysz? Mam nadzieję, że nie jest jeszcze za późno! Jacopo!

- Słucham? - W głosie małego brzmiał strach, przekora - i podejrzliwość.

- Jeśli Sójka zauważy, że brama jest zamknięta, to gdzie może się schować? Ty przecież znasz tutaj wszystkie zakamarki.

- Jasne! - odparł ochoczo mały, zapominając o podejrzeniach, gdyż uwaga matki wyraźnie mu pochlebiła. - Mogę ci pokazać najtajniejsze schowki!

- To dobrze! Zdejmij trzy strażę na górze przy sali tronowej i każ im pilnować najlepszych schowków, jakie znasz. A ja porozmawiam z Balbulusem. Coś takiego, Sójka! W moim zamku!

Kopeć chciał coś powiedzieć, ale Wiolanta przerwała mu ostro i kazała iść za sobą. Kroki i głosy poczęły się oddalać, aż umilkły na dobre, ale Mo zdawało się, że wciąż je słyszy na tych wysokich schodach prowadzących na górę, do świata żywych z dala od umarłych, na światło dzienne, gdzie można było swobodnie zaczerpnąć tchu...

Leżał nieruchomo, nasłuchując, aż zdawało mu się, że słyszy oddech umarłych. Wreszcie spróbował podnieść kamienne wieko, chwytając za nóż, gdy znów rozległy się kroki.

- Sójko! - usłyszał cichy szept.

Połowa wieka odsunęła się i żołnierz, który przedtem ukrył go w sarkofagu, teraz pomógł mu się wydostać.

- Musimy się pospieszyć! - szepnął. - Szczapa wszczął alarm. Wszędzie roi się od straży, ale Wiolanta zna różne tajne wyjścia z zamku, których nawet Jacopo jeszcze nie odkrył. Mam nadzieję... - dodał po chwili.

Mo wciąż trzymał w ręce nóż, rozprostowując zdrętwiałe członki. Młody żołnierz nie odrywał od niego wzroku.

- Ilu już zabiłeś, panie? - spytał nabożnie, jakby zabijanie było wielką sztuką, równą sztuce Balbulusa.

W jakim był wieku? Miał czternaście, piętnaście lat? Wydawał się młodszy od Farida.

Ilu? Co mógł mu odpowiedzieć? Jeszcze kilka miesięcy temu odpowiedź byłaby prosta, pewnie roześmiałyby się, słysząc tak absurdalne pytanie. Ale teraz rzekł tylko:

- Mniej niż leży w tych sarkofagach. Nie był pewien, czy to prawda.

Młodzieniec rozejrzał się po nagrobkach, jakby je chciał policzyć.

- Czy to łatwo zabijać?

Sądząc po zaciekawieniu malującym się w jego oczach, chyba naprawdę nie znał jeszcze odpowiedzi na to pytanie, mimo że nosił u pasa miecz, a na piersiach kolczugę.

„O tak - pomyślał Mo - to bardzo łatwe... Wystarczy, by w twojej piersi zabiło drugie serce, tak zimne i ostre jak miecz, który nosisz. Trochę nienawiści, gniewu, parę tygodni strachu i bezsilnej wściekłości - i już je czujesz. Kiedy przychodzi do zabijania, ono uderza do taktu, dziko i prędko... I dopiero kiedy jest po wszystkim, znów czujesz w piersiach to pierwsze serce, które bije miękko i ciepło. I ogarnia cię przerażenie na myśl o tym, co zrobiłeś w takt tamtego. Twoje prawdziwe serce drży z bólu. Ale to się dzieje dopiero po wszystkim”.

Chłopiec wciąż czekał na odpowiedź.

- Nazbyt łatwo - odparł Mo. - Umierać jest ciężej. Choćby uśmiechnięty posąg Cosima twierdził co innego...

- Czy nie mówiłeś przed chwilą, że musimy się pospieszyć? - przypomniał Mo.

Żołnierz zarumienił się pod błyszczącym hełmem opadającym mu na czoło.

- Tak, tak... oczywiście...

Przed małą niszą w głębi krypty za sarkofagami stał na straży kamienny lew z herbem Ombry na piersiach - zapewne jedynym pozostawionym przez Szczapę. Żołnierz wsunął ostrze miecza między obnażone kły lwa i w ścianie krypty pokazała się szczelina na tyle szeroka, by zdołał się przez nią przecisnąć dorosły mężczyzna. Czy Fenoglio przypadkiem nie opisał w swej książce tego tajnego wyjścia? Owszem, Mo przypomniał sobie dawno przeczytane słowa o jednym z przodków Cosima, który wielokrotnie salwował się ucieczką przed wrogami, wykorzystując ten tajny korytarz.

„I znów słowa ratują Sójkę z opresji” - pomyślał.

A dlaczego nie? Przecież jest z nich zrobiony. Mimo to przesunął palcami po murze, jakby chciał się upewnić, że ściany krypty są zrobione nie tylko z papieru.

- Wyjście z korytarza znajduje się w skale wysoko ponad zamkiem - szepnął młodzieniec. - Wiolanta nie mogła wyprowadzić twojego konia ze stajni, żeby nie zwracać uwagi. Ale czeka tam inny. Las na pewno roi się od żołnierzy, musisz więc być ostrożny, panie! I jeszcze mam ci przekazać to.

Mo wsunął rękę do juków, które mu podał żołnierz.

Książki.

- Wiolanta kazała powiedzieć, że to prezent od niej i że ci go daje w nadziei, iż zawrzesz z nią przymierze, które proponuje.

Korytarz ciągnął się bez końca i był tak wąski, że Mo odetchnął z ulgą, gdy wreszcie ujrzał światło dzienne. Wyjście okazało się ciasną szparą między skałami. Osiodłany koń czekał pod drzewami. Mo widział pod sobą całą Ombkę, strażników na murach zamku, żołnierzy wysypujących się przez bramę jak rój szarańczy. Tak, musi być bardzo ostrożny. Mimo to sięgnął do juk i ukryty między skałami otworzył jedną z ksiąg.

Rozdział 10

Jak gdyby nigdy nic

Jak okrutnym blaskiem jarzy się ziemia, łąki,

brzozy gną się i jęczą.

Jak okrutnie, jak niewypowiedzianie czule.

Louise Glück, Lament

Meggie ukryła twarz na ramieniu Farida, a on trzymał ją za rękę i powtarzał bez przerwy, że wszystko będzie dobrze. Ale Czarny Książę jeszcze nie wrócił, a wrona wysłana przez Geko-na przyniosła tę samą wiadomość co Doria, młodszy brat Siłacza, który szpiegował na rzecz zbójców, od kiedy Drab z przyjaciółmi uratował go przed szubienicą: na zamku wszczęto alarm. Spuścili kratę w bramie, a strażnicy przechwalali się, że wkrótce głowa Sójki będzie spoglądała na świat z blanków Ombry.

Siłacz zaprowadził Meggie i Resę do obozu zbójców, chociaż upierały się, by wrócić do Ombry.

- Tego życzyłby sobie Sójka! - skwitował krótko ich protesty.

A Czarny Książę z Baptistą udali się spiesznie do zagrody, która przez kilka tygodni była ich domem - przez kilka szczęśliwych tygodni, tak ludząco spokojnych w niespokojnym świecie Fenoglia.

- Idziemy po wasze rzeczy - odparł Czarny Książę, gdy Re-sa spytała go o cel wyprawy. - Nie możecie tam wrócić.

Ani Resa, ani Meggie nie zapytały dlaczego, gdyż dobrze znały odpowiedź. Dlatego, że Sójkę będą przesłuchiwać i nikt nie mógł być pewien, czy Mo w którymś momencie nie zdradzi, gdzie się ukrywał ostatnimi czasy.

Zbójcy przenieśli także swój obóz, kilka godzin po tym, jak dowiedzieli się o aresztowaniu Mo.

- Szczapa ma paru dobrych speców od tortur - zauważył Drab.

A Resa usiadła pod drzewem z dala od innych i ukryła twarz w dłoniach.

Fenoglio pozostał w Ombrze.

- Może dopuszczą mnie przed oblicze Wiolanty - powiedział. - A Minerwa dzisiejszej nocy będzie usługiwać w kuchni zamkowej. Może się czegoś dowie. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, Meggie! - zapewnił dziewczynkę na odjezdnym.

- Akurat! Położy się do łóżka z dwoma dzbanami wina! - skwitował jego obietnicę Farid i umilkł skruszony, gdy Meggie wybuchnęła płaczem.

Dlaczego pozwoliła Mo pojechać do Ombry? Gdyby chociaż poszła z nim na zamek! Ale ona wolała zostać z Faridem. W oczach matki czytała nieme oskarżenie: tylko ty jedna mogłaś go powstrzymać.

Kiedy się ściemniło, Kuternoga przyniósł im coś do jedzenia. Miał drewnianą nogę i stąd wzięło się przewisko. Nie należał do najsprawniejszych zbójców, ale za to był dobrym kucharzem. Mimo to Meggie i Resa nie przełknęły ani kęsa. Zrobiło się bardzo zimno i Farid próbował nakłonić Meggie, by usiadła przy ognisku, ale na próżno: chciała pozostać ukryta w ciemności, z dala od innych. Siłacz przyniósł jej koc. Był z nim jego brat Doria.

- Nie nadaje się na kłusownika, ale jest doskonałym szpiegiem - powiedział Siłacz, przedstawiając go Meggie.

Bracia nie byli do siebie podobni z wyjątkiem bujnych kasztanowatych włosów i faktu, że Doria był bardzo silny jak na swój wiek (Farid ogromnie mu tego zazdrościł). Raczej niskiego wzrostu, sięgał bratu zaledwie do ramienia, oczy miał błękitne jak wróżki Fenoglia, oczy Siłacza zaś były orzechowe.

„Pochodzimy od różnych ojców - wyjaśnił Siłacz, gdy Meggie dziwiła się temu brakowi podobieństwa. - Ale obaj są do niczego”.

- Nie powinnaś się zamartwiać - powiedział Doria głosem dorosłego człowieka.

Meggie podniosła głowę.

Doria okrył jej ramiona kocem, który przyniósł Siłacz, i zakłopotany odstepił w tył, gdy na niego spojrzała, ale nie odwrócił wzroku. Doria patrzył każdemu prosto w oczy, nawet Drabowi, któremu inni schodzili z drogi.

- Twojemu tacie nic się nie stanie, możesz mi wierzyć. On pokona ich wszystkich, Szczapę, Zmijogłowego i Piszczalkę.

- Kiedy go powieszają? - spytała gorzko Meggie, ale Doria wzruszył ramionami.

- Bzdura. Mnie też chcieli powiesić - powiedział z ożywieniem. - On jest Sójką! On i Czarny Książę uratują nas wszystkich, zobaczysz.

Mówił z taką pewnością, jakby on jeden przeczytał książkę Fenoglia do końca.

Na to Drab siedzący nieopodal w towarzystwie Gekona roześmiał się chrapliwie.

- Twój brat jest takim samym głupcem jak ty! - zawołał do Siłacza. - Ale na nieszczęście nie ma twoich mięśni, więc raczej się nie zestarzeje. Mówię ci, to koniec Sójki! A co nam zostawił w testamencie? Nieśmiertelnego Zmijogłowego!

Siłacz zacisnął pięści i chciał się rzucić na Draba, ale Doria powstrzymał go, bo Gekon wyciągnął nóż. Mimo to Gekon wstał i zrobił krok w kierunku Siłacza, groźnie wymachując nożem (ci dwaj ciągle mieli ze sobą na pieńku), ale nagle i on, i Siłacz zamarli w bezruchu, nasłuchując. Z rosnącego tuż obok dębu dobiegł ich głos sójki.

- Wrócił! Meggie, on wrócił! - zawołał Farid i tak szybko zsunął się z drzewa, że omal nie spadł.

Ognisko już dawno przygasło, tylko gwiazdy rzucały nikły blask na głęboki wąwóz, gdzie zbójcy rozbili obozowisko, i Meggie poznała Mo dopiero wtedy, gdy Kuternoga z zapaloną pochodnią pokuśtykał na spotkanie jego i Czarnego Księcia. Był z nimi także Baptysta. Wydawali się cali i zdrowi, a Doria odwrócił się do Meggie. „No widzisz, córko Sójki, a nie mówiłem?” - zdawał się mówić jego uśmiech.

Resa zerwała się, potykając się o koc, który jej przyniósł Siłacz, i roztrącając zbójców, podbiegła do Mo. Meggie pospieszyła za nią jak we śnie. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

Mo miał wciąż na sobie czarne ubranie intrologatora. Był zmęczony, ale cały i zdrowy.

- Wszystko dobrze. Już wszystko dobrze! - słyszała Meggie jego głos, gdy scałowywał mamie łzy z oczu, a kiedy stanęła przed nim, uśmiechnął się do niej, jakby wracał z krótkiej wizyty u właściciela chorych książek, a nie z zaniku, gdzie chciano go zabić. - Coś ci

przywiozłem - szepnęła i tylko po tym, jak mocno i długo trzymał ją w objęciach, poznała, że bał się tak samo jak ona.

- Zostawcie go wreszcie w spokoju! - skarcił Czarny Książę swoich ludzi, którzy otoczyli Mo kołem, chcąc się dowiedzieć, w jaki sposób Sójka po Mrocznym Zamku umknął także z zamku w Ombrze. - Dowiedcie się wszystkiego we właściwym czasie. Tymczasem wystawcie podwójne straże.

Zbójcy rozeszli się niechętnie, niektórzy, sarkając, usiedli przy dogasającym ognisku, inni zniknęli w szalasach skleconych byle jak ze szmat i starych ubrań i dających marną ochronę przed coraz zimniejszymi nocami. A Mo podprowadził Meggie i Resę do swojego konia (był to inny koń niż ten, na którym udał się do Ombrzy) i wyciągnął z juk dwie książki - tak ostrożnie, jakby to były żywe istoty. Jedną podał Resie, drugą Meggie - i roześmiał się radośnie, gdy córka chwyciła swoją z takim pośpiechem, że o mało jej nie wypadła z ręki.

- Dawno już nie mieliśmy w rękach książki, co, Meggie? - powiedział konspiracyjnym szeptem. - Otwórz ją! Zapewniam cię, że nigdy nie widziałaś piękniejszej.

Resa nawet nie spojrzała na książkę, którą dał jej Mo.

- Fenoglio mówił, że ten miniaturzysta odegrał rolę przynęty - odezwała się bezbarwnym głosem. - Mówił, że aresztowali cię w jego pracowni...

- Wszystko było inaczej, niż się wydawało. Widzisz przecież, że nic się nie stało, inaczej nie byłoby mnie tutaj.

Mo nie powiedział nic więcej, a Resa nie dopytywała się. Nie rzekła ani słowa, gdy mąż usiadł w trawie obok konia i przyciągnął Meggie do siebie.

- Farid! - zawołał.

A Farid natychmiast porzucił Baptystę, z którego próbował właśnie wyciągnąć, co się naprawdę wydarzyło w Ombrze, i podbiegł do Mo z takim samym wyrazem podziwu na twarzy, jaki Meggie przedtem widziała u Dorii.

- Możesz nam poświecić?

Klękawszy między Mo a Meggie, Farid wyczarował płomyki tańczące na jego dłoniach. Meggie zauważyła, że był zdezorientowany, najwyraźniej nie mógł pojąć, że Sójka, który dopiero co umknął żołnierzom Szczapy, nie ma nic pilniejszego do roboty, tylko pokazywać córce jakąś książkę.

- Czy widziałaś już coś równie pięknego, Meggie? - szepnął Mo, gdy Meggie wodziła palcem po jednej z miniatur bogato zdobionej złotem. - Oczywiście nie licząc wróżek - dodał z uśmiechem, gdy jedna z nich, błękitna jak niebo na ilustracjach Balbulusa, usiadła sennie na książce.

Mo odpędził ją, tak jak robił to zawsze Smolipaluch (dmuchając jej delikatnie w skrzydełka), i oboje z Meggie pochyłili głowy nad pergaminem. Meggie natychmiast zapomniała całą udrękę lęku o Mo, zapomniała o Drabie, ba, także o Faridzie, który nawet nie spojrzał na to, od czego ona nie mogła oderwać oczu. Były tam litery malowane sepią, tak ulotne, jakby Balbulus tchnął je na pergamin własnym oddechem, smoki i ptaki o długich szyjach zdobiące górny brzeg karty, kapiące złotem inicjały, niby kolorowe guziki spinające strony... Słowa szły w tany z obrazkami, obrazki wyśpiewywały słowa kolorową pieśnią.

- Czy to Brzydka Wiolanta? - spytała Meggie, wskazując delikatną figurkę kobiety.

Szczupła postać namalowana na marginesie miała twarz nie większą od połowy paznokcia małego palca Meggie, a mimo to można było dokładnie rozpoznać znamię na jej policzku.

- Tak. Balbulus zadbał też o to, by pamięć o niej nie zaginęła - powiedział Mo, wskazując na imię wypisane granatowym kolorem nad maleńką głową: Wiolanta. Literka W obwiedziona była cienką jak włos złotą bordiurą. - Widziałem się z nią dzisiaj i wydaje mi się, że niesłusznie nosi ten przydomek - ciągnął Mo. - Może ma trochę zbyt bladą twarz, bez rumieńców. Wydaje mi się też, że jest pamiętliwa. Jest jednak przy tym bardzo odważna.

Na otwartej książce wylądował liść. Mo chciał go strącić, ale wtedy liść uchwycił się jego palca cieniutkimi pajęczymi rączkami.

- No proszę - powiedział Mo, podnosząc listek do oczu - czy to przypadkiem nie jeden z liściowych ludzików Orfeusza? Wygląda na to, że jego twory rozpleniły się w całej okolicy.

- I przeważnie są niezbyt przyjemne - zauważył Farid. - Uważaj, bo ten cię zaraz opluje.

- Naprawdę? - roześmiał się Mo i wyrzucił ludzika w powietrze, nim ten zdążył zebrać ślinę.

Resa odprowadziła wzrokiem odlatujące dziwadło, po czym podniosła się raptownie.

- To wszystko kłamstwo! - zawołała, a głos jej drżał z emocji. - Wszystkie te urokliwe widoki i twory to jedno wielkie kłamstwo! Są tylko po to, aby odwrócić naszą uwagę od mroku, od nieszczęścia, od śmierci!

Mo położył Meggie książkę na kolanach i wstał, ale Resa usunęła się przed nim.

- To nie jest nasza historia! - powiedziała tak głośno, że kilku zbójców obejrzało się na nich. - Ona wysysa nasze serca tym swoim urokiem. Chcę do domu. Chcę zapomnieć o tych wszystkich koszmarach i przypomnieć sobie o tym dopiero wtedy, gdy będę leżała wygodnie na kanapie w domu Elinor!

Gekon również patrzył na nich. Jedna z jego wron próbowała mu ukraść z ręki kawałek mięsa. Drab także przysłuchiwał się rozmowie.

- Nie możemy wrócić, Reso - powiedział Mo, zniżając głos. - Fenoglio przestał pisać, zapomniałaś o tym? A Orfeuszowi nie można ufać.

- Fenoglio na pewno postara się nas odesłać do domu, jeśli go o to poprosisz - odezwała się nagle Meggie. - Jest ci to winien. Proszę cię, Mo! Ta historia nie skończy się dobrze!

Mo zaskoczony popatrzył na Meggie, która wciąż siedziała obok Farida z książką na kolanach. A czego się spodziewał? Ze będzie innego zdania niż matka?

Farid obrzucił Resę nieprzychylnym wzrokiem i zgasił płomyki tańczące na jego rękach.

- Czarodziejski Języku! - zawołał.

Mo spojrzał na niego pytająco. Miał teraz tyle imion. Meggie nie mogła sobie przypomnieć tych odległych czasów, kiedy nazywał się zwyczajnie Mo.

- Muszę wracać, co mam przekazać Orfeuszowi? - spytał Farid, patrząc na niego błagalnie. - Opowiesz mu o białych damach? - Na twarzy miał gorączkowe wypieki: wciąż trawiła go niemądra nadzieja...

- Przecież ci już mówiłem, że nie mam nic do opowiedzenia - odparł Mo, a Farid spuścił głowę i przyglądał się swoim osmalonym palcom, jakby Mo właśnie wytrącił nadzieję z jego rąk.

Podniósł się z miejsca, ukazując bosc stopy. Nie nosił butów, chociaż nocą zdarzały się już przymrozki.

- Trzymaj się, Meggie - rzucił, całując ją przelotnie.

A potem odwrócił się i bez słowa wsiadł na swego osiołka. Meggie już zaczynała za nim tęsknić. Może naprawdę powinni wrócić...? Wzdrygnęła się, gdy Mo położył jej rękę na ramieniu.

- Zawień książkę w jakąś szmatę - powiedział. - Rosa może jej zaszkodzić.

Minał jej matkę i poszedł do zbójców. Tkwili nieruchomo przy wygasłym ognisku i zdawało się, że na niego czekają.

A Resa patrzyła na trzymaną w ręce książkę takim wzrokiem, jakby to była inna: ta, która przed ponad dziesięciu laty wciągnęła ją żywcem do tego świata. Potem spojrzała na Meggie.

- Co się z tobą dzieje? - spytała. - Czy ty też chcesz tu pozostać, tak jak tata? Nie tęsknisz za przyjaciółkami, Elinor i Dariuszem? Za prawdziwym łóżkiem, kawiarenką nad jeziorem, spokojnymi ulicami?

Ileż Meggie dałaby za to, by móc udzielić matce odpowiedzi, jakiej ta oczekiwała. Ale nie mogła.

- Nie wiem - odparła cicho. I była to szczerą prawdą.

Rozdział 11

Chora z tęsknoty

W tych dniach straciłam cały świat. Znalazł go może kto? Rozpoznasz go po wieńcu gwiazd, co mu u czola lśni.

Dla bogacza nieznaczna to strata, lecz dla mych skromnych dni cena jego ponad wszystkie dukaty. O Panie, znajdź go mi!

Emily Dickinson, W tych dniach straciłam cały świat...

Elinor wiele się w życiu naczytała o bohaterach, którzy popadali w chorobę z powodu nieszczęścia. Zawsze wydawało jej się to bardzo romantyczne, ale uważała coś takiego za czczy wymysł poetów. Wszyscy ci bohaterowie i bohaterki, którzy usychali z miłości lub po stracie kogoś bliskiego! Z rozkoszą dzieliła ich cierpienia, gdyż jest to słusznym prawem czytelnika. W końcu tego właśnie szukamy w książkach: wielkich uczuć, które nigdy nie stały się naszym udziałem, i wielkiego bólu, którego łatwo można się pozbyć, zamykając książkę. Śmierć i cierpienie mają cudowny posmak autentyczności, zwłaszcza jeśli autor potrafi zręcznie zakląć je w słowa, a pozbycie się ich nic nie kosztuje...

Elinor poznała do głębi te papierowe cierpienia, ale nigdy nie sądziła, że dopadną ją w prawdziwym życiu, w tym szarym i pustym życiu, jakie wiodła przez tyle lat.

„Teraz płacisz za to cenę, Elinor! - powtarzała w myślach. - Cenę za szczęście ostatnich miesięcy. Tego właśnie uczą nas książki: że za szczęście trzeba płacić...”

Jak ona mogła sobie wyobrażać, że po prostu odnajdzie szczęście i na zawsze je zatrzyma? Głupia Elinor!

Kiedy doszło do tego, że nie mogła już wstawać rano, kiedy serce nagle zaczynało szarpać się w jej piersi, jakby nie miało siły dłużej bić, kiedy nawet przy śniadaniu (które według niej było najważniejszym posiłkiem dnia) nie miała apetytu, a Dariusz coraz częściej z troską w głosie pytał o jej samopoczucie, Elinor poczęła zadawać sobie pytanie, czy jednak

książki nie mają racji, że można zachorować z tęsknoty. Bo w głębi duszy czuła, że nic innego, tylko ta tęsknota odbiera jej apetyt, a nawet radość z obcowania z książkami.

Dariusz zaproponował jej wyjazd, kusił ją aukcjami książek, słynnymi księgarniami, których już tak dawno nie odwiedzali, przedkładał jej listy książek, których jeszcze nie posiadała. Za ledwie rok temu podobne propozycje powodowały, że jej oczy świeciły gorączkowym blaskiem. A teraz oczy Elinor tak obojętnie wędrowały po spisie białych kruków, jakby przeglądały listę zakupów środków czystości. Gdzie się podziała jej gorąca miłość do zadrukowanych stron i drogocennych okładek, do słów uwiecznionych na pergaminie lub papierze? Nie czuła już dawnych porywów serca na widok książek, nieodpartego pragnienia, by czule głaskać ich grzbiety, otwierać je i pogrążyć się w nich, zapominając o bożym świecie. Jej serce nie było zdolne do żadnych innych uczuć - prócz tęsknoty za Meggie i jej rodzicami. Elinor zrozumiała wreszcie, że tęsknota za książkami jest niczym w porównaniu z tęsknotą za ludźmi. Książki potrafiły wspaniale opisywać tęsknotę, miłość, ale nie mogły zastąpić żywych ludzi. Nie potrafiły zastąpić pieszczot Meggie, czułych objęć Resy, śmiechu Mortimera. Biedne książki, biedna Elinor.

Wreszcie przestała w ogóle wstawać z łóżka. Raz nie mogła przełknąć ani kęsa, innym znów razem jadła bez opamiętania. Cierpiała na bóle głowy, bóle żołądka, serce trzepotało w jej piersi jak szalone. Stała się zgryźliwa, nieobecna duchem, to znowu zalewała się łzami, czytając kiczowate historie. O tak, nadal czytała, bo cóż innego mogła robić? Czytała bez ustanku, napychała się literami jak nieszczęśliwe dziecko czekoladą. Była to smakowita strawa, ale Elinor nie czuła się przez to mniej nieszczęśliwa. A obok łóżka leżał pies Orfeusza, ślina ciekła mu z pyska na dywan, a on patrzył na nią smutnymi oczami, jakby był jedyną istotą zdolną zrozumieć jej ból.

Ale był jeszcze Dariusz, który dobrze wiedział, co się dzieje w jej duszy.

- Elinor, może pójdziemy na spacer? - pytał z troską, przynosząc jej do łóżka śniadanie, gdy w południe nie pojawiła się jeszcze w kuchni.

Wynajdywał różne preteksty, by pobudzić ją do działania.

- Słuchaj, odkryłem w jednym z twoich katalogów przepiękne wydanie Ivanhoe, może byśmy skoczyli je obejrzeć, to niedaleko stąd.

A kilka dni temu powiedział:

- Elinor, błagam cię, idź do lekarza! Tak dalej być nie może!

- Do lekarza? - ofuknęła biedaka. - I co mu powiem? „Panie doktorze, to chyba coś z sercem. Moje serce odczuwa idiotyczną tęsknotę za trojgiem ludzi, którzy zaginęli w książce. Może są na to jakieś pigułki?”.

Cóż Dariusz mógł na to odpowiedzieć? Toteż bez słowa postawił na stoliku pomiędzy stosami książek jej ulubioną herbatę z miodem i cytryną i wyszedł z tak smutną miną, że Elinor poczuła wyrzuty sumienia.

Jeszcze przez trzy dni nie wychodziła z łóżka, a gdy czwartego dnia w szlafroku narzuconym na koszulę nocną zajrzała do biblioteki po nową porcję książek, zastała Dariusza trzymającego tę kartkę, która przeniosła Orfeusza do świata, gdzie nadal przebywała Resa, Meggie i Mortimer.

- Co ty tu robisz? - zawołała skonsternowana. - Nikomu nie wolno dotykać tej kartki, rozumiesz? Nikomu!

Dariusz odłożył papier na miejsce i wytarł rękawem plamę na szybie witryny.

- Chciałem tylko obejrzeć - odparł. - Orfeusz nieźle pisze, chociaż może to trochę za bardzo przypomina Fenoglia.

- I dlatego trudno to nazwać pisaniem - stwierdziła pogardliwie Elinor. - To pasożyt. Wiesz we włosach innych pisarzy. Tyle tylko, że zamiast krwią żywi się ich słowami... Nawet imię ukradł innemu poecie: Orfeusz!

- Pewnie masz rację - zgodził się Dariusz, starannie zamykając witrynę. - Ale może powinno się go raczej nazwać fałszerzem. Potrafi tak doskonale kopiować styl Fenoglia, że trudno zauważyć różnicę. Ciekawe, jak on pisze, kiedy nie ma żadnej podkładki. Czy potrafi w ogóle tworzyć własne obrazy? Niepodobne do obrazów stworzonych przez innych?

Dariusz przyglądał się słowom na kartce Orfeusza ukrytej za szkłem, jakby oczekiwał od nich odpowiedzi.

- A co mnie to obchodzi? Mam nadzieję, że umarł, został stratowany! - prychnęła, wyszukując na regałach książki, których jeszcze nie czytała. - Tak, stratowany! Przez olbrzyma! Albo poczekaj, mam lepszy pomysł: mam nadzieję, że wywalił z ust zsiniały język, bo go powiesili!

W swoich oczach Dariusza pojawił się uśmiech.

- Elinor, Elinor! - powiedział pół żartem, pół serio. - Ty byś nawet Żmijogłowemu napędziła stracha.

- A żebyś wiedział! - wykrzyknęła zapalczywie Elinor. - W porównaniu ze mną białe damy to siostry miłosierdzia! Ale cóż, kiedy do końca życia będę tkwić w historii, w której mogę grać tylko rolę zbikowanej staruchy!

Dariusz nic na to nie odrzekł. Ale gdy wieczorem Elinor przyszła po nowe książki, znów stał przed witryną, przyglądając się kartce Orfeusza.

Rozdział 12

Znowu w służbie u Orfeusza

Zbliż się i przyjrzyj się stówom. Każde z nich

skrywa tysiąc tajemnych twarzy pod beznamiętną maską, pytając, obojętne na twoją odpowiedź, nędną czy straszną: Czy przyniosłeś klucz?

Carlos Drummond de Andrade, W poszukiwaniu poezji

Brama miejska była oczywiście zamknięta, gdy narowisty osioł doniósł wreszcie Farida do celu. Sierp księżycy spoglądał na wieże zamkowe, a strażnicy przed bramą z nudów rzucali kamieniami w klekocące szkielety na pobliskich szubienicach. Szczapa pozostawił ostatnie ofiary na stryczkach, chociaż ze względu na jego wrażliwy nos miejsce kaźni zostało przeniesione dalej od bram miejskich. Najpewniej uznał, że puste szubienice nie robią dostatecznego wrażenia na poddanych.

- Popatrz, popatrz, kogo my tu mamy? - powiedział na widok Farida jeden ze strażników, drażal opierający się na lancy, jakby nogi nie wystarczyły, by utrzymać go w pozycji pionowej. - Spójrz na tego brunatnego chłoptasia! - zawołał, chwytając bezceremonialnie za cugle. - Jeździ samusieńki po nocy! Nie boisz się, że Sójka wyciągnie ci osła spod tego chudego tyłka? Musiał dzisiaj zostawić konia na zamku, więc przyda mu się osiołek. A ciebie rzuci na pożarcie niedźwiedziowi Czarnego Księcia!

- Słyszałem, że niedźwiedź zjada tylko pancernych, bo miło chrupią w zębach! - odciął się Farid, kładąc rękę na nożu.

Był za bardzo zmęczony, by udawać pokorę. Poza tym rozzuchwaliło go to, że Sójce udało się ująć cało z zamku Szczapy. No proszę, coraz częściej mówił Sójka zamiast Czarodziejski Język, chociaż Meggie złościła się za każdym razem, gdy użył tego imienia.

- Ho, ho, zadziorny szczeniak, co, Rizzo? - zwrócił się strażnik do kompana. - Pewnie ukradł osiołka i chce go przehandlować rzeźnikom na kiełbaski, jeśli to bydlę wcześniej pod nim nie padnie!

Rizzo zbliżył się z krzywym uśmiechem na ustach i skierował ostrze włóczni w pierś Farida.

- Znam tego franta - powiedział, sycząc jak wąż, gdyż brakowało mu dwóch przednich zębów. - Widziałem go parę razy na rynku, jak puszczał ogień. Czy to ty jesteś tym uczniem Ognistego Tancerza?

- Ja, a bo co? - odparł hardo Farid, sztywniejac, jak zawsze gdy ktoś wymówił przy nim imię Smolipalucha.

- Bo co? - powtórzył Rizzo groźnie, uderzając go lancą. - Bo to, że zleziesz zaraz z tego cherlawego wierzchowca i zabawisz nas swoimi sztuczkami. Może cię wtedy przepuścimy.

Wreszcie otworzyli mu bramę. Ale najpierw musiał ich przez blisko godzinę zabawiać, czyniąc dzień z nocy i wyczarowując tańczące ogniste kwiaty, tak jak go nauczył Smolipaluch. Nadal kochał płomienie, choć ich wesołe trzaskanie budziło w nim bolesne wspomnienia o człowieku, który zdradził mu ich tajniki. Nie występował już jednak publicznie, zabawiał się ogniem tylko dla siebie. Płomienie - oto co mu pozostało po Smolipaluchu, i kiedy dopadała go tęsknota, tak że jego serce pękało z bólu, pisał ognistymi literami jego imię na murach Ombrzy i przyglądał im się, aż zbla-kły, zostawiając go samego, tak jak go zostawił Smolipaluch.

Nocą Ombrza była wymarłym miastem, od kiedy śmierć wymiotła z niej wszystkich mężczyzn. Ale dzisiaj w uliczkach roilo się od żołnierzy i Farid kilkakrotnie natykał się na patrole. Sójka obudził ich, jak osy w gnieździe, i teraz krążyli chmarami, jakby to mogło sprowadzić zbiegłego intruza. Farid omijał ich ze spuszczoną głowę i odetchnął z ulgą, gdy wreszcie znalazł się pod domem Orfeusza.

Był to okazały dom, jeden z najwspanialszych w Ombrze i jedyny tej niespokojnej nocy, w którym paliły się jeszcze świece. Przy bramie wejściowej płonęły pochodnie - Orfeusz panicznie bał się złodziei - swoim chybotliwym światłem pobudzając do życia kamienne maskary. Faridowi za każdym razem ciarki przechodziły po grzbiecie na widok tych wykrzywionych twarzy z wybałuszonymi oczami, z ustami rozwartymi do krzyku i rozdętymi nozdrzami; spoglądały z góry, jakby za chwilę z dzikim parskaniem miały się rzucić na niego. Próbował uspić płomienie cichym szeptem, jak czynił to Smolipaluch, ale ogień go nie słuchał. Zdarzało się to coraz częściej - jakby żywioł przypominał mu o tym, że uczeń, który stracił mistrza, pozostanie na zawsze uczniem.

Padał z nóg. Psy ujadły wściekle, gdy odprowadzał osiołka do stajni. Znowu w służbie u Orfeusza. O ileż bardziej wolałby teraz trzymać głowę na kolanach Meggie albo siedzieć przy ognisku z jej ojcem i Czarnym Księciem. Ale ciągle tu wracał. Robił to dla Smolipalucha.

Wypuścił z plecaka Skoczka, który przycupnął na jego ramieniu, i spojrzał tęsknie w gwiazdy, jakby spodziewał się tam ujrzeć naznaczoną bliznami twarz Smolipalucha. Dlaczego nie przyszedł do niego we śnie i nie zdradził mu, jak może sprowadzić go z powrotem? Czyż umarli nie robili tego czasem dla tych, którzy ich kochali? A może Smolipaluch odwiedzał jedynie Roksanę, jak jej to obiecał, i swoją córkę? Nie, jeśli Brianę

odwiedzał jakiś umarły, to tylko Cosimo. Jej koleżanki służące opowiadały, że Brianna szepce jego imię przez sen i maca ręką, jakby chciała sprawdzić, czy leży obok niej.

„A może nie ukazuje mi się we śnie, bo wie, że się boję duchów?” - pocieszał się, wdrapując się po schodach ku drzwiom kuchennym. Okazałe wejście frontowe od strony placu, przy którym znajdował się dom, zarezerwowane było dla Orfeusza i jego wytwornych klientów. Służba, wagańcy, dostawcy musieli przejść przez zabłocone podwórko i zadzwonić do drzwiczek na tyłach domu.

Farid zadzwonił trzy razy, ale odpowiedziała mu cisza. Na wszystkie demony pustyni, gdzie się podziewa Góra Mięsa? Jedyne, co ma do roboty, to otworzyć czasem drzwi. A może już chrapie smacznie, warując jak pies pod drzwiami sypialni Orfeusza?

Wreszcie dał się słyszeć chrobot odsuwanej rygli, lecz zamiast Ossa otworzyła mu Brianna. Córka Smolipalucha pracowała u Orfeusza już drugi tydzień, ale Świecąca Gęba pewnie dotąd nie zmiarkował, z kim ma do czynienia. Orfeusz nie zwracał uwagi na ludzi.

Brianna w milczeniu przytrzymała otwarte drzwi, a on w milczeniu wsunął się do środka. Nie rozmawiali ze sobą, lecz pomiędzy nimi unosiły się słowa, których Brianna nigdy nie wypowiedziała: „Mój tata umarł przez ciebie. Opuścił nas dla ciebie, tylko dla ciebie”. Brianna obwiniła go o łzy matki. Jeden jedyny raz odezwała się do niego: „To przez ciebie mama płacze!”. Teraz też czuł jej spojrzenie na karku jak przekleństwo.

- Gdzie się wałęsałeś tyle czasu? - warknął Oss, chwytając go za kark, gdy Farid chciał cichaczem przekraść się do piwnicy, gdzie miał legowisko. Przerażony Skoczek zeskoczył na podłogę. Oss już raz kopniakiem o mało nie połamał mu kości. - Sto razy się o ciebie pytałem! Musiałem ganiać po ulicach za tobą, przez całą noc nie zmrzyłem oka!

- No to co z tego? I tak się wysypiasz jak mało kto!

Góra Mięsa z całej siły uderzył go w twarz.

- Nie bądź bezczelny! Jazda, twój pan na ciebie czeka!

Na schodach spotkali jedną ze służących. Zacerwieniła się jak burak, gdy Farid ją mijał. Jak ona miała na imię? Chyba Dana. Była bardzo miła, czasami przynosiła mu potajemnie kawał mięsa, kiedy Oss zabierał mu jego porcję. Kilka razy Farid pocałował ją w kuchni. Ale nie była nawet w połowie tak ładna jak Meggie albo Brianna.

- Mam nadzieję, że pan tym razem pozwoli mi przetrzepać ci skórę! - szepnął zjadliwie Oss, otwierając drzwi do pracowni Orfeusza.

Orfeusz nazywał tę izbę szumnie „skrytorium”, chociaż częściej niż pisaniami zajmował się obmacywaniem służących i pochłanianiem olbrzymich ilości jedzenia, które

kucharka musiała mu szykować za dnia i w nocy. Ale tym razem rzeczywiście pochyłał głowę nad pulpitem i skrobał coś mozolnie na papierze. Tymczasem Jaspis i Błyszczek dyskutowali zawzięcie, w którą stronę należy mieszać atrament - w prawo czy w lewo. Byli braćmi niepodobnymi do siebie jak noc i dzień. Starszy Błyszczek uwielbiał pouczać młodszego i dyrygować nim. Farid chętnie skręciłby mu za to szklany kark. On sam miał dwóch starszych braci, i to głównie z ich powodu uciekł na pustynię i przyłączył się do rozbójników Ali Baby.

- Uciszcie się! - zawołał z wściekłością Orfeusz. - Co za żalosne stwory! W lewo czy w prawo, kogo to obchodzi? Lepiej uważajcie, żebyście mi znowu nie zachlapali całego pulpitu atramentem!

Błyszczek spojrział z wyrzutem na Jaspisa - któż by inny mógł zachlapać pulpit atramentem, jeśli nie jego młodszego brata! - i pogрузił się w ponurym milczeniu. Orfeusz znów przytknął pióro do papieru.

„Musisz się nauczyć czytać, Faridzie!” - powtarzała Meggie. Z trudem nauczyła go odróżniać kilka liter, N jak niedźwiedź,

R jak rozbójnik („Zobacz, w twoim imieniu też jest ta sama literka!” - mówiła), M jak Meggie, D jak dym (czy to nie cudowne, że w jego imieniu była literka związana z ogniem?) i S... S jak Smolipaluch... Ale reszta alfabetu wciąż mu się mieszała. Jak tu zapamiętać te dziwaczne maleńkie stwory wyciągające na wszystkie strony kulfoniaste kończyny? AOUIKTNP... Na sam widok dostawał zawrotu głowy. Ale musi się nauczyć je rozpoznawać, bo jakże inaczej się przekona, czy Orfeusz naprawdę stara się sprowadzić Smolipalucha?

- To śmieci! Śmieci! - zawołał Orfeusz, odpychając Jaspisa, który chciał posypać piaskiem świeżo napisane słowa, i podarłszy kartkę na drobniutkie kawałeczki, rzucił skrawki na podłogę.

Farid był przyzwyczajony do takich scen. Orfeusz rzadko był zadowolony z tego, co pisał. Zgniatał zapisane kartki, darł je, rzucał w ogień, wygrażał pięściami szklanym ludzikom i pił na umór. Ale gdy mu się udało napisać coś wartościowego, stawał się jeszcze bardziej nieznośny. Nadymał się jak ropucha, kroczył przez miasto niczym koronowany król Ombry, obcałowywał służące wilgotnymi wargami i głosił własną chwałę.

„Jestem najlepszy! - wykrzykiwał. - Niech sobie nazywają starego Atramentowym Tkaczem! To w sam raz przezwisko dla niego, bo on jest zwykłym rzemieślnikiem. Ale ja - ja jestem czarodziejem! Atramentowym Czarodziejem - tak właśnie winni mnie nazywać. I tak będą mnie kiedyś nazywać!”.

Ale dzisiejszej nocy czary jakoś znowu mu nie wychodziły.

- Żabie skrzeki! Gęsi jazgot! Blaszyne słowa! - sierdził się, nie podnosząc głowy znad papieru. - Papka ze słów, tak, papka, nic innego, Orfeusza, wodnista, niesiona, oślizła breja pozbawiona smaku!

Jaspis i Błyszczek pospiesznie zsunęli się po nogach pulpitu i poczęli skrzętnie zbierać z podłogi skrawki papieru.

- Panie! Chłopak wrócił!

Nikt nie potrafił włożyć w swoją mowę takiej dozy uniżoności jak Oss. Jego słowa zdawały się kłaniać do ziemi, jak cała jego zwalista postać, ale nie przeszkadzało mu to trzymać Farida za kark.

Orfeusz odwrócił się z ponurą twarzą i spojrział na Farida takim wzrokiem, jakby wreszcie odkrył powód swoich nieudanych prób pisarskich.

- Gdzieś ty się podziewał, u diabła! - wrzasnął. - Byłeś przez cały czas z Fenogliem czy może pomagałeś ojcu swojej ukochanej dostać się na zamek i uciec stamtąd? Tak, słyszałem już o jego najnowszej przygodzie. Pewnie już jutro zaczną kursować pierwsze wiejskie pieśni opiewające jego wyczyn. Zaiste ten pomyłony intrologator odgrywa rolę, jaką wyznaczył mu Fenoglio, ze wzruszającym oddaniem.

Zawiść i pogarda mieszały się w głosie Orfeusza, jak zawsze kiedy mówił o Czarodziejskim Języku.

- On nie odgrywa żadnej roli! On naprawdę jest Sójką! - zawołał z pasją Farid.

To mówiąc, uderzył Ossa piętą w stopę tak boleśnie, że olbrzym zwolnił uścisk, i odepchnął go z całych sił, gdy tamten chciał go ponownie chwycić za kark. Oss z dzikim pomrukiem uniósł potworną pięść, ale Orfeusz powstrzymał go wzrokiem.

- Naprawdę? A więc dołączyłeś do grona jego wielbicieli? - zadrwił Orfeusz, kładąc na pulpicie nowy arkusz papieru i przyglądając mu się intensywnie, jakby w ten sposób mógł go zmusić do pokrycia się właściwymi słowami. - Jaspis, co ty robisz na podłodze! - zawołał. - Służące posprzątają śmieci, a ty przygotuj mi jeszcze jedno pióro!

Farid uniósł Jaspisa i postawił go na pulpicie, a ten uśmiechnął się do niego z wdzięcznością. Z woli Błyszczka, starszego brata, musiał wykonywać wszystkie uciążliwe czynności. A najbardziej nieprzyjemne było oczywiście przycinanie gęsiich piór. Maleńki nożyk, którym posługiwali się pomocnicy, miał tendencję do obsuwania się i nie dalej jak kilka dni temu Jaspis zaciął się głęboko w cienkie jak zapałka ramionko. Farid przekonał się wtedy, że szklane ludziki także krwawią, chociaż ich krew była oczywiście przezroczysta. Polała się na papier niby roztopione szkło, a Błyszczek spoliczkował za to brata i nazwał go niezręcznym durniem. Farid domieszał mu wtedy piwa do piasku, którym się odżywił, i

odtąd przejrzyste jak woda członki Błyszczka (z których był tak dumny) przypominały koński mocz. Orfeusz podszedł do okna.

- Jeśli jeszcze raz tak długo będziesz poza domem - rzucił przez ramię do Farida - każę Ossowi obić cię jak psa.

Góra Mięsa uśmiechnął się rozanielony, a Farid skłął ich obu w myśli bezgłośnymi wyzwiskami.

Tymczasem Orfeusz, patrząc w niebo z ponurą miną, mówił:

- Czy widział ktoś coś podobnego! Fenoglio, ten stary dureń, nie zadał sobie nawet trudu, żeby ponazywać ciała niebieskie w tym świecie. Nic dziwnego, że co chwila brakuje mi słów! No bo jak się na przykład nazywa tutejszy księżyc? Chociaż o tym mógł pomyśleć ten stary sklerotyk, ale gdzie tam! Napisał po prostu „księżyc”, tak jakby to był ten sam księżyc, który oglądał przez okno swojego gabinetu.

- A może to naprawdę jest ten sam księżyc? W mojej historii był ten sam - zauważył Farid.

- Bzdura! Oczywiście, że był inny! - zirytował się Orfeusz i spojrział w okno, jak gdyby chciał wyjaśnić światu za szybą, że został sfuszerowany. - Pytam go raz - ciągnął głosem pełnym samouwielbienia, a Błyszczek przysłuchiwał się z nabożną miną, jak gdyby Orfeusz był wyrocznią obwieszczającą niezwykle mądrości - „Fenoglio, czy śmierć w twoim świecie jest kobietą czy mężczyzną? A może to tylko drzwi prowadzące do innej historii, którą zapomniałeś napisać?”. A on mi na to: „A skąd mam wiedzieć?”. Skąd ma wiedzieć! A kto to ma wiedzieć jak nie on! Ale w książce oczywiście nie ma ani słowa na ten temat.

W książce. Błyszczek, który wspiąwszy się na parapet, siedział tuż obok Orfeusza, spojrział z szacunkiem na pulpit, na którym obok czystej kartki papieru rozłożony był ostatni egzemplarz Atramentowego serca. Farid zastanawiał się, czy szklany ludzik zdaje sobie sprawę, że cały jego świat, włącznie z nim samym, wyskoczył z tej właśnie książki. Zwykle leżała rozłożona na pulpicie, gdyż Orfeusz, pisząc, zwykł był kartkować ją bezustannie w poszukiwaniu właściwych słów. Nigdy nie użył wyrazu, którego nie znalazłby w Atramentowym sercu, wierzył bowiem święcie, że tylko słowa pochodzące z książki Fenoglia potrafią oddychać w tym świecie. Wszystkie inne były zaledwie śladami atramentu na papierze.

- „Fenoglio - pytam go innym razem - czy białe damy to tylko służące? - ciągnął Orfeusz, a Błyszczek nie odrywał wzroku od jego nazbyt pulchnych warg. - Czy umarli pozostają u nich, czy może białe damy przekazują ich gdzieś dalej?”. „Pewnie przekazują... -

mówi ten stary głupiec. - Kiedyś opowiedziałem dzieciakom Minerwy o Zamku Szkieletów, ale to było tylko tak, żeby je pocieszyć po śmierci Podniebnego Tancerza...”. Tylko tak! Dobrze sobie!

- Stary głupiec! - powtórzył jak echo Błyszczek komicznie piskliwym głosem.

Orfeusz odwrócił się i podszedł do pulpitu.

- A może raczyłeś chociaż pamiętać - zwrócił się do Farida - żeby przekazać Mortimerowi, że chcę z nim porozmawiać? Czy może był za bardzo zajęty odgrywaniem bohatera?

- Mówi, że nie ma o czym rozmawiać. Mówi, że nie wie o białych damach niczego, czego by inni nie wiedzieli.

- Wspaniale! - zawołał Orfeusz i chwyciwszy świeżo zatem-perowane pióro, przełamał je na pół. - A zapytałeś go chociaż, czy je czasami widuje?

- Na pewno je widuje - wtrącił Jaspis głosem tak delikatnym jak jego członki. - Białe damy nigdy już nie odstępują tych, których raz dotknęły. Tak przynajmniej twierdzą mszanki.

- Tak, wiem o tym! - zawołał niecierpliwie Orfeusz. - Próbowałem spytać o to jedną z nich, ale ta wstrętna kreatura nie chciała ze mną rozmawiać! Popatrzyła tylko na mnie tymi swoimi mysimi oczkami i oznajmiła, że za tłusto jadam i za dużo piję!

- Mszanki rozmawiają z wrózkami - powiedział Jaspis. - A wróżki ze szklanymi ludzikami. Oczywiście nie ze wszystkimi - dodał, zerkając na brata. - Słyszałem, że mszanki opowiadają jeszcze co innego o białych damach. Mówią, że może je przywołać każdy, czyjego serca dotykały swymi zimnymi dłońmi!

- To bardzo ciekawe... - mruknął Orfeusz, patrząc w zadumie na Jaspisa. - O tym jeszcze nie słyszałem.

- Ale to wcale nieprawda! - zawołał Farid. - Wielokrotnie próbowałem je przywołać i nic z tego!

- Ty? Ile razy mam ci wyjaśniać, że za szybko umarłeś - rzucił pogardliwie Orfeusz. - Tak ci się spieszyło do śmierci jak i do powrotu z martwych. A poza tym co z ciebie za zdobywcę! Pewnie cię nawet nie pamiętają. Nie, nie, ty nie jesteś odpowiednim człowiekiem...

- W zamyśleniu podszedł do okna. - Zrób mi herbatę! - rozkazał Faridowi, nie odwracając się.

- Muszę się zastanowić.

- Herbatę? Jaką?

Farid posadził sobie Jaspisa na ramieniu. Kiedy tylko mógł, brał go ze sobą, by go chronić przed bratem. Jego ciało było tak kruche, że Farid bez przerwy się obawiał, by Błyszczek nie uszkodził go podczas jakiejś sprzeczki. Nawet Kryształek, szklany ludzik

Fenoglia, był o głowę wyższy od Jaspisa. Czasem, gdy Orfeusz nie potrzebował pomocników, bo zażywał przyjemności z jedną ze służących albo zamykał się z krawcem i godzinami przymierzał nowe ubrania, Farid zabierał Jaspisa na ulicę szwaczek, gdzie szklane kobietki pomagały nawlekać igły, wygładzać rąbki i przyszywać koronki do drogocennych jedwabnych sukien. Wiedział bowiem nie tylko to, że szklane ludziki krwawią, ale i to, że potrafią kochać. A Jaspis był zakochany w bladożółtej szklanej dziewczynie, której lubił się przyglądać przez okno domu jej pani.

- Jaką herbatę? A skąd ja mogę wiedzieć? Taką, co pomaga na bóle żołądka! - odparł rozdrażniony Orfeusz. - Przez cały dzień mam taką straszną kolkę, jakby buszowało mi w brzuchu stado chrząszczy! I jak można w tych warunkach napisać coś rozsądnego?

Farida to nie zdziwiło. Orfeusz zawsze uskarżał się na bóle żołądka albo ból głowy, kiedy nie szło mu pisanie.

„Mam nadzieję, że go te chrząszcze będą dręczyć przez całą noc - pomyślał Farid, zamykając drzwi do pracowni. - I niech go dręczą tak długo, aż wreszcie napisze coś dla Smolipalucha”.

Rozdział 13

Cios w samo serce

Żyć tak, jakby na radosną, słodką powierzchnię lśniącego rosą świata jeszcze nigdy nie spadła ani odrobina smutku.

T.H. White, Był sobie raz na zawsze król, t. 2 Pani powietrza i ciemności

- Ciesz się, że nie kazał ci wezwać balwierz! - zażartował Jaspis, gdy schodzili stromymi schodami do kuchni. Pragnął rozweselić Farida.

Prawda, zapomniał o balwierzem mieszkającym za murami! Orfeusz posłał po niego kilka dni temu. A balwierz obrzucał człowieka polanami albo groził szczypcami do usuwania zębów, kiedy się go wzywało nocą.

- Bóle głowy! Bóle żołądka! - wyrzekał Farid. - Znowu się przejadł!

- Połknął trzy pieczone drwinniczki nadziewane czekoladą, orzechy wróżek opiekane na miodzie i pół prosiaka z nadzieniem z kasztanów - wyliczał Jaspis.

Pod drzwiami kuchennymi przycupnął Skoczek. Jaspis skurczył się na ramieniu Farida, choć ten za każdym razem zapewniał go, że kuny lubią wprawdzie ścigać szklanych ludzików, ale z całą pewnością ich nie pożerają.

W kuchni pozostała tylko jedna służąca. Farid niezdecydowany zatrzymał się w progu, widząc, że to Brianna. Tego tylko brakowało. Szorowała garnki po kolacji, jej piękna twarz była szara ze zmęczenia. Służba Orfeusza zaczynała pracę o świcie, a kończyła częstokroć dopiero wtedy, gdy księżyc stał już wysoko na niebie. Każdego ranka Orfeusz dokonywał inspekcji całego domu, sprawdzając, czy nie ma pajęczyn, kurzu na meblach lub plamy na którymś z wiszących wszędzie lusterek, śniadzi na srebrnych łyżkach czy plamki na koszuli. Jeśli cokolwiek znalazł, natychmiast obcinał wszystkim służącym nędzne wynagrodzenie. Oczywiście zawsze coś znajdował.

- Czego chcesz? - burknęła Brianna, odwracając się i wycierając mokre dłonie o fartuch.

- Orfeusza boli żołądek - wymamrotał Farid, unikając jej wzroku. - Masz mu zaparzyć herbaty.

Brianna podeszła do kredensu i zdjęła z najwyższej półki gliniane naczynie. Wsypała do naczynia zioła, zaalała wrzątkiem i postawiła na ogniu.

Farid przyglądał jej się ukradkiem. Włosy miała tego samego koloru co ojciec, z tą różnicą, że u niej zwijały się w loki, a w blasku świec połyskiwały jak czerwone złoto, którym nowy namiestnik z lubością zdobił dłonie. Waganci śpiewali pieśni o urodzie córki Smolipalucha i jej złamanym sercu.

- Co się gapisz? - powiedziała ostro Brianna i raptownie zrobiła krok w jego stronę. Farid cofnął się przestraszony. - Jestem do niego podobna, co?

Można by sądzić, że przez wszystkie tygodnie milczenia szlifowała w duszy te słowa, by teraz wrazić mu je w serce jak naostrzone noże.

- A ty wcale nie jesteś do niego podobny! Zawsze to mówię mamie: to zwykły przybłęda, który tak długo wmawiał tacie, że jest jego synem, aż tata uznał, że powinien za niego umrzeć!

Każde z tych słów przeszywało serce Farida jak miecz.

Brianna nie miała oczu po ojcu, lecz po matce, i jej oczy patrzyły na niego z równą nienawiścią jak oczy Roksany. Chętnie by ją uderzy! albo zatka! jej dłonią te śliczne usteczka. Ale była tak podobna do Smolipalucha...

- Jesteś demonem, złym duchem przynoszącym tylko nieszczęście - powiedziała dobitnie, wciskając mu do ręki kubek z herbatą. - Masz, zanieś to Orfeuszowi. I powiedz mu, żeby mniej jadł, to nie będzie miał kłopotów z żołądkiem.

Farid drżącymi rękami wziął od niej kubek.

- Ty nic nie wiesz! - wyrzucił z siebie ochryplym głosem. - Nic a nic! Wcale nie chciałem, żeby mi zwrócił życie! Tysiąc razy wolałbym sam być umarły!

Ale Brianna nie raczyła odpowiedzieć. Z twarzy Smolipalucha patrzyły na niego nienawistne oczy Roksany.

Rozdział 14

Wieści z Ombrzy

A czasem w jakiejś starej księdze coś niepojętego jest podkreślone. Byłeś tam kiedyś, lecz dokąd umknąłeś?

Rainer Maria Rilke, Improwizacje z capryjskiej zimy III

Meggie czuła się bardzo dobrze w obozie zbójców. Czasami Resie wydawało się, że córka przez całe życie marzyła tylko

O tym, by zamieszkać w dziurawym szalasiu ze szmat. Dziewczynka przyglądała się Baptyście przy pracy, gdy ten sporządzał nową maskę, Siłacz uczył ją rozmawiać ze skowronkami, a jego młodszy brat przynosił jej dzikie kwiecie, które przyjmowała z uśmiechem. Dobrze było widzieć ją znów uśmiechniętą, mimo że Farid nie pokazywał się od dłuższego czasu. Ale sama Resa tęskniła za ich dawną zagrodą, brakowało jej ciszy i samotności,

I tej radości, jaką odczuwała na myśl, że znów są tylko we troje: ona, Mo i Meggie, po tych wszystkich tygodniach rozłąki. Tygodniach, miesiącach, latach...

Czasem, widząc ich oboje przy ognisku pośród zbójców, Resa miała wrażenie, że bawią się w tę samą zabawę co przez wszystkie lata, kiedy jej z nimi nie było.

„Chodź, Mo, pobawimy się w zbójców”.

Czarny Książę radził Mo nie opuszczać na razie obozu. Mo usłuchał jego rady, ale już trzeciej nocy wybrał się samotnie do lasu, jakby w poszukiwaniu swego zagubionego ja. A czwartej nocy ruszył z innymi na wyprawę.

Baptysta śpiewał im pieśni krążące po Ombrze od czasu wizyty Mo u Balbulusa. Sójka odleciał z zamku, uciekł na najlepszym koniu Szczapy - głosiły pieśni. Była tam również mowa o tym, że położył trupem dziesięciu strażników, zamknął Kopia w grobowcu i ukradł Balbulusowi najpiękniejsze książki.

- Co z tego wydarzyło się naprawdę? - pytała Resa. Mo roześmiał się.

- Z tym lataniem to oczywiście bujda - szepnął i pogłaskał ją po brzuchu, w którym rosło dziecko, chociaż ciąży nie było jeszcze widać.

I odszedł z Czarnym Księciem. A ona, leżąc w namiocie, co noc przysłuchiwała się pieśniom Baptysty i drżała o męża.

Czarny Książę kazał ustawić dla nich dwa namioty w sąsiedztwie własnego, namioty pozszywane ze starych ubrań i pomalowane korą dębową, by nie odróżniały się od okolicznych drzew - jeden dla Meggie i jeden dla Sójki z żoną. Maty z wysuszonego mchu służące im do spania przesiąkły wilgocią, toteż gdy Mo zniknął nocą w lesie, Resa spała w namiocie Meggie, było im razem cieplej.

- Zapowiada się sroga zima - powtarzał codziennie Siłacz. Rankami trawa pokryta była grubą warstwą szronu, na którym odznaczały się ślady szklanych ludzików.

W wąwozie, gdzie było ukryte obozowisko, spotykało się jeszcze ślady stóp olbrzymów. Ulewne deszcze zamieniły je w wielkie kałuże, w których pływały złoto nakrapiane żaby. Drzewa rosnące na ścianach wąwozu zdawały się sięgać do nieba, jak drzewa w Nieprzebytym Lesie. Zwiędłe liście pokryły chłodną jesienną glebę złotem i płomienną czerwienią, a z gałęzi zwieszały się gniazda wrózek niby zapomniane na drzewach dojrzałe owoce.

Patrząc na południe, można było dostrzec w oddali wioskę, szare jak kapelusze grzybów mury przeświecały przez огоłocone z liści korony drzew. Ale wieś była tak biedna, że nawet chciwi poborcy Szczapy nie mieli ochoty się tam zapuszczać. Nocą słychać było wycie wilków. Sowy, szarobiałe niczym duchy, pohukując, polatywały między namiotami, a wiewiórki z różkami wygrzebywały resztki jedzenia porzucone przy ognisku.

W obozie mieszkało co najmniej pięćdziesięciu mężczyzn, czasem dużo więcej. Najmłodszy był dwaj chłopcy, których Drab uratował przed powieszeniem, a którzy teraz szpiegowali na rzecz księcia: młodszy brat Siłacza Doria, który przynosił Meg-gie kwiaty, i jego przyjaciel sierota, który pomagał Gekonowi obłaskawiać wrony. Oprócz zbójców było jeszcze sześć kobiet, które gotowały i łątały ubrania, ale nie chodziły z mężczyznami do lasu. Resa portretowała ich zawzięcie: chłopców, mężczyzn i kobiety (Baptysta przyniósł jej skądś papier i czarną kredę, ale nie chciał powiedzieć, jak je zdobył), przy każdej uwiecznianej twarzy zadając sobie pytanie, czy te rysy zrodzone były tylko ze słów Fenoglia, czy też w tym świecie możliwe były także losy niezależne od jego woli.

Kobiety rzadko też siadały z mężczyznami przy ognisku, nie uczestniczyły w naradach. Resa czuła na sobie niechętnie spojrzenia, gdy siadała z Meggie u boku Czarnego Księcia, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem. Czasem patrzyła Drabowi i Gekonowi wyzywająco w oczy, gdyż według nich kobiety nadawały się tylko do gotowania i cerowania ubrań. Żałowała, że z powodu ciągłych nudności nie mogła towarzyszyć Mo

przynajmniej wtedy, gdy wraz z Czarnym Księciem przemierzali okolicę w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca do przezimowania.

Pięć dni i pięć nocy spędzili już w nowym obozie, który Meggie ochrzciła mianem Obozu Zaginionych Olbrzymów, gdy szóstego dnia w południe Doria i Luc wrócili z Ombry z wieściami, które były najwidoczniej tak złe, że Doria nawet bratu się nie zwierzył, tylko od razu poszedł do namiotu Czarnego Księcia. Wkrótce potem księżę wezwał Mo, a Baptysta zwołał ludzi na naradę.

Stanąwszy w kole zbójców, zanim zaczął mówić, Doria spojrzął na swego silnego brata, jakby chciał nabrać otuchy przed wypowiedzeniem tego, co miał im do zakomunikowania. Ale jego głos zabrzmiał pewnie i wyraźnie. Wydawał się dużo starszy, niż był w rzeczywistości.

- Wczoraj przyjechał do Ombry Piszczalka - zaczął - drogą prowadzącą z zachodu przez Nieprzebyty Las. Pali i plądruje wsie i ogłasza wszem wobec, że przyjechał ściągnąć podatki, bo Szczapa za mało oddaje do skarbcza w Mrocznym Zamku.

- Ilu pancernych ma ze sobą? - odezwał się burkliwie Drab. Resa nie lubiła jego głosu, niczego w nim nie lubiła. Doria obrzucił Draba takim spojrzeniem, jakby on też nie przepadał za człowiekiem, który uratował mu życie.

- Jest ich wielu. Więcej niż nas. Dużo więcej - dodał po namyśle. - Nie znam dokładnej liczby. Chłopi, którym Piszczalka spalił domy, nie mieli czasu na liczenie.

- Nawet gdyby mieli czas, nie na wiele by się to zdało - powiedział Drab. - Każdy wie, że chłopi nie potrafią liczyć.

Gekon roześmiał się, zawtórowało mu paru innych, którzy trzymali się zawsze z Drabem: Krętacz, Szpon, Smolarz, Postrach Elfów i kilku innych.

Doria zacisnął usta. On i Siłacz byli chłopskimi synami i Drab dobrze o tym wiedział. Jego własny ojciec był podobno najemnym żołnierzem.

- Opowiedz im wszystko, co słyszałeś, Doria - odezwał się Czarny Księżę głosem tak znużonym jak nigdy dotąd.

Chłopiec znów spojrzął na brata.

- Liczą dzieci - powiedział wreszcie. - Piszczalka każe zapisywać wszystkich, którzy skończyli sześć lat i nie mają więcej niż półtora metra wzrostu.

Szmer podniósł się wśród zbójców. Resa widziała, jak Mo pochyla się do Czarnego Księcia i coś mu szepcze na ucho. Byli w tak świetnej komitywie i Mo zachowywał się tak naturalnie, jakby był jednym z tych obdartych zbójców, jakby mieli do niego takie samo prawo jak ona i Meggie.

Teraz podniósł się Czarny Książę. Nie nosił już długich włosów, jak wtedy gdy Resa spotkała go po raz pierwszy. Trzeciego dnia po śmierci Smolipalucha ostrzygł się na zapalną, jak to było w zwyczaju w tym świecie po śmierci przyjaciela. Wierzono bowiem, że trzeciego dnia dusza zmarłego dociera do świata, z którego nie ma już powrotu.

- Wiedzieliśmy, że Piszczalka któregoś dnia się pojawi - zaczął Czarny Książę. - Żmija musiał wreszcie zauważyć, że jego szwagier zatrzymuje większą część ściąganej daniny dla siebie. Ale jak słyszeliście, przyjechał nie tylko z powodu podatków. Wszyscy bardzo dobrze wiemy, do czego używa się dzieci po tamtej stronie lasu.

- Do czego?

Głos Meggie zabrzmiał piskliwie na tle głosów męskich. W tej chwili nikt by nie pomyślał, że ten głos paroma zdaniem już kilkakrotnie zasadniczo zmienił tutejszy świat.

- Do czego? Sztolnie w kopalniach srebra są bardzo ciasne, córko Sójki - wyjaśnił Drab. - Ciesz się, że jesteś już za duża i nie mogłabyś się na nic przydać.

Kopalnie. Resa odruchowo położyła rękę na brzuchu, a Mo spojrzał na nią jakby tknięty tą samą myślą.

- Oczywiście. Żmijogłowy posłał już do kopalń tyle dzieci, że jego poddani zaczynają się burzyć. Nie tak dawno Piszczalka krwawo stłumił rebelię chłopską - mówił Baptysta głosem równie znużonym jak Czarny Książę. Buntowników było za mało, by mogli się przeciwstawić wszystkim tym niesprawiedliwościom. - Dzieci umierają szybko tam na dole - ciągnął Baptysta. - To cud, że Żmija już wcześniej nie wpadł na pomysł, by dobrać się do naszych dzieci, które nie mają ojców, ale tylko bezbronne matki.

- W takim razie musicie je ukryć! - zawołał Doria z tak nieustraszoną miną, jaką może mieć tylko piętnastolatek. - Tak jak ukryliście zbiory!

Na ustach Meggie wykwitł uśmiech.

- To proste, ukryć! - roześmiał się drwiąco Drab. - Fantastyczny pomysł! Gekon, powiedz temu gołowąsowi, ile jest dzieci w samym tylko mieście. Wiesz, on jest chłopskim synem i nie potrafi liczyć.

Siłacz zerwał się z miejsca, ale Doria rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie i tamten usiadł z powrotem.

„Jedną ręką mogę podnieść małego do góry - mawiał - ale on jest sto razy mądrzejszy ode mnie”.

Ale Gekon najwidoczniej nie miał pojęcia, ile dzieci jest w Ombrze, nie mówiąc o tym, że z liczeniem też nie bardzo sobie radził.

- Bardzo wiele - wyjąkał niepewnie, a siedząca na jego ramieniu wrona stuknęła go dziobem w głowę, zapewne szukając wszy. - Teraz w Ombrze nie brakuje tylko much i dzieci.

Nikt się nie roześmiał.

Czarny Książę milczał, pozostali zbójcy także. Nie warto było strzepić języka po próżnicy. Jeśli Piszczalka zechce wziąć dzieci, to je weźmie.

Resa odpędziła ognistego elfa, który przysiadł na jej ręce. Nagle zatęskniła za domem Elinor, czując w piersi ból, jakby ognisty elf dotknął jej serca, a nie ręki. Tęskniła za kuchnią z tym wiecznym buczeniem o wiele za dużej lodówki, za warsztatem Mo w ogrodzie i fotelem w bibliotece, w którym tak rozkosznie było czytać o innych światach, nie gubiąc się w nich.

- Może to tylko przynęta! - przerwał ciszę Baptysta. - Wiecie, że Piszczalka lubi zastawiać pułapki i świetnie zdaje sobie sprawę z tego, że nie możemy tak po prostu pozwolić mu zabrać dzieci. A może - dodał, zerkając na Mo - ma nadzieję, że w ten sposób złapie wreszcie Sójkę.

Meggie odruchowo przysunęła się bliżej ojca, ale jego twarz pozostała nieruchoma, jakby Sójka to był ktoś inny.

- Wiolanta mnie uprzedziła, że Piszczalka wkrótce tu będzie - powiedział. - Ale o dzieciach nie wspominała.

Głos Sójki... głos, którego brzmienie omamiło Zmijogłowe-go i któremu nie mogły się oprzeć wróżki. Ale Drab nie ulegał jego czarowi. Głos Sójki przypominał mu tylko o tym, że to on siedział niegdyś tam, gdzie teraz siedzi Sójka - u boku Czarnego Księcia.

- Rozmawiałeś z Brzydką Wiolantą? Fantastycznie! To po to pojechałeś na zamek. Sójka rozmawia z córką Żmii - skrzywił się.

- Oczywiście, że ci nie wspomniała o dzieciach! Dlaczego miałyby ci o nich wspominać? Zresztą pewnie nic o tym nie wie. Brzydka Wiolanta ma akurat tyle samo do powiedzenia na zamku co pierwsza lepsza służąca. Tak było zawsze i tak już pozostanie.

- Mówiłem ci już nieraz, Drabie - wtrącił Czarny Książę głosem ostrzejszym niż zwykle - że Wiolanta ma więcej władzy, niż ci się wydaje. I więcej ludzi, chociaż wszyscy są bardzo młodzi.

- I skinąwszy głową Mortimerowi dodał: - Opowiedz im, co się wydarzyło na zamku. Najwyższy czas, żeby się o wszystkim dowiedzieli.

Resa zdumiona spojrzała na Mo. Co takiego wiedział Czarny Książę, czego ona nie wiedziała?

- Właśnie, Sójko, opowiedz nam wreszcie, jak ci się tym razem udało uratować skórę!
- zawołał Drab głosem tak pełnym nienawiści, że zbójcy niepewnie popatrzyli po sobie. - Wygląda to na czary! Najpierw wypuszczają cię z Mrocznego Zamku, a teraz z Ombry, chociaż Szczapa przyjął ostry kurs. Tylko nie mów mi, że jego też obdarzyłeś nieśmiertelnością, żeby cię uwolnił!

Kilku zbójców roześmiało się, ale ich wesołość mieszała się z lękiem. Resa była pewna, że wielu z nich naprawdę uważa Mo za czarownika, za jednego z tych ludzi, którego imię lepiej wymawiać szeptem, który para się czarną magią i jednym spojrzeniem może rzucić na kogoś urok. No bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że zjawił się nagle znikąd, a mieczem potrafi robić jak żaden z nich? A poza tym umie czytać i pisać.

- Podobno Zmijogłowy ma niewiele pożytku z nieśmiertelności! - wtrącił Siłacz.

Doria przysiadł się do niego i utkwiał w Drabie ponure spojrzenie. Chłopak naprawdę nie lubił swego zbawcy. Za to jego przyjaciel Luc chodził za Drabem i Gekonem jak posłuszny piesek.

- Co z tego? Czy nam to coś pomoże? Piszczalka morduje i pustoszy wsie jeszcze bardziej niż przedtem! - rzekł Drab, spluwając. - Żmija jest nieśmiertelny. Jego szwagier codziennie wiesza kogoś z naszych, a tymczasem Sójka jedzie sobie na zamek i wraca cały i zdrowy!

Zapadła cisza jak makiem zasiał. Interes, który Mo ubił ze Żmijogłowym, napawał wielu zbójców zabobonnym lękiem. Mo przechytrzył wprowadzić Srebrnego Księcia, ale ten był teraz nieśmiertelny. A jego ulubiona zabawa polegała na tym, że pozwalał każdemu złapanemu przeciwnikowi przebić się mieczem. Następnie tym samym mieczem zadawał nieszczęśnikowi ranę, która przedłużała jego agonię tak, że pojawiały się białe damy. W ten sposób Zmijogłowy oznajmiał całemu światu, że nic sobie nie robi z tych służebnic śmierci. Chociaż wolał nie podchodzić do nich zbyt blisko. Śmierć jest sługą Żmii - taki napis kazał wypisać srebrnymi literami nad bramą zamkową.

- Nie, Szczapy nie musiałem obdarzać nieśmiertelnością - odpowiedział Mo Drabowi głosem zimnym jak lód. - To Wio-lanta wyprowadziła mnie bezpiecznie z zamku. Ale przedtem poprosiła mnie, abym pomógł jej zabić ojca.

Resa położyła rękę na brzuchu, jakby chciała osłonić nienarodzone dziecko przed tymi okropnymi słowami. W głowie kołatała jej się jedna myśl: „Czarnemu Księciu opowiedział, co się wydarzyło na zamku, a mnie nie!”. Przypomniało jej się, jak bardzo Meggie była wstrząśnięta, gdy Mo zdradził jej wreszcie, co zrobił z książką, nim oddał ją w ręce Zmijogłowego.

„Co? Zwilżyłeś co dziesiątą stronę? Przecież to niemożliwe! Przez cały czas byłam przy tobie! I nic mi nie powiedziałeś?”.

Chociaż Mo przez tyle lat nie zdradził jej, gdzie przebywa jej matka, Meggie nadal była przekonana, że ojciec nie ma przed nią tajemnic. Resa nigdy tak nie myślała, a mimo to ubodło ją, że więcej powiedział Czarnemu Księciu niż jej.

- Brzydka Wiolanta chce zabić własnego ojca? - nie mógł uwierzyć Baptysta.

- A co w tym dziwnego? - zawołał Drab tak głośno, jakby przemawiał w imieniu wszystkich zbójców. - To Żmijowy pomiot! I co jej odpowiedziałeś, Sójko? Że musisz zaczekać, aż przestanie go chronić twoja przeklęta książka?

„On nienawidzi Mo! - pomyślała Resa. - Naprawdę go nienawidzi!”.

Ale i Mo mierzył Draba nienawistnym spojrzeniem, a Resa zastanawiała się, czy dawniej po prostu nie dostrzegała jego gniewu, czy też było to coś nowego, jak rana na ramieniu.

- Książka jeszcze długo będzie chronić ojca Wiolanty - odparł z goryczą. - Żmijogłowy znalazł sposób, żeby zahamować jej rozkład.

I znów podniósł się szmer wśród zbójców. Tylko Czarny Książę nie był zaskoczony. A więc Mo i o tym również mu powiedział, a jej nie! - myślała Resa. Słowa Fenoglia zmieniają go. Obecne życie go zmienia. Chociaż to tylko gra. Jeśli to jest gra...

- Ależ to niemożliwe! Jeśli ją zmoczyłeś, zacznie butwieć, a sam mówiłeś, że to zabija książkę tak samo jak ogień!

Z jakim wyrzutem mówiła Meggie! Tajemnice... Nic tak nie niszczy miłości.

Mo spojrzał na córkę. Jego wzrok zdawał się mówić: „To było w innym świecie, Meggie”. Ale głośno powiedział tylko:

- No cóż, Żmijogłowy przekonał mnie, że jest inaczej. Książka nadal będzie chronić go przed śmiercią... O ile jej strony pozostaną niezapisane...

„Nie!” - serce Resy przeszył niemy krzyk. Wiedziała, co teraz nastąpi, miała ochotę zatkać sobie uszy, choć najbardziej na świecie lubiła słuchać głosu Mo. Przez te wszystkie lata, które spędziła na służbie u Mortoli, jego twarz zatarła się w jej pamięci, lecz głosu nigdy nie zapomniała. Ale teraz nie był to głos jej męża, tylko głos Sójki.

- Nie potrzeba dużo czasu, żeby wpisać trzy słowa...

Mo mówił cicho, ale jego głos zdawał się wypełniać cały Atramentowy Świat, jakby tu było jego właściwe miejsce - pośród niebotycznych drzew, obdartych mężczyzn, zaspanych wróżek wyglądających z gniazd.

- Żmijogłowy nadal wierzy, że tylko ja mogę uratować książkę - ciągnął. - Da mi ją, jeśli udam się do niego z obietnicą, że ją ulecę. No a wtedy... odrobina atramentu, pióro... kilka sekund wystarczy, by napisać trzy słowa. A jeśli jego córka naprawdę może mi dać te sekundy?

Zbójcy oczarowani wsłuchiwali się w jego głos, jakby na ich oczach działo się to, o czym mówił Mo. Lecz nagle odezwał się Drab - i czar przysł.

- Jesteś rąbnięty! Po prostu rąbnięty! - zawołał ochryłym głosem. - Pewnie uwierzyłeś w to, co mówią o tobie pieśni: nieśmiertelny, niezwyknięty Sójka! Brzydka Wiolanta cię zdradzi i wyda ojcu, a ten obedrze cię ze skóry, jak tylko wpadniesz w jego łapy. O tak, tak właśnie zrobi, i zostawi sobie na to trochę więcej czasu niż parę sekund! Ale my wszyscy też damy gardła za to, że ty uwielbiasz zgrywać bohatera!

Resa spostrzegła, że dłoń Mo zaciska się na rękojeści miecza, ale Czarny Książę położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

- Może nie musiałby tak często zgrywać bohatera, jak to opowiadasz, Drabie, gdybyście wy go w tym częściej wyręczali.

Drab podniósł się powoli ze swego miejsca, ale nim zdołał się odezwać, Siłacz poderwał się z ziemi i jak dziecko chcące zażegnać kłótnię rodziców wyrzucił z siebie potok słów:

- A może jednak Sójka ma rację? Może Brzydka Wiolanta naprawdę chce nam pomóc! Zawsze była dobra dla wagańców! Pamiętacie, jak przychodziła do nas do obozu? Dostarcza stawy biedakom i za każdym razem, kiedy Szczapa każe obciąć jakiemuś rękę albo nogę, wzywa na zamek Puszczyka!

- Doprawdy to bardzo wielkoduszne! - skrzywił się Gekon, który zawsze sprzeciwiał się Siłaczowi, a siedząca na jego ramieniu wrona zakrakała pogardliwie. - I co jest takiego wspaniałego w tym, że rozdaje biednym resztki z kuchni i stare ubrania, których nikt już nie chce nosić? A czy ona chodzi w łachmanach, jak moja matka i siostra? Nie, mówię wam! Pewnie Balbulusowi skończył się pergamin i Wiolanta chce zainkasować nagrodę za głowę Sójki, żeby mu kupić nowy!

Paru zbójców się zaśmiało. Siłacz spojrział bezradnie na Czarnego Księcia, a Doria coś szeptał mu do ucha, patrząc z nienawiścią na Gekona.

„Proszę cię, Czarny Książę! - błagała w myślach Resa. - Powiedz Mo, żeby zapomniał o tym, co mu powiedziała Wiolanta. Ciebie na pewno posłucha! I pomóż mu zapomnieć o książce, którą zrobił dla jej ojca!”.

Czarny Książę spojrział na Resę, jakby usłyszał jej nieme błaganie. Ale jego śniada twarz pozostała niewzruszona, jak to coraz częściej obserwowano także u Mo.

- Doria! - zwrócił się do brata Siłacza. - Potrafiłbyś zakraść się do zamku i wybadać, jakie zadanie otrzymał Piszczalka?

Siłacz otworzył usta, jakby chciał zaprotestować. Bardzo kochał brata i starał się go ochraniać. Ale Doria był w takim wieku, kiedy każdy chce się wyzwolić spod kurateli dorosłych.

- Nie ma sprawy! - odparł z uśmiechem zdradzającym, jaką przyjemność sprawia mu wykonywanie poleceń Czarnego Księcia. - Kilku strażników znam od dziecka, a większość to moi rówieśnicy.

- Dobrze - rzeki Czarny Książę i podniósł się z miejsca. Następnie wypowiedział słowa przeznaczone dla Mo, chociaż na niego nie patrzył: - Jeśli zaś chodzi o propozycję Wiolanty, to zgadzam się z Gekonem i Drabem. Wiolanta ma wprawdzie słabość do wagantów i lituje się nad poddanymi, ale nie przestała być córką swojego ojca i nie powinniśmy jej ufać.

Oczy wszystkich skierowały się na Mo.

Ale Mo się nie odzywał.

Jego milczenie powiedziało Resie więcej niż jakiegokolwiek słowa. Znała je równie dobrze jak Meggie. Widziała paniczny lęk w twarzy córki, gdy ta zaczęła gorączkowo przekonywać Mo. Meggie wreszcie zrozumiała, jak mocno ten świat nim owładnął, przed czym sam ją kiedyś ostrzegał. Litery jak czarny atramentowy wir wciągały go coraz głębiej i głębiej. A Resie znów błysnęła przerażająca myśl, która dręczyła ją w ostatnich tygodniach. Myśl o tym, że tamtego dnia, gdy Mo leżał w twierdzy Capricorna śmiertelnie ranny, białe damy zabrały część jego osoby tam, gdzie teraz przebywa Smolipaluch. I że ona, Resa, odzyska tę część męża dopiero tam, gdzie kończą się wszystkie historie.

Rozdział 15

Głośnie słowa, ciche słowa

Kiedy odchodzisz, przestrzeń za tobą zwiera się jak woda, Nie odwracaj się: niczego nie ma poza tobą, Przestrzeń to tylko czas na inny sposób widzialny, Miejsc, które kochamy, nie możemy porzucić.

Ivan V. Lalić, O dziełach miłości albo Bizancjum

- Proszę cię, Mo, zapytaj go!

W głosie matki brzmiała bezdenne rozpacz. Najpierw Meg-gie myślała, że to tylko sen, jeden z tych okropnych snów rodem z mrocznej przeszłości. Ale gdy otworzyła oczy, głosy nie umilkły. Ostrożnie wyjrzała z namiotu: rodzice stali pod drzewami zaledwie kilka metrów dalej - dwa cienie majaczące w ciemnościach nocy. Dąb, o który opierał się Mo, był tak gruby, jak nie bywa to w innym świecie. Resa uczepliła się ramienia męża, jakby go chciała zmusić do słuchania.

- Pamiętasz? Zawsze tak robiliśmy! Jeżeli któremuś z nas nie podobała się jakaś historia, po prostu zamykaliśmy książkę! Zastanów się, Mo, ile jest książek na świecie. Znajdziemy inną książkę, która opowie nam swoją historię, taką, gdzie słowa są tylko słowami i nie czynią nas kością z ich kości i krwią z ich krwi!

Meggie zobaczyła zbójców leżących pod drzewami. Wielu z nich sypiało pod gołym niebem, mimo że noce były już bardzo zimne. Ale żaden się nie obudził, chociaż Mo i Resa rozmawiali o krok od nich.

- Jeśli się nie mylę, to ja chciałem zamknąć tę książkę, póki był jeszcze czas - odezwał się Mo głosem tak chłodnym jak powietrze przenikające do środka przez dziurawe ściany namiotu. - Ale Meggie i ty nie widziałyście świata poza nią.

- A skąd mogłam wiedzieć, co ta historia z ciebie zrobi? - Resa z trudem powstrzymywała łzy.

„Połóż się spać! - pomyślała Meggie. - Zostaw ich samych”. Ale siedziała dalej, drżąc z zimna.

- Co ty opowiadasz? Co niby ze mnie zrobiła?

Mo mówił przyciszonym głosem, jakby nie chciał zakłócać ciszy nocnej, ale Resa zupełnie się zapomniała.

- Co z ciebie zrobiła? - mówiła coraz głośniej. - Nosisz miecz u pasa! Prawie nie sypiasz i noce spędzasz poza domem. Myślisz, że nie potrafię odróżnić głosu prawdziwej sójki od głosu człowieka? Myślisz, że nie wiem, ile razy Baptysta albo Siłacz przychodzili po ciebie w nocy, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w zagrodzie...? A najgorsze jest to, że tak chętnie z nimi chodzisz. Zasmakowałeś w niebezpieczeństwach! Pojechałeś do Ombry, chociaż książę cię przed tym ostrzegał. Cudem stamtąd wróciłeś, o mało cię nie złapali, a ty zachowujesz się tak, jakby to była tylko gra, zabawa!

- A nie jest tak? - spytał Mo tak cicho, że Meggie musiała dobrze nadstawiać uszu, by zrozumieć jego słowa. - Nie pamiętasz już, z czego ten świat jest ulepiony?

- Jest mi najzupełniej obojętne, z czego on jest ulepiony. Ważne jest tylko to, że możesz w nim umrzeć, Mo, i ty wiesz o tym najlepiej. A może zapomniałeś już o białych

damach? Nie sędę... Ciągłe mówisz o nich przez sen, czasem mi się zdaje, że tęsknisz za nimi...

Mo milczał, ale Meggie dobrze wiedziała, że Resa ma rację. Mo jeden jedyny raz opowiedział jej o białych damach.

„One są czystą tęsknotą, Meggie - mówił wtedy. - I ta tęsknota w końcu bez reszty wypełnia ci serce, aż pozostaje w nim tylko jedno pragnienie: pójść z nimi, dokądkolwiek cię powiodą...”.

- Proszę cię, Mo - rzekła Resa drżącym głosem. - Spróbuj poprosić Fenoglia, żeby nas odesłał do domu. Może zrobi to dla ciebie, jest ci to winien!

Jeden ze zbójców zakasłał przez sen, inny przysunął się bliżej ogniska. Kiedy wszystko się uciszyło, Mo odezwał się do Resy, jakby mówił do dziecka, nawet z Meggie już tak teraz nie rozmawiał.

- Fenoglio przestał pisać, Reso. Nie wiem, czy w ogóle jeszcze potrafi pisać.

- No to idź do Orfeusza! Słyszałeś, co mówił Farid: sprowadził kolorowe wróżki, jednorożce...

- To nic nie znaczy. Orfeusz może dodać coś tu i tam do historii Fenoglia, ale żeby nas odesłać do Elinor, musiałby napisać coś własnego. Wątpię, czy to potrafi. A choćby nawet potrafił! Z tego, co mówi Farid, wynika, że Orfeusz myśli tylko o tym, by zostać najbogatszym człowiekiem w Ombrze. Masz pieniądze, żeby mu zapłacić za usługę?

Teraz Resa zamilkła, jakby znów postradała mowę, którą odzyskała w tym świecie.

W końcu Mo przerwał milczenie.

- Posłuchaj, Reso - zaczął. - Jeśli wrócimy teraz, nie będę mógł myśleć o niczym innym, tylko o tym, jak ta historia się dalej rozwija. Ale żadna książka na świecie nie odpowie mi na to pytanie.

- Ty nie chcesz wiedzieć, jak się potoczą losy tej historii - zaproponowała Resa i teraz to jej głos zabrzmiał chłodno. - Chcesz raczej decydować o tym, co się stanie. Chcesz się włączyć do gry! Ale skąd możesz wiedzieć, czy kiedykolwiek uda ci się wyplątać z tych liter, jeśli jeszcze głębiej w nie wejdiesz?

- Jeszcze głębiej? Sądzisz, że to możliwe? Ja dotknąłem śmierci, Reso! I otrzymałem nowe życie.

- Jeśli więc nie chcesz tego uczynić dla mnie... - jak ciężko było jej mówić! - wróc dla Meggie... i dla naszego drugiego dziecka. Chcę, żeby miało ojca! Chcę, żeby żył, kiedy ono się urodzi! I żeby to był ten sam mężczyzna, który wychował jego siostrę...

Resa znów musiała długo czekać na odpowiedź Mo. Gdzieś w lesie zahukał puszczyk. Wrony Gekona krakały sennie w koronie drzewa, które obrały sobie na nocne legowisko. Świat Fe-noglia wydawał się uosobieniem spokoju. A Mo pogładził korę dębu tak pieszczotliwie, jak gładził grzbiety książek.

- A skąd wiesz, że Meggie nie chce zostać? Jest już prawie dorosła. I jest zakochana. Myślisz, że będzie chciała wrócić, jeśli Farid zostanie tutaj? A on na pewno zostanie.

Zakochana... Meggie poczuła, że twarz jej płonie. Zrobiło jej się nieswojo, gdy Mo nazwał po imieniu to, czego ona nigdy nie ujmowała w słowa. Zakochana... to brzmiało jak choroba, na którą nie ma lekarstwa. I często tak to właśnie odbierała. Za każdym razem gdy odczuwała pragnienie powrotu, pojawiała się natrętna myśl: „Farid zostanie tutaj, mimo że Smolipaluch przebywa w krainie umarłych. Będzie go nadal poszukiwał i tęsknił za nim o wiele bardziej niż za tobą, Meggie!”. A jak by to było, gdyby wróciła bez niego? Czy zostawiłaby serce w tym świecie i w swoim świecie chodząc z wielką dziurą w piersi? Czy pozostałaby samotna, tak jak Elinor, by tylko w książkach czytać o zakochanych?

- Zapomni o nim! - powiedziała Resa. - Pokocha innego. „Co ta mama mówi? - pomyślała Meggie przerażona. – Ona mnie zupełnie nie zna! Nigdy mnie nie znała. Bo i skąd, skoro przez cały czas była nieobecna?”.

- A co z naszym drugim dzieckiem? - ciągnęła Resa. - Chcesz, żeby urodziło się w tym świecie?

Mo rozejrzył się wokół i Meggie zrozumiała to, co podejrzewała już dawno: że ojciec pokochał ten świat równie mocno jak ona i mama, a może nawet mocniej.

- A dlaczego nie? - odpowiedział pytaniem Mo. - Chcesz, żeby się urodziło w świecie, w którym może tylko w książkach czytać o tym, za czym tęskni?

- Jak możesz mówić coś takiego! - zawołała Resa, a głos drżał jej z gniewu. - Wszystko, co tu znalazłeś, pochodzi z naszego świata. Bo skądże miałby to wziąć Fenoglio?

- Nie wiem. Czy jesteś przekonana, że istnieje tylko jeden prawdziwy świat, a wszystkie inne są jego słabymi kopiami?

Gdzieś daleko rozległo się wycie wilka, dwa inne mu odpowiedziały. Jeden z wartowników wyszedł spośród drzew i dorzucił naręczę chrustu do przygasającego ogniska. Nazywał się Włóczęga. Żaden ze zbójców nie nosił nazwiska, pod którym się urodził. Rzuciwszy Mo i Resie zaciekawione spojrzenie, znikł między drzewami.

- Nie chcę wracać, Reso. Jeszcze nie teraz! - Mo mówił stanowczo, lecz zarazem łagodnie, jakby wciąż miał nadzieję przekonać żonę, że powinni tu zostać. - Minie jeszcze

sporo miesięcy, nim dziecko przyjdzie na świat - ciągnął. - Może do tego czasu wszyscy będziemy sobie siedzieć wygodnie w domu Eli-nor. Ale teraz chcę być tutaj.

Pocałował Resę w czoło i poszedł na drugi koniec obozu, tam gdzie między drzewami stał inny wartownik. A Resa, tak jak stała, usiadła w trawie i ukryła twarz w dłoniach. Meggie miała ochotę podejść do niej i pocieszyć ją, ale co jej mogła powiedzieć? „Chcę zostać z Faridem. Nie chcę pokochać innego”. Nie, to by jej na pewno nie pocieszyło. A Mo nie wracał.

Rozdział 16

Oferta piszczałki

Zawsze przychodzi taka chwila, że postać stworzona przez ciebie coś zrobi lub powie, o czym wcześniej nie pomyślałeś. Od tej chwili jest żywa i pozostawiasz jej całą inicjatywę.

Graham Greene

Nareszcie się doczekali. Spod bramy miejskiej dobiegi ich dźwięk fanfar, blaszany i dumny. Fenoglio pomyślał, że ich głos jest taki sam jak głos tego, kogo zapowiadały. Szczapa... lud zawsze znajdzie trafne przezwisko. On sam by lepszego nie wymyślił... co prawda nie wymyśliłby też tego pyszałkowatego chudzielca! Nawet Żmijogłowy nie fetował wjazdu do miasta z takim przepychem. Tymczasem wystarczyło, żeby jego suchotniczy szwagier objechał raz wkoło mury zamkowe, a już grzmiały fanfary.

Fenoglio przyciągnął Despinę i Iwa do siebie, ale Iwo zaraz się wyrwał i zwinnie jak wiewiórka wdrapał się na murek, skąd mógł obserwować uliczkę, którą będzie szedł pochód: Szczapa i jego świta nazywana przez mieszkańców sforą. Na pewno doniesiono mu już, że przed bramą zamkową czekają na niego wszystkie kobiety Ombry.

„Dlaczego Piszczalka liczy nasze dzieci?”. Przybyły tu tylko w jednym celu: żeby zadać Szczapie to pytanie. Czekając na namiestnika, wykrzykiwały te słowa pod adresem strażników przy bramie, ale ci tylko nastawili piki, patrząc groźnie na wzburzone kobiety. One jednak nic sobie z tego nie robiły.

Był piątek, dzień polowania, i kobiety już od paru godzin czekały na swego nowego pana, który regularnie raz w tygodniu zajmował się trzebieniem zwierzyny w Nieprzebytym Lesie. Znowu jego słudzy poniosą ulicami głodującej Ombry upolowane dziki, jelenie i zające, mijając zrozpaczone kobiety, które nie mają co włożyć do garnka. Dlatego w piątki

Fenoglio nie wyściubiał nosa z domu, ale tym razem zmoęła go ciekawość. Ciekawość... co za uciążliwe uczucie...

- Fenoglio - poprosiła go rano Minerwa - czy mógłbyś przypilnować Despiny i Iwa? Ja muszę iść na zamek. Wszyscy tam idą. Chcemy ich zmusić, żeby nam wyjaśnili, dlaczego Piszczalka liczy nasze dzieci.

„Doskonale wiecie dlaczego!” - chciał powiedzieć Fenoglio, ale ugryzł się w język. Twarz Minerwy wyrażała bezdenną rozpacz.

„Nie odbieraj jej nadziei, że dzieci nie trafią do kopalń Źmi-jogłowego. Zrobią to za ciebie Szczapa i Piszczalka” - pomyślał.

Miał tego wszystkiego serdecznie dosyć! Wczoraj podjął na nowo próby pisania po tym, jak zdenerwował go cheępliwy uśmiech Piszczalki wjeżdżającego do miasta. Wziął do ręki jedno z dobrze zatemperowanych piór, które szklany pomocnik uparcie mu podsuwał, usiadł nad czystą kartką papieru tylko po to, by po godzinie skrzyczeć Bogu ducha winnego Kryształka, że kupił papier zrobiony chyba ze starych gaci!

„Ach, Fenoglio, ileż to głupich wymówek przychodzi ci do głowy, abyś tylko nie musiał się przyznawać, że moc słowa opuściła cię na zawsze!”.

Była to, niestety, prawda. Nadal chciał być panem tej historii, chociaż od śmierci Cosima twierdził uparcie, że umywa od tego ręce. Coraz częściej z piórem w dłoni udawał się na poszukiwanie dawnego czaru, choć zabierał się do pracy zwykle wtedy, gdy Kryształek głośnie chrapał w zajmowanym przez siebie gnieździe wróżki, nie chciał bowiem ryzykować, że szklany pomocnik będzie świadkiem jego porażki. Albo wtedy, gdy Miner-wa serwowała dzieciakom zupeł niewiele lepszą od pomyj, gdy ohydne tęczowe wróżki swarzyły się w swoich gniazdach, tak że nie mógł usnąć, lub gdy jeden z jego tworów - wczoraj był to Piszczalka - przypomniał mu czasy, kiedy upojony swoim kunsztem tkął z liter ten świat.

Ale kartki pozostawały puste, jakby wszystkie słowa uciekły do Orfeusza tylko dlatego, że ten brał je na język i wysysał.

Był tak zgnębiony, że zastanawiał się nawet nad powrotem do swojej wioski w tym drugim świecie, spokojnej i sytej, gdzie nic się nie dzieje i nie ma wróżek, i do wnuków, którym z pewnością brakowało jego opowieści (cóż za historie mógłby im teraz opowiedzieć!). Ale skąd tu wziąć słowa zapewniające powrót? Na pewno nie z jego pustej starej głowy, a Orfeusza nie poprosi, żeby mu je napisał, tak nisko jeszcze nie upadł!

Despina szarpała go za rękaw tuniki, którą mu niegdyś podarował Cosimo, a która teraz była zżarta przez mole i tak zakurzona jak jego jałowy mózg. Co on tu robił, pod tym

przeklętym zamkiem, którego widok miał na niego tak przygnębiający wpływ, zamiast leżeć wygodnie w łóżku?

- Fenoglio, czy to prawda, że trzeba napluć na kawałek srebra, który się wyciągnie z ziemi? - pytała Despina głosem ptasiego pisklęcia. - Iwo mówi, że mam w sam raz odpowiedni wzrost do tych sztolni, gdzie jest najwięcej srebra.

Przeklęty bachor! Po co on opowiada małej takie rzeczy?

- Ile razy ci mówiłem, żebyś nie słuchała tego, co mówi Iwo! - odparł Fenoglio, szczesując jej za uszy gęste czarne loki i spoglądając na Iwa karcącym wzrokiem. Biedna sierota!

- Pytała mnie, więc jej powiedziałem - usprawiedliwił się Iwo. Był w wieku, kiedy gardzi się nawet pocieszającymi kłamstwami.

- Ale ciebie pewnie nie wezmą - rzekł, pochylając się nad siostrą. - Dziewczynki za szybko umierają. Mnie za to na pewno wezmą, i Beppego, i Lina, nawet kulawego Mungusa. Piszczalka zabierze nas wszystkich. A potem przywiozą nas martwych, jak naszego...

Despina zatkała mu usta rączką, jakby wierzyła, że ojciec ożyje, jeśli brat nie wymówi tego słowa.

Fenoglio miał ochotę przetrzepać Iwowi skórę, ale wtedy Despina zalałaby się łzami. Czy wszystkie młodsze siostrzyczki ubóstwiają starszych braci?

- Dostyć! Przestań wreszcie straszyć siostrę! - krzyknął na niego, - Piszczalka przyjechał, żeby złapać Sójkę. To wszystko. I żeby spytać Szczapę, dlaczego odstawia tak mało srebra do Mrocznego Zamku.

- Ciekawe! To dlaczego nas liczą?

W ciągu kilku tygodni chłopiec stał się dorosły, jakby troski starły dzieciństwo z jego twarzy. Iwo - zaledwie dziesięcioletni - był teraz ojcem rodziny, choć Fenoglio starał się, jak mógł, by zdjąć ten ciężar z jego chudych ramion. Chłopiec dzień w dzień pracował u farbiarzy, pomagając wyciągać ze śmierdzących kubłów mokre płyty sukna, a wieczorem przynosił ze sobą do domu zapach farby. Ale zarabiał więcej niż Fenoglio swymi pisarskimi usługami na rynku.

- Wszystkich nas pozabijają! - ciągnął niewzruszony, utkwivszy wzrok w strażnikach, którzy lasem pochylonych pik bronili kobietom dostępu do bramy. - A Sójkę też złapią i rozerwą go na kawałki, jak tego waganta w zeszłym tygodniu, co to obrzucił namiestnika zgniłymi warzywami. Kawałki rzucili psom...

- Iwo!

Tego było już za wiele. Fenoglio chciał wytargać chłopca za uszy, ale Iwo odskoczył w porę. A mała Despina tak mocno ścisnęła rękę Fenoglia, jakby nie miała już dokąd uciec w tym okropnym świecie.

- Nie złapią go, prawda? - spytała tak cicho, że Fenoglio musiał się pochylić, by ją zrozumieć. - Bo teraz niedźwiedź pilnuje Sójki tak samo jak Czarnego Księcia.

- Oczywiście! - potwierdził Fenoglio, gładząc ją po czarnych jak noc włosach.

W uliczce dał się słyszeć tętent kopyt końskich, gwar głosów swawolnych i roześmianych, które urągały milczeniu oczekujących kobiet. Za wzgórzami zachodziło słońce, rzucając czerwony odblask na dachy Ombry. Szlachetnie urodzeni wracali dziś późno z leśnej imprezy w swych srebrnym szamerowanych strojach zbryzganych krwią, a ich obojętne serca ożywiała radość zabijania. Śmierć była doskonałym lekarstwem na nudę - o ile nie była to własna śmierć.

Kobiety zwały szeregi. Straże odpędziły je od bramy, lecz one nadal czekały pod murami zamku - stare, młode, matki, córki, babcie. Minerwa stała w pierwszym szeregu. Zmizerniała bardzo w ostatnim czasie, ta historia zżerała ją bez litości.

„Jak kanibal” - pomyślał Fenoglio.

A jak radośnie się uśmiechnęła na wieść o tym, że Sójka skradł Balbulusowi cenne księgi i umknął z zamku!

„On nas uratuje!” - szepnęła, a wieczorem nuciła półgłosem kiepskie pieśni o jego wyczynie krążące już po Ombrze. O białej i czarnej ręce sprawiedliwości, o Sójce i Czarnym Księciu... Introligator i kuglarz przeciwko Piszczalce i jego armii pancernych podpalaczy...

„Dlaczego nie? Ostatecznie to by była całkiem niezła historia” - dumiał Fenoglio, biorąc Despinę na ręce, gdy mijali ich żołnierze stanowiący straż przednią towarzystwa myśliwskiego.

Za myśliwymi postępowali kuglarze, muzycanci grający na piszczałkach i bębenkach, zonglerzy, właściciele oswojonych ko-boldów i oczywiście Kopeć, który nie odmawiał sobie żadnej przyjemności (choć podobno mdlał przy oślepieniu i ćwiartowaniu). Dalej biegły psy cętkowane jak drzewa w Nieprzebytym Lesie, gdy poranne słońce prześwieca przez gałęzie, psiarczykowie, którzy mieli dbać o to, by psy były głodne w dzień polowania, a na końcu myśliwi, którym przewodził Szczapa - chuderlawy facecik na zbyt dużym koniu, tak brzydki, jak jego siostra była podobno piękna, z nosem spiczastym i jakby przykrótkim i szerokimi zaciśniętymi ustami. Nikt nie wiedział, dlaczego Żmijogłowy właśnie jego wybrał na nowego pana Ombry. Niektórzy podejrzewali, że to siostra uprosiła Srebrnego Księcia,

którego w końcu obdarzyła pierwszym synem. Ale Fenoglio sądził, że Żmijogłowy wybrał słabowitego szwagra, bo wiedział, że ten nigdy nie powstanie przeciwko niemu.

„Co za marna postać!” - pomyślał Fenoglio, gdy Szczapa mijał go z zarożumiałą miną. Widocznie ta historia obsadzała teraz nawet główne role marnymi aktorami.

Jak można było tego oczekiwać, towarzystwo wracało z obfitymi łupami: na drogach niesionych przez parobków kołysały się kuropatwy niby świeżo spadłe owoce, kilka saren, które Fenoglio wymyślił specjalnie dla tego świata, o sierści czerwono-brunatnej i nawet u dorosłych samic (choć nie można powiedzieć, żeby te tutaj doczekały późnej starości...) cętkowanej jak u młodych kozłat, zające, jelenie, dziki...

Kobiety Ombry patrzyły na zwierzynę z zastygłymi twarzami, niejedna ręka mimowolnie dotykała pustego brzucha, stroskane spojrzenie wędrowało ku głodnym dzieciom czekającym na matki w bramach domów.

I wreszcie jednorożec...

Przeklęta Świecąca Gęba!

W świecie Fenoglio nie było jednorożców, ale Orfeusz na specjalne zamówienie Szczapy stworzył jedną sztukę tylko po to, by ten mógł ją upolować. Fenoglio zasłonił oczy Despinie, gdy mijali ich słudzy niosący jednorożca - biała sierść szlachetnego zwierzęcia zbroczona była krwią. Jakiś tydzień temu Kryształek doniósł mu o tym zamówieniu Szczapy. Orfeusz otrzymał sowite wynagrodzenie, a cała Ombra zastanawiała się, z jakiego dalekiego kraju Podwójnooki sprowadził ten niezwykły okaz.

Jednorożec! Ileż to pięknych historii można by opowiedzieć o jednorożcu... Ale Szczapa nie płacił za historie, nie mówiąc

O tym, że Orfeusz nie byłby w stanie ich napisać.

„Stworzył jednorożca za pomocą moich słów!” - myślał rozwścieczony Fenoglio.

Ach, gdyby miał pieniądze, by wynająć złodziei, którzy skradną książkę służącą temu pasożytowi za kopalnię słów! Jego własna książka! Gdyby choć umiał wyczarować słowami skarb, tak jak tamten. Ale nawet tego nie potrafił dokonać, on, Fenoglio, nadworny poeta Pięknego Cosima i twórca tego niegdyś tak wspaniałego świata! Łzy litości nad sobą samym napłynęły mu do oczu i wyobraził sobie, że zamiast jednorożca niosą zbrzydzonego krwią obmierzłego Orfeusza... Ostry i donośny głos Minerwy wyrwał go z tych mściwych rozmyślań.

- Dlaczego liczycie nasze dzieci? Skończcie z tym!

Despina tak mocno zacisnęła chude ramionka na szyi Fenoglia, że prawie nie mógł oddychać, bo oto Minerwa wmieszała się między konnych... Czy ona postradała rozum? Chce do końca osierocić dzieci?

Elegancka amazonka jadąca tuż za Szczapą dłonią w rękawiczce wskazała na Minerwę, jej bose nogi i ubogą suknię. Strażnicy podbiegli z pochylonymi lancami...

„Do diabła, Minerwa!” - złorzeczył w duchu Fenoglio.

Serce podeszło mu do gardła, Despina zaczęła płakać, ale to nie szlochanie dziecka sprawiło, że Minerwa opanowała się i cofnęła do grupy kobiet. Bo oto na blankach nad bramą wjazdową do zamku ukazał się Piszczalka.

-Dlaczego liczymy wasze dzieci? - zawołał.

Jak zawsze był wspaniale odziany. Nawet Szczapa przy nim wyglądał jak kamerdyner. Stał między blankami jak paw z rozłożonym ogonem, po obu stronach mając po dwu kuszników.

Może stał już tam długo, chcąc zobaczyć, jak szwagier jego pana poradzi sobie ze zbuntowanymi kobietami. Jego stłumiony nosowy głos niósł się daleko w ciszy spowijającej Ombre.

- Liczymy wszystko, co do nas należy! - wołał. - Owce, krowy, kury, kobiety, dzieci, mężczyzn... chociaż tych ostatnich nie macie już zbyt wielu. Liczymy wasze pola, stajnie, domy, każde drzewo. Zmijogłowy pragnie poznać dobra, nad którymi rozciąga się jego panowanie.

Srebrny nos sterczał w jego twarzy jak ptasi dziób. Krążyły opowieści, że Zmijogłowy zrobił mu także serce ze srebra, ale Fenoglio był pewien, że w piersi Piszczalki bije prawdziwe ludzkie serce. Nic nie jest bardziej okrutne od serca z krwi i ciała, gdyż takie serce wie, co człowiekowi sprawia ból.

- Nie chcecie ich zabrać do kopalń? - krzyknęła jedna z kobiet. Piszczalka nie odpowiedział od razu. Z zadowoloną miną obserwował swoje różowe paznokcie, którymi bardzo się szczyił. Były wypiełgnowane jak u kobiety, zgodnie z tym, co napisał o nim Fenoglio. To było ekscytujące uczucie widzieć, jak jego postacie zachowują się zgodnie z zamysłem twórcy.

„Na pewno co wieczór moczysz je w wodzie różanej, łotrze! - myślał Fenoglio. Tymczasem Despina patrzyła na Piszczalkę jak ptaszek na kota, który chce go pożreć. -1 są długie jak u kobiet, które towarzyszą Szczapie”.

- Do kopalń? To bardzo interesujący pomysł!

Zrobiło się tak cicho, że Srebrnonosy nie musiał nawet podnosić głosu. Zachodzące słońce rzucało jego cień - długi i czarny - na stłoczoną grupę kobiet.

„Bardzo efektowne!...” - pomyślał Fenoglio.

I ten Szczapa czekający pod bramą jak służący Piszczalki. Co za scena! Szkoda, że to nie on ją stworzył... -

- Ach, rozumiem! Myślicie, że Zmijogłowy przysłał mnie z tego powodu! - Piszczalka oparł dłonie na murze i patrzył w dół niczym drapieżnik zastanawiający się, który kęsek będzie smaczniejszy: Szczapa czy któraś z kobiet. - Ależ skąd! Jestem tu po to, by złapać pewnego ptaszka, a wy wszyscy dobrze wiecie, jakiego koloru jest jego upierzenie. Chociaż, jak słyszę, podczas swego ostatniego bezczelnego wyskoku był czarny niczym kruk. Jak tylko złapię ptaszka, wrócę na tamtą stronę lasu, prawda, panie namiestniku?

Szczapa zadarł głowę, poprawiając skrwawiony miecz u pasa.

- Jeśli tak mówisz! - zawołał, z trudem opanowując gniew i patrząc na zgromadzone kobiety z taką złością, jakby nigdy dotąd nie widział nic równie irytującego.

- Tak właśnie mówię - przyświadczył Piszczalka, z uśmiechem wyższości spoglądając z góry na Szczapę. - Gdyby jednak... - powiódł spojrzeniem po kobietach, robiąc efektowną pauzę - gdyby jednak ptaszek nie dał się złapać... - urwał i milczał długo, jakby chciał dokładnie obejrzeć każdą z nich - gdyby na przykład ktoś z tu obecnych udzielił mu schronienia albo przestrzegł przed patrolami lub śpiewał pieśni o tym, jak nas wodzi za nos... - Piszczalka westchnął z całej duszy. - Wtedy oczywiście będę musiał zabrać wasze dzieci, bo przecież nie wrócę do mojego pana z pustymi rękami.

O, przeklęty srebrnonosy bękart!

„Dlaczego nie uczyniłeś go głupszym, Fenoglio? Dlatego, że głupi złoczyńcy są śmiertelnie nudni” - odpowiedział sam sobie. Ogarnął go wstyd, gdy zobaczył rozpacz na twarzach kobiet.

- Jak widzicie, wszystko zależy od was! - Jego zduszony głos wciąż nosił ślady zwodniczej słodyczy, dzięki której Piszczalka stał się niegdyś ulubieńcem Capricorna. - Pomóżcie mi złapać ptaszka, którego śpiew Zmijogłowy chciałby usłyszeć w swoim zamku, a zachować wasze dzieci. W przeciwnym razie... - znudzonym gestem dał znak strażom i Szczapa z gniewną twarzą mógł wreszcie wjechać w otwierającą się bramę - w przeciwnym razie będę musiał sobie przypomnieć, że w naszych kopalniach srebra potrzeba dużo małych rąk do pracy.

Kobiety patrzyły na niego z kamiennymi twarzami, jakby te twarze nie mogły pomieścić bezmiaru rozpacz.

- Po co tu jeszcze stoicie? - wykrzyknął Piszczalka. Tymczasem pachołkowie nadal wnosili przez bramę myśliwskie trofea Szczapy. - Wynoście się albo każę wylać na was wrzątek! Zresztą to całkiem dobry pomysł, bo każda z was potrzebuje kąpieli.

Kobiety cofnęły się przerażone, jak gdyby na murach już stały przygotowane kotły z wrzątkiem.

Serce Fenoglia biło tak mocno, jak wtedy gdy w pracowni Balbulusa żołnierze otoczyli i zabrali Mortimera. Przyglądał się twarzom kobiet, żebrakom tłoczącym się pod murami w pobliżu pręgierza, wylęknionym dzieciom - i ogarnął go strach. Dotychczasowe nagrody, jakie Srebrny Książę wyznaczał za głowę Mortimera, nie zdołały nakłonić nikogo w Ombrze do zdrady. Ale co będzie dalej? Która matka nie wyda Sójki za cenę życia własnego dziecka?

Przez tłum kobiet przepychał się żebrak, a gdy utykając, przeszedł obok niego, Fenoglio rozpoznał w nim jednego ze szpiegów Czarnego Księcia.

„Dobrze! - pomyślał. - Mortimer wkrótce się dowie, jaką ofertę złożył Piszczalka kobietom Ombry. Ale co dalej?”.

Kawalkada myśliwych wciąż wlewała się przez bramę zamkową, a kobiety wracały do domów z głowami spuszczoneymi, jakby już teraz wstydziły się z powodu zdrady, do jakiej namawiał ich Piszczalka.

- Fenoglio! - usłyszał cichy głos.

Jakaś kobieta zatrzymała się tuż obok niego. Poznał ją dopiero wtedy, gdy zsunęła z twarzy chustkę, którą miała zawiązaną na wysoko upiętych włosach jak chłopka.

- Resa? Co ty tu robisz? - zawołał Fenoglio, rozglądając się wokół niespokojnie, ale żona Mortimera najwyraźniej przyszła bez męża.

- Szukałam cię wszędzie!

Despina, obejmując Fenoglia za szyję, z ciekawością przyglądała się obcej.

- Ta kobieta jest podobna do Meggie - szepnęła mu do ucha.

- Oczywiście, bo to jej mama - odparł i postawił małą na ziemi, widząc zbliżającą się Minerwę.

Kobieta szła wolno, ślaniając się na nogach. Iwo podbiegł i podtrzymał ją.

- Fenoglio! - niecierpliwiła się Resa, ciągnąc pisarza za rękaw. - Muszę z tobą porozmawiać.

- O czym? - spytał Fenoglio, przeczuwając kłopoty. - Idź przodem, Minerwo - zwrócił się do swojej gospodyni. - Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze.

Ale Minerwa spojrzała na niego, jakby był jednym z jej dzieci, i biorąc córeczkę za rękę, podażyła za synem. Stapała tak niepewnie, jakby słowa Piszczalki zamieniły się w odłamki szkła rozsypane na drodze.

- Powiedz, że twój mąż schował się głęboko w lesie i nie zamierza robić więcej głupstw, takich jak wizyta u Balbulusa! - szepnął Fenoglio do Resy, pociągając ją w uliczkę piekarzy.

Pachniało tam jak zawsze świeżym chlebem i ciastkami. Zapachy te były codzienną udręką dla większości mieszkańców, którzy od dawna nie mogli sobie pozwolić na takie frykasy.

Resa nasunęła chustkę na czoło, rozglądając się wokół, jakby się obawiała, że Piszczalka we własnej osobie zszedł z muru i tropi ją. Ale tylko jakiś wychudzony kot śmignął przez ulicę. Dawniej po ulicach biegały też świny, ale zostały już dawno zjedzone, przede wszystkim przez towarzystwo zamkowe.

- Potrzebuję twojej pomocy! - W jej głosie brzmiała skrajna rozpacz. - Musisz nas odesłać do domu! Jesteś nam to winien! Mo znalazł się w niebezpieczeństwie tylko z powodu twoich pieśni i co dzień jest gorzej! Słyszałeś, co zapowiedział Piszczalka!

- Stop, stop, stop! - sprzeciwił się Fenoglio, bo chociaż sam miał często wyrzuty sumienia, to nie lubił, gdy inni wytykali mu błędy.

A zarzut Resy był naprawdę niesprawiedliwy. - To nie ja sprowadziłem Mortimera, tylko Orfeusz. Skąd mogłem wiedzieć, że wzór mojego Sójki pojawi się nagle w tym świecie w cielesnej powłoce!

- Ale to się już stało!

Na ulicy pojawił się jeden z latarników zapalających latarnie uliczne. Zmierzch zapadał szybko w Ombrze, wkrótce na zamku zasiądą do ucztowania, a ognie Kopcia zaczną powietrze.

- Jeśli nie chcesz tego zrobić dla mnie... - Resa z trudem zachowywała spokój, ale Fenoglio widział łzy w jej oczach - to zrób to dla Meggie... i jej braciszka czy siostrzyczki, dziecka, które niebawem przyjdzie na świat.

Có? Jeszcze jedno dziecko? Fenoglio mimo woli spojrzał na brzuch Resy, jakby spodziewał się zobaczyć nowego uczestnika gry. Czy te komplikacje nigdy się nie skończą?

- Proszę cię, Fenoglio!

Co miał jej powiedzieć? Czy to, że na biurku wciąż leży pusta kartka papieru? A może to, że podoba mu się, jak jej mąż gra rolę, którą dla niego napisał, że Sójka jest jego jedyną

paciechą w tych mrocznych czasach, jedynym jego pomysłem, który się sprawdził? Lepiej nie!

- Czy to Mortimer przysłał cię do mnie? Resa unikała jego spojrzenia.

- Reso, czy on też chce wracać?

„Opuścić mój świat? - dodał w myślach. - Mój wspaniały świat, chociaż chwilowo wszystko tu stało na głowie?”.

Fenoglio dobrze wiedział, że Mo nadal kocha ten świat mimo jego mrocznych stron. A może właśnie dlatego? Nie, chyba nie dlatego... chociaż kto wie?

- On musi odejść! Czy ty tego nie dostrzegasz? - denerwowała się Resa.

Ostatnie promienie słońca zgasły w ulicze. Było zimno i tak cicho, jakby cała Ombra zastanawiała się nad groźbą Piszczalki. Resa owinęła się ciaśniej opończą.

- Twoje słowa... zmieniają go!

- Bzdura! - zachnął się Fenoglio. - Słowa nie zmieniają ludzi! - Fenoglio mimo woli podniósł głos. - A może twój mąż dzięki moim słowom dowiedział się o sobie rzeczy, o których nie wiedział, ale które w nim były, i jeśli te rzeczy mu się spodobały, to chyba nie moja wina! A więc wracaj do niego, przekaż mu, co mówił Piszczalka, i powiedz, żeby w najbliższym czasie nie wyściubiał nosa z lasu! I przestań się zamartwiać, na miłość boską! Mortimer bardzo dobrze odgrywa swoją rolę. O wiele lepiej niż wszystkie inne postacie, które wymyśliłem, wyjąwszy może jednego Czarnego Księcia. Twój mąż jest w tym świecie bohaterem. Któryż mężczyzna by sobie tego nie życzył?

Jak ona na niego patrzyła. Jakby był starym głupcem, który niczego nie rozumie.

- Dobrze wiesz, jak kończą bohaterowie! - Resa nie panowała nad sobą. - Nie mają żon ani dzieci i żyją krótko. Poszukaj sobie kogoś innego, kto będzie odgrywał rolę bohatera w twojej historii, ale zostaw w spokoju mojego męża! Musisz nas wszystkich odesłać do domu! Jeszcze dziś w nocy!

Fenoglio odwrócił głowę, nie mogąc znieść wzroku Resy. Patrzyła mu prosto w oczy z taką determinacją jak jej córka. Meg-gie też tak zawsze na niego patrzyła. W oknie nad nimi zapalono świecę. Jego świat pograżył się w mroku. Zapadła noc. Kurtyna spadła - jutro kolejna odsłona.

- Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc. Nigdy więcej nie będę pisał. Przynosi to tylko nieszczęście, a nieszczęść w tym świecie zaiste już wystarczy.

Ależ był z niego tchórz. Dlaczego nie powiedział jej prawdy? Dlaczego jej nie powiedział, że słowa go opuściły, że prosi niewłaściwego człowieka. Ale Resa chyba

wiedziała o tym. Tyle uczuć malowało się na jej szczerzej twarzy: gniew, rozczarowanie, strach - i upór.

„Taka sama jak córka!” - pomyślał Fenoglio.

Nieugięta, silna. Tak, bez wątpienia, kobiety były inne niż mężczyźni, nie załamywały się tak łatwo. Troski drażyły je i wysysały powoli, tak jak Minerwę.

- A więc dobrze! - rzekła Resa stanowczo, choć głos jej drżał. - W takim razie poproszę Orfeusza. Potrafi wyczarować jednorożca, sprowadził nas tutaj, dlaczego nie miałby nas odesłać z powrotem?

„Jeśli mu zapłacisz” - pomyślał Fenoglio, ale nie powiedział tego głośno.

Orfeusz się nie zgodzi. Oszczędza słowa dla jaśnie państwa z zamku, którzy płacą za jego drogie szaty i służące. Nie, będzie musiała zostać - wraz z Mortimerem i Meggie. I tak powinno być, bo któż przeczyta jego słowa, jeśli pewnego dnia znów staną mu się posłuszne? I kto zabije Żmijogłowego, jeśli nie zrobi tego Sójka?

Tak, tak, muszą zostać. Tak będzie najlepiej.

- W porządku, idź do Orfeusza - powiedział. - Życzę powodzenia! - Odwrócił się do niej plecami, nie mógł dłużej patrzeć na rozpacz malującą się w jej oczach. Rozpacz i pogardę. - Ale lepiej nie wracaj po nocy - rzucił jeszcze przez ramię. - Drogi są niebezpieczne.

I odszedł. Minerwa na pewno już czekała z kolacją. Nie obejrzał się ani razu, ale dobrze wiedział, jakim wzrokiem patrzy za nim Resa. Dokładnie takim, jak patrzyła jej córka.

Rozdział 17

Falszywy strach

Życzysz sobie czego innego, niż pragniesz, mówi sen. Ziy sen. Ukarz go. Wypędź go z domu. Kaź go rozwlóczyć koźmi. Powieś go. Zasłużył sobie na to. Nakarm go grzybami - trującymi.

Paavo Haavikko, Drzewa oddychają w ciszy

Przez całe dwa dni i dwie noce Mo z Baptistą i Czarnym Księciem szukali miejsca, gdzie można by ukryć setkę lub więcej dzieci. W końcu przy pomocy niedźwiedzia udało im się znaleźć jaskinię. Droga do niej była daleka, a ściana skalna, gdzie znajdowało się wejście, stroma i trudno dostępna, zwłaszcza dla dziecięcych nóżek, ponadto w sąsiedniej dolinie gnieździła się wataha wilków. Ale za to istniała nadzieja, że nie znajdą ich tam psy Szczapy ani pancerni Piszczalki. Tylko nadzieja...

Po raz pierwszy od wielu dni Mo zrobiło się lżej na sercu. Nic tak nie uskrzydla człowieka jak nadzieja, zwłaszcza nadzieja na zgotowanie Piszczalce niespodzianki, która go skompromituje w oczach jego nieśmiertelnego pana.

Na pewno nie zdołają ukryć wszystkich dzieci, ale większość tak. Jeśli zaś cała akcja przebiegnie zgodnie z planem, wkrótce w Ombrze nie będzie nie tylko mężczyzn, ale też prawie żadnych dzieci. A Piszczalka będzie musiał uganiać się po odległych wioskach, mając nadzieję, że tam jeszcze ludzie Czarnego Księcia nie zdążyli ich ukryć. O tak, jeśli uda im się umieścić dzieci Ombrzy w bezpiecznym miejscu, będzie to duży sukces. W drodze powrotnej Mo był w doskonałym humorze, ale jego radość ulotniła się na widok zatroskanej twarzy Meggie, która wybiegła mu na spotkanie. A więc znowu złe wieści!

Meggie drżącym głosem opowiedziała mu o ofercie, jaką Piszczalka złożył kobietom Ombrzy. Sójka za dzieci... Księżę nie musiał mu tłumaczyć, co to oznacza. Zamiast ukrywać dzieci, będzie musiał sam się kryć przed każdą kobietą mającą potomstwo w odpowiednim wieku.

- Najlepiej zamieszkać na drzewie! - wybełkotał Gekon. Był pijany. Pewnie upił się winem, które w zeszłym tygodniu ukradli paru myśliwcom Szczapy na polowaniu. - Możesz przecież pofrunąć jak ptak. Podobno w ten sposób umknąłeś z pracowni Balbulusa!

Mo miał ochotę uderzyć Gekona w tę zapijaczoną twarz, ale Meggie złapała go za ramię. Przestraszone spojrzenie córki otrzeźwiło go i gniew, który ostatnio tak łatwo w nim wzbierał, uciszył się.

- I co teraz zrobisz, Mo? - szepnęła Meggie.

No właśnie, co? Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Wiedział tylko, że wolałby pojechać na zamek Żmijogłowego, niż ukrywać się. Szybko odwrócił głowę, aby Meggie nie odgadła jego myśli, ale ona znała go dobrze... za dobrze.

- A może Resa ma jednak rację - szepnęła.

Gekon nie spuszczał z niego nabiegłych krwią oczu. Nawet po Czarnym Księciu widać było, że się martwi.

- Może naprawdę powinniśmy wrócić, Mo! - dokończyła nieśmiało Meggie.

A więc słyszała jego klótnię z Resą. Obejrzał się odruchowo, ale żony nie było w pobliżu. I co teraz zrobisz, Mo?

Właśnie, co? Czyżby ostatnia pieśń o Sójce miała brzmieć: Mimo usilnych starań nie udało im się złapać Sójki. Zniknął bez śladu, jakby nigdy nie istniał. Ale pozostawił księgę, słynną Pustą Księgę, którą sporządził dla Żmijogłowego, a wraz z nią - nieśmiertelną tyranię. Nie, tak nie może się skończyć ostatnia pieśń o Sójce. Naprawdę, Mortimerze? No to może

tak: Pewnego dnia wydała Sójkę matka zatrwożona o los swych dzieci. I umarł najgorszą śmiercią, jaka trafiła się komukolwiek w Mrocznym Zamku. Czy to lepsze zakończenie? Czy może być lepsze?

- Chodź! - powiedział Baptysta, kładąc mu rękę na ramieniu. - Proponuję, żebyśmy się najpierw upili, jeśli jeszcze coś pozostało z wina odebranego Szczapie. Zapomnij o Piszczalce, zapomnij o Żmijogłowym, zapomnij o dzieciach w Ombrze, utop to wszystko w czerwonym winie.

Ale Mo nie miał na to ochoty, chociaż wino pewnie zagłuszyłoby ten głos, który od czasu kłótni z Resą ciągle słyszał w duszy: „Nie chcę wracać. Jeszcze nie teraz...”.

Gekon, zataczając się, podszedł do ogniska i wepchnął się między Draba i Krętacza. Pewnie zaraz się pobiją, jak zawsze kiedy są pijani.

- Idę spać, sen bardziej rozjaśnia w głowie niż wino - rzekł Czarny Książę do Mo. - Jutro pogadamy.

Niedźwiedź położył się przed wejściem do namiotu, w którym zniknął książę, i patrzył na Mo. Jutro.

I co dalej, Mortimerze?

Z dnia na dzień robiło się zimniej. Wydychane powietrze zamieniało się w obłoczek pary wodnej. Mo rozglądał się dokoła, lecz Resy nigdzie nie było. Gdzie ona się podziała? Przyniósł jej rzadki kwiat - płaski i bladoniebieski - którego rysunku jeszcze nie miała w swoim zielniku. Kwiat nazywał się „lusterko wróżek”, a nazwa pochodziła stąd, że rankiem między miękkimi płatkami gromadziło się tyle rosy, iż wróżki przeglądały się w kwiatach jak w lusterkach.

- Meggie, widziałaś gdzieś mamę? - spytał.

Ale Meggie nie odpowiedziała. Doria przyniósł jej smakowity kawałek dziczyzny pieczonej na ognisku. Chłopak szeptał jej coś do ucha, a Meggie zarumieniła się. Tak się przynajmniej zdawało Mo. W każdym razie nie słyszała jego pytania.

- Meggie... wiesz może, gdzie jest Resa? - powtórzył Mo i uśmiechnął się mimo woli, gdy Doria rzucił mu spłoszone spojrzenie.

Był to przystojny chłopak, nieco niższy od Farida, ale lepiej zbudowany. Pewnie zastanawiał się właśnie, czy pieśni mówią prawdę, że Sójka strzeże swej córeczki jak żrenicy oka.

„Chyba raczej jak najpiękniejszej księgi świata - myślał Mo. - I mam nadzieję, że nie będzie przez ciebie cierpieła tyle co przez Farida, w przeciwnym razie Sójka rzuci cię niedźwiedziowi na pożarcie!”.

Na szczęście tym razem Meggie nie czytała w jego myślach.

- Resa? - zdziwiła się, próbując pieczeni i uśmiechając się z wdzięcznością do Dorii. - Pojechała do Roksany.

- Do Roksany? Roksana jest tutaj! - zawołał Mo.

Przed wejściem do namiotu, w którym skręcał się z bólu jeden ze zbójców - pewnie najadł się trujących grzybów - Roksana rozmawiała z dwiema kobietami opiekującymi się chorym.

Meggie patrzyła na nią, nic nie rozumiejąc.

- Ale Resa powiedziała, że jest umówiona z Roksaną! Mo przypiął jej do sukienki kwiat przyniesiony dla żony.

- Jak długo już jej nie ma? - spytał, siląc się na obojętność, ale nie udało mu się zmylić Meggie.

- Wyjechała w południe! Jeśli nie ma jej z Roksaną, to gdzie może być?

Patrzyła na niego bezradnie. Nie miała pojęcia, co się mogło wydarzyć. Mo uświadomił sobie, że Meggie zna Resę dużo gorzej niż jego. Rok to za mało, by poznać człowieka, nawet jeśli jest nim własna matka.

„Zapomniałaś o naszej kłótni? Pojechała do Fenoglia” - pomyślał, ale nie powiedział tego głośno.

Strach ścisnął go za gardło. Jakże chętnie by uwierzył, że to lęk o Resę, ale nie potrafił się oszukiwać, tak jak nie potrafił oszukiwać innych. O nie, nie bał się o żonę, lecz o to, że w Ombrze ktoś właśnie czyta słowa mające odesłać go do jego starego świata... jak rybę, którą wylowiono z rzeki i wrzucono do śmierdzącej sadzawki, w której się urodziła.

„Nie bądź głupi. Mortimerze! - pomyślał ze złością. Kto miałby czytać te słowa, choćby nawet Fenoglio napisał je dla Resy?”.

„Jak to kto?” - szeptał jakiś głos w jego sercu.

Orfeusz...

Meggie wciąż patrzyła na niego zatroskana, a Doria stał obok niezdecydowany, nie mogąc oderwać od niej oczu.

- Zaraz wrócę - powiedział Mo, zbierając się do odejścia.

- Dokąd idziesz, Mo? - zawołała Meggie i pobiegła za nim, gdy zauważyła, że idzie w stronę koni.

„Co ci się tak spieszy, Mortimerze? - usłyszał drwiący głos w sercu. - Sądysz, że koń poniesie cię szybciej, niż spłyną słowa z usługowego języka Orfeusza?”.

Ciemność spadła na ziemię jak płat czarnego sukna, tłumiąc kolory i głosy. Resa... Gdzie ona jest? Jeszcze w Ombry czy może już w drodze powrotnej? Przeraził się na myśl o rozbójnikach, nocnych strzygach i martwej kobiecie, którą onegdaj znaleźli w krzakach. Czy zabrała chociaż ze sobą Siłacza? Mo zaklął cicho. Oczywiście, że nie! Siłacz siedział pijany przy ognisku z Baptistą i Włóczęgą i wyśpiewywał piosenki.

Powinien był się tego spodziewać, kiedy Resa tak przycichła po ich kłótni. Przecież wiedział, co ta cisza oznacza. Ale wołał iść na wyprawę z Czarnym Księciem, zamiast jeszcze raz z nią o tym porozmawiać.

- Mo! Co ty chcesz zrobić? - zawołała Meggie głosem załamującym się ze strachu.

Doria poszedł za nimi. Meggie powiedziała coś do niego szeptem i chłopak pobiegł do namiotu Czarnego Księcia.

- Meggie, o co chodzi, do licha? - złościł się Mo, dociągając popręg. Ręce mu drżały ze zdenerwowania.

- Gdzie chcesz jej szukać? Nie możesz wyjechać! Zapomniałeś o Piszczalce?

Meggie złapała go za rękę, nadbiegł Doria i księżę z niedźwiedziem. Mo zaklął, przerzucając wodze przez łeb konia.

- Co robisz? - spytał Czarny Księżę.

- Muszę jechać do Ombry.

Księżę delikatnie odsunął Meggie i złapał konia za uzdę.

- Do Ombry?

Co miał mu odpowiedzieć? „Księżę, moja żona chce prosić Fenoglia o napisanie słów, które sprawia, że zniknę na twoich oczach, które uczynią z Sójki to, czym był niegdyś - garścią słów wymyślonych przez starca, znikających równie łatwo, jak powstają...”.

- To samobójstwo! Nie jesteś nieśmiertelny, jak głoszą pieśni o tobie. To jest prawdziwe życie, nie zapominaj o tym.

Prawdziwe życie. Co to właściwie jest, księżę?

- Resa pojechała do Ombry kilka godzin temu. Jest sama, w nocy, muszę jechać po nią.

...a przy okazji sprawdzić, czy te słowa już zostały napisane, a może i przeczytane...

- Ale tam jest Piszczalka! Chcesz mu zrobić prezent z siebie? Poślę po nią paru ludzi!

- Kogo? Wszyscy są pijani!

Mo wsłuchiwał się w noc. Zdawało mu się, że jego uszu dochodzą słowa odsyłające go do domu, równie potężne jak te, które niegdyś wyrwały go z rąk białych dam. Wiatr szeleścił zwiędłymi liśćmi, od strony ogniska dobiegały głosy pijanych zbójców. W powietrzu

unosił się zapach żywicy, jesiennych liści i wonnego mchu rosnącego w lesie Fenoglia. Mimo późnej jesieni utkany był wciąż drobnymi białymi kwiatami pachnącymi miodem, gdy się je rozcierało w palcach. „Nie chcę wracać, Reso...”.

W oddali rozległo się wycie wilka. Meggie z przestachem odwróciła głowę. Bała się wilków tak panicznie jak jej matka.

„Mam nadzieję, że została w Ombrze” - pomyślał Mo. Choć to by oznaczało, że musi zmylić strażę.

„Proszę cię, Mo, wracajmy do domu!”.

Dosiadł konia. Nim zdążył cokolwiek zrobić, Meggie siedziała na siodle za nim. Zdecydowana, jak jej matka... Objęła go tak mocno ramionami, że nawet nie próbował jej namawiać do pozostania w obozie.

- Widzisz, niedźwiedziu? - odezwał się Czarny Książę. - Wiesz, co to oznacza? Że wkrótce poznamy nową pieśń o uporze Sójki i o tym, że Czarny Książę musi go bronić przed nim samym.

Znalazło się jeszcze dwóch ludzi wystarczająco trzeźwych, by im towarzyszyć. Doria także się z nimi zabrał. Bez słowa dosiadł się do księcia. U boku miał miecz za duży dla niego, lecz potrafił nim niezłe wywijać, a przy tym był nieustraszony jak Farid. Dotrą do Ombrzy przed świtem, chociaż księżyc stoi już wysoko na niebie.

Ale słowa są o wiele szybsze od konia.

Rozdział 18

Niebezpieczny pomocnik

W ciągu dnia - co za męka - był grzeczny, wzorowy: Lecz pewne drobne fakty i czarne narowy Świadczyły o obtudzie chłopca. Więc bywało, że w mrocznym korytarzu z tapetą spleśniałą Wyciągał w przejściu język [...]

Artur Rimabud, Siedmioletni poeci

Farid przyniósł właśnie Orfeuszowi drugą butelkę wina, gdy zjawiała się Resa. Świecąca Gęba triumfował. Pił za siebie i za swój geniusz, jak to nazywał.

- Jednorożec! - upajał się sukcesem. - Bez najmniejszej skazy, parszający i grzebiący racicami w ziemi, gotów w każdej chwili złożyć swoją żalną głowę na kolanach damy! Jak myślisz, Oss, dlaczego w tym świecie nie było dotąd jednorożców? Dlatego, że Fenoglio nie potrafił ich stworzyć! Wróżki, kosmate koboldy, szklane ludziki - proszę bardzo. Ale jednorożce - nie.

Farid miał ochotę wylać mu czerwone wino na białą koszulę, żeby wyglądała jak sierść zabitego jednoroźca, którego Orfeusz tylko po to sprowadził do tego świata, aby Szczapa mógł go uśmiercić. O tak, Farid wszystko widział. Szedł właśnie do krawca ze spodniami Orfeusza do poprawy, bo już znowu były za ciasne, kiedy minęli go słudzy niosący martwe zwierzę. Musiał usiąść na progu domu, gdyż zrobiło mu się słabo na widok zgasłych oczu tej pięknej istoty. Mordercy! Farid słyszał przypadkiem, jak Orfeusz czytał słowa przyzywające jednoroźca. Słowa tak piękne, że chłopiec zatrzymał się pod drzwiami pracowni i słuchał jak zaczarowany.

- ...Wyszedł zza drzew biały jak kwiat jaśminu. Nad nim unosiły się chmury wrózek, jakby od dawna z utęsknieniem na niego czekały...

Słuchając głosu Orfeusza, Farid widział jak na dłoni róg bajecznego zwierzęcia, falującą grzywę, słyszał jego parskanie i grzebanie kopytami w zwarzonej przymrokiem trawie. Przez trzy dni myślał, że sprowadzenie Orfeusza nie było może jednak tak złym pomysłem. Trzy dni. Dokładnie tyle dni żył jednorożec, nim psy Szczapy zagnały go na ostre lance myśliwych. A może było tak, jak opowiadała Brianna: że to jedna z kochanek Kopcia zwabiła jednoroźca uśmiechem?

Kiedy Oss otwierał drzwi wejściowe, Farid był akurat na dole. Wychylił się zaciekawiony zza jego pleców i w pierwszej chwili pomyślał, że to Meggie, tak bardzo była teraz podobna do matki.

- Czy Orfeusz jest w domu?

Resa mówiła tak cicho, jakby wstydziła się każdego słowa, a gdy ujrzała Farida za plecami Góry Mięsa, spuściła głowę niczym dziecko złapane na gorącym uczynku.

Czego ona mogła chcieć od Świecącej Gęby?

- Powiedz mu, proszę, że żona Czarodziejskiego Języka chce z nim mówić.

Oss wpuścił ją do holu. Resa uśmiechnęła się przelotnie do Farida, ale unikała jego wzroku. Góra Mięsa gestem kazał jej czekać i poczłapał na górę. Kiedy Resa odwróciła głowę, Farid zrozumiał, że niczego się od niej nie dowie, poszedł więc za Ossem w nadziei, że będzie przy rozmowie gościa z Orfeuszem. Świecąca Gęba nie był sam. Miał u siebie trzy dziewczyny, niewiele starsze od Meggie, które od kilku godzin przymilały się do niego, wychwalając jego rozum, powab i znaczenie. Najmłodsza siedziała na jego tłustych kolanach, a Orfeusz całował ją i obmacywał bez żenady, aż Farid chciał dać mu po łapach.

Orfeusz bez przerwy wysyłał go na ulicę, żeby mu przyprowadzał najładniejsze dziewczyny.

„Przestań się certolić! - ofuknął Farida, gdy ten początkowo wzdragał się przed pełnieniem takich posług. - One mnie inspirują, rozumiesz? Nigdy nie słyszałeś o muzach? No to zabieraj się, bo inaczej nigdy nie odnajdę słów, na które z takim utęsknieniem czekasz!”.

I odtąd Farid sprowadzał do domu dziewczęta, które się za nim oglądały na ulicy. A oglądały się często, bo ostatecznie prawie wszyscy starsi chłopcy postradali życie lub służyli u Wiolanty. Większość tych dziewcząt dawała się namówić za parę miedziaków. Wszystkie miały głodne rodzeństwo, głodne matki. Niektóre po prostu chciały mieć wreszcie nową sukienkę.

- Żona Czarodziejskiego Języka? - zdziwił się Orfeusz. Mowę miał bełkotliwą po wypiciu całej butelki ciężkiego czerwonego wina, ale oczy patrzyły uważnie zza okularów. Jedna z dziewcząt ostrożnie dotknęła okrągłych szkielek, jakby się bała, że sama zamieni się w szklaną figurę.

- To ciekawe. Wprowadź ją - zwrócił się do Ossa. - A wy zmykajcie - powiedział do dziewcząt.

Zepchnął z kolan najmłodszą i wygładził ubranie.

„Nadęty ropuch!” - pomyślał Farid, udając, że nie może sobie poradzić z otwarciem butelki, żeby Orfeusz nie wypędził go z pokoju.

Kiedy Oss wprowadził Resę, dziewczęta wymknęły się chyłkiem, jakby to była ich matka i przyłapała ich na zalotach.

- A to ci niespodzianka! Usiądź proszę.

Orfeusz wskazał jej jedno z krzeseł ozdobionych jego inicjałami i wystudiowanym gestem uniósł brwi, by podkreślić swoje zaskoczenie. Miał zwyczaj ćwiczyć przed lustrem różne pozy; Farid zastał go kiedyś przypadkiem, jak to robił.

Oss zamknął drzwi, a Resa usiadła, ociągając się, jakby nie mogła się zdecydować, czy ma zostać, czy odejść.

- Mam nadzieję, że nie przyszłaś sama - odezwał się Orfeusz, siadając za biurkiem i patrząc na nią jak pająk na muchę. - Ombra w nocy nie jest zbyt bezpiecznym miejscem, zwłaszcza dla kobiety.

- Muszę z tobą porozmawiać - rzekła cicho Resa. - Na osobności - dodała, zerkając na Farida.

- Farid! - powiedział Orfeusz, nie patrząc na niego. - Wynoś się. I zabierz ze sobą Jaspisa. Umyj go, bo znowu się usmarował atramentem.

Farid przełknął przekleństwo, które miał na języku, posadził sobie Jaspisa na ramieniu i ruszył ku drzwiom. Gdy ją mijał, Resa spuściła głowę, wyglądając drżącymi palcami lichą sukienkę, w którą była ubrana. Czego ona mogła chcieć?

Oss jak zwykle próbował podstawić mu nogę, ale Farid był na to przygotowany. Znalazł nawet sposób, by mścić się na wielkoludzie za różne psikusy. Wystarczyło, że się uśmiechnął do służących w kuchni, a te już umiały postarać się o to, by Ossowi obrzydzić jedzenie. Farid uśmiechał się o wiele ładniej niż tamten.

Oss jak zwykle warował pod drzwiami i Farid musiał się pożegnać z podsłuchiwaniami. Na szczęście znał jeszcze jedno miejsce, skąd można było usłyszeć, co się dzieje w pracowni Orfeusza. (Służące twierdziły, że stamtąd właśnie żona podsłuchiwała poprzedniego właściciela domu).

Jaspis z przerażeniem spojrzął na Farida, kiedy ten zamiast na dół do kuchni skierował się schodami na górę. Oss niczego nie podejrzewał, gdyż Farid często tam chodził, by przynieść Orfeuszowi świeżą koszulę albo wyczyścić mu buty. Odzież Orfeusza miała osobne pomieszczenie tuż obok jego sypialni, a dziurka do podsłuchiwania znajdowała się pod stojakami na koszule. Pachniały one tak mocno olejkiem różanym i fiołkowym, że Faridowi zrobiło się niedobrze, kiedy między nimi ukląkł. Otwór w podłodze pokazała mu jedna ze służących, kiedy zwabiła go do ubieralni, aby się z nim całować. Otwór był zaledwie wielkości monety, ale kiedy przyłożyło się do niego ucho, można było usłyszeć każdziutkie słowo wypowiedziane w pracowni, a kiedy przyłożyło się oko, widać było przynajmniej biurko Orfeusza.

- Czy potrafię? - roześmiał się Orfeusz z takim zdumieniem, jakby nigdy jeszcze nie słyszał równie absurdalnego pytania. - Co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości! Ale moje słowa mają swoją cenę, a cena ta nie jest mała.

- Wiem - odparła Resa cicho, przez zaciśnięte gardło. - Nie mam srebra jak Szczapa, ale mogę dla ciebie pracować!

- Pracować? O nie, dziękuję, nie brakuje mi służących.

- Chcesz moją obrączkę ślubną? Musi być sporo warta, złoto jest rzadkością w tym świecie.

- Nie, zachowaj ją. Srebra i złota też mi nie brakuje. Ale jest pewna rzecz... - Farid usłyszał urywany śmiech Orfeusza. Dobrze znał ten śmiech. Nie wróżył nic dobrego. - Jak przedziwnie czasem splatają się okoliczności! - ciągnął poeta. - Nie do wiary. Można powiedzieć, że spadłaś mi z nieba.

- Nie rozumiem.

- Oczywiście. Przepraszam, zaraz ci wytłumaczę. Twojemu mężowi - doprawdy nie wiem, jakim imieniem mam go nazwać, ma ich tyle, no, nieważne... - Orfeusz znów się roześmiał, jakby powiedział dowcip, który tylko on jeden mógł zrozumieć - twojemu mężowi nie tak dawno temu i, przyznaję, nie całkiem bez mojego udziału ukazały się białe damy. Podobno poczuł ich palce na sercu, ale ku mojemu ubolewaniu wzbrania się porozmawiać ze mną na ten temat.

- Co to ma wspólnego z moją prośbą?

Farid po raz pierwszy uświadomił sobie, jak bardzo głos Meggie przypomina głos jej matki. Ta sama duma - i ta sama wrażliwość starannie ukrywana pod maską dumy.

- Otóż to. Jak sobie zapewne przypominasz, niecałe dwa miesiące temu na Żmijowej Górze złożyłem przysięgę, że sprowadzę z krainy umarłych naszego wspólnego przyjaciela.

Serce Farida poczęło bić gwałtownie i chłopak przestraszył się, że Orfeusz je usłyszy.

- Nadal jestem zdecydowany wypełnić przysięgę, lecz stwierdziłem ku mojemu ubolewaniu, że w tym świecie, tak samo jak i w naszym, śmierć nie odkrywa przed nami kart. Nikt nic nie wie, nikt nie chce o tym rozmawiać, a białe damy, które zapewne nie bez racji można nazwać córami śmierci, nie chcą mi się ukazać, choć wszędzie ich szukam. Wygląda na to, że nie rozmawiają z ludźmi, ogólnie rzecz biorąc, zdrowymi, choćby byli obdarzeni tak niezwykłymi zdolnościami jak ja. Zapewne słyszałaś o jednorożcu?

- O tak, nawet go widziałam!

Czy Orfeusz wyczuł obrzydzenie w głosie Resy? Jeśli tak, na pewno mu to schlebilo. Farid poczuł, jak szklane palce Jaspisa wpijają mu się w ramię. Zupełnie zapomniał o szklanym ludziku. Zdjął go z ramienia i posadził obok siebie na podłodze, kładąc palec na ustach.

- Właśnie, był doskonały, bez skazy - ciągnął Orfeusz głosem pełnym samouwielbienia - absolutnie bez skazy... Nieważne, wróćmy do tematu. Otóż powiadają, że córy śmierci nie mogą tego przeboleć, kiedy ktoś prześliznie im się między palcami. Takich śmiertelników prześladują we śnie, budząc ich swoim szeptem, a nawet ukazują im się na jawie. Czy Mortimet źle sypia od czasu, gdy wymknął się białym damom?

- Co to za przesłuchanie? - spytała Resa, a w jej głosie dało się wyczuć rozdrażnienie i zarazem lęk.

189

już przypieczętowana. - Na cmentarzu białe damy mniej rzucają się w oczy... a waganci mogliby ułożyć bardzo nastrojową pieśń o nowej przygodzie Sójki.

- Jesteś obrzydliwy, dokładnie tak obrzydliwy, jak mówi Mo! - zawołała Resa drżącym głosem.

- Naprawdę tak mówi? Przyjmuję to jako komplement. I wiesz, co ci powiem? Uważam, że on to chętnie zrobi! No i, jak już wspomniałem, można będzie napisać na ten temat przepiękną pieśń! Pieśń opowiadającą prawdziwe cuda o jego męstwie i czarodziejskiej mocy jego głosu.

- Sam je zawołaj, jeśli chcesz z nimi porozmawiać!

- Z prawdziwym ubolewaniem muszę przyznać, że tego nie potrafię. Myślałem, że jasno...

Trzasnęły drzwi. Resa poszła!

Farid poderwał się z podłogi, złapał Jaspisa, przedarł się przez ubrania Orfeusza i pędem zbiegł na dół. Oss był tak zaskoczony, kiedy przebiegł obok niego, że zapomniał mu podstawić nogę. Resa była już w holu. Brianna właśnie podawała jej płaszcz.

- Proszę! - zawołał Farid, stając między Resą a drzwiami wyjściowymi. Nie zwracał uwagi na wrogie spojrzenie Brianny ani okrzyk Jaspisa, który o mało nie spadł z jego ramienia. - Proszę! Może Czarodziejski Język naprawdę potrafi je przywołać! Ty przecież też chcesz, żeby Smolipaluch wrócił, prawda? Bronił cię przed Capricornem, dla ciebie przedostał się do lochów Mrocznego Zamku, jego ogień uratował was wszystkich, gdy Basta zaczął się na was na Żmijowej Górze!

Basta - na Żmijowej Górze... Na chwilę złe wspomnienia kazały mu zamilknąć, jakby śmierć znów wzięła go w objęcia. Ale po chwili odzyskał głos.

- Proszę! - wołał, nie zważając na wrogą minę Resy. - To nie jest tak jak wtedy, gdy Czarodziejski Język był ranny... i nawet wtedy nic mu nie mogły zrobić! On jest Sójką!

Brianna patrzyła na niego, jakby postradał rozum. Uważała tak jak wszyscy, że Smolipaluch odszedł na zawsze! Farid miał ochotę ich wszystkich zamordować!

- To był błąd, że tu przyszłam! - powiedziała Resa, próbując usunąć Farida z drogi, ale ten odtrącił jej rękę.

- Ma je tylko przywołać! - krzyknął z rozpaczą. - Spytaj go! Ale Resa odepchnęła go tak mocno, że się zatoczył pod ścianę, a Jaspis kurczowo uchwycił się jego ubrania.

- Jeśli powiesz Mo, że tu przyszłam - oznajmiła - przysięgnę, że to nieprawda!

Była już w otwartych drzwiach, gdy głos Orfeusza jeszcze raz ją zatrzymał. Prawdopodobnie stał przez cały czas u szczytu schodów, czekając na wynik awantury. Oss sterczał obok niego z kamienną miną, jak zawsze gdy nie rozumiał, o co chodzi.

- Puść ją! Ona po prostu nie chce, żeby jej pomóc! - sęczył słowa Orfeusz tonem pełnym pogardy. - Twój mąż zginie w tej historii - zwrócił się bezpośrednio do Resy. - Wiesz o tym i dlatego tu przyszedłeś. Może nawet Fenoglio osobiście napisał stosowną pieśń, zanim słowa odmówiły mu posłuszeństwa: Śmierć Sójki, pieśń poruszająca, dramatyczną, bohaterską, jak przystoi w przypadku takiej postaci, ale pieśń ta z pewnością nie kończy się słowami: lżyli długo i szczęśliwie. Tak czy owak Piszczalka zaintonował dziś pierwszą zwrotkę tej pieśni. A że jest przebiegły, z matczynej miłości upłótl pętlę dla jakże szlachetnego zbójcy. Czy można sobie wyobrazić bardziej śmiercionośny materiał? Twój mąż z pewnością niesłychanie bohatersko włoży głowę w tę pętlę, z taką samą żarliwością, z jaką od początku odgrywa rolę napisaną dla niego przez Fenoglię, a jego śmierć posłuży za kanwę kolejnej wzruszającej pieśni. A kiedy zatkną jego głowę na pice nad bramą zamkową, wtedy przypomnij sobie, że mogłem go uratować.

Głos Orfeusza malował tę scenę tak obrazowo, że Farid widział wyraźnie krew Czarodziejskiego Języka spływającą po zamkowych murach, a Resa stała w drzwiach ze spuszczoną głową, jakby słowa Orfeusza przetrąciły jej kark.

Historia Fenoglię na chwilę wstrzymała oddech.

A potem Resa podniosła głowę i spojrzała na Orfeusza.

- Bądź przeklęty! - powiedziała. - Żałuję, że nie potrafię wezwać białych dam, żeby cię zabrały do piekła.

Słaniając się, zeszła ze schodów, ale nie odwróciła się ani razu.

- Zamknij drzwi, zimno leci! - rozkazał Orfeusz Briannie, która natychmiast spełniła polecenie.

A on wciąż stał na podeście, wpatrując się w zamknięte drzwi. Farid spojrzał na niego niepewnie i spytał:

- Myślisz, że Czarodziejski Język naprawdę potrafi przywołać białe damy?

- Aha, podsłuchiwałeś? Tym lepiej. Lepiej? Dlaczego lepiej? Orfeusz przygładził włosy.

- Na pewno wiesz, gdzie Mortimer się teraz ukrywa - zwrócił się do Farida.

- Oczywiście, że nie wiem! Nikt...

- Daruj sobie te kłamstwa! - ofuknął go Orfeusz. - Idź do niego, opowiedz mu, po co jego żona była u mnie, i spytaj go, czy jest gotów zapłacić cenę, jakiej żądam za napisanie odpowiednich słów. Jeśli chcesz jeszcze kiedykolwiek zobaczyć Smolipalucha, postaraj się tym razem przywieźć pozytywną odpowiedź.

- Ognisty Tancerz nie żyje! - stwierdziła Brianna takim głosem, jakby nie chodziło o jej ojca.

Orfeusz zaśmiał się charakterystycznym krótkim śmiechem.

- Farid też nie żył, ślicznotko, ale białe damy okazały się skłonne do negocjacji. Dlaczego nie miałyby tego zrobić ponownie? Trzeba im tylko złożyć smakowitą ofertę, i nawet już wiem jaką. To jest tak jak przy łowieniu ryb. Wszystko zależy od przynęty.

Co by to miała być za przynęta? Co mogło być dla nich bardziej pożądane od Ognistego Tancerza? Farid nie chciał znać odpowiedzi na to pytanie. Chciał tylko myśleć o jednym: że może jeszcze wszystko skończy się dobrze. I że słusznie postąpili, sprowadzając Orfeusza...

- No, co tak stoisz? Ruszaj w drogę! - zawołał Orfeusz. - A ty - zwrócił się do Brianny - przynieś mi coś do jedzenia. Myślę, że nadszedł już czas na nową pieśń o Sójce. Ale tym razem ja ją napiszę!

Farid usłyszał, że nuci pod nosem, wracając do pracowni.

Rozdział 19

Żołdackie łapy

- Czy to idący wybiera drogę, czy droga idącego?

Garth Nix, Sabriel

Kiedy Resa szła do stajni, gdzie zostawiła konia, Ombra bardziej niż kiedykolwiek wydała jej się miastem umarłych. W ciszy panującej między domami słyszała wciąż głos Orfeusza tak wyraźnie, jakby szedł za nią i nieustannie powtarzał: „A kiedy zatkną jego głowę na pice nad bramą zamkową, wtedy przypomnisz sobie, że mogłem go uratować”. Łzy zamgłyły jej oczy, tak że poruszała się prawie po omacku w otaczającym ją zewsząd mroku.

„Co robić? - kołatało jej w głowie. - Wrócić? Nie, przenigdy!”.

Zatrzymała się.

Próbowała się zorientować, gdzie jest. Ombra była prawdziwym kamiennym labiryntem, a czas, gdy znała tu każdą uliczkę, dawno minął.

Odgłos własnych kroków odbijał się grzmotem w jej uszach, kiedy ruszyła dalej. Miała na sobie te same buty co wtedy, gdy Orfeusz przeniósł ją i Mo do tego świata. Już raz o mało go nie zabił, czyżby o tym zapomniała?

Skurczyła się ze strachu, kiedy gdzieś wysoko nad głową usłyszała syk, po chwili rozległ się głuchy łoskot i niebo nad zamkiem okryło się szkarłatem, jakby wybuchł pożar. To Kopeć zabawiał towarzystwo zamkowe, sycąc płomienie trucizną alchemików i własną złością, tak że kurczyły się złowrogo, miast tańczyć jak płomienie Smolipalucha.

Smolipaluch... Oczywiście, że chciała, aby on wrócił, i serce jej się ścisnęło, gdy wyobrażała go sobie w krainie umarłych. Ale zamieniało się w sopel lodu, gdy wyobrażała sobie, jak białe damy po raz drugi wyciągają ręce po Mo.

„Twój mąż zginie w tej historii...”.

Co robić? Niebo nad jej głową zabarwiło się na kolor siarki. Ognie Kopcia miały wiele twarzy. Uliczka, którą zdążała, wychodziła na niewielki plac - nie była tu nigdy wcześniej. Wokół tłoczyły się nędzne chałupy, na progu jednej z nich leżał zdechły kot. Resa zdezorientowana podeszła do studni na środku placu... i odwróciła się gwałtownie, gdy usłyszała kroki za plecami. Z cienia między domami wychynęło trzech mężczyzn. Byli to żołnierze w barwach Zmijogłowego.

- Popatrz, popatrz, a któż to tak wędruje samotnie po nocy?

- odezwał się jeden z nich, a dwaj pozostali zagrodzili jej drogę ucieczki. - A nie mówiłem? W Ombrze można znaleźć o wiele bardziej interesujące rzeczy niż nędzne ognie Kopcia.

„I co teraz, Reso?”.

Miała przy sobie nóż, ale cóż poradzi przeciwko trzem mieczom? Jeden z żołnierzy był uzbrojony dodatkowo w kuszę, a Resa widziała kiedyś na własne oczy, co potrafią belty wypuszczane z kusz.

„Trzeba było założyć męskie odzienie, Reso! Przecież Roksana powtarzała codziennie, że w Ombrze po zapadnięciu zmroku żadna kobieta nie wyściubia nosa za próg domu z obawy przed ludźmi Szczapy”.

- No co, twój mąż pewnie jest martwy, tak jak wszyscy inni? - ironizował żołnierz stojący przed nią. Był jej wzrostu, ale dwaj pozostali przerastali ją co najmniej o głowę.

Resa spojrzała w górę na ściany domów, ale któż miałby jej przyjść na ratunek? Fenoglio mieszkał na drugim końcu miasta, a Orfeusz - choćby ją usłyszał, to wątpliwe, czy przybyłby tutaj wraz ze swym potężnym ochroniarzem po tym, jak odrzuciła jego ofertę.

„Spróbuj, Reso, krzycz! Może chociaż Farid przybiegnie ci z pomocą”.

Ale głos uwiązł jej w gardle, jak wówczas gdy po raz pierwszy zgubiła się w tym świecie...

Tylko w jednym okienku paliło się światelko. Jakaś stara kobieta wychyliła głowę przez okno, ale zaraz ją cofnęła, ujrawszy żołnierzy. Resa przypomniała sobie słowa Mo: „Zapomniałaś, z czego ten świat jest ulepiony?”. A jeśli jest on ulepiony ze słów, to co te słowa mówią na jej temat? była sobie pewna kobieta, która dwukrotnie zbłądziła do świata ukrytego pośród liter, ale za drugim razem nie odnalazła drogi powrotnej...

Jeden z dwóch żołnierzy stojących za nią położył jej ręce na biodrach. Resa miała niejasne poczucie, że gdzieś, kiedyś czytała już o tym, co się właśnie działo...

„Przestań się trząść ze strachu! Uderz go, wsadź mu palce w oczy!”

Przecież nie tak dawno sama uczyła Meggie, jak ma się bronić, gdyby przytrafiło jej się właśnie coś takiego. Najniższy z żołdaków zbliżył się do niej z obleśnym uśmiechem. Jak to jest, kiedy się czerpie przyjemność ze strachu drugiego człowieka?

- Zostawcie mnie w spokoju! - wykrztusiła Resa, ciesząc się, że przynajmniej znów może mówić. Ale takie głosy pewnie często słyszało się nocą w Ombrze...

- A niby dlaczego? - sprzeciwił się ten za nią, obejmując dłońmi jej piersi.

Czuć było od niego swąd piekielnych ogni Kopcia. Pozostali żołdacy zarechotali wesoło, a ich śmiech był gorszy od dotyku ich palców. Ale zdawało jej się, że poprzez ten śmiech dochodzi do niej odgłos lekkich, szybkich kroków. Czyżby Farid?

- Zabieraj te łapska! - udało jej się wreszcie krzyknąć głośno. Ale to nie jej głos sprawił, że żołnierze odwrócili się gwałtownie.

- Puśćcie ją natychmiast!

Słowa te zostały wypowiedziane dorosłym tonem i Resa nie od razu poznała głos Meggie. Dziewczynka wyszła spomiędzy domów wyprostowana i groźna, jak wówczas na placu w wiosce Capricorna. Tym razem nie miała jednak na sobie tej okropnej białej sukni, do której włożenia zmusiła ją Mortola.

Żołnierz obłapiający Resę opuścił ręce jak sztubak przyłapany na gorącym uczynku, ale widząc, że ma przed sobą samotną nastolatkę, po chwili tym mocniej przygarnął Resę.

- Jeszcze jedna? - zawołał szyderczo ten najniższy, rzucając Meggie pogardliwe spojrzenie. - Tym lepiej dla nas. Widzicie, miałem rację, kiedy wam mówiłem, że Ombra to jedno wielkie gniazdo kobiet.

Były to ostatnie słowa, jakie wypowiedział w życiu, bo w tej chwili nóż Czarnego Księcia utkwiał w jego plecach. Książę i Mo jak żywe cienie wychynęły z mroku nocy. Żołnierz trzymający Resę odepchnął ją i próbując dobyć miecza, krzyknął ostrzegawczo do towarzysza. Na próżno. Mo zabił ich obu tak szybko, że Resa nie zdążyła nawet odetchnąć.

Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, zatoczyła się na ścianę domu. Meggie podbiegła do niej, pytając, czy nie jest ranna. Ale Mo tylko na nią spojrział.

- No i jak? Czy Fenoglio już pisze?

Nic więcej nie rzekł. Wiedział, po co tu przyjechała.

- Nie! - szepnęła. - I nie napisze. Ani on, ani Orfeusz. Jak on na nią spojrział! Jakby się zastanawiał, czy można jej wierzyć. Jeszcze nigdy nie patrzył na nią w ten sposób. A potem odwrócił się bez słowa i pomógł księciu zaciągnąć trupy do jednej z uliczek.

- Pójdziemy przez potok farbiarzy - szepnęła Meggie do matki. - Mo i księżę pozabijali strażników.

„Tylu zabitych. Tylko dlatego, że chcesz wrócić do domu”.

Kocie łby wokoło zbryzgane były krwią, a gdy Mo odciągał trupa żołdaka, który ją obmacywał, Resie zdawało się, że ten wciąż na nią patrzy. Nie było jej go żal. Wstrząsnęło nią natomiast to, jak rzeczowo mówiła o zabijaniu jej własna córka. A Mo? Czy już nic przy tym nie czuł? Otarł krew z miecza opończą jednego z zabitych i spojrział na nią. Dlaczego nie mogła czytać w jego oczach, tak jak dawniej?

Dlatego, że miała przed sobą Sójkę. I tym razem sama go wezwała.

Droga prowadząca do uliczki farbiarzy wydawała się nie mieć końca. Niebo nad nimi wciąż jeszcze rozjarzone było ogniami Kopcia, dwukrotnie musieli się ukryć przed hordami pijanych żołdaków, ale w końcu uderzył ich w nozdrza nieprzyjemny zapach farbiarskich ścieków. Resa zakryła sobie usta i nos rękawem, a gdy wraz z Mo weszła do strumienia, który odprowadzał ścieki za miasto przez zasłonięty kratą otwór w murze, zrobiło jej się niedobrze i nie mogła nabrać powietrza w płuca, by zanurzyć głowę w śmierdzącej cieczy i przejść pod kratą.

Kiedy Czarny Księżę po drugiej stronie pomógł jej wyjść na brzeg, ujrzała w krzakach trupa jednego ze strażników. W mroku bezgwiezdnej nocy krew na jego piersiach wydawała się płamą atramentu. Resa rozplakała się i długo nie mogła się uspokoić. Wreszcie dotarli do rzeki, gdzie pospiesznie obmyli oblepione smrodliwą mazią głowy i ubrania.

Kawałek dalej nad rzeką, tam gdzie kobiety Ombry suszyły pranie na płaskich kamieniach i gdzie kapały się nimfy, czekali dwaj zbójcy z końmi. Był z nimi Doria - tym razem bez swego silnego brata. Widząc, że Meggie jest cała przemoczona, okrył ją swoją wytartą opończą. Mo pomógł Resie dosiąść konia, ale nie odezwał się do niej ani słowem. Jego milczenie przejmowało ją chłodem bardziej niż mokre ubranie. A koc podał jej Czarny Księżę. Czy Mo zdradził mu, po co przyjechała do Ombry? Na pewno nie, bo żeby to zrozumiał, musiałby mu wyjaśnić, jaką moc mają w tym świecie słowa.

Meggie również wiedziała, po co matka udała się do miasta. Resa poznała to po jej oczach. Spojrzenie córki było czujne, jakby się zastanawiała, z czym matka może znowu wyskoczyć. A gdyby się dowiedziała, że Resa była nawet u Orfeusza? Czy potrafiłaby zrozumieć, że popchnął ją do tego kroku wyłącznie lęk o jej ojca?

Kiedy ruszyli w drogę powrotną, zaczął padać deszcz. Wiatr smagał ich twarze lodowatymi kroplami, a niebo nad zamkiem było purpurowe, jakby Kopeć posyłał im ostrzeżenie. Na rozkaz księcia Doria pozostał, aby zatrzeć za nimi ślady, a Mo pojechał przodem. Kiedy się obejrzał, patrzył na Meggie, nie na żonę, i Resa była zadowolona, że ma twarz mokrą od deszczu i nikt nie może zobaczyć jej łez.

Rozdział 20

Bezsenna noc

*Ilekróć zwątpię w dobroć tego świata
i lada szmer znów ze snu mnie wrywa,
o życie drzę i swoje, i mych dzieci -
idę nad wodę, gdzie się piękny jaszczur
wygrzewa w słońcu, czapla trwa na lowach.
Tam odnajduję spokój dzikich zwierząt,
których istnienia troska nie umniejsza.
Chłonę obecność cichej, jasnej wody,
nad głową mając gwiazdy, ślepe za dnia,
z ich pięknym blaskiem. Trwając tak przez chwilę
w tym świecie jakże wzniosłym - jestem wolny.
Wendell Berry, Spokój dzikiej przyrody*

- Przepraszam! - powiedziała Resa.

Mówiła szczerze. „Przepraszam” - jedno słowo. Szeptwała je co chwila, ale Mo wyczuwał za tym słowem to, co naprawdę miała na myśli. Że znów została uwięziona. Twierdza Capricorna, jego wioska w górach, lochy Mrocznego Zamku - same więzienia. A teraz zatrzymuje ją książka, ta sama, która już raz ją uwięziła. A kiedy próbowała jej umknąć - on, Mo, przyprowadził ją na powrót do więzienia.

- Ja też przepraszam - powtarzał bez przerwy tak samo jak ona, ale rozumiał, że ona czeka na inne słowa.

„Dobrze, wracajmy. Jakoś odnajdziemy drogę do domu!”.

Ale nie powiedział tego i te niewypowiedziane słowa zaległy między nimi martwą ciszą, jakiej nie znali nawet wówczas, gdy Resa straciła mowę.

Wreszcie położyli się spać - na dworze zaczynało już świtać - wyczerpani przeżyтым lękiem i tym wszystkim, czego sobie nawzajem nie wyznali. Resa usnęła szybko. Mo patrzył na jej uśpioną twarz i przypominał sobie te wszystkie lata, kiedy tęsknił za taką sytuacją. Ale nawet ta myśl nie przyniosła mu ukojenia. Zostawił więc Resę z jej snami i wyszedł z namiotu.

Minął strażę pokpiwającą z niego z powodu zapachu ścieków farbiarskich, który go z daleka zdradzał, i począł błędzić po wąwozie, gdzie ukryty był ich obóz, jakby Atramentowy Świat mógł mu podszeptać, co powinien zrobić.

Co powinien zrobić. Co chciał zrobić, wiedział aż nadto dobrze...

Wreszcie usiadł nad jedną z tych sadzawek, które były podobno odciskami stóp olbrzyma, i zapatrzył się na roje smoczycich much unoszących się nad zatechłą wodą. Rzeczywiście, przypominały małe uskrzydłone smoki. Mo lubił siadać w tym miejscu, przyglądać się fantastycznym skrzydlatym stworom i snuć rozważania nad tym, jakiego wzrostu musiał być ten olbrzym, który pozostawił takie ślady stóp. Kilka dni temu wraz z Meggie weszli do jednej z sadzawek i brodzili w niej, chcąc wy badać, jak głębokie są te ślady. Uśmiechnął się na wspomnienie tego wybryku, choć nie było mu wcale do śmiechu. Jego serce było wciąż odrętwiałe od grozy zabijania minionej nocy. Czy Czarny Książę miał podobne odczucia po wielu latach zbójckiego procederu?

Ranek nadciągał powoli, rozjaśniając niebo, jakby atrament mieszał się z mlekiem. Mo stracił poczucie czasu w tym oczekiwaniu, że świat Fenoglia podpowie mu właściwe rozwiązanie. Z zadumy wyrwał go znajomy głos wołający go cicho po imieniu.

- Nie powinienes przebywać tu sam! - powiedziała Meggie, siadając obok na oszronionej trawie. - To niebezpieczne, tak daleko od straży.

- A co z tobą? Jako surowy ojciec powinienem ci kategorycznie zabronić opuszczania obozu choćby na krok.

Meggie uśmiechnęła się do niego wyrozumiale i objęła kolana ramionami.

- Bzdura. Mam nóż, Farid nauczy! mnie, jak się nim posługiwać.

Była taka dorosła! Zachowuje się jak głupiec, strzegąc jej nadal niczym małego dziecka.

- Pogodziłeś się z Resą?

Jej zatroskane spojrzenie wprawiło go w pewne zakłopotanie. O ileż łatwiejsze wydawało się wszystko, kiedy byli tylko we dwoje.

- Oczywiście - odrzekł, wyciągając palec, na którym zaraz usiadła jedna ze smoczych muszek wyglądająca tak, jakby była zrobiona z zielonkawego szkła.

- No i? - Meggie spojrzała na niego pytająco. - Prosiła obu, prawda? Fenoglia i Orfeusza?

- Tak. Ale mówi, że z żadnym nie doszła do porozumienia - odrzekł Mo, przypatrując się muszce wyginającej smukłe ciało pokryte drobnymi łuskami.

- Oczywiście, a co ona myślała? Fenoglio przestał pisać, a Orfeusz jest za drogi - prychnęła Meggie, marszcząc pogardliwie czoło.

Mo roześmiał się i wygładzając jej czoło, powiedział:

- Uważaj, bo zmarszczki zostaną ci na zawsze, a jesteś chyba jeszcze na to za młoda.

Kochał jej twarz ponad wszystko w świecie i ponad wszystko w świecie pragnął, by ta twarz jaśniała szczęściem.

- Powiedz mi jedno, Meggie, ale całkiem szczerze... - Wiedział, że córka potrafi kłamać dużo lepiej od niego. - Czy ty też chcesz wrócić?

Meggie spuściła głowę, odgarniając za uszy gładko uczesane włosy.

- Meggie?

Ale Meggie milczała.

- Nie wiem! - powiedziała wreszcie cicho. - Może. To bardzo męczące bez przerwy się bać - o ciebie, o Farida, o Czarnego Księcia i Baptystę, o Siłacza... - Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. - Wiesz, że Fenoglio lubi smutne historie. Może wszystko bierze się właśnie stąd. To jest po prostu taka historia.

Taka historia. Zgoda, tylko kto ją opowiada? Na pewno nie Fenoglio. Mo przyjrzał się swoim oszronionym palcom: zimne i białe. Jak białe damy... Czasem budził się w nocy, bo zdawało mu się, że go wołają. Czasem czuł nadal na sercu dotyk ich chłodnych palców, a czasem... czasem nawet pragnął je zobaczyć.

Spojrzał w górę na drzewa, nie chciał już widzieć bieli. Słońce przebijało się przez poranne opary, na nagich konarach połyskiwały ostatnie złote listki.

- A Farid? Czy to nie powód, żeby zostać?

Meggie znów pochyliła głowę. Starła się mówić obojętnym tonem.

- Faridowi jest wszystko jedno, czy tu jestem, czy nie. On myśli tylko o Smolipaluchu. A od kiedy nie żyje, jest jeszcze gorzej.

Biedna Meggie. Zakochała się nie w tym chłopcu co trzeba. Ale miłość nigdy o to nie pyta. Spojrzała na niego, starając się ukryć smutek.

- Jak myślisz, Mo? Czy Elinor tęskni za nami?

- Za tobą i mamą na pewno. Co do mnie, to nie jestem pewien. - I naśladowując jej głos, ciągnął: „Mortimerze! Wstawiłeś Dickensa nie w to miejsce co należy. A poza tym do czego to podobne, żebyś musiała introligatorowi przypominać o tym, że w bibliotece nie je się kanapek z dżemem?”.

Meggie roześmiała się. To już coś. Coraz trudniej było ją pobudzić do śmiechu.

Ale zaraz spoważniała i zaczęła mówić:

- Bardzo tęsknię za Elinor. Za jej domem i biblioteką, i kawiarnią nad jeziorem, do której mnie zawsze zabierała na lody. Tęsknię za twoim warsztatem, za tym, jak mnie odwozisz do szkoły, naśladowując kłótnię Elinor z Dariuszem, a moje koleżanki lubią do mnie przychodzić, bo je rozśmieszasz... Jakże chętnie opowiedziałabym im o wszystkim, co przeżyliśmy, chociaż wiem, że by mi nie uwierzyły. Chyba żebyś na dowód zabrała ze sobą szklanego ludzika.

Przez chwilę zdawała się bardzo, bardzo daleko, przeniesiona do domu nie przez Fenoglię lub Orfeusza, lecz dzięki własnym słowom. Tymczasem siedzieli nadal nad sadzawką pośród wzgórz otaczających Ombre. We włosy Meggie wkręciła się wróżka i szarpnęła tak mocno, że ta aż krzyknęła z bólu, a Mo zaraz odpędził natręta. Była to jedna z kolorowych wróżek Orfeusza, a jej maleńką twarz wykrzywił grymas złości typowy dla jej twórcy. Z radosnym chichotem poniosła zdobycz - kilka ja-snoblonde włosów Meggie - do gniazda mieniącego się wszystkimi kolorami jak ona sama. W przeciwieństwie do wróżek błękitnych twory Orfeusza zdawały się nie zapadać w sen zimowy. Siłacz twierdził nawet, że okradają gniazda swych współplemienniczek, gdy te spały.

Na rzęsach Meggie błyszczały łzy - może z bólu, jaki zadała jej wróżka, a może z innego powodu. Mo otarł je ostrożnie.

- Czyli jednak chcesz wrócić.

- Nie! Przecież mówię, że nie wiem! - zawołała Meggie z nieszczęśliwą miną. - Co się stanie z Fenogliem, jeśli my odejdziemy? A co sobie pomyślą Czarny Książę i Siłacz, i Baptysta?

Co się z nimi stanie? Z Minerwą i ich dziećmi, z Roksaną... i Fa-ridem?

- No właśnie! - powiedział Mo. - Jak potoczy się ta historia bez Sójki? Piszczalka zabierze dzieci, bo nawet najbardziej zrozpaczone matki nie będą w stanie wydać mu zbójcy. Czarny Książę będzie oczywiście próbował ratować dzieci, zostanie prawdziwym bohaterem tej historii i godnie odegra swoją rolę. Ale jest już zbyt długo bohaterem i ma za mało ludzi. Dlatego pancerni pozabijają ich wszystkich po kolei: Czarnego Księcia, Baptystę, Siłacza i Dorię, Draba i Gekona... tych ostatnich nie byłoby za bardzo szkoda... A potem Piszczalka

przepędzi Szczapę i sam obejmie tron Ombry, Orfeusz stworzy dla niego kolejne jednorożce, a także maszyny wojenne... te by mu się najbardziej podobały. Fenoglio zapisze się na śmierć, a Zmijogłowy pozostanie nieśmiertelny i po jakimś czasie będzie panował już tylko nad umarłymi. Myślę, że tak by to wyglądało. A ty?

Meggie podniosła na niego oczy. W świetle poranka jej włosy były jak utkane ze złotych nitek. Taki sam kolor miały włosy Resy, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy w domu Elinor.

- Tak, może masz rację - szepnęła Meggie. - Ale czy historia zakończy się dużo lepiej, jeśli Sójka w niej pozostanie? W jaki sposób w pojedynkę zdoła zapewnić jej szczęśliwe zakończenie?

- Sójko!

To Siłacz nawoływał, przedzierając się przez gęste podszycie lasu. Przerazone żaby jedna po drugiej dawały nura do sadzawki.

Mo wstał i ostrzegł go przyciszonym głosem:

- Może nie powinieneś wykrzykiwać tego imienia po lesie! Siłacz obejrzał się trwożliwie, jakby spodziewał się ujrzeć zaczajonych w krzakach żołnierzy Piszczalki.

- Przepraszam! - mruknął. - O tej porze moja głowa jeszcze nie pracuje normalnie, zwłaszcza po wczorajszym winie... Chodzi o chłopaka. Wiesz, tego, który pracuje dla Orfeusza, co go Meggie... - urwał na widok jej gniewnego spojrzenia. - Co ja za głupstwa wygaduję! - zawołał, zakrywając sobie usta dłonią. - Co powiem, to źle! Ale taki już mam niewyparzony język!

- Farid. Ma na imię Farid. Gdzie on jest? - spytała Meggie z rozjaśnioną twarzą, choć starała się zachować obojętność.

- Jasne, Farid. Dziwne imię, jak z jakiej pieśni, no nie? Jest w obozie. Ale chce rozmawiać z twoim ojcem.

Uśmiech zgasił na twarzy Meggie. Mo przygarnął ją do siebie, ale na cierpienia miłosne nie pomogą objęcia ojca. Przeklęty chłopak!

- Denerwuje się jak diabli! Musiał pędzić jak szalony, bo jego osiołek ledwie zipie. Pobudził cały obóz. „Gdzie jest Sójka? Muszę rozmawiać z Sójką!”. Nic więcej nie można było z niego wydobyć.

- Sójka! - zawołała Meggie z taką goryczą jak nigdy dotąd. - Tysiąc razy mu mówiłam, żeby cię nie nazywał tym imieniem. Jest taki głupi!

Nie ten co trzeba. Ale serce nie pyta o takie rzeczy.

Rozdział 21

Przykre słowa

Litości! - jęknęło w nim znużone serce. - Litości! Wypuście mnie stąd!

John Irving, Regulamin tłoczni win

- Dariuszu!

Nienawidziła własnego głosu. Zrędliva, rozdrażniona, niecierpliwa... Dawniej chyba taka nie była?

Dariusz o mało nie wypuścił z rąk stosu niesionych książek, a pies podniósł łeb z dywanu, który kupiła mu specjalnie po to, by nie zniszczył śliną jej cyklinowanej drewnianej podłogi... poza tym łatwo się było pośliznąć.

- Gdzie jest Dickens, którego kupiliśmy w zeszłym tygodniu? Do diabła, ile czasu potrzebujesz, żeby ustawić książkę na właściwym miejscu? Czy płacę ci za to, żebyś sobie siedział w fotelu i czytał? Przyznaj, że tak właśnie robisz, kiedy nie widzę.

Biedna Elinor! Nienawidziła słów, które wychodziły z jej ust, gorzkich i jadowitych, płynących z jej nieszczęśliwego serca.

Dariusz spuścił głowę, jak zawsze, gdy nie chciał, by widziała, że czuje się dotknięty.

- Jest tam, gdzie powinien być, Elinor - odparł swoim łagodnym głosem, który doprowadzał Elinor do szału.

Z Mortimerem można się było tak świetnie kłócić, a Meggie była prawdziwą tygrysią. Ale ten Dariusz! Nawet Resa potrafiła jej się bardziej sprzeciwić, chociaż postradała mowę.

Tchórz o sowim obliczu! Dlaczego nie obrzuci jej wyzwiskami, nie ciśnie na podłogę książek, które z takim oddaniem przygarnia do wątlej piersi, jakby chciał je przed nią chronić?

- Tam, gdzie powinien być? - powtórzyła gniewnie. - Myślisz, że nie potrafię czytać?

Głupie psisko spojrzało na nią zaniepokojone i z głuchym stęknieniem opuściło ciężki łeb na dywan.

Dariusz ostrożnie położył stertę książek na pulpicie, podszedł do regału, gdzie Dickens rozpiekał się między Defoe a Dumasem (ten człowiek zwyczajnie napisał za dużo książek!), pewnym ruchem wyciągnął żądany egzemplarz i bez słowa wsunął go Elinor do ręki. Po czym wrócił do sterty książek i zaczął ustawiać je na regałach.

Elinor zrobiło się głupio. Nienawidziła tego uczucia, było gorsze nawet od smutku.

- Jest brudna! „Przestań, Elinor!”.

Ale nie mogła przestać. Słowa same wydobywały się z jej ust.

- Kiedy ostatni raz odkurzałeś książki? Wszystko muszę robić sama?

Dariusz stał nadal odwrócony plecami, milcząc ostentacyjnie, jakby przyjmował niezasłużoną karę chłosty.

- Co cię tak замуrowało? Czy ten twój język jękały odmówił ci już kompletnie posłuszeństwa? Czasem się zastanawiam, po co ty masz w ogóle język w gębie. Mortola powinna była zabrać ciebie zamiast Resy. Ona nawet jako niemowa była rozmowniej-sza niż ty!

Dariusz spokojnie wsunął ostatnią książkę na regał, poprawił inną, po czym wyprostowany, ze zdecydowaną miną, ruszył prosto do drzwi.

- Dariuszu! Wracaj!

Ale on się nawet nie obejrzał. Elinor pospieszyła za nim, wciąż trzymając w ręku Dickensa, który - musiała przyznać - nie był wcale taki zakurzony, a właściwie był zupełnie czysty.

„A czego ty się spodziewałaś, Elinor? - myślała. - Przecież dobrze wiesz, z jakim oddaniem Dariusz w każdy wtorek i piątek usuwa z książek najdrobniejszy pyłek”.

Jej sprzątaczką regularnie wyśmiewała się z miękkiego pędzelka, którego używał w tym celu.

- Dariuszu! Na miłość boską, przestań się tak zachowywać! Żadnej odpowiedzi.

Cerber wyprzedził ją i stojąc u wylotu schodów, patrzył na nią z wywieszonym językiem.

- Dariuszu!

Na paskudny łeb tego głupiego psa - gdzie on się podziewa?

Pokój Dariusza sąsiadował z dawną pracownią Mo na drugim piętrze. Drzwi stały otworem, a na łóżku leżała rozłożona walizka, którą mu podarowała na ich pierwszą wspólną podróż handlową. Lubiła kupować książki z Dariuszem (i musiała przyznać, że uratował ją przed popełnieniem niejednego głupstwa).

- Co... - Teraz to jej język odmawiał posłuszeństwa. - Co ty, u wszystkich diabłów, robisz?

Głupie pytanie. Najwyraźniej pakował się, wkładając do walizki swoje skape mienie.

- Dariuszu!

Na łóżku leżał portrecik Meggie, który mu podarowała Re-sa, notatnik sporządzony przez Mortimera i zakładka z piór sójki zrobiona przez Meggie.

- Szlafrok... - wyjął Dariusz, wkładając do walizki zdjęcie rodziców, które zawsze stało na nocnym stoliku. - Masz coś przeciwko temu, żebym go zabrał ze sobą?

- Co za głupie pytanie! Oczywiście, że nie, przecież to prezent! Ale dokąd chcesz go zabrać?

Cerber wtoczył się do pokoju i jął obwąchiwać nocny stolik, w którego szufladzie zawsze znalazło się dla niego jakieś ciasteczko.

- Jeszcze nie wiem...

Złożył szlafrok równie starannie jak inne części garderoby (był za duży na niego, ale skąd mogła wiedzieć, jaki nosi rozmiar?), włożył do walizki rysunek Meggie, notatnik i zakładkę i zamknął walizkę. Oczywiście miał problemy z zamkami, potrafił być taki niezręczny!

- Rozpakuj się natychmiast! Nie bądź głupi! Ale Dariusz przecząco potrząsnął głową.

- Boże, brakuje tylko tego, żebyś i ty mnie opuścił! Powiedziała to z taką rozpaczą, że ją samą to zaskoczyło.

- Ze mną i tak jesteś sama, Elinor - powiedział Dariusz przez zaciśnięte gardło. - Jesteś taka nieszczęśliwa! Nie mogę już tego wytrzymać!

Głupie psisko przestało obwąchiwać szafki i obróciło na nią smętne spojrzenie.

„On ma rację” - mówiły zażawione psie oczy.

Jakby tego nie wiedziała! Ona też już nie mogła ze sobą wytrzymać. Czy dawniej też była taka, zanim zamieszkali u niej Meggie, Mortimer i Resa? Ale wtedy miała tylko książki, a one się wcale nie skarżyły. Choć szczerze mówiąc, książek nigdy nie traktowała tak okropnie jak Dariusza.

- A więc dobrze, odejdz! - To śmieszne, jak bardzo drżał jej głos. - Ty też zostaw mnie samą. Masz rację. Dlaczego masz się przyglądać, jak z dnia na dzień robię się coraz bardziej nieznośna, bo wciąż czekam, że oni jakimś cudem powrócą? Może powinnam się zastrzelić albo utopić w jeziorze, zamiast dogorywać powoli.

Dariusz długo patrzył na nią oczami dalekowidza (powinna mu już dawno kupić inne okulary, w tych wyglądał po prostu śmiesznie), a potem otworzył walizkę i przez chwilę wpatrywał się w swój dobytek. Wyjął zakładkę - prezent od Meggie - i pogładził pstrokate błękitne pióra sójki. Meggie nakleiła je na bla-dożółty karton, wyglądało to bardzo ładnie... A potem odchrząknął. Trzykrotnie.

- A więc dobrze! - powiedział wreszcie przez ściśnięte gardło. - Wygrałaś, Elinor. Spróbuję. Przynies mi kartkę. W przeciwnym razie naprawdę gotowa jesteś popełnić samobójstwo.

Czy ona dobrze słyszała? Serce zaczęło jej bić mocno, jakby chciało pobiec przed nią do świata zrobionego z atramentu, do wrózek i szklanych ludzików i do tych, których kochała bardziej niż jakąkolwiek książkę.

- Czy to znaczy...?

Dariusz z rezygnacją skinął głową, jak żołnierz weteran znużony stoczonymi bitwami.

- Tak - powiedział. - Tak, Elinor.

- Lecę po kartkę! - zawołała Elinor, odwracając się na pięcie. W jednej chwili zniknęło bez śladu wszystko to, co od tyłu tygodni kładło się ciężarem na jej sercu, czyniąc z niej starą kobietę.

Ale Dariusz powstrzymał ją.

- Elinor! Powinniśmy wziąć notatki Meggie i różne praktyczne rzeczy... na przykład zapalniczkę.

- I nóż! - dodała Elinor.

Ostatecznie tam, dokąd się udawali, przebywał Basta, a ona poprzysięgła sobie, że jeśli spotka go jeszcze raz, będzie miała w ręku nóż.

O mało nie spadła ze schodów, biegnąc do biblioteki po kartkę Orfeusza. Cerber skoczył za nią podniecony, ziając zajadle. Czyżby przeczuwał w głębi psiego serca, że wybierają się tam, gdzie przebywa jego dawny pan?

Spróbuj! Spróbuj! Elinor nie mogła myśleć o niczym innym, ani o utracie głosu przez Resę, ani o Cockerellu ze sztywną nogą, ani o Płaskim Nosie ze szpetną twarzą.

„Wszystko będzie dobrze!” - ta myśl kołatała jej w głowie, gdy drżącymi rękami wyjmowała kartkę Orfeusza.

- Tym razem nie będzie Capricorna, który napawał Dariusza lękiem! - wykrzykiwała, nie panując nad sobą. - Tym razem Dariusz będzie czytał przepięknie! O Boże, Elinor, naprawdę ich zobaczysz!

Rozdział 22

Ryba potknęła haczyk

Gdyby Kuba potrafił czytać, zauważyłby może już teraz pewną szczególną okoliczność [...]. Ale Kuba nie umiał czytać.

Michael Ende, Kuba Guzik i Dzika Trzynastka

Karzeł mniej więcej dwa razy wyższy od szklanego ludzika, ale w żadnym razie nie taki owłosiony jak Tulio, alabastrowa skóra, zbyt duża głowa i krzywe nogi... Szczapa

przynajmniej zawsze dokładnie wiedział, czego chce. Szkoda tylko, że od kiedy w mieście bawił Piszczalka, jego zamówienia stawały się coraz rzadsze. Orfeusz właśnie się zastanawiał, czy dać karzełkowi włosy rude jak u lisa, czy też białe jak u albinosa, gdy zapukał Oss i usłyszawszy „proszę”, wetknął głowę przez drzwi. Olbrzym miał okropne manieri i nie lubił się myć, ale nigdy nie zapominał zapukać, zanim wszedł.

- Znowu list do ciebie, panie!

Ha! Czy to nie wspaniałe, kiedy mówią do ciebie „panie”...?

Oss wszedł do pracowni, pochylił łysą głowę (doprawdy był do przesady uniżony) i wyciągnął do Orfeusza opatrzony pieczęcią papier. Papier? Bardzo dziwne. Jaśnie państwo z reguły przysyłali zamówienia na pergaminie; pieczęć też wydała się Orfeuszowi nieznana. Ale to nie miało znaczenia. To już trzecie zamówienie tego dnia. Interesy szły doskonale, przyjazd Piszczalki niczego nie zmienił. Ten świat był wprost stworzony dla niego! Wiedział to od pierwszej chwili, kiedy jego spocone uczniowskie palce po raz pierwszy otworzyły książkę. Tutaj nie był już oszustem i hochsztaplerem i nie trafiał do więzienia za swoje mistrzowskie kłamstwa, tutaj ceniono jego talenty, a kiedy kroczył przez rynek ubrany jak patrycjusz, pospólstwo kłaniało mu się w pas.

- Od kogo jest ten list?

Oss wzruszył szerokimi ramionami.

- Nie wiem. Farid mi go dał.

- Farid? - ożywił się Orfeusz. - Dlaczego od razu nie mówiłeś?

Wyrwał papier z grubych palców Ossa, rozwinął i zaczął chciwie czytać. Orfeuszu!

(Oczywiście żadnego „drogi” albo „wielce szanowny”, Sójka nawet w nagłówku listu nie potrafił kłamać).

Farid powiedział mi, czego żądasz w zamian za napisanie słów, o które prosiła Cię moja żona. Przyjmuję Twoją ofertę.

Chyba z pięć razy przeczytał to zdanie. Stało czarno na białym:

Przyjmuję Twoją ofertę.

Orfeusz triumfował. Introligator połknął haczyk! Czy to możliwe, żeby poszło tak łatwo?

A dlaczego nie? Bohaterowie to głupcy, zawsze to powtarzał. Sójka wdepnął w pułapkę na myszy, teraz trzeba tylko uruchomić zapadkę - za pomocą pióra, atramentu... i głosu.

- Odejdź! Chcę zostać sam! - warknął do Ossa, który z nudów rzucał orzechami w szklanych ludzików. - I zabierz ze sobą Jaspisa.

Znał swój zwyczaj głośnego mówienia przy formułowaniu myśli, dlatego musiał pozbyć się z pracowni szklanego ludzika. Jaspis za często przesiadywał na ramieniu Farida, a chłopiec pod żadnym pozorem nie może się dowiedzieć tego, co Orfeusz zamierza przelać na papier. Głupi smarkacz pragnie wprowadzić powrotu Smolipalucha jeszcze bardziej niż on sam, ale wątpliwe, czy zgodziłby się poświęcić w tym celu ojca swojej ukochanej. Co to, to nie, Farid uwielbiał Sójkę, tak jak wszyscy.

Oss tłustą dłonią zgarnął Jaspisa z pulpitu, a Błyszczek pożegnał brata złośliwym spojrzeniem.

- Pergamin! - rozkazał Orfeusz, gdy tylko drzwi się za tamtymi zamknęły.

Błyszczek podskoczył usłużnie i rozłożył na pulpicie najlepszy arkusz, jaki miał.

Tymczasem Orfeusz podszedł do okna i patrzył na wzgórza, skąd najprawdopodobniej dotarł do niego list Sójki. Czarodziejski Język, Sójka - co za wspaniałe imiona! To prawda, Mortimer był o wiele szlachetniejszy i odważniejszy od niego, ale na pewno nie dorównywał mu przebiegłością. Mortimer to uosobienie cnoty, a cnota czyni z człowieka głupca.

„Podziękuj jego żonie, Orfeuszu! - dumiał, przechadzając się po pracowni (nic tak nie pomagało w myśleniu jak chodzenie). - Gdyby tak się nie bała, że go straci, prawdopodobnie nigdy nie zdobyłbyś potrzebnej przynęty!”

Wszystko potoczy się wspaniale... To będzie jego największy triumf! Jednorożce, karzełki, tęczowe wróżki... niech się schowają w porównaniu z tym, czego teraz dokona! Sprowadzi Smolipalucha z krainy umarłych. On, Orfeusz. Imię, które przybrał, doskonale do tego pasuje. Ale on postąpi mądrzej od owego pieśniarza, któremu je ukradł. Pośle kogoś innego do krainy umarłych... i postara się, aby ten już nigdy stamtąd nie wrócił.

- Smolipaluchu, czy mnie słyszysz w tej mroźnej krainie, w której przebywasz? - szeptał, przyglądając się, jak Błyszczek skwapliwie miesza atrament. - Znalazłem przynętę, która cię wykupi, najwspanialszą przynętę świata przystrojoną w błękitne pióra!

Zaczął nucić pod nosem, jak zawsze kiedy był z siebie zadowolony, i ponownie wziął do ręki list Mortimera. Co on tam jeszcze pisał?

Stanie ci się wedle Twego pragnienia.

(Na diable kopyto, przybierał uroczysty ton zbójców z dawnych czasów!).

Spróbuję zawiadzać białe damy, a Ty w zamian za to napiszesz słowa, które odeślę do domu Elinor moją żoną i córkę. Ale o mnie napisz tylko, że podążę za nimi później.

A to co znowu?

Orfeusz zaskoczony opuścił kartkę. Mortimer chciał zostać? Dlaczego? Bo jego szlachetne serce nie pozwala mu zwinąć żagli po tym, co zapowiedział Piszczalka? A może tak bardzo zasmakował w roli zbrojcy?

- Jakiegokolwiek by były twoje motywy, szlachetny Sójko - mówił cicho Orfeusz (ach, jakże uwielbiał brzmienie własnego głosu) - wypadki potoczą się inaczej, niż obmyśliłeś. Orfeusz ma co do ciebie własne plany!

Szlachetny głupiec! Chyba nie przeczytał do końca żadnej historii o zbrojcach. Nie było happy endu dla takich jak Robin Hood, dlaczego historia Sójki miałyby się dobrze skończyć? Nie, nie, pozostała mu tylko jedna jeszcze rola do odegrania: smakowitej przynęty na haczyku - skazanej na pewną śmierć.

„A ja napiszę o nim ostatnią pieśń!” - myślał uskrzydłony Orfeusz, stąpając tak uroczyście, jakby pod palcami stóp wyczuwał już właściwe słowa.

Wsluchajcie się w przedziwną opowieść o Sójce, o tym, jak wyprowadził Ognistego Tancerza z krainy śmierci, lecz sam przy tym zginął marnie.

Każdy bohater musi tak skończyć, Fenoglio nie inaczej by to rozwiązał.

Zaraz, to wcale nie koniec listu. Co tam jeszcze pisze ten najszlachetniejszy ze zbrojców?

Wywieś w oknie niebieską szmatę, jak skończysz pisać.

(Cóż za romantyczny pomysł! Prawdziwie zbrojniki! Mortimer chyba coraz bardziej identyfikował się z rolą, jaką narzucił mu Fenoglio).

A wówczas najbliższej nocy będę Cię oczekiwał na Cmentarzu Wagantów, Farid wie, gdzie to jest. Przyjdź sam, najwyżej z jednym służącym. Wiem, że jesteś w jak najlepszych stosunkach z nowym namiestnikiem, dlatego pokażę się dopiero wtedy, kiedy się upewnię, że nikt z jego ludzi Ci nie towarzyszy.

Mortimer.

(No proszę, podpisał się swoim prawdziwym imieniem. Komu on chce oczy mydlić?).

przyjdź sam! O tak, możesz być pewien, że będę sam - myślał Orfeusz. - Wszak słowa są niewidoczne, zwłaszcza że wyślę je wcześniej!”.

Zrolował pismo i włożył je pod pulpit.

- Błyszczek, wszystko gotowe? Dziesięć dobrze zatemperowanych piór, atrament mieszany przez sześćdziesiąt pięć oddechów, karta najlepszego pergaminu?

- Dziesięć. Sześćdziesiąt pięć. Najlepszy - potwierdził krótko pomocnik.

- A co z listą? - spytał Orfeusz, przyglądając się poobgryzanym paznokciom. Moczył je co rano w wodzie różanej, ale miało to tylko ten skutek, że jeszcze chętniej je obgryzał. - Twój bezużyteczny brat pozostawił odciski stóp na literze B.

Lista, czyli alfabetyczny spis wszystkich wyrazów występujących w Atramentowym sercu. Niedawno kazał ją sporządzić Jaspisowi (Błyszczek miał okropny charakter pisma). Ale szklany ludzik doszedł dopiero do litery D, tak więc Orfeusz nadal musiał wertować kartki, jeśli chciał mieć pewność, że dane słowo zostało rzeczywiście użyte w książce. Było to bardzo uciążliwe, ale nieuniknione. Jak dotąd ta metoda sprawdzała się w stu procentach.

- Wszystko poprawione! - zaświadczył usłużnie Błyszczek. Bardzo dobrze! Słowa już nadchodziły. Orfeusz poznawał

ich zbliżanie się po delikatnym mrowieniu pod skórą głowy. Jak już raz weźmie do ręki pióro, nie będzie mógł nadażyć z maczaniem go w kałamarzu. Smolipaluch...

Łzy stawały mu w oczach na wspomnienie tej strasznej chwili, gdy zobaczył go martwego wtedy w szybie kopalni. Była to bez wątpienia jedna z najgorszych chwil w jego życiu. I na wspomnienie prześladowającej go dotąd przysięgi, jaką złożył Roksanie (która zresztą ani trochę mu nie wierzyła) nad zwłokami jej męża: „Znajdę słowa tak cudowne i pachnące jak lilie, że omamią śmierć i wyrwą z jej zimnych szponów jego ciepłe serce!”. Poszukiwał tych słów bez przerwy od czasu przybycia do tego świata, chociaż Farid i Fenoglio uważali, że zajmuje się tylko jednoróżcami i kolorowymi wróżkami. Lecz po pierwszych smutnych próbach zrozumiał, że nie wystarczą słowa cudowne i pachnące jak lilie i że za powrót Smolipalucha śmierć żąda bardziej konkretnej zapłaty: zapłaty z krwi i kości.

To wprost nie do wiary, że wcześniej nie pomyślał o Mortimerze - człowieku, który księgą o pustych kartach uczynił śmierć pośmiewiskiem żyjących!

Tak, precz z nim! Temu światu potrzebny jest tylko jeden język - jego, Orfeusza. Kiedy Mortimer stanie się żerem śmierci, a Fenogliowi alkohol całkowicie zaćmi umysł, tylko on jeden pozostanie na placu boju i sam będzie opowiadał dalej tę historię, wyznaczając odpowiednią rolę Smolipaluchowi i (nie najpośledniejszą) samemu sobie.

- Tak, tak, przywołaj białe damy, Mortimerze! - szeptał, pracowicie zapełniając pergamin swoim pięknym pismem. - Nigdy się nie dowiesz, co wcześniej szeptałem do ich białych uszu. „Popatrzcie, kogo wam ściągnąłem! To Sójka! Zaprowadźcie go waszemu zimnemu panu z pozdrowieniami od Orfeusza i oddajcie mi w zamian za niego Smolipalucha”. Ach, Orfeuszu,

Orfeuszu, można o tobie wiele powiedzieć, ale na pewno nie to, że jesteś głupcem.

Uśmiechając się błogo, zanurzył pióro w kałamarzu... i odwrócił się gwałtownie, gdy za jego plecami otworzyły się drzwi. Wszedł Farid. Do diabła, gdzie się podziewał Oss?!

- Czego chcesz? - krzyknął na chłopca. - Ile razy ci mówiłem, że masz pukać, zanim wejdiesz? Następnym razem rzucę kałamarzem w ten twój durny łeb! Przynieś mi wina! Najlepszego, jakie mamy!

Jak ten głupi szczeniak na niego patrzył, wycofując się ku drzwiom!

„Nienawidzi mnie!” - pomyślał Orfeusz.

Ta myśl mu się spodobała. Wiedział z doświadczenia, że nienawiść ludzka dosięga tylko potężnych. A on właśnie taki pragnął być w tym świecie.

Potężny.

Rozdział 23

Cmentarz Wagantów

Siada na wzgórzu i zaczyna śpiewać. Śpiewa czarodziejskie pieśni, tak potężne, że budzą umarłych do życia. Cicho i ostrożnie intonuje pieśń, powoli jego głos potężnieje i staje się rozkazujący, aż wreszcie otwiera się torfowisko, chłodna ziemia zaczyna pękać.

Tor Age Bringsvaerd, Dzicy bogowie

Cmentarz Wagantów leżał na wzgórzu nieopodal opuszczonej wioski. Wioska nazywała się Carandrella i ludzie wciąż ją tak nazywali, choć mieszkańcy opuścili ją już dawno, dawno temu. Nikt nie znał powodu tego exodusu; jedni mówili: zaraza, inni opowiadali o dwóch zwaśnionych rodach, które wytepiły się nawzajem lub rozproszyły po świecie.

Jakkolwiek wyglądała prawda, w książce Fenoglia nie było na ten temat najmniejszej wzmianki. Ani na temat samego cmentarza, na którym zaginięni mieszkańcy chowali swoich zmarłych obok zmarłych kuglarzy, gdzie odtąd spali obok siebie pospołu snem wiecznym.

Na cmentarz prowadziła z wioski kręta dróżka, która wiła się w górę porośniętym janowcami zboczem i kończyła występem skalnym, skąd ponad wierzchołkami Nieprzebytego Lasu roztaczał się widok na południe, gdzie w dali za pasmem wzgórz, leżało morze. Wśród mieszkańców Ombry krążyło powiedzenie: „Zmarli z Carandrelli mają najlepsze widoki”.

Mur cmentarny był poszczerbiony, a płyty nagrobne zrobiono z tego samego materiału co i domy: kamień dla żyjących i umarłych. Na niektórych nagrobkach wyryte były imiona,

lecz tak nieporęcznie, jakby niepiśmienni twórcy tych inskrypcji przyswoili sobie kilka liter tylko po to, by wyrwać milczącej śmierci znajomy dźwięk.

Meggie miała wrażenie, że kamienie szepczą imiona zmarłych: Farina, Rosa, Lucio, Renzo... A te, na których nie było inskrypcji, wydawały jej się zamkniętymi ustami, które zapomniały ludzkiej mowy. A może umarłym było wszystko jedno, jakie imię nosili za życia?

Mo wciąż jeszcze rozmawiał z Orfeuszem. Siłacz przyglądał się pilnie ochroniarzowi tamtego, jakby próbował ocenić, który z nich ma mocniejsze bary.

„Nie rób tego, Mo, proszę!”.

Meggie spojrzała na matkę, lecz zaraz odwróciła wzrok. Była wściekła na nią, bo tylko z powodu jej łez i dlatego, że poszła do Orfeusza, Mo stał teraz tu, na tym cmentarzu.

Prócz Siłacza przyjechał z nimi Czarny Książę i Doria, chociaż brat mu tego zabronił. Doria błądził między grobami tak jak Meggie, oglądając walające się tam przedmioty: zwiędłe kwiaty, jakaś drewniana zabawka, stary but, flet. Doria podniósł świeży kwiat leżący na jednym z grobów, biały jak istoty, na które czekali, i podszedł do Meggie, widząc, że na niego patrzy. Naprawdę nie był podobny do brata. Siłacz miał włosy krótko obcięte, a Doria spadały one aż na plecy. Sprawiał wrażenie, jakby wyszedł z jednej z tych ksiązek z baśniami, które Mo podarował jej, gdy nauczyła się czytać. Obrazki były pożółkłe, ale oglądała je w kółko, przekonana, że namalowały je swymi drobnymi paluszkami wróżki, o których opowiadały baśnie.

- Potrafisz przeczytać napisy na grobach? - spytał Doria.

W lewej ręce trzymał kwiat, dwa palce miał sztywne. Według tego, co mówił Siłacz, złamał mu je ojciec po pijanemu, gdy Doria próbował bronić przed nim siostry.

- Oczywiście - odrzekła Meggie.

Wciąż patrzyła na Mo. Fenoglio przysłał mu przez Baptystę wiadomość: „Nieufaj Orfeuszowi, Mortimerze!”. Wszystko na próżno.

„Nie rób tego, Mo, proszę!”.

- Szukam grobu... - mówił Doria bardziej zakłopotany niż zwykle. - Ale nie... nie umiem czytać... Chodzi o grób siostry.

- Jak miała na imię?

Jeśli wierzyć Siłaczowi, Doria skończył piętnaście lat tego dnia, gdy Szczapa chciał go powiesić. Według Meggie wyglądał na więcej.

„Możliwe, że jest starszy - odpowiedział na jej wątpliwości Siłacz. - Matka nigdy nie była zbyt mocna w liczeniu. O moich urodzinach w ogóle nie pamięta”.

- Miała na imię Susa - odparł Doria, rozglądając się dokoła, jakby wystarczyło wymówić imię, by ją przywołać. - Brat mówi, że jest pochowana gdzieś tutaj, tylko nie wie dokładnie gdzie.

Meggie pomogła mu znaleźć grób. Zarósł powojem, ale imię na nagrobku było czytelne. Doria odgarnął liście i powiedział:

- Miała takie same włosy jak ty. Lazaro mówi, że mama ją wyrzuciła z domu, bo zadawała się z kuglarzami. Nigdy jej tego nie wybaczył.

- Lazaro?

- Mój brat, czyli Siłacz, jak go nazywacie - odparł Doria, wodząc palcami po literach. W pierwszym S zagnieździł się mech.

Mo wciąż rozmawiał z Orfeuszem, który wręczył mu kartkę. Musiały być na niej słowa zamówione przez Resę. Czy Mo jeszcze tej nocy odczyta kartkę i odeśle ich do domu, jeśli białe damy rzeczywiście się zjawią? Może przed świtem będą już u Eli-nor? Meggie nie umiałaby powiedzieć, czy ta myśl napełnia ją smutkiem, czy radością, i nie miała ochoty się nad tym zastanawiać. Chciała tylko jednego: żeby Mo wreszcie wsiadł na konia i odjechał; żeby łzy matki nigdy nie przywiodły go w to miejsce.

Farid stał nieco z boku ze Skoczkiem na ramieniu. Na widok chłopaka jej serce ogarniał chłód, tak samo jak na widok Resy. To Farid przekazał Mo żądanie Orfeusza. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, na jakie niebezpieczeństwo naraża się Mo, nie mówiąc już o tym, że w wyniku tej transakcji mogą się już nigdy więcej nie zobaczyć. Ale jemu było to obojętne. Zależało mu tylko na jednym człowieku: Smolipaluchu.

Doria wyjął zza pasa nóż i począł oczyszczać napis z mchu.

- Mówią, że przybyliście z daleka, ty i Sójka - odezwał się. - Czy tam jest inaczej niż tutaj?

Co miała mu odpowiedzieć?

- Zupełnie inaczej - wymamrotała.

- Naprawdę? Farid mówi, że tam są karety, które jeżdżą bez koni, i muzyka wydobywająca się z maleńkich czarnych puszek.

Meggie nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Tak, to prawda - rzekła.

Doria położył biały kwiat na oczyszczonym grobie siostry i podniósł się.

- A czy to prawda, że w tym kraju są też latające maszyny? - spytał z ciekawości. - Kiedyś zmajstrowałem sobie skrzydła i poleciałem kawałek, ale niezbyt daleko.

- Tak... są tam również latające maszyny - odparła Meggie z roztargnieniem. - Jeśli chcesz, Resa ci je narysuje.

Mo wziął kartkę, którą mu podał Orfeusz, i złożył ją. Teraz podeszła do niego Resa i coś mu tłumaczyła.

„Niepotrzebnie - pomyślała Meggie. - I tak jej nie posłucha”.

„Nie ma innego wyjścia, Meggie - powiedział, gdy ona sama błagała go, aby nie przyjmował oferty Orfeusza. - Mama ma rację, najwyższy czas wracać. Z każdym dniem robi się tu niebezpieczniej”.

Co mogła na to odpowiedzieć? W ciągu tygodnia zbójcy trzykrotnie przenosili obóz, gdyż żołnierze Piszczalki deptali im po piętach, a na zamku podobno co godzinę pojawiała się któraś z matek, twierdząc, że wie, gdzie ukrywa się Sójka.

Ach, Mo.

- Nic mu się nie stanie, zobaczysz - odezwał się Doria za jej plecami. - Nawet białe damy uwielbiają jego głos.

Bzdura. Czcze wymysły.

Ruszyła w kierunku Mo, zostawiając ślady na oszronionej ziemi, jakby duch przeszedł przez cmentarz. Mo był śmiertelnie poważny. Czyżby się bał?

„A coś ty myślała, Meggie? Ma wezwać białe damy!”.

„One są czystą tęsknotą, Meggie” - mówił.

Gdy przechodziła obok Farida, chłopiec spojrział w bok.

- Proszę cię! Nie musisz tego robić! - mówiła Resa zbyt głośno jak na miejsce, w którym się znajdowali.

Mo zakrył jej usta dłonią.

- Chcę to zrobić - powiedział. - A ty niepotrzebnie się martwisz. Znam białe damy o wiele lepiej, niż sądzisz. - I wsuwając jej złożoną kartkę za pas, dodał: - Proszę. Pilnuj jej jak oka w głowie. Gdybym z jakiegoś powodu nie mógł jej przeczytać, zrobi to za mnie Meggie.

„Gdybym z jakiegoś powodu nie mógł jej przeczytać...”.

„Gdyby mnie na przykład zabiły zimnymi białymi rękami, jak Smolipalucha...” - dokończyła za niego w myślach Meggie.

Już otwierała usta, chcąc coś powiedzieć, gdy Mo spojrział na nią. Doskonale знаła to spojrzenie.

„Koniec dyskusji. Zapomnij, Meggie”.

- Dobrze. W takim razie... Ja wypełniłem już swoją część zobowiązania. Myślę... myślę, że nie ma powodu dłużej zwlekać! - Orfeusz się niecierpliwił, przestępował z nogi na

nogę, uśmiechając się obłudnie. - Ludzie mówią, że one lubią blask księżycy, więc zanim miesiąc schowa się za chmurami...

Mo w milczeniu kiwnął głową i dał znak Siłaczowi. A ten łagodnie odciągnął Resę i Meggie na bok, pod rozłożysty dąb rosnący na skraju cmentarza. Skinął na brata i Doria przyłączył się do nich.

Nawet Orfeusz odstąpił kilka kroków do tyłu, jakby już w tej chwili niebezpiecznie było stać obok Mo.

Mo i Czarny Książę spojrzeli na siebie. Meggie zastanawiała się, co mu Mo powiedział. Czy tylko to, że chce wezwać białe damy z powodu Smolipalucha? A może książę wiedział też o słowach, które Sójka zamierzał okupić tym czynem? Nie, na pewno nie!

Ramię w ramię weszli między groby. Niedźwiedź poczłapał za nimi. A Orfeusz wraz ze swym ochroniarzem pospieszyli w stronę dębu, pod którym stały Meggie i Resa. Tylko Farid tkwił na swoim miejscu jak wrośnięty w ziemię; na jego twarzy malował się lęk przed tymi, które Mo zamierzał wezwać, i tęsknota za tym, którego zabrały.

Przez cmentarz przebiegł powiew wiatru chłodny niczym oddech tych, na które czekali, i Resa odruchowo zrobiła krok naprzód, ale Siłacz ją przytrzymał.

- Nie! - szepnął, a Resa cofnęła się w cień rozłożystych konarów i tak jak Meggie wpatrzyła się w obu mężczyzn stojących pośród grobów.

- Ukażcie się, córy śmierci! - Mo mówił tak spokojnie, jakby już nieraz wzywał te istoty. - Chyba mnie pamiętacie? Pamiętacie twierdzę Capricorna i jaskinię, do której za mną po-szłyście? I to, jak słabo biło moje serce pod waszymi palcami? Sójka chce was zapytać o przyjaciela. Gdzie się podziewacie?

Resa przycisnęła rękę do piersi, wyobrażała sobie, że serce Meggie bije równie szybko jak jej.

Pierwsza biała dama pojawiła się obok nagrobka, przy którym stał Mo. Wystarczyło jej wyciągnąć rękę, aby go dotknąć. I wykonała ten gest tak łagodnie, jakby witała starego przyjaciela.

Niedźwiedź stęknął i pochylił łeb. A potem zaczął się cofać. Zrobił coś, co mu się nigdy dotąd nie zdarzyło: opuścił swego pana. Ale Czarny Książę pozostał u boku Mo, choć na jego twarzy malował się śmiertelny lęk.

A twarz Mo nie zdradzała żadnego uczucia, kiedy blade palce pogłaskały go po ramieniu. Po prawej stronie pojawiła się druga biała dama. Dotknęła jego piersi w miejscu, gdzie biło serce. Resa krzyknęła i znów zrobiła krok do przodu, ale Siłacz i tym razem ją zatrzymał.

- Nic mu nie zrobią, widzisz przecież - uspokajał ją szeptem.

Pojawiła się jeszcze jedna biała dama, potem kolejne dwie. Otoczyły Mo i Czarnego Księcia i Meggie dostrzegła tylko jakby ich cienie majaczące pośród mglistych postaci. Były tak piękne - a zarazem tak straszne - i przez jedną chwilę Meggie żałowała, że Fenoglio nie może ich zobaczyć. Jakże byłby dumny z tego widoku, z tych bezskrzydłych aniołów, które stworzył.

A białych dam ciągle przybywało. Rzec by można, rodziły się z białych obłoczków wydychanych przez Mo i księcia. Dlaczego było ich tak wiele? Meggie czuła się jak zaczarowana i to samo oczarowanie dostrzegła na twarzy Resy, a nawet Farida, choć ten panicznie bał się duchów. Ale potem usłyszeli ich szepty - głosy równie bezcielesne jak same postaci. Szeptały coraz głośniej i głośniej i oczarowanie przerodziło się w lęk. Później sylwetka Mo zniknęła, jakby się rozpuścił w oślepiającej bieli niesamowitych postaci. Doria rzucił bratu zaniepokojone spojrzenie, Resa zawołała męża po imieniu. Siłacz próbował ją zatrzymać, ale wyrwała się i zaczęła biec.

Meggie pobiegła za nią, wpadła w mgłę przezroczystych ciał i twarze blade jak kamienie nagrobne, o które się potykała, obróciły się ku niej. Ale gdzie był jej ojciec?

Próbowała odepchnąć białe damy, ale jej ręce trafiały w próżnię, aż wreszcie natknęła się na Czarnego Księcia. Popielaty na twarzy stał tam z obnażonym mieczem w drżącej dłoni i rozglądał się bezradnie, jakby zapomniał, gdzie jest. A białe damy przestały szeptać. Rozpłynęły się w powietrzu niby dym uderzony podmuchem wiatru. Noc wydawała się czarniejsza po ich odejściu. Było tak ciemno. I tak przeraźliwie zimno.

Resa wciąż wołała Mo, a księżę rozpaczliwie patrzył dokoła, trzymając w ręce bezużyteczny miecz.

A Mo zniknął.

Rozdział 24

Wina

Czasie, pozwól mi zniknąć. A wtedy to, co oddzielamy naszą obecnością, znów zleje się w jedno.

Audrey Niffenger, Żona podróżnika w czasie

Czekali do świtu, ale Mo nie wrócił.

Resa poznała teraz ból Roksany. Ale tamtej pozostał chociaż umarły, którego mogła oplakiwać, a Mo zniknął bez śladu, jakby nigdy nie istniał. Historia połknęła go, a winę za to ponosiła ona sama.

Meggie płakała. Siłacz trzymał ją w objęciach, ale nawet jemu łzy spływały po policzkach.

- To wy jesteście temu winni! - wykrzykiwała Meggie co jakiś czas, odpychając matkę i Farida. Nawet Czarny Książę nie mógł jej ułagodzić. - Wy oboje go namówiliście! To po to go wtedy uratowałam, żeby one go teraz i tak dostały?

- Tak mi przykro. Tak mi niezmiernie przykro!

Te słowa Orfeusza wypowiedziane z jadowitą słodyczą paliły wciąż Resę, jakby ktoś oblał ją wrzątkiem. Kiedy białe damy zniknęły Orfeusz wydawał się na coś czekać i z trudem powściągał radosny uśmiech. Ale Resa to zauważyła. I Farid też.

- Coś ty zrobił? - zawołał.

Schwyciwszy Orfeusza za eleganckie ubranie, walił go pięścią w pierś. Oss chciał odciągnąć chłopaka, ale Siłacz go powstrzymał.

- Ty wstrętny kłamco! - wołał Farid, szlochając. - Ty żmijo o podwójnym języku! Dlaczego ich o nic nie zapytałeś? Wcale nie miałeś zamiaru ich pytać, prawda? Chciałeś tylko, żeby zabrały Czarodziejskiego Języka. Zapytajcie go, co jeszcze napisał! Sam widziałem! Napisał nie tylko te słowa, które obiecał Czarodziejskiemu Językowi. Była jeszcze druga kartka! Myśli, że ja się nie orientuję, co on robi, bo nie umiem czytać. Ale umiem liczyć. Były dwie kartki! A jego szklany ludzik mówi, że czytał na głos wczorajszej nocy!

„On ma rację! - myślała Resa przerażona. - O Boże, Farid ma rację!”

- Co to za głupie gadanie! - wykrzyknął Orfeusz, udając szczere oburzenie. - Myślicie, że ja nie jestem rozczarowany? Co mogę na to poradzić, że go zabrały? Ja wypełniłem swoją część umowy! Napisałem dokładnie to, czego żądał Mortimer! A czy miałem okazję zapytać je o Smolipalucha? Oczywiście, że nie! Mimo to nie zażadam zwrotu moich słów. Mam jednak nadzieję, że wszyscy tu obecni - spojrzał na Czarnego Księcia, który nadal trzymał miecz w dłoni - zdają sobie sprawę, że to ja jestem stroną pokrzywdzoną!

Kartka ze słowami Orfeusza wciąż tkwiła za pasem Resy. Chciała mu je rzucić w twarz, gdy odjeżdżał, ale w końcu nie zrobiła tego i schowała ją z powrotem. Słowa, które miały ich odesłać do domu... Nawet nie spojrzała na nie, zbyt wysoką cenę za nie zapłaciła. Mo odszedł, a Meggie nigdy jej tego nie wybaczy. Po raz drugi straciła ich oboje.

Oparła głowę na kamieniu nagrobnym. Był to grób dziecka, na wierzchu leżała dziecinna koszulka.

„Tak mi przykro” - brzmiał wciąż jej w uszach melodyjny głos Orfeusza, mieszający się ze szlochem Meggie. Tak, Farid miał rację, Orfeusz kłamał. Napisał to, co się wydarzyło,

a potem swym głosem sprawił, że stało się prawdą. Meggie miała rację. Usunął Mo z drogi przez zazdrość, a ona mu w tym dopomogła.

Wyjęła kartkę zza pasa i rozłożyła ją. Kartka była mokra od rosy; w nagłówku widniał herb Orfeusza. Jak opowiadał Farid, Orfeusz zlecił wykonanie herbu jakiemuś heraldykowi w Ombrze: korona miała oznaczać królewskie pochodzenie, palma - daleki kraj, z którego rzekomo przybył, dodatkowym elementem był jednorożec.

Znakiem firmowym Mo także był jednorożec. Łzy znów napłynęły jej do oczu, litery się zamazywały, utrudniając czytanie. Opis domu Elinor był trochę sztuczny, ale pragnienie Resy, by tam wrócić, Orfeusz opisał nader trafnie, jak również jej lęk, że ta historia mogłaby uczynić z jej męża innego człowieka... Skąd on tak dobrze wiedział, co się dzieje w jej sercu?

„Od ciebie, Reso - pomyślała z goryczą. - Sama je przed nim otworzyłaś, dzieląc się z nim swoją rozpaczą”.

Czytała dalej i nagle zdumiała się, natrafiwszy na słowa: Tak więc matka i córka wyruszyły w drogę do domu pełnego książek, lecz Sójka pozostał, obiecawszy wrócić później, po wypełnieniu misji...

„Napisałem dokładnie to, czego żądał Mortimer!” - brzmiał jej w uszach głos Orfeusza pełen urażonej niewinności.

Nie, to niemożliwe, przecież Mo chciał wracać razem z nimi! A może nie?

„Nigdy nie dowiesz się prawdy, Reso” - pomyślała, opierając się bez sił o nagrobek. Serce jej krwawiło z bólu i miała wrażenie, że dziecko kwili w jej brzuchu.

- Musimy iść, Reso - powiedział Czarny Książę, wyciągając do niej rękę.

Na jego twarzy nie malował się najmniejszy wyrzut, lecz tylko bezbrzeżny smutek. Nie zapytał o słowa, jakie napisał Orfeusz. Może w końcu sam uwierzył, że Sójka był czarnoksiężnikiem. Czarny Książę i Sójka, dwie ręce sprawiedliwości, czarna i biała. Teraz książę znów był sam.

Resa chwyciła jego dłoń i z trudem podniosła się na nogi.

„Iść? Dokąd? - chciała zapytać. - Wrócić do obozu, gdzie czeka pusty namiot, a twoi ludzie będą na mnie patrzeć z jeszcze większą nienawiścią niż do tej pory?”.

Doria przyprowadził jej konia. Siłacz wciąż stał obok Meg-gie, twarze obojga były zapłakane. Unikał spojrzenia Resy. A więc on też ją obwiniał za to, co się stało.

Dokąd? Wrócić do domu?

Wciąż jeszcze trzymała w ręce kartkę ze słowami Orfeusza. Dom Elinor. Jak to by było, gdyby wróciła do domu bez Mo? Jeśli Meggie w ogóle przeczytałaby te słowa.

„Straciłam Mo, Elinor. Próbowалаm go chronić, ale...”.

Nie, nie wróci do domu z taką wiadomością. Nie było powrotu. Nie było już nic.

- Chodź, Meggie - skinął na nią Czarny Książę, chcąc ją wsadzić na konia Resy, ale dziewczyna cofnęła się gwałtownie.

- Nie! Pojadę z Doria! - zawołała.

Doria podjechał do niej. Farid spojrzał na niego wrogo, gdy podciągnął Meggie na siodło za sobą.

- A ty co tu jeszcze sterczysz? - krzyknęła Meggie na Farida. - Jeszcze masz nadzieję, że Smolipaluch się zjawi? On już nie wróci, tak samo jak mój ojciec. Ale Orfeusz na pewno cię przyjmie po tym, co dla niego zrobiłeś!

Farid skurczył się, smagany każdym słowem Meggie jak biczem. Potem odwrócił się bez słowa i podszedł do osła. Zawołał na Skoczka, ale kuna gdzieś się zapodziała i Farid odjechał bez niej.

Meggie nie popatrzyła za nim, lecz spojrzała na Resę.

- Nie myśl sobie, że z tobą wrócę! - krzyknęła. - A jeśli potrzebujesz lektora dla swoich bezcennych słów, to idź do Orfeusza. Już raz u niego byłaś!

Czarny Książę tym razem też nie zapytał, o czym Meggie mówi, choć miał to pytanie wypisane na twarzy. Przez całą drogę powrotną pozostał u boku Resy. Słońce wspinało się coraz wyżej ponad wierzchołki wzgórz, ale Resa wiedziała, że ta noc nigdy się dla niej nie skończy. Odtąd zamieszka w jej sercu. Zawsze i wciąż ta sama niekończąca się noc. Czarna, a zarazem biała, jak istoty, które zabrały ze sobą Mo.

Rozdział 25

Koniec i początek

Drobna uwaga Na pewno umrzecie.

Markus Zusak, Złodziejka książek

Wraz z nimi wszystko do niego wróciło: wspomnienie bólu i lęku i pulsowanie gorączki w skroniach, i ich zimne ręce na sercu. Ale tym razem wszystko było inaczej. Białe damy dotykały go, ale on ich się nie bał. Szeptaly imię, które uznały za jego imię, i brzmiało to jak powitanie. Naprawdę witały go cichymi głosami przepełnionymi tęsknotą, które tyle razy słyszał we śnie, witały go niczym starego przyjaciela, który powrócił po długiej nieobecności.

Było ich wiele, bardzo wiele. Ich blade twarze otaczały go jak mgła, przysłaniając wszystko inne: Orfeusza, Resę, Meggie i Czarnego Księcia, który jeszcze przed chwilą stał

obok niego. Zniknęły gdzieś gwiazdy i nawet ziemia pod jego stopami. Nagle poczuł, że stoi po kostki w gnijących liściach. Ich słodkawy zapach wisiał ciężko w chłodnym powietrzu. Pomiedzy liśćmi leżały kości, białe, gładkie. Czaszki, piszczele. Gdzie on był?

„Zabrały cię ze sobą, Mortimerze - pomyślał. - Tak jak Smo-lipalucha”.

Dlaczego ta myśl nie napawała go lękiem?

Słyszał ptaki nad głową, chmary ptaków, a gdy białe damy odstały od niego, ujrzał korzenie powietrzne zwisające niby pajęczyny z ciemności ponad jego głową. Był we wnętrzu drzewa wydrążonego jak puszczalki organów i wysokiego jak wieże zamku w Ombrze. Z drewnianych blanków wyrastały grzyby rzucające bladozielone światło na gniazda ptaków i wróżek. Mo spróbował dotknąć korzeni, aby się przekonać, czy jego palce czują dotyk. Poczują. Przesunął ręką po twarzy, skóra była ta sama co zawsze, ciepła. Co to oznaczało? A więc to nie była śmierć?

Co to było w takim razie? Sen?

Odwrócił się, wciąż jak we śnie, i ujrzał łoża z mchu. Spały na nich mszanki z twarzami równie ponadczasowymi w śmierci jak i za życia. Lecz na ostatnim łożu leżała postać dobrze mu znana, twarz jej była spokojna i cicha, jak wtedy gdy widział ją po raz ostatni. Smolipaluch.

Roksana dotrzymała słowa danego w nieczynnej kopalni: „I choć moje włosy posiwieją, on będzie zawsze wyglądał, jakby spał, bo Pokrzywa nauczyła mnie, jak zachowywać ciało, gdy uleci z niego dusza”.

Mo podszedł z wahaniem do nieruchomej postaci. Białe damy rozstały się przed nim w milczeniu.

„Gdzie jesteś, Mortimerze? Może to jednak jest świat żywych, choć śpią tu umarli?”.

Smolipaluch wyglądał naprawdę tak, jakby spał. Czy Roksana właśnie w tym miejscu go odwiedzała? Na to wyglądało. Ale jak on sam się tu dostał?

- Przecież to jest ten przyjaciel, o którego chciałeś spytać, czyż nie tak?

Głos dochodził z góry, a gdy Mo spojrział w ciemność ponad swoją głową, zobaczył siedzącego w płataninie korzeni ptaka o złotym upierzeniu, z czerwoną plamką na piersi. Ptak patrzył na niego okrągłymi ptasimi oczami, ale głos wydobywający się z jego dzioba był głosem kobiety.

- Twój przyjaciel jest u nas mile widzianym gościem. Przyniósł nam ogień, jedyny żywioł, nad którym nie panuję. Ciebie również moje córki chętnie przyprowadziłyby do nas, gdyż kochają brzmienie twojego głosu, ale dobrze wiedzą, że twój głos potrzebuje cielesnego oddechu. A kiedy mimo to rozkazałam im, by cię przyprowadziły za karę, że sporządziłeś

Pustą Księgę, błagały mnie, abym cię oszczędziła. Oświadczyły, że postanowiłeś uczynić coś, co mnie z tobą pojedna.

- Co takiego? - spytał Mo, a jego głos zabrzmiał obco.

- Nie wiesz? I mimo to jesteś gotów dla tej sprawy rozstać się ze wszystkim, co kochasz? Przyprowadź tutaj tego, którego mi zabrałeś. Przyprowadź mi Zmijogiowego, Sójko.

- Kim jesteś? - spytał Mo, spoglądając to na białe damy, to na cichą twarz Smolipaluca.

- Spróbuj zgadnąć.

Ptak nastroszył złote pióra, a Mo zrozumiał, że czerwona plamka na piersi ptaka to krew.

- Jesteś śmiercią - powiedział Mo, a słowo to legło ciężarem na języku.

Czy może być cięższe słowo?

- Tak, tak mnie nazywają, a przecież zasłużyłam na tyle innych imion!

Ptak zaczął otrząsać złote pióra, które padały między zwiędłe liście, na głowę i ramiona Mo, a gdy znów spojrział w górę, w pajęczynie korzeni siedział szkielet ptaka.

- Jestem końcem i początkiem.

Szkielet ptaka pokrył się futerkiem, na głowie wyrosła para spiczastych uszu: z góry patrzyła na Mo wiewiórka trzymająca się pazurkami korzeni, ale z jej pyszczka wydobył się ten sam głos co z dzioba ptaka:

- Wielka Przeobrazicielka - oto imię, które mi się podoba.

Teraz wiewiórka straciła futerko, ogonek i uszy, zamieniła się w motyla, gąsienicę, cętkowanego kota, a na końcu w kunę, która wskoczyła na łożo z mchu i przycupnęła u stóp zmarłego.

- Ja jestem początkiem wszystkich historii i ich końcem - powiedziała kuna głosem ptaka i wiewiórki. - Przemijanie i odnowa. Beze mnie nic się nie rodzi, bo nic nie umiera beze mnie. Ale ty, Sójko, zakłóciłeś moją pracę, sporządzając księgę, która wiąże mi ręce. Dlatego byłam bardzo zła na ciebie, potwornie zła.

Kuna wyszczerzyła zęby, a białe damy zbliżyły się na powrót do Mo.

„Czy teraz przyjdzie śmierć?” - pomyślał z drżeniem. Poczul ucisk w piersiach, było mu ciężko oddychać, tak jak wtedy kiedy już raz poczul ją tuż-tuż.

- Tak, byłam zła - szeptała kuna tym samym kobiecym głosem, lecz nagle stał się on głosem starej kobiety. - Ale moje córki mnie uspokoiły. Kochają twoje serce równie mocno

jak twój głos. Powiedziały mi, że twoje serce jest wielkie, bardzo wielkie, i szkoda byłoby już teraz je złamać.

Kuna umilkła i nagle usłyszał znów te niezapomniane szepty. Otaczały go, były wszędzie.

- Strzeż się! Strzeż się, Sójko!

Strzec się? Kogo? Blade twarze były bardzo piękne, ale rozplywały się, gdy próbował im się dokładniej przyjrzeć.

- Orfeusz! - wyszeptały blade wargi.

I nagle Mo usłyszał jego głos. Melodyjne brzmienie wypełniło puste drzewo przesłodzoną wonią.

- Wysłuchaj mnie, Mistrzynie Zimna - powiedział poeta. - Wysłuchaj mnie, Mistrzynie Milczenia. Oto składam ci propozycję. Poślę ci Sójkę, który uczynił cię pośmiewiskiem. On będzie myślał, że ma tylko wezwać twoje blade córki, ale ja ofiarowuję ci go jako cenę za Ognistego Tancerza. Weź go sobie, a za to odeślij mi do krainy żywych Smolipalucha, bo jego historia nie jest jeszcze opowiedziana do końca. Historii Sójki brak tylko ostatniego rozdziału - napiszą go białe damy. Tak czytał i pisał poeta, a jego słowa stały się prawdą, jak zawsze. Sójka wezwał białe damy, gdyż zawsze był zuchwały, ale śmierć nie wypuściła go już ze swoich objęć. A Smolipaluch powrócił i jego historia otrzymała nowy początek. Strzeż się...

Dopiero po chwili Mo pojął, co to wszystko oznacza. Przeklinał swoją głupotę, że zaufał człowiekowi, który już raz o mało go nie uśmiercił. Usiłował przypomnieć sobie słowa, które napisał dla niego Orfeusz. A jeśli postanowił usunąć z drogi Resę i Meggie, tak samo jak jego?

„Co on takiego napisał? Przypomnij sobie, Mo!”.

- Tak, naprawdę byłeś głupcem! - drwił kobiecy głos. - Ale on był jeszcze głupszy od ciebie. Myślał, że może mnie związać słowami, mnie, która rządę krainą, gdzie nie ma słów, lecz skąd pochodzą wszystkie słowa. Nic nie może mnie spętać z wyjątkiem Pustej Księgi, bo napelniłeś jej karty białym milczeniem. Ten, którego ona chroni, prawie co dzień przysyła mi kolejnego uśmierconego przez siebie człowieka, niby posłańca swej drwiny! Miałabym ochotę odrzec za to twoje kości z ciała! Ale moje córki czytają w twoim sercu jak w księdze i zapewniają mnie, że nie spocznesz, dopóki ten, którego chroni Pusta Księga, nie będzie znów należał do mnie. Czy to prawda, Sójko?

Kuna położyła się na martwej piersi Smolipalucha.

- Tak! - szepnął Mo.

- Dobrze. Gdy wrócisz, uniecznisz milczenie Pustej Księgi. Napelnisz ją słowami, nim nadejdzie wiosna. W przeciwnym razie dla ciebie zima nigdy się nie skończy. W zamian za Zmijogłowego zabiorę nie tylko twoje życie, ale i życie twojej córki, która pomogła ci sporządzić księgę. Zrozumiałeś, Sójko?

- Dlaczego dwa? - zawołał Mo ochryłym głosem. - Jak możesz żądać dwóch za jedno? Weź tylko moje życie, to wystarczy.

- To ja wyznaczam cenę - powiedziała kuna, patrząc mu w oczy. - Ty masz jedynie zapłacić.

„Meggie! Nie! Nie!! Wracaj, Reso - myślał gorączkowo Mo. - Niech Meggie przeczyta słowa Orfeusza. Wszystko jest lepsze od tego, co was tutaj czeka. Wracajcie do domu! Natychmiast!”

Ale kuna roześmiała się śmiechem staruchy.

- Jestem końcem każdej historii - powiedziała. - Wszędzie mnie spotkasz.

I jakby na dowód prawdziwości swoich słów zamieniła się w kota o jednym uchu, który zakradał się do ogrodu Elinor, by polować na ptaki. Kot zeskoczył z piersi Smolipalucha i otarł się o nogi Mo.

- A więc jak, Sójko? Przyjmujesz moje warunki?

„I w zamian za Żmijogłowego zabiorę nie tylko twoje życie ale i życie twojej córki”.

Mo spojrział na Smolipalucha. Jego twarz w śmierci wyglądała o wiele pogodniej niż za życia. Czy tam po drugiej stronie spotkał swoją młodszą córkę i Cosima, i drugiego męża Roksany? Czy wszyscy umarli przebywali w tym samym miejscu?

Kot usiadł naprzeciw i wpatrywał się w niego.

- Przyjmuję - powiedział Mo ochryłym głosem. - Ale ja też stawiam warunek: zwróć mi Ognistego Tancerza. Dawno temu mój głos zabrał mu dziesięć lat życia - chcę mu je zwrócić. A poza tym... czyż pieśni nie mówią o tym, że śmierć Żmijogłowego wyjdzie z ognia?

Kot zwinął się w kłębek, jego futerko opadło na zeschnięte liście, a kości pokryły się na nowo ciałem i pierzem - i po chwili złoty drwinniczek z czerwoną plamką na piersi usiadł Mo na ramieniu.

- Lubisz urzeczywistniać to, co mówią pieśni, prawda? - szepnął mu do ucha. - A więc dobrze. Oddam ci go, niechaj Ognisty Tancerz powróci do życia. Ale kiedy nadejdzie wiosna, a Żmijogłowy wciąż będzie nieśmiertelny, jego serce przestanie bić razem z twoim i twojej córki.

Mo zakręciło się w głowie. Chciał schwytać ptaka i ukręcić mu łebek, by nie słyszeć więcej tego drwiącego głosu. Potknął się, podchodząc do Smolipalucha.

Tym razem białe damy rozstały się z ociąganiem.

- Jak widzisz, moje córki niechętnie go puszczają - usłyszał znów głos staruchy. - Chociaż wiedzą, że kiedyś powróci.

Mo patrzył na nieruchome ciało kuglarza. Jego twarz była naprawdę pogodniejsza niż w życiu. I Mo przez chwilę zastanawiał się, czy rzeczywiście odda mu przysługę, przywracając go do świata żywych.

Ptak wciąż siedział na jego ramieniu, lekki, lecz o ostrych szponach.

- Na co jeszcze czekasz? - spytała śmierć. - Zawołaj go! I Mo posłuchał.

Rozdział 26

Znajomy głos

„Co mu pozostało - zastanawiał się Długi Cień. - Jakie myśli, zapachy, imiona? A może w jego głowie pozostały tylko niejasne odczucia i garść słów bez związku?”.

Barbara Gowdy, Biała kość

Odeszły. Zostawiły go samego z całym tym błękitem, który tak trudno było pogodzić z czerwienią ognia. Błękit wieczornego nieba, błękit kwiatów bodziszka łąkowego, błękit warg topielców, błękit wnętrza płomienia grzejącego zbyt mocno. O tak, czasem było też gorąco w tym świecie. Gorąco i zimno, jasno i ciemno, przerażająco i pięknie - ten świat był wszystkim jednocześnie. To kłamstwo, że w krainie śmierci nic się nie czuje. Owszem, czuło się dotyk, słyszało się, odbierało zapachy, widziało, ale serce było przy tym dziwnie spokojne, jakby odpoczywało, zanim taniec rozpocznie się na nowo.

Spokój. Czy to właściwe słowo?

Czy strażniczki tego świata także odczuwały spokój, czy też tęskniły za czymś odmiennym - za bólem, którego nie znały, za ciałem, w którym nie mogły mieszkać? Może. A może nie. Z ich twarzy nie mógł wyczytać odpowiedzi, gdyż malowały się w nich jednocześnie spokój i tęsknota, radość i ból. Jakby wiedziały o wszystkim, co jest i w tym, i w tamtym świecie, bo oba - jak i one same - utkane były ze wszystkich farb stopionych w jedno białe światło. Opowiadały mu, że w krainie śmierci są też inne miejsca, mroczniejsze niż to, do którego go przywiodły, i że nikt tu nie zostawał długo. Z wyjątkiem niego. Bo on przyniósł im ogień...

Białe damy bały się ognia - i kochały go. Grzały przy nim dłonie, a gdy sprawiał, że ogień tańczył, śmiały się swawolnie jak dzieci. Były naprawdę dziećmi, dziećmi bez określonego wieku, młode, a zarazem stare, bardzo stare. Prosiły go, by tworzył drzewa i kwiaty z ognia, a on malował ogniem twarze, które zobaczył, kiedy białe damy zabrały go nad rzekę, gdzie płuczą serca zmarłych.

„Zajrzyj do środka! - szeptały mu do ucha. - Jeśli spojrzysz w głąb wody, ujrzą cię we śnie ci, których kochasz”.

A on pochylił się nad przejrzystą błękitną wodą i zobaczył chłopca, kobietę i dziewczynkę, których imion nie pamiętał, jak uśmiechają się przez sen.

„Dlaczego nie pamiętam ich imion?” - spytał.

„Ponieważ wypłukałyśmy twoje serce - odpowiedziały. - Wypłukałyśmy je w błękitnej wodzie, która oddziela ten świat od tamtego. To przyniosło ci zapomnienie”.

Musiała to być prawda, bo ilekroć próbował sobie coś przypomnieć, nie było nic prócz błękitu i jego chłodnych pieszczot. Dopiero gdy przyzywał ogień, a czerwień wypierała błękit, powracały obrazy, zawsze te same, które widział w wodzie. Ale tęsknota w nim zamierała, zanim zdążył ją dobrze poczuć.

„Jakie imię nosiłem za życia?” - pytał czasem, a one śmiały się i szeptały: „Ognisty Tancerz. Takie jest twoje imię i takie pozostanie na zawsze, bo ty na wieki zostaniesz z nami i nie odejdziesz, jak inni, do innego życia...”.

Czasami przyprowadzały mu małą dziewczynkę, która głaskała go po twarzy i uśmiechała się tak samo jak kobieta, którą widział w wodzie i w płomieniach.

„Kto to jest?” - pytał.

„Była tu i już jej nie ma - odpowiadały. - Była twoją córką”.

Córka... Słowo to kojarzyło się z bólem, ale to była tylko pamięć, jego serce nie czuło bólu. Czuło tylko miłość. Nie było nic prócz miłości.

Gdzie one się podziały? Nigdy dotąd nie zostawiały go samego, od kiedy jest tutaj... gdziekolwiek to było.

Przyzwyczał się do ich bladych pięknych twarzy, ich cichych głosów.

Nagle usłyszał inny głos. Znał go. Znał też imię, które ten głos wywoływał. Smolipaluch.

Nienawidził tego głosu... A może go kochał? Nie wiedział tego. Wiedział tylko jedno: że ten głos przyniósł ze sobą wszystko, o czym zapomniał - pojawiło się nagle, jakby przeszył go ostry ból, który sprawił, że uśpione serce poczęło na nowo bić w piersi. Czy to nie ten sam głos już raz sprawił mu ból tak silny, że serce o mało mu nie pękło? Tak, przypominał to

sobie dokładnie! Zatkanął uszy dłońmi, ale w krainie umarłych słyszy się nie tylko uszami, i głos przeniknął go do szpiku kości niby krew, która zaczynała płynąć w dawno obumarłych arteriach.

- Zbudź się, Smolipaluchu! - mówił głos. - Wracaj. Ta historia nie dobiegła jeszcze końca.

Historia... Czuł, że błękit go odpycha, że znów ma ciepłe ciało, a serce bije mocno w za ciasnej piersi.

„Czarodziejski Język - pomyślał - to głos Czarodziejskiego Języka”.

I nagle wróciła mu pamięć imion: Roksana, Brianna, Farid, a wraz z nią - ból, czas, tęsknota.

Rozdział 27

Utracony i odzyskany

Wierzę w powstanie zmarłych z grobów. Wierzę, że przynajmniej niektórych oczekuje zmartwychwstanie.

Saul Bellow, Henderson, król deszczu

Było jeszcze ciemno, kiedy Gwin obudził Roksanę. Nadal nie lubiła kuny, ale nie miała serca jej wypędzić. Zbyt często widziała ją na ramieniu Smolipalucha. Czasem miała wrażenie, że na brązowym futerku pozostała odrobina ciepła jego dłoni. Kuna pozwalała się Roksanie głaskać, odkąd jej pan nie żył. Dawniej nie było mowy, żeby mogła dotknąć Gwina. Ale też dawniej on mordował jej kury, a teraz zostawiał je w spokoju, jakby to była część ich milczącej umowy, jakby w podzięce za to, że pozwalała mu - i tylko jemu - towarzyszyć jej, gdy odwiedzała jego pana. Tylko on znał jej tajemnicę, tylko on był przy niej, gdy siedziała przy zmarłym - godzinę, dwie - wpatrzona w jego twarz.

„Wrócił!” - mówiła nastroszona sierść Gwina, gdy wskoczył jej na pierś, ale ona nie zrozumiała. Odpędziła kunę, widząc, że na dworze panuje mrok, ale Gwin nie dawał za wygraną, fukał na nią, drapał w drzwi. Od razu pomyślała o patrolach, które Szczapa lubił wysyłać do samotnych zagród. Drżącymi palcami wyciągnęła nóż, który trzymała pod poduszką, włożyła suknię, gdy tymczasem kuna coraz gwałtowniej dobijała się do drzwi. Dobrze, że nie obudziła Jehana - jej syn spał kamiennym snem. Gęś też nie wszczęła alarmu... dziwne.

Boso, z nożem w ręce, pobiegła ku drzwiom, nasłuchując, ale z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk. Ostrożnie wyjrzała na dwór. Wydało jej się, że noc oddycha równomiernie, jakby spała. Gwiazdy spoglądały na nią z wysoka niby świetliste kwiaty i ich piękno sprawiło jej ból.

- Roksano...

Kuna jak błyskawica wystrzeliła w ciemność.

To nie mogła być prawda. Umarli nie wracają, choćby za życia to obiecywali. Ale postać, która wyszła z cienia obok stajni, była tak straszliwie znajoma.

Gwin fuknął na drugą kunę siedzącą na ramieniu jego pana.

- Roksano! - Smolipaluch smakował jej imię na języku jak coś, czego dawno nie próbował.

To sen, jeden z tych snów, które miała prawie każdej nocy, kiedy widziała jego twarz tak wyraźnie i dotykała jej we śnie tak, że rano czuła na palcach dotyk jego skóry. Nawet wtedy gdy otoczył ją ramionami, tak ostrożnie, jakby musiał sprawdzić, czy jeszcze potrafi to robić, Roksana nie poruszyła się; jej ręce nie wierzyły, że mogą go dotknąć, jej ramiona nie wierzyły, że mogą go objąć. Ale jej oczy widziały go, jej uszy słyszały, jak oddycha. Jej skóra czuła jego skórę, tak ciepłą, jakby był w niej ogień po tych wszystkich miesiącach, gdy był tak przeraźliwie zimny.

Dotrzymał słowa. Nawet jeśli to sen, lepszy sen niż nic.

- Roksano! Spójrz na mnie!

Ujął jej twarz w dłonie, głaskał po policzkach, ocierał łzy, które tak często czuła na rzęsach po obudzeniu. Dopiero wtedy przyciągnęła go do siebie, a dłonie powiedziały jej, że nie dotyka ducha. To niemożliwe. Płakała, przytulając twarz do jego twarzy. Miała ochotę go uderzyć za to, że zostawił ją z powodu tego chłopca, za cały ból, ale serce nie chciało jej słuchać. Tak jak za pierwszym razem, gdy wrócił po dziesięciu latach.

- O co chodzi? - spytał, całując ją.

Blizny. Zniknęły, jakby białe damy zmyły je z jego twarzy, nim go wypuściły na wolność.

Ujęła jego dłonie i przesunęła nimi po jego policzkach.

- No popatrz! - powiedział, dotykając palcami skóry, jakby to była twarz kogoś obcego. - Naprawdę zniknęły. Basta byłby niepokieszony.

„Dlaczego go puściły? Kto zapłacił za niego cenę, jaką on zapłacił za chłopca?”

I po cóż o to pyta? Wrócił, i nic innego nie ma znaczenia. Wrócił stamtąd, skąd się nie wraca, gdzie byli wszyscy inni: jej córka Jehan, ojciec jej syna i Cosimo... Tylu umarłych. Ale

on wrócił stamtąd. To nic, że w jego oczach czyta, iż tym razem był tak daleko, że zostawił tam część swojej osoby.

- Jak długo zostaniesz tym razem? - szepnęła.

Nie odpowiedział od razu. Gwin ocierał się głową o jego kark i patrzył na niego tak, jakby też chciał poznać odpowiedź.

- Jak długo śmierć na to pozwoli - rzekł wreszcie, przyciskając jej dłoń do swojej piersi, tam gdzie biło serce.

- Co to znaczy? - szepnęła.

Ale on zamknął jej usta pocałunkiem.

Rozdział 28

Nowa pieśń

Gwiazda nadziei błyszczy w ciemnym lesie; cóż, gdy księżtom samą gorycz niesie. Jak futro kreta włosy jego czarne, drżą moźni - czasy dla nich marnie!

Fenoglio, Pieśni o Sójce

- Sójka wrócił z krainy umarłych!

To Doria przyniósł Czarnemu Księciu tę wiadomość. Tuż przed świtem wpadł bez tchu do jego namiotu, bełkocąc:

- Widziała go jakaś mszanka! U Pustych Drzew, tam gdzie zielarki grzebią swoje zmarłe. Mówi, że przyprowadził ze sobą Smolipalucha. Proszę, czy mogę powiedzieć Meggie?

Niepojęte słowa. To było zbyt cudowne, aby mogło być prawdziwe. Mimo to Czarny Książę natychmiast wyruszył do Pustych Drzew, przykazawszy przedtem Dorii, że ma się z nikim nie dzielić nowiną: ani z Meggie, ani z jej matką, ani z Drabem czy którymkolwiek ze zbójców, nawet ze swym bratem, który spał twardo przy ognisku.

- Ale podobno Piszczalka też już wie o tym! - zawołał chłopiec.

- Tym gorzej! - odparł Czarny Książę. - Więc życz mi, żebym znalazł go przed nim.

Jechał tak szybko, że biegnący obok niedźwiedź począł sapać z niezadowoleniem. I po cóż ten cały pośpiech? Po co ta głupia nadzieja? Czemuż jego serce uparcie wierzy, że rozbłyśnie światelko w całym tym mroku? I skądże wciąż czerpało nadzieję, choć tyle już doznało rozczarowań?

„Masz serce dziecka, książę” - powtarzał Smolipaluch.

„Przyprowadził ze sobą Smolipalucha”.

To nie mogła być prawda. W pieśniach, owszem, zdarzały się takie rzeczy - w pieśniach i bajkach, jakie matki opowiadają dzieciom na dobranoc, żeby nie bały się ciemności...

Nadzieja czyni człowieka lekkomyślnym, powinien być o tym pamiętać. Zobaczył żołnierzy dopiero wtedy, gdy wyrosli przed nim jak spod ziemi. Było ich wielu, naliczył dziesięciu. Mieli ze sobą mszankę. Pętla, na której ją prowadzili, poobcierała jej chudą szyję. Złapali ją, aby im pokazała drogę do Pustych Drzew, którą niewiele znało poza mszankami. Czarny Książę wiedział o niej, gdyż pomagał Roksanie zawieźć tam Smolipalucha.

Było to miejsce poniekąd uświęcone, ale przerażona mszan-ka pokazała żołnierzom drogę. Już z daleka widać było obumarłe korony drzew. Odcinały się szaro na tle złotoczerwonego listowia dębów, jakby nadchodzący ranek odarł ich konary z liści. Książę modlił się, aby Sójki tam nie było. Lepiej, żeby pozostał u białych dam, niż trafił w ręce Piszczalki.

Trzech pancernych z obnażonymi mieczami zaszło go od tyłu. Mszanka upadła na kolana, gdy pilnujący jej żołnierze dobyli mieczy i zwrócili się ku nowej zwierzynie. Niedźwiedź stanął na tylnych łapach, obnażając kły. Trzy konie spłoszyły się, dwaj żołnierze cofnęli się przestraszeni, ale nadal było ich zbyt wielu jak na jeden nóż i pazury.

- No popatrz, wygląda na to, że nie tylko Piszczalka jest na tyle głupi, żeby wierzyć bredniom opowiadanych przez mszanki! - zawołał przywódca, którego piegowata twarz była tak biała jak twarz białej damy. - Czarny Książę we własnej osobie! Przeklinałem swój los, że muszę uganiać się po kniei za duchem, a tu kto staje mi na drodze? Jego czarny brat! Okup za niego nie jest wprawdzie tak wysoki jak za Sójkę, ale i tak będziemy bogaci!

- Mylisz się. Jeśli go tkniecie, będziecie martwi.

A jego głos budzi umarłych ze snu i sprawia, że wilk leży pospołu z jagnięciem...

Sójka z takim spokojem wyszedł zza buka, jakby przez cały czas czekał na żołnierzy.

„Nie nazywaj mnie tak, to imię dobre dla pieśni” - powtarzał, no ale jakże inaczej miał go nazywać Czarny Książę.

Sójka. Żołnierze głosami ochryplymi ze strachu podawali sobie to straszne imię z ust do ust. Kim on jest? Ile to już razy Czarny Książę zadawał sobie to pytanie. Czy naprawdę przybył z kraju, w którym Smolipaluch spędził wiele długich lat? I co to był za kraj? Czy to kraj, gdzie spełniają się słowa pieśni?

Sójka.

Niedźwiedź powitał go donośnym rykiem, tak że konie stanęły dęba, a Sójka swoim zwyczajem powoli dobył miecza, tego miecza, który przedtem należał do Podpalacza i

uśmiercił tylu ludzi Czarnego Księcia. Jego twarz okolona czarną czupryną była bledsza niż zwykle, ale księżę nie dostrzegł w niej śladu lęku. Ktoś, kto widział śmierć, zapewne zapomina o lęku.

- Jak widzicie, wróciłem z krainy śmierci, choć nadal czuję na sobie jej szpony - mówił Sójka nieobecny tonem, jak gdyby wciąż nie całkiem wyrwał się z objęć białych dam. - Chętnie pokażę wam drogę do niej. Wszystko zależy od was. Ale jeśli chcecie jeszcze pożyć - tu Sójka błysnął mieczem, zdawało się, wypisując w powietrzu ich imiona - zostawcie go w spokoju. Jego i niedźwiedzia.

Utkwili w nim wzrok, a ręce dzierżące miecze drżały tak, jakby dotykały własnej śmierci. Nic nie napawa większym lękiem niż widok nieustraszonego przeciwnika. A Czarny Księżę stanął obok Sójki, czując niby tarczę słowa, które lud śpiewał jak kraj długi i szeroki: czarna i biała ręka sprawiedliwości.

„Począwszy od dziś, będzie to już nowa pieśń” - pomyślał księżę, dobywając miecza. Czuł się tak młody i mocarny, że mógłby stanąć przeciwko tysiącu mężów. Ale ludzie Piszczalki spięli konie i uciekli - przed dwoma wojownikami... i paroma słowami.

Kiedy zniknęli pośród drzew, Sójka podszedł do mszanki, która wciąż jeszcze klęczała w trawie, zasłaniając rękami pomarszczoną twarz koloru kory, i zdjął jej pętlę z szyi.

- Kilka miesięcy temu jedna z was opatrzyła mi paskudną ranę. Czy to przypadkiem nie ty?

Mszanka podniosła się z ziemi przy jego pomocy, przyglądając mu się z niechęcią.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Ze w oczach ludzi jesteśmy wszystkie jednakowe? - warknęła. - My mamy ten sam problem z wami, więc skąd mogę wiedzieć, czy cię już kiedyś widziałam?

I pokuśtykała w las, nie obejrzawszy się na swojego zbawcę, a ten stał i patrzył za nią, jakby zapomniał, gdzie się znajduje.

- Jak długo mnie nie było? - spytał, gdy Czarny Księżę podszedł do niego.

- Ponad trzy dni.

- Tak długo? - No cóż, był przecież bardzo daleko... - Oczywiście. Czas płynie inaczej, gdy się spotyka śmierć. Czyż nie tak ludzie mówią?

- Ty teraz wiesz o tym więcej ode mnie - odparł księżę. Sójka nic na to nie odrzekł.

- Słyszałeś już, kogo przyprowadziłem ze sobą? - spytał w końcu.

- Trudno mi uwierzyć w tak dobre wieści - odezwał się Czarny Księżę ochryplym głosem.

Ale Sójka tylko się uśmiechnął i przejechał mu dłonią po krótko ostrzyżonej głowie.

- Możesz już znowu zapuścić włosy - powiedział. - Ten, dla którego je zgoliłeś, znów oddycha. Tylko blizny zostawił u białych dam.

„Zdumiewające!” - pomyślał Czarny Książę.

- Gdzie on teraz jest? - spytał, przypominając sobie ból, jakiego doznawał, gdy przez całą noc wraz z Roksaną pilnował zwłok Smolipalucha.

- Pewnie u Roksany. Nie pytałem go, dokąd się udaje. Żaden z nas nie miał specjalnie ochoty na rozmowę. Białe damy pozostawiają człowiekowi ciszę, drogi książę, nie słowa.

- Ciszę? - roześmiał się Czarny Książę, ściskając go wylewnie. - Pozostawiły szczęście! I nadzieję! Nareszcie znów zaświtała nadzieja! Czuję się jak nowo narodzony. Mógłbym wrywać drzewa z korzeniami, no, może nie ten buk akurat... Jeszcze dziś wieczór wszędzie rozbrzmiewać będzie pieśń o tym, że Sójka tak mało obawia się śmierci, iż poszedł do niej w odwiedziny, a Piszczalka ze złości zerwie srebrny nos z twarzy...

Sójka uśmiechnął się ponownie, ale spojrzenie miał poważne, zbyt poważne jak na kogoś, kto właśnie wymknął się śmierci. I wtedy Czarny Książę zrozumiał, że poza tymi wszystkimi dobrymi wieściami kryje się wieść zła, cień ukryty za światłem. Ale na razie nie rozmawiali o tym. Jeszcze nie.

- A co z moją żoną i córką? - spytał Sójka. - Czy... odeszły?

- Odeszły? - zdziwił się książę. - Nie. A niby dokąd miałyby odejść?

Na twarzy przyjaciela malowała się ulga i troska.

- Kiedyś to też ci wyjaśnię - powiedział. - Kiedyś. Ale to długa historia.

Rozdział 29

Wizyta w piwnicy domu Orfeusza

Tak wiele istnień,

I tyle do zapamiętania!

Byłem kamieniem w Tybecie,

Pasemkiem kory

W samym sercu Afryki

Ciemniejszej coraz bardziej...

Derek Mahań, Życia

Chwytając Farida za kark, Oss powiadomił go, że Orfeusz chce go natychmiast widzieć w swojej pracowni. Chłopak na wszelki wypadek wziął ze sobą dwie butelki wina.

Od kiedy wrócili z Cmentarza Wagantów, Świecąca Gęba pił na umór. A on pod wpływem wina nie stawał się gadatliwy jak Fenoglio, lecz wyjątkowo złośliwy i nieobliczalny.

Gdy Farid wszedł do pracowni, Orfeusz jak zwykle był przy oknie. Chwiejąc się na nogach, gapił się na kartkę papieru, tę samą, której przyglądał się od kilku dni, przeklinając, gniotąc papier i znów go rozprostowując, i tak w kółko.

- Stoi czarno na białym, każda literka piękna jak malowanie, i brzmi też dobrze, diabelnie dobrze! - bełkotał, pukając palcem w każde słowo. - A więc dlaczego, na wszystkie piekielne duchy, introligator też stamtąd wrócił?

„O czym on gada?” - zastanawiał się Farid, stawiając wino na stole.

- Oss mówi, że chciałeś mnie widzieć.

Jaspis siedział obok pojemnika na pióra i dawał mu rozpaczliwe znaki, ale Farid nie rozumiał, o co mu chodzi.

- Aha, anioł śmierci Smolipalucha! - mruknął Orfeusz. Odłożył trzymaną w ręce kartkę na pulpit i odwrócił się do Fa-rida. - To prawda, kazałem cię zawołać - potwierdził, spoglądając na drzwi.

Oss wszedł cicho do środka i nim Farid pojął, czemu Jaspis znów daje mu znaki, poczuł na sobie tłuste łapy ochroniarza.

- A więc nie słyszałeś jeszcze nowiny! - powiedział Orfeusz. - No oczywiście, gdybyś słyszał, dawno już byś do niego poleciał!

„Do kogo?” - zdumiał się Farid, próbując się uwolnić z uścisku Ossa, ale ten chwycił go tak mocno za włosy, że chłopcu z bólu łzy stanęły w oczach.

- On naprawdę o niczym nie wie. Wzruszające! - drwił Orfeusz, podchodząc tak blisko do Farida, że chłopiec poczuł jego śmierdzący winem oddech. - Tak, wrócił - ciągnął Orfeusz - dzięki moim słowom, ale pospółstwo... - pogardliwym ruchem wskazał za okno - twierdzi, że to Sójka go przyprowadził! Niech będą przekłeci, niech Piszczalka zrobi z nich pokarm dla robaków!

Farid nie słuchał. Krew pulsowała mu w skroniach, stał jak ogłuszony. Smolipaluch wrócił!

- Zostaw mnie, Góro Mięsa! - wrzasnął, odpychając Ossa łokciami i próbując oderwać jego rękę. - Smolipaluch ześle na was obu ogień! Na pewno to zrobi, kiedy się dowie, że nie chcieliście mnie do niego puścić!

- Naprawdę? - Śmierdzący oddech Orfeusza znów owionął Farida. - A ja myślę, że będzie mi raczej wdzięczny. A może uważasz, że woli, żebyś mu jeszcze raz przyniósł śmierć, nieszczęsny! Już raz go przed tobą ostrzegłem, ale wtedy nie chciał mnie słuchać.

Tym razem będzie mądrzejszy, możesz mi wierzyć. Gdybym miał pod ręką książkę, z której wyszedłeś, już dawno bym się ciebie pozbył, ale w tym świecie nakład jest już, niestety, wyczerpany - zaśmiał się. Orfeusz śmiał się chętnie z własnych dowcipów.

- Zamknij go w piwnicy! - zwrócił się do Góry Mięsa. - A jak tylko się ściemni, wyprowadź go pod szubienicę i skręć mu kark. Parę kości więcej nie zwróci niczyjej uwagi.

Jaspis zakrył sobie oczy dłońmi, kiedy Oss chwycił Farida i zarzucił go sobie na ramię. Chłopiec krzyczał i wierzgał, ale Oss uderzył go pięścią w twarz, tak że prawie stracił przytomność, i wyniósł z pokoju.

- Sójka! Sójka! To ja posłałem go do białych dam. To wyłącznie moja zasługa! - Głos Orfeusza słychać było aż na schodach.

- Dlaczego, na ogon szatana, śmierć go nie zatrzymała? Czyż nie zachwalałem jej tego szlachetnego głupca najbardziej wyszukanyimi słowami?

U podnóża schodów Farid znów próbował się oswobodzić z objęć Ossa, ale ten uderzył go po raz drugi w twarz i rozkrwa-wił mu nos. Zarzuciwszy go sobie na drugie ramię, pomaszerował w kierunku piwnicy. Gdy mijali kuchnię, jedna ze służących - ta z kasztanowatymi włosami, która się do niego zalecała - wytknęła głowę przerażona, ale jak mogła mu pomóc?

- Zmiataj! - warknął Oss i zaniósł Farida do piwnicy.

Tam przywiązał go do filara, wsadził do ust kawałek brudnej szmaty i poczęstował go tęgim kopniakiem.

- Zobaczmy się po zmroku! - Zaśmiał się szyderczo i opuścił piwnicę.

Farid został sam, czując na plecach chłód kamiennego filara i smak łez na wargach.

Ach, jak bardzo cierpiał z tego powodu, że Smolipaluch wrócił, a on go wcale nie zobaczy!

„Tak będzie, Faridzie! - myślał. - I kto wie, czy Świecąca Gęba nie ma racji? Może znowu przyniosłbym mu śmierć?”.

Pokaleczona twarz szczypała go i paliła. Ach, gdyby mógł zawołać ogień, żeby strawił Orfeusza wraz z całym jego domem i Górą Mięsa, choćby on sam, Farid, miał przy tym spłonąć! Ale miał skrępowane ręce, a jego język nie był w stanie uformować słów przyzywających ogień. Farid mógł tylko szlochać, jak w noc śmierci Smolipalucha, i czekać, aż wraz z zapadnięciem mroku przyjdzie po niego Oss i skręci mu kark pod szubienicami, gdzie wykopał srebrny skarb dla Orfeusza.

Całe szczęście, że kuna zniknęła, bo inaczej Oss zabiłby także ją. Ale Skoczek był już na pewno u Smolipalucha. Kuna wyczuła jego powrót.

„A dlaczego ty go nie wyczułeś, Faridzie?” - pomyślał.

Wszystko jedno, najważniejsze, że Skoczek jest bezpieczny. Ale co się stanie z Jaspisem, gdy nie będzie miał go kto bronić? Ileż to razy Orfeusz zamykał szklanego ludzika w szufladzie bez światła i piasku, tylko dlatego, że źle przyciął papier albo zapla-mił mu rękaw atramentem.

- Smolipaluch!

Jak cudownie było szeptać jego imię, wiedząc, że jest cały i zdrowy. Ileż to razy Farid wyobrażał sobie, jak to by było, gdyby go znów zobaczył żywego! Ogarnęła go taka tęsknota za Smolipaluchem, że począł drzeć na całym ciele. Zastanawiał się, kto pierwszy wskoczył Smolipaluchowi na ramię i polizał mu twarz - Gwin czy Skoczek.

Po jakimś czasie udało mu się wypluć knebel. Próbował przegryźć powróż, którym Oss przywiązał go do filara, ale mysz by wskórała więcej niż on. Czy będą go szukać, gdy zostanie zakopany w ziemi na wzgórzu pod szubienicami? Smolipaluch, Czarodziejski Język, Meggie... Och, Meggie. Już nigdy więcej jej nie pocałuje. Ostatnio rzadko ją całował, ale mimo wszystko... Podstępna Świecąca Gęba! Farid obrzucał go wszelkimi wyzwiskami, jakie tylko mógł sobie przypomnieć z tego świata, ze swego dawnego, a także z tamtego, gdzie spotkał Smolipalucha. Wykrzykiwał wyzwiska w głos, bo inaczej nie działały... i nagle umilkł przestraszony, słysząc, że ktoś otwiera drzwi do piwnicy.

Czy to już wieczór? Na to wyglądało, ale skąd mógł mieć pewność, siedząc w tej ciemnej, wilgotnej norze pachnącej pleśnią? Czy Oss ukręci mu głowę jak królikowi, czy też będzie mu tak długo zasłaniał usta i nos swymi łapskami, aż on przestanie oddychać?

„Nie myśl o tym, Faridzie, dowiesz się tego wcześniej, niżbyś chciał”.

Może choć zdąży rozkwasić mu nos. Jeden celny kopniak w tę jego głupią facjatę, gdy będzie mu zdejmował więzy, a nos złamie się jak sucha gałąź.

Z rozpaczą naparł na powróż, ale Oss znał się na wiązaniu!

„Och, Meggie! Nie mogłabyś mi posłać paru zbawiennych słów, tak jak to zrobiłaś dla uratowania ojca?”.

Strach paraliżował go; nasłuchiwał. Kroki na schodach były zbyt lekkie jak na Górę Mięsa... I nagle dwie kuny rzuciły się ku niemu.

- Na wszystkie wróżki świata, Orfeusz naprawdę dorobił się majątku - usłyszał cichy głos w ciemnościach. - Niezła chałupa!

W mroku rozblysnął płomyk, zatańczył wesoło, za nim drugi, trzeci, czwarty, piąty... Pięć płomyków oświetliło twarz Smolipalucha i Jaspisa siedzącego na jego ramieniu z uśmiechem zakłopotania.

Smolipaluch.

Farid poczuł, że jego serce robi się tak lekkie, jakby miało za chwilę wyfrunąć z piersi. Ale co z twarzą Smolipalucha? Wyglądał inaczej niż dawniej. Jakby ktoś zmył z jego twarzy wszystkie te złe, samotne lata i...

- Blizny... nie ma ich!

Z jego ust wydobył się zaledwie szept, szczęście uderzyło mu do głowy, ścisnęło krtań... Skoczek lizał jego związane ręce.

- Fakt, i wyobraź sobie, mam wrażenie, że Roksanie ich brakuje - powiedział spokojnie Smolipaluch. Zszedł ze schodów i ukląkł, by uwolnić Farida z więzów. Na górze dały się słyszeć wzburzone głosy. Smolipaluch wyciągnął nóż zza pasa i przeciął postronki. - Słyszysz? Orfeusz się chyba zorientował, że ma gości.

Farid rozcierał zdrętwiałe nadgarstki, nie mogąc oderwać od niego oczu. A jeśli to tylko duch albo, co gorsza, senne widziadło? Ale przecież czuł ciepło jego ciała i bicie serca, gdy tam pochylał się nad nim, zdejmując z niego pęta. Nie pozostało w nim nic z tej przerażającej martwoty, która owdładnęła nim wtedy w kopalni. I pachniał dymem.

Sójka sprowadził go z krainy umarłych. Tak, to on tego dokonał, cokolwiek Orfeusz mówił na ten temat.

Och, wypisze jego imię na murach Ombry płomiennymi literami, wszystkie jego imiona - Czarodziejski Język, Sójka i co tam jeszcze! Wyciągnął rękę i ostrożnie dotknął tak dobrze sobie znanej, a zarazem obcej twarzy.

Smolipaluch roześmiał się z cicha i pomógł mu wstać.

- O co chodzi? Chcesz się przekonać, czy nie jestem duchem? Nadal się ich boisz? A może jestem duchem?

Farid w odpowiedzi uściskał go tak mocno, że Jaspis z przeraźliwym okrzykiem zsunął się z jego ramienia, ale Smolipaluch zdążył go złapać, ratując przed pazurami Gwina.

- Ostrożnie, ostrożnie! - szepnął, sadzając szklanego ludzika na ramieniu Farida. - Wciąż jesteś tak rozbrykany jak młody cielak. Możesz podziękować swojemu szklanemu przyjacielowi, że tu jestem. Opowiedział Briannie, co Orfeusz ma zamiar z tobą zrobić, a ona przyjechała po mnie do Roksany.

- Brianna? - zdziwił się Farid, sadzając sobie na dłoni zarumienionego Jaspisa. - Dziękuję ci, Jaspisie!

Odwróci! się gwałtownie, gdy z holu dobiegi głos Orfeusza.

- Obcy? Co ty opowiadasz? Dlaczego go wpuściłeś?

- Służąca jest temu winna! - protestował Oss. - To ta ruda wpuściła go tylnym wejściem.

Smolipaluch przysłuchiwał się dolatującej z góry rozmowie z drwiącym uśmiechem na ustach, którego Faridowi tak bardzo brakowało. Na jego ramionach, na włosach tańczyły iskierki, zdawały się nawet igrać pod jego skórą. A Farida skóra paliła po jego dotknięciu, jakby go ogień osmalił.

- Ogień... - szepnął. - Czy on jest w tobie?

- Może... - odszepnął Smolipaluch. - Chyba nie jestem już do końca taki sam jak dawniej, ale znam parę nowych sztuczek.

- Sztuczek? - Oczy Farida rozszerzyły się pożądliwie. Z góry dobiegł znów głos Orfeusza:

- Pachnie dymem? Przepuść mnie, ty nosorożcu! Czy ma blizny na twarzy?

- Blizny? Skąd! - zachnął się Oss.

Ktoś schodził po schodach ostrożnie i ciężko. Orfeusz nienawidził schodów, niepewnie wymacując nogami stopnie, złorzeczył pod nosem.

- To Meggie sprowadziła Orfeusza - szepnął Farid, przysuwając się do Smolipalucha.

- Prosiłem ją o to, bo myślałem, że on cię może sprowadzić z krainy umarłych!

- Orfeusz? - roześmiał się Smolipaluch. - Słyszałem tylko głos Czarodziejskiego Języka.

- Może słyszałeś jego głos, ale słowa były moje! - zawołał Orfeusz, który stoczył się jak kukła z ostatnich stopni. Twarz miał zaczerwienioną od wina. - Smolipaluch! A więc to naprawdę ty?

W jego głosie brzmiało nieklamane szczęście. Oss pojawił się za plecami Orfeusza, na jego prostackiej twarzy malowały się strach i wściekłość.

- Spójrz na niego, panie! - wysapał. - To nie człowiek, to demon albo nocna strzyga. Widzisz iskierki ognia w jego włosach?

Kiedy go chciałem schwytać, poparzyłem sobie palce, jakbym dotknął rozżarzonych węgli!

- Tak, tak - mruknął Orfeusz. - Przybywa z daleka, z bardzo daleka. Taka podróż zmienia ludzi. Patrzył podejrzliwie na Smolipalucha, jakby obawiał się, że lada moment rozpułynie się w powietrzu albo stanie martwymi słowami zapisanymi na kawałku papieru. - Tak się cieszę, że wróciłeś! - wyjąkał głosem nabrzmiałym tęsknotą. - Zniknęły twoje blizny! To dziwne, tego nie planowałem. Wszystko jedno... najważniejsze, że jesteś! Ten świat bez ciebie jest wart o połowę mniej, ale teraz wszystko będzie znów tak cudownie jak wtedy, gdy

po raz pierwszy o tobie przeczytałem. To była zawsze najlepsza historia w świecie, ale od dziś ty będziesz jej bohaterem, tylko ty, dzięki mojej sztuce, która odesłała cię do domu, a teraz nawet przywróciła do życia!

- Dzięki twojej sztuce? Chyba raczej dzięki odwadze Czarodziejskiego Języka.

Na dłoni Smolipalucha zatańczył płomyk. Po chwili przyjął postać białej damy, a Oss cofnął się i oparł plecami o ścianę.

- To nieprawda, nieprawda! - zawołał Orfeusz tonem obrażonego chłopca, ale szybko się opanował. - To bzdura! - powtórzył pewniej, choć język wciąż mu się trochę plątał. - Cokolwiek ci naopowiadał, to wszystko nieprawda. To moje dzieło.

- Niczego mi nie naopowiadał. Nie musiał. On tam po prostu był, on i jego głos.

- Ale to był mój pomysł i moje słowa! On był tylko narzędziem! - Orfeusz wypluł ostatnie słowo z taką wściekłością, jakby chciał rzucić je Czarodziejskiemu Językowi w twarz.

- O tak... twoje słowa! Podstępne słowa, sądząc po tym, co mi mówił! - rzekł Smolipaluch, a na jego dłoni wciąż tańczył płomyk w postaci białej damy. - Może powinienem zanieść Czarodziejskiemu Językowi te twoje słowa, żeby się przekonał na własne oczy, jaką rolę mu przeznaczyłeś.

Orfeusz wyprostował się dumnie.

- Napisałem te słowa ze względu na ciebie! - zawołał urażony. - Interesowało mnie tylko jedno - żebyś ty powrócił. Co mnie obchodzi jakiś introligator? W końcu musiałem zaproponować śmierci coś w zamian!

Smolipaluch delikatnie dmuchnął w płomyczek tańczący na jego dłoni.

- Och, rozumiem cię doskonale! - powiedział, a płomyk przemienił się w złotopiórego ptaka ze szkarłatną plamką na piersi. - Zrozumiałem wiele po pobycie tam i dwie rzeczy wiem na pewno: że śmierć nie kieruje się słowami i że to nie ty poszedłeś do białych dam, lecz Czarodziejski Język.

- Tylko on mógł je wezwać! Więc co miałem robić? - wykrzyknął Orfeusz. - A on uczynił to dla swojej żony, nie dla ciebie!

- To chyba dobry powód, prawda? - zauważył Smolipaluch, a płomyk w jego dłoni zamienił się w garstkę popiołu. - A co się tyczy słów... szczerze mówiąc, wolę głos Czarodziejskiego Języka niż twój, chociaż jego brzmienie nie zawsze mnie uszczęśliwiało. Otóż jego głos jest pełen miłości, a ty mówisz wciąż tylko o sobie. Nie wspominając już o tym, że zbyt chętnie czytasz słowa, o których nikt nie wie, a czasem paru słów zapomnisz przeczytać... prawda, Faridzie?

A Farid tylko wpatrywał się w Orfeusza wzrokiem pełnym nienawiści.

- Tak czy owak - ciągnął Smolipaluch, a z popiołu strzelił ponownie chybotliwy płomyk, formując maleńką czaszkę - zabiorę twoje słowa. I książkę.

- Książkę?

Orfeusz cofnął się ze zgrozą, jakby płomień na dłoni Smoli-palucha zamienił się w jadowitego węża.

- Tak, ukradłeś ją Faridowi, pamiętasz? Więc chyba nie należy do ciebie, chociaż słyszałem, że pilnie z niej korzystasz - kolorowe wróżki, cętkowane koboldy, jednorożce... Na zamku podobno są teraz nawet karzełki. O co w tym wszystkim chodzi?

Nie podobają ci się błękitne wróżki? Szczapa częstuje karzełki kopniakami, a jednorożce tworzysz tylko po to, by je zabijał.

- Nie, nie! - zawołał Orfeusz, podnosząc dłonie obronnym gestem. - Ty nic nie rozumiesz! Mam wielkie plany związane z tą historią. Pracuję jeszcze nad tym, ale wierz mi, będzie cudownie! Fenoglip pozostawił tyle niewykorzystanych możliwości, tylu rzeczy nie opisał... chcę to wszystko zmienić, poprawić...

Smolipaluch przechylił dłoń i strącił popiół na posadzkę.

- Mówisz tak jak Fenoglio. Ale jesteś o wiele gorszy od niego. Dowiedz się, że ten świat sam snuje swój wątek, a wy mu w tym przeszkadzacie, prujecie i łączycie to, co nie należy do siebie, zamiast pozostawić naprawianie tym, którzy w tym świecie żyją.

- Ach tak? Komu na przykład? - syknął mściwie Orfeusz. - Może Sójce? A od kiedy to on należy do tej historii?

- Kto wie? - Smolipaluch wzruszył ramionami. - Może każdy z nas należy do wielu historii... A teraz przynieś mi książkę. Czy wolisz, żebym posłał po nią Farida?

Orfeusz patrzył na niego z taką goryczą jak odtrącony psiak.

- Nie! - wykrztusił wreszcie. - Potrzebuję jej! Książka zostaje u mnie. Nie możesz mi jej zabrać. Ostrzegam cię. Nie tylko Fenoglio potrafi pisać słowa, które ci szkodzą! Mogę cię...

- Nie boję się już słów - przerwał mu niecierpliwie Smolipaluch. - Ani twoich, ani Fenoglia. Nie umarłem śmiercią taką, jaką dla mnie przewidywały, zapomniałeś? - Machnął w powietrze ręką... i już trzymał w dłoni płonąca pochodnię. - Przynieś książkę - powiedział do Farida, podając mu pochodnię. - Przynieś wszystko, co napisał. Każde słowo.

Farid skinął głową.

„Wrócił. Smolipaluch wrócił!”.

- Musicie też zabrać listę! - pisał Jaspis. - Listę, którą mi kazał zrobić. Wszystkich słów, jakich użył Fenoglio! Doszedłem już do litery F.

- Aha, całkiem sprytne. Lista. Dziękuję ci, szklany ludziku.

Smolipaluch uśmiechnął się tym samym uśmiechem co dawniej. Farid nie posiadał się ze szczęścia, że przynajmniej tego uśmiechu nie zostawił u białych dam. Chłopak posadził sobie Jaspisa na ramieniu i skoczył ku schodom, Skoczek śmignął za nim. Orfeusz chciał mu zastąpić drogę, ale cofnął się natychmiast, gdy płomień pochodni oślepił go i przypalił mu jedwabną koszulę. Oss był odważniejszy od swego pana, ale Smolipaluch szepnął tylko coś do ognia i pochodnia wyciągnęła do ochroniarza ogniste ręce. Nim Oss ochłonął z przerażenia, Farid był już na schodach i pędził na górę; jego serce przepełniało szczęście, a zarazem słodycz zemsty.

- Jaspis! - wrzasnął Orfeusz. - Potłukę cię na drobne kawałeczki, tak że nawet nie będzie można rozpoznać, jakiego byłeś koloru.

Szklany ludzik wpił paznokcie w ramię Farida, ale nie odwrócił głowy.

- A ciebie, ty mały zakłamany poganiaczu wielbłądów... - głos Orfeusza przeszedł w falset - wyślę do historii pełnej obrzydliwości, które stworzę specjalnie dla ciebie!

Pod wpływem tej groźby Farid zatrzymał się na małą chwilę, ale wtedy usłyszał głos Smolipalucha:

- Uważaj, komu grozisz, Orfeuszu. Gdyby chłopcu coś się stało albo gdyby nagle zniknął - co zamierzałeś z nim zrobić dzisiaj - wróć tutaj, a jak wiesz, zawsze jest ze mną ogień.

Farid popędził dalej, słysząc rozpaczliwy krzyk Orfeusza:

- Dla ciebie! Wszystko to zrobiłem dla ciebie, a ty mi tak dziękujesz?

Błyszczek obrzucił Farida i swego brata stekiem wyzwisk, gdy tylko zorientował się, czego szukają w pracowni jego pana. Ale Jaspis, nic sobie nie robiąc z jego gróźb, pomógł Faridowi znaleźć najpierw książkę, a następnie każdy, najmniejszy nawet kawałeczek zapisanego przez Orfeusza papieru czy pergaminu. Błyszczek ciskał w nich piaskiem i ostro zatemperowanymi piórami, życzył Jaspisowi wszelkich chorób, na jakie tylko może zapaść szklany ludziku, w końcu rzucił się bohatersko w obronie ostatniej kartki, którą Jaspis zabrał z biurka, ale Farid odepchnął go brutalnie.

- Zdrajco! - krzyczał Błyszczek, gdy Farid z Jaspisem znikali za drzwiami. - Mam nadzieję, że potłuczysz się na drobne kawałki!

Ale Jaspis i tym razem nie odwrócił głowy. Smolipaluch czekał już na nich w holu przy drzwiach wyjściowych.

- Gdzie oni są? - spytał zaniepokojony Farid, biegnąc ku niemu.

Orfeusza ani Ossa nigdzie nie było widać, ale słyszał ich krzyki.

- W piwnicy - odrzekł spokojnie Smolipaluch. - Zgubiłem trochę ognia na schodach. Zanim zgaśnie, będziemy już daleko.

Farid skinął głową i odwrócił się. U góry na podeście schodów ukazała się jedna ze służących, ale to nie była Brianna.

- Mojej córki tu nie ma - oznajmił Smolipaluch, jakby czytał w jego myślach. - I nie sądzę, by jeszcze kiedykolwiek przestąpiła próg tego domu. Jest u Roksany.

- Nienawidzi mnie! - wyjąkał Farid. - Dlaczego w takim razie mi pomogła?

Smolipaluch otworzył drzwi i kuny wypadły na dwór.

- Bo może jeszcze bardziej nienawidzi Orfeusza - wyjaśnił.

Rozdział 30

Ogień Kopcia

Życie jest tylko przechodnim półcieniem, Nędznym aktorem, który swoją rolę Przez parę godzin wygrawszy na scenie W nicość przepada - powieścią idioty Głośną, wrzaskliwą, a nic nieznaczącą.

William Szekspir, Makbet

Fenoglio był szczęśliwy. Tak bardzo szczęśliwy, że nie psuło mu humoru nawet to, iż Despina i Iwo uparli się iść na rynek, gdzie Kopeć miał dawać przedstawienie. Heroldowie od paru dni ogłaszali to wydarzenie, a Minerwa, rzecz jasna, nie chciała puścić dzieci samych. Szczapa kazał w tym celu zbudować specjalny drewniany podest, żeby każdy mógł oglądać partackie występy książęcego połykacza ognia. Pewnie na zamku mieli nadzieję, że w ten sposób lud zapomni o powrocie Smolipalucha. Tak czy owak nawet Kopeć nie zdołał popsuć Fenogliowi dobrego humoru.

Po katastrofie, jaka wydarzyła się, gdy Cosimo - a wraz z nim Fenoglio - pociągnął przeciwko Zmijogłowemu, pisarz popadł w depresję. Wola! nie myśleć o tym, co nastąpiło później, to był zamknięty rozdział. Ale teraz jego historia zaintonowała nową pieśń. A dzięki komu? Dzięki niemu! To przecież on wprowadził do gry Sójkę - człowieka, który wystrychnął na dudka Piszczalkę i Szczapę i sprowadził Smolipalucha z krainy umarłych. Co to za postać! Jak groteskowe były w porównaniu z nim marne twory Orfeusza: pstrokate wróżki, martwe jednorożce, karzelki o niebieskawych włosach. Ot, jakie figury wychodziły spod pióra tamtego, podczas gdy tylko on, Fenoglio, potrafił stworzyć takie charaktery jak

Czarny Książę i Sójka. Owszem, trzeba przyznać, że dopiero Mortimer tchnął życie w postać Sójki, ale na początku były słowa, a te słowa napisał nie kto inny, tylko on.

- Iwo! Despina!

Do diabła, gdzie oni się podziewali? Łatwiej było utrzymać w garści kolorowe wróżki Orfeusza niż te dzieciaki! Przecież im przykazał, żeby się nie wrywały zanadto do przodu. W uliczce roilo się od dzieci, wysypywały się ze wszystkich domów, by choć na jedną czy dwie godziny zapomnieć o ciężarach, które świat złożył na ich wątłych barkach. Nie należało do przyjemności być dzieckiem w tych mrocznych czasach. Chłopcy zbyt szybko stawali się mężczyznami, a dziewczęta dzieliły troski matek.

Z początku Minerwa nie chciała puścić dzieci; na ulicach roilo się od żołnierzy, a w domu było dużo pracy. Ale Fenoglio przekonał ją, choć robiło mu się niedobrze na samą myśl, że znów poczuje smród ogni Kopcia. Chciał uszczęśliwić dzieci w dniu, w którym sam był szczęśliwy, a nieudolne popisy Kopcia osłodzi mu myśl, że już wkrótce na jego miejscu stanie Smolipaluch. Albo będzie sobie wyobrażał, że Sójka wkracza do Ombrzy, wypędza Szczapę z miasta niczym parszywego psa, Piszczalce zrywa srebrny nos z twarzy i wraz z Czarnym Księciem zaprowadza w Ombrze sprawiedliwość. Ach, cóż to będzie za wzruszający widok! I to on, Fenoglio, wytyczy! zbawienny kurs w dniu, w którym napisał pierwszą pieśń o Sójce. Okazuje się więc, że wszystko zrobi! dobrze! No, może powrót Cosima był błędem, ale jakże inaczej zachować napięcie w historii, jeśli co jakiś czas nie pojawią się chwile grozy?

- Atramentowy Tkaczu! Gdzie jesteś? - Iwo dawał mu z daleka niecierpliwe znaki.

Co ten smarkacz sobie wyobrażał? Ze stary człowiek, taki jak on, będzie się prześlizgiwał między dzieciarnią jak węgorz? Despina też odwróciła głowę i uśmiechnęła się z ulgą, gdy Fe-noglio pomachał jej ręką. Ale jej drobna główka utonęła zaraz w morzu innych.

- Iwo! - krzyknął Fenoglio. - Pilnuj siostry, do diabła!

Boże drogi, dotychczas nie zdawał sobie sprawy, ile jest dzieci w Ombrze! Wielu malców ciągnęło za sobą jeszcze młodsze rodzeństwo. Fenoglio był jedynym dorosłym w tym tłumie, nie licząc paru matek. Większość dzieci prawdopodobnie wyszła samowolnie na ulicę, wymykając się z warsztatów czy sklepów lub wymigując od robót domowych czy pracy w stajni. Zjawiły się nawet obdarte dzieciaki z okolicznych zagród chłopskich. Piskliwe głosiki zawisły między domami jak ćwierkanie chmary ptactwa. Kopeć nigdy jeszcze nie miał tak licznej i entuzjastycznej widowni.

Stał już na podium w czerwono-czarnej szacie połykaczy ognia, lecz nie posztukowanej ze starych szmat, jak u innych, tylko uszytej z najlepszego jedwabiu, jak przystało na książęcego faworyta. Twarz z przyklejonym uśmiechem była natłuszczona dla ochrony przed płomieniami, ale ogień i tak tyle razy już ją lizał, że wyglądała jak uśmiechnięta skórzana maska Baptysty. Kopec z zadowoleniem spoglądał z góry na morze dziecięcych główek. Malcy tłoczyli się wokół podium jakby w nadziei, że Kopec uwolni ich od wszystkich trosk i kłopotów, głodu i smutku matek oraz tęsknoty za zmarłymi ojcami.

Fenoglio dostrzegł Iwa w tłumie przed samym podium, ale gdzie się podziewała Despina? Aha, była tam, stała obok swojego dużego brata. Zamachała do niego podniecona, Fenoglio również pokiwał jej ręką i dołączył do matek stojących na progach domów. Słyszał, jak szeptem opowiadają sobie o Sójce,

O tym, że będzie chronił ich dzieci, teraz, kiedy przywiódł z krainy śmierci Ognistego Tancerza. Tak, słońce znów świeciło nad Ombra, pojawiła się nadzieja, której on, Fenoglio, nadał imię: Sójka...

Kopec zdjął ciężki drogocenny płaszcz, za którego cenę można by przez kilka miesięcy karmić wszystkie dzieci, jakie zgromadziły się na pokazie. Na podium wdrapał się karzełek i stanął obok połykacza ognia obwieszony woreczkami zawierającymi proszki alchemików, dzięki którym ten partacz wymuszał na ogniu posłuszeństwo. Nietrudno było zauważyć, że Kopec nadal boi się ognia, może nawet bardziej niż dawniej. Fenoglio poczuł się nieswojo, gdy tamten zabrał się do dzieła. Tryskały z sykiem gejzery płomieni, wydzielały jaskrawozielony dym gryzący w oczy, zaciskały się w pięści, szpony i szeroko otwarte gardziele. Kopec niewątpliwie poprawił swoje umiejętności. Dawniej podrzucał parę nędznych pochodni, a widzowie podawali sobie z ust do ust imię Smolipalucha, którego nieudolnie naśladował. Lecz ogień, którym teraz się zabawiał, zdawał się zgoła inny, był to mroczny brat tamtego, jakaś ognista zmora. Dzieci fascynował jednak, a zarazem trwożył ten wielobarwny i okrutny spektakl, truchlały z przerażenia, gdy płomienie sięgały po nie straszliwymi czerwonymi pazurami, i oddychały z ulgą, gdy okazywały się tylko dymem wyciskającym łzy z oczu. Fenoglio zastanawiał się, czy to prawda, co ludzie mówią, że ten dym mami! zmysły, pokazując wyolbrzymiony i fałszywy obraz sztuczek.

„Choćby nawet tak było - myślał, trąc zażawione oczy - na mnie ten czar nie działa! Widzę tylko żałosne hokus-pokus!”.

Odwrócił się, ocierając łzy i sadzę z policzków, i nagle szczególny widok przykuł jego uwagę: z uliczki prowadzącej na zamek wypad! chłopiec starszy od dzieci zgromadzonych na

rynku. Był w wieku tych gołowąsów - młodocianych rycerzy Wiolanty, ale nie nosił uniformu. Jego twarz wydała się Fenogliowi znajoma, gdzieś już musiał go widzieć.

- Luc, uciekaj! - krzyczał. - Uciekajcie wszyscy!

Chłopak potknął się, upadł i pełzną na czworakach, zniknął w bramie któregoś z domów, w ostatniej chwili unikając stratowania przez jeźdźca, który go ścigał. Jeźdźcem tym okazał się Piszczalka. Ściągnął wodze, a za nim na plac wylały się masy żołnierzy na koniach. Nadjeżdżali zewsząd, z uliczki kowali i rzeźników, ze wszystkich uliczek prowadzących na rynek, sunęli niespiesznie na rumakach opancerzonych tak samo jak oni.

Ale dzieci z zadartymi głowami wciąż obserwowały pokazy Kopcia; nie słyszały ostrzegawczych nawoływań chłopca. Jak zakarowane wpatrywały się w ogień, nie reagując na wołania matek. Kiedy wreszcie pierwsze główki odwróciły się od mamiącego widowiska, było już za późno. Pancerni spychali matki na boki, a przybywający wciąż nowi żołnierze otoczyli dzieci żelaznym pierścieniem.

Malcy odwracali się z przerażonymi twarzyczkami. Płakali. Fenoglio nigdy nie zapomni ich płaczu! Opierał się bezradnie o ścianę domu, a pięciu żołnierzy skierowało na niego i gromadkę matek swe lance. To wystarczyło, pięć lanc trzymało w szachu grupkę matek. Jedna wyrwała się i pobiegła w kierunku dzieci, ale któryś z pancernych stratował ją. A potem żelazny pierścień żołnierzy wzmocniły błyszczące miecze. Na znak dany przez Piszczalkę Kopeć zgasił płomienie i z krzywym uśmiechem uklonił się zapłakanym dzieciom.

Żołnierze pędzili dzieci na zamek jak stado baranów na rzeź. Niektóre z maluchów były tak przerażone, że uciekając, dostawały się pod końskie kopyta. Żołnierze pozostawili je na bruku jak połamane zabawki. Fenoglio wołał Iwa i Despinę, ale jego głos zlał się w jedno z nawoływaniami innych, krzykami, płaczem. Kiedy żołnierze uwolnili matki, rzucił się wraz z nimi do rannych dzieci leżących na bruku. Z lękiem pochylał się nad poblądłymi twarzyczkami, ale nie znalazł wśród poszkodowanych Iwa ani Despiny. Drobne twarzyczki dzieci wydawały mu się znajome; były za młode, by umierać i cierpieć. Pojawiły się dwie białe damy, anioły śmierci, kobiety zatykały dzieciom uszy, by nie słyszały ich przyzywających szeptów. Troje dzieci - dwóch chłopców i dziewczynka - nie żyło, te nie potrzebowały już białych dam, by im wskazały drogę.

Obok jednego z martwych chłopców klęczał ów starszy, który przybiegł z ostrzeżeniem. Patrzył na podium z nienawiścią w oczach, która postarzała jego twarz, ale Kopeć tymczasem zniknął bez śladu, jakby rozwiął się w dymie kłębiącym się nad placem. Oszołomiony karzelek przyglądał się z góry kobietom pochylonym nad martwymi i rannymi

dziećmi, po czym leniwymi ruchami, jakby poruszał się w innym czasie, jął zbierać puste worki porzucone przez Kopcia.

Kilka kobiet pobiegło za żołnierzami eskortującymi małych jeńców, reszta pozostała na miejscu, ocierając krew i oglądając obrażenia rannych.

Fenoglio nie wytrzymał nerwowo. Odwrócił się i słaniając się na nogach, ruszył w kierunku domu Minerwy, nie zwracając uwagi na biegnące kobiety zwabione krzykami na placu.

„Dość! Przebrała się miarka!” - kołatało mu w głowie.

Nadbiegła Minerwa. Fenoglio wybąkał kilka niezrozumiałych słów, wskazując ręką na zamek, i kobieta pobiegła za innymi.

A dzień był prześliczny, słońeczko przygrzewało, jakby zima była jeszcze daleko.

Czy kiedykolwiek zapomni ten płacz dzieci?

Zdziwił się, że jego stare nogi zdołały wnieść po schodach ciężkie od łez serce.

- Kryształek! - zawołał i opierając się o pulpit, gorączkowo szukał pergaminu, papieru, czegokolwiek, na czym dałoby się pisać. - Kryształek! Gdzie się podziewasz, do licha?!

Szklany człowieczek wyjrzał ostrożnie z pstrokatego gniazda wrózek Orfeusza. Co on tam robił, na miłość boską?! Ukręcał szyje tym głupim kreaturom?

- Jeśli zamierzasz mnie wysłać do Orfeusza na przespiegi, to zapomnij o tym! - krzyknął z góry mały pomocnik. - Ten Błyszczek wyrzucił za okno szklanego ludzika, którego poeta przyjął na miejsce Jaspisa! Rozprysnął się na tysiąc kawałeczków, a ludzie myśleli, że to rozbita butelka po winie.

- Nie zamierzam cię wysłać na przespiegi! - odparł Fenoglio głosem nabrzmiałym od łez. - Zaostrz mi pióra, pomieszaj inkaust, pospiesz się!

Ach, ten płacz, ten płacz...

Osunął się ciężko na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Łzy spływały mu między palcami, kapały na stół, którego używał teraz zamiast pulpitu. Nie pamiętał, by kiedykolwiek tak gorzko płakał, nawet po śmierci Cosima jego oczy pozostały suche. Iwo! Despina...!

Kryształek z łoskotem zeskoczył na łóżko, choć Fenoglio mu tego zabronił. Ach, co tam, niech skręci kark ten szklany głuptas.

Tyle nieszczęść! Czas położyć temu kres, inaczej serce pęknie mu z żalu.

Kryształek pospiesznie wdrapał się na stół.

- Proszę! - powiedział niepewnie, podając pisarzowi świeżo zaostrzone pióro.

Fenoglio otarł łzy rękawem; ręce mu drżały, gdy brał pióro do ręki.

Kryształek podsunął mu kartkę papieru i zabrał się do mieszania atramentu.

- Gdzie są dzieci? - spytał. - Miałeś iść z nimi na rynek. Znów łzy zakręciły się Fenogliowi w oczach, kapały na papier, który wchłaniał je chciwie.

„Tak, tak - myślał pisarz - ta przeklęta historia karmi się łzami!”.

A jeśli to Orfeusz napisał, co się zdarzyło na rynku? Podobno rzadko wychodził z domu, odkąd Smolipaluch złożył mu wizytę, a puste butelki po wypitym winie wyrzucał przez okno. Czy to gniew podyktował mu słowa, które kosztowały życie trojga dzieci?

„Dosyć, Fenoglio, przestań myśleć o Orfeuszu! Sam pisz!”. Ale kartka wciąż była pusta.

- Przyjdźcie do mnie! - szeptał pisarz. - Przyjdźcie do mnie wreszcie, przekłete słowa! Tu chodzi o dzieci! Ratujcie je!

- Fenoglio? - Kryształek patrzył niespokojnie na Fenoglia. - Gdzie jest Iwo i Despina? Co się stało?

Ale Fenoglio, zamiast odpowiedzieć, znów ukrył twarz w dłoniach. Gdzie podziewały się słowa, zdolne otworzyć tę przeklętą bramę zamkową, połamać lance i usmażyć Kopia na jego własnym ogniu?

Kryształek dopiero od Minerwy dowiedział się, co zaszło. Piszczalka wygłosił do matek kolejną mowę.

- Powiedział, że mu się znudziło czekanie - opowiadała bezdźwięcznym głosem nieszczęśliwa kobieta. - Daje nam jeszcze tydzień, żebyśmy mu przyprowadziły Sójkę. Inaczej zabierze nasze dzieci do kopalń.

Potem zeszła na dół do pustej kuchni, w której stały jeszcze pewnie brudne miski po śniadaniu Iwa i Despiny.

A Fenoglio dalej siedział przed pustą kartką, na której znać było tylko ślady łez. Siedział tak przez wiele godzin, aż do późnej nocy.

Rozdział 31

Odpowiedź Sójki

- Ja chcę być użyteczny - zaczął Homer, ale doktor Larch nie dal mu skończyć.

- W takim razie nie wolno ci się przed niczym uchylać. Nie wolno odwracać oczu.

John Irving, Regulamin tłoczni win

Resa pisała, z twarzą pobladłą, pięknymi, starannymi literami. Nauczyła się tego wtedy, gdy w męskim przebraniu usługami pisarskimi zarabiała na chleb. Były szklany ludzik Orfeusza mieszał jej inkaust. To Smolipaluch przyprowadził Jaspisa do obozu. I Farida.

Oto odpowiedź Sójki - pisała Resa. Mo stał obok, śledząc litery na papierze.

Za trzy dni odda się w ręce Wiolanty, wdowy po Cosimie i matki prawowitego dziedzica Ombry. W zamian za to Piszczalka uwolni dzieci, które schwytał podstępem, i potwierdzi pieczęcią swego pana, że są po wsze czasy bezpieczne.

Dopiero po spełnieniu tego warunku Sójka podejmie się uleczenia księgi, którą sporządził dla Żmijogłowego w Mrocznym Zamku.

Meggie widziała, jak ręka Resy trzymająca pióro co chwila zatrzymuje się, jakby musiała pokonywać niewidzialny opór.

Zbójcy otaczali ją kręgiem i przyglądali się z niedowierzaniem. Kobieta, która potrafi pisać...? Żaden z nich, nawet Czarny Książę, nie opanował tej sztuki - prócz Baptysty. Próbowali odwieść Sójkę od tego zamiaru. Nawet Doria był przeciwny temu pomysłowi, choć to właśnie on próbował ostrzec dzieci, a potem przyglądał się bezsilnie, jak Piszczalka je zabiera, a jego przyjaciel Luc ginie pod końskimi kopytami. Na próżno.

Tylko jeden człowiek nie protestował przeciwko temu planowi - Smolipaluch.

Wydawało się, jakby nigdy nie odchodził, choć na jego twarzy nie było już blizn. Z tym samym zagadkowym uśmiechem, wciąż tak samo nieuchwytny, jak wiatr. To pojawiał się, to znikał. „Jak duch” - myślała Meggie, choć czuła, że Smolipaluch ma w sobie więcej życia niż dawniej, więcej niż wszyscy inni.

Mo spojrzał w jej kierunku, ale Meggie nie była pewna, czy ją widzi. Od kiedy wrócił od białych dam, wydawał jej się jeszcze bardziej niż dawniej przemieniony w Sójkę.

Jak może sam oddawać się w niewolę? Przecież Piszczalka go zabije!

Resa skończyła pisać. Spojrzała na Mo takim wzrokiem, jakby jeszcze miała nadzieję, że wrzuci zapisany pergamin w ognisko. Ale on tylko wyjął jej z ręki pióro i postawił swój znak pod śmiertelnymi słowami - skrzyżowane pióro i miecz, przywodzące na myśl krzyżyki stawiane zamiast podpisów przez niepiśmiennych chłopów.

Nie!

Resa spuściła głowę. Dlaczego nic nie mówiła? Dlaczego tym razem nie płakała, żeby zmienić jego postanowienie? Czy wylała wszystkie łzy tamtej nocy, gdy na próżno czekali między grobami na jego powrót? A może wiedziała, co Mo obiecał białym damom, aby pozwoliły wrócić jemu i Smolipaluchowi?

„Możliwe, że będę musiał wkrótce odejść” - tyle tylko powiedział do Meggie. A gdy struchlała ze strachu wyjąkała:

„Odejść? Dokąd?”, odparł: „Nie patrz na mnie taka przerażona. Czy to ważne dokąd...? Odwiedziłem śmierć w jej krainie i wróciłem cało. Chyba nie może być większego niebezpieczeństwa, co?”.

Meggie zadowolona się tymi słowami, tak była szczęśliwa, że nie straciła go na zawsze, tak przeogromnie szczęśliwa...

- Upadłeś na głowę, powtarzam to jeszcze raz! - zawołał niespodziewanie Drab.

Był pijany. Jego głos tak nagle przeciął złowieszczą ciszę, że Jaspisowi wypadło z ręki pióro, które mu podał Mo.

- Oddawać się w ręce Żmijowego pomiotu w nadziei, że ochroni cię przed Srebrnym Nosem! Wkrótce się przekonasz, jak bardzo się myliłeś. A gdyby nawet Piszczalka zostawił cię przy życiu - czy nadal wierzysz, że córka jego pana pozwoli ci pisać w tej przeklętej księdze? Chyba śmierć ograbiła cię z rozumu! Brzydka przehandluje cię za tron Ombry. A dzieciaki i tak trafią do kopalń!

Wśród zbójców rozległy się pomruki aprobaty, ale umilkły, gdy Czarny Książę stanął u boku Sójki.

- Masz inny sposób na wydobycie dzieci z zamku, Drabie? - spytał spokojnie. - Mnie też się nie podoba, że Sójka chce dobrowolnie przekroczyć bramę zamku, ale jeśli nie odda się w niewolę, to co wtedy? Nie potrafiłem mu odpowiedzieć na to pytanie, choć myślę o tym nieustannie, zapewniam cię. Czy mamy zaatakować twierdzę z tą naszą garstką ludzi? A może chcesz się zacząć w Nieprzebytym Lesie, żeby uwolnić dzieci, kiedy je będą prowadzili? Jak myślisz, ilu pancernych będzie im towarzyszyć? Pięćdziesięciu? Stu? A zastanowiłeś się, ile dzieci zginie, jeśli spróbujemy je odbić w taki sposób?

Czarny Książę rozglądał się po twarzach otaczających go obdartych postaci. Zbójcy pospuszczali głowy, ale Drab wysunął wojowniczo brodę, a blizna na szyi nabiegła mu krwią, jakby właśnie otrzymał ranę.

- Pytam jeszcze raz, Drabie - odezwał się cicho Czarny Książę - ile dzieci poniesie śmierć, jeśli będziemy chcieli je uwolnić w ten sposób? Czy uratujemy chociaż jedno?

Drab nie odpowiedział. Zmierzył Mo nienawistnym spojrzeniem, po czym splunął, odwrócił się i bez słowa poczłapał w głąb obozu; Gekon i z dziesięciu innych poszło za nim. Resa, nic nie mówiąc, próbowała złożyć pergamin tak, by Jaspis mógł go zalakować. Jej twarz była pusta i kamienna, jak posąg Pięknego Cosima w krypcie zamkowej. Ale ręce drżały jej tak bardzo, że w końcu Baptysta wyjął z nich pergamin i sam go poskładał.

Trzy dni. Tyle czasu spędził Mo u białych dam - trzy niekończące się dni, kiedy to Meggie wierzyła, że jej ojciec umarł ostatecznie, i to z winy matki i Farida. Przez cały czas z

żadnym z nich nie zamieniła ani słowa. Resa próbowała ją ułagodzić, ale dziewczynka odpychała ją i krzyczała na nią.

„Meggie, dlaczego tak patrzysz na mamę?” - spytał Mo zaraz pierwszego dnia po powrocie. „Dlaczego? Bo to przez nią zabrały cię białe damy” - chciała odrzec, ale pohamowała się. Wiedziała, że jest niesprawiedliwa, ale obcość między nią a Resą pozostała. Faridowi też nie mogła wybaczyć.

Stał obok Smolipalucha i był jedynym człowiekiem, którego twarz nie zdradzała troski. Oczywiście. Co mogło obchodzić Farida, że jej ojciec wkrótce odda się w ręce Piszczalki? Smolipaluch powrócił i tylko to się dla niego liczyło. Próbował się z nią pogodzić.

„Meggie, daj spokój! Przecież twój ojciec wrócił cały i zdrowy. A do tego przyprowadził Smolipalucha!”.

Jedynie to go interesowało. I tak będzie zawsze.

Jaspis nalał roztopionego laku na kopertę, a Mo odcisnął w nim swój znak. Wykonał ten stempel, kiedy oprawiał książkę z rysunkami Resy. Była na nim wyobrażona głowa jednorożca. Pieczęć introligatora potwierdzająca przyrzeczenie zbrojcy. Mo podał Smolipaluchowi zalakowany pergamin, zamienił kilka słów z Resą i Czarnym Księciem, po czym podszedł do Meggie.

Gdy była jeszcze taka mała, że sięgała mu niewiele powyżej łokcia, wsuwała mu głowę pod ramię, kiedy się czegoś bała. Ale to było dawno temu.

„Jak wygląda śmierć, Mo? - spytała go, kiedy wrócił. - Czy naprawdę ją widziałeś?”.

Zauważyła, że wspomnienie śmierci nie wywołało w nim lęku, ale jego wzrok powędrował w jakąś nieodgadniona dal...

„Śmierć ma wiele postaci - odparł - ale zawsze mówi kobiecym głosem”.

„Kobiecym głosem? - zdumiała się Meggie. - Fenoglio nigdy by nie powierzył tak ważnej roli kobiecie!”.

A wtedy Mo powiedział ze śmiechem: „Nie wydaje mi się, żeby to Fenoglio napisał rolę dla śmierci, Meggie”.

Kiedy teraz do niej podszedł, nie chciała na niego patrzeć. Ujął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Nie bądź taka smutna. Proszę! - powiedział łagodnie.

Za jego plecami Czarny Książę wziął na bok Baptystę i Dorię. Mogła sobie łatwo wyobrazić, jakie polecenia im wydaje. Wysyłał ich do Ombry, żeby rozgłaszali wśród zrozpaczonych matek, że Sójka nie opuści ich porwanych dzieci. „Ale swoją córkę tak!” - pomyślała gorzko. Była pewna, że Mo wyczytał ten wyrzut w jej oczach.

Wziął ją za rękę i poprowadził z dala od namiotów i zbójców, z dala od Resy, która wciąż stała przy ognisku, uparcie ocierając palce z atramentu, jakby chciała usunąć słowa, które napisała na pergaminie.

Jaspis przyglądał jej się ze współczującą miną.

Mo zatrzymał się pod jednym z dębów, których konary rozpięły nad obozem baldachim z gałęzi i pożółkłych liści. Ujął jej otwartą dłoń i przesuwał po niej wskazującym palcem, jakby się dziwił, że jest taka duża. A przecież jej dłonie były wciąż o wiele mniejsze od jego. Dziewczęce dłonie...

- Piszczalka cię zabije.

- Nie zrobi tego. A nawet gdyby próbował, chętnie mu udowodnię, jak ostry potrafi być nóż introligatora. Baptysta uszyje mi nań nowy schowek. Zapewniam cię, że będę szczęśliwy, jeśli ten morderca dzieci da mi sposobność wypróbowania go na nim!

Nienawiść powlokła cieniem jego twarz. Sójka...

- Nóż ci nie pomoże. On cię i tak zabije.

Czuła, że zachowuje się głupio. Jak przekorny dzieciak. Ale tak strasznie się o niego bała!

- Troje dzieci nie żyje, Meggie. Niech Doria ci opowie, jak brutalnie potraktowali tych malców. Pozabijają ich wszystkich, jeśli Sójka się w to nie wmiesza!

Sójka. Wyrażał się tak, jakby mówił o kimś innym. Uważa ją za idiotkę?

- To nie jest twoja historia, Mo! Niech Czarny Książę ratuje dzieci.

- Jak? Piszczalka pozabija je, jeśli książę będzie próbował je uwolnić.

Oczy pały mu gniewem i Meggie nagle zrozumiała, że Mo chce jechać na zamek nie tylko z powodu żywych dzieci, ale chce także pomścić zabite. Ta myśl napawała ją lękiem.

- W porządku. Może masz rację. Może naprawdę nie ma innego wyjścia - powiedziała. - Ale w takim razie pozwól mi przynajmniej pojechać z tobą, żebym ci mogła pomóc, tak jak w Mrocznym Zamku, pamiętasz?

Wydawało jej się, jakby to było wczoraj, kiedy Podpalacz wepchnął ją do celi Mo. Czy Mo już zapomniał, jaką ulgę mu sprawiła jej obecność? I że go uratowała z pomocą Fenoglia?

O nie, nie zapomniał. Ale wystarczyło na niego spojrzeć, by wiedzieć, że tym razem pojedzie sam. Całkiem sam.

- Pamiętasz historie o zbójcach, które ci dawniej opowiadałem? - spytał.

- Pamiętam. Wszystkie się źle kończą.

- A dlaczego? Zawsze z tego samego powodu. Dlatego, że zbójca chce chronić kogoś, kogo kocha, i za to go zabijają. Zgadza się?

Ależ był przebiegły! Czy mamie powiedział to samo? „Ale ja go znam lepiej niż Resa - pomyślała Meggie - i znam o wiele więcej historii niż ona”.

- A pamiętasz poemat o zbójcy?

Jakże często Elinor czytała jej te wiersze.

„Ach, Meggie! - mówiła za każdym razem. - Może byś przeczytała ten poemat? Nie musimy nic mówić ojcu. Tak bym chciała ujrzeć tego zbójcę, jak galopuje po moim ogrodzie!”.

Mo odgarnął jej włosy z czoła.

- No i co z tym zbójcą?

- Jego ukochana ostrzega go przed żołnierzami i udaje mu się uciec. Córki też to potrafią!

- O tak, córki są bardzo dobre w ratowaniu ojców! Wiem coś na ten temat.

Uśmiechnął się. Tak kochała jego uśmiech! Co by było, gdyby miała go nigdy więcej nie zobaczyć?

- Ale chyba pamiętasz, jaki los spotkał jego ukochaną? Oczywiście, że pamiętała. Ich strzelby rozbity światło księżyca, rozbity jej piersi w świetle księżyca. A zbójcę żołnierze i tak zabili. Leżał na drodze w kałuży krwi, w białym koronkowym kołnierzu.

- Meggie...

Odwróciła się do niego plecami. Nie chciała na niego patrzeć. Nie chciała się już dłużej o niego bać. Wołała się na niego gniewać. Jak na Farida, jak na Resę. Miłość przynosi tylko cierpienie.

- Meggie!

Mo chwycił ją za ramiona i obrócił ku sobie.

- Powiedzmy, że nie pojedę. Jak by ci się podobała pieśń, którą będą o mnie śpiewać? Pewnego dnia Sójka zniknął i nigdy więcej go nie widziano. A dzieci Ombry zmarły, tak jak ich ojcowie, po drugiej stronie lasu, a Żmijogłowy rządził na wieki dzięki Pustej Księdze, którą mu sporządził Sójka.

Miał rację. To była straszna pieśń, ale Meggie potrafiła wyobrazić sobie jeszcze straszniejszą: Sójka pojechał na zamek, aby uratować dzieci Ombry, i tam zginął. Ognisty Tancerz wypisał jego imię płomiennymi literami na niebie, także gwiazdy co noc powtarzały je szeptem, ale córka nigdy więcej go nie zobaczyła.

Tak, tak właśnie będzie. Ale Mo słyszał w duszy inną pieśń.

- Tym razem Fenoglio nie napisze nam szczęśliwego zakończenia, Meggie! - powiedział. - Muszę to zrobić sam. Czynami, nie słowami. Jeden tylko Sójka może uratować dzieci. Tylko on jeden może wpisać do księgi trzy słowa.

Wciąż nie patrzyła na niego. Nie chciała słuchać tego, co miał jej do powiedzenia. Ale Mo mówił dalej, tym głosem, który tak kochała, który ją utulał do snu, pocieszał, gdy była chora, opowiadał jej historie o zaginionej matce.

- Musisz mi coś obiecać - mówił. - Ty i mama musicie się nawzajem ochraniać, kiedy mnie nie będzie. Nie możecie teraz wrócić do domu, nie możecie ufać słowom Orfeusza. Książę się wami zajmie, a także Siłacz, przysiągł mi to na głowę brata. On potrafi się wami lepiej zaopiekować niż ja. Słyszysz, Meggie? Cokolwiek się wydarzy, zostańcie pośród zbójców. Nie przyjeżdżajcie do Ombry ani nie idźcie za mną do Mrocznego Zamku, jeśliby mnie tam wzięli. Nie mógłbym myśli zebrać, gdybym się dowiedział, że grozi wam niebezpieczeństwo. Obiecuj mi to!

Meggie pochyliła głowę, aby nie wyczytał odpowiedzi w jej oczach. Nie, nie, nic mu nie obieca. Resa na pewno też mu niczego nie obiecała. A może jednak? Podniosła wzrok na matkę. Była tak przeraźliwie smutna. Obok niej stał Siłacz. W przeciwieństwie do Meggie Siłacz przebaczył jej, jak tylko Mo wrócił cały i zdrowy.

- Meggie, proszę, wysłuchaj mnie!

Zwykle Mo zaczynał żartować, kiedy sprawa była poważna. Ale widocznie i pod tym względem się zmienił. Jego głos brzmiał tak poważnie i rzeczowo, jakby omawiał z nią wypracowanie.

- Jeśli nie wrócę - powiedział - namówisz Fenoglię, żeby was odesłał do Elinor. Tyle chyba jeszcze potrafi. I wtedy przeczytasz jego słowa i wrócicie wszyscy troje do domu - ty, Resa i twój braciszek.

- Braciszek? Chcę siostrzyczkę!

- Naprawdę? - uśmiechnął się w końcu. - To się dobrze składa, bo ja też. Pierwsza córeczka jest już za duża, żeby ją wziąć na ręce.

Popatrzyli sobie w oczy. Tyle słów cisnęło się Meggie na usta, ale nie znajdowała żadnego, które by wyraziło to, co czuła.

- Kto zaniesie list na zamek? - spytała cicho.

- Jeszcze nie wiemy - odparł Mo. - Niełatwo będzie znaleźć kogoś, kto może się dostać do Wiolety.

Trzy dni. Meggie objęła ojca tak mocno, jak to czyniła, kiedy była małą dziewczynką.

- Proszę cię, Mo - powiedziała cicho. - Nie jedź tam. Wracajmy do domu. Resa ma rację.

- Do domu? Ależ Meggie! Teraz, kiedy zaczyna się robić naprawdę ciekawie? - odszepnął.

A więc nie zmienił się aż tak bardzo. W jego oczach Meggie wyczytała, że boi się o nią tak samo jak ona o niego.

- Wierz mi, Meggie - powiedział. - Jadę na zamek także dlatego, aby chronić ciebie. Przyjdzie czas, że to zrozumiesz! I czy nie jest prawdą, że już wtedy w Mrocznym Zamku oboje wiedzieliśmy, że oprawiam tę książkę dla Zmijogłowego tylko po to, aby kiedyś wpisać do niej te trzy słowa?

Meggie gwałtownie potrząsnęła głową, ale Mo przycisnął ją mocno do siebie i powiedział:

- Wiesz dobrze, Meggie, że to prawda!

Rozdział 32

Nareszcie

Nocą, gdy mnie nikt nie słyszy, Leżę jak myśliwy w ciszy, Czytam książki przygodowe, Zanim senną złożę głowę. Widzę wzgórza, knieje dzikie, Gdziem samotnym podróżnikiem. Pod gwiazdami potok rwący. Nad potokiem lew ryczący.

Robert Louis Stevenson, Kraina ksiązek przygodowych

Dariusz czytał jak anioł. Ale słowa brzmiały w jego ustach inaczej niż w ustach Mortimera (nie mówiąc już o tym niszczycielu ksiązek Orfeusza). Sztukę recytatorską Dariusza dało się raczej porównać do sztuki Meggie. Czytał jak niewinne dziecko i Elinor wydało się, że ma przed sobą małego chłopca, jakim musiał być kiedyś - chudy, w okularach, uwielbiający czytać książki, tak samo jak ona, tyle tylko że on potrafił tchnąć życie w ich karty.

Głos Dariusza nie był tak głęboki i piękny jak głos Mortimera, ani tak pełen ognia i siły jak głos Orfeusza. Dariusz formował słowa tak ostrożnie, jakby mogły rozsypać się na języku albo utracić sens, gdyby je wypowiedzieć zbyt głośno i zdecydowanie. W jego głosie brzmiał cały smutek świata, subtelny urok słabych, cichych i ostrożnych, którzy znają dobrze bezwzględność silnych...

Niezwykła harmonia słów Orfeusza uderzyła Elinor równie mocno jak wtedy, gdy on sam czytał je po raz pierwszy. Niepodobna było uwierzyć, że wyszły one spod pióra nadętego głupca, który ciskał jej książkami o ścianę.

„Nic dziwnego, Elinor, skoro ukradł je komuś innemu” - pomyślała. Ale tu jej myśli się urwały.

Dariusz ani razu się nie zająknął, bo kierowała nim miłość, a nie strach. Otworzył drzwi między literami tak delikatnie, że Elinor miała wrażenie, iż wkradają się do świata Fenoglia niczym dwójka dzieci do zakazanego pokoju.

I nagle poczuła, że opiera się plecami o mur. Obmacywała go palcami, nie mogąc uwierzyć, że on naprawdę istnieje.

„Najpierw myślisz, że to sen” - przypomniały jej się słowa Resy.

„Jeśli to naprawdę sen - myślała - to nie chcę się obudzić”. Upajała się obrazami narzucającymi się z nieodpartą siłą: oto plac, pośrodku placu studnia, wokół niego domy opierające się

O siebie, jakby ze starości nie miały siły stać, kobiety w długich sukniach (większość z nich wyglądała bardzo ubogo), gromadka wróbli wydziobujących niewidoczne okruszki, gołębie, dwa chude koty, taczki, na które jakiś staruch ładował szuflą nieczystości walające się po bruku... Smród był trudny do wytrzymania, a mimo to Elinor głęboko wciągnęła powietrze w płuca.

Ombra! Była w Ombrze! Wszak to musiała być ona, bo cóż by innego? Kobieta czerpiąca wodę ze studni nieufnie przyglądała się jej sukni z ciężkiego ciemnoczerwonego aksamitu. Do licha, przecież wzięła ją z wypożyczalni kostiumów, tak samo jak fartuch Dariusza. Zażądała strojów „średniowiecznych”

I oto skutek: wyglądała jak paw pośród wron!

„Wszystko jedno, Elinor, najważniejsze, że jesteś tutaj!”. W oczach stanęły jej łzy, gdy coś szarpnęło ją boleśnie za włosy. Wprawnym ruchem chwyciła wrózkę, która zamierzała właśnie odlecieć ze zdobycznym siwym kosmykiem. Ach, jak tęskniła za tymi małymi skrzydlatymi istotkami. Ale zaraz, zaraz, czy one nie powinny być przypadkiem błękitne? Bo ta tutaj mieniła się wszystkimi kolorami tęczy jak bańka mydlana. Zachwycona zamknęła wrózkę w dłoniach i ostrożnie przyglądała jej się przez palce. Mała istotka wiła się ospale w jej dłoniach, ale w końcu udało jej się uciec: zatopiła drobne ostre ząbki w kciuku Elinor, a ta roześmiała się tak głośno, że dwie kobiety wyjrzały przez okno najbliższego domu.

Ach, Elinor!

Zakryła sobie usta dłonią, ale śmiech pozostał na języku niby napój musujący. Była taka szczęśliwa, że zachowywała się jak szalona. Ostatni raz czuła się tak, kiedy miała sześć lat i zakradła się do biblioteki ojca po książki, których zabronił jej czytać.

„Zobaczyć Ombre i umrzeć!” - pomyślała.

Przez plac szło dwóch pstrokato odzianych mężczyzn. Wędrowni grajkowie! Nie wyglądali tak romantycznie, jak ich sobie zawsze wyobrażała, ale co tam! Za nimi dreptał karzełek dźwigający instrumenty muzyczne. Na jej widok jego owłosiona twarz przybrała wyraz bezgranicznego zdumienia. Elinor chwyciła się za nos, myśląc, że z jej twarzą coś nie w porządku. Ale nos był na miejscu... ogromny nochał, nic się nie zmieniło.

- Elinor?

Odwróciła się przestraszona. Dariusz! Zupełnie o nim zapomniała. Ale jak on się dostał pod taczki zamiatacza ulic?

Dariusz wypełził spod taczek, podniósł się na nogi i z zakłopotaniem począł strącać z ubrania nieczystości. To było do niego podobne: ze wszystkich możliwych miejsc w Ombrze trafić akurat pod taczki z gnojem! Co za pechowiec. Rozglądał się przy tym dokoła z taką miną, jakby dostał się między zbójów. Biedny

Dariusz. Cudowny Dariusz. Wciąż jeszcze trzymał w ręce kartkę Orfeusza, ale co z torbą pełną niezbędnych drobiazgów, którą zamierzali wziąć ze sobą?

„Zaraz, zaraz, Elinor, to ty miałaś ją zabrać!” - myślała w popłochu. Rozejrzała się, ale zamiast torby zobaczyła Cerbera obwąchującego z zainteresowaniem obcy bruk.

- On... on... on by zdechł z głodu, gdybyśmy go nie z-z-zabra-li - wyjąkał Dariusz, czyszcząc swój średniowieczny fartuch. - A p-p-ponadto może nas z-z-zaprowadzić do swojego p-p-pana.

„Nieglupie - pomyślała Elinor. - Sama bym na to nie wpadła”. Tylko dlaczego Dariusz znowu się jąkał?

- Dariuszu! Udało ci się! - Elinor uściskała go tak gwałtownie, że aż mu się okulary przekrzywiły. - Dziękuję ci! Strasznie ci dziękuję!

- Hej, wy tam, skąd macie psa?

Cerber, warcząc głucho, przytulił się do nóg Elinor. Przed nimi stało dwóch żołnierzy.

„Żołnierze są gorsi od rozbójników - powtarzała Resa. - Dla większości z nich zabijanie to rozrywka”.

Elinor cofnęła się przestraszona i poczuła za plecami ścianę.

- No co, zapomnieliście języka w gębie? - warknął jeden z żołnierzy i z całej siły uderzył Dariusza pięścią w brzuch, tak że ten zgiął się wpół.

- Co to znaczy? Zostawcie go w spokoju! - zawołała Elinor, lecz nie potrafiła ukryć strachu. - To jest mój pies.

- Twój? - Żołnierz, który się do niej zbliżył, miał tylko jedno oko. Elinor jak zaczarowana wpatrywała się w miejsce, gdzie powinno być drugie. - Tylko księżne mogą trzymać psy. Chcesz mi wmówić, że jesteś księżną?

Wyjął miecz i ostrzem przesunął po sukni Elinor.

- Co to za dziwny strój? Wydaje ci się, że jesteś damą? Gdzie jest ta krawcowa, co to uszyła? Powinna trafić pod pręgierz.

Drugi żołnierz odezwał się ze śmiechem:

- Wagantki noszą takie stroje. To podstarzała kuglarka!

- Kuglarka? Jest za brzydka na kuglarkę - zaprotestował jednooki.

Elinor miała ochotę powiedzieć mu, co sądzi o jego urodzie, ale powstrzymała ją błagalny wzrok Dariusza i ostrze miecza wrzynające się w jej brzuch.

„Spuść oczy, Elinor! - myślała. - Przypomnij sobie słowa Re-sy: w tym świecie kobiety spuszczaają wzrok”.

- Proszę! - wyjąkał Dariusz, prostując się z trudem. - My... my jesteśmy tu obcy. My... my... przybywamy z daleka...

- I akurat trafiliście do Ombry? - roześmiali się żołnierze. - Kto, na srebro Żmii, przyjeżdża dobrowolnie do Ombry?

Jednooki przyjrzał się uważnie Dariuszowi.

- Popatrz na to - powiedział do towarzysza, ściągając lektorowi okulary z nosa. - Ma takie samo urządzenie jak Podwójno-oki, który wyczarował dla Szczapy jednoroźca i karzełka.

To mówiąc, ostrożnie założył okulary.

- Hej, zdejmij to! - Drugi żołnierz przestraszony cofnął się o krok.

Jednooki, niespieszony, przyglądając się tamtemu przez grube szkła, żartował:

- Widzę cię na wylot. Widzę twoje najczarniejsze kłamstwa! - I ze śmiechem rzucił Dariuszowi okulary pod nogi. - Wszystko jedno, skąd przyjechaliście - rzekł, chwytając Cerbera za obrozę - wróćcie do domu bez psa. Psy mogą trzymać tylko książęta. Ten jest brzydki jak noc, ale Szczapie na pewno się spodoba.

Ale w tej chwili Cerber zatopił kły w trzymającej go ręce, a żołnierz zawył z bólu i upadł na kolana. Drugi dobył miecza, ale pies wyrwał się i z rękawicą pogryzionego żołnierza w pysku dał drapaka.

- Szybko, Elinor! - zawołał Dariusz, podnosząc z ziemi pogieęte okulary.

Pociągnął Elinor za sobą, gdy tymczasem żołnierze, miotając przekleństwa, popędzili za psem. Elinor nie pamiętała, by kiedykolwiek w życiu tak szybko biegła. A przy tym jej serce było wprawdzie zdolne do uniesień, jak serce młodej dziewczyny, ale nogi pozostały grubymi nogami starej kobiety.

„Elinor, nie tak wyobrażałaś sobie swoje pierwsze chwile w Ombrze!” - myślała, biegnąc za Dariuszem; bała się, że utknie między domami, tak ciasna była uliczka, którą uciekali. Nogi sprawiały jej nieznośny ból, a na brzuchu wciąż czuła ucisk miecza, ale mimo to była szczęśliwa. Nareszcie w Ombrze! Nareszcie znalazła się w świecie ukrytym za literami. Nic innego się nie liczyło. Ostatecznie nie spodziewała się, że będzie tu tak bezpieczna jak we własnym domu... zresztą ostatnie miesiące pokazały, jak złudne było to bezpieczeństwo... Nieważne, grunt, że znalazła się w tej jedynej w swoim rodzaju historii, historii, której zakończeniem była żywotnie zainteresowana, bo występowali w niej ci, których kochała najbardziej.

„Szkoda tylko, że pies przepadł!” - myślała, gdy Dariusz zatrzymał się bezradnie u wylotu uliczki. Brzydki nos Cerbera przydałby im się w tym labiryncie, nie mówiąc o tym, że pewnie będzie tęskniła za tym psem. Miała ochotę głośno krzyknąć: „Reso, Mortimerze, Meggie, nareszcie jestem! Odezwijcie się!”.

„Ale może ich już nie ma, Elinor... - szeptał jakiś głos w jej sercu, podczas gdy obce niebo poczęło zmierzchać. - Może już dawno nie żyją... Cicho, cicho, Elinor...” - próbowała zagłuszyć w sobie lęk. Nie wolno jej tak myśleć. Jeszcze nie.

Rozdział 33

Ziła dla Wiolanty

Dusza milczy. A jeśli przemawia, to tylko w snach.

Louise Gluck, Płacz dziecka

Dwa razy dziennie Wiolanta schodziła do lochów, w których Szczapa zamknął porwane dzieci. Towarzyszyły jej dwie służące i jeden z jej żołnierzyków. Piszczalka nazywał jej wojaków żołnierzami dziećmi, ale jej własny ojciec zadbał o to, żeby nie byli już nimi,

kiedy w Nieprzebytym Lesie pozabijał ich ojców i starszych braci. Zresztą maluchy uwiecznione w lochach też wkrótce przestaną być dziećmi - strach szybko uczyni je dorosłymi.

Każdego ranka pod bramą zamkową pojawiały się matki, błagając strażników, by pozwolili im zobaczyć choćby najmłodszych, zanieść ubranie, odrobinę jedzenia, zabawki. Ale żołnierze wyrzucali wszystko, co przyniosły, i nie wpuszczali ich do lochów. Wiolanta przez służące starała się uratować i dostarczyć dzieciom chociaż część tych rzeczy.

Na szczęście Piszczalka przymykał na to oko. Oszukać Szczapę przychodziło jej łatwo, był bowiem jeszcze głupszy od swojej lalkowatej siostry i nigdy się nie dowiedział, co ona knuje za jego plecami. Ale Piszczalka był mądry i tylko dwie rzeczy trzymały go w szachu: strach przed jej ojcem i własna próżność. Wiolanta schlebiała Piszczalce od pierwszego dnia, kiedy pojawił się w mieście. Wmawiała mu, że cieszy się z jego przybycia, że ma już dość słabego i głupiego Szczapy, opowiadała mu o rozrzutności namiestnika, a Balbulusowi poleciła spisać na najlepszym pergaminie i ozdobić ilustracjami najmroczniejsze pieśni Piszczalki (malarz był tak oburzony tym zleceniem, że ze złości połamał trzy swoje najlepsze pędzle).

Kiedy Kopeć zwabił dzieci w pułapkę, Wiolanta w oczy wychwalała Piszczalkę za ten fortel, a potem we własnej komnacie wymiotowała ze wstrętu. Nie zdradziła się też przed nim, że nie może sypiać, w nocy wydaje jej się bowiem, że słyszy płacz dzieci.

Miała cztery lata, gdy ojciec zamknął ją wraz z matką w odległej komnacie, ale matka nauczyła ją wysoko trzymać głowę. Pewnego dnia teść powiedział do niej: „Masz serce męża, Wio-lanto”. Głupi, smutny, stary człowiek. Do dziś nie wiedziała, czy miał to być komplement, czy ukryty przytyk. Ale wiedziała, że wszystko, czego ona pragnie, należy do mężczyzn: wolność, wiedza, siła, mądrość, władza...

Czy mściwość też była cechą męską? I pragnienie panowania nad innymi? Wszystko to odziedziczyła po ojcu.

Brzydka Wiolanta.

Tymczasem szpecące znamię zbladło, lecz imię pozostało, było jej częścią, tak jak zbyt blada cera i drobna postura. „Powinno się nazywać cię, pani, Przebiegłą Wiolanta” - powtarzał nieraz Balbulus. Nikt nie znał jej tak dobrze jak on, a Wiolanta wiedziała, że wszystkie te lisy, którymi iluminator ozdabiał swoje dzieła, symbolizowały właśnie ją. Przebiegła. O tak, była przebiegła. Już na sam widok Piszczalki dostawała mdłości, a mimo to uśmiechała się do niego, tak jak to podpatrzyła u ojca: protekcyjnie, z nutą okrucieństwa. Nosila buty na wysokich obcasach (zawsze przeklinała swój niski wzrost) i nie robiła nic, żeby upiększyć swoją twarz. Uważała, że mężczyźni wprawdzie pożądamy pięknych kobiet,

ale ich nie szanują ani się ich nie boją. Zresztą czułaby się śmiesznie, szminkując usta czy wyskubując sobie brwi.

Kilkoro dzieci było rannych. Piszczalka pozwolił jej wezwać do nich Puszczyka, ale nie dał się namówić na ich uwolnienie. „Dopiero wtedy, gdy złowimy ptaszka, dla którego są przynętą” - odparł krótko na jej prośby.

A Wiolanta wyobraziła sobie, jak wloką na zamek zakrwawionego Sójkę - niby jednorożca upolowanego przez Szczapę - zdradzonego przez matki gromadzące się z płaczem pod bramą. I ten obraz pozostał pod jej powiekami, wyraźniejszy od obrazów, jakie malował dla niej Balbulus. Ale we śnie widywała go inaczej: oto zabijał jej ojca i wkładał jej na głowę koronę, na jej mysie włosy...

„Sójka wkrótce będzie martwy - powiedział do niej nie dalej jak wczoraj Balbulus. - Mam nadzieję, że chociaż zatroszczy się o to, żeby jego śmierć dobrze wyglądała na obrazie”.

Wiolanta uderzyła go w twarz, ale jej gniew nigdy nie robił na nim wrażenia.

„Strzeż się, Wasza Brzydkość! - szepnął zjadliwie. - Masz zwyczaj oddawać serce niewłaściwemu mężczyźnie. Ale poprzedni miał chociaż błękitną krew”.

Powinna mu była uciąć język za tę bezczelność - tak by zrobił jej ojciec. Ale kto by jej wówczas mówił prawdę - choćby tak bolesną jak ta. Dawniej czyniła to Brianna. Ale Brianna odeszła.

Zmierzchało. Dzieci miały spędzić trzecią noc w lochach. Wiolanta kazała służącej przynieść sobie grzanego wina, może na kilka godzin zapomni o drobnych rączkach czepiających się jej sukni... W tej chwili wszedł Vito, syn kowala - nieżyjącego kowala ma się rozumieć - a zarazem najstarszy z jej żołnierzyków.

- Wasza Wysokość, przed bramą czeka wasza była służka, Brianna, córka zielarki.

Tulio niepewnie zerknął na Wiolantę. Nie mógł się utulić w płaczu, kiedy oddaliła Briannę, a Wiolanta ukarała go za to, przez dwa dni wzbraniając mu wstępu do swojej komnaty.

Brianna. Czyżby ściągnęły ją tutaj jej myśli? To imię było jej nadal drogim. Z pewnością wypowiadała je częściej niż imię własnego syna. Dlaczego serce zabiło jej mocniej w piersi? Czyżby zapomniała, ile wycierpiało przez tę, która właśnie przychodziła z wizytą? Ojciec miał rację. Serce jest słabe i zmienne, łaknie tylko miłości i nie ma nic gorszego, niż uczynić je swym mistrzem. Mistrzem musi być rozum, który śmieje się z lekkomyślności serca, drwi z miłości jako wybryku natury nietrwałego jak kwiat. Ach, dlaczego zawsze idzie za głosem serca?!

Tak więc serce ucieszyło się na dźwięk imienia Brianny, ale rozum spytał zaraz: „Czego ona tu szuka? Tęskni za wygodnym życiem? Ma dość szorowania podłóg u Podwójnookiego, który kłania się Szczapie tak nisko, że podbródkiem dotyka tłustych kolan? A może chce wyblagać pozwolenie na zejście do krypty, gdzie mogłaby całować wargi mojego zmarłego męża?”.

- Brianna mówi, że przyniosła od matki zioła dla dzieci przebywających w lochach. Ale mówi, że ma je oddać do rąk własnych Waszej Wysokości.

Tulio spojrział na nią błagalnym wzrokiem. Nie, Tulio nie miał za grosz dumy, ale miał za to wierne serce. Przyjaciele Szczapy znów go wczoraj zamknęli w psiarni, był wśród nich jej syn.

- Dobrze, Tulio, przyprowadź ją!

Głos zwykle zdradza człowieka, ale Wioletta potrafiła się maskować, wydając polecenia obojętnym tonem. Tylko jeden raz zdradziła swoje uczucia - kiedy powrócił Cosimo. I potem musiała się tego wstydzić, kiedy wybrał służącą...

Brianna.

Tulio wybiegł w podskokach z komnaty, a Wioletta przyglądała zaczesane do tyłu włosy i spojrzała krytycznie na swoją suknię i klejnoty. Tak właśnie działała Brianna. Była tak piękna, że każdy w jej obecności czuł się brzydki i niezgrabny. Dawniej Wioletcie się to podobało, chowała się niejako za urodą Brianny, ciesząc się, że za jej sprawą już nie ona jedna czuje się szpetna. Podobało jej się, że ta niezrównana piękność pozostaje na jej rozkazy, że może nawet ją kocha...

Tulio wrócił z, rozpromienioną twarzą, prowadząc Briannę. Weszła niechętnie do komnaty, w której dawniej spędzała tyle godzin dziennie. Ludzie mówili, że nosi na szyi medalion z monety z głową Cosima, który tak często całuje, że metal jest już całkiem starty. Ale cierpienie po stracie ukochanego uczyniło ją tylko jeszcze piękniejszą. Jak to możliwe? Jakże ten świat miał być sprawiedliwy, skoro nawet uroda rozdzielona jest nierówno...?

Brianna głęboko dygnęła - nikt nie potrafił robić tego z takim wdziękiem jak ona - i podała Wioletcie koszyk z ziołami.

- Mama dowiedziała się od Puszczyka, że kilkoro dzieci jest rannych, a niektóre straciły apetyt. Może te zioła zaradzą złu. Mama tu napisała, które lekarstwo jest na co i jak je stosować - dodała, po czym wyjęła spośród liści opatrzony pieczęcią pergamin i dygając ponownie, podała go Wioletcie.

„Zapieczętowane zalecenia zielarki?”.

Wiolanta odesłała służącą, która właśnie słała jej łóżko (nie ufała jej), i chwyciła okulary. Sporządził je ten sam mistrz, który opracował (oczywiście w złoto) szkła Podwójnookiego. Zapłaciła za nie ostatnim pierścieniem, jaki miała. Szkła nie pozwalały jej wykrywać kłamstw innych ludzi (podobno taką moc miały szkła Podwójnookiego), a litery Balbulusa odczytywała niewiele lepiej niż przez beryl, ale przestała wreszcie widzieć świat na czerwono i mogła go oglądać obojętnie. Inna rzecz, że oczy w okularach szybko się męczyły.

„Za dużo czytasz!” - powtarzał Balbulus, ale co mogła na to poradzić. Bez słów umarłaby z nudów jeszcze szybciej niż jej matka.

Pieczęć na pergaminie przedstawiała głowę jednorożca. Czyj to mógł być znak?

Wiolanta złamała pieczęć i odruchowo spojrzała na drzwi, zorientowawszy się, od kogo jest list. Brianna poszła za jej wzrokiem. Wystarczająco długo żyła na zamku, by wiedzieć, że tutaj mury i drzwi mają uszy, ale słowa pisane są na szczęście bezgłośnie. Mimo to Wiolanta słyszała głos Sójki, czytając jego list - i rozumiała doskonale, co do niej mówi, choć właściwe słowa ukrył zręcznie za tymi, które stały na pergaminie.

Słowa pisane głosiły, że Sójka oddaje się w niewolę w zamian za wolność dzieci, a także obiecywały jej ojcu wyleczyć Pustą Księgę, o ile Piszczalka uwolni dzieci. Ale ukryte słowa mówiły coś całkiem innego, coś, co tylko ona jedna mogła wyczytać między wierszami. Mówiły, że Sójka wreszcie przyjął ofertę, którą mu złożyła przy sarkofagu Cosima.

Chciał jej dopomóc w zgładzeniu ojca.

„Wspólnie dokonamy tego z łatwością!” - pomyślała.

Czy aby na pewno? Ręka trzymająca list zwisała bezwładnie. Co ona sobie myślała, składając Sójce tę propozycję?

Poczuwszy wzrok Brianny, odwróciła się do niej plecami.

„Myśl, Wiolanto, myśl!”.

Jej wyobraźnia odmalowywała przyszłe wypadki obraz za obrazem, jakby kartkowała jedną z ksiąg Balbulusa.

Ojciec przyjedzie do Ombry, gdy tylko Sójka odda się w jej ręce. To oczywiste: wierzy, że człowiek, który stworzył dla niego Pustą Księgę, potrafi ją także uzdrowić. A ponieważ nie ufa nikomu na tyle, by powierzyć mu księgę, musi sam się pofatygować i ją tu przywieźć. Ojciec przybędzie oczywiście z zamiarem zgładzenia Sójki. Gnijąca księga doprowadzała go do szaleństwa i po drodze z pewnością obmyśli w najmniejszych szczegółach męczeńską śmierć swego wroga. Ale najpierw musi temu wrogowi wręczyć

księgę. A gdy tylko Sójka dostanie księgę w swoje ręce - wszystko będzie zależało od niej. Ile czasu potrzeba, żeby wpisać trzy słowa? Musi mu dać ten czas. Tylko trzy słowa, kilka sekund nieuwagi strażników, pióro, atrament - i umrze nie Sójka, lecz jej ojciec. A Ombra będzie należała do niej.

Wiolanta dyszała ciężko, czuła szum w uszach. Tak, to się może udać. Ale był to niebezpieczny plan, bardziej jeszcze dla Sójki niż dla niej.

„Ach, bzdura!” - podpowiadał chłodny rozum, ale serce tłukło się gwałtownie w piersi, wołając: „W jaki sposób chcesz go ochronić, kiedy znajdzie się na zamku? Zapomniałaś o Szczapie i Piszczalce?”.

- Wasza Wysokość?

Głos Brianny brzmiał inaczej niż dawniej. Świadczył o tym, że była załamana.

„To dobrze. Mam nadzieję, że źle sypia! - pomyślała Wiolanta. - Mam nadzieję, że jej uroda przekwita podczas szorowania podłóg”.

Ale gdy się odwróciła i spojrzała na dawną służącą, zapragnęła przycisnąć ją do serca i śmiać się wraz z nią tak jak dawniej.

- Muszę ci, pani, jeszcze coś przekazać - powiedziała Brian-na, patrząc Wiolancie w oczy, dumna jak zawsze. - Te zioła są bardzo gorzkie. Pomogą tylko wtedy, jeśli właściwie je zastosujesz. W skrajnym przypadku mogą spowodować śmierć.

O tym nie trzeba jej było przypominać! Ale Brianna wpatrywała się w nią uparcie.

„Chroń go! - mówiły jej oczy. - W przeciwnym razie wszystko będzie stracone”.

Wiolanta wyprostowała się dumnie.

- Rozumiem to bardzo dobrze! - rzekła oschle. - I jestem pewna, że dzieci za trzy dni wyzdrowieją. Skończą się cierpienia, a zioła będą stosować z należytą rozwagą. Przekaż moje słowa. A teraz idź już. Tulio odprowadzi cię do bramy.

Brianna znów dygnęła.

- Dziękuję ci, pani. Wiem, że zioła będą bezpieczne w twoich rękach. - Wyprostowała się wolno i dodała z wahaniem: -

Wiem, że masz służących, ale gdybyś kiedyś odczuła potrzebę mojego towarzystwa, to każ mnie wezwać! Tęsknię za tobą!

Ostatnie słowa wymówiła tak cicho, że Wiolanta z trudem je zrozumiała.

„Ja też za tobą tęsknię” - cisnęło jej się na usta, lecz powstrzymała się od wypowiedzenia tych słów. „Cicho bądź, głupie, niepoprawne serce!”.

- Dziękuję ci - odparła chłodno. - Ale na razie nie mam ochoty słuchać pieśni.

- Oczywiście... - Brianna pobladła, jak wtedy kiedy ją uderzyła... gdy spędziła noc z Cosimem i okłamała ją... - Ale kto ci czyta, pani? Kto się bawi z Jacopem?

- Sama sobie czytam! - rzuciła Wiolanta, dumna ze swojej odstręczającej postawy, choć serce jej krwawiło. - A jeśli chodzi o Jacopa, to prawie go nie widuję. Przykleił sobie blaszany nos, który mu zrobił kowal, przesiaduje na kolanach Piszczalki i opowiada, że on nie byłby taki głupi, żeby dać się podejść Kopciowi.

- Tak, to do niego podobne...

Brianna przejechała ręką po kasztanowatych lokach, jakby sobie przypominała, ile razy ciągnął ją za włosy. Obie kobiety milczały. Między nimi stanął zmarły, który poróżnił je za życia.

Brianna dotknęła dłonią piersi. Rzeczywiście nosiła monetę na łańcuszku.

- Widujesz go czasem, pani?

- Kogo?

- Cosima. Do mnie co noc przychodzi w snach. A za dnia czuję niekiedy, jakby stał za moimi plecami..

Głupia dziewczyna. Kocha umarłego. Co tu jest jeszcze do kochania? Jego urodę stoczyły robaki, a więcej w nim nie było nic, co można by kochać. Nie, Wiolanta pogrzebała wraz z nim swoją miłość do niego. Minęła jak zawrót głowy po wypiciu pucharu wina.

- Chcesz zejść do krypty? - Wiolanta nie wierzyła własnym uszom, że wypowiedziała te słowa.

Brianna spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Tulio cię zaprowadzi. Ale nie spodziewaj się za wiele, tam są tylko umarli. Powiedz mi, Brianno... - dodała Brzydka Wio-lanta - czy byłaś rozczarowana, kiedy Sójka przyprowadził twojego ojca zamiast Cosima?

Brianna spuściła głowę. Wiolanta do tej pory nie miała pewności, czy dziewczyna kocha swojego ojca, czy nienawidzi.

- Chciałabym zejść do krypty - powiedziała cicho Brianna. - Jeśli pozwolisz, pani.

Wiolanta dała znak Tuliowi, a ten zaraz ujął dłoń Brianny.

- Jeszcze tylko trzy dni i wszystko będzie dobrze - odezwała się Wiolanta, gdy Brianna była już w drzwiach. - niesprawiedliwość nie jest nieśmiertelna. Tak być nie może!

Brianna skinęła głową, nieobecna myślami.

- Każ mnie wezwać, pani - powtórzyła i wyszła za Tuliem. Wiolanta poczuła, że tęskni za Brianna, zaledwie drzwi się zamknęły.

„I cóż z tego? - myślała. - To uczucie jest ci najlepiej znane ze wszystkich. Tracić i tęsknić - oto treść twojego życia”.

Złożyła list Sójki i podeszła do arrasu, który wisiał już w jej komnacie, gdy w wieku siedmiu lat spędziła tu swoją pierwszą noc. Tkanina przedstawiała polowanie na jednorożce, a powstała w czasach, gdy były tworam fantazji, gdy nie noszono ich ulicami Ombry jako łupu. Ale nawet baśniowe jednorożce musiały umierać. Niewinności w żadnym świecie nie jest pisane długie życie. Od kiedy Wiolanta spotkała Sójkę, ten jednorożec z arrasu ciągle jej się z nim kojarzył. W jego twarzy dostrzegła niewinność jednorożca. „Jak chcesz go ochronić, Wiolanto, jak?”.

We wszystkich historiach powtarzał się ten sam schemat: kobiety nie potrafiły ochronić jednorożców. Przynosiły im śmierć.

Dwaj żołnierze pilnujący jej komnaty byli znużeni, ale poderwali się natychmiast, gdy tylko otworzyła drzwi. Żołnierze dzieci. Obaj mieli rodzeństwo w lochach.

- Obudźcie Piszczalkę! - rozkazała. - Powiedzcie, że mam mu do przekazania ważne wiadomości dla mojego ojca.

Ojciec. To słowo zawsze odnosiło skutek, ale żadne słowo nie napawało jej większą goryczą. Zaledwie sześć liter - a już czuła się tak mała, słaba i brzydka, że inni spuszczaali wzrok, by na nią nie patrzeć. Pamiętała dokładnie siódme urodziny - jedyny dzień w jej życiu, gdy ojciec był najwyraźniej zadowolony, że ma tak niepozorną córkę. Powiedział wtedy do matki: „Można się zemścić, dając pięknemu synowi wroga własną brzydką córkę za żonę”.

Ojciec.

Kiedy wreszcie nie będzie już na świecie tego, którego musiała tak nazywać?

Przycisnęła list Sójki do piersi. Wkrótce.

Rozdział 34

Spalone słowa

Potrzebowałam więcej czasu do namysłu, zanim udam się w tę długą drogę na dół; w moim mózgu powstał zator od tych wszystkich myśli.

Margo Lanagan, Czarny sok

Mieli wyruszyć o wschodzie słońca. Piszczalka zaakceptował warunki Mo: dzieci zostaną wypuszczone, jak tylko Sójka odda się w niewolę córce Zmijogłowego. Paru zbójców przebranych za kobiety zamierzało kręcić się pod murami zamku pośród zgromadzonych tam

matek. Smolipaluch miał towarzyszyć Mo w drodze do Ombry niby ognisty znak ostrzeżenia dla Piszczalki, ale przez bramę Sójka wjedzie sam.

Do świtu pozostało zaledwie kilka godzin. Czarny Książę siedział przy ognisku wraz z Baptistą i Smolipaluchem, który chyba w ogóle nie potrzebował snu, od kiedy powrócił z krainy umarłych. Obok niego tkwił Farid (jakżeby inaczej!) i Roksana. Jej córka wprowadziła się z powrotem na zamek; Wiolanta przyjęła ją do służby tego samego ranka, gdy Piszczalka ogłosił, że przyjmuje warunki Sójki.

Przy ognisku nie było Mo. Położył się spać, a Resa była przy nim w namiocie. Jak mógł spać takiej nocy? Przed namiotem siedział Siłacz, jakby choć tutaj chciał pilnować Sójki.

„Połóż się spać, Meggie” - powiedział do niej Mo, nim zniknął w namiocie, ale ona tylko potrzęsnęła głową.

Siedziała samotnie pod drzewem. Padał deszcz, ubranie lepiło się na niej, tak samo jak ociekające wodą włosy. Ale namiot nie chronił zbyt przed deszczem i zimmem, zresztą nie miała ochoty, leżąc bezsennie, słuchać bębnienia deszczu o szmaty i wyobrażać sobie, jak Piszczalka bierze w niewolę jej ojca.

- Meggie? - odezwał się Doria, siadając obok niej na mokrej trawie, zmoczone długie włosy zwijały mu się w pierścienie. - Jedziesz do Ombry?

Skinęła głową. Od strony ogniska spoglądał na nią Farid.

- Zakradnę się do zamku, jak tylko twój tata zniknie za bramą, obiecuję. A Smolipaluch będzie się kręcił w pobliżu. Będziemy go chronić!

- Co ty mi tu za bajki opowiesz! - zdenerwowała się Meggie. - Nie możecie go chronić! Piszczalka go zabije. Myślisz, że jestem głupią dziewczyną, której można wszystko wmówić? Ja byłam z tatą w Mrocznym Zamku. Zetknęłam się oko w oko ze Żmijogłowym! I mówię ci, że go zabijają!

Doria nie odpowiedział. Milczał długo, a Meggie zrobiło się przykro, że go tak ostro potraktowała. Mimo to milczała także, ze spuszczoną głową, aby nie widział, że płacze. Pod wpływem jego słów łzy, powstrzymywane tak długo, popłynęły z oczu. Od razu by sobie pomyślał: „Dziewczyna, to i beczy!”.

Poczuła na głowie rękę Dorii. Głaskał ją tak delikatnie po włosach, jakby chciał zetrzeć z nich deszcz.

- Piszczalka go nie zabije - powiedział wreszcie szeptem. - Za bardzo boi się Żmijogłowego!

- Ale nienawidzi taty! Czasem nienawiść jest silniejsza od strachu! A jeśli nawet Piszczalka go nie zabije, zrobi to Szczapa albo sam Zmijogłowy. Tata nie wyjdzie żywy z tego zamku, nigdy!

Ręce jej drżały, jakby cały lęk zogniskował się w jej palcach. Ale Doria tak mocno ścisnęła jej dłonie w swoich, że nie mogły już drżeć. Miała silne ręce, choć palce nie były dłuższe od palców Meggie. Farid miał dłonie o wiele drobniejsze.

- Farid mówi, że uleczyłaś swojego tatę wtedy, gdy był ranny. I że zrobiłaś to samymi słowami.

Tak, ale tym razem nie dysponuje słowami. Słowa...

- O co chodzi? - zdziwił się Doria, puszczając jej ręce. Farid wciąż im się przyglądał, jednak Meggie nie zwracała na to uwagi.

- Dziękuję ci! - szepnęła, pocałowała Dorię w policzek i zerwała się na równe nogi.

Chłopak oczywiście nie rozumiał, za co mu dziękowała. Słowa. Słowa Orfeusza! Jak mogła o tym zapomnieć? Pobiegła do namiotu rodziców.

„Mo będzie wściekły!” - myślała. Ale będzie żył! Przecież już nieraz popychała tę historię do przodu. Najwyższy czas zrobić to po raz kolejny, chociaż nie takiego zakończenia życzył sobie Mo. Teraz to Czarny Książę będzie musiał opowiadać ją dalej. Na pewno znajdzie jakiś sposób, by wszystko obróciło się ku dobremu - nawet bez Sójki. Albowiem Sójka musi czym prędzej odejść - nim jej ojciec umrze razem z nim.

Siłacz zdrzemnął się, głowa opadła mu na piersi, pochrapywał z cicha. Meggie ostrożnie wśliznęła się do namiotu. Matka nie spała, oczy miała czerwone od płaczu.

- Muszę z tobą porozmawiać! - szepnęła Meggie. - Proszę!

Mo spał twardo i spokojnie. Resa popatrzyła na jego uśpioną twarz i wyszła z Meggie przed namiot. Od tamtego zdarzenia na cmentarzu prawie ze sobą nie rozmawiały. A tymczasem Meggie chciała teraz zrobić dokładnie to, po co Resa pojechała wtedy do Ombry.

- Jeśli chodzi o jutrzejszy dzień... - Resa ujęła córkę za rękę - to nie mów nikomu, ale ja też pojedę do Ombry, chociaż tata mi zabronił. Chcę być blisko niego, gdy będzie wjeżdżał na zamek...

- Nie pojedzie na zamek.

Zwiędłe liście ociekały deszczem, jakby płakały, a Meggie zatęskniła za ogrodem Elinor. Tam deszcz zwiastował spokój, a tutaj - tylko śmierć i niebezpieczeństwo.

- Przeczytam te słowa... - szepnęła.

Smolipaluch spojrział w ich kierunku i Meggie przestraszyła się, że odgadnie jej zamiary i doniesie Mo, ale magik odwrócił głowę i zanurzył usta w czarnych włosach Roksany.

- Jakie słowa? - zdziwiła się Resa.

- Słowa, które napisał dla ciebie Orfeusz!

„Słowa, które o mało go nie zabiły - dodała w myślach. - Ale teraz uratują mu życie”.

Reśa spojrzała na namiot, w którym spał Mo, i powiedziała:

- Już ich nie mam. Spaliłam je, gdy tata nie wrócił. Nie!

- I tak by mu nic nie pomogły! - dodała Resa.

Między ociekającymi deszczem pokrzywami pojawił się zmoknięty szklany ludzik; był koloru bladozielonego, tak jak wszystkie szklane ludziki żyjące w lesie. Kichał, a ujrawszy Meggie i Resę, czym prędzej dał susa między chwasty.

Matka położyła jej ręce na ramionach.

- On nie chciał z nami wracać, Meggie! - powiedziała łagodnie. - Poleciał Orfeuszowi, żeby zaplanował tylko nasz powrót. Tata chce tu zostać, nawet teraz, i ani ty, ani ja nie zdołamy go zmusić do powrotu. Nigdy by nam tego nie wybaczył.

Chciała jej odgarnąć mokre włosy z czoła, ale Meggie odepchnęła ręce matki. To niemożliwe. Reza na pewno kłamała. Mo nigdy w życiu nie zgodziłby się zostać tu bez żony i córki. A jeśli tak...?

- A może tata ma rację, może wszystko będzie dobrze... - szepnęła matka. - I kiedyś opowiemy Elinor, jak to twój tata uratował dzieci Ombry. - Ale ton jej głosu nie potwierdzał tych słów. - Sójka... - szepnęła, spoglądając w kierunku ogniska. -

Pierwszy prezent, jaki tata dla mnie zrobił, to była zakładka z piór sójki. Czy to nie dziwne?

Meggie nie odpowiedziała. Resa pogłaskała ją po mokrej od deszczu twarzy i wróciła do namiotu.

Spaliła je...

Było jeszcze ciemno, ale kilka zmarzniętych wrózek rozpoczęło już poranne tańce. Mo wkrótce wyruszy w drogę i nie istniało już nic, co by go mogło zatrzymać. Nic...

Baptysta siedział sam między korzeniami ogromnego dębu, na który nocą wspinały się strażę, bo z jego wierzchołka roztaczał się widok aż hen po Ombre. Majstrował nową maskę. Na jego kolanach leżały niebieskie pióra i Meggie od razu się domyśliła, co to za maska.

- Baptysto? - szepnęła Meggie, przysiadając się do niego. Ziemia była twarda i zimna, ale mech pokrywający korzenie przypominał Meggie puszyste dywany w domu Elinor.

Wagant uśmiechnął się do niej ze współczuciem. Ten uśmiech był jeszcze bardziej kojący niż dłonie Dorii.

- A, córka Sójki - powiedział tonem, który Siłacz nazywał pokazowym. - Jakież piękny widok o tak mrocznej porze. Uszyłem twojemu tacie doskonały schowek na nóż. Czy biedny wagant może jeszcze czymś ulżyć twemu sercu?

Meggie też spróbowała się uśmiechnąć, miała już dość łez.

- Możesz mi zaśpiewać pieśń? Jedną z tych, które Atramentowy Tkacz ułożył o Sójce. Najpiękniejszą, jaką znasz. Pełną mocy i...

- Nadziei? - uśmiechnął się Baptysta. - Jasne. Ja też mam ochotę na taką właśnie pieśń. Chociaż twój tata... - konspiracyjnie zniżył głos - nie lubi, żeby je śpiewać w jego obecności. Ale postaram się zaśpiewać tak cicho, żeby go nie obudzić. Zastanówmy się... Która najlepiej nadawałaby się na tę okazję? - pogładził maskę Sójki. - Aha, już wiem!

I zaczął śpiewać cichym głosem:

Strzeż się, Piszczalko, bo twój koniec blisko.

Patrz, jak się Żmija w strasznym bólu wije,

wnet księga resztki życia zeń wypije.

To Sójka jego kolana zgina,

Sójka, którego miecz się nie ima.

Psy zgubią trop,

a on hop, hop!

odleci w dal,

będzie wam żal.

Tak, to były właściwe słowa. Baptysta śpiewał w kółko tę pieśń, aż Meggie zapamiętała każdą linijkę. Po czym przesiadła się bliżej ogniska i w niepewnym blasku ognia zapisała słowa w notatniku, który jej kiedyś sporządził Mo... dawno temu, w tym innym życiu, po kłótni, której sensu już nie rozumiała.

„W końcu zupełnie się zagubisz w tym Atramentowym Świecie” - coś takiego jej wtedy powiedział. A teraz to on nie chce stąd odejść, chce wręcz zostać tu sam, bez niej.

Czarne litery na białym papierze. Jak dawno już nie czytała na głos. Kiedy zrobiła to po raz ostatni? Kiedy sprowadziła Orfeusza?

„Nie myśl o tym, Meggie... Pomyśl o tych innych razach, o Mrocznym Zamku, o słowach, które go uleczyły...”.

Strzeż się, Piszczalko, bo twój koniec blisko.

Wciąż to potrafiła, czuła, jak słowa materializują się na języku, nabierają ciężaru, wiążą się ze światem, który ją otaczał...

Patrz, jak się Żmija w strasznym bólu wije, wnet księga resztki życia zeń wypije. To Sójka jego kolana zgina...

Słała te słowa Mo pogrążonemu we śnie, tkala mu z nich żelazny pancerz, nie do przebiccia nawet dla Piszczalki i jego mrocznego pana...

...Sójka, którego miecz się nie ima. Psy zgubią trop, a on hop, hop! odleci w dal, będzie wam żal.

Meggie wiele razy czytała na głos pieśń Fenoglia. Czytała bez przerwy aż do wschodu słońca.

Rozdział 35

Następna strofa

Tylko raz ten świat przemierzę, gdzie się tyle zła skądś bierze. Gdy więc komu zrobić mogę co dobrego, idąc w drogę, czy mężczyźnie, czy kobiecie, chętnie czynię to, bo przecie przez doliny te i góry już nie przejdę po raz wtóry.

Anonim, Nigdy już nie pójdę tą drogą

Dzień wstał zimny, mglisty i bezbarwny. Ombra wyglądała tak, jakby włożyła szarą suknię. Kobiety już od świtu stały pod zamkiem, ciche jak cały ten dzień przyczajony w oczekiwaniu.

Nikt nie wołał radośnie, nie śmiał się ani nie płakał. Panowała cisza. Resa stała pośród innych matek, jakby i ona czekała na swoje dziecko, a nie na to, że straci męża. Czy dziecko, które nosiła pod zbolałym sercem, czuło tego ranka bezdenną rozpacz matki? A może nigdy nie zobaczy ojca? Czy Mo odczuł choć cień wahania, jeśli w ogóle przyszło mu to do głowy?

Meggie była obok niej; twarz miała tak spokojną, że Resę napawało to lękiem, wołałaby, żeby córka płakała. Obok Meggie stał Doria przebrany za służącą, w chustce na kasztanowatych lokach, gdyż w Ombrze chłopcy w jego wieku zwracali na siebie uwagę. Brat nie zabrał się z nimi, bowiem żadne krawieckie sztuczki Baptysty nie byłyby w stanie zrobić z niego kobiety. Za to kilku innych zbójców w kobiecych sukniach wśliznęło się przez bramę miejską i nawet Resa nie potrafiła ich rozpoznać w tłumie matek. Zgodnie z poleceniem Czarnego Księcia mieli oni, gdy tylko dzieci zostaną uwolnione, przekonać matki, by nazajutrz przyprowadziły synów i córki do lasu, gdzie następnie zbójcy ich ukryją. Nie można

było wykluczyć, że Piszczalka złamie dane słowo i ponownie uwięzi dzieci, by je wywieźć do kopalń. A kto je wtedy wykupi, skoro Sójka będzie w niewoli?

Sam Czarny Książę nie zjawił się w Ombrze, gdyż zdradziłaby go ciemna twarz. W obozie został też Drab, do ostatniej chwili prześladowający Mo z powodu jego decyzji, a także Farid i Roksana. Chłopiec oczywiście chciał jechać z innymi, ale Smo-lipaluch surowo mu tego zabronił, a Farid słuchał go ślepo po tym, co się stało na Żmijowej Górze.

Resa zerknęła na Meggie. Jeśli ktoś mógł ją pocieszyć w takiej chwili, to tylko córka. Meggie była dorosła. Resa zrozumiała to tego ranka.

„Nikogo nie potrzebuję” - zdawała się oznajmiać jej twarz Dorii, matce, a przede wszystkim ojcu.

W tej chwili szept przebiegł przez oczekujący tłum, gdy na murach zamkowych wzmocniono warty, a obok blanków nad bramą zamkową ukazała się Wiolanta. Była tak blada, że można było uwierzyć plotce, iż od drugiej śmierci męża córka Żmi-jogłowego nie opuszczała zamkowych murów.

Resa nigdy dotąd nie widziała Brzydkiej Wiolanty, ale oczywiście słyszała o znamieniu na policzku szpecącym jej twarz niby oparzelina, które podobno zbladło, kiedy Cosimo powrócił do żywych. Rzeczywiście, znamię było ledwie bladym cieniem, lecz Wiolanta odruchowo dotknęła policzka, gdy ujrzała pod sobą morze głów oczekujących kobiet. „Brzydka...” - niesło się z ust do ust. Ale według Resy Wiolanta nie była ani brzydka, ani piękna. Trzymała się prosto, jakby dla powetowania niskiego wzrostu, lecz przy obu mężczyznach, którzy stali po jej bokach, wydawała się tak młoda i krucha, że Resa poczuła ukłucie w sercu. Piszczalka i Szczapa. Wiolanta wyglądała przy nich jak dziecko. Jak ta dziewczynka zamierza ochronić Mo?

W tej chwili mały chłopiec w metalowej osłonie na nosie podobnej do srebrnego nosa Piszczalki przepchnął się do przodu i stanął obok Srebrnonosego. To musiał być Jacopo, syn Wio-lanty. Mo opowiadał jej o nim. Chłopiec widocznie wolał towarzystwo Piszczalki niż własnej matki, sądząc po tym, z jakim podziwem patrzył na herolda swojego dziadka.

Resie zakręciło się w głowie, gdy zobaczyła dumnie wyprostowanego Piszczalkę. Nie, Wiolanta na pewno nie ochroni Mo, bo to Piszczalka był teraz panem zamku, a nie ona ani nie Szczapa spoglądający na poddanych z zarozumiałą i skrzywioną miną, jakby już sam ich widok przyprawiał go o mdłości. Za to Piszczalka promieniał zadowoleniem; był to dzień jego triumfu.

„No i co, wyszło na moje? - mówiło jego drwiące spojrzenie. - Złapię ptaszka, a wasze dzieci i tak zabiorę do kopalń”.

Dlaczego tu przyjechała? Dlaczego sama siebie krzywdzi? Tylko po to, by się przekonać na własne oczy, że to wszystko dzieje się naprawdę, że to nie fikcja literacka?

Kobieta stojąca obok chwyciła ją za ramię, szepcząc:

- Jedzie!

Naokoło rozległy się inne szepty:

- Jedzie! Naprawdę jedzie!

Teraz dopiero Resa zobaczyła, że straż na wieżach daje Piszczalce znaki.

Oczywiście, że jedzie! A co one sobie myślały? Ze złamie dane słowo?

Poprawiając perukę, Szczapa z triumfującą miną uśmiechnął się do Piszczalki, jakby to on osobiście wystawił długo poszukiwaną zwierzynę, ale tamten nie zwracał na niego uwagi. Wpatrywał się w uliczkę prowadzącą od bramy miejskiej na zamek oczami szarymi jak niebo i równie jak ono zimnymi. Resa bardzo dobrze pamiętała te oczy, podobnie jak uśmiech, który wykrzywił teraz jego wąskie wargi. Tak samo uśmiechał się w Twierdzy Capricorna, gdy szykowałą się egzekucja.

A potem zobaczyła Mo.

Pojawił się nagle u wylotu ulicy, na czarnym koniu, którego podarował mu książę, gdy musiał swego pozostawić na zamku. Maskę, którą zrobił dla niego Baptysta na tę okazję, zwisała mu na piersi. Nie potrzebował jej już, by być Sójką. Introligator i zbójca mieli teraz jedną twarz.

Za nim jechał Smolipaluch - na tym samym koniu, który zaniósł niegdyś Roksanę i zbawienne słowa Fenoglia aż do Mrocznego Zamku. Ale na to, co się teraz miało wydarzyć, nie było słów. Chociaż kto wie? Może cisza spowijająca Ombre też była utkana ze słów?

„Nie, Reso - myślała. - Tą historią nie kieruje już żaden poeta, to, co się teraz stanie, Sójka napisze własną krwią”.

Kiedy go ujrzała u wylotu uliczki, nawet ona nie znalazła dla niego innego imienia. Sójka. Kobiety rozstępowały się niechętnie, jakby nagle i one uznały, że cena za życie ich dzieci jest za wysoka. Wreszcie jednak utworzył się szpaler i dwaj jeźdźcy ruszyli do bramy zamkowej. Z każdym uderzeniem kopyt końskich o bruk palce Resy coraz mocniej zaciskały się na fałdach sukni.

„O co chodzi? Przecież zawsze uwielbiałaś takie historie? - myślała z goryczą, a serce podchodziło jej do gardła. - I ta by ci się spodobała, gdybyś tylko czytała o niej. Zbójca oswobadza dzieci, oddając się w ręce wroga... Przyznaj, że z najwyższą rozkoszą czytałabyś każde słowo!”.

Tak, ale bohaterowie takich historii nie mieli żon. Ani córek.

Meggie wciąż stała nieruchomo, zdawało się, że to wszystko jej nie dotyczy, ale oczy miała utkwione w ojcu, jakby jej spojrzenie mogło go ochronić. Mo przejechał tak blisko nich, że gdyby Resa wyciągnęła rękę, mogłaby dotknąć jego konia. Kolana się pod nią ugięły. Wczepiła się w ramię najbliższej stojącej kobiety, by nie upaść. Było jej niedobrze i słabo.

„Przyjrzyj mu się, Reso - myślała - przecież po to tu przyjechałaś. Żeby go zobaczyć po raz ostatni”.

Czy teraz Mo odczuwa strach? Ten strach, który przez tyle nocy nie pozwalał mu spać, strach przed kratami i pętami?

„Zostaw drzwi otwarte, Reso...”.

„Jest z nim Smolipaluch” - myślała, ale była to słaba pociecha. Połykacz ognia jechał tuż za nim i nie bał się, gdyż cały strach pozostawił w krainie śmierci.

„Tak, ale Smolipaluch zostanie po tej stronie murów, a za bramą na Mo czeka Piszczalka!” - szeptało jej serce.

Znów ugięły się pod nią nogi, lecz nagle poczuła ramię Meggie: córka podtrzymywała ją pewną ręką, jakby z nich dwóch to ona była starsza. Resa ukryła twarz na ramieniu Meggie, a wszystkie matki tęsknie spoglądały na zamkniętą bramę.

Mo ściągnął wodze. Smolipaluch jechał teraz obok niego, patrząc tak obojętnie przed siebie, jak tylko on to potrafił. Resa wciąż nie mogła się przyzwyczaić, że jego blizny zniknęły. Wyglądał teraz o wiele młodziej. Wiele spojrzeń kierowało się ku Ognistemu Tancerzowi, którego Sójka przyprowadził z krainy umarłych.

- Piszczalka nic mu nie może zrobić! - szeptała jakaś kobieta obok niej. - Nie! Jak zdołaliby zatrzymać Sójkę, skoro nawet śmierć go nie zatrzymała?

„Może Piszczalka jest większym mordercą niż śmierć?” - pomyślała Resa, ale nie powiedziała tego głośno, tylko w milczeniu przyglądała się Srebrnonosemu.

- Rzeczywiście! To Sójka we własnej osobie! - Jego stłumiony głos niósł się wyraźnie w ciszy, jaka znów spowiła Ombre. - A może nadal twierdzisz, że jesteś kimś innym, jak wtedy w Mrocznym Zamku, pamiętasz? Jesteś w łachmanach. Brudny włóczęga! Właściwie spodziewałem się, że przyślesz zastępcę w nadziei, iż osiągniesz cel, nim zajrzemy mu pod maskę.

- Kłamiesz! Nie jesteś aż takim głupcem, Piszczalko! - Twarz Mo płonęła dziką nienawiścią. - A może wolisz, żebym cię nazywał zgodnie z twoją profesją: Dzieciobójcą? Jak ci się podoba to imię?

Resa nigdy jeszcze nie słyszała takiej nienawiści w jego głosie - głosie, który przywoływał do życia umarłych. W jakim napięciu go słuchali! Bo mimo nienawiści i gniewu brzmiał on wciąż miękko i ciepło w porównaniu z głosem Piszczalki.

- Możesz mnie nazywać, jak ci się żywnie podoba, introligatorze! - odkrzyknął Piszczalka, oparłszy dłonie na blankach. - A jeśli o to chodzi, to ty sam podobno nieźle opanowałeś rzeź-nicki fach. Ale po co przyprowadziłeś Pożeracza Ognia? Nie przypominam sobie, żebym go zapraszał na zamek! I gdzie się podziały jego blizny? Zostawił je w krainie umarłych?

W tej chwili jeden z blanków, o który opierał się Piszczalka, stanął w płomieniach, które syczały słowa znane tylko Smolipa-luchowi.

Srebrnonosy cofnął się gwałtownie i jał gasić rękawicą tłące się na nim ubranie. Syn Wiolanty schował się za jego plecami i zafascynowany przysłuchiwał się mowie ognia.

- Różne rzeczy zostawiłem w krainie umarłych. A kilka przywiozłem ze sobą. - Smolipaluch mówił spokojnie, a płomień jak na komendę ukryły się w blanku, jakby czekały, aż znów je wywoła. - Przyjechałem cię ostrzec, byś dobrze traktował swojego gościa. Ogień jest teraz tak samo jego przyjacielem jak moim. Nie muszę ci przypominać, jak potężny to sprzymierzeniec.

Z twarzą pobladłą z gniewu Piszczalka ocierał sadzę z rękawiczki, ale zanim zdążył coś odpowiedzieć, Szczapa wychylił się za mur i zawołał głosem przypominającym jazgot gęsi Roksany:

- Gościa? Czy to właściwe określenie dla rozbójnika, na którego kat czeka w Mrocznym Zamku?

Wiolanta odsunęła go na bok, jakby był jednym z jej sług.

- Sójka mnie się oddaje w niewolę, namiestniku! Tak jest uzgodnione. I pozostaje pod moją opieką, dopóki nie przybędzie mój ojciec.

Jej głos zabrzmiał ostro, wyraźnie i z mocą, jakiej nikt by się nie spodziewał po tak wątłej postaci. Na chwilę w Resie odżyła nadzieja.

„A może ona jednak potrafi go obronić!” - pomyślała i tę samą nadzieję dostrzegła w oczach Meggie.

A Mo i Piszczalka wciąż mierzyli się wzrokiem. Tryskająca z nich nienawiść zdawała się łączyć ich niewidzialnymi nićmi. Resa pomyślała o nożu, który Baptysta tak przemyślnie zaszył w ubraniu Mo, i nie wiedziała, czy to, że Mo ma przy sobie broń, uspokaja ją, czy też napawa lękiem.

- A więc dobrze, niech będzie, że jest naszym gościem! - krzyknął Piszczalka. - A to znaczy, że winniśmy mu okazać specjalną gościnność. W końcu tak długo na niego czekaliśmy.

Uniósł dłoń w osmalonej rękawiczce i strażnicy przed bramą skierowali piki przeciwko Mo. Kilka kobiet krzyknęło ze strachu. Resie zdawało się, że słyszy także krzyk Meggie, lecz ona sama nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Wartownicy na wieżach napięli kusze.

Wiolanta odepchnęła syna i postąpiła krok w kierunku Piszczalki. Z palców Smolipalucha wystrzeliły płomienie i przycziły się jak tygrys zamknięty w klatce, a Mo wyciągnął dobrze znany Piszczalce miecz.

- Co to ma znaczyć, Piszczalko? Natychmiast wypuść dzieci! - wyrzekł z zimną wściekłością, Resa nie poznawała jego głosu. - Wypuść je albo będziesz musiał powiedzieć swemu panu, że jego ciało nadal będziegniło, gdyż przywozisz mu martwego Sójkę.

Jedna z kobiet rozszlochała się, druga zatkała jej usta dłonią. Tuż obok Resa rozpoznała Minerwę, gospodynię Fenoglia. Prawda, jej dzieci też zostały porwane. Ale Resa nie chciała myśleć

O dzieciach Minerwy ani żadnych innych. Myślała tylko o pikach skierowanych w pierś Mo i wycelowanych w niego kuszach.

- Piszczalko! Ostrzegam cię! - odezwała znów się Wiolanta

I Resa odetchnęła z ulgą. - Wypuść dzieci.

Szczapa spojrział tęsknie na kuszników a Resa struchlała, myśląc, że za chwilę wyda im rozkaz strzelania - tylko po to, by złożyć trupa Sójki u stóp Zmijogłowego jako własną zasługę. Tymczasem jednak Piszczalka dał znak strażnikom i rzekł zduszonym głosem:

- Otwórzcie bramę! Wypuście dzieci, a wpuście Sójkę! Resa znów ukryła twarz na ramieniu córki. Meggie była tak samo opanowana jak jej ojciec, ale wzrok miała wciąż utkwiony w nim, jakby się bała, że go straci, gdy tylko spuści go z oczu.

Brama poczęła się wolno rozwierać, skrzypiąc i zacinając się, aż wreszcie strażnicy otworzyli ją na oścież.

I wtedy ukazały się dzieci. Wylały się gęstym strumieniem, jakby od dawna czekały za zamkniętą bramą. Maluchy potykały się i przewracały, chcąc jak najszybciej opuścić wrogie mury, starsze dzieci pomagały im się podnieść. Wszystkie miały wypisany na twarzy strach zbyt wielki dla ich drobnych postaci. Najmłodsze rzucały się w tłum kobiet, gdy tylko dostrzegły w nim swoje matki, lecz starsze jakby się ociągały, spoglądając nieufnie na

mijanych strażników, i zatrzymywały się na widok obu mężczyzn na koniach czekających pod bramą.

- Sójka! - niósł się szept z dziecięcych ust i zdawał się wypisywać na niebie to tajemnicze imię: Sójka! Sójka!

Dzieci tręcały się łokciami, wskazywały palcami na Mo i z nabożnym podziwem przyglądały się iskrom spowijającym Smolipalucha niby rój roztańczonych wrózek.

- Ognisty Tancerz...

Coraz więcej dzieci otaczało konie, dotykało nóg jeźdźców, jakby chciało się przekonać, czy są to prawdziwi ludzie z krwi i kości. Dotąd znały ich tylko z pieśni, które matki cicho śpiewały im przy łóżeczkach.

Mo nachylił się, coś mówiąc do dzieci i dając im znak, by się rozstąpiły. Po raz ostatni obejrzał się na Smolipalucha i skierował konia ku otwartej bramie.

Ale dzieci go nie puściły.

Troje z nich, dwaj chłopcy i dziewczynka, zastąpiło mu drogę, ciągnęły za cugle, próbując nie dopuścić do tego, by udał się tam, skąd one właśnie wyszły, wiedząc, że zginie za tymi murami, jak byłyby zginęły one. Coraz więcej dzieci otaczało jego konia, osłaniało go przed pikami żołnierzy, nie zwracając uwagi na nawoływania matek.

- Sójko! - Ostry głos Piszczalki przeciął stłumiony gwar głosów. Przerazone dzieci odwróciły głowy. - Albo wjeżdżasz do środka, albo połapiemy je z powrotem i powiesimy w klatkach nad bramą, żeby je kruki rozdziobały!

Dzieci ani drgnęły. Z zadartymi głowami gapiły się na Srebr-nonosego wysoko na murach i stojącego obok niego chłopca, który był młodszy od nich. Tymczasem Mo ujął cugle w dłonie i jał torować sobie drogę przez tłum dzieci z taką ostrożnością i miłością, jakby każde było jego własne. A dzieci odprowadzały go wzrokiem, gdy samotnie ruszył ku wielkiej bramie.

Obejrzał się po raz ostatni, zanim minął strażników, jak gdyby czuł, że żona i córka stoją w tłumie. Resa ujrzała strach malujący się na jego twarzy. Meggie też musiała to widzieć.

Brama poczęła się zamykać, zanim na dobre wjechał do środka.

- Rozbroić go! - krzyknął Szczapa.

Ostatnie, co Resa zobaczyła, nim brama zamknęła się do końca, to byli żołnierze ściągający Mo z konia.

Rozdział 36

Nieoczekiwana wizyta

Pan Bóg wziął głęboki wdech. Kolejne zażalenie! Czy doczeka się, żeby przyszedł do niego bez zażalenia? Ale uniósł brwi do góry, uśmiechnął się serdecznie i zawołał:

- Cześć! Jak tam marchewki? Wschodzą?

Ted Hughes, Tajemnica żony Człowieka

Ach, Despina! Jak dobrze znów widzieć jej drobną twarzyczkę! Błada i wystraszona dziewczynka przypominała pisklę, które wypadło z gniazda. A Iwo - czy był już taki duży, zanim ten drań Kopeć przyłożył rękę do porwania dzieci? Jaki był chudziutki... i miał krew na ubraniu.

- Szczury nas pogryzły - wyjaśnił z miną dorosłą i nieustraszoną, jaką chętnie przybierał od śmierci ojca.

Ale w jego dziecinnych oczach Fenoglio dostrzegł strach. Mój Boże, szczury!

Nie mógł się od nich oderwać, ścisnął je i całował bez końca. Czuł taką ulgę. Owszem, łatwo sobie wybaczał złe rzeczy, które się wydarzyły, ale gdyby jego historia zabiła jeszcze dzieci Mi-nerwy, pewnie by się już z tego nie wydźwignął. Na szczęście jej maluchom nic się nie stało, a w dodatku to on powołał do życia tego, który je uratował.

- Co oni teraz z nim zrobią? - spytała ze smutkiem Despina, wysuwając się z jego objęć.

Do licha! Najgorsze w dzieciach było to, że zadawały niewygodne pytania, których samemu wolałoby się uniknąć. A w dodatku udzielały na nie odpowiedzi, których nie miało się ochoty usłyszeć!

- Zabiją go! - stwierdził Iwo, a w oczach siostry błysnęły łzy. Jak to możliwe, by płakała z powodu obcego? Dzisiaj widziała Mortimera po raz pierwszy.

„To twoje pieśni nauczyły ją kochać go, Fenoglio - pomyślał. - Wszyscy go kochają, a dzisiejszy dzień przypieczętuje tę miłość w ich sercach”.

Cokolwiek Piszczalka z nim uczyni, Sójka będzie równie nieśmiertelny jak Zmijogłowy. Jego nieśmiertelność była nawet pewniejsza, gdyż Zmijogłowego mogą zabić trzy słowa, podczas gdy Mortimera słowa będą zawsze utrzymywały przy życiu, choćby nawet zginął za murami zamku - te wszystkie słowa, które już teraz szepce się i śpiewa jak Ombra długa i szeroka.

Despina otarła łzy i spojrzała z nadzieją na Fenoglia, wyraźnie oczekując, że zaprzeczy temu, co powiedział jej starszy brat. I nie zawiodła się.

- Iwo! - powiedział surowo pisarz. - Co ty za głupstwa opowiadasz? Myślisz, że Sójka nie miał planu, kiedy oddawał się w ręce Piszczalki? Myślisz, że da się złapać jak zając w pułapkę?

Despina uśmiechnęła się z ulgą, ale Iwo nie wyglądał na przekonanego.

- Oczywiście, że nie! - odezwała się Minerwa, która milczała, od kiedy przyprowadziła dzieci do jego pokoju. - Jest lisem, a nie zajacem! Wszystkich ich wywiedzie w pole.

A więc w jej sercu też kielkowała jego pieśń. Nawet w tych mrocznych chwilach Sójka pozostawał ucieleśnieniem nadziei.

Minerwa zabrała dzieci, zapewne po to, by je wreszcie nakarmić tym, co było jeszcze w domu. Fenoglio został sam z Kryształkiem, który w ponurym milczeniu mieszał w kałamarnicy przez cały czas, gdy Fenoglio cieszył się odzyskanymi dziećmi.

- Wszystkich ich wywiedzie w pole? - odezwał się cienkim głosikiem, gdy tylko Minerwa zamknęła za sobą drzwi. - Ciekawe jak? Powiem ci, co myślę. To już koniec sławnego zbójcy! A jego egzekucja będzie wyjątkowo nieapetyczna, nie ma co do tego wątpliwości. Mam nadzieję, że stracą go w Mrocznym Zamku. Bo oczywiście nikogo to nie obchodzi, co takie krzyki i płacze potrafią zrobić z biedną głową szklanego ludzika!

Bezдушny szklany cymbał! Fenoglio rzucił w niego korkiem od butelki, ale Kryształek był przyzwyczajony do takiego traktowania i w porę uchylił głowę. Dlaczego właśnie jemu musiał się trafić taki pesymistyczny egzemplarz? Kryształek nosił lewą rękę na temblaku. Po pamiętnym przedstawieniu Kopia Fenogliowi udało się go namówić na jeszcze jedną szpiegowską akcję u Orfeusza, a ten okropny szklany ludzik poety rzeczywiście wyrzucił go przez okno. Dobrze, że Kryształek wylądował w rynnie i skończyło się na złamanej ręce. Ale Fenoglio nadal nie wiedział, czy to Orfeusz napisał scenę porwania dzieci. Nie, to niemożliwe! Orfeusz nie potrafił niczego dokonać bez jego książki, którą - tyle przynajmniej dowiedział się Kryształek - Smolipaluch mu zabrał. A zresztą scena była po prostu za dobra jak na Cielęcą Głowę.

„Wszystkich ich wywiedzie w pole...”

Fenoglio podszedł do okna, a szklany ludzik, wdychając z powodu doznanej niesprawiedliwości, poprawiał swój temblak. Czy Mortimer naprawdę ma plan? Skąd mógł to wiedzieć, do diabła! Mortimer nie był postacią z jego książki, choć odgrywał rolę jednej z postaci.

„I w tym całe nieszczęście! - myślał Fenoglio. - Gdyby był stworzony przeze mnie, wiedziałbym przynajmniej, co się teraz dzieje za tymi przeklętymi murami”.

Z ponurą miną przyglądał się wieżom zamkowym widocznym ponad dachami. Biedna Meggie. Oczywiście znów obarczy go całą winą. Tak jak jej matka. Przypominał sobie błagalne spojrzenie Resy i jej słowa: „Musisz nas odesłać do domu! Jesteś nam to winien!”. Może szkoda, że nawet nie spróbował. Co będzie, jeśli zabiją Mortimera? Chyba lepiej, żeby wszyscy troje wraz z nim wrócili do domu. Co miałyby tu robić po śmierci Mortimera? Przyglądać się, jak jego historię opowiada nieśmiertelna Żmija i Piszczalka ze srebrnym nosem?

- Oczywiście, że to tutaj. Słyszałeś, co powiedziała: po schodach na górę. A widzisz tu inne schody? Opamiętaj się, Dariuszu!

Kryształek w jednej chwili zapomniał o złamanej ręce i wlepił wzrok w drzwi.

Jakaś kobieta stała za drzwiami!

Ktoś zapukał i nim Fenoglio zdążył powiedzieć „proszę”, do pokoju bezceremonialnie wtoczyła się tęga jejmość w sukni przypominającej kostium z prowincjonalnego teatru. Na ten widok Fenoglio cofnął się przestraszony, uderzając boleśnie głową o skośny sufit mansardy.

- No proszę! To on! - oznajmiła kobieta z taką pogardą, że Fenoglio od razu przypomniał sobie wszystkie dziury w ubraniu.

„Skądś znam tę kobietę, ale skąd?” - myślał gorączkowo.

- Co się tu wyprawia, co? - zawołała wojowniczo, stukając go paluchem w pierś, jakby chciała przedziurawić jego skolatane serce.

Tego chudzielca też już gdzieś widział. No tak, spotkał go w...

- Dlaczego na zamku powiewa flaga Żmijogłowego? Kim jest ten obrzydliwy facet ze srebrnym nosem? Dlaczego żołnierze nastawili piki na Mortimera i od kiedy to, do diabła, Mortimer nosi miecz u pasa?

Pozeraczka książek, oczywiście! Elinor Loredan. Meggie wiele mu o niej opowiadała. On sam widział ją ostatni raz przez kratę jednej z psich bud na placu w wiosce Capricorna. A ten wystraszony mydłek o swoim spojrzeniu to przecież dawny lektor Capricorna! Ale jego nazwiska za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć. Skąd oni się tu wzięli? Czy teraz wydają wizy turystyczne do jego historii?

- Przyznaję, że mi ulżyło, kiedy zobaczyłam Mortimera żywego - ciągnął nieproszony gość („Czy ona nie musi robić przerw, by zaczerpnąć powietrza?”). - Dzięki Bogu jest cały i zdrowy, chociaż wcale mi się nie spodobało, że pojechał sam na zamek. Ale gdzie jest Resa i Meggie? A co z Mortolą, Basta i Orfeuszem, tym nadętym pyszałkiem?

Boże święty, ta osoba była naprawdę tak okropna, jak ją sobie wyobrażał! A jej towarzysz - Dariusz! ależ tak, tak właśnie ma na imię - przyglądał się Kryształkowi z niekłamanym zachwytem, aż szklany ludzik z dumą przyglądził blad różowe włosy.

- Cisza! - wrzasnął Fenoglio. - Na miłość boską, niech pani wreszcie zamknie usta!

Wszystko na nic. Zero reakcji.

- Coś im się przytrafiło! Niech się pan przyzna! Dlaczego Mortimer był sam? - Znow wierciła mu palcem dziurę w piersi.

- Tak, na pewno Meggie i Resę spotkało coś strasznego... Olbrzym je stratował, dzikie zwierzę wzięło je na rogi...

- Nic im się nie stało! - udało się wtrącić Fenogliowi, kiedy kobieta wreszcie zrobiła pauzę, by złapać oddech. - Są u Czarnego Księcia!

- U Czarnego Księcia? - Jej oczy zrobiły się okrągłe, podobnie jak oczy jej towarzysza okularnika. - Och...

- Tak! I jeśli się tu komuś przytrafi coś strasznego, to tylko Mortimerowi! I dlatego - tu Fenoglio brutalnie chwycił ją za ramię i pociągnął do drzwi - niech się pani wynosi, do diabła, żebyśmy mogli spokojnie pomyśleć!

Kobieta rzeczywiście zamilkła, ale tylko na chwilę.

- Coś strasznego? - spytała. Kryształek odjął dłonie od uszu.

- Co pan przez to rozumie? Kto pisze to, co się tu dzieje? Zdawało mi się, że to pan.

Cudownie! Niech jeszcze i ona rozdrapuje krwawiącą ranę.

- Nie, wcale nie! - wrzasnął. - Teraz ta historia opowiada się sama, a Mortimer dzisiaj właśnie zapobiegł wysoce niepożądanemu zwrotowi akcji! Niestety, prawdopodobnie da za to głowę, a pani najlepiej zrobi, jak weźmie jego żonę i córkę i czym prędzej wróci tam, skąd pani przybyła! Bo wygląda na to, że znalazła pani jakieś przejście.

Z tymi słowy otworzył drzwi pokoju, ale signora Loredan zatrasnęła je z impetem.

- Da głowę? Co to znaczy? - zawołała, uwalniając ramię z jego uścisku („Ależ ta kobieta miała krzepę!”).

- To znaczy, że niestety go powieszają, zetną mu głowę albo poćwiartują, albo też Zmijogłowy wymyśli jeszcze straszniejszy rodzaj śmierci dla swego najgorszego wroga!

- Najgorszy wróg? Mortimer? - Elinor z niedowierzaniem zmarszczyła czoło, jakby Fenoglio był starym głupcem, który nie wie, co mówi.

- On z niego zrobił zbójcę!

To odezwał się Kryształek. Nędzny zdrajca! Wycelował oskarżycielsko w Fenoglię cienki szklany palec. Pisarz miał ochotę porwać go z pulpitu i przełamać na pół.

- On uwielbia zbójckie historie - opowiadał gościom Kryształek tak poufale, jakby znał ich od dawna. - Ma bzika na ich punkcie, a biedny ojciec Meggie złapał się w sidła jego słów jak mucha w pajęczynę!

Tego było już za wiele. Fenoglio pomaszerował do pulpitu, lecz kobieta zastąpiła mu drogę.

- Niech się pan nie waży tknąć tej bezbronnej istoty! - Patrzyła na pisarza wściekle jak buldog. Boże, co to za okropny babsztyl! - Mortimer zbójcą? To najspokojniejszy człowiek, jakiego znam!

- Ach tak? - zawołał Fenoglio, a Kryształek pospiesznie zatkał sobie uszy. - Ale nawet najspokojniejszy człowiek traci spokój, kiedy prawie ginie od kuli, zostaje rozdzielony z żoną i spędza ileś tygodni w lochu! I to nie jest moje dzieło, cokolwiek opowiada ten zakłamany skrzat! Przeciwnie! Bez pomocy moich słów Mortimer zapewne już dawno byłby martwy! - Kula? Lochy?

Signora Loredan rzuciła swojemu towarzyszowi zdumione spojrzenie.

- To mi wygląda na długą historię, Elinor - odezwał się tamten łagodnie. - Może lepiej będzie, jak jej wysłuchasz...

Zanim jednak Fenoglio zdążył jakkolwiek zareagować, w drzwiach ukazała się głowa Minerwy.

- Fenoglio - zwróciła się do niego, zerkając na gości. - De-spina nie daje mi spokoju. Martwi się o Sójkę i chce, żebyś jej opowiedział, w jaki sposób się uratuje.

Tylko tego jeszcze brakowało! Fenoglio westchnął ciężko, udając, że nie słyszy drwiącego parsknięcia Kryształka. Powinien go porzucić w Nieprzebytym Lesie!

- Przyślij ją do mnie - odrzekł, chociaż nie miał najmniejszego pojęcia, co powiedzieć małej.

Ach, gdzie się podziały te wspaniałe czasy, kiedy miał głowę pełną pomysłów? Te wszystkie nieszczęścia całkiem wyjałowiły jego umysł.

- Sójka? Chyba właśnie tak nazwał Mortimera ten że srebrnym nosem...

Boże, zapomniał o przybyszach!

- Wynocha z mojego domu! - zawołał wściekły. - Wynocha z mojej historii! Za dużo tu intruzów!

Ale bezczelna kobieta rozsiadła się w fotelu przy jego stoliku, skrzyżowała ręce na piersiach i postawiła stopy na podłodze z taką stanowczością, jakby zamierzała zapuścić tu korzenie.

- O nie! Chcę usłyszeć tę historię! - powiedziała. - Od początku do końca!

Coraz lepiej! Co za okropny dzień! I nie wiadomo, czy to już koniec niespodzianek!

- Atramentowy Tkaczu? - odezwała się cichutko Despina. Stała w progu zapłakana, a kiedy zobaczyła obcych ludzi,

chciała uciec, ale Fenoglio podszedł do niej i wziął ją za rękę.

- Minerwa mówi, że chcesz, abym ci opowiedział o Sójce. Despina zawstydzona skinęła głową, nie spuszczać wzroku z obojga gości.

- To się dobrze składa - rzekł Fenoglio, siadając na łóżku i biorąc dziewczynkę na kolana. - Moi goście też chcą się czegoś o nim dowiedzieć. Może opowiemy im wspólnie całą historię, co?

Despina skinęła główką.

- O tym, jak przechrzył Żmijogłowego i przyprowadził Ognistego Tancerza z krainy umarłych? - szepnęła.

- Właśnie - potwierdził Fenoglio. - A potem wspólnie opowiemy sobie, co będzie dalej. Po prostu będziemy dalej śpiewać pieśń o Sójce. W końcu jestem Atramentowym Tkaczem, czyż nie?

Despina znów skinęła główką i spojrzała na niego z taką nadzieją, że poczuł ból w sercu. Tkacz, któremu skończyła się przędza. Lecz nie, przędzy miał pod dostatkiem, tylko nie umiał powiązać nici.

Signora Loredan nagle ucichła, patrząc na niego z taką samą nadzieją jak Despina. Dariusz utkwiał w nim swoim spojrzeniem, gotów spijać z jego warg każdą słówko. Tylko Kryształek odwrócił się do niego plecami i ostentacyjnie mieszał w kałamarzu, wyraźnie chcąc mu przypomnieć, jak długo już czyni to na darmo.

- Fenoglio! - Despina pogłaskała jego pomarszczone policzki. - Zaczynaj!

- Tak, niech pan zaczyna! - powtórzyła kobieta.

Signora Loredan! Nie zdążył jej nawet zapytać, jak się tu dostała. Jakby w tej historii nie było już dość kobiet! A Jąkała okaże się zapewne wątpliwym wzbogaceniem wątku.

Despina szarpała go niecierpliwie za rękaw. Skąd tyle nadziei w jej zapłakanych oczkach? W jaki sposób nadzieja zdołała przeżyć podstępny czyn Kopcia i te wszystkie dni i noce w lo chach zamkowych?

„Dzieci - pomyślał Fenoglio. - Jeśli ktokolwiek może sprawa wić, by słowa do mnie wróciły, to tylko one”.

Rozdział 37

To tylko sroka

A w tej chwili cieniutkiej strudze jakich przygód nowych doznała?

Była ptakiem, czarodziejką, ogniowi, wodzie rozkazywała.

Franz Werfel, Zaklinalnia 1918-1921

Dom, w którym mieszkał Fenoglio, przypominał Orfeuszowi te nędzne domostwa, w których on sam jeszcze do niedawna się gnieździł: pochylony ze starości, o pleśniejących ścianach i oknach, przez które widać było podobne nędzne domy i przez które zaciągał deszcz, gdyż szyby w tym świecie były luksusem tylko dla bogatych. Ze wstrętem ukrywał się w najciemniejszym kącie podwórka od strony kuchni, pająki łąziły po zamszowych rękawach jego eleganckich szat, kurze odchody oblepiały drogie buty. A wszystko dlatego, że gospodyni Fenoglia przepędzała widłami każdego, kto się pojawił, od czasu gdy na jej oczach Basta zadźgał nożem waganta. Ale co mu pozostało? Musiał to wiedzieć! Musiał wiedzieć, czy Fenoglio znowu pisze.

Niechby tylko ten bezużyteczny Błyszczek powrócił, zanim on całkiem utonie w błocie i gnoju!

Cerber warujący u jego boku warknął głucho na widok chudej kury przebiegającej przez podwórze, ale Orfeusz zatkał mu pysk dłonią. Cerber... Oczywiście, że się ucieszył, gdy pewnego dnia pies począł drapać pazurami w drzwi jego domu. Ale już po chwili radość ustąpiła miejsca wątpliwościom. W jaki sposób Cerber dostał się do tej historii? Czy to oznaczało, że Fenoglio znowu pisze? To wszystko się nie kleiło, ale musiał się upewnić. Czy Fenoglio znowu pisze? Czy Smolipaluch oddał staremu książkę? Któż inny poza Fenogliem mógł wymyślić tę wzruszającą scenę, którą Sójka odegrał przed bramą zamkową? Zaskarbił sobie miłość spóśpółstwa! Do tej pory Piszczalka pewnie go już zakatował w lochu, ale swoim szlachetnym czynem introligator zyskał aureolę świętości.

Najpierw Orfeusz posłał oczywiście Ossa z Błyszczkiem, ale Góra Mięsa dał się zaskoczyć gospodyni Fenoglia. Nie miał się gdzie skryć i Błyszczek nie dotarł nawet do schodów. Musiał uciekać przed kurą, a kot o mało nie odgryzł mu głowy. To prawda, szklane ludziki nie były najlepszymi szpiegami, ale miały jedną bezsprzeczną zaletę: były malutkie. Tę zaletę miały też wróżki, ale te płocze istoty zapomniały o wszystkim, ledwie wyfrunęły przez okno. W końcu Fenoglio też używał swojego szklanego pomocnika do szpiegowania, chociaż Kryształek zupełnie się do tego nie nadawał.

Błyszczek był o wiele sprytniejszy od tamtego, ale niestety, cierpiał na lęk wysokości, dostawał zawrotów głowy, więc nie było mowy, by skradał się po dachach, jak ludzik Fenoglia. Zresztą po ziemi też się poruszał niezdarnie i trzeba go było po prostu przynieść i postawić na schodach prowadzących do pokoiku pisarza. Gdzie on się podziewał, u diabła! Pewnie, że pokonanie tych schodów równało się dla niego wspinaczce wysokogórskiej, ale mimo to... W komórce, za którą ukrył się Orfeusz, tłukła się koza - pewnie wyczuła psa - a jego buty nurzały się w cieczy, która podejrzenie dobrze pachniała Cerberowi. Wsadzał nos w śmierdzący szlam i Orfeusz musiał go co chwilę szarpać, by się trzymał nogi pana.

Nareszcie! Błyszczek zwinnie jak szara myszka zsuwał się schodek po schodku. O, był naprawdę zręczny jak na szklanego ludzika. Orfeusz miał nadzieję, że wieści, które zdobył, były warte tego całego zachodu, zwłaszcza zniszczonych butów.

Odczepił zrobiony przez kowala łańcuch, który służył za smycz, i Cerber podbiegł do schodów. Mimo protestów porwał w pysk szklanego ludzika i przyniósł go panu. Błyszczek twierdził, że ślina psa powoduje wysypkę na jego szklanej skórze, ale inaczej nie przedostałby się przecież przez błoto podwórka. Z okna wyjrzała jakaś starucha, ale na szczęście nie była to gospodyni Fenoglia.

- No? - spytał Orfeusz niecierpliwie, chwytając w ręce oślinionego Błyszczka.

Fe! Ślina psa rzeczywiście nie należała do najprzyjemniejszych rzeczy.

- Nie pisze! Ani linijki! - pospieszył z odpowiedzią pomocnik, ocierając rękawem mokrą twarz. - Mówiłem ci, mistrzu! Zapił się i postradał rozum! Ręce mu drżą na sam widok pióra, którego nie potrafi utrzymać.

Orfeusz spojrział w górę. W szparze pod drzwiami prowadzącymi do izby Fenoglia widać było światło; tamtędy zawsze wślizgiwał się Błyszczek.

- Jesteś tego pewien? - spytał, przytwierdzając łańcuch do obroży psa.

- Całkiem pewien! I książki też nie ma! Za to ma gości! Starucha wylała przez okno na ulicę wiadro pomyj. Cerber z rozkoszą obwąchiwał ciecz.

- Gości? To mnie nie interesuje. Do diabła! Jestem pewien, że znowu pisze!

Orfeusz rozejrzał się po szeregu nędznych domków. We wszystkich oknach paliły się świece. Tak było w całej Ombrze. Świece dla Sójki. Niech będzie przeklęty! Niech będą przeklęci wszyscy: Fenoglio i Mortimer, jego głupia córka... i Smolipaluch. Tak, jego przeklinał przede wszystkim. Smolipaluch zdradził go i okradł - jego, Orfeusza, człowieka, który przez całe życie składał swoje serce u jego stóp, który odesłał go z powrotem do tej historii, a teraz wyrwał z ramion śmierci. A jakim imieniem zwali go teraz ludzie? Ognistym Cieniem Sójki. Dobrze mu tak! On, Orfeusz, byłby go uczynił w tej opowieści czymś więcej

niż cieniem. Ale teraz skończył z tym - wypowiada im wszystkim wojnę. Już on im napisze taką historię, że długo popamiętają! Żeby tylko odzyskać tę książkę!

W tej chwili z domu wybiegło dziecko, przebiegło przez podwórko i zniknęło za jednym z chlewików. Najwyższy czas się stąd zabierać. Orfeusz startł chusteczką psią ślinę z Błyszczka, posadził go sobie na ramieniu i ostrożnie wycofał się na ulicę, nie czekając, aż dziecko wyjdzie z chlewu. Na ulicy tonęło się w błocie prawie tak samo jak na podwórzu.

- Puste kartki, same puste kartki, mistrzu! - szeptał Błyszczek, gdy pod osłoną nocy przekradali się do domu Orfeusza. - Najwyżej kilka przekreślonych zdań, przysięgam! Jego ludzik o mało mnie dzisiaj nie zobaczył, ale zdążyłem się schować w bucie jego pana. Nie wyobrażasz sobie, jak tam śmierdziało!

Owszem, Orfeusz doskonale potrafił to sobie wyobrazić.

- Każę służącym, by wyszorowały cię mydłem.

- Och, nie, lepiej nie! Ostatnim razem chyba z godzinę mi się odbijało od tej wody mydlanej, a moje stopy nabrały mlecznego koloru.

- Nie szkodzi. Wyobrażasz sobie, że pozwolę łązić po pergaminie szklanemu ludzikowi, który śmierdzi czyimiś nogami?

Naprzeciw nich szedł, zataczając się, strażnik nocny. Dlaczego te łotry były zawsze pijane? Orfeusz wcisnął osobnikowi kilka monet do pomarszczonej dłoni, żeby mu przypadkiem nie przyszło do głowy wezwać jeden z licznych patroli, jakie kręciły się po mieście, od kiedy Sójka zjawił się na zamku.

- A co z książką? Przeszukałeś wszystko dokładnie?

W uliczce rzeźników aż dwa szyldy zachwalały świeże mięso jednorozca. To śmieszne. Ciekawe, skąd mieliby wziąć mięso jednorozca? Skręcił w uliczkę szklarzy, której Błyszczek szczerze nienawidził.

- Nie było to łatwe - wyrzekł Błyszczek, nerwowo zerkając na szyldy zachwalające protezy dla szklanych ludzików. - Jak ci już mówiłem, ma gości, i nie było łatwo myszkować po izbie na oczach wszystkich. Ale i tak zajrzałem wszędzie, szukałem nawet między jego ubraniami. O mało mnie nie zamknął w skrzyni. Ale książki nie znalazłem. On jej nie ma, przysięgam, mistrzu!

- Niech to piekło pochłonie! - zaklął Orfeusz.

Miał wielką ochotę rzucić czymś lub rozbić coś na kawałki. Błyszczek dobrze znał te nastroje mistrza, toteż przezornie uczeplił się mocno jego rękawa.

Jeśli nie stary, to kto mógł mieć książkę? Gdyby nawet Smo-lipaluch oddał ją Mortimerowi, to przecież ten nie zabrał jej ze sobą do lochu! Wobec tego musiała być nadal u

magika. Orfeusz poczuł piekący ból w żołądku, jakby jedna z kun Smolipalucha wżerała mu się w trzewia. Znał dobrze te dolegliwości, które zjawiały się za każdym razem, gdy coś nie poszło po jego myśli. Wrzody żołądka - tak się to nazywa.

„No i co z tego? - zdenerwował się na siebie. - Nie myśl o tym i nie pogarszaj sprawy, jeśli nie chcesz wylądować u jednego z tutejszych balwierzy. Oni na wszystko mają jedno lekarstwo - puszczenie krwi”.

Błyszczek milczał zgnębiony na jego ramieniu. Pewnie wyobrażał sobie kąpiel mydlaną. Tymczasem Cerber obwąchiwał każdy mijany murek. Nic dziwnego, że ten świat mu się spodobał - śmierdziało tu na potęgę.

„To bym też zmienił! - pomyślał Orfeusz. - Poza tym wyczarowałbym lepszego szpiega, małego i zwinnego jak pajak i oczywiście nie ze szkła”.

„Ale ty już niczego nie wyczarujesz - odezwał się drwiący głos w jego duszy - bo nie masz książki”.

Przyspieszył kroku, szarpiąc niecierpliwie Cerbera za łańcuch, i niechcący wdepnął w kurze odchody. Co za nędza! Błoto, odchody zwierzęce... zniszczone buty... A skąd tu wziąć srebro na nowe obuwie? Jego ostatnia próba wyczarowania skarbu pod szubienicami okazała się klęską: monety znalezione w skrzyni były cienkie jak folia aluminiowa.

Nareszcie doszli do domu. Najpiękniejszego domu w całej Ombrze, należącego właśnie do niego. Serce w nim rosło, gdy widział blask alabastrowych schodów, a herb nad bramą był tak wspaniały, że Orfeusz sam już zaczynał wierzyć w swoje książęce pochodzenie. Nie ma co, powodziło mu się niezłe i powinien o tym pamiętać, gdy miał ochotę cisnąć o ścianę szklanym ludzikiem lub życzyć pewnemu arabskiemu chłopakowi zarażenia dżumą. Nie mówiąc już o niewdzięcznym połykaczu ognia!

Nagle stanął jak wryty. Na schodach siedział ptak. Tkwił w miejscu, jakby zamierzał tu uwić gniazdo, i nie odleciał, gdy Orfeusz podszedł do schodów, tylko przekrzywiwszy łebek, przyglądał mu się paciorkowatym okiem. Obrzydliwe pierzaste stwory, wszędzie zostawiają nieczystości! I ten ciągły trzepot skrzydeł, te dzioby pełne robaków...

Orfeusz spuścił Cerbera ze smyczy.

- Bierz go, jest twój!

Pies uwielbiał polować na ptaki i czasem udawało mu się któregoś złapać. Tym razem tylko podkulił ogon, cofając się, jakby na schodach rozwierał paszczę jadowity wąż. Co, u diabła...

Ptak poruszył głową i zeskoczył o jeden stopień niżej.

Cerber schylił łeb, a szklany ludzik przerażony uchwycił się kołnierza Orfeusza.

- To sroka, mistrzu! - szepnął mu do ucha. - Sroki roz... - aż się zachłysnął ze strachu - rozbijają szklanych ludzików i porywają kolorowe kawałki szkła. Przepędź ją, mistrzu!

Sroka przekrzywiła głowę, przyglądając się pocie. Zaiste, był to dziwny ptak.

Orfeusz podniósł z ziemi kamień i rzucił w srokę, która rozczapierzyła skrzydła i wydała ochrypty skrzek.

- Och, mistrzu, ona mnie chce rozdziobać! - wołał Błyszczek. - Pamiętaj, że szare szklane ludziki należą do rzadkości!

Skrzek sroki przypominał teraz śmiech.

- Masz taką samą głupią minę jak dawniej, Orfeuszu.

Natychmiast rozpoznał ten głos. Sroka wyciągnęła szyję, zakasłała, jakby zakrztusiła się łączywie połykanymi ziarnami. Po czym wypluła dwa czy trzy ziarna na jego alabastrowe schody i poczęła rosnać.

Cerber z cichym skowytym schował się za swoim panem, a Błyszczek, trzęsąc się ze strachu, podzwaniał jak szklane naczynia niesione w koszyku na piknik.

Tymczasem sroka rosła i rosła. Pióra przemieniły się w czarną suknię, pojawiły się siwe, gładko zaczesane włosy, a zamiast szponów - palce pospiesznie liczące ziarna, które ptak wypluł na schody. Mortola wyglądała starzej, niż pamiętał ją Orfeusz, o wiele starzej. Wiek pochylił jej ramiona, pokrzywione palce przypominały szpony drapieżnego ptaka, miała zapadnięte policzki i pożółkłą cerę. Tylko wzrok był jak dawniej kłujący i Orfeusz schował głowę w ramiona niczym skarcony uczeń.

- Jak... jak to możliwe? - wyjąkał. - W książce Fenoglia nie ma nic o przeistoczeniach, z wyjątkiem nocnych...

- Fenoglio! Co on wie?! - prychnęła Mortola, strząsając czarne piórko z ubrania. - Wszystko zmienia postać w tym świecie, tylko najpierw musi umrzeć... Ale są sposoby... - ostrożnie wsypała zebrane ziarenka do skórzanego woreczka - uwalniające człowieka od jego postaci bez wzywania białych dam.

- Naprawdę? - zainteresował się Orfeusz, rozważając nowe możliwości, jakie otwierały się przed historią Fenoglia, ale Mortola nie dała mu spokojnie pomyśleć.

- Nieźle się tu urządziłeś - zauważyła, ogarniając spojrzeniem okazałe domostwo. - Podwójnooki zamorski kupiec o puciołowatej twarzy dziecka handlujący jednoroźcami i karzełkami i spełniający każde życzenie nowego pana Ombry... Od razu sobie pomyślałam, że to musi być mój drogi Orfeusz, który znalazł sposób na to, żeby się przenieść do tej historii. Widzę, że sprowadziłeś nawet tę ohydłą bestię!

Cerber obnażył kły, ale Błyszczek nadal trząsał się ze strachu. Cóż to za niedorzeczne stworzenia z tych szklanych ludzików. A Fenoglio był z nich taki dumny!

- Czego ode mnie chcesz?

Orfeusz starał się nadać swojemu głosowi ton wyższości i chłodu, lecz tak naprawdę czuł się jak wystraszony chłopczyk. Mortola ciągle napawała go panicznym lękiem.

W ciszy nocnej rozległy się kroki, był to pewnie jeden z oddziałów, które na rozkaz Piszczalki patrolowały miasto na wypadek, gdyby Czarny Książę podjął próbę uwolnienia szlachetnego współbojownika.

- Zawsze przyjmujesz gości na dworze? - syknęła Mortola. - Może byś mnie wreszcie zaprosił do środka!

Mijając zaspanego Ossa, który otworzył im dopiero po trzecim niecierpliwym uderzeniu brązową kołatką, Mortola mruknęła:

- To człowiek szafa z tamtego świata czy znalazłeś nowego?

- Znalazłem nowego! - mruknął Orfeusz, wciąż się zastanawiając, czy to źle, czy dobrze, że Mortola wróciła.

Ludzie mówili, że nie żyje. Ale na śmierć nie można było liczyć w tym świecie, jak pokazały różne wypadki. Była to okoliczność tyleż uspokajająca, co niepokojąca.

Zaprowadził gościa nie do pracowni, lecz do salonu, a stara rozglądała się po pomieszczeniu takim wzrokiem, jakby to wszystko należało do niej. Ostatecznie Orfeusz doszedł do wniosku, że jej powrót był okolicznością niepomyslną. Nietrudno było się też domyślić, czego od niego chciała. Otóż Mortimera. To oczywiste, że nadal pragnęła go zabić. Mortola nie rezygnowała tak łatwo ze swoich planów, zwłaszcza gdy chodziło o mordercę syna. Ale w tym przypadku na pewno inni ją ubiegają.

- A więc teraz naprawdę jest Sójka! - wypaliła, jakby Orfeusz wypowiedział na głos swoje myśli. - Ile jeszcze tych śmiesznych pieśni o nim napiszą? Czczą go jak zbawcę... A przecież to my sprowadziliśmy go do tego świata! A co robi Zmijogłowy, zamiast ścigać go jak zająca po tym, jak na Żmijowej Górze pozabijał jego najlepszych ludzi? Obarcza winą Mortolę za jego ucieczkę oraz za to, że ciało odchodzi mu od kości! Ale ja od razu wiedziałam, że przyczyną jest Pusta Księga. O tak, Czarodziejski Język jest przebiegły, a jego niewinna mina już niejednego zwiodła, i dlatego Żmija zamiast niego wydał mnie swoim oprawcom. Mieli ze mnie wydobyć, jakimi ziołami go niby zatrulałam. Do dziś pamiętam cierpienia, jakie mi zadali, ale w końcu ich przechytryłam. Kazałam im znosić różne zioła i ziarna, rzekomo po to, by sporządzić odtrutkę dla ich pana, a tymczasem sprawiłam, że urosły mi skrzydła - i tyle mnie widzieli! A potem wypytywałam wiatru, jak znaleźć introligatora, na

rynku przysłuchiwałam się głupawym opowieściom, ale przynajmniej tyle się dowiedziałam, że teraz zgrywa zbójcę i że Czarny Książę znalazł mu dobrą kryjówkę. Ale i tak go wytropiłam!

W trakcie mówienia Mortola wysuwała do przodu ściśnięte wargi, jakby wciąż jeszcze miała dziób zamiast ust.

- Musiałam się bardzo hamować, żeby mu nie wydziobać oczu, kiedy go wreszcie znalazłam! - podjęła pełnym nienawiści tonem. - Ale powiedziałam sobie: „Nie spiesz się, Mortolo! Już raz się pospieszyłeś i nic nie wyszło z twojej zemsty! Wrzuć mu parę trujących ziaren do miski, niech się wije z bólu i długo kona w męczarniach!”. Ale jakaś głupia wrona porwała ziarna, innym znów razem przepłoszył mnie niedźwiedź i ledwie udało mi się ująć z życiem przed jego śmierdzącym pyskiem. Straciłam tylko kilka piór z ogona. Spróbowałam jeszcze raz, w obozie, gdzie Czarny Książę ukrył go razem z córką i moją zdradziecką służącą - i znów się nie udało, bo inny zbójca wziął jego miskę. „Trujące grzyby! - wrzeszczeli. - Najadł się trujących grzybów!”.

Mortola wybuchnęła śmiechem, zakrzywiając palce, jakby to były szpony obejmujące gałąź. Orfeuszowi dreszcz przebiegł po plecach.

- To jakieś czary! - ciągnęła Sroka. - Nic nie może go zabić, ani kula, ani trucizna. Tak jakby wszystko w tym świecie go chroniło: każdy kamień, każde zwierzę i cienie między drzewami. Sójka! Co więcej, i śmierć go wypuściła, a w dodatku zwróciła mu Ognistego Tancerza. To robi wrażenie! Tylko za jaką cenę? Nie zdradził tego nawet żonie, ale Mortola wie! Nikt nie zwraca uwagi na srokę siedzącą na drzewie, ale sroka wszystko słyszy. Wie, co sobie nocą opowiadają drzewa i co pająki wypisują srebrną nicią: że śmierć zabierze Sójkę i jego córkę, jeśli do końca zimy nie dostarczy jej Zmijogłowego! I że własna córka Zmijogłowego chce pomóc Sójce we wpisaniu trzech słów do księgi!

- Co? - Orfeusz nie wierzył własnym uszom.

Dotąd ledwie jej słuchał, znał te jej niekończące się mściwe tyrady, ale ostatnie zdanie Mortoli sprawiło, że nadstawił uszu. Wiolanta w zмовie z Sójką? Tak, to miało sens. Oczywiście! To dlatego Mortimer oddał się w jej ręce! On, Orfeusz, miał jednak rację: ten wzór wszelkich cnót dał się złapać bynajmniej nie ze szlachetnych pobudek! Nasz szlachetny rycerz ma w planach mord!

Orfeusz chodził nerwowo po pokoju, nie słuchając Mortoli ochryplej od krzyków i nienawiści i mamroczącej coraz bardziej niezrozumiałe przekleństwa.

Wiolanta... Orfeusz zaraz po przybyciu do Ombry zaoferował jej swoje usługi, ale odmówiła mu, twierdząc, że już ma nadwornego poetę... To nie było zbyt miłe.

- Tak, tak, on zamierza zabić Żmijogłowego! Wśliznął się na zamek jak kuna do kurnika. Nawet wróżki wyśpiewują te wieści podczas swoich głupich harców, ale tylko sroka wszystko słyszy! - Mortola skurczyła się, a jej kaszel zabrzmiał jak skrzek sroki.

Postradała rozum! Orfeusz wzdrygnął się nieprzyjemnie, kiedy tak patrzyła na niego czarnymi, nieruchomymi źrenicami jak u ptaka.

- Tak, tak, wiem, co on zamierza - ciągnęła - więc powiedziałam sobie: „Pozwól mu żyć, Mortolo, choć ci serce krwawi! Zabij jego żonę, a najlepiej jego ukochaną córeczkę, a potem usiądź mu na ramieniu, by usłyszeć, jak mu serce pęka na wieść

o tym. Ale jego samego zostaw przy życiu do czasu, gdy Żmijogłowy wręczy mu Pustą Księgę”. Bo Żmijogłowy też musi umrzeć za wszystkie cierpienia, jakich przysporzył matce Capricorna. A jeśli Srebrny Książę będzie naprawdę tak głupi, że wręczy najgorszemu wrogowi księgę, która może go zabić - tym lepiej! Bo Mortola będzie na miejscu, i to nie Sójka, lecz ona wpisze osławione trzy słowa! O tak, ja też je znam... A śmierć zabierze Sójkę i Żmijogłowego i w podzięcie za tak sutą zdobycz zwróci mi wreszcie tego, którego zabrał mi introligator swym czarodziejskim językiem: mojego syna!

Do diabła! Orfeusz, który właśnie podniósł puchar do ust, z wrażenia zakrztusił się winem. Ta stara wiedźma wciąż marzyła o powrocie Capricorna! A właściwie dlaczego nie? Czyż nie powstał z martwych Cosimo, a teraz Smolipaluch? Lecz jeśli chodzi o niego, potrafił sobie wyobrazić inne, ciekawsze zwroty akcji niż powrót syna Mortoli - mordercy i podpalacza.

- Naprawdę uważasz, że Żmijogłowy przyjedzie do Ombry
I przywiezie ze sobą Pustą Księgę...?

Och, czuł, że szykują się wielkie rzeczy. Może jeszcze nie wszystko było stracone, chociaż Smolipaluch ukradł mu książkę Fenoglia. Były inne sposoby, by odegrać ważną rolę w tej historii. Żmijogłowy w Ombrze! Ileż możliwości się otwierało...!

- Oczywiście, że przyjedzie! Żmija jest o wiele głupszy, niż ludzie myślą.

Mortola usiadła na jednym z ozdobnych foteli przeznaczonych dla wytwornych klientów Orfeusza. Przez okna bez szyb wpadał chłodny wiatr. Płomienie świec wniesionych przez służbę tańczyły i rzucały na białe tynkowane ściany cienie fantastycznych czarnych ptaków.

- Czy to znaczy, że introligator po raz drugi zrobi durnia ze Srebrnego Księcia? - wyrwało się Orfeuszowi.

Jego samego zdziwiła nienawiść buchająca z tych słów. Nagle stwierdził ze zdumieniem, że pragnie śmierci Mortimera nie mniej żarliwie niż Mortola.

- Nawet Smolipaluch je mu teraz z ręki! - stwierdził z goryczą. - Wygląda na to, że śmierć zabrała mu pamięć o tym, ile złego wyrządził mu ten szlachetny bohater!

Zdjąwszy okulary, tarł zmęczone oczy, jakby spodziewał się, że wraz ze znużeniem zetrze z nich obraz wrogiej twarzy Smolipalu-cha. O tak, Ognisty Tancerz tylko dlatego zwrócił się przeciwko niemu, że Mortimer zaczarował go swoim przeklętym językiem, tak samo jak innych! Oby Piszczalka uciął mu ten język, nim go poćwiartują. Chciał zobaczyć, jak psy Szczapy będą go rozrywały na kawałki, jak Piszczalka będzie kroił na kawałki jego szlachetne serce... Ach, gdyby tylko mógł napisać tę ostatnią pieśń o Sójce!

Głos Mortoli obudził go z tych krwawych snów na jawie.

- Łatwo jest połknąć takie ziarenko - sapała, kurcząc się w fotelu i wpijając palce w oparcie niby ptasie szpony. - Trzeba je włożyć pod język, ale się wyslizguje, a kiedy masz ich za dużo w żołądku, ptak wraca do ciebie wbrew twojej woli w najmniej oczekiwanych momentach.

Wyciągała szyję, otwierając usta niby dziób, tak jak ta sroka na schodach, i przyciskając rękę do bezbarwnych warg.

- Posłuchaj - wycharczała wstrząsana wewnętrznym dreszczem. - Chcę, byś dostał się na zamek i ostrzegł Żmijogłowego przed córką, kiedy ten przybędzie. Powiedz, niech iluminator Balbulus pokaże mu te wszystkie księgi o Sójce, które zamówiła u niego Wiolanta. Przekonaj go, że śmiertelny wróg opętał jego córkę, która zrobi wszystko, żeby ratować intrologatora. Powiedz mu to w najbardziej wyszukanych słowach, jakie tylko potrafisz znaleźć, bo Czarodziejski Język będzie próbował tego samego. Ciągłe się przechwalasz, że twój głos potrafi sprawić więcej niż jego. Udowodnij to!

Tu Mortola charknęła i wypluła na rękę kolejne ziarenko.

O tak, była sprytna, choćby nawet postradała zmysły, i najlepiej będzie, jeśli Orfeusz uda, że nadal jest jego panią, chociaż robiło mu się niedobrze, gdy wycharkiwała ziarna na rękę. Musiał się powstrzymywać, by nie wypluć wina pod jej stopy. Stracił pytek z lamowanych srebrem rękawów. Odzienie, dom, służba... Stara była chyba ślepa, wyobrażając sobie, że będzie nadal spełniał jej polecenia. Nie po to przyszedł do tego świata, by realizować plany innych. O nie, w tym świecie Orfeusz służył tylko sobie, tak jak to sobie poprzysiągł.

- To jest bardzo dobry pomysł - powiedział, starając się nadać swojemu głosowi służalczy ton. - A co będzie z tymi wszystkimi szlachetnymi przyjaciółmi Sójki? Na pewno liczy nie tylko na pomoc Wiolanty. Co z Czarnym Księciem...?

„I ze Smolipaluchem” - dodał w myślach. Ale na nim zemści się osobiście.

- Ach, tak, Czarny Książę. Kolejny szlachetny głupiec. Jeszcze za życia mojego syna sprawiał kłopoty - rzekła Mortola, chowając ziarno do woreczka. - Sama się nim zajmę. Nim i córką Czarodziejskiego Języka. Ta dziewczyna jest prawie tak samo niebezpieczna jak jej ojciec.

- Bzdura! - zawołał ośmielony winem Orfeusz, nalewając sobie kolejny puchar.

Mortola zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem. O tak, nadal uważała go za uczynnego durnia. Tym lepiej. Wstrząsając się, kurczowo rozcierała wątle ramiona, jakby z porów skóry zaczynały wyrastać jej pióra.

- A co z tym starym? - odezwała się z trudem. - Tym, co to podobno napisał dla córki Czarodziejskiego Języka słowa, które jej odebrałam w Mrocznym Zamku. Czy to on wpisuje do serca Sójki tę straceńczą odwagę?

- Nie, Fenoglio w ogóle przestał pisać. Ale nie mam nic przeciwko temu, żebyś jego też zabiła. To straszny pyszałek!

Mortola skinęła głową, ale zdawała się nieobecna duchem.

- Muszę już iść! - powiedziała nagle, z trudem podnosząc się z fotela. - W twoim domu panuje zaduch jak w lochu.

Pod drzwiami, które otworzyła, leżał Oss, mrucząc niewyraźnie coś przez sen. Nie obudził się nawet wtedy, kiedy stara przestąpiła przez niego.

- To twój ochroniarz? - spytała. - Chyba nie masz zbyt wielu wrogów.

Tej nocy Orfeusz spał niespokojnie. Śniły mu się ptaki, wiele ptaków. Ale kiedy szary świt otulił Ombre niby błądy owoc zrodzony z czarnej nocy, Orfeusz podszedł do okna pełen wiary we własne siły.

- Dzień dobry, Sójko! - wyszeptał, patrząc na wieżyce zamku. - Mam nadzieję, że spędziłeś bezsenną noc. Pewnie myślisz, że role w tej historii zostały raz na zawsze rozdzielone. Ale ty już zbyt długo grasz bohatera. Kurtyna w górę, akt drugi: na scenę wchodzi Orfeusz. W jakiej roli? Oczywiście złoczyńcy. Nie ma lepszej roli na świecie.

Rozdział 38

Pozdrowienia dla Piszczalka

Dzisiejsza noc pachniała czasem. [...] A jak pachnie czas? Jak kurz, zegary i ludzie. A jeśli kogoś ciekawi, jak brzmi czas, to brzmi on tak jak-kapanie wody w ciemnej jaskini, glosy w oddali, bioto spadające na wieka pustych skrzynek i deszcz.

Ray Bradbury, Kroniki marsjańskie

Farida nie było przy tym, jak Sójka przejeżdżał przez bramę zamkową w Ombrze. „Zostajesz w obozie” - te słowa Smolipa-lucha wystarczyły, by chłopak poczuł lęk niby żelazną obręcz zaciskającą się na gardle - lęk, że swoją obecnością mógłby znów sprowadzić na niego śmierć. Wraz z nim został między pustymi namiotami Siłacz, gdyż Czarny Książę nie wierzył, by zdołał on udawać kobietę. Czekali wiele godzin, a gdy wreszcie Meggie i inni wrócili, nie było wśród nich nie tylko Sójki, lecz i Somoli-palucha.

- Gdzie on jest? - zwrócił się do Czarnego Księcia, bo tylko jego jednego odważył się zapytać, chociaż książę miał minę tak śmiertelnie poważną, że nawet niedźwiedź bał się do niego zbliżyć.

- Tam, gdzie Sójka - odparł Czarny Książę, a widząc zdumienie na twarzy chłopca, dodał: - Nie, nie w lochu, tylko w pobliżu niego. Śmierć połączyła ich nierozzerwalną więzią i jedynie ona może ich rozłączyć. W pobliżu niego.

Farid spojrział na namiot, w którym mieszkała Meggie, ale nie miał odwagi pójść do niej. Jeszcze mu nie wybaczyła, że namówił jej ojca do przyjęcia oferty Orfeusza, a ponadto przed jej namiotem siedział Doria. Farid był zły, że tamten wciąż kręci się wokół Meggie, ale na szczęście Doria znał się na uwodzeniu dziewcząt równie mało jak jego brat Siłacz.

Ci, którzy wrócili z Ombrzy, siedzieli w milczeniu, ze spuszczonej głowami, przy ognisku; niektórzy nawet nie zdjęli kobiecych strojów. Ale Czarny Książę, nie dając im czasu, by utopili w winie lęk przed tym, co miało nastąpić, wysłał ich na łowy. W końcu jeśli chcieli ukryć dzieci przed Piszczalką, potrzebowali prowiantu, a więc suszonego mięsa, oraz skór do przykrycia.

Ale co to wszystko obchodziło Farida? Nie należał do zbójców, tak jak wcześniej nie należał do Orfeusza. Nie należał nawet do Meggie. On należał tylko do jednego człowieka i od niego właśnie musiał trzymać się z daleka, by nie sprowadzić na niego śmierci...

Ściemniało się - zbójcy wciąż jeszcze byli zajęci wędzeniem mięsa i rozpinaniem między drzewami skór do suszenia - gdy z lasu wypadł Gwin. W pierwszej chwili Farid pomyślał, że to Skoczek, dopóki nie zobaczył posiwiałej mordki. Wtedy poznał Gwina. Od śmierci Smolipalucha kuna traktowała go wrogo, ale teraz ugryzła go w łydkę, jak dawniej, gdy chciała go zachęcić do zabawy, i fukała, dopóki nie poszedł za nią.

Kuna była za szybka nawet dla stóp Farida, których chyżości żaden człowiek nie mógł dorównać. Ale co jakiś czas Gwin zatrzymywał się i czekał na niego z wyprężonym, nerwowo drgającym ogonem. Chłopak biegł za nim tak szybko, jak tylko pozwalały na to ciemności, dobrze wiedząc, kto go przysłał.

Znalazł Smolipalucha w miejscu, gdzie mury zamkowe stanowiły zarazem granicę miasta. Góra, u której stóp leżało miasto, była tak stroma, że żaden dom nie mógł się utrzymać na zboczu. Pokryte ono było ciernistymi krzewami, spośród których wyrastał pozbawiony okien mur zamkowy, groźny jak kamienna pięść i poprzerwany jedynie drobnymi zakratowanymi szczelinami wpuszczającymi do lochów tylko tyle powietrza, by skazańcy nie udusili się, zanim ich powieszą. Nikt nie pozostawał zbyt długo w lochach. Szybko zapadały wyroki, szybko je wykonywano. Po co karmić kogoś, kogo i tak się powiesi? Tylko dla Sójki przybędzie specjalny sędzia z tamtej strony lasu. Pięć dni - szeptano w Ombrze - będzie potrzebował Żmijogłowy, by dotrzeć do miasta w karecie z oknami zasłoniętymi kirem. Nikt nie umiał przewidzieć, czy po jego przyjeździe Sójka przeżyje choćby jeden dzień.

Smolipaluch stał oparty plecami o mur, z głową opuszczoną, niewidoczny dla strażników spacerujących u góry między blankami, bo skrywał go głęboki cień murów zamkowych.

Odwrócił się dopiero wtedy, gdy podbiegł do niego Gwin. Farid niespokojnie spojrział w górę na strażę, nim zbliżył się do Smolipalucha. Ale wartownicy nie wypatrywali chłopca ani pojedynczego mężczyzny. Jeden mężczyzna nie mógłby uwolnić Sójki. Żołnierze Szczapy szukali wzrokiem gromady ludzi wychodzących z lasu lub spuszczać się na linach ze zbocza, choć zdaniem Piszczalki nawet Czarny Książę nie zdecyduje się zaatakować zamku.

Niebo ponad wieżami zabarwiło się na kolor brudnej zieleni od ogni Kopcia: Szczapa rozpoczynał świętowanie... Z tej okazji Piszczalka rozkazał wszystkim grajkom tworzenie pieśni opiewających jego przebiegłość i klęskę Sójki, ale niewielu go posłuchało. Większość waganów milczała i tym milczeniem intonowała inną pieśń: o smutku Ombry i łzach kobiet, które wprawdzie odzyskały dzieci, ale utraciły nadzieję.

- No, co myślisz o ogniach Kopcia? - szepnął Smolipaluch, gdy Farid przywarł plecami do muru tuż obok niego. - Nasz przyjaciel się rozwija, nie wydaje ci się?

- Nadal pozostaje partaczem - odszepnął Farid. Smolipaluch uśmiechnął się w odpowiedzi, ale twarz mu zaraz spoważniała, gdy spojrział w górę na ślepe kamienne mury.

- Dochodzi północ - rzekł cicho. - O tej porze Piszczalka lubi okazywać więźniom gościnność. Pięściami, kijami i kopniakami. - Umilkł i przejechał wnętrzem dłoni po murze, jakby kamienie mogły mu zdradzić, co się dzieje po drugiej stronie. - Jeszcze u niego nie był - oznajmił. - Ale już niedługo.

- Skąd wiesz? - Farid nie pierwszy raz miał wrażenie, że z krainy śmierci wrócił inny człowiek niż ten, którego znał dawniej.

- Czarodziejski Język, Sójka... wszystko jedno, jakim imieniem go nazwiesz... - wyjaśniał szeptem Smolipaluch. - Otóż od kiedy jego głos przywołał mnie do życia, dokładnie wiem, co on czuje... jakby śmierć umieściła jego serce w mojej piersi... A teraz złap mi wróżkę, bo inaczej nim wszędzie słońce, Piszczalka zakatuje go na śmierć. Tylko przynieś mi jedną z tych tęczowych. Orfeusz przelał na nie całą swoją próżność, łatwo je więc nakłonić do wszystkiego za cenę paru komplementów.

Farid w okamgnieniu wykonał polecenie. Wszędzie roilo się od nich, ale chociaż zimą nie były one tak niemrawe i zaspane jak błękitne wróżki Fenoglia, trudno było o tej nocnej porze wyciągnąć którąś z gniazda. Wróżka wpiła się zębami w palec chłopaka, ale on delikatnie dmuchał jej w twarz - jak go nauczył Smolipaluch - i stworzenie musiało puścić palec, by zaczerpnąć powietrza. Smolipaluch wyszeptał jej coś do ucha i już po chwili drobna istotka zniknęła za murem, przelatując przez zakratowaną szparę do środka.

- Co jej powiedziałaś? - zaciekawił się Farid.

Ponad ich głowami zielonkawe ognie Kopcia wciąż wgrzyzały się w czarną noc. Zasłoniły niebo, tak że nie było już widać gwiazd ani księżyca, a w powietrzu rozchodził się gryzący dym, toteż Farid bez przerwy tarł zażawione oczy.

- Och, nic takiego. Powiedziałem jej tylko, że obiecałem przysłać Sójce do lochu najpiękniejszą dziewczynę świata. W podzięce za ten komplement ma przekazać Czarodziejskiemu Językowi, że za pięć dni w Ombrze zjawi się Zmijogłowy, witany przez mszanki przekleństwami, a my postaramy się do tej pory tak zająć Piszczalkę, by nie miał czasu znęcać się nad nim. - Smolipaluch zwinął lewą dłoń w pięść i dmuchając w nią ostrożnie, zwrócił się do Farida: - Nie zapytałeś jeszcze, po co cię wezwałem. Pomyślałem sobie, że może chętnie byś to zobaczył..

Przyłożył zwiniętą dłoń do muru, a pomiędzy palców poczęły wypęłzać ogniste pająki. Szybko wspinały się po murze i było ich coraz więcej i więcej, jakby bez ustanku lęły się w zwiniętej pięści Smolipalucha.

- Piszczalka boi się pajaków bardziej niż miecza i noża - wyjaśnił. - Kiedy nasi płomienni przyjaciele obsiada mu odświętne ubranie, na pewno zapomni o dręczeniu więźniów.

- Jak ty je stwarzasz? - spyta! Farid, zwijając swoją dłoń w pięść.

- Nie wiem... i dlatego nie mogę cię tego nauczyć. Ani tego... Smolipaluch złożył płasko dłonie i Farid słyszał jego szept, lecz nie mógł zrozumieć słów. Chłopiec poczuł ukłucie zazdrości, gdy pomiędzy złożonych dłoni magika wyfrunęła sójka i wzbiła się w niebo, trzepocąc skrzydełkami z błękitnego ognia.

- Pokaż mi! - szepnął niecierpliwie. - Pozwól mi chociaż spróbować!

Smolipaluch przyglądał mu się w zadumie. Na górze jeden ze strażników wszczął alarm, widocznie ogniste pająki pojawiły się na blankach.

- Śmierć mnie tego nauczyła, Faridzie - rzekł cicho magik.

- No to co? - zachnął się chłopiec. - Ja też byłem umarły, chociaż bardzo krótko.

Smolipaluch roześmiał się hałaśliwie i szybko pociągnął Fa-rida w cień, gdyż jeden ze strażników przechylił się przez mur i spojrzał na dół.

- Masz rację. Zupełnie o tym zapomniałem.

Tymczasem strażnicy na górze miotali się i krzyczeli, strzelali z kusz do ognistej sójki, ale osmalone ogniem bełty trafiały w próżnię.

- No dobrze, rób to co ja! - szepnął magik.

Farid skwapliwie zacisnął palce, przejęty jak zawsze, gdy miał się nauczyć czegoś nowego na temat ognia. Z trudem powtarzał dziwne słowa wypowiedane przez Smolipalucha, lecz po chwili serce podskoczyło mu w piersi, gdy poczuł w zwiniętej pięści delikatne skrobanie. Za chwilę i z jego ręki wysypały się rozżarzone istotki, wspinając się rzędem po murze niby armia rozkołysanych iskier. Chłopiec z dumą uśmiechnął się do Smolipalucha. Ale gdy spróbował wyczarować sójkę, zamiast ptaka wyfrunęły spomiędzy jego dłoni ospałe ćmy.

- Nie bądź taki zawiedziony - pocieszał go kuglarz, wysyłając w powietrze kolejnego ptaka zrodzonego z błękitnych płomieni. - Jest tyle innych rzeczy, których możesz się nauczyć. A teraz chodź, musimy się ukryć przed Srebrnym Nosem.

Spomiędzy drzew, gdzie się schowali, widzieli ognisty parasol unoszący się nad zamkiem Ombry. Ognie Kopcia ustąpiły miejsca płomieniom Smolipalucha. Piszczalka wysłał oddziały za mury, lecz magik zaludnił drzewa płomienistymi kotami i wilkami, węże zwieszały się z konarów drzew, ogniste ćmy atakowały twarze opancerzonych żołnierzy. Cały las stanął w płomieniach, lecz ogień nie tykał Farida i jego mistrza; stali jak dwa cienie w morzu czerwieni, nie odczuwając wcale lęku, jaki sami siali naokoło.

Wreszcie Piszczalka rozkazał łać z murów wodę, która natychmiast zamarzała w koronach drzew, lecz ogień Smolipalucha nie przestawał buszować, przybierając wciąż nowe kształty, i zmarł dopiero z nastaniem świtu. Ogniste sójki krążyły nadal ponad dachami Ombry, a kiedy Szczapa wysłał do lasu psy myśliwskie, ukazały się zające z ognia, które sprawiły, że psy straciły trop.

Tymczasem Farid, zaszyty w gąszczu kolcorzechów i skrzaciej tarniny, cieszył się w duchu obecnością Smolipalucha u swego boku. Było tak jak dawniej, kiedy magik czuwał nad

nim nocą i strzegł go przed złymi snami. Ale teraz nie było już niczego, przed czym musiałby go chronić.

„Z wyjątkiem ciebie samego, Faridzie” - pomyślał i szczęście w jego sercu zagasło niby ogniste stwory, za pomocą których Smolipaluch ochraniał Sójkę.

- O co chodzi? - spytał kuglarz, przyglądając mu się badawczo, jakby potrafił czytać nie tylko w myślach Czarodziejskiego Języka. Ujął dłoń chłopca i począł dmuchać w nią delikatnie, aż spomiędzy brunatnych palców powstała kobieca postać z oślepiająco białego ognia. - One nie są takie złe, jak myślisz - szepnął - a jeśli znowu mnie zabiorą, to nie z twojego powodu, zapamiętaj to sobie.

- Co masz na myśli? - Faridowi serce struchlało z trwogi. - Znowu cię zabiorą? Jak to? Kiedy?

Biała dama na jego dłoni zamieniła się w ćmę, fruwała w powietrze i rozplynęła się w szarym blasku poranka.

- To zależy od Sójki. - Co?

Smolipaluch zasłonił mu usta dłonią i ostrożnie wyjrzał spomiędzy krzaków. Pod zakratowanymi szparami w murze przechadzały się strażę. Pomiędzy nimi kręcił się Kopeć, badając mury, jakby kamienie mogły mu powiedzieć, w jaki sposób Smolipaluch rozplómił noc.

- Spójrz tylko na niego! - szepnął magik do chłopca. - Kopeć nadal nienawidzi ognia, a ogień nienawidzi jego.

Ale Farida w tej chwili nie interesował Kopeć. Chwyciwszy Smolipalucha za ramię, rzekł błagalnym tonem:

- Nie chcę, żeby cię znowu zabrali! Proszę!

Magik spojrzał na niego. Jego oczy patrzyły inaczej, od kiedy stamtąd wrócił. W jego wzroku nie było lęku, tylko dawna czujność.

- Powtarzam raz jeszcze: wszystko zależy od Sójki. A więc pomóż mi go chronić. Pięć dni i pięć nocy we władzy Piszczalki to cała wieczność. Myślę, że odetchniemy, kiedy wreszcie przybędzie Żmijogłowy.

Farid miał ochotę dowiedzieć się czegoś więcej, ale zrozumiał, że nie uzyska żadnych wyjaśnień.

- A co z Brzydką Wiolantą? - spytał cicho. - Nie wierzysz, że ona potrafi go ochronić?

- A ty w to wierzysz?

W tej chwili ujrzeli wróżkę przedzierającą się przez gąszcze, kolce rozdzierały jej skrzydełka, lecz wreszcie wyczerpana spoczęła na kolanie Smolipalucha. Była to ta sama

wróżka, którą magik wysłał z misją do Sójki. Znalazła go i przynosiła jego podziękowania. Nie omieszkała przy tym się pochwalić, że Sójka zapewnił ją, iż nigdy w życiu nie widział piękniejszej wróżki.

Rozdział 39

Wykradzione dzieci

jako dziecko

byłem wiewiórką sójką lisem

mówiłem z nimi w ich języku

wspinałem się na drzewa drążyłem dziuple

znałem smak

każdej trawki i kamyka

sens słońca

i mowę nocy

Norman H. Russel, Deszczowa opowieść

Padał śnieg, maleńkie lodowate płatki wirujące w powietrzu, i Meggie zastanawiała się, czy jej ojciec też je widzi stamtąd, gdzie go zamknęli.

„Nie - odpowiedziała sama sobie - lochy Ombrzy leżą głęboko pod ziemią”.

Myśl o tym, że Mo nie zobaczy pierwszego śniegu w Ombrze, sprawiła jej prawie taką samą przykrość jak to, że jest uwięziony.

„Smolipaluch go ochrania” - powtarzał w kółko Czarny Książę, a Baptysta i Roksana mówili to samo. „Smolipaluch go ochrania”. Meggie wciąż miała przed oczami Piszczalę i niepozorną postać Wiolety stojącej obok.

Zmijogłowy oddalony był o dwa dni drogi od Ombrzy, taką wiadomość przyniosła wczoraj Pokrzywa. Jeszcze tylko dwa dni i wszystko się rozstrzygnie.

Dwa dni.

Siłacz przyciągnął Meggie do siebie i wskazał między drzewa. Przez ośnieżone gąszcze przedzierały się dwie kobiety, prowadząc za ręce dzieci - dwóch chłopców i dziewczynkę. Od kiedy Sójka oddał się w niewolę, dzieci z Ombrzy jedno po drugim. Matki zabierały je na pola, nad rzekę, gdzie robiły pranie, do lasu po chrust - i wracały do domu bez nich. Były cztery umówione miejsca, w których ludzie księcia odbierali dzieci, miejsca podawane z ust do ust, gdzie oprócz zbójców czekały również kobiety, by dzieciom łatwiej się było rozstać z matkami.

Obok przytułku prowadzonego przez Puszczyka czekała Resa z Baptistą i Gekonem, a Roksana z Postrachem Elfów w miejscu, gdzie zielarki zbierały korę dębową. Dwie inne kobiety odbierały dzieci nad rzeką, a Meggie z Dorią i Siłaczem obsługiwali punkt zborny obok opuszczonej chaty smolarza przy drodze prowadzącej do Ombry.

Na widok Siłacza dzieci zatrzymały się niepewnie, ale matki pociągnęły je dalej. Chcąc je ośmielić, Doria wysuniętym językiem począł łapać płatki śniegu; dziewczynka, w wieku około pięciu lat, zachichotała i chłopcy też się roześmiali.

- A co będzie, jeśli Piszczalka tylko jeszcze bardziej się rozgniewa, gdy je ukryjecie? - spytała matka dziewczynki. - A może on wcale nie ma zamiaru ich znowu porwać, teraz kiedy Sójka jest jego więźniem. Przecież chodziło mu tylko o niego!

Meggie zmroziły te bezlitosne słowa.

- Ta dziewczyna to jego córka! - powiedział ostro Siłacz, otaczając Meggie ramieniem. - Więc nie wyrażaj się tak, jakby ci było obojętne, co się z nim stanie! Gdyby nie jej ojciec, nigdy byś nie odzyskała dziecka, zapomniałaś o tym? Zmijogłowy nadal potrzebuje dzieci do kopalń, a wasze są akurat w odpowiednim wieku.

- To jest jego córka? Ta czarownica? - zawołała druga kobieta, przytulając dzieci.

Ale dziewczynka z zaciekawieniem patrzyła na Meggie.

- Mówisz zupełnie tak jak żołdacy Żmii! - zdenerwował się Siłacz, przyciskając Meggie do siebie, jakby chciał ją uchronić przed raniącymi słowami. - No to jak w końcu, chcecie, żeby wasze dzieci były bezpieczne, czy nie? Możecie je oczywiście zabrać z powrotem do Ombry, licząc na to, że Piszczalka nie zapuka do waszych drzwi.

- Ale dokąd je zabieracie? - spytała młodsza kobieta ze Izami w oczach.

- Gdybym wam powiedział, mogłybyście nas zdradzić - odparł Siłacz, sadzając sobie na ramieniu mniejszego z chłopców, jakby nie ważył więcej niż wróżka.

- Czy możemy iść z nimi?

- Nie, nie dalibyśmy rady was wyżywić. Musimy oszczędzać jedzenie dla dzieci.

- Jak długo będą w ukryciu? - pytała dalej matka, a w głosie jej brzmiała rozpacz.

- Aż Sójka zabije Żmijogłowego. Kobiety odruchowo spojrzały na Meggie.

- Jak to możliwe? - szepnęła jedna z nich.

- Zabije go, zobaczycie! - odrzekł Siłacz z taką pewnością w głosie, że Meggie na jedną słodką chwilę przestała się lękać o ojca.

Ale strach zaraz powrócił, a płatki śniegu topniejące na jej ręce były zimne jak kres wszystkich rzeczy.

Doria wziął dziewczynkę na plecy i uśmiechnął się do Meggie. Był niezmordowany w pocieszaniu jej: przynosił jej zmarznięte jagody i ostatnie kwiaty pokryte białym szronem, wypytywał ją o świat, z którego pochodzi. W rozmowie z Dorią zapomniała o troskach i zaczynała tęsknić za nim, gdy nie było go w pobliżu.

Dziewczynka rozplakała się, kiedy matka zniknęła jej z oczu. Meggie, głaszcząc ją po głowie, opowiedziała jej historyjkę, jaką usłyszała od Baptysty: że niektóre płatki śniegu to małe elfy całujące nas w policzek zimnymi usteczkami, zanim rozpuszczą się na ciepłej skórze. Zadarłszy główkę, dziecko jęło wypatrywać elfów pośród wirujących płatków, a Meggie opowiadała dalej, porwana własnymi słowami, przenosząc się duchem do czasów, gdy to jej Mo opowiadał przeróżne historyjki. A teraz sam stał się częścią historii, lecz Meggie nie była pewna, czy to nadal jest także jej historia.

Wkrótce śnieg przestał padać, a zamrznięta ziemia otuliła się delikatnym białym puchem. Tego dnia jeszcze dwanaście matek przyprowadziło dzieci do opuszczonej chaty smolarza. W ich pełnych lęku spojrzeniach czaiła się wątpliwość, czy dobrze robią. Niektóre dzieci w ogóle nie oglądały się za matkami, inne biegły za nimi, a dwoje rozplakało się tak gorzko, że matki zabrały je z powrotem do Ombry, gdzie niczym srebrny pajak czyhał na nie Piszczalka. Ściemniało się już, kiedy pośród ośnieżonych drzew zbiło się w gromadkę dziewiętnaścioro dzieci - wyglądały jak stadko gąsiąt. Wreszcie wyruszyli do obozu. Dwaj bracia starali się je zabawiać. Doria robił magiczne sztuczki, wyciągając maluchom żołądź z nosa lub monety z włosów, gdy tylko zaczynały popłakiwać. A Siłacz pokazywał im, jak rozmawia z ptakami, i posadził sobie na ramionach aż trójkę maluchów.

Tymczasem Meggie w gęstniejących ciemnościach opowiadała im historie, które w dzieciństwie często powtarzał jej ojciec - tak często, że teraz przy każdym słowie zdawało jej się, że słyszy jego głos.

Byli śmiertelnie zmęczeni, gdy dotarli do obozu. Pomędzy namiotami roilo się od dzieci. Meggie próbowała je policzyć, ale szybko dała za wygraną. Jak zbójcy zamierzali nakarmić je wszystkie, skoro Czarny Książę miał kłopoty ze zdobyciem pożywienia nawet dla swoich ludzi?

Po minach łatwo można było poznać, co Drab i Gekon sądzą na temat tej całej afery.

„Niańki! - szeptali zbójcy między sobą. - To po to poszliśmy do lasu?”.

Drab, Gekon, Postrach Elfów i Kuternoga, Włóczęga i Czarnobrody... wielu było niezadowolonych. Meggie zastanawiała się, kim jest ten szczupły mężczyzna o łagodnej twarzy, który stał obok Draba i rozglądał się wokoło, jakby w życiu niczego takiego jeszcze nie widział. Był podobny do... Nie, to przecież niemożliwe!

Meggie przetarła oczy, wydawało jej się, że ze zmęczenia ma jakieś zwidy. Ale w tej samej chwili czyjeś ramiona otoczyły ją i przytuliły tak mocno, że zabrakło jej tchu.

- Popatrz tylko na siebie! Jesteś już prawie tak duża jak ja, ty ladaco!

Meggie odwróciła się.

Elinor.

Co się dzieje? Czy zwariowała? Czy to wszystko było tylko snem, z którego się właśnie obudziła? Czy za chwilę ośnieżone drzewa rozplyną się w powietrzu i wszystko zniknie, zbójcy, dzieci, a Mo podejdzie do jej łóżka i spyta, czy znowu zamierza przespać śniadanie?

Meggie ukryła twarz w sukni Elinor. Była aksamitna i przypominała kostium teatralny. Tak, na pewno jej się to śni. Ale co w takim razie jest jawą?

„Musisz się obudzić, Meggie!” - pomyślała.

Szczupły obcy mężczyzna stojący obok Draba uśmiechnął się do niej niepewnie, poprawiając stłuczone okulary. Tak, to przecież Dariusz!

Elinor znów uścisnęła ją mocno i Meggie rozplakała się. Wypłakiwała się w dziwaczną suknię Elinor, wylewała wszystkie łzy, jakie nagromadziły się w niej od chwili, gdy Mo pojechał na zamek.

- Tak, tak, wiem, to straszne - mówiła Elinor, głaszcząc ją nieporadnie po głowie. - Biedactwo ty moje. Powiedziałam już temu pisarczykowi, co o nim myślę. Nadęty stary głupiec! Ale twój tata pokaże temu srebrnonosemu Skrzypkowi, zobaczysz!

- On się nazywa Piszczalka - roześmiała się Meggie przez łzy. - Piszczalka, Elinor!

- Wszystko jedno! Kto by tam spamiętał te ich cudaczne imiona! Ten Fenoglio - ciągnęła, rozglądając się dokoła - zasługuje na poćwiartowanie za to, co się tu dzieje. Cieszę się, że będziemy go mieć teraz na oku, bo za nic nie chciał puścić Miner-wy samej z dziećmi. Ale jestem pewna, że chodziło mu tylko o to, że nie będzie mu miał kto gotować i cerować skarpetek!

- Fenoglio też tu jest? - spytała Meggie, ocierając łzy.

- Tak. Ale gdzie twoja mama, nigdzie jej nie widzę?

Po minie Meggie łatwo było poznać, że wciąż jeszcze nie pogodziła się z matką, ale nim zdążyła coś odpowiedzieć, podszedł do nich Baptysta.

- Cóрко Sójki, czy zechciałabyś mi przedstawić twoją wspaniale odzianą przyjaciółkę?

- Złożył Elinor głęboki ukłon. - Do jakiego cechu należysz, łaskawa pani? Domyślam się, jesteś aktorką komediową, a twój głos nie ma sobie równych na rynku!

- To jest Elinor, Baptysto, ciocia mojej mamy...

- Ach, rozumiem, krewna Sójki! - Baptysta uklonił się jeszcze niżej. - Ta wiadomość z pewnością skłoni Draba do odstąpienia od pomysłu, by skrócić wam karki. Właśnie próbuje przekonać Czarnego Księcia, że ty, pani, i ten obcy - wskazał na Dariusza, który podszedł do nich, uśmiechając się z zakłopotaniem - jesteście szpiegami Piszczalki.

Elinor odwróciła się tak gwałtownie, że niechcący wbiła Dariuszowi łokieć w żołądek.

- Czarnego Księcia? - wykrzyknęła.

Zarumieniła się jak mała dziewczynka na widok księcia zbójców w towarzystwie nieodłącznego niedźwiedzia.

- Och, jest wspaniały...! - szepnęła. - A jego niedźwiedź wygląda dokładnie tak, jak go sobie zawsze wyobrażałam. Och, jakie to wszystko wspaniałe, wprost niewiarygodne!

Meggie łyzy całkiem obeschły. Była taka szczęśliwa, że Elinor tu jest. Taka szczęśliwa.

Rozdział 40

Nowa klatka

Westley zamknął oczy. Czekał go ból, a on musiał być gotów na jego nadejście. Musiał nastawić swój umysł, zyskać kontrolę nad myślami i wystać je daleko, w bezpieczne miejsce, tak by nie mogli go złamać.

William Goldman, Narzeczona księcia

Tym razem zjawili się wcześniej niż zazwyczaj. Na dworze ledwo się zmierzchało. W celi Mo nawet za dnia było ciemno, ale noc przynosiła ze sobą inny rodzaj ciemności - i Piszczalkę. Mo usiadł, dzwigając ciężkie łańcuchy i gotując się na razy i kopniaki. Najgorsze było właściwie to, że było mu tak potwornie głupio. Sam siebie wystrychnął na dudka, oddając się dobrowolnie w ręce wroga. Już nie był zbójcą ani introligatorem, był najzwyczajniejszym głupcem.

Cele w lochach Ombry były równie podłe jak te w Mrocznym Zamku. W tych ciemnych jamach, w których nie można się było nawet swobodnie wyprostować, czyhał na więźnia ten sam lęk co we wszystkich lochach świata. A Mo znów poznał jego smak... Strach chwycił go za gardło, zaledwie minął bramę, a ludzie Szczapy ściągnęli go z konia i spętali mu ręce.

Uwięziony. Bezradny... „Pomyśl o dzieciach, Mortimerze!”.

Jedynie wspomnienie dziecinnych twarzączek łagodziło nieco jego cierpienia, kiedy przeklinał się za to, co zrobił, a nocą znosił uderzenia i kopniaki. Ogniste sztuczki Smolipalucha dawały mu chwile wytchnienia od Piszczalki, ale zarazem wzmagaly gniew tamtego. Miał jeszcze w uszach głosik wróżki tej pierwszej nocy, gdy nagle wpadła do celi i

usiadła mu na ramieniu. Oczyma duszy widział ogniste pająki pełzające po jedwabnych szatach Piszczalki. Mo wyśmiał go, widząc paniczny lęk malujący się na jego twarzy, i nieraz już za to odpokutował.

„Jeszcze dwa dni, Mortimerze, dwa dni i dwie noce. Za dwa dni zjawi się tu Żmijogłowy”.

Tak, ale co wtedy? Był doprawdy niepoprawnym głupcem, wciąż wierząc, że potrafi dać śmierci i jej bladym córom to, czego od niego zażądała.

Czy jeśli białe damy zabiorą Meggie, Resa zrozumie, że pojechał na zamek także z jej powodu? Ze jej nie powiedział całej prawdy, aby nie powiększać jej lęku obawą o dziecko?

Dwaj żołnierze, którzy weszli do celi, mieli twarze i ręce wysmarowane sadzą. Zawsze przychodziło ich dwóch. Ale gdzie się tym razem podziewał ich srebrnonosy pan? Żołdacy bez słowa postawili go na nogi. Łańcuchy na nogach i rękach były ciężkie i wpijały się w ciało do krwi.

- Tej nocy Piszczalka odwiedzi cię w innej celi! - poinformował go ochryłym szeptem jeden z oprawców. - Tam nie odnajdzie cię ogień twojego przyjaciela.

Prowadzili go coraz głębiej i głębiej, mijali otwarte cele, z których bił zapach padliny. W pewnej chwili zdawało mu się, że widzi w ciemności pełzającego ognistego węża, ale jeden ze strażników uderzył go, gdy się obejrzał.

Cela, do której go wprowadzili, była o wiele obszerniejsza od poprzedniej. Na ścianach widniały plamy zaschniętej krwi, było zimno i duszno zarazem.

Piszczalka kazał na siebie czekać. Wreszcie pojawił się w towarzystwie dwóch następnych żołnierzy, a twarz miał umazaną sadzą, tak samo jak jego ludzie. Ci, którzy przyprowadzili Mo, odsunęli się z szacunkiem, lecz nie przestali rozglądać się lękliwie po celi, jakby tylko czekali na to, że ze ścian wypełzną czerwone pająki. Mo czuł, że Smolipaluch usilnie poszukuje go myślami, ale lochy Ombry leżały równie głęboko pod ziemią jak te w Mrocznym Zamku.

Może tej nocy będzie potrzebował noża, który Baptysta zaszył w jego ubraniu. Choć jego ręce były tak słabe i obolałe, że nie był pewien, czy zdołają utrzymać nóż, nie mówiąc już o tym, by mogły nim uderzyć. Ale dobrze było pamiętać, że ma się go przy sobie, kiedy strach odbierał zmysły. Strach i nienawiść.

- Twój przyjaciel Ogniożerca poczyna sobie coraz bezczelniej, ale tej nocy ci nie pomoże. Mam tego dosyć!

Twarz Piszczalki pobladła pod warstwą sadzy, którą posmarował nawet srebrną namiastkę nosa. Jeden z żołdaków uderzył Mo w twarz. Jeszcze dwa dni...

Piszczalka przyjrzał się z odrazą swym usmolonym rękawicom, po czym ciągnął:

- Cała Ombra śmieje się ze mnie. „Popatrzcie tylko na Piszczalkę - szepczą. - Ognisty Tancerz wodzi za nos jego ludzi, a Czarny Książę porywa i ukrywa dzieci! Sójka nas jeszcze wszystkich uratuje!”. Dość tego! Jak skończę dzisiaj z tobą, przestanę tak myśleć. - Podeszedł tak blisko do Mo, że srebrnym końcem nosa dotykał prawie jego policzka. - No co? - zadrwił. - Nie chcesz ich wezwać na pomoc swym czarodziejskim głosikiem? Tych twoich przyjaciół obdartusów, księcia z jego niedźwiedziem i Ognistego Tancerza... A może Wiolantę? Jej kosmaty służka wciąż węszy wokół mnie, a Wiolanta co godzina powtarza mi, że tylko żywy przedstawiasz dla jej ojca jakąkolwiek wartość. Ale jej ojciec już nie jest taki straszny jak dawniej. Sam o to zadbałeś.

Wiolanta... Mo widział ją tylko raz, na dziedzińcu, gdy żołnierze ściągali go z konia. Jak mógł być tak głupi i wierzyć, że ona potrafi go ochronić? Był zgubiony, a Meggie razem z nim. Czarna rozpacz wypełniła jego duszę.

Tymczasem Piszczalka uśmiechał się zadowolony.

- Ach, boisz się! To mi się podoba. Powiniennem napisać o tym pieśń. Ale odtąd będą pisać pieśni wyłącznie na mój temat, ponure pieśni, takie jak lubię.

Jeden z oprawców z głupawym uśmiechem na ustach zbliżył się do Mo, dzierżąc w dłoni pałkę okutą żelazem.

- „Tym razem też im uciekniesz!” - oto jak drwią ze mnie - rzekł Piszczalka, odstupując krok w tył. - Ale ty już nigdy i nigdzie nie uciekniesz, Sójko. Odtąd będziesz mógł tylko pełzać. Pełzać przede mną.

Dwaj żołdacy, którzy go tu przyprowadzili, porwali go i przytrzymali, opierając plecami o zakrwawioną ścianę celi. Trzeci oprawca uniósł pałkę... Piszczalka z zadowoleniem głaskał się po srebrnym nosie.

- Ręce są ci potrzebne ze względu na księgę, Sójko. Ale Żmija chyba nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli ci przetrączę nogi? A gdyby nawet... Jak mówiłem, to już nie ten sam Żmijogłowy...

Zgubiony.

„O Boże, Meggie!” - pomyślał zrozpaczony Mo. Czy kiedykolwiek opowiedział jej historię równie okrutną jak ta tutaj?

„Nie, Mo, tylko nie bajki! - prosiła, gdy była mała. - Bajki są za smutne”.

Ale żadna nie była tak smutna jak ta.

- Jaka szkoda, że mój ojciec nie słyszał na własne uszy twojego wspaniałego przemówienia, Piszczalko.

Wiolanta mówiła cichym, spokojnym głosem, ale Piszczalka odwrócił się tak gwałtownie, jak gdyby na niego wrzasnęła.

Głupawo uśmiechnięty żołdak opuścił pałkę, a pozostali żołnierze cofnęli się, jakby chcieli zrobić miejsce córce Żmijogłowego. Wiolanta tonęła cała w obszernej czarnej sukni, którą miała na sobie.

„Jak ludzie mogli nazywać ją Brzydką?” - zastanawiał się Mo. Wydało mu się, że nigdy nie widział piękniejszej twarzy.

Obok Wiolanty wychynęła z cienia drobna owłosiona twarz. Tulio. Czy to on ją tu przyprowadził? Miała też przy sobie pięciu czy sześciu swoich żołnierzyków. Przy ludziach Piszczalki wyglądali dziecinnie i krucho, ale ich młode dłonie trzymały kusze, a tej broni obawiali się nawet pancerni.

Ale Piszczalka szybko wziął się w garść.

- Czego tu szukasz, pani? - zawołał zuchwale. - Chcę tylko mieć pewność, że twój bezcenny więzień znowu nie ucieknie. Wystarczy, że jego ognisty przyjaciel ośmiesza nas wszystkich. Twojemu ojcu na pewno się to nie spodoba.

- A tobie nie spodoba się to, co teraz uczynię - oświadczyła Wiolanta głosem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu. - Zakuć go! - rozkazała swym żołnierzom. - A Sójce zdjąć łańcuchy i związać go tak, żeby mógł jechać konno.

Piszczalka położył rękę na mieczu, ale trzech żołnierze Wiolanty powalili go na ziemię. Oczy ich pały nienawiścią. Mo widział, że z trudem się powstrzymują, by na miejscu nie zabić Srebrnego Nosa. Ludzie Piszczalki też to musieli zauważyć, bo pozwolili się skrepować, nie stawiając oporu.

- Ty brzydka mała żmijo! - krzyczał Piszczalka, a jego nosowy głos brzmiał jeszcze dziwniej niż zwykle. - Szczapa miał rację! Idziesz ręką w rękę z tą zbójceją bandą! Czego chcesz? Tronu Ombry? A może jeszcze tronu ojca na dodatek?

Twarz Wiolanty pozostała nieruchoma, jak na malowidłach Balbulusa.

- Chcę tylko jednego - odparła spokojnie. - Dostarczyć ojcu Sójkę w stanie nienaruszonym, aby mógł mieć z niego pożytek. A w zamian za tę usługę zażądam tronu Ombry. Dlaczego nie? Tron należy mi się dziesięć razy bardziej niż Szczapie.

Żołnierz zdejmujący Mo łańcuchy był tym samym, który niegdyś odsunął wieko sarkofagu i wyprowadził go z krypty na wolność.

- Wybacz, panie! - wymamrotał, wiążąc mu ręce tak luźno, jak się tylko dało, ale powróż i tak sprawiał ból na pokrwawionych nadgarstkach.

Mo przez cały czas nie spuszczał oka z Wiolanty. W uszach brzmiał mu ochryply głos Draba: „Przehandluje cię za tron Ombry”.

- Dokąd go zabierasz? - zawołał Piszczalka, plując w twarz żołnierzowi, który go skubał. - Choćbyś go ukryła u olbrzymów, i tak go znajdę!

- Och, nie zamierzam go wcale ukrywać - odparła spokojnie Wiolanta. - Zabiorę go na zamek mojej matki. Ojciec zna drogę. Jeśli przyjmie moje warunki, niech tam przyjedzie. Jestem pewna, że mu przekażesz tę wiadomość.

„Przehandluje cię”.

Wiolanta patrzyła na Mo obojętnie, jakby się nigdy w życiu nie spotkali. A Piszczalka kopnął go skrępowanymi nogami, gdy przechodził tuż obok niego, ale cóż to było w porównaniu z uderzeniem żelazną pałką, jakie jeszcze przed chwilą mu groziło!

- Już jesteś nieżywy, Sójko! - zdążył jeszcze wrzasnąć Piszczalka, zanim został zakneblowany. - Jesteś trupem!

„Jeszcze nie! - miał ochotę odpowiedzieć Mo. - Jeszcze nie...”.

Za żelazną kratą czekała służąca Wiolanty. Dopiero mijając ją, Mo rozpoznał Briannę. A więc Wiolanta naprawdę przyjęła ją z powrotem do siebie. Skinęła mu głową i poszła za swą panią. W korytarzu leżeli trzej ogłuszeni strażnicy. Wiolanta przestąpiła przez leżących i poszła korytarzem, którym go tu przyprowadzono, po czym skręciła w lewo, w wąski tunel. Tulio biegł przodem z pochodnią, a Mo w otoczeniu żołnierzy zamykał pochod.

Zamek jej matki...

Cokolwiek Wiolanta zamierzała z nim uczynić, Mo był jej wdzięczny, że na razie zachował całe i zdrowe nogi. Tunel zdawał się nie mieć końca.

„Skąd córka Żmijogłowego wie tyle o tajnych przejściach na zamku?”.

- Czytałam o tym tunelu - odezwała się Wiolanta, jakby odgadując jego myśli.

A może już zaczął mówić do siebie na głos po tylu dniach i nocach spędzonych samotnie w ciemnym lochu?

- Na szczęście tylko ja jedna korzystam z zamkowej biblioteki - dodała.

Patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby próbowała wywnioskować, czy jeszcze jej ufa. O tak, była kubek w kubek taka jak ojciec. Tak samo jak on lubiła igrać ze strachem, władzą, uwielbiała ciągłą próbę sił aż po śmierć. Dlaczego wciąż jej ufał, mimo że kazała mu związać ręce?

W ciemności ujrzeli dwa kolejne odgałęzienia drogi, równie wąskie jak tunel, którym tu doszli. Tulio spojrzał pytająco na swoją panią, a ta bez wahania wskazała mu lewą odnogę.

„Cóż za dziwna kobieta - myślał Mo. - O tyle dojrzała ponad swoje lata, taka chłodna, taka opanowana...”

„Nie zapominaj, czyją jest córką” - powtarzał przy każdej okazji Czarny Książę i teraz Mo zaczynał rozumieć, przed czym przyjaciel pragnął go ostrzec. Wiolantę otaczała ta sama aura okrucieństwa, którą wyczuwało się w obecności jej ojca, ta sama niecierpliwość i władczość, to samo przekonanie, że jest się mądrzejszym od wszystkich, lepszym, ważniejszym...

- Wasza Wysokość? - odezwał się żołnierz idący za Mo. - A co z twoim synem?

Wiolanta, nie odwracając się, odparła zimno:

- Jacopo zostanie tutaj. Inaczej by nas zdradził.

Czy miłości do dziecka trzeba się nauczyć od rodziców? Jeśli tak, to trudno się dziwić, że Wiolanta nie знаła tego uczucia.

Mo poczuł na twarzy powiew wiatru zwiastującego coś więcej niż stęchłą ziemię.

Tunel się rozszerzył. Mo usłyszał szum wody, a gdy wydostali się na zewnątrz, ujrzał w dole Ombre. Z czarnego nieba sypał śnieg, przez огоłocone krzaki przeświecała rzeka. Na brzegu czekały konie. Pilnował ich żołnierz, któremu jakiś chłopak przykładał nóż do gardła. Farid. Obok niego stał Smolipaluch, w przysypanej śniegiem czuprynie tańczyły iskierki ognia, obie kuny warowały u jego stóp.

Kuglarz uśmiechnął się tylko, kiedy żołnierze Wiolanty wycelowali w niego napięte kusze.

- Dokąd zabierasz swego więźnia, córko Żmii? - spytał. - Jestem jego cieniem, który przywiódł z krainy umarłych, a cień idzie zawsze za swoim właścicielem.

Tulio ukrył się trwożliwie za czarną suknią Wiolanty, jakby się obawiał, że za chwilę ogarną go płomienie. Tymczasem Wiolanta dała znak żołnierzom, by opuścili kusze. Brianna podniosła wzrok na ojca.

- Nie jest moim więźniem - powiedziała Wiolanta. - Ale nie chcę, żeby któryś z licznych szpiegów ojca doniósł mu o tym. Dlatego ma pęta na rękach. A może chcesz, żeby je zdjąć, Sójko? - Wyciągnęła nóż spod płaszcza.

Mo wymienił spojrzenia ze Smolipaluchem. Jego widok sprawił mu radość, ale serce musiało się dopiero przyzwyczaić do tego nowego uczucia. Przez wiele lat widok kuglarza wzbudzał w nim bowiem zgoła inne uczucia. Od kiedy jednak obu dotknęła śmierć, zdawali się uczynieni z tego samego materiału. Z tej samej historii. A może jest tylko jedna jedyna historia?

„Nie ufaj jej!” - mówiło spojrzenie Smolipalucha, a Mo wiedział, że przyjaciel z łatwością wyczyta w jego myślach odpowiedź: „Muszę”.

- Zachowam pęta - powiedział i Wiolanta ukryła nóż pod ubraniem.

Płatki śniegu osiadały na jej czarnej sukni niby białe skrzydełka.

- Wiozę Sójkę na zamek, w którym wychowywała się moja matka - wyjaśniła. - Tam będę go mogła ochronić. Tutaj nie.

- Do Zamku na Jeziorze? - spytał Smolipaluch, odwiązując od pasa skórzany woreczek i podając go Faridowi. - To daleka droga. Co najmniej cztery dni konnej jazdy.

- Słyszałeś o nim?

- A kto nie słyszał? Ale zamek jest od dawna opuszczony. Czy byłeś tam kiedy?

Wiolanta wojowniczo wysunęła podbródek, znów do złudzenia przypominając Mortimerowi Meggie.

- Nie, nigdy tam nie byłam, ale matka opowiadała mi o zamku. Przeczytałam też wszystko, co jest dostępne na jego temat, i znam go lepiej, niż gdybym tam mieszkała.

Smolipaluch patrzył na nią bez słowa, a gdy skończyła mówić, wzruszył tylko ramionami.

- Jak uważasz. W każdym razie na zamku nie ma Piszczalki i to jest jego zaleta. Podobno łatwo go też bronić. - Spojrzał po żołnierzach Wiolanty, jakby się zastanawiał nad ich wiekiem. - No tak, nie ulega wątpliwości, że Sójka będzie tam bezpieczniejszy.

Płatki śniegu padające na pokaleczone ręce przynosiły Mo ulgę. Wkrótce te ręce nie będą się nadawały do użytku, jeśli chociaż na noc żołnierze nie zdejmą mu powrozów.

- Czy jesteś pewna, pani, że twój ojciec przyjedzie za nami na zamek? - zwrócił się do Wiolanty. W jego głosie wyczuwało się jeszcze aurę ponurych lochów.

- O, tak - uśmiechnęła się Wiolanta - na pewno przyjedzie. Pójdzie za tobą wszędzie. I przywiezie nam Pustą Księgę.

Pusta Księga. Śnieg sypał gęsto, jakby chciał cały świat pokryć bielą i upodobnić do kart owej księgi.

„Nadeszła zima. Twoje dni są policzone, Mo. Twoje i Meggie”.

Jak to możliwe, że wciąż kocha ten świat? Jak to możliwe, że patrzy z zachwytem na te drzewa w oddali, o tyle wyższe od drzew, na które wspinał się jako chłopiec, że jego oczy tęsknie wypatrują wrózek i szklanych ludzików, jakby te stworzenia zawsze były częścią jego świata...?

„Przypomnij sobie, Mortimerze! Kiedyś otaczał cię zupełnie inny świat” - szeptał jakiś głos w jego duszy, ale na próżno. Nawet jego imię brzmiało mu dziwnie obco i nieprawdziwie. I wiedział, że gdyby jakaś dłoń chciała na zawsze zatrzaskać książkę Fenoglia, zrobiliby wszystko, aby ją powstrzymać.

- Nie mamy dla ciebie konia, Ognisty Tancerzu - powiedziała wrogo Wiolanta.

Nie lubiła Smolipalucha. Ale on odpłacał jej tym samym. Uśmiechał się drwiąco, a księżna patrzyła na niego z coraz większą odrazą.

- Jedźcie - powiedział. - Znajdę was, nie ma obawy. Zniknął nagle, akurat gdy Mo dosiadał konia, a wraz z nim

zniknął Farid. Tylko wesołe iskierki igrały w śniegu, tam gdzie przed chwilą stał Smolipaluch. Mo widział strach malujący się na młodych twarzach żołnierzy Wiolanty, jakby przed chwilą zobaczyli ducha. Zresztą czyż to nie było trafne określenie dla kogoś, kto powstał z martwych?

Tymczasem na zamku wciąż panował spokój. Straże nie wznieciły jeszcze alarmu, gdy pierwszy żołnierz Wiolanty skierował konia do rzeki. Nikt nie krzyczał z blanków, że Sójka znowu uciekł z klatki. Ombra spała. Śnieg przykrywał ją coraz grubszą białą kołdrą, a ogniste sójki niestrudzenie krążyły ponad dachami.

Rozdział 41

Obrazy z popiołu

- Przepraszam - wymamrota! Harry. Dumbledore pokręci! głową.

- Ciekawość to nie grzech. Ale z ciekawością trzeba uważać... oj, tak...

Joannę K. Rowling, Harry Potter i czara ognia

Jaskinia, którą Czarny Książę i Mo znaleźli na długo przed fatalnym występem Kopcia, leżała o dwie godziny marszu na północ od Ombry. Dla dziecinnych nówek była to daleka droga, zwłaszcza że w Atramentowym Świecie zaczęła się zima, padał deszcz przechodzący w śnieg, z nagich gałęzi niby lodowe listki zwieszały się białe motyle, a szare sowy polowały na wróżki.

- Moje wróżki śpią o tej porze roku! - bronił się Fenoglio, gdy Despina zaczęła płakać, bo sowa rozdarła na jej oczach dwie niefrasobliwe istotki. - Ale te głupie stworzenia, które wymyślił Orfeusz, fruują sobie w najlepsze, jakby nigdy nie słyszały nic o zimie.

Czarny Książę prowadził ich przez gąszcze i bezdroża, wspinali się po zboczach w górę, schodzili w dół piarżystymi ścieżkami. Droga była tak trudna, że młodsze dzieci trzeba

było przeważnie nieść. Meggie wkrótce rozboleły plecy, ale Elinor kroczyła dziarsko naprzód, jakby chciała w jak najkrótszym czasie zobaczyć jak najwięcej z tego cudownego nowego świata. Strzegła się jednak pilnie, by ze swym zachwytem nie zdradzić się przed twórcą tego całego piękna. Fenoglio zwykle szedł tuż za nimi wraz z Resą i Dariuszem. Dziewczynka, którą najczęściej niosła Resa, była tak podobna do Meggie, że za każdym razem gdy ta oglądała się na matkę, wydawało jej się, że spogląda w przeszłość, która wcale się nie zdarzyła. Widząc, jak jej matka całuje włosy małej, Meggie żałowała, że tak nie było. Może teraz nie odczuwałyby tak boleśnie nieobecności Mo.

Kiedy w połowie drogi Resie zrobiło się niedobrze, Roksana zabroniła jej nieść dzieci.

- Bądź ostrożna - powiedziała. - Wyobraź sobie, co by to było, gdybyś musiała powiedzieć mężowi, kiedy wróci, że straciłaś wasze dziecko!

Teraz było już widać, że Resa jest w ciąży, i Meggie miała wielką ochotę położyć rękę na jej brzuchu, gdzie rosło to drugie dziecko, ale coś ją od tego powstrzymywało. Dariuszowi oczy zwilgotniały, gdy dowiedział się o nowinie, a Elinor wykrzyknęła: „No proszę, teraz wszystko musi się dobrze skończyć!”, ściskając Resę tak mocno, że można się było obawiać, czy nie udusiła malucha. A Meggie dręczyła jedna i ta sama myśl: „Nie chcę siostrzyczki, nie chcę braciszka, chcę tylko mojego tatę!”. Ale kiedy mały chłopczyk, którego przez kilka godzin dźwigała na plecach, dziękując, pocałował ją w policzek, niespodziewanie dla siebie samej po raz pierwszy poczuła przedsmak radości, wyobrażając sobie, jak braciszek albo siostrzyczka wsuwa piąstkę w jej dłoń.

Wszyscy byli zadowoleni, że Roksana jest z nimi. Wprawdzie jej syn nie należał do dzieci porwanych w czasie pokazów Kopcia, lecz zielarka mimo to zabrała ze sobą Jehana.

Jej długie czarne włosy były znów rozpuszczone na modłę wagantek. Uśmiechała się także częściej niż dawniej, a nawet zaczęła nucić, kiedy jedno z dzieci się rozplakało. Meggie po raz pierwszy słyszała jej śpiew i przypomniały jej się słowa Baptysty: „Kiedy Roksana śpiewa, zdejmuję z twego serca smutek i zamienia go w muzykę”.

Zastanawiała się, jak to możliwe, że Roksana jest taka szczęśliwa, chociaż nie ma z nią Smolipalucha. „Bo teraz już wie, że on zawsze do niej powróci” - wyjaśnił jej Baptysta. Czy Resa myśli tak samo o Mo?

Meggie dopiero z odległości metra zobaczyła wejście do jaskini. Zaslaniały je wysokie sosny, kolcorzechy i jakieś krzaki, z których gałęzi zwisały kiście białego puchu, długie i miękkie jak siwe włosy. Idąc za Dorią, przedzierała się przez krzewy, kalecząc ręce, które potem jeszcze przez kilka godzin swędziały ją i piekły.

Wejście do jaskini było tak wąskie, że Siłacz musiał wciągnąć głowę w ramiona i przeciskać się bokiem, ale za to w środku pieczara była obszerna i wysoka jak kościół. Dziecięce głosiki odbijały się potężnym echem od granitowych skał. Meggie miała wrażenie, że słycać je pewnie aż w Ombrze.

Czarny Książę umieścił przed wejściem aż sześciu strażników, którzy wspięli się na wierzchołki drzew. Czterech innych zbójców wysłał w las, by pozacierali ślady pochodu.

„Trudno będzie zatrzeć ślady tylu dziecięcych stóp” - pomyślała Meggie. Na twarzy Czarnego Księcia malowała się rozterka. Jakże chętnie zabrałby maluchy jeszcze dalej, jak najdalej od Piszczalki i psów Szczapy.

Pięciu czy sześciu matkom Czarny Książę pozwolił zostać z dziećmi. Znał na tyle dobrze swoich ludzi, by wiedzieć, że w roli matek będą najzupełniej bezużyteczni.

Roksana, Resa i Minerwa pomagały im przysposobić jaskinię na potrzeby dzieci. Rozciągały koce i zgrzebne płachty, podścielając je warstwą suchych liści, które udało się zgromadzić, kładły na posłaniach skóry do przykrycia i wznosiły z kamieni niskie przepierzenia, by oddzielić legowiska dla najmłodszych.

Urządziły też kącik kuchenny i przejrzały zapasy żywności przyszykowane przez zbójców. A przez cały czas nasłuchiwały trwożnie, czy na dworze nie rozlegnie się szczekanie psów lub nawoływanie żołnierzy.

- Popatrzcie tylko, jak to sobie napychają dzioby te nicponie! - warknął Drab, gdy Czarny Książę dał znak do wydania pierwszego posiłku. - Zapasów starczy na tydzień, a co potem?

- Do tego czasu Zmijogłowy już dawno będzie martwy-wtrącił Siłacz przekornie, ale Drab tylko roześmiał się pogardliwie.

- Ach tak? A przy okazji Sójka zabije Piszczalkę, co? Ale żeby to zrobić, będzie potrzebował czegoś więcej niż trzech słów. A co ze Szczapą, co z pancernymi?

Właśnie! Nikt nie znał odpowiedzi na to pytanie.

- Wiolanta ich wszystkich przepędzi, jak tylko jej ojciec pożegna się z życiem! - odezwała się Minerwa.

Ale Meggie nadal nie ufała księżnej.

- Ojciec ma się dobrze, Meggie - powtarzała w kółko Elinor. - Nie rób takiej posepnej miny. O ile dobrze zrozumiałam tę całą historię... co nie jest wcale łatwe, bo nasz poeta - dodawała za każdym razem, obrzucając Fenoglia spojrzeniem pełnym wyrzutu - lubi wszystko komplikować... twojemu ojcu włos z głowy nie może spaść, bo musi wyleczyć tę

księgę Zmijogłowego. Prawdopodobnie zresztą mu się to nie uda, ale to już inna sprawa. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze!

Ach, gdyby Meggie mogła jej uwierzyć, tak jak niegdyś wierzyła Mo. Wystarczyło, żeby powiedział: „Wszystko będzie dobrze, Meggie”, a ona spokojnie kładła głowę na jego ramieniu, pewna, że ojciec wszystko załatwi. Jakże to było dawno...

Czarny Książę posłał do Ombry oswojone wrony Gekona - do Puszczyka i szpiegów, których miał na zamku, a Resa godzinami wypatrywała powrotu czarnych posłańców. Ale jedynym ptakiem, którego Gekon następnego dnia przyniósł do jaskini, była wyliniała sroka. I w końcu to nie wrony, lecz Farid przyniósł do obozu wieści o Sójce.

Kiedy jeden ze strażników przyprowadził go do Czarnego Księcia, chłopak trząśniętym głosem powiedział, że jest zimno, a na jego twarzy malował się wyraz zagubienia, jak zawsze gdy Smolipaluch oddalał go od siebie. Meggie kurczowo chwyciła Elinor za rękę, gdy Farid, zacinając się, przekazał wiadomość, że Wiolanta wywiozła Mo do zamku swej matki, że Smolipaluch będzie im towarzyszył, że Piszczalka znęcał się nad Mo w więzieniu, że mu groził... Wiolanta obawiała się, że Piszczalka go zabije. Resa ukryła twarz w dłoniach, a Roksana objęła ją opiekuńczo ramieniem.

- Zamek jej matki? Przecież matka Wiolanty nie żyje! - zawołała Elinor.

Orientowała się w szczegółach historii Fenoglia lepiej od samego twórcy. Poruszała się pośród zbójców tak naturalnie, jakby była jednym z nich. Na jej prośbę Baptysta śpiewał pieśni wa-gantów, Siłacz uczył ją rozmawiać z ptakami, a Kryształek tłumaczył jej, ile jest różnych gatunków szklanych ludzików. Ciągłe połykała się o skraj swej dziwacznej sukni, miała czoło powalane błotem, pająki we włosach, ale była tak szczęśliwa, jak to jej się dawniej zdarzało na widok szczególnie cennej książki i jak wtedy, gdy w jej ogrodzie gnieździły się wróżki i szklane ludziki.

- To zamek, w którym wychowywała się jej matka - wyjaśnił Farid, machinalnie ocierając z sadzy skórzany woreczek przytroczony do pasa. - Tworzyliśmy z ognia pająki i wilki, by chronić twojego ojca! - powiedział z dumą, patrząc na Meggie.

- Mimo to Wiolanta uznała, że nie jest bezpieczny na zamku! - zauważyła Resa tonem oskarżenia. Miało to znaczyć: „Nikt z was nie potrafi go obronić. Jest sam”.

- Zamek na Jeziorze... - powtórzył! w zadumie książę, jakby pomysł Wiolanty nie przypadł mu do gustu. - Wiele pieśni opiewa ten zamek.

- Ponurych pieśni - dodał Gekon.

Na jego ramieniu siedziała wynędzniała sroka, która zaplątała się do obozu. Ptak przyglądał się Meggie takim wzrokiem, jak gdyby miał ochotę wydziobać jej oczy.

- Co to za pieśni? - spytała Resa ze strachem.

- Opowieści o duchach, same bzdury! - zbagatelizował sprawę Fenoglio, przechodząc obok Resy z uczeponą jego dłoni Despiną. - Zamek na Jeziorze jest od dawna opuszczony, nic więc dziwnego, że ludzie zaludniają go najbardziej fantastycznymi wymysłami!

- Bardzo uspokajające wyjaśnienie! - mruknęła Elinor, rzucając Fenogliowi zjadliwe spojrzenie, które wywołało rumieniec na twarzy pisarza.

Był w podłym nastroju. Od kiedy zamieszkali w jaskini, ciągle na coś narzekał: na chłód, na płacz dzieci, na smród bijący od niedźwiedzia. Większość czasu spędzał w najciemniejszym kącie jaskini, odgradzony od reszty kamiennym murkiem, klóćąc się z Kryształkiem. Uśmiechał się tylko do trzech osób: Despiny i Iwa - oraz Dariusza. Zaraz po przybyciu do jaskini lektor przyłączył się do pisarza, pomagając mu wznosić murek z kamieni i nieśmiało wypytyując go o różne szczegóły świata stworzonego przez pisarza. Były to pytania w rodzaju: „Gdzie mieszkają olbrzymy? Czy nimfy żyją dłużej niż ludzie? Jaki kraj leży za tymi górami?”. Najwidoczniej jednak zadawał właściwe pytania, gdyż nie drażniły one Fenóglia tak jak pytania Orfeusza.

Kiedy Meggie podeszła do niego, by dowiedzieć się czegoś więcej na temat miejsca, do którego Wiolanta wiozła jej ojca, pisarz wzruszył ramionami.

- To było jedno z podrzędnych miejsc akcji, Meggie - mruknął. - Miejscowość jedna z wielu, zwykła dekoracja. Jeśli chcesz wiedzieć więcej, przeczytaj o tym w mojej książce, pod warunkiem, że Smolipaluch zgodzi się choć na chwilę wypuścić ją z ręki. Uważam, że powinien byt ją oddać mnie, chociaż mnie dalej nie lubi, w końcu jestem jej autorem, no, ale co zrobić? Najważniejsze, że Orfeusz już jej nie ma. Książka.

Smolipaluch przekazał już komuś egzemplarz Atramentowego serca, ale Meggie nikomu tego nie zdradziła, sama nie wiedząc dlaczego. Książka była w posiadaniu jej matki.

Farid z takim pośpiechem wręczył Resie książkę, jakby się bał, że znów pojawi się za jego plecami Basta, jak wtedy w tamtym świecie, i ukradnie ją.

„Smolipaluch mówi, że u ciebie będzie najbezpieczniejsza, bo ty wiesz najlepiej, jaką moc mają zawarte w niej słowa - wymamrotał. - Czarny Książę nic nie rozumie z tych rzeczy. Tylko trzymaj ją w ukryciu, żeby Orfeusz jej nie odzyskał. Chociaż Smolipaluch jest pewien, że u ciebie nie będzie jej szukał”.

Matka niechętnie przyjęła książkę i po chwili wahania ukryła ją pod posłaniem. Meggie serce waliło jak młotem, gdy wyciągnęła egzemplarz spod koca. Nie widziała książki od tamtego czasu na placu w wiosce Capricorna, gdy Mortola dała jej tom, by wywołała Cień. Czuła się dziwnie, otwierając Atramentowe serce w świecie, o którym opowiadało, i przez

jedną maleńką chwilę obawiała się, że stronicie wessą wszystko, co ją otacza. Kamieniste dno jaskini, na którym siedziała, koc, którym przykrywała się jej matka, białego zimowego motyla, który zaplątał się do jaskini, i dzieci ścigające go ze śmiechem... czy to wszystko naprawdę zrodziło się między tymi okładkami? Książka sprawiała tak niepozorne wrażenie w porównaniu z cudami, które opisywała - kilkaset zadrukowanych stron, kilkanaście ilustracji, nawet w połowie nie tak dobrych jak miniatury Balbulusa, mieniąca się srebrzyście zielona płócienna oprawa... A przecież Meggie nie zdziwiłaby się wcale, gdyby na kartach książki odnalazła swoje imię lub imię matki, Farida czy Mo... nie, jej ojciec nosił w tym świecie inne imię...

Nigdy nie miała okazji przeczytać opowieści Fenoglia. Od czego zacząć? Może jest gdzieś obrazek Zamku na Jeziorze? Poczęła nerwowo kartkować książkę, gdy usłyszała za sobą głos Farida.

- Meggie?

Pospiesznie zatrasnęła książkę, czując się tak, jakby ją przyłapano na gorącym uczynku, jakby każde zapisane tam słowo było tajemnicą. A przecież w tej książce nie znajdowało się nic z tych rzeczy, które napawały ją lękiem - nie występował tam Sójka ani nawet Farid...

Nie myślała teraz o nim tak często jak dawniej. Wydawało się, że wraz z powrotem Smolipalucha rozdział na ich temat został zamknięty, że historia zaczynała się od nowa, a każde nowe słowo wymazywało wszystko, co zostało opowiedziane do tej pory.

- Smolipaluch dał mi coś jeszcze... - zaczął Farid. Zerkał na książkę na jej kolanach, jakby to była jadowita żmija, w końcu jednak zdecydował się uklęknąć obok i odwiązał od pasa woreczek, który przedtem głaskał nerwowo, składając raport Czarnemu Księciu. - Dał mi to dla Roksany - szepnął, rysując na skalnym podłożu krąg popiołem dobytym z woreczka. - Ale kiedy zobaczyłem, jaka jesteś zmartwiona...

Nie dokończywszy zdania, począł szeptać słowa zrozumiałe tylko dla niego i Smolipalucha, aż z popiołu wystrzeliły uśpione w nim płomyki. A Farid przemawiał do ognia, chwalił, zachęcał, kusił płomyki i w końcu stały się tak gorące, że ich wnętrze zbladło jak papier i ukazało obraz - zrazu ledwie rozpoznawalny, lecz stopniowo nabierający wyrazistości...

Gęsto zalesione wzgórza... żołnierze posuwający się wąską ścieżyną, wielu żołnierzy... pośrodku nich jechały dwie kobiety. Po kolorze włosów Meggie natychmiast rozpoznała Brianę, a kobieta jadąca przed nią to musiała być Wiolanta... a tam... tam w

towarzystwie Smolipalucha jechał Mo... Meggie odruchowo wyciągnęła do niego rękę, ale Farid przytrzymał jej dłoń.

- Ma krew na twarzy - szepnęła.

- To sprawka Piszczalki...

Farid poszeptał z ogniem i obraz poszerzył się i zmienił perspektywę. Wijąca się ścieżka prowadziła ku górom o wiele wyższym od wzgórz otaczających Ombre. Na ścieżce leżał śnieg, szczyty w oddali były także ośnieżone. Meggie zauważyła, że Mo chucha na zmarznięte dłonie.

Wyglądał tak obco w obszytym futrem płaszczu - niby jakaś postać z bajki.

„On naprawdę jest postacią z bajki, Meggie - szepnął jakiś głos w jej sercu - to Sójka...”.

Czy w ogóle był jeszcze jej ojcem? Czy Mo kiedykolwiek miał tak poważny wyraz twarzy? Brzydka Wiolanta odwróciła się do niego... to musiała być ona, bo któż by inny? Rozmawiali ze sobą, ale ogień ukazywał tylko nieme obrazy.

- Widzisz? Ma się dobrze. Dzięki Smolipaluchowi...

Mówiąc to, Farid wpatrywał się w ogień z taką tęsknotą, jakby ten mógł go przenieść do Smolipalucha. Potem, westchnąwszy, począł delikatnie dmuchać w płomienie, które przygasły nieco - zdawało się, że dostały rumieńców pod wpływem tych wszystkich pieszczotliwych słów, którymi je chłopiec obdarzył.

- Pójdiesz za nim? - spytała Meggie. Farid potrząsnął głową.

- Smolipaluch chce, żebym uważał na Roksanę - odparł z lekką goryczą w głosie. - A ty co zrobisz?

- A co ja mogę zrobić?

„Szeptać słowa. To jedyne, co potrafię!” - dodała w myślach. Powtarzała słowa, jakie grajkowie śpiewali na temat Sójki: że swoim głosem oblaskawia wilki, że żadna broń go się nie ima i jest szybki jak wiatr, że chronią go wróżki, a białe damy strzegą go we śnie. Słowa. To było jedyne, czym mogła ochraniać Mo, i dlatego szeptała je we dnie i w nocy, kiedy nikt jej nie widział, posyłała je Mo, tak jak Czarny Książę posłał wrony do Ombry.

Rozdział 42

Audiencja u Żmijogłowego

Nie da się naprawdę czytać książki, jeśli nie jesteśmy sami. I właśnie dzięki tej samotności nawiązujemy intymny kontakt z ludźmi, których inaczej nigdy byśmy nie spotkali, gdyż albo żyli przed stuleciami, albo mówili

nieznany mi językami. Lecz ci właśnie ludzie dzięki lekturze stają się nam najbliższymi przyjaciółmi, doradcami, czarodziejami, którzy potrafią nas zahipnotyzować...

Antonio Muñoz Molina, Moc pióra

Tabor Żmijogłowego dotarł do Ombry tuż po północy. Orfeusz dowiedział się o tym równie szybko jak Szczapa, Oss bowiem już trzecią noc z rzędu czatował na Ponurym Wzgórzu przed bramą miejską.

Wszystko było przygotowane na przyjęcie Srebrnego Księcia. Piszczalka kazał zasłonić czarnym płótnem każdy otwór na zaniku, tak by jego pan nawet za dnia mógł się cieszyć nocą, a na podwórku zamkowym leżały stosy drewna. Szczapa wydał polecenie, by napalić we wszystkich kominkach zamkowych, choć było wiadomo, że żaden ogień nie ogrzeje Żmijogłowego, którego ciało trawił wewnętrzny mróz. Jedyne człowiek, który mógłby mu pomóc, zniknął z lochów zamkowych, i wszyscy myśleli z obawą o tym, jak księżę przyjmie tę wiadomość.

Orfeusz jeszcze przed świtem posłał Ossa na zamek, było bowiem tajemnicą poliszynelem, że Srebrny Księżę prawie wcale nie sypia.

- Powiedz, że mam dla niego wiadomości najwyższej wagi. Powiedz, że chodzi o jego córkę i intrologatora.

Powtórzył te słowa co najmniej pięć razy, nie miał bowiem złudzeń co do intelektualnych możliwości swego ochroniarza, ale Oss spisał się nadspodziewanie dobrze. Już po trzech godzinach, które Orfeusz spędził w swym gabinecie, chodząc nerwowo z kąta w kąt, wrócił z wiadomością, że księżę udzieli mu posłuchania pod warunkiem, że ten zjawi się niezwłocznie na zamku, gdyż Żmijogłowy musi odpocząć przed kolejną podróżą.

Kolejna podróż?

„A więc wszystko jasne, Srebrny Księżę przyjął wyzwanie córki - myślał Orfeusz, spieszenie wyruszając na zamek. - W porządku, teraz od ciebie tylko zależy, aby go przekonać, że może wygrać w tej grze jedynie przy twojej pomocy!”.

Odruchowo oblizywał wargi, jakby chciał je przygotować do tak ważnego zadania. Nigdy jeszcze nie zarzucał sieci na tak grubą rybę.

„Kurtyna w górę! - szeptał do siebie. - Kurtyna w górę!”.

Lokaj prowadzący go przez osłonięte czarnymi płachtami korytarze do sali tronowej nie odezwał się do niego ani słowem. W zamku było gorąco i mroczno. „Jak w piekle!” - pomyślał Orfeusz. Pasowało to doskonale do władcy, którego powszechnie porównywano z diabłem. Musiał przyznać Fenogliowi, że był to łotr wielkiego formatu. W porównaniu ze

Żmijogłowym Capri-corn był zwykłym komediantem, aktorem z amatorskiego teatrzyku, chociaż Mortola patrzyła na to inaczej (ale kogo jeszcze obchodziło, co ona myśli?).

Przyjemny dreszczyk przebiegł mu po grzbiecie. Żmijogłowy! Potomek klanu od wielu pokoleń praktykującego sztukę czynienia zła. Nie było takiej potworności, jakiej nie popełniłby przynajmniej jeden z jego przodków. Przebiegłość, żądza władzy, brak skrupułów to były dominujące cechy charakteru w tej rodzinie. Co za kombinacja! Orfeusz był niezwykle podniecony, ręce mu się pociły, jak chłopcu na pierwszej randce. Bez przerwy przesuwał językiem po zębach, jakby je chciał wyostrzyć, przygotować do wyrzucania celnych słów. Ku jego zdumieniu słowa te nieproszone pojawiły się na jego wargach; idąc za służącym, mamrotał pod nosem:

- Wierz mi, panie! Mogę ci położyć pod stopy cały ten świat, przykroić go na taką miarę, jakiej sobie zażyczysz, ale musisz mi najpierw pomóc odszukać księgę. Jest ona potężniejsza od tej, która ciebie uczyniła nieśmiertelnym, o wiele potężniejsza!

Księga... Nie, wolał nie wspominać tej nocy, kiedy ją utracił, a już najmniej ze wszystkiego chciał pamiętać o Smolipaluchu.

W sali tronowej nie było wcale widniej niż na korytarzach. Kilka zagubionych w mroku świec płonęło między kolumnami i wokół tronu. Podczas ostatniej wizyty Orfeusza (o ile sobie przypominał, było to wtedy, gdy przyprowadził Szczapie karzełka) drogę do tronu ozdobił szpaler wypchanych zwierząt - niedźwiedzi, wilków, drapieżnych nakrapianych kotów, a poczesne miejsce zajmował w tym zbiorze jednorożec, którego specjalnie stworzył dla Szczapy. Dzisiaj nie było śladu eksponatów. Nawet namiestnik miał tyle rozumu, by nie przechwalać się swoimi trofeami myśliwskimi przed Żmijogłowym wobec nędznych danin, jakie mu posyłał do Mrocznego Zamku. Dzisiaj salę tronową wypełniała po brzegi ciemność. Straże rozstawione między kolumnami ginęły w mroku, tylko ich broń, na którą padał blask świec, rzucała matowe błyski. Orfeusz starał się kroczyć godnie pomiędzy niewidocznymi strażnikami, ale kilka razy potknął się o własne szaty. A gdy wreszcie doszedł do końca drogi - ujrzał na tronie Szczapę zamiast jego mrocznego szwagra.

Rozczarowanie przeszło mu duszę jak ostry nóż. Szybko pochylił głowę, by ukryć swoje uczucia, szukając jednocześnie w myślach słów nie nazbyt wiernopoddańczych, lecz wystarczająco schlebiających. Rozmowa z możliwymi tego świata to osobna sztuka, którą zresztą Orfeusz opanował do perfekcji. Całe jego życie wypełniali ludzie mający więcej władzy od niego. Najpierw był ojciec, ciągle niezadowolony z niezdarnego syna, który kochał książki bardziej od pracy w jego sklepie polegającej na spędzaniu długich godzin między zakurzonymi półkami, z przyklejonym do twarzy uprzejmym uśmiechem, gdy musiał

obsługiwać hałaśliwych turystów, zamiast niecierpliwymi palcami przewracać kartki książki, szukając miejsca, gdzie porzucił drukowany świat. Orfeusz nie zliczyłby policzków wymierzonych mu przez ojca za potajemną lekturę. Z grubsza licząc - co dziesiąta strona policzek, jednak ta cena nigdy nie wydawała mu się wygórowana. Cóż znaczył jeden policzek za dziesięć stron ucieczki od tego wszystkiego, co go czyniło nieszczęśliwym, dziesięć stron prawdziwego życia zamiast jednostajności i nudy, którą inni nazywali rzeczywistością.

- Wasza Wysokość! - Orfeusz jeszcze niżej pochylił kark.

Jakże śmiesznie wyglądał Szczapa z tą swoją posrebrzaną peruką i o wiele za cienką szyją sterzącą groteskowo z obszernego aksamitnego kołnierza. Jego blada twarz jak zawsze pozbawiona była wyrazu - tak jakby jej twórca zapomniał mocniej pociągnąć brwi, wyraźniej zaznaczyć oczy i usta.

- Życzyłeś sobie rozmawiać ze Żmijogłowym?

Głos Szczapy był równie bezbarwny jak cała jego postać. Złośliwi twierdzili, że nie musi nawet zmieniać głosu, by skutecznie wabić dzikie kaczki, do których tak chętnie strzelał.

„Jak to się poci ten słabowity dureń! - myślał Orfeusz, uśmiechając się uniesienie. - No cóż, pewnie też bym się pocił na jego miejscu”.

Oto bowiem Żmijogłowy przybył do Ombry, by zabić swego najgroźniejszego wroga, a tymczasem jego herold i jego własny szwagier wypuścili ptaszka z ręki. Aż dziw, że obaj jeszcze żyli.

- Tak jest, Wasza Wysokość, kiedy tylko Srebrnemu Księciu będzie pasowało! - odrzekł Orfeusz, stwierdzając z rozkoszą, że w pustej sali jego głos brzmiał jeszcze bardziej melodyjnie niż zwykle. - Mam dla niego wiadomości najwyższej wagi.

- O jego córce i Sójce... - dokończył za niego Szczapa, skubiąc ze znużeniem rękaw płaszcza.

Perfumowany półgłówek!

- No właśnie - odchrząknął Orfeusz. - Wiesz, panie, że mam ważnych klientów, wpływowych przyjaciół. Dotarły do moich uszu wieści, z jakimi na ogół nie przychodzi się na zamek, bardzo niepokojące wieści. Chciałem dopilnować, aby twój szwagier się o tym dowiedział.

- Co to za wieści?

„Miej się na baczności, Orfeuszu!”.

- Doprawdy, Wasza Miłość - powiedział z udanym żalem w głosie - wolałbym przekazać je samemu Żmijogłowemu. Ostatecznie tu chodzi o jego córkę.

- O której teraz pewnie nie będzie chciał w ogóle słyszeć! - zauważył Szczapa, poprawiając perukę. - Przebiegła brzydula! - wybuchnął. - Urowadza mojego więźnia, żeby mi ukraść tron Ombry! Grozi, że go zabije, jeśli jej ojciec jak piesek nie poleci za nią w góry! Jakby nie dość nas kosztowało trudu schwywanie tego nadętego ptaszka! Ale dlaczego ja ci to wszystko opowiadam? Chyba tylko dlatego, że wystarałeś mi się o jednoroźca. To było polowanie mojego życia! - Melancholijnie spoglądał na Orfeusza oczami prawie równie bezbarwnymi jak jego twarz. - Im piękniejsza ofiara, tym większa przyjemność zabicia jej, nieprawdaż?

- Mądrość przemawia przez usta Waszej Wysokości, prawdziwa mądrość! - zawołał Orfeusz, kłaniając się nisko.

Szczapa uwielbiał czołobitność.

Zerkając nerwowo na strażników, pochylił się do Orfeusza i szepnął:

- Chciałbym mieć jeszcze jednego jednoroźca. Zrobiłem furorę wśród przyjaciół. Myślisz, że mógłbyś mi się wystarać o drugiego, najlepiej trochę większego?

Orfeusz obdarzył go ufnym uśmiechem. Cóż za słabowita pleciuga! Ale co robić? W każdej historii potrzebne są takie postacie. Zwykle szybko umierają. Mógł mieć tylko nadzieję, że reguła ta dotyczy szwagra Zmijogłowego.

- Oczywiście, Wasza Wysokość! To nie będzie trudne - szeptał Orfeusz, starannie dobierając słowa, chociaż ten głupi książę na to nie zasługiwał. - Ale najpierw muszę porozmawiać ze Srebrnym Księciem. Zapewniam cię, panie, że mam do przekazania informacje najwyższej wagi. Informacje - dodał, uśmiechając się przebiegle do namiestnika - które pozwolą ci zachować tron Ombry. Załatw mi posłuchanie u twojego nieśmiertelnego szwagra, a Sójkę spotka wreszcie zasłużony koniec. Wiolanta zostanie ukarana za swój perfidny postępek, a ja dla uczczenia twojego triumfu sprowadzę ci pegaza, z którego ucieszysz się bardziej niż z jednoroźca. Będiesz mógł, panie, zapolować na niego, używając kusz i sokołów.

Wodniste oczy Szczapy zrobiły się okrągłe ze zdumienia i pożądlivosti.

- Pegaza! - powtórzył świszczącym szeptem, niecierpliwie przyzywając jednego ze strażników. - Och, to naprawdę wspaniale! Załatwię ci posłuchanie, ale dam ci jedną radę. - Jeszcze bardziej zniżył głos. - Nie podchodź zbyt blisko do mojego szwagra. Zapach, jaki od niego bije, położył już trupem dwa moje psy!

Żmijogłowy kazał na siebie czekać całą godzinę. Była to najdłuższa i najbardziej męcząca godzina w życiu Orfeusza. Szczapa wypytywał go o inną niezwykłą zwierzynę łowną i poeta obiecał mu sprowadzić bazyliuszka i sześcionogiego lwa, podczas gdy jego

umysł nieustannie pracował nad uformowaniem właściwych słów dla Srebrnego Księcia. Nie mógł sobie pozwolić na najmniejszy nawet błąd. Pan na Mrocznym Zamku był bowiem znany nie tylko z okrucieństwa, ale także z mądrości. Od czasu wizyty Morto-li Orfeusz dużo o tym rozmyślał i niezmiennie dochodził do jednego wniosku: że tylko u boku Zmijogłowego mogą się spełnić jego marzenia o wpływach i bogactwie. Srebrny Książę był nadal najpotężniejszym graczem w całym tym świecie, mimo że gnił za życia. Z jego pomocą może uda się odzyskać książkę, dzięki której ten świat był igraszką w jego ręku, nim Smolipaluch mu ją skradł. Nie mówiąc już o drugiej księdze, która właścicielowi dawała moc bawienia się tym światem przez całą wieczność...

- Jakie ty masz skromne oczekiwania, Orfeuszu! - szepnął, gdy myśl ta po raz pierwszy pojawiła się w jego głowie. - Chcesz mieć dwie książki, tylko tyle! Dwie książki, z których jedna ma w dodatku puste kartki i jest w bardzo kiepskim stanie!

Ach, cóż to by było za życie! Orfeusz Wszzechmocny, Orfeusz Nieśmiertelny, bohater tego świata, który już jako dziecko ukochał nade wszystko!

- Nadchodzi! Schyl głowę!

To mówiąc, Szczapa zeskoczył z tronu z takim pośpiechem, że peruka zjechała mu na cofnięte czoło. Orfeusz raptownie ocknął się z pięknych snów na jawie.

Czytając książkę, nie widzimy naprawdę jej bohaterów. Orfeusz przekonał się o tym po raz pierwszy w wieku jedenastu lat, gdy próbował opisać i narysować postacie z ulubionych książek. Teraz, gdy Żmijogłowy ukazał mu się we własnej osobie, poeta poczuł to samo co tamtego dnia, gdy po raz pierwszy zetknął się z nim na kartach książki Fenoglia: strach, podziw, zło otaczające Srebrnego Księcia niby czarna aureola i zapierającą dech w piersiach potęgę władzy. Książę okazał się niższy, niż go sobie wyobrażał, w książce Fenoglia nie było też oczywiście mowy o straszliwie zniekształconej twarzy, rozlanych kształtach, obrzękłych dłoniach. Każdy krok zdawał się sprawiać mu ból. Przekrwione oczy przysłonięte ciężkimi powiekami łzawiły nawet od tej odrobiny blasku, który dawały świece, a fetor, jaki wydzielało napęczniałe ciało księcia, sprawiał, że Orfeusz ciężko walczył z pokusą zatkania sobie nosa i ust.

Mijając go, Zmijogłowy nie zaszczycił go ani jednym spojrzeniem. Dopiero gdy usadowił się na tronie, jego przekrwione oczy skierowały się na gościa. „Oczy jaszczurki” - tak je opisywał Fenoglio. Teraz były to ropiejące szparki rozcinające obrzmiałe powieki, a rubiny po obu stronach nosa tkwiły w miękkich białych policzkach, zupełnie jakby ktoś wbił w nie głęboko dwa gwoździe.

- Zatem chcesz mi powiedzieć coś na temat mojej córki i Sójki? - odezwał się książę, a choć z trudem łapał oddech i musiał robić przerwę po każdym prawie słowie, jego głos brzmiał groźnie jak zawsze. - Co takiego? To, że Wiolanta kocha władzę równie mocno jak ja i dlatego mi go wykradła? Czy o tym chciałeś mi powiedzieć? Bo jeśli tak, to pożegnaj się ze swoim językiem. Każę ci go uciąć, nie znoszę bowiem, gdy ktoś marnuje mój czas, choć teraz nie narzekam na jego brak...

Uciąć język... Orfeusz przełknął ślinę. Zaiste, to nie był dobry pomysł, ale na razie jeszcze go miał, choć smród bijący od władcy odbierał mu mowę.

- Mój język może się bardzo przydać Waszej Wysokości - odparł, walcząc z nudnościami. - Ale jeśli taka będzie twoja wola, panie, możesz go uciąć, kiedy tylko zechcesz.

Twarz Zmijogłowego skrzywiła się w złośliwym uśmiechu, pogłębiając dwie bruzdy wokół ust, znamionujące cierpienie.

- Kusząca propozycja - powiedział. - Widzę, że traktujesz moje słowa poważnie. W porządku, co masz mi do powiedzenia?

„Kurtyna poszła w górę, Orfeuszu! Zaczyna się twój występ!”.

- Twoja córka Wiolanta... - Orfeusz zrobił efektowną pauzę, pozwalając wybrzmieć imieniu księżnej - chce nie tylko tronu Ombry. Ona chce także twojego tronu, panie. I dlatego zamierza cię zgładzić.

Szczapa chwycił się za pierś, jakby chciał zadać kłam złośliwym plotkom, że zamiast serca ma w piersiach pieczoną kuropatwę. Ale Żmijogłowy ani drgnął, wpatrując się w Orfeusza zaczerwienionymi oczami.

- Twój język jest w wielkim niebezpieczeństwie - powiedział spokojnie. - Wiolanta nie może mnie zabić, zapomniałeś o tym?

Orfeusz czuł, jak pot spływa mu ciurkiem po nosie. Za plecami Żmijogłowego ogień na kominku trzaskał, jakby wzywał Smolipalucha. Poeta bał się jak diabli! Ale to nie było nowego: strach towarzyszył mu przez całe życie!

„Patrz mu w oczy, Orfeuszu, i zawierz swojemu głosowi!”.

Te oczy były straszne. Wzrok Żmijogłowego orał mu twarz, jakby chciał ją obedrzeć ze skóry. A obrzmiałe dłonie leżały na oparciach tronu jak dwa kawałki surowego mięsa.

- Owszem, może. O ile Sójka zdradzi jej trzy słowa... Jego głos brzmiał zdumiewająco pewnie. „Dobrze, Orfeuszu, doskonale!”.

- Aha, trzy słowa... A więc ty też już o tym słyszałeś? Rzeczywiście, mogłaby je wymusić na nim torturami. Chociaż przypuszczam, że potrafiłby się długo opierać... a poza tym mógłby jej podać fałszywe słowa.

- Twoja córka, panie, nie musi torturować Sójki. Jest z nim w zмовie.

Strzał w dziesiątkę!

Po wyrazie zniekształconej twarzy księcia Orfeusz zorientował się, że ten rzeczywiście nie wpadł jeszcze na taką możliwość. Ta gra zaczynała mu sprawiać przyjemność. To jest rola w sam raz dla niego. Jak muchy na lep będzie ich wszystkich łąpał na swój przebiegły język!

Zmijogłowy milczał przez kilka długich, dręczących chwil.

- To ciekawe - rzekł wreszcie. - Matka Wiolety miała słabość do wędrownych grajków. Zbójca z pewnością też by jej przypadł do gustu. Ale Wioleta jest inna niż ona. Jest podobna do mnie. Chociaż nie lubi się do tego przyznawać.

- O, wcale w to nie wątpię, Wasza Książęca Mość! - zawołał Orfeusz, wkładając w swoje słowa odpowiednią dozę unizoności. - Ale dlaczegoż to nadworny malarz od ponad roku nie robi nic innego, tylko ilustruje pieśni o Sójce? Twoja córka sprzedała ostatnie klejnoty, żeby zapłacić za farby. Ma obsesję na punkcie tego zbójcy, bez przerwy o nim myśli! Spytaj Balbulusa, jak często przesiadywała w bibliotece, gapiąc się na namalowane przez niego obrazy! I zastanów się sam, panie, jak to było możliwe, że Sójka w ciągu ostatnich paru tygodni dwukrotnie uciekł z tego zamku!

- Balbulusa nie mogę o nic spytać - uciął Zmijogłowy głosem doskonale pasującym do obwieszanej kirem sali tronowej. - Właśnie w tej chwili Piszczalka wypędza go z miasta, obciążw-szy mu przedtem prawą dłoń.

Ta informacja na dobrą chwilę zatkała Orfeuszowi usta. Prawą dłoń! Odruchowo dotknął prawej ręki dzierżącej pióro.

- Dlaczego... Wasza Wysokość? - wychrypiał struchlały.

- Dlaczego? Dlatego, że moja córka bardzo ceniła jego sztukę, więc ten kikut powie jej, jak bardzo jestem zagniewany. Nie wątpię bowiem, że Balbulus uda się do niej, bo gdzieś indziej miałby się podziąć?

- Rzeczywiście, to bardzo mądrze z twojej strony - pochwalił Orfeusz i umilkł.

Poruszał palcami prawej ręki, jakby chciał się przekonać, że wciąż je posiada. Słowa się rozpierzchły, jego mózg był jak pusta kartka papieru, a język jak wyschnięta dutka gęsiego pióra.

- Coś ci powiem! - odezwał się książę, oblizując spierzchnięte wargi. - Podoba mi się to, co zrobiła moja córka. Nie pochwalam tego, ale podoba mi się. Nie lubi, jak się nią komenderuje. Ani Piszczalka, ani mój szwagier przepiórkobójca - zerknął z odrazą na Szczapę - nie rozumieli tego. A co do Sójki, to dobrze, że Wiolanta udaje jego opiekunkę. Jest przebiegła. Wie, że bohaterów łatwo przechytrzyć. Wystarczy wzbudzić w nich przeświadczenie, że stoją po stronie prawa oraz sprawiedliwości, a dadzą się zaprowadzić wszędzie, jak owce na rzeź. W końcu Wiolanta sprzeda mi tego szlachetnego zbójcę - za tron Ombry. I kto wie... może naprawdę jej go oddam?

Szczapa patrzył prosto przed siebie, jakby nie słyszał ostatnich słów swego pana i szwagra. A Zmijogłowy opadł na oparcie fotela i trąc obrzmiałe uda, zwrócił się do Orfeusza:

- Coś mi się wydaje, że twój język już należy do mnie, Po-dwójnooki. Masz jeszcze coś do powiedzenia, zanim staniesz się niemy jak ryba?

Szczapa uśmiechnął się złośliwie, a Orfeuszowi poczęły drżeć wargi, jakby już poczuł w ustach obcegi. Nie, nie, to nie mogło się tak skończyć. Nie po to odnalazł drogę do tej historii, by skończyć w niej jako niemowa żebrzący na ulicach Ombry.

Posłał Zmijogłowemu uśmiech, który w zamierzeniu miał być zagadkowy, i założył ręce za plecy. Wiedział, że w tej pozie sprawia bardziej imponujące wrażenie, przećwiczył to dokładnie przed lustrem, ale teraz na gwałt potrzebował słów, słów, od których powstałyby kręgi w całej tej historii - jak na spokojnej wodzie, gdy wrzucić do niej kamień.

Zniżył głos, kiedy znów zaczął mówić, gdyż słowo wypowiedziane cicho ma większą wagę.

- Zgoda, oto moje ostatnie słowa. Ale bądź pewny, panie, że będą to też ostatnie słowa, jakie sobie przypomnisz, kiedy białe damy wyciągną po ciebie ręce. Przysięgam ci na własny język, że twoja córka zamierza cię zgładzić. Nienawidzi cię, a ty nie doceniasz jej romantycznej słabości, jaką żywi do Sójki. Chce tronu dla siebie i dla niego. Zbójcy i córki książęce - to była zawsze niebezpieczna mieszanka.

Wypowiedziane słowa rosły w ciemnej sali, jakby mrok był ich olbrzymim cieniem. A Zmijogłowy utkwiał umęczony wzrok w Orfeuszu, jak gdyby chciał go porazić swoim jadem.

- To doprawdy bardzo śmieszne! - zawołał Szczapa tonem obrażonego chłopczyka. - Wiolanta jest tylko dziewczyną i do tego brzydka. Nigdy by się nie odważyła wystąpić przeciwko tobie, panie!

- Oczywiście, że by się odważyła! - zawołał Zmijogłowy po raz pierwszy głośno, a Szczapa zacisnął wąskie wargi. - Wiolanta jest nieustraszona w przeciwieństwie do innych moich córek. Brzydka, ale nieustraszona. I bardzo przebiegła... jak ten tutaj - zakończył,

obracając spojrzenie na Orfeusza. - I teraz mówił już tylko do niego. - Jesteś żmiją tak samo jak ja, nieprawdaż? W naszych żyłach płynie jad zamiast krwi. Ten jad nas także zatruwa, ale śmiertelny jest tylko dla innych. Ten sam jad płynie w żyłach Wiolanty i dlatego zdradzi Sójkę niezależnie od swoich planów.

Żmijogłowy zaczął się śmiać, lecz zaraz chwycił go kaszel, tak że z trudem łapał oddech, jakby woda zalewała mu usta, ale gdy Szczapa pochylił się nad nim zaniepokojony, odepchnął go brutalnie.

- Czego chcesz? Jestem nieśmiertelny, zapomniałeś? - Znow chwycił go kaszel i przez dłuższą chwilę Żmijogłowy charczał i rządził rozpaczliwie. Wreszcie utkwiał w Orfeuszu jaszczur-cze spojrzenie. - Podobasz mi się, żmijo z twarzą niemowlaka. Jesteś bardziej moim powinowatym niż ten tu. - Machnął niecierpliwie na Szczapę. - Ale ma piękną siostrę, więc muszę tolerować jej brata. A ty masz siostrę? A może w inny sposób możesz mi być użyteczny?

„Och, wszystko idzie gładko, Orfeuszu! Wkrótce w tkaninie tej historii pojawi się twoja własna nić. Jaki kolor wybierzesz? Żółty? Czarny? A może czerwony jak krew?”

- No cóż... - Znudzony oglądał swoje paznokcie; ten gest także przećwiczył w lustrze.
- Mogę ci, panie, być użyteczny na wiele sposobów. Spytaj swojego szwagra. Spełniam marzenia innych. Przykrawam świat do cudzych życzeń.

„Ostrożnie, Orfeuszu, jeszcze nie odzyskałeś książki. Nie obiecuj za wiele”.

- Ach, jesteś czarownikiem? - rzucił pogardliwie Żmijogłowy.

- Nie, nie, tak bym tego nie nazwał! - zawołał szybko Orfeusz, chcąc zatrzeć złe wrażenie. - Powiedzmy, że moja sztuka jest czarna. Czarna jak atrament!

„Atrament! Oczywiście, Orfeuszu, atrament!”.

Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Smolipaluch ukradł mu wprawdzie tamtą książkę, ale Fenoglio napisał także inne rzeczy. Dlaczego słowa starego nie miałyby działać, choć nie pochodzą z Atramentowego serca? Gdzie były te pieśni o Sójce, które Wiolanta podobno tak skrzętnie kazała zapisywać? Chodziły słuchy, że Balbulus zebrał je w kilku księgach.

- Czarna? Ten kolor mi się podoba - stwierdził Żmijogłowy i stękając, uniósł się z tronu. - Szwagrze, daj tej małej żmii konia. Zabiorę go ze sobą. Droga do Zamku na Jeziorze jest daleka, może przyda mi się dla zabicia czasu.

Orfeusz skłonił się tak nisko, że o mało nie upadł.

- Wielki to dla mnie honor! - wyjąkał, widząc, iż możni tego świata muszą być przekonani, że w ich obecności zwykłym śmiertelnikom język odmawia posłuszeństwa. - Ale

czy mógłbym w związku z tym prosić unieżenie Waszą Wysokość o wyświadczenie pewnej łaski?

Szczapa rzucił mu nieufne spojrzenie i Orfeusz przestraszył się, że ten głupiec mógł już dawno przehandlować księgi Balbu-lusa za parę beczek wina. Gdyby tak było, to ześle na niego najgorszą chorobę!

- Jestem miłośnikiem ksiąg - ciągnął, nie spuszczać oka ze Szczapy - a o tutejszej bibliotece zamkowej opowiadają cuda. Chętnie rzuciłbym okiem na ten księgozbiór, a może nawet jedną czy dwie księgi zabrał ze sobą w drogę. Kto wie, może ich treść umiliłaby podróż Waszej Wysokości.

Zmijogłowy znudzony wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie? Zwłaszcza jeśli mógłbyś przy okazji obliczyć, ile są warte w srebrze te księgi, których mój szwagier nie przehandlował jeszcze za wino.

Szczapa spuścił głowę, ale Orfeusz zdążył pochwycić jego pełne nienawiści spojrzenie.

- Oczywiście! - zawołał, kłaniając się najniżej, jak potrafił. Zmijogłowy zstąpił ze schodów tronowych i zatrzymał się obok niego, dysząc ciężko.

- Obliczając wartość ksiąg Balbulusa, musisz wziąć pod uwagę, że ich cena poszła w górę! - wysapał. - W końcu bez prawej ręki nie stworzy już nowych, a zatem wartość dotychczasowych musiała wzrosnąć, jak mi się wydaje.

Orfeuszowi udało się opanować nudności, gdy poczuł na twarzy smrodliwy oddech księcia, i zdobył się na pełen podziwu uśmiech.

- Jakie to mądre ze strony Waszej Wysokości! - odparł. - Kara doskonała. Czy wolno mi spytać, jaką karę obmyśliłeś, panie, dla Sójki? Może powinno się go najpierw pozbawić języka, skoro wszyscy tak zachwycają się jego głosem?

Ale Zmijogłowy potrząsnął głową.

- Nie, nie, dla Sójki wymyśliłem coś lepszego. Każę go żywcem obedrzeć ze skóry i zrobić z niej pergamin. Przy tej operacji chyba powinien móc krzyknąć, co?

- Oczywiście! - przyświadczył skwapliwie Orfeusz. - Jest to kara w sam raz dla introligatora. Niech mi wolno będzie zaproponować, panie, byś na tym szczególnym pergaminie kazał wypisać ostrzeżenie dla twoich wrogów i powiesił je na rynku. Chętnie użyję ci potrzebnych słów. Mój zawód wymaga umiejętności obchodzenia się ze słowami.

- No proszę, jak widać, masz wiele różnych talentów. - Zmijogłowy patrzył na niego ubawiony.

„Teraz, Orfeuszu! Bo jeśli nawet znajdziesz w bibliotece pieśni Fenoglia, ta książka jest wyjątkowa i nie da się jej niczym zastąpić. To najlepszy moment, żeby wspomnieć o Atramentowym sercu\”.

- Zapewniam cię, panie, że wszystkie moje talenty należą do ciebie! - wyjąkał. - Ale żebym mógł nimi służyć w sposób doskonały, potrzebuję czegoś, co mi zostało skradzione.

- Naprawdę? A co to takiego?

- Książka, Wasza Wysokość! Ukradł mi ją Ognisty Tancerz, ale wydaje mi się, że zrobił to na polecenie Sójki. Sójka musi wiedzieć, gdzie ona jest. Gdybyś go więc, panie, zechciał wy badać, jak tylko znajdzie się w twojej mocy...

- Książka? Czy Sójka tobie też zrobił księgę?

- Och, nie, Wasza Wysokość. - Orfeusz pogardliwie machnął ręką. - W powstaniu tej książki nie ma on żadnego udziału. Jej siła nie bierze się z mocy jakiegoś introligatora, lecz z mocy słów, które się w niej znajdują. Za pomocą słów tej księgi można stworzyć na nowo cały ten świat i poddać naszym zamiarom każdą żywą istotę.

- Naprawdę? Drzewa mogą rodzić srebrne owoce? Może zapadać noc, kiedy tylko zechcę?

- A jakże! - skinął głową poeta. - Za pomocą tej książki sprowadziłem twojemu szwagrowi jednoroźca i karzelka.

Zmijogłowy rzucił Szczapie drwiące spojrzenie.

- Tak, w tych życzeniach jest cały mój szanowny szwagier! Moje byłyby całkiem inne...!

Przyglądał się Orfeuszowi z zadowoleniem. Zapewne odgadł, że w piersi tamtego bije takie samo serce jak w jego własnej - mściwe i próżne, chełpiące się swoim sprytem i gardzące sercami, którymi poruszają inne uczucia. O tak, Orfeusz znał dobrze swoje serce i tylko jednego się obawiał: że przekrwione oczy księcia odkryją to, co ukrywał nawet przed samym sobą - oto w skrytości ducha zazdrościł innym niewinności, tęsknił za czystością ducha.

- A co z moim gnijącym ciałem? - spytał zniecka Zmijogłowy, przesuując obrzmiałymi palcami po zniekształconej twarzy. - Czy możesz mnie wyleczyć za pomocą tej książki, czy też nadal będę potrzebował Sójki? Orfeusz zawahał się.

- Aha, widzę, że nie jesteś pewien... - skrzywił się Żmijogło-wy, a szparki ciemnych jaszczurzych oczu utonęły w tłuszczu. - I jesteś na tyle mądry, żeby nie obiecywać tego, czego może nie potrafisz dotrzymać. No cóż, wrócimy jeszcze do twoich innych obietnic, dam ci też sposobność do rozmowy z Sójką.

Orfeusz z szacunkiem skłonił głowę.

- Dziękuję, Wasza Wysokość! „Wszystko idzie jak po maśle!”.

- Książę!

Szczapa spiesznie zbiegał ze schodów, a jego głos rzeczywiście przypominał głos kaczki, i Orfeusz wyobraził sobie, że zamiast dzika czy jednorożca niosą ulicami Ombry upolowanego Szczapę z zakrwawioną i zakurzoną peruką. Wymienił szybkie spojrzenie ze Zmijogłowym i przez moment miał wrażenie, że obaj widzą ten sam obraz.

- Musisz, panie, teraz odpocząć - rzekł Szczapa z przesadną troskliwością. - Masz za sobą długą podróż, a czeka cię następna.

- Odpocząć? Jak mogę odpocząć, skoro ty i Piszczalka wypuściliście człowieka, który zamienił mnie w kupę gnijącego mięsa? Skóra mi płonie, kości są jak kawałki lodu, oczy kłują, jakby każdy promyk światła wbijał mi szpilkę pod powieki. Odpocznę dopiero wtedy, gdy ta przekłeta książka przestanie zatruwać moje ciało, a ten, który ją sporządził, będzie martwy. Każdej bezsennej nocy wyobrażam to sobie, spytaj siostrę, szwagrze - każdej nocy krążę po zamku i wyobrażam sobie, jak jęczy i krzyczy, i błaga mnie o szybką śmierć, ale ja mu zgotuję tyle mąk, ile stron ma ta przekłeta księga! Będzie ją przeklinał jeszcze bardziej niż ja. Wkrótce też przekona się, że suknia mojej córki nie obroni go przed Zmijogłowym!

I znów wstrząsnął nim rzeźący kaszel, obrzmiałe dłonie wczepiły się w ramię Orfeusza. Blade i bezkształtne, przypominały surowe mięso ryby.

„I tak samo pachną - pomyślał Orfeusz. - A mimo to nadal jest panem tej historii”.

- Dziadku!

Chłopczyk tak nagle wyłonił się z ciemności, jakby przez cały czas przebywał w sali tronowej gdzieś w cieniu kolumn. Jego krótkie ręce dźwigały stos książek.

- Jacopo! - zawołał Żmijogłowy, odwracając się tak gwałtownie, że malec zatrzymał się przestraszony. - Ile razy mam ci powtarzać, że nawet książę nie może wchodzić do sali tronowej niezaanonsowany?

- Byłem tu wcześniej od ciebie! - powiedział przekornie chłopiec, wysuwając brodę i przyciskając książki do piersi, jakby mogły go obronić przed gniewem dziadka. - Często tu przychodzę i czytam pod posągami prapradziadka. - Wskazał kamienną figurę bardzo grubego mężczyzny, stojącą między kolumnami.

- W ciemnościach?

- W ciemności lepiej się widzi obrazy, jakie słowa malują nam w głowie. A poza tym Kopec dał mi to. - Wyciągnął rękę, pokazując żarzące się drewnienka.

Żmijogłowy ze zmarszczonym czołem pochylił się nisko nad wnuczkiem.

- Dopóki ja tu jestem, nie będziesz czytał w sali tronowej. Zostaniesz w swojej komnacie, inaczej każę cię zamknąć w psiarni jak Tulia, zrozumiano? Na herb mojego domu, jesteś coraz bardziej podobny do ojca! Nie mógłbyś się chociaż ostrzyć?

Jacopo nadspodziewanie długo wytrzymał spojrzenie przekrwionych oczu, lecz wreszcie spuścił głowę, odwrócił się bez słowa i wyszedł z sali, przyciskając księgi do piersi jak tarczę.

- Rzeczywiście jest coraz bardziej podobny do Cosima - stwierdził Szczapa. - Ale dumę ma po matce.

- Nie, dumę ma po mnie - poprawił go Żmijogłowy. - Przyda mu się, kiedy zasiądzie na tronie, szwagrze.

Szczapa zatroskany spojrzał na drzwi, za którymi zniknął Jacopo. A Żmijogłowy uderzył go obrzękłą pięścią w pierś i rozkazał:

- Zbierz ludzi! Mam dla ciebie robotę.

- Robotę? - powtórzył tamten ze zdziwieniem, unosząc brwi posypane srebrnym pyłkiem, takim samym jak jego peruka.

- Tak. Dla odmiany zapolujesz nie na jednorożca, lecz na dzieci. Chyba nie chcesz puścić Czarnemu Księciu płazem, że sprzątnął wam bachory i ukrył je w lesie, kiedy ty i Piszczalka dawaliście się mojej córce wodzić za nos niby dwa tańczące niedźwiedzie?

Szczapa urażony wykrzywił blade wargi.

- Musieliśmy przygotować się na twój przyjazd, szanowny szwagrze, i próbowaliśmy złapać Sójkę...

- Niestety, bez skutku! - przerwał mu niecierpliwie Żmijogłowy. - Na szczęście moja córka powiedziała, gdzie możemy go znaleźć. Wobec tego ja złapię ptaszka, którego tak beztrasko wypuściliście z klatki, a wy tymczasem sprowadzicie dzieciaki z lasu wraz z tym nożownikiem, który nazywa siebie księciem, żeby mógł się przyglądać, jak będę obdzierał ze skóry Sójkę. Jego własna skóra jest pewnie za ciemna na pergamin, obmyślę więc dla niego inną zabawę. Na szczęście pomysłów mi nie brakuje. Chodzą słuchy, że ty też jesteś w tym dobry.

Szczapa zarumienił się, mile polechtany, chociaż widać było, że perspektywa polowania na dzieci podoba mu się o wiele mniej niż polowanie na jednorożca, może dlatego, że nie będzie mógł spożyć zdobyczy.

- Dobrze - zakończył Żmijogłowy i odwracając się do szwagra plecami, ruszył niepewnie ku drzwiom. - Przyślij mi Kopia i Piszczalkę! - zawołał przez ramię. - Chyba zdążył już obciąć dłoń malarzowi. I powiedz dziewczynom służebnym, że Jacopo będzie mi

towarzyszył do Zamku na Jeziorze. Nikt nie potrafi lepiej szpiegować jego matki, choć ona za nim nie przepada.

Szczapa wpatrywał się w jego plecy wzrokiem pozbawionym wyrazu.

- Jak rozkażesz, panie - pisnął swym ptasim głosem. Zmijogłowy raz jeszcze zatrzymał się w drzwiach, których

ciężkie skrzydła słudzy otwierali z pośpiechem.

- A jeśli chodzi o ciebie, Dziecięca Gębo... - zwrócił się do Orfeusza, który aż podskoczył ze strachu, choć starał się opanować. - Wyruszam w drogę przed wschodem słońca. Mój szwagier ci wyjaśni, gdzie masz się stawić. O służącego i namiot sam musisz się postarać. Ale biada ci, jeśli mnie znudzisz! Twoja skóra doskonale nadaje się na pergamin.

- Wasza Wysokość! - skłonił się Orfeusz, a nogi się pod nim ugięły.

Nigdy jeszcze nie podjął bardziej niebezpiecznej gry.

„Ach, co tam, wszystko będzie dobrze! - myślał. - Zobaczysz, Orfeuszu. Ta historia należy do ciebie. Została napisana wyłącznie dla ciebie. Nikt nie kocha jej bardziej niż ty, nikt lepiej jej nie rozumie, nie wyłączając tego starego głupca, który jest jej autorem!”

Zmijogłowy dawno zniknął za drzwiami, a Orfeusz wciąż tkwił w miejscu jak wmurowany.

- A więc jesteś czarodziejem, proszę, proszę - odezwał się Szczapa, patrząc na niego takim wzrokiem, jakby ten na jego oczach przemienił się z poczwarki w motyla. - To dlatego tak łatwo było upolować tego jednorożca, że nie był prawdziwy?

- Och, był aż nadto prawdziwy! - odrzekł wyniośle Orfeusz.

„Zrobiony był z tego samego materiału co ty” - dodał w myślach. Ten Szczapa był naprawdę nędzną figurą. Skoro tylko słowa będą mu znów posłuszne, zaplanuje dla niego w najwyższym stopniu ośmieszający koniec. Może sprawi, że rozszarpia go własne psy? Nie, nie, wymyśli coś lepszego. Szczapa udławi się kością kurczaka podczas jednej ze swych nocnych uczt, a jego przysypana srebrnym pudrem twarz wpadnie do miski z krwawym jadłem. Uśmiechnął się mimo woli.

- Nie będzie ci do śmiechu - syknął Szczapa - kiedy się przekonasz, że mój szwagier nie lubi, jak ktoś zawodzi jego oczekiwania.

- Och, jestem pewien, że ty wiesz o tym najlepiej! - odparował Orfeusz. - A teraz zaprowadź mnie do biblioteki.

Rozdział 43

Tylko cztery jagody

Wisi u mnie na ścianie wycięta z drewna

Japońska maska złego demona

Ziotą laską pokryta.

Ze współczuciem oglądam

Żyły nabrzmiałe na czole, po których widać

Jakie to męczące być złym.

Bertolt Brecht, Maska złego

Kuna była gorsza od niedźwiedzia. Ciągłe gapiła się na nią, szeptała chłopakowi do ucha jej imię, którego ten na szczęście nie rozumiał, i próbowała ją złapać. Wreszcie jednak zniknęła wraz z chłopcem na dworze, a niedźwiedź tylko uniósł ciężki łeb, gdy podskakując po stole, zbliżyła się do miski z zupą, którą jedna z kobiet postawiła dla jego pana. Najłatwiej było zatruć zupę. Czarny Książę znów kłócił się z Drabem, odwrócony plecami do Mortoli, gdy wrzucała do jego zupy purpurowe jagody. Pięć maleńkich jagódek, więcej nie trzeba było, by wysłać króla kuglarzy do innego królestwa, dokąd niedźwiedź nie będzie mógł mu towarzyszyć. Ale kiedy właśnie miała wypuścić z dzioba piątą jagodę, kuna rzuciła się na nią, jakby wyczuła, co ona zamierza. Jagoda potoczyła się po stole i upadła na ziemię, a Mortola modliła się w duszy do wszystkich diabłów, by cztery jagody zdołały zabić Czarnego Księcia.

Czarny Książę. Jeszcze jeden szlachetny głupiec. Pewnie widok kaleki sprawia mu ból. Na pewno nie pomógłby jej zdobyć książki, dzięki której można pertraktować ze śmiercią. Na szczęście ludzie tacy jak on trafiają się jeszcze rzadziej od białych kruków, ludzie niepożądający żadnej z tych rzeczy, które innych przyprawiają o szybsze bicie serca: bogactwo, władza, sława... Nie, to wszystko nie interesowało Czarnego Księcia. Jego serce biło szybciej na myśl o sprawiedliwości. Współczucie. Miłość. A przecież życie traktowało go po macoszemu, tak jak i innych! Zaznał w nadmiarze razów, cierpienia i głodu. Skąd się więc brała litość, którą się kierował? Ciepło jego głupiego serca, uśmiech na ciemnej twarzy? Po prostu nie widział świata takim, jaki jest - oto jedyne wytłumaczenie. Ani świata, ani ludzi, nad którymi się litował. Bo gdyby widział ludzi takimi, jacy są naprawdę, jakże mógłby za nich walczyć czy wręcz umierać?

Tylko jeden człowiek mógł jej pomóc zdobyć Pustą Księgę, zanim Sójka wpisze tam trzy słowa i wykupi się od śmierci: Drab. To był ktoś w jej guście! Widział ludzi w prawdziwym świetle: są chciwi i tchórzliwi, egoistyczni i podstępni. Został zbójcą z powodu

jednej jedynej niesprawiedliwości: tej, którą wyrządzono jemu samemu. Mortola wiedziała o nim wszystko. Jeden z zarządców Tłustego Księcia zabrał mu zagrodę, ot, tak po prostu, jak to możni tego świata przywłaszczają sobie, co im się podoba. Tylko z tego jednego powodu poszedł do lasu. Tak, z Drabem będzie można ubić interes.

Mortola wiedziała, jak go wprząc w swoje plany, kiedy tylko usunie z drogi Czarnego Księcia.

„Co wy tu jeszcze wszyscy robicie, Drabie? - tak mu powie.

- Są rzeczy ważniejsze od pilnowania paru smarkaczy. Sójka dobrze wie, po co je wam zostawił. On was wszystkich zamierza sprzedać! Musicie go zabić, zanim pójdzie ręką w rękę z córką Żmijogłowego. Co on wam naopowiadał? Że chce tylko wpisać trzy słowa do tej księgi? Bzdura! On sam chce stać się nieśmiertelny. A Pusta Księga nie tylko chroni przed śmiercią. Przynosi także właścicielowi bogactwo!”.

Wyobrażała sobie błysk w oku Draba, kiedy mu o tym powie. Nie rozumiał motywów postępowania Sójki, nie wpadnie też na to, że ona chce mieć Pustą Księgę, aby ożywić swego syna. Ale gdy ujrzy w perspektywie złoto i srebro, natychmiast wyruszy na poszukiwanie. Jeśli tylko Czarny Książę nie będzie mógł go powstrzymać. Na szczęście jagody szybko działają.

W tej chwili zawołał ją Gekon. Wabił ją, wyciągając dłoń pełną okruszków chleba, wyobrażając sobie pewnie, że nie ma dla niej nic bardziej smakowitego. Co za głupiec. Pewnie mu się wydaje, że zna się na ptakach. Może naprawdę się na nich zna, lecz ona nie była zwykłym ptakiem.

Mortola roześmiała się chrapliwie, a śmiech wydobywający się z ostrego dzioba zabrzmiał tak niezwykle, że Siłacz podniósł głowę i przyjrzał się sroce siedzącej na występie skalnym. Ten się na pewno znał na ptakach, na niego trzeba było uważać.

„Ach, co tam, krrr... - odezwała się sroka w jej wnętrzu, prawdziwa sroka, która myślała tylko o robakach i świecidełkach. - Oni są wszyscy głupi, a ja jestem mądra. Chodź, starucho, polecimy za Sójką i wydlubiemy mu oczy. Ale będzie zabawa!”.

Z każdym dniem coraz trudniej przychodziło jej zapanować nad skrzydłami, kiedy sroka próbowała je rozpostrzeć, a Mortola coraz częściej musiała potrząsać głową, by zebrać ludzkie myśli, a czasem nie wiedziała już, co jest ludzkie, a co ptasie.

Pióra wyrastały jej teraz nawet bez pomocy ziaren. Zbyt wiele ich połknęła i teraz całe jej ciało było zatrute, a ptasie zalążki krążyły we krwi.

„Głupstwo, na pewno znajdziesz sposób, by usunąć z siebie ptaka, Mortolo - myślała. - Ale najpierw trzeba usmiercić intrologatora i przywrócić życie synkowi!”.

Jego twarz... Nie mogła sobie przypomnieć, jak wyglądał...

Czarny Książę wciąż kłócił się z Drabem, ostatnio zdarzało im się to coraz częściej.

„Jedz! Zaczynj wreszcie jeść, durniu!”

Do dwójki kłócących się podeszło dwóch zbójców - aktor, który był zawsze u boku Czarnego Księcia, i Gekon, który patrzył na świat takimi oczami jak Drab. Do stołu zbliżyła się kobieta, postawiła zupę dla aktora i wskazała na miskę księcia.

„Posłuchaj jej, usiądź i jedz!”

Mortola wysunęła głowę, czuła, że jej ludzkie ciało pragnie zrzucić pióra, rozprostować kości. Wczoraj kilkoro dzieci omal jej nie przyłapało na tym, jak zmieniała postać. Hałaśliwe, głupie stworzenia. Nigdy nie lubiła dzieci, z wyjątkiem własnego syna. Ale i jemu nie okazywała, że go kocha. Miłość psuje człowieka, czyni go zniewieściałym, ufnym...

No, nareszcie je!

„Smacznego, mości książę!”

Niedźwiedź przyczłapał do pana, zaczął obwąchiwać miskę.

„Znikaj, głupi zwierzaku! Pozwól mu jeść!”

Cztery jagódki. Pięć byłoby o wiele lepiej, ale może i cztery wystarczą. Jakie to wygodne, że krzewy tych jagód rosną wszędzie. Koło jaskini były aż dwa. Resa ostrzegala dzieci przed trującymi jagodami, znała je dobrze z czasów, gdy zbierała je dla Mortoli zimą, kiedy nie było innych ziół. Czarny Książę podniósł miskę do ust i wypił resztę zupy. Wkrótce poczuje śmierć.

Mortola wyrzuciła z siebie triumfalny skrzek i rozpostarła skrzydła. Gekon wyciągnął rękę z pokarmem, ale przeleciała nad jego głową, zmierzając do wyjścia z jaskini. Głupiec. Ptak ma rację, oni wszyscy są skończonymi głupcami. I tak jest lepiej.

Kobiety zaczęły wydawać zupę dzieciom, a córka Czarodziejskiego Języka stanęła na końcu długiej kolejki. Dość czasu, by również dla niej zebrać parę jagódek.

Rozdział 44

Śmierć wyciąga rękę

Śmierć jest ogromna. Rośnie wraz z nami w pogodny czas.

Gdy środek życia uśmiechem darzy, płakać się waży tam, w środku nas.

Rainer Maria Rilke, Na koniec

Minerwa gotowała smaczne zupy. Meggie jadła je często, gdy mieszkała u Fenoglia, a teraz z talerza unosił się tak smakowity zapach, że poczuła się jak w domu.

- Proszę cię, Meggie, zacznij wreszcie jeść! - powtarzała Re-sa. - Ja też nie mam apetytu, ale tacie to na pewno nie pomoże, jeśli martwiąc się o niego, pomrzemy z głodu.

„Pewnie, że nie” - pomyślała Meggie. Wczesnym rankiem poprosiła Farida, by jeszcze raz pokazał jej ogniste obrazy, ale tym razem płomienie nie słuchały chłopca.

- Po prostu nie można ich zmuszać! - rozgniewał się Farid, zgarniając popiół do woreczka. - Płomienie pragną się bawić i trzeba udawać, że niczego się od nich nie oczekuje. A ty wpatrujesz się w ogień, jakby to była sprawa życia i śmierci!

A nie była? Nawet Czarny Książę martwił się o Mo. Postanowił udać się z garstką ludzi tropem Wiolanty aż do Zamku na Jeziorze. Nie zgodził się jednak zabrać ze sobą Resy i Meggie.

Dziewczynka bez entuzjazmu mieszała zupę drewnianą łyżką, którą zrobił dla niej Doria (łyżka była bardzo ładna i poręczna). Jaspis śledził jej poczynania łapczywym wzrokiem. Szklane ludziki uwielbiają ludzkie jedzenie, chociaż im szkodzi. Mimo powrotu Farida Jaspis spędzał coraz więcej czasu z Do-rią. Meggie wcale to nie dziwiło: chłopak prawie się nie odzywał, od kiedy Smolipaluch odesłał go do obozu. Przez cały czas wałęsał się po okolicznych wzgórzach albo próbował wywoływać ogniste obrazy.

Roksana tylko raz spojrzała w płomienie.

„Dziękuję ci - powiedziała chłodno do Farida - ale wolę polegać na własnym sercu. Zawsze mi mówi, czy Smolipaluch ma się dobrze”.

„No proszę! - denerwował się Farid. - Mówiłem Smolipa-luchowi, że tak będzie. Po co mnie do niej posłał? Ona mnie nie potrzebuje. Gdyby potrafiła czarować, zaraz by się mnie pozbyła!”.

Widząc poządlivy wzrok Jaspisa, Doria podał mu łyżkę.

- Nic mu nie dawaj! - zawołała Meggie. - Jedzenie mu szkodzi. Niech sam powie!

Bardzo polubiła szklanego ludzika, był sympatyczniejszy od Krysztalka, który uwielbiał narzekać i kłócić się z Fenogliem.

- Ona ma rację - wyszepta! skruszony Jaspis, ale dalej węszył swym długim nosem, jakby chciał chociaż nasycić się zapachem niedozwolonego jada.

Dzieci siedzące obok Meggie zachichotały. Bardzo lubiły Jaspisa i Doria musiał go często chronić przed ich natrętnymi rączkami. Kunę też lubiły, ale Skoczek potrafił się bronić, gryząc i fukając, gdy już znudziły mu się dziecięce czułości. Szklany ludzik nie miał takich możliwości obrony.

Smakowity zapach zupy skusił ją wreszcie i Meggie zanurzyła łyżkę w misce, gdy wtem na ramieniu usiadła jej sroka oswojona przez Gekona i kręcąca się po jaskini na równych prawach z niedźwiedziem i Skoczkiem. Resa jednak nie cierpiała jej. Meggie podskoczyła przestraszona i łyżka wypadła jej z ręki.

- Wynoś się! - krzyknęła Resa, spędzając ptaka z ramienia córki.

Ptak zaskrzeczał wściekle i dziobnął Resę. Przerażona Meggie potrąciła miskę i wylała sobie gorącą zupę na rękę.

- Przepraszam cię! - zawołała Resa, ocierając jej rękę skrajem sukni. - Nie cierpię tego ptaka, pewnie dlatego, że za bardzo mi przypomina Mortolę.

No tak - Sroka! Meggie już dawno nie myślała o matce Ca-pricorni. Nic dziwnego, nie była obecna przy tym, jak Mortola strzeliła do Mo.

- To tylko ptak - odpowiedziała machinalnie i myślami wróciła do ojca.

W książce Fenoglia znalazła jedynie kilka słów na temat Zamku na Jeziorze:...ukryty głęboko w górach... pośrodku ogromnego jeziora... niekończący się most ponad czarną wodą... Może właśnie w tej chwili Mo znajduje się na moście? Może razem z Resą powinny cichaczem pójść za Czarnym Księciem i jego ludźmi?

„Słyszysz, Meggie? Cokolwiek się wydarzy, nie wściekaj się za mną iść! Obiecuj mi to!”. Resa wskazała ręką miskę.

- Jedz wreszcie, Meggie!

Ale Meggie patrzyła na Roksanę, która szła spieszenie, torując sobie drogę przez tłum dzieci. Jej piękna twarz była tak pobladła, jak jeszcze nigdy od powrotu Smolipalucha.

Resa podniosła się zaniepokojona.

- Co się stało? - spytała, chwytając Roksanę za ramię. - Są jakieś wieści o Mo? Musisz mi powiedzieć!

Roksana potrząsnęła głową.

- Książę... - W jej głosie brzmiało przerażenie. - Nie czuje się dobrze i nie wiem, co mu jest. Ma straszne bóle brzucha. Mam trochę ziół, może coś się nada.

Chciała iść dalej, ale Resa ją zatrzymała.

- Bóle? Gdzie on jest?

Meggie już z daleka usłyszała żalosne wycie niedźwiedzia. Siłacz miał minę przerażonego dziecka. Był tam też Baptysta, Kuternoga, Postrach Elfów... Czarny Książę leżał wyciągnięty na posłaniu. Obok klęczała Minerwa, próbując wlać mu do ust jakiś płyn, ale zbójca wił się z bólu, przyciskając ręce do brzucha i z trudem łapiąc oddech.

- Cicho bądź, niedźwiedziu! - wyszeptał wargami, które pogryzł do krwi.

Ale niedźwiedź nie przestawał wyć i parskać, jakby to chodziło o jego własne życie.

- Odsuńcie się! - zawołała Resa, odpychając wszystkich na bok, nie wyłączając Minerwy. - Popatrz na mnie! - rozkazała, ujmując ostrożnie w dłoń twarz Czarnego Księcia.

- Proszę, popatrz na mnie!

Otarła mu pot z czoła, zajrzała w oczy.

Wróciła Roksana z ziołami, a sroka sfrunęła Gekonowi na ramię. Resa obrzuciła wzrokiem ptaka, po czym rzekła cicho do Siłacza, tak że tylko Meggie to usłyszała:

- Siłaczu, złap to ptaszysko!

Sroka wyciągała szyję, jakby przyglądała się Czarnemu Księciu wijącemu się z bólu w ramionach Minerwy.

Siłacz popatrzył na Resę załzawionymi oczami i skinął głową. Ale gdy tylko postąpił krok w kierunku Gekona, sroka poderwała się i usiadła na występie skalnym nad ich głowami.

Roksana uklękła obok Resy.

- Stracił przytomność - powiedziała Minerwa. - Oddech ma słabutki.

- Byłam już świadkiem takich skurczy - powiedziała Resa drżącym głosem. - Wywołują je purpurowe jagody niewiele większe od łebka szpilki. Mortola chętnie ich używała, gdyż łatwo je domieszać do jedzenia, a człowiek kona szybko w strasznych boleściach. Niedaleko wejścia do jaskini są dwa krzaki z tymi jagodami, bez przerwy ostrzegam przed nimi dzieci.

Tu znów spojrzała na srokę.

- Czy istnieje jakaś odtrutka? - spytała Roksana, wstając. Czarny Książę leżał jak martwy; niedźwiedź wcisnął się pyskiem w jego bok i jęczał niczym człowiek.

- Tak. Jest taka roślina o drobnych białych kwiatuśkach cuchnąca padliną. - Resa wciąż spoglądała ku sroce siedzącej pod kopułą pieczary. - Roślina osłabia działanie jagód.

- Co mu jest? - zawołał Fenoglio, z błędnym wzrokiem przeciskając się między kobietami.

Była z nim Elinor. Przez cały ranek ci dwoje siedzieli w kącie pisarza, kłócąc się o to, co w jego książce jest udane, a co nie. Gdy tylko ktoś się do nich zbliżał, milkli lub zniżali głos niby spiskowcy. Tak jakby ktokolwiek ze zbójców lub dzieci był w stanie zrozumieć, o czym rozmawiają!

Na widok leżącego nieruchomo księcia przerażona Elinor zatkała sobie usta dłonią. Patrzyła na niego z takim niedowierzaniem, jak gdyby otworzyła niewłaściwą stronę w książce.

- Otruty! - zawołał z rozpaczą Siłacz i wyprostował się, zaciskając pięści.

Twarz mu nabiegła krwią, jak zdarzało się to wtedy, gdy dużo wypił. Chwycił Gekona za chudy kark i potrząsnął nim jak szmacianą lalką.

- Czy to ty zrobiłeś? - wykrztusił. - A może Drab? Gadaj! Wycisnę to z ciebie! Połamię ci każdą kosteczkę, aż będziesz się tak skręcał z bólu jak on!

- Puść go! - krzyknęła Roksana. - W tej chwili to i tak nic księciu nie pomoże!

Siłacz puścił Gekona i rozszlochał się. Minerwa objęła go ramieniem. A Resa wciąż przyglądała się sroce.

- Sądząc po twoim opisie, może tu chodzić o ziele zwane trupią główką - powiedziała Roksana do Resy, podczas gdy Gekon, rozcierając kark, mamrotał przekleństwa pod adresem Siłacza. - To rzadka roślina. Ale nawet gdyby tu gdzieś rosla, mróz by ją dawno zwarzył. Znasz jakieś inne zioło?

Czarny Książę na chwilę odzyskał przytomność. Próbował się podnieść, ale opadł bezsilnie na posłanie. Baptysta ukląkł obok niego i spojrzał błagalnie na Roksane. Również Siłacz skierował na nią wzrok proszącego psa.

- Co się tak na mnie patrzycie?! - krzyknęła Roksana, a Meggie wyczuła rozpacz w jej głosie. - Nie potrafię mu pomóc! Spróbuj mu dać napar z wymiotnicy - zwróciła się do Minerwy. - A ja pójdę poszukać trupiej główki, chociaż to beznadziejna sprawa.

- Wymiotnica tylko pogorszy sprawę - odezwała się Resa bezbarwnym głosem. - Wierz mi, widziałam to niejedną raz.

Czarny Książę rzeził, opierając głowę na piersi Baptysty. A potem jego ciało nagle zwiotczało, jakby przegrało walkę z bólem. Roksana szybko uklękła, przyłożyła ucho do jego piersi i palce do ust.

- Jeszcze żyje - powiedziała. - Ale niewiele w nim życia.

Gekon wymknął się z jaskini, zapewne po to, by złożyć raport Drabowi. Tymczasem Elinor coś szeptała Fenogliowi do ucha. Rozzłościł się i chciał odejść, ale Elinor go powstrzymała.

- Przestań się certolić! - usłyszała Meggie jej szept. - Oczywiście, że potrafisz! Chyba że chcesz mu pozwolić umrzeć!

Nie tylko Meggie usłyszała słowa Elinor. Zaskoczony Siłacz otarł łzy z policzków. Niedźwiedź znów stęknął i ukrył pysk pod bokiem pana. A Fenoglio wciąż stał w miejscu, wpatrując się w nieruchomo leżącego księcia. Wreszcie podszedł niepewnie do Roksany.

- Ten... ta roślina, Roksano... - zaczął się jąkać.

Elinor stanęła za jego plecami, jakby chciała dopilnować, by pisarz powiedział to co należy. Fenoglio rzucił jej gniewne spojrzenie.

- Co? - Roksana spojrzała na niego pytająco.

- Opowiedz mi o niej. Gdzie rośnie? Jaka jest wysoka?

- Lubi miejsca wilgotne i zacienione, ale po co pytasz? Powiedziałam już, że dawno wymarzała.

- Białe drobne kwiaty. Miejsce wilgotne i zacienione - powtarzał Fenoglio, trąc zmęczoną twarz. - Po czym odwrócił się raptownie i chwycił Meggie za ramię. - Chodź ze mną! - szepnął. - Musimy się pospieszyć. Wilgotne i zacienione... - mamrotał, ciągnąc Meggie za sobą. - A gdyby rosły, powiedzmy, przy wejściu do koboldziej pieczary, chronione przed mrozem wydobywającym się stamtąd ciepłem oddechów koboldów, które zapadły w sen zimowy... Tak, to ma sens...

Jaskinia była prawie pusta. Kobiety wyprowadziły dzieci na spacer, by nie były świadkami agonii Czarnego Księcia. Zbójcy przycupnęli w niewielkich grupkach i spoglądali na siebie w milczeniu, jakby się zastanawiali, który z nich próbował zgładzić przywódcę. Drab siedzący z Gekonem przy wejściu do jaskini spojrzał na Meggie tak wrogo, że czym prędzej odwróciła wzrok.

Za to Fenoglio hardo popatrzył w oczy zbójcy.

- Zastanawiam się, czy to mógł zrobić Drab - szepnął do Meggie. - Doprawdy nie wiem!

- A kto to ma wiedzieć jak nie ty! - syknęła Elinor, która się do nich przyłączyła. - Przecież to ty stworzyłeś tego okropnego typu!

Fenoglio odwrócił się gniewnie, jakby Elinor ukłuła go szpilką.

- Słuchaj no, signora Loredan, byłem dotąd cierpliwy, bo jesteś ciotką Meggie...

- Cioteczną babką - poprawiła Elinor, na której zły humor pisarza nie robił najmniejszego wrażenia.

- Wszystko jedno. Nie zapraszałem cię do swej historii, więc oszczędź sobie na przyszłość komentarzy pod adresem moich postaci!

- Ach tak! - zawołała Elinor, a jej głos odbił się echem w pieczarze. - A co by było, gdybym przed chwilą oszczędziła sobie komentarzy? Twoja zapijaczona mózgownica nigdy by nie wpadła na to, że można ten kwiat po prostu wypis...

Fenoglio bezceremonialnie zamknął jej usta dłonią.

- Ile razy mam powtarzać? - syknął. - Ani słowa o pisaniu, zrozumiano? Nie mam ochoty z powodu głupiej niewiasty narażać się na poćwiartowanie jako czarownik.

- Fenoglio! - Meggie gwałtownie odciągnęła go od Elinor. - Czarny Książę! On umiera!

Przez ułamek sekundy pisarz przyglądał jej się z takim wyrazem twarzy, jakby dziewczynka okazała złe wychowanie, przerywając mu w pół słowa, lecz nic nie powiedział, tylko pociągnął ją do swojego kąta. Spod tobołka z ubraniami wyjął kilka kartek, które ku zdziwieniu Meggie były po większej części zapisane.

- Do diabła! Gdzie jest Kryształek? - burczał, wyciągając czystą kartkę. - Pewnie wałęsa się znowu z Jaspisem po lesie, szukając towarzystwa dziko żyjących przedstawicieli ich rodu. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, by któraś z nich zainteresowała się tym różowym nicponiem!

Niebale odłożył na bok zapisane kartki. „Tyle słów... Jak długo on już to pisze?” - zastanawiała się Meggie.

- To tylko pomysły - mruknął, zauważywszy spojrzenie Meggie. - Przymiarki, jak to wszystko doprowadzić do szczęśliwego końca, jaką rolę miałby odegrać twój ojciec...

Meggie serce podskoczyło w piersi, ale Elinor ją uprzedziła.

- Aha, więc to ty napisałeś to wszystko o Mortimerze! Żeby dał się złapać, żeby pojechał do tego zamku... I nie interesuje cię, że Meggie wypłakuje oczy!

- Nie, to nie byłem ja! - odparował Fenoglio, chowając zapisane kartki pod ubranie.
- I to nie ja kazałem mu gwarzyć ze śmiercią, chociaż muszę powiedzieć, że ta część historii bardzo mi się podoba. Przecież mówię, że to tylko luźne pomysły! Taka sobie bezużyteczna pisanina. I pewnie równie bezużyteczne pozostanie to, co mam zamiar napisać. A teraz cisza! Inaczej swoim gadaniem wpędzicie Czarnego Księcia do grobu.

Umoczył pióro w atramencie i dopiero w tej chwili ujrzał Kryształka: siedział obok głazu, na którym rozłożone były pisarskie utensylia Fenoglia, i rozmawiał po cichu z bladozieloną istotą, najwidoczniej przedstawicielką płci pięknej rodu szklanych ludzików.

- Nie wierzę własnym oczom! - ryknął pisarz, a towarzysząca Kryształka w popłochu uciekła z jaskini. - Czarny Książę walczy ze śmiercią, a ty sobie w najlepsze romansujesz!

- Książę? - zawołał Kryształek zaskoczony. - Ale... ale... Fenoglio uspokoił się i rzucił szorstko:

- Przestań się jękać, lepiej pomieszaj atrament! A jeśli miałeś zamiar powiedzieć coś w rodzaju: „Ale przecież książę jest takim dobrym człowiekiem”, to chyba zdajesz sobie sprawę, że dobroć w żadnym świecie nie chroni przed śmiercią, co?

Fenoglio zanurzył pióro w kałamarzu z takim impetem, że różowa twarz Kryształka pokryła się atramentowymi cętkami. Meggie zauważyła, że pisarzowi trzęsą się ręce.

- No dalej, Fenoglio! - dodawał sobie odwagi. - To tylko kwiat. Dasz radę!

Kryształek przyglądał mu się zatroskany, ale pisarz nie spuszcza! wzroku z czystej kartki papieru. Patrzył na nią jak toreador na byka.

- Jaskinia koboldów, przed którą rośnie ziele, jest położona w miejscu, gdzie Postrach Elfów zakłada sidła! - mrucał do siebie. - Kwiaty rzeczywiście śmierdzą tak strasznie, że wróżki omijają to miejsce z daleka... ale za to uwielbiają je ćmy... szare ćmy o wzorzystych skrzydełkach, jakby szklany człowieczek ozdobił je małą trupami główkami... No widzisz, Fenoglio? Jakoś poszło!

Oderwał pióro od papieru, namyślał się przez chwilę - i ponownie zaczął pisać.

Nowe słowa, świeże słowa. Meggie miała wrażenie, że historia odetchnęła głęboko. Wreszcie nowa strawa po tak długim czasie, kiedy Orfeusz karmił ją starymi słowami Fenoglia.

- No proszę! Wystarczy go przycisnąć. Leniwy staruch! - szepnęła Elinor. - Nadal to potrafi, choć sam w to nie wierzy. Takich umiejętności się nie traci. Ty przecież nie zapomniałeś, jak się czyta!

„Nie wiem” - miała ochotę odpowiedzieć Meggie. Milczała jednak, a jej język przygotowywał się do przyjęcia nowych słów Fenoglia. Słów przywracających zdrowie. Jak tamte, które czytała wtedy dla Mo.

- Dlaczego ten niedźwiedź tak ryczy?

Meggie poczuła dłonie Farida na ramionach. Pewnie znów się gdzieś ukrył przed dziećmi i próbował wzywać ogień, ale sądząc po jego zgnębionej minie, płomień pozostał ślepe.

- No nie! Jeszcze ten! - zdenerwował się Fenoglio. - Po co zbudowaliśmy z Dariuszem ten murek? Żeby każdy mógł wpa-rować do mojej sypialni, kiedy mu się tylko zachce? Potrzebuję spokoju! W końcu jest to sprawa życia i śmierci!

- Życia i śmierci? - Farid z niepokojem spojrzał na Meggie.

- Czarny Książę... on... on... - wyjąkała Elinor, nie mogąc opanować drżenia głosu.

- Ani słowa więcej! - powiedział Fenoglio, nie podnosząc głowy. - Kryształek! Piasku!

- Piasku? A skąd mam wziąć piasek? - zawołał piskliwie szklany pomocnik.

- Do niczego się nie nadajesz! Myślisz, że zabrałem cię na wycieczkę?

Fenoglio pochuchał na świeżo zapisaną kartkę i po chwili podał ją Meggie.

- Spraw, żeby urosły, Meggie! - powiedział. - Ostatnie lecznicze krzewinki, ogrzane oddechem koboldów, zerwane, nim zima zdążyła je przemrozić.

Meggie spojrzała na kartkę. Znów rozbrzmiała w niej melodia, którą po raz ostatni słyszała, czytając słowa przyzywające Orfeusza.

O tak, słowa znów były Fenogliowi posłuszne. A ona nauczy je oddychać.

Rozdział 45

Napisane i nienapisane

Postacie mają własne życie i własną logikę, a pisarz musi się tego trzymać.

Isaac Bashevis Singer

Roksana znalazła leczniczą roślinę dokładnie tam, gdzie miała się ona znajdować zgodnie z opisem Fenoglia: przed jaskinią koboldów, gdzie Postrach Elfów zakładał wnyki. A Meggie, trzymając Despinę za rękę, na własne oczy zobaczyła, jak te oto przeczytane przez nią słowa stawały się rzeczywistością:

Łodyżki, liście i kwiaty opierały się zimnym wiatrom, jakby posadziły je tu wróżki, by ich widok przypominał im lato. Ałe zapach, jaki wydzielaly drobne białe kwiaty, był zapachem rozkładu i przemijania. Właśnie z powodu tego zapachu roślina zasłużyła sobie na nazwę trupiej główki. Kładziono ją na grobach, aby udobruchać białe damy.

Roksana odpędziła ćmy przycupnięte na listkach, wykopała dwie roślinki, pozostawiając dwie na miejscu, by nie drażnić elfów, i pospieszyła do jaskini, gdzie białe damy otoczyły posłanie Czarnego Księcia. Oczyszczyła korzonki, zrobiła wywar, tak jak ją pouczyła Resa, i wlała księciu miksturę do ust. Był już bardzo słaby, a jednak nastąpiło to, w co nikt prawie nie wierzył: wywar uspokoił truciznę, uśpił ją i przywrócił choremu siły życiowe.

A białe damy zniknęły, jakby śmierć wezwała je w inne miejsce.

Ostatnie zdania spłynęły lekko z jej warg, lecz minęło jeszcze wiele złych godzin, nim i one stały się rzeczywistością. Trucizna długo się opierała, a białe damy odchodziły i wracały. Roksana rozsypała wokół posiania księcia odstrasające je zioła, tak jak nauczyła ją Pokrzywa, ale blade postacie wciąż wracały, ledwo widoczne cienie na tle szarych ścian jaskini. Meggie miała wrażenie, że czasem spoglądają także na nią.

„Czy my ciebie przypadkiem nie znamy? - mówiły ich oczy. - Czy to nie twój głos ochronił człowieka, który już dwukrotnie wymknął się nam z rąk?”.

Meggie odwzajemniła ich spojrzenie ledwie na czas jednego oddechu, ale i tak zdążyła poczuć tęsknotę, o której mówił Mo: tęsknotę za miejscem leżącym poza wszelkimi słowami. Zrobiła krok w kierunku białych dam, pragnęła, by położyły chłodne dłonie na jej

mocno bijącym sercu, starły z niego ból i lęk... lecz w tej chwili schwyciły ją inne ręce, silne i ciepłe.

- Nie patrz na nie, Meggie! - szepnęła Elinor. - Jazda na świeże powietrze! Jesteś już taka błada jak te kreatury!

I siłą wyciągnęła Meggie na zewnątrz, gdzie siedzieli zbójcy, szepcząc między sobą, a dzieci wesoło biegały po lesie, jakby zapomniały o tym, co się dzieje w jaskini. Trawa była pokryta szronem białym jak istoty otaczające Czarnego Księcia, ale ich czar prysnął, gdy tylko Meggie usłyszała śmiech dzieci. Obrzucały się szyszkami i krzyczały przerażone, gdy kuna wskakiwała im na ramiona. Życie wydawało się o tyle mocniejsze od śmierci, śmierć o tyle mocniejsza od życia... wieczne przyływy i odpływy...

Resa także siedziała na zewnątrz, oplatając ramionami zmarznięte ciało, choć Siłacz okrył ją futrem z królików.

- Widziałyście gdzieś Draba? - spytała nagle. - Albo Geko-na z jego sroką?

- Odeszli - odpowiedział za Elinor Baptysta, który właśnie wyszedł z jaskini. Był potwornie zmęczony, aż do tej chwili nie odstępował księcia ani na sekundę. - Drab, Gekon i dziesięciu innych. Podążyli za Sójką... jak tylko się przekonali, że Czarny Książę nie będzie mógł im w tym przeszkodzić!

- Przecież Drab nienawidzi Mo! - zawołała Resa tak głośno, że paru zbójców obejrzało się na nich i nawet dzieci przerwały zabawę. - Dlaczego miałby mu pomagać?

- Obawiam się, że Drab nie ma zamiaru mu pomagać - rzeki cicho Baptysta. - Oznajmił, że wyrusza w pościg, bo Sójka nas zdradził i chce ubić z Wioletą własny interes. Poza tym powiedział, że twój mąż nie wyjawiał nam całej prawdy o Pustej Księżce.

- Jakiej prawdy? - spytała Resa słabym głosem.

- Drab twierdzi - odparł szeptem Baptysta - że księga obdarza nie tylko nieśmiertelnością, ale też niezmiernymi bogactwami, a dla większości naszych ludzi jest to o wiele bardziej atrakcyjne od nieśmiertelności. Za taką księgę zdradziliby własną matkę. Dlaczego więc - tak rozumią - Sójka nie miałby ich zdradzić?

- Ale to kłamstwo! - krzyknęła Meggie. - Pusta Księga daje tylko nieśmiertelność, nic więcej!

Meggie wcale się nie starała mówić cicho. Niech ją usłyszą wszyscy ci, co potajemnie plotkują na temat jej ojca!

Postrach Elfów odwrócił się do niej z jadowitym wyrazem na pociągłej twarzy.

- Ach tak? - warknął. - A skąd ty to możesz wiedzieć, mała czarownico? Ojciec nie powiedział ci także o tym, że ciało Zmi-jogłowego zacznie się rozkładać!

- No i co z tego? - zawołała Elinor, opiekuńczo otaczając Meggie ramieniem. - To jeszcze nie znaczy, że ma bardziej ufać jakiemuś trucicielowi niż własnemu ojcu! Niby kto otruł księcia jak nie wasz wspaniały Drab?

Wśród zbójców rozległy się mało przyjazne pomruki.

- Uważaj, co mówisz! - szepnął Baptysta, odciągając Elinor na bok. - Nie wszyscy przyjaciele Draba odeszli razem z nim, a jeśli chcesz znać moje zdanie, to trucizna nie jest w stylu Draba. Nóż tak, ale nie trucizna...

- Nie? - zachnęła się Elinor. - No to kto to był według ciebie? Resa spojrzała w niebo, jakby tam właśnie znajdowała się odpowiedź na to pytanie.

- Czy Gekon zabrał ze sobą srokę? - spytała. Baptysta skinął głową.

- Na szczęście tak - odparł. - Dzieci się jej bały.

- Wcale się nie dziwię. - Resa znów spojrzała w niebo. - Co zamierza zrobić Drab? Powiedz mi!

Baptysta ze znużeniem wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może będzie próbował ukraść Zmijogłowemu książkę, nim ten dotrze do Zamku na Jeziorze. Albo uda się do zamku, by zawładnąć księgą, kiedy Sójka wpisze już te trzy słowa. Cokolwiek zamierza, nie możemy mu w tym przeszkodzić. Dzieci nas potrzebują, a dopóki księciu się nie poprawi, on też nas potrzebuje. Pamiętaj, że Smolipaluch jest z Sójką. Drab nie da rady im obu. Przepraszam cię, ale muszę wracać do księcia.

„Drab nie da rady im obu”.

„To prawda - dumiała Meggie - ale co będzie, jeśli Drab rzeczywiście ukradnie Zmijogłowemu książkę już po drodze i Srebrny Książę przybędzie do Zamku na Jeziorze, mając pewność, że Sójka mu nie pomoże? Czy wtedy z miejsca nie uśmierci Mo? A jeśli nawet ojcu uda się wpisać słowa do księgi, to czy potem, chcąc nią zawładnąć, Drab nie otruje go, tak jak prawdopodobnie otruł Czarnego Księcia?”.

Jeśli, jeśli... Myśli kłębiły jej się w głowie, nie pozwalały zmrużyć oka, choć wszyscy wokół już spali. W końcu wstała i poszła zobaczyć, jak się czuje książę.

Zbójca spał. Białe damy odeszły, ale jego ciemna twarz była szara jak popiół. Minerwa i Roksana na zmianę czuwały przy nim, a obok posiania siedział Fenoglio, jakby chciał dopilnować, by jego słowa do końca się ziściły.

Fenoglio... Fenoglio znów potrafi pisać!

Ciekawe, co napisał na tych kartkach, które schował pod ubraniem.

„Dlaczego wymyśliłeś Sójkę do tych pieśni o zbójcy, zamiast po prostu uczynić ich bohaterem Czarnego Księcia?” - spytała go kiedyś, dawno temu.

„Bo ksiązę był za bardzo zmęczony - odparł Fenoglio. - Czarny Ksiązę potrzebował Sójki tak jak biedacy, którzy z nadzieją szeptali nocą jego imię. A poza tym ksiązę był już zbyt długo częścią tego świata, by uwierzyć, że można go zmienić. A jego ludzie zawsze wiedzieli, że jest człowiekiem z krwi i kości. W przypadku twojego ojca nie są już tacy pewni. Rozumiesz?”

O tak, Meggie rozumiała go aż nadto dobrze. Ale Mo był naprawdę człowiekiem z krwi i kości, a Drab na pewno nie wątpił w to ani przez chwilę. Gdy wróciła na swoje posłanie, Dariusz akurat trzymał dwójkę maluchów na kolanach i opowiadał im bajkę swym cichym, łagodnym głosem. Najmłodsze dzieci często budziły go w środku nocy, prosząc o opowiedzenie bajki, która pozwoliłaby im zapomnieć o złym śnie, a lektor cierpliwie poddawał się swemu losowi. Świat Fenoglia bardzo mu się podobał.

„Ciekawe, czy zgodziłby się go także zmienić swoim głosem, gdyby pisarz go o to poprosił - myślała Meggie. - Czy przeczytałby coś, czego ja nie chciałabym czytać?...”

Co było na tych kartkach, które Fenoglio tak spiesznie ukrył przed nią i Elinor? Co?

„Nic prostszego jak sprawdzić, Meggie. I tak przecież nie możesz spać”

Kiedy zajrzała za przepierzenie Fenoglia, usłyszała ciche chrapanie Krysztalka. Jego pan był nieobecny, ale szklany pomocnik zwinął się w kłębek na tobołku z ubraniami, pod którym Fenoglio ukrył kartki. Meggie podniosła go ostrożnie, jak zawsze zaskoczona chłodem jego szklanego ciała, i położyła na poduszce, którą Fenoglio przywiózł sobie z Ombry. Kartki były tam, gdzie je wtedy ukrył. Było ich ponad tuzin, wszystkie pokryte niewyraźnymi, notowanymi w pośpiechu ułamkami zdań, pytaniami, dziwaczными figurami, które tylko dla ich autora miały jakiś sens: Miecz czy pióro? Kogo kocha Wioletta? Uwaga, Piszczalka... Kto wpisze trzy słowa...? Meggie nie wszystko potrafiła odczytać, ale zaraz na pierwszej stronie drukowanymi literami wypisany był tytuł: Pieśń Sójki. Meggie serce podskoczyło w piersi.

- To tylko luźne pomysły, już ci mówiłem, Meggie.

Na dźwięk głosu pisarza Meggie odwróciła się gwałtownie i o mało nie upuściła kartek na śpiącego Krysztalka.

- Ksiązę ma się lepiej - ciągnął Fenoglio, jakby przyszła do niego tylko po to, by spytać o zdrowie księcia. - Wygląda na to, że moje słowa dla odmiany podtrzymały w kimś życie, zamiast go zabić. Ale możliwe też, że ksiązę żyje dlatego, iż ta historia jest zdania, że może jej się jeszcze przydać. Kto to może wiedzieć?

Usiadł z westchnieniem obok Meggie i łagodnie wyjął jej kartki z ręki.

- Twoje słowa już raz ocaliły Mo - szepnęła.

- Być może - powiedział w zadumie Fenoglio, wycierając zapisane stronicie, jakby chciał unieszkodliwić napisane słowa. - A mimo to nie masz już teraz do nich zaufania, podobnie jak ja, co?

Miał rację. Doszło już do tego, że Meggie równocześnie kochała słowa i nienawidziła ich.

- Skąd ten tytuł: Pieśń Sójki! - spytała cicho. - Nie wolno ci więcej pisać o nim pieśni! On jest moim ojcem! Wymyśl sobie nowego bohatera, dla ciebie to nic trudnego. A Mo niech będzie znów Mo, tylko Mo, nikim więcej.

Fenoglio przyglądał jej się w zamyśleniu.

- Czy jesteś pewna, że twój ojciec też tego chce? A może jest ci to obojętne?

- Oczywiście, że nie jest mi to obojętne! - odparła Meggie ostro. Kryształek ocknął się ze snu, rozejrzał się i znów zasnął. - Ale Mo na pewno nie chce, żebyś go oplatał swoimi słowami jak pajęczyną! Zmieniasz go!

- Bzdura! Twój ojciec sam zdecydował, że chce być Sójką! Napisałem tylko kilka pieśni o nim, a ty żadnej z nich nie przeczytałaś na głos! Jak mogły go zmienić?

Meggie spuściła głowę.

- No nie! - zdumiał się Fenoglio. - Przeczytałaś?

- Tak... kiedy Mo pojechał na zamek... Żeby go chronić, uczynić silnym, nieśmiertelnym! Czytam je codziennie.

- No proszę! Wobec tego pozostaje mieć nadzieję, że słowa pieśni będą równie skuteczne jak te, które napisałem dla Czarnego Księcia.

Fenoglio objął ją ramieniem, tak jak to czynił wtedy, gdy oboje byli więźniami Capricorna - w innym świecie, w innej historii... A może jednak w tej samej...?

- Posłuchaj mnie, Meggie - powiedział cicho. - Choćbyś nawet czytała te pieśni pięć razy dziennie, to oboje dobrze wiemy, że twój ojciec nie dlatego został Sójką. Gdybym go na przykład wziął za model dla Piszczalki, to czy myślisz, że stałby się mordercą? Nie! Twój ojciec jest taki jak Czarny Książę. Współczuje słabym. I to nie ja wpisałem tę cechę do jego serca, ona zawsze tam była! Twój ojciec pojechał na zamek nie z powodu moich słów, lecz ze względu na dzieci, które teraz śpią w jaskini. Może masz rację, może ta historia naprawdę go zmienia, ale i on zmienia tę historię! On ją opowiada dalej, Meggie, ale przez swoje czyny, nie przez to, co ja piszę. Chociaż właściwie słowa z pewnością mogłyby mu być pomocne w tym, co robi...

- Chronź go, Fenoglio! - szepnęła Meggie. - Drab jest na jego tropie, a on nienawidzi Mo!

- A to co znowu ma znaczyć? - Fenoglio spojrział na nią zaskoczony. - Więc jednak chcesz, żebym o nim pisał? Na Boga, miałem wystarczająco ciężkie życie, troszcząc się o moje własne postacie!

„Które też bez wahania uśmiercałeś” - pomyślała Meggie, ale nie powiedziała tego głośno. W końcu Fenoglio uratował dzisiaj Czarnego Księcia... i naprawdę drżał o jego życie. Ciekawe, jak by zareagował Smolipaluch na ten nagły przypływ współczucia u Fenoglia?

Rozległo się głośne chrapanie Kryształka.

- Słyszysz? - powiedział Fenoglio. - Czy widział ktoś, żeby szklany ludzik tak głośno chrapał? Czasem mam ochotę wsadzić go do kałamarza, żeby tylko mieć spokój!

- Jesteś okropny! - stwierdziła Meggie. Podniosła kartki i pokazując palcem oderwane słowa, spytała: - Co to wszystko znaczy? Miecz czy pióro? Kto wpisze trzy słowa? Kogo kocha Wiolanta?

- To tylko niektóre z pytań, na które odpowiedzi wyznaczą dalszy bieg tej historii. Każda dobra historia kryje w sobie skomplikowany splot pytań, które niełatwo wytropić. A do tego dochodzi jeszcze ta okoliczność, że nasza historia kieruje się własnym rozumem. Jeśli jednak... - pisarz zniżył głos, jakby historia mogła ich podsłuchać - potrafimy jej zadać właściwe pytania, to zdradzi nam swoje tajemnice. Taka historia to straszna gaduła. - Tu Fenoglio zaczął komentować poszczególne notatki: - Miecz czy pióro? To bardzo ważne pytanie, ale nie znam jeszcze odpowiedzi. Może jedno i drugie. Nieważne... Kto wpisze trzy słowa? No właśnie, kto? Twój ojciec pozwolił się uwięzić, aby to zrobić, ale kto wie...? Czy Wiolanta rzeczywiście przechytry Zmijogło-wego? Czy jest naprawdę taka mądra, jak myślisz? No i wreszcie: Kogo kocha Wiolanta? Otóż obawiam się, że zakochała się w twoim ojcu. Już dawno temu. Jeszcze zanim go spotkała.

- Co? - Meggie spojrziała na niego zdezorientowana. - Co ty opowiadasz? Wiolanta jest niewiele starsza ode mnie i Brianny!

- Bzdura! Wiekiem może tak, ale tyle już przeżyła, że jest co najmniej trzy razy starsza od was. A poza tym, jak wiele cór książęcych ma bardzo romantyczne wyobrażenia na temat zbójców. Jak myślisz, dlaczego kazała Balbulusowi spisać i zilustrować wszystkie moje pieśni o Sójce? A teraz ten zbójca we własnej osobie jedzie obok niej konno. Całkiem romantyczne, musisz przyznać!

- Jesteś obrzydliwy! - zawołała oburzona Meggie, budząc znowu Kryształka.

- Jak to? Przecież ci tylko wyjaśniam, ile rzeczy trzeba wziąć pod uwagę, jeśli miałbym rzeczywiście podjąć próbę doprowadzenia tej historii do szczęśliwego końca, chociaż przypuszczam, że ona sobie już dawno wbiła coś własnego do głowy. A jeśli mam

rację? Co będzie, jeśli Wiolanta rzeczywiście kocha twojego ojca, a on ją odtrąci? Czy nadal będzie go chronić przed Zmijogłowym? A jaką rolę odegra Smolipaluch? Czy Piszczalka przejrzy grę Wiolanty? Same niewiadome! Wierz mi, ta historia to prawdziwy labirynt. Wydaje się, że jest wiele dróg, lecz tylko jedna z nich prowadzi do celu, a każdy fałszywy krok szykuje nam przykrą niespodziankę. Ale tym razem będę przygotowany. W porę dostrzegę wszystkie pułapki, jakie mi gotuje - i odnajdę właściwą drogę. Dlatego muszę zadawać pytania, na przykład: gdzie jest Mortola? To pytanie nie daje mi spokoju. I co, u wszystkich czarnych diabłów, porabia Orfeusz? Pytania się mnożą... Ale Fenoglio jest znów w grze! I uratował Czarnego Księcia!

Każda zmarszczka na żółwiej twarzy Feniglia promieniała jego zadowoleniem z siebie. Okropny staruch!

Rozdział 46

Zamek na Jeziorze

Ma w sobie coś, czego nie da się opisać słowami.

John Steinbeck, Podróż z Charleyem. W poszukiwaniu Ameryki

Jechali coraz dalej na północ. Rankiem drugiego dnia Wiolanta kazała zdjąć pęta Mo. Jeden z żołnierzy musiał jej chyba zwrócić uwagę, że ręce Sójki staną się bezużyteczne, jeśli się ich nie rozwiąże. O milę za Ombłą czekało na nich ponad pięćdziesięciu żołnierzy. Żaden nie był starszy od Farida, ale miny mieli tak śmiałe, jakby byli zdecydowani towarzyszyć Wiolancie choćby na koniec świata.

Z każdą milą, którą pozostawiali za sobą, lasy stawały się ciemniejsze, doliny głębsze. Wzgórza zamieniły się w góry, a gdzieś na przełęczach leżał tak głęboki śnieg, że trzeba było zsiadać z koni i prowadzić je za uzdę. Góry zdawały się nietknięte ludzką stopą. Czasem tylko w oddali mignęła jakaś wioska, samotna zagroda lub chata smolarza. Można było pomyśleć, że Fenoglio zapomniał zaludnić tę część swojego świata.

Smolipaluch dołączył do nich już na pierwszym postoju. Zachowywał się tak, jakby nie było dla niego nic łatwiejszego, niż odnaleźć ślady, które żołnierze Wiolanty starannie zacierali za sobą. Patrzyli na niego z tą samą mieszaniną szacunku i lęku jak na Mo. Sójka... Ognisty Tancerz... Oczywiście znali wszystkie pieśni o nich, a w ich oczach malowało się pytanie: czy to są ludzie z krwi i kości, tak jak my?

W odniesieniu do siebie Mo znał odpowiedź - chociaż czasem się zastanawiał, czy w jego żyłach nie płynie przypadkiem atrament zamiast krwi - ale jeśli chodzi o Smolipalucha,

nie był już tego taki pewien. Konie płoszyły się na jego widok, chociaż potrafił je uspokoić cichymi słowy. Prawie nie spał i nie jadł i wkładał rękę w ogień jak w wodę. Ale gdy mówił o Roksanie lub Faridzie, z jego słów przebijała zwykła ludzka miłość, a kiedy ukradkiem, jakby się tego wstydził, spoglądał na córkę, był to wzrok zwykłego ojca.

Jak dobrze było tak jechać i jechać przez Atramentowy Świat, który rozwijał się przed nimi jak rulon papieru. W miarę jak zanurzali się coraz głębiej w ten dziewiczy krajobraz, Mo miał coraz większe wątpliwości, czy to wszystko zrodziło się dopiero dzięki słowom Fenoglia. Bardziej prawdopodobne wydawało mu się, że ten starzec był tylko reporterem, który opisał maleńki wycinek świata, jaki dawno już pozostawili za sobą.

Na horyzoncie rysowały się obce góry, a Ombra była daleko stąd. Nieprzebyty Las zdawał się tak samo odległy jak ogród Elinor, a Mroczny Zamek jawił się niczym ponury sen...

- Czy byłeś już kiedyś w tych górach? - spytał Mo Smolipalucha.

Kuglarz przeważnie jechał obok niego w milczeniu. Czasem Mo miał wrażenie, że słyszy jego myśli. „Roksana, Roksana...” - szeptały nieustannie. A jego oczy raz po raz wędrowały ku Briannie, która jechała u boku Wiolanty, nie zaszczycając ojca ani jednym spojrzeniem.

- Chyba nie - odparł kuglarz nieobecny głosem, jakby wracał duchem z jakiegoś odległego miejsca, którego nie da się opisać słowami.

Było tak za każdym razem, gdy o coś go zagadnięto. Mo wiedział, co tamten czuje. Białe damy, które ich dotykały, zasiały w sercach ich obu tęsknotę za tym miejscem, wieczną, niewyrażalną tęsknotę, słodką i gorzką zarazem.

Oglądając się przez ramię, jakby szukał znajomego widoku, Smolipaluch pospieszył z wyjaśnieniem:

- Północ nigdy mnie nie pociągała. Bałem się gór... - Uśmiechnął się, jakby nie mógł się nadziwić dawnemu sobie, kiedy to jeszcze tak mało wiedział o świecie, że byle góry napawały go lękiem. - Zawsze mnie ciągnęło nad morze, na południe.

Powiedziawszy to, zamilkł znowu na długo. Smolipaluch nigdy nie był zbyt rozmowny, a jego podróż do krainy śmierci nie zmieniła go pod tym względem. Mo zostawił go więc w spokoju i po raz nie wiadomo który zastanawiał się, czy Czarny Książę dowiedział się już od Farida, że Sójka opuścił Ombre, i jak zareagowały na tę wiadomość Meggie i Resa. Jakże ciężko mu było z każdym uderzeniem kopyt końskich coraz bardziej się od nich oddalać, choć czyni! to wszystko w przekonaniu, że tylko z dala od niego są bezpieczne. „Nie

myśl o nich! - rozkazywał sam sobie. - Nie pytaj, czy i kiedy je znów zobaczysz. Musisz sobie wmówić, że Sójka nigdy nie miał żony ani córki. Tylko na pewien czas...”.

Wiolanta odwróciła się w siodle, jakby chciała się przekonać, czy Sójka gdzieś się nie zapodział. Brianna szepnęła jej coś na ucho i Wiolanta się uśmiechnęła. Miała ładny uśmiech, choć rzadko go pokazywała. Uśmiech ten zdradzał, jaka była jeszcze młoda.

Wspinali się po gęsto zalesionych zboczach. Przez prawie nagie drzewa przedzierały się promienie słoneczne i mimo śniegu, który w wyższych partiach zboczy pokrywał mech i korzenie drzew, w powietrzu wciąż jeszcze czuć było jesień - wokół unosił się zapach butwiejących liści i ostatnich zwiędłych kwiatów. Wróżki buszowały sennie w pożółkłych trawach stwardniałych od szronu, ślady koboldów przecinały drogę, a wyżej w zaroślach przemykały z szelestem dziko żyjące szklane ludziki. Jeden z żołnierzy zanucił pieśń i dźwięk młodzieńczego głosu sprawił, że wszystko to, co Mo zostawił za sobą, zbladło i stało się nieważne: troska o Meggie i Resę, Czarny Książę, zagrożone dzieci, nawet umowa ze śmiercią. Była tylko droga wijąca się bez końca pośród obcych gór i nieposkromione pragnienie, by jechać coraz dalej w ten zadziwiający świat. Jak wygląda zamek, do którego prowadzi ich Wiolanta? Czy w górach żyją olbrzymy? Gdzie kończy się ta droga? Czy w ogóle się kiedykolwiek skończy?

„Nie dla Sójki” - szeptał cichy głos w jego duszy, a serce, młode i nieulekłe, wyrывało mu się z piersi, jakby miał znowu dziesięć lat...

Poczuł na sobie spojrzenie Smolipalucha.

- Widzę, że mój świat ci się podoba...

- Tak, o tak... - westchnął Mo z poczuciem winy.

Smolipaluch roześmiał się głośno i radośnie, Mo nie pamiętał, by kiedykolwiek tak się śmiał. Był jak odmieniony bez tych blizn. Wydawało się, że białe damy uleczyły nie tylko jego twarz, ale także serce.

- Wstydzisz się tego! - stwierdził. - Dlaczego? Bo wciąż jeszcze wierzysz, że to wszystko, co nas otacza, zrobione jest tylko ze słów? To dziwne... Kiedy tak na ciebie patrzę, wydaje mi się, jakbyś zawsze należał do tego świata, tak samo jak ja. Czy jesteś pewien, że nikt cię nie wczytał do twojego świata?

- Raczej tak - odparł Mo, nie bardzo wiedząc, co sądzić o pomysle Smolipalucha.

Rzucony podmuchem wiatru liść przywarł do jego piersi, z liścia wystawały drobniutkie kończyny, filigranowa twarzyczka, bladobrazowa jak cały liść, patrzyła na niego przerażona. Liściowe ludziki Orfeusza rozprzestrzeniały się szybko. Dziwaczna istotka ugryzła go w palec, gdy chciał ją pochwycić, a kolejny podmuch wiatru porwał ją ze sobą.

- Ty też je widziałeś poprzedniej nocy? - spytał Smolipaluch, odwracając się w siodle. Jadący za nimi żołnierz spuścił wzrok, jakby otarł się o krainę śmierci.

- Kogo? - zdziwił się Mo.

Kuglarz odpowiedział mu kpiącym spojrzeniem. Było ich dwie. Dwie białe damy stały tuż przed świtem między drzewami.

- Jak myślisz, dlaczego za nami idą? Żeby nam przypomnieć, że my obaj wciąż należymy do nich?

Smolipaluch wzruszył ramionami, jakby odpowiedź nie była ważna, a pytanie niewłaściwe.

- Ja je widzę zawsze, jak tylko zamknę oczy. „Smolipaluchu - szepczą - tęsknimy za tobą. Czy znów czujesz w sercu ból? Czy chcesz, żebyśmy cię od niego uwolniły? Chcesz znów o wszystkim zapomnieć?”. „Nie! - odpowiadam im. - Pozwólcie mi czuć jeszcze przez jakiś czas. Kto wie, może wkrótce i tak mnie znów zabierzecie. Mnie i... - spojrzał na Mo - Sójkę”.

Na niebie pokazały się czarne chmury, jakby czekały na nich za górami. Konie się spłoszyły, ale Smolipaluch uspokoił je łagodnym szeptem.

- A do ciebie co mówią? - zwrócił się do Mo, patrząc na niego takim wzrokiem, jakby znał odpowiedź.

- Och... - Jakże trudno było rozmawiać o białych damach. Tak trudno, jakby krępowały człowiekowi język, gdy tylko zaczynał mówić. - Najczęściej tylko stoją, jak gdyby na mnie czekały - wyznał Mo. - A jeśli już przemówią, to powtarzają zawsze to samo: „Nieśmiertelność może ci dać tylko śmierć, Sójko”.

Nikomemu dotąd tego nie wyjawiał, ani Czarnemu Księciu, ani Resie lub Meggie. Po co miał ich straszyć?

Ale Smolipaluch znał dobrze białe damy i tę, której służyły.

- Nieśmiertelność... - powtórzył. - Tak, chętnie mówią takie rzeczy i pewnie mają rację. A co z tobą? Spieszysz się do nieśmiertelności?

Ale Mo nie zdążył mu odpowiedzieć, bo właśnie Wiolanta zawróciła konia i podjechała do nich.

Dotarli na sam grzbiet górski. Pod nimi, daleko w dole, leżało jezioro, a w jego wodach odbijała się sylweta zamku. Unosił się na falach jak kamienny owoc, daleko od brzegu... Mury zamku były ciemniejsze od jodeł pokrywających stoki górskie, a z zamku prowadził na brzeg niewyobrażalnie długi most niby kamienna wstęga wsparta na

niezliczonych filarach. Wylotu mostu strzegły dwie strażnice, a nieopodal widać było kilka nędznych chatynek.

- Niezdobyty Most! - szepnął jeden z żołnierzy i w jego słowach odżyły opowieści, jakich się o tym nasłuchał.

Zaczął sypać śnieg, drobne białe płatki znikwały w ciemnych wodach, jakby jezioro je pożerało, a żołnierzykowie Wiolanty w przygnębiającym milczeniu przyglądali się mało zachęcającemu celowi podróży. Tymczasem twarz ich pani promieniała szczęściem jak twarz małej dziewczynki.

- No i co powiesz, Sójko? - zagadnęła Mo, wkładając na nos okulary w złotych oprawkach. - Przyjrzyj mu się. Mama tak często opisywała mi zamek, że mam wrażenie, jakbym się tu wychowała! Gdyby tylko te szkła były nieco lepsze! - zawołała niecierpliwie. - Ale nawet stąd widzę, jak piękny jest zamek!

Piękny? Mo nazwałby go raczej ponurym, ale może dla córki Zmijogłowego było to jedno i to samo.

- Rozumiesz teraz, dlaczego cię tu zabrałam? - spytała Wiolanta. - Ten zamek jest nie do zdobycia. Nawet olbrzymy nie dały mu rady, kiedy jeszcze pojawiały się w dolinie. Jezioro jest bardzo głębokie, a most tak wąski, że mieści się na nim tylko jeden jeździec.

Droga prowadząca w dół do jeziora była tak stroma, że musieli prowadzić konie. Gęsto rosnące po obu stronach jodły pogrążyły drogę w zupełnych ciemnościach, jakby ich igły pochłaniały każdy promień słońca, i Mo znów poczuł nieznośny ciężar w sercu. Tymczasem Wiolanta kroczyła naprzód z taką niecierpliwością, że inni nie mogli za nią nadążyć.

- Nocne mary... - szepnął Smolipaluch. Otaczała ich mroczna cisza, drzewa zlewały się w jedno z drogą pokrytą ciemnym igliwem. - Czarne elfy, czerwone kaptury... Znajdzie się tu wszystko, co Farida napawa panicznym lękiem. Miejmy nadzieję, że ten zamek jest naprawdę niezamieszkały.

Gdy wreszcie dotarli nad brzeg jeziora, z wodnych przestworów podniosła się mgła, tak że zamek i most majaczyły w kłębach białych oparów, jakby dopiero co wychynęły z głębin. Chaty na brzegu wyglądały bardziej realistycznie, choć widać było, że od dawna nikt w nich nie mieszka. Mo podprowadził konia do jednej ze strażnic. Drzwi były wypalone, a wewnątrz okopcone sadzą.

Wiolanta stanęła u jego boku.

- Ostatnim, który próbował zdobyć zamek, był jeden z bratanków mojego dziadka. Ale nie udało mu się przepłynąć przez jezioro. Dziadek hodował w nim drapieżne ryby. Podobno

były większe od koni, a ich przysmakiem było ludzkie mięso. Jezioro strzeże zamku lepiej, niż potrafiłaby to zrobić jakakolwiek armia. Załoga zamku nigdy nie była liczna, ale dziadek dbał o to, by zawsze starczyło żywności na wypadek oblężenia. Na zamku hodowano bydło, a na jednym z dziedzińców wewnętrznych dziadek założył warzywnik i sad. Mimo to mama - jak mi opowiadała - musiała często jeść ryby.

Wiolanta roześmiała się, a Mo ze ściśniętym sercem przyglądał się ciemnym wodom. Zdawało mu się, że w kłębach mgły pływają po powierzchni trupy wszystkich żołnierzy, jacy szturmowali Niezdobyty Most. Jezioro zdawało się kopią Atramentowego Świata w miniaturze: było piękne i straszne. Powierzchnia wody, gładka i nieporuszona, przypominała szkło, ale brzegi jeziora były bagniste, roje owadów, którym zima zdawała się zupełnie nie przeszkadzać, unosiły się nad oszronionymi trzcinami.

- Dlaczego twój dziadek zamieszka! w tak odludnym miejscu? - spyta! Mo.

- Bo miał dość ludzi. Czy to dziwne?

Wiolanta wpatrywała się oczarowana w jezioro, jakby wciąż nie mogła uwierzyć, że widzi na własne oczy to, co dotąd знаła tylko z opowiadań.

- Komnaty mamy znajdowały się w lewej wieży. Kiedy dziadek zaczął budować zamek, pojawiały się jeszcze olbrzymy - mówiła Wiolanta jak we śnie. - Jezioro było wtedy jedynym miejscem, poza miastami, gdzie człowiek mógł się przed nimi chronić. Nawet olbrzymy nie zdołały go sforsować. Uwielbiały przeglądać się w wodzie jak w lustrze i dlatego jezioro nazwano Zwierciadłem Olbrzymów. Mama bała się olbrzymów i chowała się pod łóżkiem, aby jej nie pożarły, ale nurtowało ją pytanie, jacy by byli wielcy, gdyby stanęli przed nią, widywała ich bowiem tylko z dala. Toteż pewnego razu, gdy miała pięć lat, zobaczywszy na brzegu olbrzyma z dzieckiem, pobiegła do niego. Na szczęście czujna niańka złapała ją zaraz na początku mostu, a dziadek za karę na trzy dni i trzy noce zamknął ją w tamtej wieży. - Wskazała cienką wieżę wznoszącą się jak długa igła pośród wielu innych. - Ta wieża to jedyne miejsce na zamku, o którym mama niechętnie opowiadała. Na ścianach były wymalowane wizerunki nocnych marów i morskich potworów, wilków i węży, zbójców napadających na podróżnych... Dziadek kazał wymalować te wszystkie obrazy, by przestrzec córki przed niebezpieczeństwami czyhającymi poza obrębem jeziora. Olbrzymy często porywały ludzi, traktując je jak zabawki, zwłaszcza ich dzieci, słyszałeś o tym?

- Czytałem - odparł Mo.

Wzruszyła go nuta bezgranicznego szczęścia pobrzmiwająca w jej głosie. Nie po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, jak to możliwe, by ta sama książka, która miała mu tyle do powiedzenia na temat ognistych elfów i olbrzymów, mówiła tak mało o córce Żmijogłowego.

Dla Fenoglia Wiolanta była postacią drugoplanową, ot, brzydka, nieszczęśliwa dziewczyna, nic poza tym. Tymczasem można się było od niej nauczyć, jak z malej roli można zrobić wielką, jeśli się ją tylko właściwie zagra.

Wydawało się, że zapomniała o Mo, że zapomniała o wszystkim, nawet o tym, że przybyła tu, by zabić własnego ojca. Wpatrywała się w zamek z taką tęsknotą, jakby spodziewała się ujrzeć matkę na blankach. W końcu jednak odwróciła się raptownie.

- Czterej zostaną w wartowniach, reszta pójdzie ze mną! - rozkazała żołnierzom. - Tylko jedźcie ostrożnie, by stukot kopyt nie zwabił ryb. Matka opowiadała mi, że ryby już niejednego ściągnęły z mostu.

Żołnierze zaszemrali niespokojnie, byli jeszcze dziećmi.

Wiolanta jednak nie zwracała na nich uwagi. Zebrała tren sukni, czarnej jak wszystko, co nosiła, a Brianna pomogła jej dosiąść konia.

- Zobaczycie! - powiedziała księżna. - Znam ten zamek lepiej, niż gdybym tu mieszkała. Znam cały jego rozkład i wszystkie tajemnice.

- Czy twój ojciec, pani, był kiedyś na zamku? - Smolipaluch zadał pytanie, ledwie Mo zdążył je pomyśleć.

Wiolanta ujęła cugle.

- Tylko raz! - odparła, nie patrząc na kuglarza. - Kiedy się starał o rękę mamy. Ale to było dawno temu. Jedno na pewno zapamiętał: że zamek jest nie do zdobycia... - Chodź, Brianno! - zwróciła się do służącej i skierowała konia między strażnice.

Ale koń spłoszył się na widok kamiennego mostu wynurzającego się z wody. Smolipaluch bez słowa podjechał do Wiolanty, wyjął jej cugle z ręki i wjechał na most, ciągnąc za sobą jej konia. Ludzie Wiolanty ruszyli za nimi, echo końskich kopyt rozniosło się nad cichymi wodami.

Mo jechał ostatni. Nagle cały świat stał się tylko wodą. Mgła osiadała mu na twarzy, a zamek majaczył w oddali jak mroczny sen: wieże, blanki, pomosty, wykusze, mury bez okien, zwietrzałe od wody i wiatru. Most zdawał się nie mieć końca, a brama, ku której zmierzali - nieosiągalna. Wreszcie jednak wszystko poczęło rosnać w oczach, wieże i mury przesłoniły niebo niczym groźna pieśń, a w głębinach pokazały się ruchome cienie, jakby podwodne psy strzegące zamczyska wyczuły ich obecność.

„Jak wyglądał zamek, Mo? - usłyszał w duszy pytanie Meg-gie. - Opisz mi go!”.

Co jej odpowie? Spojrzał na wieże zamkowe, których było bez liku, jakby co roku wyrastała nowa, na labirynt wykuszy, mostków i na kamiennego gryfa nad bramą wejściową.

„Nie wróżył szczęśliwego zakończenia, Meggie - odpowiedział jej w duchu. - Przypominał miejsce, z którego się nie wraca”.

Rozdział 47

Rola kobiety

Na cóż mi książka?

W drzewach wertuje wiatr,

i wiem, jak słowa tam brzmią,

i powtarzam je czasem cicho, wzruszony.

A śmierć, która oczy zamyka jak kwiaty,

nie znajduje mych oczu.

Rainer Maria Rilke, Niewidoma

Męskie odzienie. Resa ukradła je śpiącemu Postrachowi Elfów - spodnie i długą ciepłą koszulę. Musiał być z nich bardzo dumny. Większość zbójców miała tylko to, co nosiła na sobie. Ale w najbliższych dniach ona będzie bardziej potrzebowała tego ubrania niż Postrach Elfów.

Już raz Atramentowy Świat zmusił ją do włożenia męskiego stroju. Było to dawno temu, ale wspomnienie pozostawało tak żywe, jakby działo się to zaledwie wczoraj. Wkładając spodnie z szorstkiego materiału, przypominała sobie rany na głowie, gdy kuchennym nożem obcinała włosy, i jak ją bolało gardło, kiedy musiała mówić grubym głosem. Tym razem upnie tylko włosy w kok, bo nie będzie chyba musiała udawać, że jest mężczyzną, ale spodnie były o wiele praktyczniejsze od sukni, jeśli chce wędrować po dzikich ostępach. A musi to zrobić, jeśli chce odnaleźć Mo.

„Obiecaj mi! - (Nigdy nie prosił jej o nic tak usilnie). - Obiecaj, że pozostaniecie w ukryciu, cokolwiek się stanie i cokolwiek usłyszycie o mnie. A gdyby mi się nie udało - (jaki zręczny eufemizm oznaczający: gdybym zginął). - Meggie musi spróbować odesłać was z powrotem”.

Z powrotem? To znaczy dokąd? Do domu Elinor, gdzie każdy kąt będzie jej go przypominał i gdzie w ogrodzie stoi jego warsztat? A poza tym Elinor jest teraz po tej stronie liter. Ale Mo przecież tego nie wie, tak jak nie wie, że spaliła słowa Orfeusza.

Nie, nie wróci bez niego. Jeśli Mo umrze w Atramentowym Świecie - ona też tutaj dokończy życie, mając nadzieję, że białe damy zaprowadzą ją potem do niego.

„Co za ponure myśli, Reso!” - przemknęło jej przez głowę. Dotknęła ręką brzucha. Jakże to było dawno, gdy w tym samym miejscu przebywała Meggie, mimo to jej palce doskonale pamiętały tamto doświadczenie. Przez długi czas błądziły na darmo po lekkiej wypukłości, aż nagle pewnego dnia poczuła pod skórą maleńkie ciało. To był najcudowniejszy moment w jej życiu, a teraz nie mogła się doczekać, kiedy poczuje, jak kopią małe stopki, jak dzieciątko w jej brzuchu przekręca się i prostuje. To już pewnie niedługo. Ach, gdyby się tylko tak strasznie nie bała o jego ojca!

- Chodź, poszukamy go - szeptała do swego nienarodzonego dziecka - aby go ostrzec przed Sroką i Drabem! Zbyt długo przyglądaliśmy się biernie. Teraz będziemy działać, chociaż Fe-noglio nie napisał dla nas żadnej roli.

Nikt poza Roksaną nie znał jej zamiarów. Ani Elinor, ani Meggie. Obie na pewno chciałyby z nią pójść, ale ona musiała udać się w drogę sama, choć wiedziała, że Meggie będzie na nią zła. Jeszcze jej nie przebaczyła do końca wizyty w Ombrze i wydarzeń na cmentarzu. Meggie nie wybaczała tak łatwo, gdy w grę wchodził jej ojciec. Tylko jemu jednemu zawsze wszystko wybaczała.

Resa wyciągnęła spod koca, którym się przykrywała na noc, książkę Fenoglia. Wcześniej poprosiła Baptystę, by uszył jej stosowny pokrowiec. Nie zdradziła mu oczywiście, że on sam urodził się na kartach tej książki.

„Co to za dziwna księga - stwierdził. - Jaki to skryba stawia takie brzydkie litery? A ta oprawa? Czyżby introligatorowi skończyła się skóra?”

Nie była pewna, co by powiedział Smolipaluch na ten jej postępek. Wzruszyła się, że powierzył jej książkę, ale teraz musi zrobić z nią to, co uważa za słuszne.

Spojrzała na córkę. Meggie spała obok Farida, a zaledwie metr od niej spał Doria z twarzą obróconą ku dziewczynce. Obok Dorii leżał szklany ludzik Orfeusza, wsunął się pod jego rękę jak pod kołderkę. Jak młodo wyglądała Meggie przez sen! Resa z trudem powstrzymała się, by nie pocałować jej w czoło. Wciąż nie mogła przeboleć tych lat spędzonych z dala od córki.

„Pospiesz się, Reso, szarzeje, zaraz będzie świt. Wszyscy się zbudzą i nie pozwolą ci odejść”.

Elinor mruknęła coś przez sen, gdy przekradała się obok niej, a strażnicy u wejścia do jaskini podnieśli głowy, gdy podeszła do murku, którym Fenoglio odgrodził się od stworzonego przez siebie świata. Pisarz i jego szklany pomocnik chrapali na wyścigi - jak niedźwiedź i świerszcz. Palce Kryształka powalane były atramentem. Obok niego leżała kartka zapisana pismem Fenoglia, lecz wszystko było poskreślane.

Woreczek z książką położyła obok gumowego węża, przez który Fenoglio wciąż chętnie pociągał wino z beczki, choć Elinor ciągle go za to ostro strofowała. Między kartki Resa włożyła list, wystający jednym rogiem z woreczka niby biała ręka.

Fenoglio! - pisała w liście; długo się namyślała, co ma napisać, i do końca nie była z siebie zadowolona. – Zwracam Atramentowe serce temu, kto je napisał. Może twoja własna książka zdradzi Ci odpowiednie zakończenie tej historii i podszepta Ci słowa zdolne ochronić ojca Meggie. Ja tymczasem spróbuję na swój sposób przyczynić się do tego, aby pieśni o Sójce nie znalazły tragicznego zakończenia. Resa.

Kiedy wreszcie wyszła z jaskini, niebo zaróżowiło się na wschodzie i panowało przeraźliwe zimno. Pod drzewami trzymał straż Kuternoga. Spojrzał na nią podejrzliwie, gdy skierowała się na północ. Może zresztą nie poznał jej w męskim przebraniu. Resa zabrała ze sobą trochę chleba, bukłak z wodą, nóż i kompas, który Elinor przyniosła z innej rzeczywistości. Nie po raz pierwszy musiała sobie radzić sama w tym świecie. Zaledwie jednak uszła kawałek, usłyszała za sobą kroki.

- Resa! - głos Siłacza brzmiał jak głos nadąsanego chłopczyka, który przyłapał siostrę na potajemnej ucieczce. - Dokąd się wybierasz?

Tak jakby nie wiedział!

- Nie możesz iść za nim! Obiecałem mu, że będę na ciebie uważał, na ciebie i Meggie. Przytrzymał ją za rękę, a z uścisku Siłacza nikt nie mógł się wyrwać.

- Puść mnie! - krzyknęła. - On nie wie nic o Drabie. Muszę go odnaleźć! A ty możesz pilnować Meggie.

- Doria jej przypilnuje. Jeszcze nigdy za żadną dziewczyną tak nie wypatrywał oczu. Poza tym jest jeszcze Baptysta. - Nie wypuszczając jej ręki z uścisku, począł jej perswadować: - Do Zamku na Jeziorze daleka droga, daleka i niebezpieczna.

- Roksana mi wytłumaczyła, jak mam iść.

- Tak? A opowiedziała ci może o nocnych marach, czerwonych kapturach, czarnych elfach?

- Wokół twierdzy Capricorna też się kręciły. Ale każdy z jego ludzi był gorszy od nich wszystkich. Wracaj do obozu. Poradzę sobie sama.

- Na pewno. Poradzisz sobie nawet z Drabem i Piszczalką! - Wyjął jej z ręki węzełek.

- Sójka mnie zabije, jak cię zobaczy!

Sójka. A jeśli na zamku nie zastanie męża, tylko Sójkę? Mo potrafiłby zrozumieć jej uczynek, ale Sójka na pewno nie...

- Chodźmy - powiedział Siłacz, ruszając przed siebie.

Był równie uparty jak silny. Nawet Czarny Książę dawał za wygraną, gdy Siłacz wbił sobie coś do głowy. Resa nie próbowała go przekonywać. Zresztą dobrze będzie mieć go za towarzysza. Rzadko bywała sama w tych jodłowych lasach i wołała o tym nie pamiętać.

- Siłaczu? - odezwała się, gdy zostawili daleko za sobą jaskinię, w której spała jej córka. - Czy ty lubiłeś tę srokę, która się przyplątała do Gekona?

- To nie była sroka - odparł. - Miała głos kobiety. Ale nie mówiłem o tym nikomu, bo jak zwykle by mnie wyśmiali.

Rozdział 48

Oczekiwanie

Nie ustaniemy w poszukiwaniach,

A kresem naszych wszelkich poszukiwań

Będzie dojście do punktu wyjścia

I poznanie tego miejsca po raz pierwszy.

Thomas Stearns Eliot, Little Gidding

Zamek na Jeziorze był jak ostryga zamknięta przed światem. Ani jedno okno nie otwierało się na szczyty gór, ani jedno nie spoglądało na wody jeziora obmywające ciemne mury. Minąwszy bramę, widziało się dokoła już tylko zameczysko: ciasne, ciemne dziedzińce, obmurowane ślepe łączniki między wieżami i ściany pokryte malowidłami światów, które w niczym nie przypominały świata rozciągającego się poza tymi murami bez okien. Były tam malowane ogrody, łagodne wzniesienia, po których przechadzały się jednorożce, smoki i pawie, a w górze wiecznie lazurowe niebo z białymi obłoczkami. Obrazy były wszędzie: w izbach, w korytarzach, na dziedzińcach. Widać je było z każdego okna (gdyż wewnątrz zamku było mnóstwo okien). Malowane widoki świata, który nie istniał. Lecz wilgotny oddech powietrza sprawił, że farba odchodziła płatami, a w wielu miejscach obrazy wyglądały tak, jakby ktoś usiłował zmyć te malowane kłamstwa.

Tylko z wież, gdzie płatanina murów, wykuszy i dachów nie zasłaniała widoku, można było zobaczyć świat, który naprawdę otaczał to szczególne miejsce - jezioro i góry dokoła. Mo zaraz wspiął się na blanki, gdzie miał prawdziwe niebo nad głową i skąd mógł oglądać świat, który go tak oczarował, że pogrążał się w nim coraz bardziej, choć może nie był wcale bardziej realny od malowideł na ścianach zamku. Za to Wioletkę interesowały tylko komnaty, w których jej matka bawiła się jako dziecko.

Poruszała się po zamku tak, jakby po długiej nieobecności wróciła do domu, nabożnie wodziła palcami po meblach pokrytych grubą szarą warstwą kurzu, nie ominęła najmniejszego nawet glinianego naczynia zasnutego pajęczynami, a malowidła na ścianach oglądała z taką uwagą, jakby opowiadały o życiu jej matki.

- W tej komnacie jej mama i siostry odbywały lekcje. Widzisz, to są ich pulpity. Nauczyciel był okropny...! A to sypialnia mamy...! Tu trzymano psy, a tu gołębie pocztowe.

Im dłużej Mo towarzyszył jej w tych oględzinach, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że słabe oczy Wiolanty tęskniły najbardziej do widoku tego malowanego świata. Może czuła się bezpieczniej w świecie podobnym do ksiąg Balbulusa, wymyślonym i pozostającym pod kontrolą, niezmiennym i dobrze znanym aż po najmniejszy zakątek.

Zastanawiał się, czy Meggie podobałoby się, gdyby widziała z okna malowane jednorożce, wiecznie zielone wzgórza i te same nieruchome obłoki. Nie - odpowiadał sam sobie. Meggie wybrałaby widok z wież tak jak on.

- Czy matka powiedziała ci kiedykolwiek, że była tutaj naprawdę szczęśliwa?

Mo nie zdołał ukryć nuty powątpiewania w głosie i z twarzy księżnej natychmiast zniknęło dziewczęce rozmarzenie, była znów córką Zmijogłowego.

- Oczywiście! Była bardzo szczęśliwa. Dopóki ojciec nie zmusił dziadka, by dał mu ją za żonę, i nie zabrał jej do Mrocznego Zamku!

Mówiąc to, Wiolanta patrzyła na niego tak wyzywająco, jakby chciała zmusić go wzrokiem, by jej uwierzył - i pokochał zamczysko.

Ale było w zamku jedno miejsce, które nie pozwalało zapomnieć o prawdziwym świecie. Mo odkrył je dopiero wtedy, gdy pozwolono mu samemu błądzić po twierdzy w poszukiwaniu zakątka, gdzie nie czułby się znów jak w więzieniu - choć to tutaj było pięknie ozdobione. Światło słoneczne dosłownie oślepiło go, gdy wszedł do sali położonej w zachodnim skrzydle zamku. Było tu tyle okien, że ściany komnaty wyglądały jak wielka koronka. Na suficie tańczyły odbłaski jeziora, a góry tłoczyły się i pięły do nieba, jakby tylko czekały na to, by ktoś je podziwiał przez te okna. Poraziło go piękno tego widoku, choć było to ponure piękno, a jego oczy mimo woli szukały na ciemnych stokach śladów człowieka. Chłonał pełną piersią świeże chłodne powietrze i dopiero kiedy zwrócił się na południe, gdzie daleko za wysokimi górami musiała leżeć Ombra, zorientował się, że nie jest sam w pokoju. Smolipaluch siedział w jednym z okien bez szyb, wiatr rozwiewał mu włosy, chłodny blask słońca oblewał twarz.

- Grajkowie nazywają tę salę Komnatą Tysiąca Okien - powiedział kuglarz, nie odwracając się, a Mo zastanawiał się, jak długo już tu siedzi. - Opowiadają, że matka

Wiolanty i jej siostry miały słaby wzrok, gdyż ojciec nie pozwalał im spoglądać w dal z obawy przed tym, co czyha na nie w prawdziwym świecie. Oczy ich osłabły, światło dnia poczęło sprawiać im ból. Po pewnym czasie przestały widzieć wyraźnie nawet malowidła na ścianach. Wówczas jakiś balwierz, który przybył do zamku z grupą wagantów, przestrzegł dziadka Wiolanty, że jego córki oślepną, jeśli nie pozwoli im od czasu do czasu oglądać realnego świata. Wtedy Solny Książę - tak go zwano, gdyż wzbogacił się na handlu solą - kazał wykuć w tej sali okna, przez które córki musiały patrzeć, spędzając tu codziennie godzinę. Ale przez cały czas towarzyszył im grajek opowiadający o okropnościach świata, który oglądały o zarazach i głodnych wilkach, aby tylko nie zapragnęły opuścić zamku i ojca.

- Niesamowitą historią - rzekł Mo.

Gdy zbliżył się do Smolipalucha, wyczuł jego tęsknotę za Roksaną. Wrażenie było tak silne, jakby to była jego własna tęsknota.

- Tak, teraz to już tylko historia - zauważył kuglarz. - Ale to wszystko zdarzyło się naprawdę, tu, w tej sali.

Dmuchała delikatnie w chłodne powietrze i oto tuż obok nich uformowały się z ognia trzy postacie dziewczęce. Dziewczęta stały przytulone do siebie, tęsknym wzrokiem spoglądając na błękitne szczyty w oddali, które same zdawały się utkane z tęsknoty.

- Opowiadają, że dziewczęta kilkakrotnie podjęły próbę ucieczki - ciągnął kuglarz. - Chciały uciec z gajkami, których ojciec przyjmował na zamku tylko dlatego, że przynosili mu wieści z innych dworów. Ale nigdy nie doszli nawet do skraju lasu - ani córki, ani gajkowie. Solny Książę schwytał ich, córki wróciły do zamku, a gajków kazał przywiązać tam - Smolipa-luch wskazał na skałę sterczącą samotnie u wylotu mostu - i dziewczęta musiały patrzeć przez okno - postacie z płomieni robiły dokładnie to, o czym opowiadał kuglarz - trzęsąc się z zimna i ze strachu, dopóki nie przyszły olbrzymi i nie zabrali gajków.

Mo nie mógł oderwać wzroku od ognistych postaci. Płomienie odmalowywały ich strach i samotność tak wyraziście jak miniatury Balbulusa. Nie, matka Wiolanty nie była szczęśliwa w tych murach, cokolwiek mówi na ten temat jej córka.

- Co on wyprawia?!

Za ich plecami wyrosła jak spod ziemi Wiolanta w towarzystwie Brianny i Tulia.

Smolipaluch pstryknął palcami i natychmiast płomienie zatraciły ludzkie kontury i oplotły okno girlandą kwiatów.

- Nie ma obawy - powiedział spokojnie - zostanie tylko trochę sadzy na ścianie. A tymczasem - dodał, zerkając na Brian-nę, która jak zaczarowana wpatrywała się w ogień - miło na nie popatrzeć, czyż nie?

Była to prawda. Płomienie wiły się wokół okna opłotem czerwonych liści i złotych kwiatów. Tulio chciał podejść bliżej, jednak Wiolanta szarpnęła go brutalnie i przyciągnęła do swojego boku.

- Zgaś to, Ognisty Tancerzu! - zawołała ostro. - Natychmiast!

Smolipaluch posłuchał jej, wzruszając leniwie ramionami. Wystarczył szept - i płomienie zniknęły. Gniew Wiolanty nie robił wrażenia na kuglarzu, co napawało córkę Zmijogłowego lękiem. Mo widział to wyraźnie w jej oczach.

- To było naprawdę piękne, nie sądzi Wasza Wysokość? - zwrócił się do niej Mo, przesuwając palcem po usmolonym gzymsie. Wciąż stały mu przed oczami dziewczęta wyczarowane z ognia.

- Ogień nigdy nie jest piękny - odparła z pogardą Wiolanta.

- Widziałeś kiedyś człowieka umierającego w płomieniach? Pali się bardzo długo.

Widać było, że wie, o czym mówi. Ile miała lat, gdy po raz pierwszy zobaczyła płonący stos, ile - gdy po raz pierwszy na jej oczach powieszono człowieka? Ile mrocznej rzeczywistości potrafi znieść dziecko, póki ten mrok nie stanie się częścią jego duszy?

- Chodź ze mną, Sójko! - Wiolanta odwróciła się na pięcie.

- Chcę ci coś pokazać. Ale tylko tobie! Brianno, przynieś wody i zmyj sadzę!

Brianna musnęła wzrokiem ojca i bez słowa wybiegła z sali. Smolipaluch chwycił Mo za ramię.

- Strzeż się jej! - szepnął. - Książęce córki mają słabość do grajków i zbójców.

- Sójko! - zawołała niecierpliwie Wiolanta. - No chodźże wreszcie!

Smolipaluch namalował ogniem serce na brudnej posadzce.

Wiolanta czekała na niego w ciemności u wylotu schodów, jakby uciekła w popłochu od zalanych światłem słonecznym okien. Może dlatego kochała ciemności, że wciąż jeszcze czuła na policzku znamię, któremu zawdzięczała okrutny przydomek. Jakże inaczej brzmiały pieszczotliwe imiona, jakimi obsypywana była Meggie: śliczne maleństwo, słodka ptaszyna... Meggie rosła z poczuciem, że już sam jej widok budzi w ojcu miłość do niej. Matka Wiolanty zapewne też okazywała jej tę bezwarunkową miłość, ale wszyscy inni patrzyli na nią z odrazą, a w najlepszym razie z litością. Gdzie to dziecko chowało się przed tymi nieprzyjaznymi spojrzeniami, jak się broniło przed bólem, który jej nieustannie zadawano? Czy nauczyła swoje serce gardzić wszystkimi, którzy mogli poszczycić się urodą?

„Biedna córka Zmijogłowego” - pomyślał Mo, gdy tak stała w ciemności u wylotu schodów, samotna, z mrokiem w sercu...

Nie, Smolipaluch się mylił. Wiolanta nie kochała niczego i nikogo, nie wyłączając siebie.

Szybko zbiegła po schodach, jakby chciała zgubić własny cień. Zawsze chodziła szybko, tak niecierpliwie zbierając długie suknie, że zdawało się, iż przy każdym stąpieniu przeklina stroje, jakie nosiły w tym świecie kobiety.

- Chodź, muszę ci coś pokazać! Mama zawsze mi opowiadała, że biblioteka znajduje się w północnym skrzydle, tam gdzie są malowidła jednorożców. Nie wiem, kiedy i dlaczego ją przeniesiono, ale sam zobacz... stróżówka, izba pisarza, komnata kobieca... - szeptała, gdy mijali kolejne pomieszczenia - łącznik na wieżę północną, łącznik na wieżę południową, ptasi dziedziniec, psiarnia... - Poruszała się po zamku z taką swobodą, jakby od lat tu mieszkała.

Ile czasu spędziła nad księgami opisującymi zamek? Mo usłyszał jezioro, gdy prowadziła go przez dziedziniec pełen ogromnych klatek, tak kunsztownie kowanych, jakby kraty miały zastąpić ptakom prawdziwe drzewa. Słyszał, jak woda uderza o fundamenty zamczyska, ale mury okalające ptasi dziedziniec pokryte były wyobrażeniami drzew - buków i dębów, w których konarach gnieździły się chmary ptactwa: wróble, skowronki, dzikie gołębie, słowiki obok sokołów, krzyżodziobów i rudzików, dzięciołów i kolibrów zanurzających dziobki w czerwonych kielichach kwiatów. Obok jaskółki siedziała sójka.

- Mama i jej siostry bardzo kochały ptaki. Dlatego dziadek nie tylko kazał malować je na ścianach, ale sprowadzał żywe ptaki z najodleglejszych krain i umieszczał je w tych klatkach. Zimą klatki były przykryte, ale mama wpełzała pod plandeki i spędzała tu długie godziny, nim odnalazła ją któraś z nianiek. Wybierano jej potem ptasie pióra z włosów i ubrania.

Księżna pospieszyła dalej. Przeszli przez bramę na inny dziedziniec. Stały tu budy dla psów, a na ścianach były wymalowane sceny łowieckie. Mo przez cały czas słyszał przybój jeziora, odległy, a tak bliski.

„Nic dziwnego, że matka Wiolanty i jej siostry kochały ptaki - myślał. - Pragnęły mieć skrzydła tak jak one”.

Wyobrażał sobie, że królowny o niczym innym nie marzyły, jak tylko o tym, by wyfrunąć z zamku i polecieć hen w szeroki świat. I wpełzały do ptasich klatek, by ptasie pióra pokryły ich wytworne suknie.

Smutno mu się robiło na sercu, gdy myślał o trzech samotnych dziewczynkach, lecz jakże pragnąłby pokazać Meggie te klatki i malowane ptaki, jednorożce i smoki, i Komnatę Tysiąca

Okien, ba, nawet Niezdobyty Most, który widziany z góry zdawał się unosić ponad wodami.

„Na pewno opowiesz Meggie o tym wszystkim!” - rzekł sobie w duchu, jakby te słowa musiały się ziścić, jeśli tylko pomyśli je wystarczająco stanowczo. Jeszcze jedne schody, jeszcze jeden zabudowany łącznik niby kamienny tunel między wieżami. Drzwi, przed którymi zatrzymała się Wiolanta, pomalowane były czarną bejcą, jak wszystkie drzwi na zamku. Drewno napęczniało i księżna musiała zaprzeć się ramieniem, by je otworzyć.

- To straszne! - zawołała.

I miała rację. Początkowo Mo niewiele mógł rozróżnić w ciemnościach. Podłużną komnatę oświetlały skąpo dwa wąskie otwory okienne. Ale nie potrzebował nic widzieć, bo zapach stęchlizny od razu zdradził mu, o co chodzi. Pod wilgotnymi ścianami piętrzyły się stosy ksiąg niby drewno przygotowane na opał, a chłodne powietrze było tak przesiąknięte zapachem pleśni, że musiał zatkać sobie nos i usta.

- Zobacz! - Wiolanta chwyciła pierwszą z brzegu książkę i podała mu ją ze łzami w oczach. - Wszystkie tak wyglądają!

Mo wyjął jej z ręki książkę i spróbował ją otworzyć, ale stronicie były mocno zbite w twardą, stęchłą, czarno nakrapianą bryłę. Krawędzie obficie pokrywała biała piana pleśni. Okładki były zżarte przez robaki i przegniłe. Trzymał w ręce nie książkę, lecz trupa książki. Z odrazą pomyślał o tym, że skazał na ten sam los księgę, którą oprawił dla Zmijogłowego. Czy wyglądała już jak te tutaj? Pewnie nie, inaczej Zmijogłowy już dawno byłby martwy, a białe damy nie wyciągałyby rąk po Meggie.

- Przejrzałam ich już tyle, ale żadna nie jest w lepszym stanie! Jak to możliwe?

Mo odłożył zbutwiałą księgę na stos innych.

- Nie wiem, gdzie się przedtem znajdowała biblioteka, ale obawiam się, że w tym zamku nie ma bezpiecznego miejsca dla książek. Twój dziadek, pani, próbował ignorować jezioro, ale ono istnieje. W powietrzu jest tak dużo wilgoci, że księgi poczęły butwieć, a ponieważ nikt nie wiedział, jak je ratować, przeniesiono je pewnie tutaj w nadziei, że prędej wyschną. Była to płonna nadzieja. Musiały kosztować majątek...

Zagryzając wargi, Wiolanta pogładziła grzbiet książki, jakby głaskała po raz ostatni ulubionego psa, który zakończył żywot.

- Mama opisała mi te księgi dokładniej od wszystkiego, co się znajdowało na zamku. Na szczęście część z nich przewiozła do Mrocznego Zamku. Większość zabrałam potem do Ombry. Jak tylko się tam przeprowadziłam, prosiłam teścia, by sprowadził resztę ksiąg. Zamek na Jeziorze był już wtedy od lat niezamieszkały. Ale kto by słuchał ośmioletniej dziewczynki! „Zapomnij o nich i o zamku, w którym się znajdują - powtarzał za każdym razem, gdy go o to prosiłam. - Za nic w świecie nie pošlę moich ludzi do Zamku na Jeziorze, choćby tam były najpiękniejsze księgi świata. Nie słyszałaś o drapieżnych rybach, które twój dziadek hodował w jeziorze, i o wiecznych mgłach spowijających wszystko? Nie mówiąc już o olbrzymach”. A przecież olbrzymy już dawno wtedy opuściły góry! Cóż to był za głupiec! Żarłoczny, ciemny głupiec! - Smutek w jej sercu ustąpił miejsca gniewowi.

Mo rozejrzył się. Myśl o tym, jakie bogactwa kryły się niegdyś między zmurszałymi okładkami, przyprawiała go o jeszcze większy zawrót głowy niż odór butwiejących ksiąg.

- Nie możesz nic dla nich zrobić? - spytała księżna z nadzieją w głosie.

Mo potrząsnął głową.

- Nie. Na butwienie nie ma lekarstwa. Chociaż, jak powiadasz, pani, twój ojciec znalazł na to sposób.

- Owszem. Ale na pewno ci się nie spodoba. - Wiolanta wzięła do ręki inną książkę. Ta przynajmniej pozwoliła się otworzyć, ale kartki rozpadały się pod palcami. - Zanurzył Pustą Księgę we krwi wrózek. Ludzie mówią, że gdyby to nie poskutkowało, na pewno spróbowałby krwi ludzkiej jako środka.

Mo wyobraził sobie żywo, jak białe karty księgi, którą oprawił w Mrocznym Zamku, nasiąkają krwią.

- To obrzydliwe! - zawołał.

Wiolantę najwidoczniej ubawił wstrząs, jakiego Mo doznał na wieść o tak nieistotnym w jej pojęciu okrucieństwie.

- Ojciec kazał zmieszać krew wrózek z krwią ognistych elfów, żeby księga szybciej wyschła - ciągnęła nieporuszona. - Ich krew jest bardzo gorąca, jak płynny ogień, wiedziałeś o tym?

- Naprawdę? - w głosie Mo brzmiała odraza. - Mam nadzieję, że nie zamierzasz zastosować tej samej recepty. Zapewniam cię, że tym księgom nic by to już nie pomogło.

- Skoro tak mówisz...

Wydawało mu się, że w jej głosie zadźwięczała nuta zawodu.

Odwrócił się. Nie chciał dłużej patrzeć na martwe książki. I nie chciał sobie wyobrazić, jak nasiąkają krwią.

Gdy przestąpił próg komnaty, od ściany korytarza pokrytej malowidłami oderwał się Smolipaluch. Wyglądało to prawie tak, jakby znowu wychodził z jakiejś książki.

- Mamy gościa, Czarodziejski Języku - powiedział. - Ale nie tego, któregośmy oczekiwali.

- Czarodziejski Język? - Wiolanta ukazała się w otwartych drzwiach. - Dlaczego go tak nazwałeś?

- Och, to długa historia - uśmiechnął się do niej Smolipaluch, ale księżna nie odwzajemniła uśmiechu. - Możesz mi wierzyć, pani, że to imię pasuje do niego równie dobrze jak to, którym ty go nazywasz. I nosi je o wiele dłużej.

- Naprawdę? - prychnęła Wiolanta, przyglądając mu się z nieukrywaną odrazą. - Czy w krainie umarłych też nosi to imię?

Smolipaluch odwrócił się i pogłaskał malowanego drwinnicz-ka siedzącego w malowanych gałęziach krzaka róży.

- Nie, w krainie umarłych nie nosi się żadnych imion. Tam wszyscy są równi. Kuglarze i książęta. Któregoś dnia sama się o tym przekonasz.

Twarz Wiolanty stężała, przypominała teraz twarz jej ojca.

- Mój mąż też wrócił kiedyś z krainy umarłych. Ale nie mówił mi, żeby kuglarze cieszyli się tam takimi honorami.

- A czy w ogóle mówił ci cokolwiek o tej krainie? - spytał Smolipaluch, patrząc na Wiolantę pustym wzrokiem, który sprawił, że zbladła. - Mógłbym ci opowiedzieć długą historię o twoim mężu. Spotkałem go dwukrotnie między umarłymi. Ale wydaje mi się, że powinnaś, pani, przywitać teraz gościa. Jest w kiepskim stanie.

- Kto to taki?

Kuglarz wyczarował w powietrzu ognisty obraz pędzla.

- Balbulus? - zdumiała się Wiolanta.

- Tak - potwierdził Smolipaluch. - A Piszczalka zostawił mu na ciele ślad gniewu twojego ojca.

Rozdział 49

Nowi i dawni panowie

*- Żaden problem! - zawołał Dudek Alle. - Każda porządna opowieść bez szkody zniesie małe bicie piany!
Salman Rushdie, Harun i morze opowieści*

Och, jak go bolały pośladki! Wydawało mu się, że nigdy już nie będzie mógł normalnie siedzieć. Co innego poruszać się konno po uliczkach Ombry z wysoko uniesioną głową i łowić spojrzenia pełne zawiści, co innego zaś jechać przez wiele godzin za karetą Żmijogłowego po drogach tak wyboistych, że można było kark skrócić.

A poza tym nowy pan Orfeusza podróżował tylko nocą. Jak tylko zaczynało szarzyć, kazał rozbijać czarny namiot, gdzie chował się przed światłem dnia, i dopiero gdy słońce zniknęło za horyzontem, przenosił swoje ciężkie ciało do karocy zaprzężonej w dwa konie równie czarne jak aksamit wyściełający jej wnętrze. Zaraz na pierwszym postoju poeta zerknął ukradkiem do środka. Poduszki, którymi była wyłożona kareta, nosiły herb Żmijogłowego wyszyty srebrną nicią i były o wiele bardziej miękkie od siodła, na którym musiał tłuc się Orfeusz wraz z Jacopem. Obrzydliwy bachor Wiolanty wciąż wołał jeść i pić, a Piszczalkę darzył istic psim oddaniem, do tego stopnia, że zafundował sobie blaszany nos, tak jak jego idol. Orfeusz bardzo się zdziwił, że Piszczalka nie jedzie z nimi. No cóż, pozwolił Sójce odlecieć, więc pewnie za karę Srebrny Książę odesłał go do Mrocznego Zamku. Ale dlaczego, na wszystkie skarby świata, jego panu towarzyszyło tylko pięćdziesięciu pancernych? Orfeusz liczył! dwa razy i naprawdę nie było ich więcej. Czyżby Żmijogłowy uznał, że jest to wystarczająca ochrona przed młodocianymi żołnierzami Wiolanty? A może wciąż jeszcze jej ufa? To by oznaczało, że albo Srebrny Książę nie jest tak mądry, jak głosi fama, albo zgnilizna dosięgła jego mózgu. A jeśli tak, to Mortimer po raz kolejny wyjdzie na bohatera i okaże się, że on, Orfeusz, znów postawił na złego konia. Była to okropna perspektywa, starał się więc o tym nie myśleć.

Z powodu ciężkiej karety pochód posuwał się tak wolno, że Oss z łatwością dotrzymywał im kroku pieszo. Cerbera musieli, niestety, zostawić w Ombrze, bo Żmijogłowy też był zdania, że trzymanie psów jest przywilejem szlachty... Doprawdy, był już najwyższy czas, by na nowo napisać reguły rządzące tym światem!

- Poruszamy się jak ślimaki! - warknął żołnierz jadący za nim. („Do diabła, te draby śmierdziały tak, jakby chciały zrobić konkurencję swemu panu”). - Zobaczycie, że kiedy dojedziemy do tego przeklętego zamku, okaże się, że Sójka zdążył już z niego wyfrunąć.

Pancerni głupcy! Nie potrafili zrozumieć, że Sójka, udając się na zamek w Ombrze, miał dokładnie obmyślany plan, który konsekwentnie realizował.

No, nareszcie się zatrzymali. Jaka to ulga dla jego obolałych kości! Niebo było jeszcze czarne jak sadza, ale widocznie Paluch dojrzał gdzieś wróżkę, która mimo mrozu wybiegła na spotkanie poranka.

Paluch...

Nowy ochroniarz Srebrnego Księcia mógł przerazić najodważniejszego. Był tak chudy, jakby śmierć już raz go chwyciła w swoje ręce, a na szyi, na wysokości grdyki, miał wytatuowaną żmiję z herbu swego pana, która, gdy mówił, wiła się jak żywa. Na szczęście Paluch odzywał się rzadko. To przezwisko nie wywodziło się od jego wzrostu, bo był nawet wyższy od Orfeusza, zresztą w tym świecie bajka o Tomciu Paluchu była chyba nieznana. Podobno owo imię wzięło się z okrutnych praktyk, jakie stosował wobec pokonanych.

W książce Fenoglia nie było wzmianki na jego temat, musiał więc być jedną z tych postaci, które - jeśli wierzyć pisarzowi - wylęgły się same w tej historii, tak jak wylęgają się komary na bagnach. Paluch ubierał się z chłopska, lecz miecz miał lepszy niż Piszczalka, a jego zmysł powonienia był równie martwy jak u Srebrnego Nosa, dlatego ci dwaj z łatwością wytrzymywali w pobliżu Zmijogłowego.

„Pozazdrościć!” - pomyślał sarkastycznie Orfeusz, zsuwając się z konia.

- Wytrzymaj go do sucha! - rozkazał Ossowi rozdrażnionym tonem. - A potem rozstaw mi namiot, tylko migiem! - Odkąd poznał Palucha, drażniła go głupota jego własnego ochroniarza.

Namiot był więcej niż skromny. Ledwo można się w nim było wyprostować, a przy najmniejszym poruszeniu groził zawaleniem. Lepszego nie zdołał jednak sprowadzić w tak krótkim czasie, choć przejrzał wszystkie swoje księgi w poszukiwaniu czegoś godniejszego. Jego księgi... A co? Teraz już jego... Do niedawna należały do biblioteki zamkowej w Ombrze, ale nikt go nie zatrzymał, gdy je wynosił.

Księgi.

W bibliotece Tłustego Księcia przeżył prawdziwy szok. Był pewien, że znajdzie tam przynajmniej jedną książkę ze słowami Fenoglia. I rzeczywiście zaraz na pierwszym z brzegu pulpicie zobaczył pięknie oprawiony rękopis z pieśniami o Sójce. Ręce mu drżały, gdy zdejmował ją z łańcucha (otwarcie takiej kłódki było dla niego dziecinnie łatwe).

„Mam cię, Mortimerze - myślał mściwie. - Teraz ugniotę cię jak ciasto, tak że zapomnisz, kim jesteś i gdzie przebywasz, niech tylko poczuję na języku smak twojego imienia...”.

Ale jakież było jego rozczarowanie, gdy przeczytał pierwszych kilka zdań! Och, ta drewniana melodia, te kiepskie rymy! Nie, Fenoglio nie mógł napisać żadnego z tych tekstów. Gdzie się podziały jego pieśni?

„Wiolanta je zabrała, głupcze! - szydził sam z siebie. - Nie przyszło ci to do głowy?”.

Wciąż jeszcze boleśnie przeżywał tamto rozczarowanie. Ale kto powiedział, że w tym świecie tylko słowa tego starego głupca mogły nabierać życia? W końcu wszystkie książki to

jedna wielka rodzina, są przecież złożone z tych samych liter, tylko w różnej kolejności. A to znaczyło, że w pewnym sensie każda książka zawarta była we wszystkich innych!

Ale to, co zdołał przeczytać podczas długich godzin tkwienia w siodle, nie okazało się, niestety, zbyt obiecujące. Można by pomyśleć, że w tym świecie nie było ani jednego poety godnego tego miana. W każdym razie biblioteka Tłustego Księcia nie zawierała arcydzieł. Nudy na pudy, kulawe rymy. A postacie! Nawet jego głos nie potrafi wlać w nie życia!

Chciał już na pierwszym postoju uraczyć Zmijogłowego próbką swej sztuki, lecz aż do tej pory nie znalazł w tych księgach nic, co by jego językowi nie smakowało jak papier. Niech to diabli!

Namiot Zmijogłowego rozbiły został zawczasu. Paluch posłał przodem paru służących, by jego pan mógł wprost z karocy wejść do namiotu. Był to prawdziwy pałac, pozszywany z czarnych pasów haftowanych w srebrne żmije, które połyskiwały w świetle księżyca, jakby tysiące ślimaków obsiadły namiot.

„Co zrobisz, Orfeuszu, jeśli cię teraz wezwie? Obiecałeś, że będziesz go zabawiał w drodze”. Wciąż brzmiały mu w uszach drwiące słowa Szczapy: „Mój szwagier nie lubi, kiedy ktoś zawodzi jego oczekiwania”.

Było mu zimno. Przysiadł pod drzewem i niechętnie sięgnął do juk po następną księgę. Tymczasem Oss męczył się z rozstawianiem namiotu.

Baśnie dla dzieci! Tylko tego jeszcze brakowało! Do diabła, do diabła, do diabła! Chwileczkę... a to co? Serce podskoczyło mu w piersi. To mu coś przypominało... Ależ tak, to słowa Fe-noglia, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości!

- To moja książka! - Krótkie rączki wyszarpnęły tom z jego palców.

Jacopo stał przed nim z wysuniętymi wargami, marszcząc brwi, którą to minę podpatrzył u dziadka. Tym razem nie miał na twarzy blaszanego nosa, widocznie stał się niewygodny.

Orfeusz z trudem oparł się pokusie odebrania mu książki.

„To niezbyt mądre, Orfeuszu - upomniał sam siebie w myślach. - Bądź miły dla tego małego diabelskiego pomiotu!”.

- Jacopo! - Uśmiechnął się promiennie do malca z odrobiną unізoności należnej książęcemu synowi, choć ów książę już nie żył. - To twoja książka? W takim razie na pewno wiesz, kto jest autorem tych opowieści.

- Żółwia Twarz - stwierdził ponuro chłopczyk. Żółwia Twarz? Cóż za trafny przydomek dla Fenoglia!

- Lubisz jego baśnie? Jacopo wzruszył ramionami.

- Bardziej podobają mi się pieśni o Sójce, ale mama nie pozwala mi ich czytać.

- Jakie to przykre!

Orfeusz nie mógł oderwać wzroku od książki, którą Jacopo przyciskał do piersi. Ręce pociły mu się z podniecenia. Słowa Fenoglia... A może okazałyby się równie skuteczne jak słowa Atramentowego serca?

- A co ty na to, książę... - jakże chętnie skreśliłby kark temu „księciu” - co ty na to, żebym ci opowiedział o zbójcach w zamian za wypożyczenie tej książki?

- Potrafisz opowiadać historie? Myślałem, że handlujesz jednorożcami i skrzatami.

- To też!

„I sprawię, że jednorożec nadzieje cię na róg, jeśli natychmiast nie oddasz mi tej książki” - pomyślał Orfeusz, ukrywając krwiożercze myśli pod jeszcze szerszym uśmiechem.

- Po co ci ta książka? To bajki dla dzieci, tylko dla dzieci. Przeklęty mały mądrała!

- Chcę obejrzeć obrazki.

Jacopo otworzył książkę i przewrócił kilka kartek.

- Są nudne. Same zwierzaki i wróżki, i koboldy. Nienawidzę koboldów. Śmierdzą i przypominają Tulia. - Spojrzał bystro na Orfeusza. - A co mi dasz, jeśli ci pożyczę tę książkę? Masz srebro?

Srebro. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Chociaż zewnątrznie Jacopo bardziej przypominał zmarłego ojca niż dziadka.

- Oczywiście.

Orfeusz sięgnął do mieszka zawieszzonego u pasa.

„No, poczekaj tylko, książątko - pomyślał. - Jeśli ta książka potrafi to, co myślę, zgotuję ci parę przykrych niespodzianek!”.

Jacopo wyciągnął otwartą dłoń i Orfeusz położył na niej srebrną monetę z wizerunkiem jego dziadka.

Rączka nie cofnęła się.

- Chcę trzy! - oświadczył malec.

Orfeusz wydał pomruk niezadowolenia, a Jacopo jeszcze mocniej przycisnął książkę do piersi.

Chciwy mały bękart. Poeta włożył jeszcze dwie monety do wyciągniętej rączki, a Jacopo szybko zacisnął dłoń.

- To za jeden dzień - powiedział.

- Za jeden dzień?

W tej chwili podszedł do nich Oss. Palce wystawały mu z butów. Wciąż trzeba było kupować nowe buty na te jego słoniowe nogi. Ach, co tam, nic mu nie będzie, jak pochodzi boso!

- Panie, twój namiot gotowy.

Jacopo schował pieniądze do mieszka i z protekcyjną miną podał Orfeuszowi książkę.

- Trzy pieniążki, trzy dni! - zawołał poeta, chwytając tom. - A teraz zabieraj się stąd, zanim się rozmyślę!

Jacopo ze strachu wciągnął głowę w ramiona, lecz po sekundzie przypomniał sobie, czym jest wnukiem.

- Jak ty się do mnie odzywasz, Podwójnooki! - pisnął przeraźliwie i nadepnął Orfeuszowi tak mocno na nogę, że ten aż krzyknął z bólu.

Zmarznięci żołnierze, którzy odpoczywali pod drzewami, roześmiali się drwiąco, a Jacopo odszedł dumnie, niczym miniatura swojego dziadka.

Orfeusz czuł szum w uszach.

- Co z ciebie za ochroniarz? - począł wymyślać Ossowi. - Nawet przed sześciolatkiem nie potrafisz mnie obronić?

I pokuśtykał do namiotu.

Oss zapali! olejną lampkę, a na mokrej zimnej ziemi rozciągnął niedźwiedzią skórę, ale Orfeusz zateśknił przeraźliwie za swoim domem, kiedy tylko wśliznął się do namiotu.

- A wszystko z powodu Mortimera i jego głupiej zabawy w zbójcę! - złorzeczył, siadając na zimnym posłaniu. - Wyślę go do piekła i Smolipalucha razem z nim. Z tego, co się słyszy, ci dwaj stali się ostatnio nierozłączni. A jeśli w tym świecie nie ma piekła, to musisz przy okazji je stworzyć, Orfeuszu. Ognie piekielne nawet Smolipaluchowi nie przypadną do gustu!

Musi znów pisać. Zachłannie otworzył księgę wydobytą od tego cwane diablątka. Niedźwiedzie, koboldy, wróżki... Mały miał rację, to były bajki dla dzieci. Nie będzie łatwo wyciągnąć stąd coś, co mogłoby zainteresować Zmijogłowego, który na pewno nie omieszka go niebawem wezwać, bo któż inny może mu umilić bezsenną noc?

O, znowu koboldy. Stary miał do nich wyraźną słabość. A tu znowu sentymentalna opowieść o zakochanej szklanej dziewczynie... o nimfie, która zadurzyła się w księciu. Do licha, to chyba nawet Jacopa nie mogło zainteresować! Czy choć w jednej opowieści występuje zbójca albo czy gdzieś na tych kartach skrzeczy sójka? To by było coś, gdyby mógł wejść do namiotu i głośną lekturą sprowadzić wroga, na którego od tak dawna daremnie

poluje. A tu nic tylko dzięcioły, słowiki, gadający wróbel, ale ani śladu sójki. Przekleństwo! Zaczynał już wątpić, czy zainwestowane srebro mu się zwróci. A tu... nosościsk... no, to się przynajmniej może przydać do zemsty na małym. Ale zaraz, zaraz!

Tam gdzie las był najciemniejszy - czytał, bezgłośnie formując słowa wargami - i gdzie nawet koboldy nie zapuszczały się w poszukiwaniu grzybów...

- Ten obóz to niezbyt przyjemne miejsce pobytu, mistrzu! - Błyszczek wyrósł nagle jak spod ziemi, twarz miał ponurą. - Jak myślisz, jak długo będziemy w drodze?

Ludzik robił się coraz bardziej mętoszary. Może brakowało mu utarczek słownych z bratem, a może brało się to stąd, że nieustannie pożerał stonogi i czerwie.

- Nie przeszkadzaj mi! - zdenerwował się Orfeusz. - Nie widzisz, że czytam? A co to za odnóże przykleiło ci się do ubrania? Chyba zabroniłem ci żreć owady? Chcesz, żebym cię wypędził do lasu, do twoich dzikich pobratymców?

- Nie, nie, w żadnym wypadku! Już ani jedno słowo nie przejdzie mi przez usta - i ani jeden robak! - Błyszczek skłonił się przed nim trzy razy z rzędu (Orfeusz uwielbia! jego wierno-poddańcze maniery). - Jeszcze tylko jedno maleńkie pytanie: czy to może ta księga, którą ci skradziono?

- Niestety nie, to tylko jej młodsza siostra! - odparł poeta, nie podnosząc głowy. - A teraz bądź wreszcie cicho!

...i gdzie nawet koboldy nie zapuszczały się w poszukiwaniu grzybów - czytał dalej - mieszkał najczarniejszy ze wszystkich cieni, najbardziej bezimienny ze wszystkich strachów. Nocne mary uważały go za jednego z nich, niegdyś bowiem nosił ludzkie imię, a one same są duszami ludzkimi, którym białe damy nie potrafiły oczyścić serc ze zła i dlatego odsyłały je z powrotem do lasu... Orfeusz uniósł głowę znad książki.

- No proszę, jaka ponura historia! - mruknął. - Ciekawe, co temu staremu przyszło do głowy? Czy może ten mały diabeł tak go zdenerwował, że postanowił mu zaśpiewać na dobranoc coś w jego stylu? Tak, to by się mogło spodobać nawet dziadkowi Jacopa... - Znów pochylił się nad księgą, gdzie Balbulus wymalował cień zanurzający czarne palce w rządках liter. - Tak, to jest wspaniałe! - szepnął. - Błyszczek, przynieś mi papier i pióra, tylko szybko, bo inaczej rzucę cię koniom na pożarcie.

Szklany pomocnik chyżo spełnił życzenie swego pana i Orfeusz zabrał się do pracy. Tu ukradł pół zdania, tam kilka słów, pokleił ścinkami z następnej strony... Słowa Fenoglia. Styl był tu nieco lżejszy niż w Atramentowym sercu, miało się wrażenie, jakby stary chichotał, pisząc, ale melodia zdań była ta sama. Dlaczego więc słowa z tej opowieści nie miałyby smakować historii tak samo jak te ze skradzionej książki?

- Tak, tak, to jego styl! - szeptał, a papier łączywie chłonał atrament. - Ale trzeba to jeszcze ubarwić.

I znów zaczął przewracać ozdobione ilustracjami karty w poszukiwaniu właściwych słów, gdy wtem szklany ludzik z przeraźliwym krzykiem ukrył się za jego ręką.

W wejściu do namiotu przycupnęła sroka.

Błyszczek ze strachu wpił palce w ramię Orfeusza (odważny był tylko wtedy, gdy miał do czynienia z mniejszymi od siebie przedstawicielami swojego gatunku), a nadzieje poety, że może to jednak zwykły ptak, rozwiały się, gdy tylko sroka otworzyła dziób.

- Wynoś się! - skrzeknęła do Błyszczka, a ten bez namysłu wybiegł na dwór na swoich pałkowatych szklanych nóżkach, choć zbójcy mieli zwyczaj rzucać w niego szyszkami i orzechami.

Mortola. Orfeusz wiedział, że wcześniej czy później znów się pojawi, załował tylko, że to nie stało się później.

„Sroka! - myślał, gdy ptak zbliżał się drobnymi kroczkami. - Gdybym potrafił zamieniać się w zwierzę, na pewno wymyśliłbym coś ciekawszego”.

Była w oplakany stan, pewnie dopadła ją kuna albo lis. Jaka szkoda, że jej nie pożarły.

- Co ty tu robisz? - zawołała ze złością. - Nie przypominam sobie, żebym ci kazała zostać służącym Zmijogłowego!

„W głowie jej się pomieszało!” - orzekł w duchu Orfeusz. Nie mówiąc już o tym, że trudno było się przestraszyć jej ostrego głosu, kiedy wydobywał się z czarnego dzioba.

„Jesteś skończona, Mortolo, twoja historia dobiegła końca! - pomyślał z satysfakcją. - A moja dopiero się zaczyna...”.

- Co tak siedzisz i gapisz się na mnie? Uwierzył w to, co mu powiedziałeś o Wiolancie i Sójce? No mów!

Z wściekłością dziobnęła chrząszcza, który zaplątał się do namiotu, a odgłos miażdżonego owada przyprawił Orfeusza o mdłości.

- Tak, tak! - powiedział zirytowany. - Oczywiście, że uwierzył we wszystko. Z łatwością udało mi się go przekonać.

- To dobrze.

Sroka wskoczyła na stos książek skradzionych z biblioteki zamkowej i spojrzała z wysoka na zapisaną kartkę.

- Co to? Czy Zmijogłowy zamówił u ciebie jednoroźca?

- Och, nie... To nic takiego... To tylko bajka, którą muszę napisać dla jego niewydarzonego wnuka... - Niby od niechcenia zakrył kartkę dłonią.

- A co z Pustą Księgą? - spytała Mortola, wygładzając dziobem potargane pióra. - Dowiedziałeś się, gdzie ją trzyma? Musiał ją zabrać ze sobą!

- Do diabła! Oczywiście, że nie! Myślisz, że Zmijogłowy trzyma ją na wierzchu?

Tym razem Orfeusz nie próbował nawet ukryć pogardy w głosie, za co Mortola dziobnęła go boleśnie w rękę.

- Nie podoba mi się twój ton, Świecząca Gębo! Gdzieś musi ją mieć, więc spróbuj jej poszukać, skoro już tu jesteś. Nie mogę zajmować się wszystkim.

- Coś takiego! A czym się do tej pory zajmowałaś? „Ukręć jej łeb, Orfeuszu! - myślał, ocierając krwawiącą rękę. - Pamiętasz, jak ojciec ukręcał łby kurom?”.

- Jak ty ze mną rozmawiasz?! - Znów próbowała go dziobnąć, ale Orfeusz w porę cofnął rękę. - Wydaje ci się, że siedziałam sobie beczynnienie na gałęzi? Usunęłam z drogi Czarnego Księcia i osiągnęłam tyle, że jego ludzie będą odtąd pomagać mnie, a nie Sójce.

- Naprawdę? Czarny Książę nie żyje? - spytał Orfeusz, siląc się na obojętność. „Fenoglio będzie niepokieszony - pomyślał. - Był bardzo dumny z tej postaci”. - A co z dziećmi, które udało mu się wykraść? Gdzie one są?

- W jaskini na północny wschód od Ombry. Mszanki zwą ją Pieczarą Olbrzymów. Zostało z nimi paru zbójców i kilka kobiet. To marna kryjówka, ale skoro Zmijogłowy zdecydował się wysłać Szczapę na poszukiwania, chociaż wszyscy wiedzą, że najgłupszy królik potrafi go wystrychnąć na dudka, to dzieciaki jeszcze długo będą tam bezpieczne.

Ciekawe wieści! O, teraz Zmijogłowy przekona się, jaki ma z niego pożytek!

- A żona i córka Sójki? Czy one też są w tej jaskini? - spytał Orfeusz.

- Owszem - skrzeknęła Mortola, jakby ziarnko utknęło jej w przełyku. - Chciałam posłać tę małą czarownicę w ślad za Czarnym Księciem, lecz jej matka mnie odpędziła. Za dużo o mnie wie, o wiele za dużo!

Coraz lepiej!

Ale Mortola czytała w jego myślach.

- Co się tak uśmiechasz? Nie waż się opowiadać o tym Żmi-jogłowemu! Należą do mnie, ani myślę oddawać je Srebrnemu Księciu tylko po to, by je po raz drugi wypuścić! Zrozumiano?

- Oczywiście! Będę milczał jak grób! - obiecał Orfeusz z miną niewiniątka. - A co z pozostałymi zbójcami, tymi, którzy chcą ci pomóc?

- Śledzą was. Jeszcze tej nocy zastawią pułapkę na Zmijo-głowego. Wydaje im się, że sami to wymyślili, ale to ja zasiałam ten pomysł w ich głupich łbach. Najłatwiej zawładną książką w ciemnym lesie. Drab ma doświadczenie w takich napadach, a w dodatku nie będzie miał Piszczalki za przeciwnika. Głupi Żmija, pozbawił się swojego najlepszego brytana, pewnie chciał go ukarać za to, że wypuścił z ręki Sójkę. Ale to się obróci przeciwko niemu. Jutro Mortola wykupi syna z krainy umarłych za śmierć Żmijogłowego. Szkoda tylko, że w ten sposób nie zobaczę, jak białe damy zabierają Sójkę. Bo na pewno go zabiorą i tym razem już nie wypuszczą z rąk. Kto wie? Może śmierć uszczęśliwiona, że dostała i Żmijogłowego, i Sójkę, zapomni o Pustej Księdze, a wtedy Mortola wpisze do niej imię syna i nigdy już nie będzie musiała drżeć o jego życie! - Mortola mówiła gorączkowo, coraz prędzej, połykając słowa, jakby nie nadążała wyrzucać ich z siebie. - Zaszyj się w gąszczu, kiedy zbójcy zaatakują! - skrzeknęła. - Nie chcę, żeby Drab przez pomyłkę cię uśmiercił. Możesz mi się jeszcze przydać, jeśli ten głupiec spartoli robotę!

„Orfeuszu, ona ci wciąż ufa! - pomyślał zdumiony i o mało nie wybuchnął głośnym śmiechem. - Jak ona mogła tak zgłupieć? Czy potrafi już myśleć tylko o łykaniu robaków? To źle dla niej, ale znakomicie dla mnie!”.

- Dobrze, oczywiście! - zawołał.

Jego umysł pracował nad jak najlepszym spożytkowaniem tych informacji. Jedno było pewne: jeśli Mortola dostanie w swoje ręce Pustą Księgę, jego marzenia rozwieją się jak dym.

Śmierć zabierze Żmijogłowego, Mortola wpisze do księgi imię syna, a on nawet nie odzyska książki, którą mu zabrai Smolipa-luch, nie mówiąc już o nieśmiertelności. Pozostaną mu tylko opowieści Fenoglia dla krnąbrnego dzieciaka. Nie ma co! Musi dalej trzymać ze Żmijogłowym.

- Co tak stoisz i dumasz jak lunatyk? - skrzek Mortoli stawał się coraz bardziej niezrozumiały.

- Panie! - Oss wsadził głowę do namiotu. - Zmijogłowy wzywa cię do siebie. Podobno jest w bardzo złym humorze.

- Idę już - rzekł Orfeusz i niezdarnie wysunął się z namiotu. Sroka, której o mało co nie nadepnął na ogon, zaskrzeczała

wściekle i uskoczyła w bok.

- Obrzydliwe ptaszysko! - warknął Oss, usiłując wymierzyć jej kopniaka. - Musisz ją przepędzić, panie. Moja matka zawsze mówiła, że sroki to drugie wcielenie złodziei.

- Ja też jej nie lubię! - szepnął Orfeusz, gdy znaleźli się na zewnątrz. - Wiesz co? Po prostu ukreć jej łeb, jak ja będę u księcia.

Oss ściągnął usta w okrutnym uśmiechu. Uwielbiał takie polecenia. Może w istocie nie był wcale tak złym ochroniarzem.

Orfeusz przyglądał włosy (w Ombrze mówili, że ma włosy starca, gdyż w mieście nie było drugiego takiego blondyna) i poszedł do namiotu Żmijogłowego. Nie sprowadzi mu Sójki, a książka Jacopa, w której może się kryć jeszcze niejeden skarb, musi poczekać, aż wróci od Srebrnego Księcia. Ale dzięki Mortoli może mu służyć w inny sposób.

Czarny namiot Żmijogłowego tkwił pod drzewami, jakby noc przez nieuwagę pozostawiła tu cząstkę mroku.

„To dobry znak, noc była dla ciebie zawsze łaskawsza niż dzień, Orfeuszu - myślał, gdy Paluch z kamienną twarzą rozsunął wejście do namiotu. - Cisza i ciemność sprzyjają wyobrażaniu sobie świata w kształcie odpowiadającym naszym pragnieniom”.

Może powinien sprawić, by w tym świecie zapanowała ciemna noc, kiedy on już odzyska Atramentowe serce...?

- Wasza Wysokość... - Ukłonił się, gdy w ciemności zamajaczyła twarz księcia niby zniekształcony księżyc. - Przynoszę wieści, które dotarły do mnie na skrzydłach wiatru. Myślę, że cię, panie, ucieszą...

Rozdział 50

Leniwy starzec

Któregoś dnia Pan Bóg doszedł do wniosku, że czas na wiosenne porządki w warsztacie. [...] Cóż za niewiarygodne strzępy i ścinki po-wymiatal spod stoju! Zaczęte stworzenia, kawałki, które mogły się jeszcze przydać, ale miały jakieś defekty, pomysły, które gdzieś się zawieruszyły i o których zapomniał. [...] Znalazła się nawet grudka ze słońca.

Pan Bóg podrapał się w głowę. Co można zrobić z taką kupą śmieci?

Ted Hughes, Zlepkowiec

Znowu ją tu niesie! Elinor Loredan... Jej nazwisko brzmiało prawie tak, jakby to on ją wymyślił. Fenoglio, złorzeczając, naciągnął koc na głowę. Nie dość, że jest przemądrzała, nosi niebieskie pończochy i jest uparta jak osioł, to jeszcze musi wczesnie wstawać!

- Hm, widzę, że natchnienie jakoś nie dopisało? - zauważyła, spostrzegłszy pustą kartkę leżącą obok posłania pisarza. - Była nieprzyzwoicie rześka i jak zwykle zgryźliwa. - Czy nie mówi się, że muzy rankiem całują najśłodziej? Zdaje się, że coś takiego czytałam.

Do licha, znalazła się ekspertka od całowania! A on chyba zasłużył sobie na odrobinę snu (jeśli już nie ma kropli wina w tej przeklętej jaskini)? Dopiero co uratował życie

Czarnemu Księciu, który był jeszcze słaby i mało jadł, jak z troską powtarzała Mi-nerwa, ale żył. Brał już nawet udział w polowaniach, chociaż Roksana mu tego zabraniała, ale w końcu dzieci musiały jeść, a niełatwo było o pożywienie o tej porze roku. Maluchy były wiecznie głodne, zapominały o pustych żołądkach tylko wtedy, gdy Dariusz opowiadał im jakąś historię albo Farid pokazywał ogniowe sztuczki lub też Meggie śpiewała im pieśni o Sójce - robiła to już lepiej od Baptysty.

„Tak, może powinienem najpierw tym się zająć - myślał, demonstracyjnie odwracając się plecami do signory Loredan. - Muszę stworzyć więcej dziczyzny łatwej do upolowania, tłustej i smakowitej...”.

- Fenoglio!

Nie, to nie do wiary! Naprawdę ściągnęła z niego koc! Kryształek wystawił głowę z kieszeni jego koszuli, gdzie ostatnio sypiał, i jął przecierać zaspane oczy.

- Dzień dobry, Kryształku. Przygotuj papier i zatemperuj pióra! - rozkazała.

Co za ton! Co za jęcza! Fenoglio, stękając, usiadł na posłaniu. Był już naprawdę za stary, by sypiać na gołej ziemi w wilgotnej jaskini!

- To jest mój ludzik i on robi tylko to, co ja mu każę - powiedział z naciskiem.

Tymczasem jednak Kryształek rzucił się pędem wykonać polecenie Elinor z takim słodkim uśmiechem, jakby mu kto posmarował usta syropem.

Co to znaczy, do diabła? To dopiero szklany zdrajca! A jak się to spieszy, żeby jej tylko dogodzić! Ciekawe, że jego poleceń nie wykonuje równie szybko.

- Cudownie! - zaświergotała signora Loredan. - Dziękuję ci bardzo, Kryształku.

„Elinor. Pewnie dałbym jej inne imię - rozmyśla! Fenoglio, gdy trzęsąc się z zimna, wsuwa! nogi w buty. - Bardziej wojownicze... Pentesilea albo Antiopa czy jak tam się nazywały te wszystkie amazonki...”.

Boże, jak zimno w tej jaskini! „Nie mógłbyś zmienić pogody?”.

No właśnie, mógłby?

Gdy rozcierał zgrabiałe ręce, nieproszony gość podał mu kubek gorącej cieczy.

- Proszę. Niezbyt smaczne, ale ciepłe. Kawa z kory. Ach, Kryształek jest cudowny! - dodała dramatycznym szeptem. - Jaspis jest miły, ale strasznie nieśmiały. I te jego różowe włosy!

Kryształek z dumą pogładził włosy. Szklane ludziki miały doskonały słuch (i dlatego świetnie nadawały się na szpiegów mimo swej kruchości). Fenoglio miał ochotę wsadzić tego skrzata do pustego bukłaka po winie.

Upił łyk napoju - smakował rzeczywiście obrzydliwie - wstał i zanurzył twarz w misce wody, którą mu wieczorem postawiła Minerva. Czy mu się tylko zdawało, czy na powierzchni była mikroskopijna warstewka lodu?

- Nie znasz się zupełnie na pisaniu, Loredan... - Tak ją będzie odtąd nazywał, „Elinor” za bardzo kojarzy się z kwiatami. - Po pierwsze, ranek to najgorszy czas, bo mózg człowieka wygląda jak gąbka nasiąknięta wodą. A po drugie, prawdziwe pisanie polega na tym, że trzeba siedzieć i czekać, aż człowiekowi przyjdą do głowy właściwe pomysły.

- No, co jak co, ale to wychodzi ci doskonale! - (Języczek miała naprawdę ostry!). - Za chwilę zaczniesz mnie przekonywać, że najlepiej pobudza myślenie wino i miód pitny!

Czy mu się tylko zdawało, czy też Kryształek skwapliwie pokiwał głową? Wypędzi go do lasu, niech się żywi ślimakami i chrząszczami, jak jego dzicy pobratymcy!

- No co, Loredan, pewnie wiesz już od dawna, jaki ma być koniec tej historii, co? Niech zgadnę: jakiś zagubiony wróbel podpowiedział ci koniec, gdy wczoraj siedziałaś przez kilka godzin przed jaskinią, wlepiając oczy w mój las i moje wróżki!

Do diabła, znowu dziura w spodniach, a Baptyście kończą się nici!

- Atramentowy Tkaczu? - Despina wyjrzała zza murka, który chwilami pozwalał mu zapomnieć, gdzie się znajduje. - Chcesz śniadanie?

Fenoglio westchnął. Pocziwa Minerva, wciąż troszczy się o niego, jak dawniej w Ombrze. Stare, dobre czasy...

- Nie, dziękuję, Despino - odparł, zerkając z ukosa na drugiego gościa. - Powiedz mamie, że ktoś zdążył mi już popsuć apetyt.

Despina i Elinor wymieniły spojrzenia, w których była wyraźna drwina z jego osoby. Na Boga, czy dzieci Minerwy były już także po stronie tej Loredan?

- Resa jest od dwóch dni w drodze, nie mówiąc o Drabie. Po co zostawiła ci książkę, skoro przez całe dwa dni spałeś albo upijałeś się z Baptystą kiepskim winem?

Boże, jaki piękny był świat, gdy ten głos nie prześladował go na każdym kroku!

- Jesteś to winien Mortimerowi, żeby go wesprzeć paroma słowami. Kto ma mu pomóc, jeśli nie ty? Czarny Książę jest za słaby, a biedna córka Mortimera tylko czeka na to, byś jej dał coś do czytania. „Jest za zimno, wino jest kiepskie, dzieci hałasują, jak mam pisać?” - przedrzeźniała go Elinor. - Jeśli chodzi o uskarżanie się, to słów ci nie brakuje.

O, Kryształek znów kiwał aprobuszując głową!

„Doleję mu zupy do piasku - myślał pisarz - tyle zupy, że będzie się wił z bólu jak Czarny Książę. Ale niech mnie diabli, jeśli napiszę choć jedno słowo dla ratowania jego życia!”.

- Fenoglio, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Okropny babsztyl! Patrzyła na niego takim wzrokiem jak nauczycielka na ucznia, który nie odrobił zadania domowego.

Książka. Resa mu ją zostawiła, to prawda. Ale na co to się zda? To mu tylko przypominało, z jaką łatwością snu! opowieści, kiedy jeszcze każdemu słowu zapisanemu na papierze nie towarzyszyło absolutne przekonanie, że zamieni się ono w rzeczywistość!

- To nie może być takie trudne! Mortimer odwalił już za ciebie połowę roboty! No więc tak: zamierza udawać przed Zmijo-głowym, że potrafi wyleczyć tę książkę, Wiolanta odwróci uwagę ojca, a Mortimer wpisze trzy słowa i po krzyku. Może jeszcze jakiś pojedynek z Piszczalką - to zawsze robi dobre wrażenie - no i Ognisty Tancerz też powinien mieć swój występ (choć dalej go nie lubię). Mógłbyś także napisać jakąś rolę dla Resy. Na przykład, że powstrzymała Draba... nie wiem jak, ale na pewno coś wymyślisz...

- Cisza! - zagrzmiał Fenoglio, aż Kryształek ze strachu ukrył się za kałamarzem. - Co to za dziecinne brednie! Ale to typowe: czytelnicy i ich pomysły! Owszem, plan Mortimera wydaje się dobry - prosty, ale dobry. Z pomocą Wiolanty przechytrza Żmijogłowego, Zmijogłowy umiera, Sójka jest uratowany, Wiolanta zostaje władczynią Ombry... Fantastycznie! Ale to nie działa! Przez całą noc próbowałem pisać pod ten schemat. Nic z tego, martwe słowa! Ta historia nie lubi prostych rozwiązań. Wymyśliła sobie własny plan, czuję to! Tylko jaki? Włączyłem Piszczalkę do gry, znalazłem odpowiednie miejsce dla Smolipa-lucha... Wszystko na nic! Czegoś brakuje! Kogoś brakuje! Kogoś, kto doszczętnie zrujnuje piękny plan Mortimera. Ale kto to będzie? Drab? Nie, jest na to za głupi. A więc kto? Kopec?

Elinor patrzyła na niego przerażona. No, nareszcie coś do niej dotarło! Ale już w następnej chwili na jej twarzy powrócił wyraz dziecinnego uporu. Dobrze jeszcze, że nie tupie nogą. Ona jest po prostu dzieckiem przebranym za tęgą leciwą babę!

- Ależ to wszystko brednie! To ty jesteś autorem książki, ty, nikt inny!

- Naprawdę? To dlaczego Cosimo nie żyje? A czy napisałem, że Mortimer tak przygotowuje Pustą Księgę, iż Zmijogłowy kiedy jeszcze każdemu słowu zapisanemu na papierze me towarzyszyło absolutne przekonanie, że zamieni się ono w rzeczywistość!

- To nie może być takie trudne! Mortimer odwalił już za ciebie połowę roboty! No więc tak: zamierza udawać przed Zmijo-głowym, że potrafi wyleczyć tę książkę, Wiolanta odwróci uwagę ojca, a Mortimer wpisze trzy słowa i po krzyku. Może jeszcze jakiś pojedynek z Piszczalką - to zawsze robi dobre wrażenie - no i Ognisty Tancerz też powinien mieć swój

występ (choć dalej go nie lubię). Mógłbyś także napisać jakąś rolę dla Resy. Na przykład, że powstrzymała Draba... nie wiem jak, ale na pewno coś wymyślisz...

- Cisza! - zagrział Fenoglio, aż Kryształek ze strachu ukrył się za kałamarzem. - Co to za dziecinne brednie! Ale to typowe: czytelnicy i ich pomysły! Owszem, plan Mortimera wydaje się dobry - prosty, ale dobry. Z pomocą Wiolanty przechytrza Żmijogłowego, Żmijogłowy umiera, Sójka jest uratowany, Wiolanta zostaje władczynią Ombry... Fantastycznie! Ale to nie działa! Przez całą noc próbowałem pisać pod ten schemat. Nic z tego, martwe słowa! Ta historia nie lubi prostych rozwiązań. Wymyśliła sobie własny plan, czuję to! Tylko jaki? Włączyłem Piszczalkę do gry, znalazłem odpowiednie miejsce dla Smolipa-lucha... Wszystko na nic! Czegoś brakuje! Kogoś brakuje! Kogoś, kto doszczętnie zrujnuje piękny plan Mortimera. Ale kto to będzie? Drab? Nie, jest na to za głupi. A więc kto? Kopeć?

Elinor patrzyła na niego przerażona. No, nareszcie coś do niej dotarło! Ale już w następnej chwili na jej twarz powrócił wyraz dziecinnego uporu. Dobrze jeszcze, że nie tupie nogą. Ona jest po prostu dzieckiem przebranym za tęgą leciwą babę!

- Ależ to wszystko brednie! To ty jesteś autorem książki, ty, nikt inny!

- Naprawdę? To dlaczego Cosimo nie żyje? A czy napisałem, że Mortimer tak przygotowuje Pustą Księgę, iż Żmijogłowy pocznie się żywcem rozkładać? Nie. A może to był mój pomysł, żeby Drab zaczął być o niego zazdrosny albo żeby Brzydka Wiolanta postanowiła zabić ojca? W żadnym wypadku. Ja tylko zasadziłem tę historię, a ona rośnie tak, jak jej się żywnie podoba, ale wszyscy uważają, że powinienem przewidzieć, jakie wyda owoce!

Boże, z jakim niedowierzaniem na niego patrzyła! Tak jakby jej opowiadał o Świętym Mikołaju. W końcu wysunęła podbródek (a był to podbródek naprawdę okazałych rozmiarów), co nie wróżyło nic dobrego.

- Wymówki! Po prostu wymówki! Nic ci nie przychodzi do głowy, a tymczasem Resa jest w drodze na zamek. A jeśli Żmi-jogłowy przybędzie przed nią? A jeśli nie ufa córce i Mortimer zginie, zanim...

- A jeśli Mortola wróciła, jak twierdzi Resa? - przerwał jej Fenoglio bez ceregieli. - A jeśli Drab zabije Mortimera, ponieważ jest zazdrosny o Sójkę? A jeśli Wiolanta mimo wszystko wyda go ojcu, nie mogąc znieść, że znów została odtrącona przez mężczyznę? A co z Piszczalką, co z rozpuszczonym synkiem Wiolanty i tak dalej, i tak dalej...? - wyliczał pisarz grzmiącym głosem, aż Kryształek schował się pod koc.

- Nie krzycz! - Signora Loredan nagle spokorniała. - Biednemu Kryształkowi zaraz pęknie głowa.

- Nie, nie pęknie mu, bo jego głowa jest pusta jak porzucona muszla ślimaka. A moja głowa musi się zajmować trudnymi problemami, sprawami życia i śmierci, tymczasem kogo się żałuje? Szklanego ludzika. A mnie wywleka się z łóżka skoro świt, chociaż przez pół nocy nie spałem, starając się przeniknąć zamiary tej historii.

Kobieta zamilkła. Naprawdę zamilkła. Milczała, przygryzając mięsistą dolną wargę, i zatopiona w myślach obierała z kleszczy i liści suknię, którą dostała od Minerwy. Nic dziwnego, skoro bez przerwy włóczyła się po lesie. O tak, Elinor Lorcedan kochała ten świat, choć nigdy by się do tego nie przyznała. I rozumiała go prawie tak dobrze jak on.

- A gdyby... gdybyś zrobił tak, żebyśmy chociaż zyskali na czasie? - odezwała się głosem mniej pewnym niż zwykle. - Czas do namysłu, do pisania! Czas, by Resa miała szansę ostrzec Mortimera przed tą Sroką i Drabem. Może Zmijogłowemu mogłoby się złamać koło u karocy? Podobno podróżuje karetą...

Do diabła. To było niegłupie. Dlaczego sam na to nie wpadł?

- Mogę spróbować! - warknął.

- Cudownie. - Uśmiechnęła się z ulgą, odzyskując pewność siebie. - Pójdę powiedzieć Minerwie, żeby ci zaparzyła smacznej herbaty - rzuciła przez ramię. - Herbata jest o wiele lepsza na myślenie niż wino. I bądź miły dla Kryształka.

Szklany ludzik z szerokim uśmiechem odprowadził ją wzrokiem, a wówczas Fenoglio trącił go lekko nogą, tak że upadł na plecy.

- Pomieszaj atrament, ty mały bezużyteczny zdrajco! - zawołał pisarz.

Kryształek podniósł się z ziemi z obrażoną miną.

Minerwa przyniosła mu obiecaną herbatę z odrobiną cytryny, z dworu dobiegał śmiech dzieci, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

„Doprowadź ten świat do porządku, Fenoglio! - myślał. - Loredan ma rację, nadal jesteś autorem tej historii. Zmijogło-wy znajduje się w drodze do Zamku na Jeziorze, gdzie czeka na niego Mortimer. Sójka szykuje się do zaintonowania swej najpiękniejszej pieśni. Napisz ją dla niego! Napisz Mortimerowi do końca rolę, którą odgrywa z takim przekonaniem, jakby od urodzenia nosił imię, jakie mu nadałeś. Słowa znów są ci posłuszne. Masz książkę. Orfeusz poszedł w zapomnienie. To wciąż jest twoja historia. Nadaj jej szczęśliwe zakończenie!”

Był pewien, że mu się uda. A signora Loredan oniemieje z zachwytu i wreszcie zacznie go darzyć należnym respektem. Ale najpierw trzeba opóźnić pochód Żmijogiewego (i zapomnieć, że to był jej pomysł).

Na dworze hałasowały dzieci, Kryształek szeptał coś do Ja-spisa, który spoglądał na niego wielkimi oczami spośród sterty świeżo zatemperowanych piór. Minerwa przyniosła zupe, a Elinor przez cały czas zerkała zza murka, pewnie jej się wydawało, że jej nie widzi. A Fenoglio rzeczywiście zapomniał o całym świecie. Słowa uniosły go ze sobą, pozwalały mu pędzić na swych atramentowoczarnych grzbietach, czyniąc go ślepym i głuchym na wszystko, co go otaczało. Słyszał już tylko skrzyp kół na zamarzniętej ziemi i skrzyp czarno lakierowanego drewna. Teraz już obaj pomocnicy na wyścigi podawali mu umoczone w atramencie pióra, gdyż zalewał go prawdziwy potok słów, wspaniałych słów, autentycznych słów Fenoglia! Zdążył już zapomnieć, w jakie odurzenie mogą wprawiać słowa, o wiele bardziej niż wino...

- Atramentowy Tkaczu!

Fenoglio z irytacją uniósł głowę. Był już daleko w górach, w drodze do Zamku na Jeziorze, czuł obrzękłe ciało Zmijogło-wego, jakby to było jego własne...

Przed nim stał Baptysta z zatroskaną twarzą. Góry pierzchły, znajdował się znów w jaskini, w otoczeniu zbójców i wygłodzonych dzieci. Przestraszył się. Co się stało? Chyba Czarny Książę nie poczuł się gorzej?

- Doria wrócił właśnie ze zwiadu - rzekł Baptysta. - Chłopak pada ze zmęczenia, bo pędził całą noc bez wytchnienia. Mówi, że Szczapa jest w drodze tutaj, że wie o jaskini. Nikt nie ma pojęcia, skąd się o tym dowiedział. - Nerwowo pocierał ospowate wargi. - Mają psy. Doria mówi, że do wieczora tu będą. To znaczy, że musimy się wynieść.

- Wynieść się? Ale dokąd?

Dokąd z tymi wszystkimi dziećmi, z których większość jest już chora z tęsknoty za domem? Po minie Baptysty poznał, że zbójcy też nie mają pomysłu.

No proszę! I co powie na to przemądrzała pani Loredan? Jak tu pisać w takich warunkach?

- Powiedz księciu, że zaraz przyjdę.

Baptysta skinął głową. Zza murka wysunęła się wystraszona Despina. Dzieci zawsze wyczuwają, gdy coś jest nie tak. Są przyzwyczajone do zgadywania tego, o czym dorośli im nie mówią.

- Chodź do mnie! - zachęcił ją Fenoglio.

Tymczasem Kryształek osuszał atrament, wachlując świeżo zapisaną kartkę jesionowym liściem.

Fenoglio posadził sobie dziewczynkę na kolanach i jął głaskać ją po włosach. Dzieci... Aż do tej pory wybaczał wszystko swoim złoczyńcom, ale odkąd Piszczalka urządził polowanie na dzieci, życzył mu już tylko krwawego końca. Szkoda, że nie zdążył tego napisać! Ale teraz musiało to poczekać, podobnie jak zwycięska pieśń Sójki. Dokąd zabrać dzieci? Rusz mózgownicą, Fenoglio!

Z rozpaczą w sercu tarł pomarszczone czoło. Mój Boże, nic dziwnego, że od myślenia robią się zmarszczki!

- Kryształek! - warknął na pomocnika. - Sprowadź natychmiast Meggie, niech przeczyta to, co napisałem. Nie zdążyłem skończyć, ale trudno, musi wystarczyć to, co jest!

Szklany ludzik rzucił się pędem, wywracając wino, które przyniósł Baptysta, koc Fenoglia zabarwił się na czerwono, jakby nasiąkł krwią. Książka! Wciąż podobał mu się jej tytuł. Atramentowe serce. Co by się stało, gdyby kartki zamokły? Czy cały jego świat począłby więdnąć i gnąć? Na szczęście papier był suchy, tylko róg okładki lekko zwilgotniał, Fenoglio wytarł go rękawem.

- Co to jest? - spytała Despina, oglądając dziwny przedmiot. No tak, skąd mogła wiedzieć, jak wygląda książka? Nie wychowywała się na zamku ani w rodzinie bogatego kupca.

- To jest taka rzecz, która przechowuje historie - wyjaśnił Fenoglio.

Na dworze Postrach Elfów zwoływał dzieci, słychać było wzburzone głosy kobiet, płacz. Despina nasłuchiwała ze strachem, ale zwyciężyła ciekawość.

- Historie? - spytała, potrząsając otwartą książką, jakby oczekiwała, że wysypią się z niej słowa. - Jakie historie? Te, które nam opowiadałeś?

- Nie, tych wam jeszcze nie opowiadałem.

Łagodnie wyjął jej z rącek książkę i zajrzał na strony, na których mała ją otworzyła. Patrzyły stamtąd jego własne słowa, napisane tak dawno temu, że wydawały się słowami kogoś innego.

- Co to za historie? Opowiesz mi je?

Fenoglio wpatrywał się w swoje stare słowa napisane przez innego Fenoglia, Fenoglia, jakim był dawniej, młodszego, beztroskiego - i nie tak próżnego, dodałaby signora Loredan.

Na północ od Ombry rozciągała się kraina pełna cudów. Chyba nikt z mieszkańców nigdy tam nie był, ale opowiadały o nich pieśni wędrownych grajków. A kiedy chłopci, pracując w polu, prostowali zgarbione grzbiety, pragnąc choć na chwilę zapomnieć

O codziennym znoju, wyobrażali sobie, że stoją nad brzegiem jeziora, o którym powiadano, że olbrzymy przeglądają się w nim jak w zwierciadle, że nimfy mieszkające w jeziorze wynurzają się z fal i zabierają ich ze sobą do pałaców z pereł i masy perłowej. Kiedy pot zalewał im czoła, cichymi głosami nucili pieśni opowiadające o ośnieżonych szczytach, o gniazdach, które ludzie wybudowali w gałęziach potężnego drzewa, kiedy olbrzymy zaczęły porywać ich dzieci.

Gniazda... olbrzymie drzewo... porywać ich dzieci... Na Boga, to jest to!

Postawił Despinę na ziemi, posadził Jaspisa na jej ramieniu

I spiesznie odszedł, rzuciwszy tylko:

- Jaspis odprowadzi cię do mamy. Ja muszę pędzić do księcia! „Signora Loredan ma rację, Fenoglio - myślał, przeciskając się przez tłum dzieci, szlochających matek i bezradnych zbójców. - Jesteś starym durniem, którego mózg zaćmiony alkoholem nie pamięta własnych historii! Orfeusz pewnie lepiej od ciebie zna twój świat!”.

Ale jego próżne ja urzędujące gdzieś tam między czołem a żebrami natychmiast wniosło sprzeciw. „A jak mógłbyś to wszystko pamiętać? - szeptało słodko. - Tych historii jest po prostu zbyt wiele. Twoja wyobraźnia jest niewyczerpana!”.

Owszem, był próżnym staruchem, musiał to przyznać. Ale w końcu miał po temu powody.

Rozdział 51

Bezużyteczni pomocnicy

Odchodząc - nie wie się, że się odchodzi - Nie na serio Drzwi za sobą przymykamy - Los - tymczasem - zatrzaskuje rygle - Bezpowrotnie - za naszymi plecami -

Emily Dickinson, Odchodząc...

Mortola przysiadła na gałęzi trującego cisu, którego igliwie było prawie tak czarne jak jej pióra. Bolało ją lewe skrzydło.

O mało nie złamał go jej służący Orfeusza, uratował ją tylko ostry dziób. Rozorała mu nochal do krwi i jakimś cudem udało jej się umknąć z namiotu. Ale teraz, z potłuczonym skrzydłem, ledwie mogła przefrunąć kilka metrów i co rusz musiała odpoczywać. Ale najgorsze było to, że nie mogła odzyskać ludzkiej postaci, choć dawno już nie połknęła ani jednego ziarenka. Kiedy to ostatni raz była człowiekiem? Dwa, trzy dni temu? Sroka nie liczyła dni, myślała tylko o chrząszczach i robakach (och, te białe, tłusciutkie pędraki!), o zimie i porywistym wietrze oraz o pchłach w upierzeniu.

Po raz ostatni widział ją w ludzkiej postaci Drab. Oczywiście zrobi wszystko, co mu podszepnęła, napadnie na Zmijogłowego

I zabierze Pustą Księgę. Ale w podzięcie za dobre rady nazwał ją czarownicą. Chcieli ją schwytać i zabić, ale dziobnęła Draba w rękę, odskoczyła i sycząc wściekle, napędziła im stracha. Udało jej się umknąć w gąszcze, połknąć ziarna i w postaci sroki polecieć do Orfeusza. Z jakim skutkiem? Jego służący o mało nie złamał jej skrzydła.

„Powydziobuj im oczy! Poszarp pazurami ich głupie twarze!”.

Wydała żalony skrzek, a zbójcy spojrzeli na nią z takimi minami, jakby wieściła im śmierć. Nie rozumieli, że ta sroka jest tą samą starą kobietą, którą chcieli zabić kilka dni temu. W ogóle nic nie rozumieli. Ciekawe, co zrobią z księgą bez jej pomocy, jeśli w ogóle dostaną ją w swoje brudne łapska. Byli tak głupi jak te białe robaki, które wygrzebywała z ziemi. Pewnie myślały, że wystarczy potrząsnąć książką, a spomiędzy przegniłych kartek wysypią się góry złota, które im obiecała. Nie, oni w ogóle nie myśleli, po prostu czekali, aż się ściemni i będą mogli pójść tropem czarnej karety. Jeszcze tylko kilka godzin dzieliło ich od rozprawy z ludźmi Zmijogłowego, a tymczasem czym oni się zajmowali? Pili samogon skradziony jakiemuś smolarzowi, marzyli o przyszłych bogactwach i opowiadali sobie, jak to zabiją najpierw Zmijogłowego, a potem Sójkę.

„A co z trzema słowami, durnie? - miała ochotę zaskrzeczeć.

- Czy któryś z was potrafi je wpisać do księgi?”.

Ale Drab przynajmniej o tym pomyślał.

- Jak tylko książka znajdzie się w naszych rękach – bełkotał - złapiemy Sójkę i zmusimy go, żeby wpisał trzy słowa, a po śmierci Żmii, gdy będziemy opływać w bogactwa, zabijemy także jego, bo mam serdecznie dosyć tych głupich pieśni o nim!

- Tak, wtedy waganci będą śpiewać pieśni o nas! - wtórował mu Gekon, wsuwając wronie do dzioba kawałek chleba nasączony samogonem. Tylko ten oswojony ptak zwracał uwagę na srokę siedzącą na gałęzi. - Będziemy sławniejsi od nich wszystkich! Od Sójki, od Czarnego Księcia, sławniejsi od Podpalacza i jego kompanów! Sławniejsi niż... jak się nazywał jego pan?

- Capricorn.

To imię przebiło Mortoli serce jak nóż; skuliła się na gałęzi, tęsknota za synem targała jej duszą. Gdyby choć raz jeszcze przynieść mu jedzenie, ostrzyc jasne włosy...

Przeraźliwy skrzek pełen bólu i nienawiści rozdarł ciemną dolinę, gdzie zbójcy mieli napaść na pana Mrocznego Zamku.

Syn. Syn. Jej cudownie okrutny syn! Mortola skubała pióra na piersi, jakby to mogło ukoić ból w sercu. Martwy. Zgubiony. A jego morderca odgrywał rolę szlachetnego zbójcy, opiewany przez hołotę, która dawniej drżała przed jej synem! Całą koszulę miał czerwoną od krwi, życie ledwie się w nim tliło, ale ta mała czarownica go uratowała. Czy teraz też siedzi gdzieś w kącie i szeptem słowa?

„Obu im poharatam twarze, tak że ich nie pozna ta zdradliwa służąca...! Resa... Ona cię widziała, Mortolo, ale nic nie może zrobić. On jest sam, a ona odgrywa odwieczną rolę kobiet w tym świecie - oczekiwana... O, gąsieniczka!”

Łapczywie porwała włochate ciało.

„Gąsieniczka, gąsieniczka!” - skrzeczała w jej wnętrzu prawdziwa sroka. Przeklęty ptak! O czym to myślała? O zabijaniu, aha, o zemście... Ptak też znał to uczucie. Poczula, że stroszy pióra, że jego dziób wściekle tłucze gałąź, jakby to było ciało Sójki...

Chłodny podmuch wiatru targnął wiecznie zielonymi gałązkami, krople deszczu osiadły na ptasich piórach Mortoli. Najwyższy czas sfrunąć na ziemię, ukryć się w krzakach przed oczami zbójców i spróbować odzyskać ludzką postać.

Ale ptak myślał: „Nieprawda, najwyższy czas wsunąć dziób pod skrzydło i usnąć w takt łagodnego kołysania gałęzi”.

„Bzdura!” - buntowała się Mortola, otrząsając pióra, wyciągając głupi ptasi łeppek i przywołując swoje imię: „Mortola. Mortola, matka Capricorna...”.

Ale co to? Wrona siedząca na ramieniu Gekona wyciągnęła szyję i zatrzepotała skrzydłami. Drab wstał chwiejnie, wy dobył miecz i zawołał na towarzyszy... Ale oto spośród drzew wysypali się żołnierze Zmijogłowego. Przywódca, chudy i wysoki, z jastrzębią twarzą i oczami bez wyrazu jak źrenice umarłego, lekko przebił mieczem pierwszego zbójcę, który mu się nawinął pod rękę. Drab położył trupem trzech żołnierzy (choć jego prawica pamiętała ostry dziób Mortoli), lecz jego ludzie padali jak muchy. O, waganci będą śpiewać o nich pieśni, lecz będą to pieśni urągliwe, opowiadające o durniach, którym wydawało się, że mogą napaść Zmijogłowego jak pierwszego lepszego kupca!

Mortola zaskrzeczała żałośnie, a w dole miecze bez ustanku przebijały ciała. Ci pomocnicy do niczego się nie nadawali. Pozostał jej tylko Orfeusz z jego atramentowymi czarami i jedwabistym głosem.

Jastrzębia Twarz otarł miecz płaszczem jednego z zabitych i rozejrzał się. Mortola skuliła się odruchowo, lecz sroka łakomie patrzyła w dół na błyszczącą broń, pierścienie i kłamry od pasów. Ach, jak wspaniale by lśniły te świecidelka w gnieździe, nocą przypominałyby gwiazdy na niebie.

Zbójcy leżeli pokotem, Drab upadł na kolana. Jastrzębia Twarz dał znak i jego ludzie przyciągnęli zbójcę za włosy.

„Teraz umrzesz, głupcze! - pomyślała Mortola. - A stara kobieta, którą chciałeś zabić, będzie się temu przyglądała!”.

Jastrzębia Twarz zapytał o coś Draba, uderzył go w twarz, znowu zadał mu pytanie. Mortola przekrzywiła łebek, aby lepiej słyszeć, potem zeskoczyła kilka gałązek niżej.

- Był umierający, gdyśmy wyruszali. - W drżącym ze strachu głosie Draba pobrzmiwała jeszcze dawna buta.

Czarny Książę. Rozmawiali o Czarnym Księciu.

„To ja! - chciała krzyknąć Sroka. - To ja, Mortola, go otrułam! Spytajcie Zmijogłowego, na pewno mnie pamięta”.

Sfrunęła jeszcze niżej. Zdaje się, że Jastrzębia Twarz pytał o dzieci, o jaskinię... Skąd o tym wiedział? Ach, ta głupia głowa zupełnie już nie nadawała się do myślenia!

Jeden z żołnierzy wyciągnął miecz, lecz dowódca nakazał mu go schować. Odstąpił w tył i kazał ludziom zrobić to samo. Drab klęczący pośród martwych towarzyszy podniósł głowę z niedowierzaniem. Tymczasem sroka, która jeszcze przed chwilą chciała zeskoczyć na ziemię, by zbierać świecidełka z martwych ciał, zamarła na gałęzi, trzęsła się ze strachu, a w jej głupiej ptasiej głowie kołatała bezsłowna myśl: „Śmierć, śmierć, śmierć!”. I oto pojawił się między drzewami - spleśniała czerń, zięjący oddech, jak u wielkiego psa, bezkształtny, a jednak przypominający człowieka: nocny mar... Drab błagał o litość, zamiast złorzeczyć.

Jastrzębia Twarz utkwiał w nim nieruchome spojrzenie swych martwych oczu, a jego ludzie w przestraszeniu cofali się między drzewa. A widmo przewaliło się przez Draba, jakby noc otworzyła paszczę z tysiącem zębów, i zgotowało mu najstraszniejszą w świecie śmierć.

„Nic nie szkodzi, do diabła z tym głupcem! - myślała Mortola, a jej opierzone ciało trzęsło się ze strachu jak listki osiki. - W niczym mi nie pomógł. Teraz Orfeusz musi mi pomóc...”.

Orfeusz. Cóż to? Imię stało się ciałem, ledwie je pomyślała...

Nie, to niemożliwe. To nie mógł być Orfeusz! A jednak stał pod drzewem z tym swoim głupim uśmiechem, a nocny mar warował przed nim jak pies...

Kto opowiedział Zmijogłowemu o zbójcach? Kto to był, zgadnij, Mortolo...?

Orfeusz szklanymi oczami rozejrzał się po drzewach. Potem podniósł dłoń, bładą i tłustą, wskazał na srokę. Ptak skulił się na gałęzi.

„Leć, Mortolo, leć!”.

Strzała trafiła ją w locie, a ból wypędził z niej ptaka. Nie miała już skrzydeł, gdy zaczęła spadać i spadać w dół w chłodnym zimowym powietrzu. Ludzkie kości uderzyły o ziemię i pogruchotały się. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, był uśmiech Orfeusza.

Rozdział 52

Trupy w Lesie

Przez całe popołudnie trwał wieczór. Padał śnieg

I zanosiło się na więcej śniegu.

Kos siedział

W konarach cedru.

Wallace Stevens, Trzyście sposobów spoglądania na kosa

Dalej, dalej, wciąż przed siebie. Resa znowu miała nudności, ale się nie skarżyła. Kiedy Siłacz odwracał ku niej głowę, uśmiechała się, żeby ze względu na nią nie zwolnił kroku. Drab miał nad nimi przewagę co najmniej pół dnia marszu, o Sroce wołała nie myśleć.

„Naprzód, Resa, naprzód! Nie zważaj na nudności, żuj liście, które ci dała Roksana, i maszeruj!”.

Puszcza, którą przemierzali od kilku dni, była ciemniejsza od Nieprzebytego Lasu. Resa nie знаła jeszcze tej części Atramentowego Świata. Było to jak nowy rozdział w książce.

- Ten las waganci nazywają Lasem, gdzie sypia Noc - wyjaśnił Siłacz, gdy przedwczoraj przecinali dolinę tak mroczną, że Resa nie widziała własnych dłoni. - Ale mszanki mówią o nim Brodaty Las z powodu leczniczych pnączy rosnących na drzewach.

Ta nazwa podobała się jej bardziej. Oszronione drzewa rzeczywiście wyglądały jak leciwe olbrzymy.

Siłacz był dobrym tropicielem śladów, ale nawet Resa nie miałaby trudności z odnalezieniem tropów, jakie zostawiali Drab i jego kompani. W niektórych miejscach odciski stóp zastygły, jakby czas się tu zatrzymał, gdzie indziej tropy rozmył deszcz - zdawało się, że wraz z nimi zmył z ziemi także tych, którzy je zostawili. Zresztą zbójcy nie starali się zacierać za sobą śladów, nie było to potrzebne, gdyż to oni tropili swoje ofiary.

Deszcz padał prawie bez przerwy, nocą zamieniał się często w grad, ale na szczęście obfitość wiecznie zielonych drzew pozwalała odpocząć w prawie suchym miejscu. Po zachodzie słońca czuło się dojmujące zimno. Resa była wdzięczna Siłaczowi za płaszcz podbity futrem, który jej ofiarował. Dzięki temu płaszczowi i płatom mchu, które Drab zdejmował z drzew i którymi ją okrywał, mimo zimna mogła spać w nocy.

„Naprzód, Resa, nie zatrzymuj się! Sroka szybko lata, a Drab nie leni się z użyciem noża!”.

Jakiś ptak zakrakał ochryple w gałęziach drzewa i Resa przestraszona podniosła głowę, ale z góry patrzyła wrona, a nie sroka.

- Kraa... - odpowiedział Siłacz ptakowi (nawet sowy z nim rozmawiały) i nagle stanął jak wryty. - Co jest, u diabła? - mruknął, skrobiąc się w krótko ostrzyżoną głowę.

Resa podeszła do niego zaniepokojona.

- Co się stało? Zabłądziłeś?

- Ja? Nigdy w życiu, nie w tym lesie! - Pochylił się nad zmarzniętymi śladami stóp w listowiu. - Mój kuzyn uczył mnie w tym lesie kłusownictwa. To on mnie nauczył rozmawiać z ptakami i robić koce z mchu. Pokazał mi także Zamek na Jeziorze. To Drab zboczył z drogi, nie ja. Kieruje się trochę za bardzo na zachód!

- Twój kuzyn? - zainteresowała się Resa. - Więc on też jest zbójcą?

Siłacz potrząsnął głową.

- Przysłał do podpalaczy - odparł, nie patrząc na nią. - Zniknął razem z Capricornem i nigdy już nie wrócił. To było takie wielkie, brzydkie chłopisko, ale ja zawsze przewyższałem go siłą, nawet jak byliśmy dziećmi. Czasem się zastanawiam, gdzie on się może podziewać. Był przeklętym podpalaczem, ale był też moim kuzynem, jeśli wiesz, co chcę przez to powiedzieć.

Wielki i brzydki... Resa zrobiła w myśli przegląd ludzi Capri-corna. Czyżby to był Płaski Nos?

„Mo swoim głosem zgotował mu śmierć, Siłaczu - pomyślała. - Czy dalej byś mu pomagał, gdybyś o tym wiedział?”. Tak, na pewno by mu pomagał.

- Spróbujmy się zorientować, dlaczego Drab zboczył z drogi - powiedziała. - Idźmy dalej ich tropem.

Wkrótce znaleźli zbójcę i jego ludzi na polance zasłanej zbutwiałymi brązowymi liśćmi. Trupy leżały na ziemi, jakby drzewa strząsnęły ich wraz z liśćmi, a kruki dziobały martwe ciała.

Resa odpędziła ptaki - i cofnęła się przerażona na widok zwłok Draba.

- Co to było?

- Nocny mar! - szepnął Siłacz.

- Nocny mar? Ależ one uśmiercają samym widokiem, ludzie po prostu umierają ze strachu. Widziałam to na własne oczy!

- Tak, jeśli im ktoś przeszkodzi. Ale jeśli im pozwolić, to pożerają ofiarę.

Kiedyś Mo podarował jej pusty kokon wazki. Z Draba zostało niewiele więcej. Resa zwymiotowała.

- To mi się nie podoba - mówił Siłacz, badając uważnie ślady na przesiąkniętym krwią listowiu. - Wygląda mi na to, że napastnicy stali i przyglądali się, jak nocny mar pożera Draba. Tak jakby przyprowadzili go ze sobą, jak księżę swojego niedźwiedzia!

Rozejrzał się, lecz wokół nie było nic podejrzanego. Tylko kruki przysiadły na drzewach, czekając na swoją kolej. Siłacz naciągnął Gekonowi płaszcz na twarz.

- Pójdę po tropach zobaczyć, skąd przyszli ich mordercy.

- To niepotrzebne - zauważyła Resa, pochylając się nad jednym z trupów i wskazując na jego lewą dłoń. - Twój brat mi opowiadał, że Żmijogłowy ma nowego ochroniarza. Nazywają go Paluchem. Podobno był specjalistą od tortur w Mrocznym Zamku, zanim jego pan go awansował. Jak mówi Doria, jest znany z tego, że każdemu zabitemu przez siebie mężczyźnie obcina kciuk. Robi z tych kciuków puszczalki, co ma być kpina z przezwiska Puszczalki; ma już podobno pokaźną kolekcję. - Resa trzęsła się ze strachu, choć nie musiała się już obawiać Draba. - Ona go nie zdoła ochronić - szepnęła. - Wiolanta nie uratuje Mo. Oni go zabiją!

Siłacz objął ją niezdarnie ramionami, próbując dodać jej otuchy.

- Więc co mamy robić? Wracać?

Resa potrząsnęła głową. Była jak w transie. Mieli ze sobą nocnego mara. Nocnego mara... Rozejrzała się.

- Sroka - powiedziała. - Gdzie jest Sroka? Zawołaj ją.

- Mówiłem ci już, że ona nie używa ptasiego języka. Mimo to zaskrzeczał jak sroka, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Spróbował jeszcze raz i właśnie wtedy Resa zobaczyła zwłoki.

Mortola leżała osobno, trochę dalej niż pozostali zbójcy, a w jej piersi tkwiła strzała. Ileż to razy Resa wyobrażała sobie śmierć kobiety, której przez tyle lat musiała służyć, i zastanawiała się, co będzie wtedy czuła! Ileż razy pragnęła sama zabić Mortolę! Ale teraz nic nie czuła. Obok zmarłej leżało na śniegu kilka czarnych piór, a paznokcie lewej ręki przypominały ptasie szpony. Resa pochyliła się i odwiązała woreczek, który Mortola miała u pasa. W środku były drobne ziarenka, takie same jak te przylepione do warg zmarłej.

- Kto to jest? - zdumiał się Siłacz.

- Trucicielka Czarnego Księcia. Musiałeś o niej słyszeć. Siłacz w milczeniu skinął głową, cofając się o krok.

Resa przywiązała woreczek do pasa.

- Kiedy jeszcze byłam jedną z jej służących - uśmiechnęła się na widok zdumionej miny Siłacza - chodziły słuchy, że Mortola odkryła roślinę, której nasiona pozwalają zmieniać postać. Moje koleżanki nazywały tę roślinę małą śmiercią i twierdziły, że człowiek dostaje pomieszania zmysłów, jeśli jej za często używa. Pokazywały mi tę roślinę - ma ona zabójczą moc, ale zawsze myślałam, że ta jej druga właściwość to czczy wymysł. Wygląda na to, że się myliłam. - Podniosła jedno z czarnych piór i położyła je na przestrelonej piersi Mortoli. - Dziewczyny opowiadały - podjęła - że przestała używać małej śmierci po tym, jak omal nie pożarł jej lis, gdy przybrała postać ptaka. Ale kiedy zobaczyłam tę srokę w jaskini, od razu sobie pomyślałam, że to ona.

Resa wyprostowała się, gotowa do drogi.

Siłacz wskazał na woreczek, który przytroczyła do pasa.

- Chyba byłoby lepiej, gdybyś zostawiła te ziarna.

- Tak sądzisz? - spytała Resa w zamyśleniu. - Może masz rację. Ruszajmy, robi się ciemno.

Rozdział 53

Ludzkie gniazda

Bądź ostrożny:

wolne od melodii i sensu

stówa uciekły w noc.

Jeszcze wilgotne i ciężkie od snu,

plyną pod prąd, zamieniając się w pogardę.

Carlos Drummond de Andrade, W poszukiwaniu poezji

Meggie tak przemarzły nogi, że nie czuła już palców w butach, choć były to te same buty z wysokimi cholewkami, w których zjawiała się w tym świecie. Dopiero w czasie tego niekończącego się kilkudniowego marszu zrozumieli naprawdę, jakim wspaniałym schronieniem była jaskinia i jak cienkie były ich ubrania. Tylko deszcz był gorszy od zimna. Kapał z drzew, zamieniając ziemię w błoto, które nocą zamarzało. Jedna z dziewczynek skreśliła nogę i Elinor niosła ją na plecach. Mniejsze dzieci nieśli dorośli, ale było ich za mało. Drab zabrał ze sobą wielu zbójców, ubyli też Resa i Siłacz.

Czarny Książę niósł troje dzieci naraz, po jednym na każdej ręce i jedno na plecach. Wciąż jeszcze mało jadł, a Roksana zmuszała go do częstych postojów. Meggie wtuliła twarz we włosy chłopczyka, który obejmował jej szyję ramionami. Miał na imię Beppe i

przypominał jej wnuka Fenoglia. Był lekki jak piórko, zwłaszcza że dzieci od kilku dni prawie nie jadły, ale po kilku godzinach noszenia wydał się Meggie bardzo ciężki.

- Meggie, zaśpiewaj piosenkę! - naprzykrzał jej się przez całą drogę.

A Meggie nie dawała się długo prosić. Głosem cichym i słabym ze zmęczenia śpiewała pieśni o Sójce. I prawie już zapomniała, że śpiewa o własnym ojcu. Gdy zmęczona zamykała na chwilę oczy, wydawało jej się, że widzi zamek, który jej Farid ukazał w płomieniach: ponury kamienny twór odbijający się w wodzie. Rozpaczliwie próbowała dostrzec Mo gdzieś w załomie muru, ale jej się nie udawało.

Była sama. Po odejściu Resy czuła się jeszcze bardziej samotna, mimo obecności Fenoglia i Elinor, i wszystkich dzieci, a zwłaszcza mimo obecności Farida. Z tego poczucia osamotnienia, które tylko Doria potrafił czasem rozproszyć, zrodziło się inne uczucie: potrzeba opieki nad tymi, którzy byli tak samo opuszczeni jak ona, bez ojców, bez matek - uciekinierzy w świecie, który był im równie obcy jak jej, choć przecież nie znali innego.

Nie znał go również Fenoglio - on go tylko opisał i teraz jego słowa były dla nich jedynym drogowskazem.

Pisarz szedł przodem wraz z Czarnym Księciem, niosąc na plecach Despinę, mimo że była większa od paru maluchów, których już nie miał kto nieść. Jej brat dołączył do gromadki starszych chłopców, biegali po lesie, jakby nie wiedzieli, co to zmęczenie. Czarny Książę przywoływał ich co chwila, przykazując im nieść malców, tak jak czyniły to starsze dziewczynki. Farid i Doria nie pokazywali się już od godziny. Czarny Książę wysłał ich na poszukiwanie drzewa, którego wygląd Fenoglio opisał mu tak sugestywnie, że zgodził się na wymarsz. Zresztą nie mieli wyboru.

- Czy daleko jeszcze? - spytała Despina nie po raz pierwszy.

- Już niedaleko - odpowiedział Fenoglio, ale czy naprawdę w to wierzył?

Meggie była przy tym, jak opowiadał Czarnemu Księciu o gniazdach.

Wyglądają jak gniazda ogromnych wrózek, ale mieszkali w nich ludzie. Wielu ludzi. Zbudowali te gniazda, kiedy olbrzymy zaczęły coraz częściej porywać dzieci, na drzewie tak wysokim, że najwyższy olbrzym nie mógł ich dosięgnąć.

- To dowodzi - szepnął pisarz do Meggie - że olbrzymy nie powinny być za wysokie, jeśli się je wprowadza do opowiadania.

- Ludzkie gniazda? - z niedowierzaniem spytała Meggie. - Wymyśliłaś to w tej chwili?

- Też coś! - zachnął się Fenoglio. - A prosiłem cię, żebyś o tym czytała? Nie prosiłem, więc sama widzisz. Mój świat jest tak zbudowany, że na wszystko znajdzie się rada i nie ma

potrzeby bez przerwy czegoś dodawać, chociaż ten głupiec Orfeusz jest innego zdania... Mam nadzieję, że stał się ulicznym żebrakiem za karę, że przemalował na kolorowo moje śliczne błękitne wróżki...!

- Beppe, pobiegaj trochę sam - powiedziała Meggie, stawiając na ziemi chłopca i biorąc na rękę ledwo już idącą dziewczynkę.

„Czy daleko jeszcze...?”. - Ileż razy zadawała Mo to pytanie w niekończących się podróżach samochodem, u których kresu czekało kilka ksiązek potrzebujących lekarza. „Już niedaleko, Meggie...” - usłyszała jego odpowiedź. Zachwiała się ze zmęczenia i zdawało jej się, że Mo zarzuca jej na ramiona swoją kurtkę, ale to tylko mokra gałąź musnęła jej plecy... Pośliznęła się i byłaby upadła, gdyby Roksana jej nie podtrzymała.

- Ostrożnie, Meggie! - zawołała zielarka i przez chwilę jej twarz wydała się dziewczynce bardziej znajoma od twarzy matki.

- Znaleźliśmy drzewo! - krzyknął Doria, wyskakując tak nagle zza drzew, że dzieci krzyknęły przestraszone. Był cały przemoczony, trząśł się z zimna, ale twarz promieniała mu szczęściem. - Farid został, żeby wspiąć się na drzewo i sprawdzić, czy gniazda nadają się do użytku! Są ogromne! - Rozłożył szeroko ręce. - Będziemy musieli coś zmajstrować, żeby wciągnąć maluchy na górę, ale mam już pomysł!

Meggie nigdy jeszcze nie widziała, by tak dużo i szybko mówił. Jedna z dziewczynek podbiegła do niego, a on, wzięwszy ją na ręce, zakręcił się wkoło, śmiejąc się do rozpuku.

- Szczapa nigdy nas tam w górze nie znajdzie! - zawołał. - Teraz musimy się tylko jeszcze nauczyć latać i będziemy sobie żyć wolni jak ptaki!

Przejęte dzieci mówiły jedno przez drugie, aż wreszcie Czarny Ksiądz podniósł rękę i gwar się uciszył.

- Gdzie jest to drzewo? - spytał znużonym głosem. Czasem Meggie miała wrażenie, jakby trucizna złamała w nim jakieś tryby i rzuciła cień na światło, które wypełniało jego duszę.

- Niedaleko stąd! - Doria wskazał ręką między ociekające deszczem drzewa.

I nagle nawet najbardziej zmęczone stopy zadudniły po ziemi.

- Cicho! - napominał Czarny Ksiądz, ale dzieci nie mogły się uspokoić, ich gwar niósł się po lesie głośnym echem.

- A nie mówiłem? - odezwał się Fenoglio, zrównując się z Meggie, a w jego oczach pojawiła się zwykła duma.

- Owszem, mówileś - wtrąciła zgryźliwie Elinor; czuła się okropnie w przemoczonym ubraniu. - Ale na razie nie widzę tych osławionych gniazd. Poza tym muszę przyznać, że nie uśmiecha mi się perspektywa siedzenia na drzewie przy takiej pogodzie.

Fenoglio zbył jej uwagi pogardliwym milczeniem.

- Powiedz mi, Meggie... - szepnął - jak ma na imię ten chłopak... no wiesz... brat Siłacza.

- Doria?

Doria odwrócił głowę, usłyszawszy swoje imię, i Meggie uśmiechnęła się do niego.

- Doria... - mruzczał Fenoglio. - Doria... To imię wydaje mi się dziwnie znajome...

- Nic w tym dziwnego - zauważyła z satysfakcją Elinor. - Doria to było nazwisko bardzo wpływowego włoskiego rodu.

Fenoglio spojrział na nią gniewnie, ale nie zdążył dać jej ciętej odpowiedzi, którą zapewne miał na końcu języka.

- Gniazda!

Okrzyk Iwa zabrzmiał tak przeraźliwie w zapadających ciemnościach, że przestraszona Minerva zatkała mu usta ręką. Teraz wszyscy je zobaczyli. Ludzkie gniazda.

Wyglądały dokładnie tak, jak je opisał Fenoglio. Przeczytał Meggie odpowiedni fragment Atramentowego serca: Olbrzymie gniazda w koronie potężnego drzewa, którego wiecznie zielone gałęzie sięgały tak wysoko w niebo, że wierzchołek zdawał się tonąć w chmurach. Były okrągłe, jak gniazda wrózek, a pomiędzy nimi widniały porozciągane sieci, liny, mostki. Dzieci tłoczyły się wokół Czarnego Księcia z zadartymi głowami, tak szczęśliwe, jakby przyprowadził je do napowietrznego zamczyska. Ale najbardziej szczęśliwy był Fenoglio.

- Prawda, że są wspaniałe? - wykrzyknął.

- Są bardzo wysoko, tyle mogę powiedzieć - zauważyła niechętnie Elinor.

- I o to właśnie chodzi! - odrzekł szorstko pisarz.

Ale Minerva i pozostałe kobiety też nie wydawały się zachwycone.

- A gdzie są ci, którzy tam mieszkali? Pospadali na ziemię? - spytała Despina.

- Oczywiście, że nie! - Fenoglio zaśmiał się nerwowo, jednak Meggie poznała po jego minie, że nie ma o tym zielonego pojęcia.

- Och, nie! - pisnął Jaspis. - Przypuszczam, że zatęsknili za ziemią!

Oba szklane ludziki siedziały w przepastnych kieszeniach Dariuszowego płaszcza. Lektor był jedynym człowiekiem odpowiednio ubranym na zimę. Trzeba jednak przyznać, że

chętnie dzielił się z dziećmi swoim watowanym płaszczem, otulając je nim, tak jak kwoka otula skrzydłami pisklęta.

Czarny Książę spoglądał na dziwne domostwa, na drzewo, po którym trzeba się będzie wspiąć - i milczał.

- Wciągniemy dzieci na górę w sieciach - powiedział Doria. - Możemy wykorzystać tę pnącza zamiast lin. Wypróbowaliśmy je z Faridem, wytrzymają ciężar.

- To najlepsza kryjówka na świecie! - zawołał Farid, zsuwając się błyskawicznie po potężnym pniu, jakby w swoim dawnym świecie nie mieszkał na pustyni, tylko na drzewach.

- Gdyby nas tu nawet znalazły psy Szczapy, możemy się obronić!

- Lepiej jednak, żeby nas nie znalazły - stwierdził Czarny Książę. - Ale nie mamy czasu, by wykopać jamy w ziemi, a tam w górze powinniśmy się utrzymać, dopóki...

Wszystkie oczy skierowały się na niego. Właśnie - dopóki co?

- Dopóki Sójka nie zabije Zmijogłowego! - wykrzyknęło jedno z dzieci z takim przekonaniem, że Czarny Książę mimo woli się uśmiechnął.

- Słusznie: dopóki Sójka nie zabije Zmijogłowego.

- I Piszczalki! - dodał jeden z chłopców.

- I Piszczalki, oczywiście... - zgodził się książę, a w spojrzeniu, jakie wymienił z Baptystą, nadzieja mieszała się z niepokojem.

- Tak, tak, zabije ich obu, a potem ożeni się z Brzydką Wio-lantą i odtąd będą żyli długo i szczęśliwie! - rozmarzyła się De-spina, jakby już widziała oczyma duszy wspianele weselisko.

- Ależ nie! - zaprotestował szybko Fenoglio, jakby się przestraszył, że za chwilę jej słowa staną się rzeczywistością. - Sójka już ma żonę, Despino. Zapomniałaś o mamie Meggie?

Despina spojrzała na Meggie i w popłochu zasłoniła sobie usta dłonią.

Ale Meggie pogłaskała ją po głowie.

- To jest bardzo ładna bajeczka! - szepnęła do dziewczynki.

- Zaczynicie spuszczać liny - powiedział Czarny Książę do Baptysty - i spytajcie Dorię, w jaki sposób zamierza wciągnąć sieci z dziećmi. A pozostali niech wejdą na drzewo i sprawdzą, czy któreś z gniazd nie jest zmurszałe.

Meggie spoglądała na płataninę gałęzi wysoko nad jej głową. Nigdy jeszcze nie widziała podobnego drzewa. Kora była czerwo-nobrazowa, ale o ostrych brzegach, jak u dębu. Potężny pień rozgałęział się dopiero daleko w górze, lecz pełen był wybrzuszeń i występów, które ułatwiały wspinanie się, w niektórych miejscach olbrzymie grzyby stanowiły

naturalne platformy, widać było liczne dziuple i szpary oblepione pierzem, wskazujące na to, że nie tylko ludzie się tu gnieździli.

„Może powinnam poprosić Dorię, żeby mi zrobił skrzydła” - pomyślała Meggie i zaraz przypomniała jej się sroka, która napawała matkę tak wielkim strachem.

Dlaczego Resa nie zabrała jej ze sobą?

„Bo nadal uważa cię za małe dziecko, Meggie!” - odpowiedziała sama sobie.

- Meggie?

Poczuła w dłoni chłodne paluszki jednej z najmłodszych dziewczynek. Elinor przezwiała ją Ognistym Elfem z powodu włosów tak płomiennie rudych, jakby Smolipaluch obsypał je skrami. Ile mogła mieć lat? Cztery? Pięć? Wiele dzieci nie znało swojego wieku.

- Beppe mówi, że tam w górze są ptaki, które pożerają dzieci.

- To nieprawda. Skądże Beppe miałby o tym wiedzieć, skoro jeszcze nie był na górze?

Dziewczynka uśmiechnęła się z ulgą i skarciła Beppego wzrokiem. Ale nie puściła ręki Meggie i jej twarzyczka znów się wydłużyła ze strachu, gdy słuchały razem raportu, jaki Farid składał Czarnemu Księciu.

- Gniazda są tak duże, że w każdym może spać pięć do sześciu osób! - opowiadał z takim przejęciem, jakby na chwilę zapomniał, że jest nadal samotny mimo powrotu Smolipalucha. - Niektóre mostki są zmurszałe, ale tam u góry jest mnóstwo drewna i lian i z łatwością da się je naprawić.

- Nie mamy narzędzi - wtrącił Doria. - Najpierw musimy je sporządzić z naszych noży i mieczów.

Zbójcy spojrzeli niepewnie na miecze i noże tkwiące u pasa.

- Korona drzewa jest bardzo gęsta i chroni przed wiatrem, z tym że w niektórych miejscach wycięto przesieki - ciągnął Farid. - Były to prawdopodobnie okna dla strażników. Trzeba wyścielić gniazda, tak jak to robią wróżki.

- Może będzie lepiej, jak kilku z nas zostanie na dole - zaproponował Postrach Elfów.
- Musimy polować i...

- Polować możecie na górze! - przerwał mu Farid. - Są tam nie tylko chmary ptactwa, widziałem także wiewiórki i inne gryzonie, coś jakby króliki. Ale są tam też dzikie koty...

Kobiety z niepokojem spojrzały po sobie.

- ...nietoperze i koboldy z ogonami długimi na łokieć - opowiadał Farid. - To jest osobny świat! Są tam jaskinie i gałęzie tak grube, że można po nich swobodnie spacerować. Rosną na nich kwiaty i grzyby! Tam jest cudownie, fantastycznie!

Fenoglio promieniał. Uśmiechał się z dumą, jak król, którego państwo wychwalają zagraniczni posłowie. Nawet Elinor spojrzała tęsknym wzrokiem na pień drzewa. Część dzieci chciała natychmiast wspiąć się na górę, ale kobiety je powstrzymały.

- Nie ma mowy, najpierw nazbierajcie liści, mchu i piór ptasich do wyścielenia gniazd! - przykazały surowo.

Słońce zniżało się ku zachodowi, gdy zbójcy przystąpili do przrzucania lin i sporządzania sieci i drewnianych platform, aby wciągnąć ludzi i dobytek na górę.

Baptysta i kilku zbójców wrócili do lasu, by dokładnie pozacierać ślady. Tymczasem Czarny Książę spoglądał bezradnie na niedźwiedzia. Meggie odgadła jego myśli. Jak ma go wciągnąć na drzewo? A co z końmi? Pozostało tyle problemów do rozwiązania. Żeby chociaż można mieć pewność, że zgubili Szczapę dzięki szybkiemu wymarszowi.

- Meggie?

Dziewczynka pomagała właśnie Minerwie pleść siatkę na prowiant. Fenoglio z miną spiskowca pociągnął ją za sobą.

- Nie uwierzysz!... - szeptał podniecony, gdy stanęli w zaciszu potężnych korzeni drzewa. - Nie waż się o tym mówić tej Loredan. Zaraz by powiedziała, że mam manię wielkości!

- O czym mam jej nie mówić? - zdziwiła się Meggie.

- Chodzi o tego chłopca, wiesz, tego, co się wciąż na ciebie gapi, znosi ci kwiaty, a Farid zielenieje z zazdrości... Krótko mówiąc, chodzi o Dorię...

Korona drzewa poczerwieniała w promieniach zachodzącego słońca, a gniazda wisiały ponad ich głowami jak egzotyczne czarne owoce.

Meggie z zakłopotaniem odwróciła głowę.

- I co z nim?

Fenoglio rozejrzał się, jakby chciał mieć pewność, że Elinor nie zaskoczy ich zniecka.

- Meggie, wydaje mi się - oznajmił, zniżając głos - że to ja go wymyśliłem, tak samo jak Smolipalucha i Czarnego Księcia!!!

- Co ty wygadujesz? - szepnęła Meggie. - Dorii nie było jeszcze na świecie, kiedy pisałeś książkę!

- Tak, wiem o tym! Stąd się właśnie bierze ten cały galimatias! Wszystkie te dzieci... - Szerokim gestem wskazał na dzieci uwijające się pośród drzew w poszukiwaniu mchu i piór. - Moja historia rodzi je sama, bez mojej pomocy. Jest bardzo płodna. Ale ten chłopiec... - zniżył głos do szeptu, jakby Doria mógł go usłyszeć, choć ten, w znacznej odległości od nich,

robił właśnie z Baptistą maczety i piły ze zbójnickich noży. - Posłuchaj, Meggie, to brzmi zupełnie nieprawdopodobnie... Napisałem o nim kiedyś historię, ale postać o jego imieniu była dorosła! A co najdziwniejsze: ta historia nigdy nie została opublikowana! Pewnie wciąż jeszcze leży w szufladzie mojego biurka, a może wnuki zrobiły z niej papierowe kulki, by rzucać nimi w koty!

- Ale to przecież niemożliwe. To musi być ktoś inny! - Wzrok Meggie odruchowo powędrował ku Dorii. Bardzo lubiła na niego patrzeć. - O czym jest ta historia? - spytała. - Co robi ten dorosły Doria?

- Buduje zamki i mury miejskie. Dokonuje nawet wynalazku maszyny latającej, konstruuje zegar i... - pisarz spojrzął znacząco na Meggie - maszynę drukarską dla sławnego intrologatora.

- Naprawdę? - zawołała Meggie, czując, że robi jej się gorąco, jak dawniej, gdy Mo opowiadał jej piękną historię.

„Dla sławnego intrologatora...”.

Na chwilę zapomniała o Dorii i myślała o ojcu. Może Fenoglio już dawno napisał słowa, które zachowają Mo przy życiu?

- „Błagam! - prosiła w myśli tę dziwną historię - niech tym intrologatorem okaże się Mo!”.

- Dałem mu imię Doria Czarodziej - szeptał Fenoglio. - Ale on czaruje rękami, jak twój ojciec. A teraz posłuchaj, bo najlepszego jeszcze ci nie powiedziałem! Ten Doria ma żonę, a ta żona pochodzi z dalekiego kraju i to ona poddaje mu pomysły. Czy to nie dziwne?

- Co w tym dziwnego? - Meggie poczuła, że się rumieni.

I właśnie w tej chwili zauważyła, że Farid patrzy na nią. - Jakie imię jej dałeś?

Fenoglio chrząknął zakłopotany.

- Wiesz, że na ogół niezbyt się przykładam do kobiecych postaci i jakoś nie nawinęło mi się odpowiednie imię, więc nazwałem ją po prostu jego żoną.

Meggie uśmiechnęła się. Tak, to było do niego podobne.

- Doria ma dwa sztywne palce u lewej ręki. Jak więc mógłby dokonać tego wszystkiego, o czym mówisz?

- Ale to ja mu dałem te sztywne palce! - zawołał Fenoglio, zapominając o ostrożności.

Doria uniósł głowę i spojrzął na nich, ale na szczęście w tej samej chwili podszedł do niego Czarny Książę.

- Ojciec mu je przetrzącił po pijanemu. - Fenoglio zniżył głos. - Chciał uderzyć siostrę Dorii, a ten stanął w jej obronie.

Meggie oparła się plecami o korzeń i poczuła swoje serce gdzieś z tyłu, wielkie drewniane serce walące jak młotem. Nie, to tylko sen.

- Jak miała na imię ta siostra? Susa?

- Nie wiem - odparł Fenoglio. - Skąd mam wszystko pamiętać? Może w ogóle nie miała imienia, tak jak jego żona. W każdym razie jego sława będzie tym większa, że dokonał tych wszystkich cudów mimo kalectwa.

- Rozumiem... - mruknęła Meggie, łapiąc się na tym, że próbuje sobie wyobrazić Dorię jako dorosłego mężczyznę. - To bardzo piękna historia - przyznała.

- Wiem o tym - potwierdził Fenoglio z miną człowieka bardzo z siebie zadowolonego, wciągając powietrze do płuc i opierając się o korzeń drzewa, które opisał wiele lat temu. - Ale oczywiście ani słowa chłopakowi!

- Oczywiście. Masz jeszcze więcej takich historii w szufladzie? Wiesz może, co wyrosnie z dzieci Minerwy albo z Beppe-go lub Ognistego Elfa?

Ale Fenoglio nie zdążył odpowiedzieć.

- Wspaniale! - Elinor zatrzymała się naprzeciwko nich z rękami pełnymi mchu. - Czy ten człowiek stojący pod drzewem, Meggie, to przypadkiem nie jest ów słynny leń nad lenie wszech światów? Wszyscy pracują, a on zbija bąki!

- Zapomniałaś o Meggie! - warknął Fenoglio. - A poza tym gdyby ten leń nad lenie nie wymyślił drzewa i gniazd, żadne z was nie miałyby teraz nic do roboty!

Elinor zignorowała ten argument.

- W tych twoich przeklętych gniazdach wszyscy poskręcamy karki - rzuciła ostro. - I wcale nie jestem pewna, czy to będzie lepsze od kopalń.

- No, jeśli o to chodzi, możesz być spokojna, Loredan. Ciebie Piszczalka na pewno nie weźmie do kopalni, bo utknęłabyś już w pierwszej sztolni! - odpalił Fenoglio.

Meggie przestają słuchać ich kłótni. Między drzewami pokazały się iskierki. Z początku myślała, że to błędne ogniki, i dopiero gdy kilka iskierek opadło jej na rękaw, zobaczyła, że to maleńkie ćmy, połyskujące tak, jakby blask księżyca przylepił im się do skrzydełek.

„Nowy rozdział - myślała, spoglądając ku gniazdom. - Nowe miejsce. Fenoglio przepowiedział przyszłość Dorii. Szkoda, że nie wie nic o przyszłości taty”. Dlaczego Resa nie wzięła jej ze sobą?

„Bo twoja matka jest mądra! - odpowiedział jej Fenoglio, gdy mu się kiedyś poskarżyła. - Czy ktokolwiek poza tobą może przeczytać to, co napiszę, jeśli już kiedyś odnajdę właściwe słowa? Przecież nie Dariusz. Nie, Meggie, to ty opowiadasz tę historię.

Jeśli chcesz naprawdę pomóc ojcu, twoje miejsce jest u mojego boku. Mortimer na pewno powiedziałby ci to samo”.

W tym jednym punkcie całkowicie się z nim zgadzała.

Ćma usiadła jej na palcu, połyskując jak obrączka ślubna.

„Ten Doria ma żonę, a ta żona pochodzi z dalekiego kraju i to ona poddaje mu pomysły”. Tak, to naprawdę dziwne.

Rozdział 54

Biały szept

Gdybym miał niebios wyszywaną szatę

Z nici złotej i srebrnej światła,

Ciemną i bladą, i błękitną szatę

Ze światła, mroku, półmroku, półświatła,

Rozpostarłbym ci tę szatę pod stopy,

Lecz biedny jestem: me skarby - w marzeniach;

Więc ci rzuciłem marzenia pod stopy;

Stąpaj ostrożnie, stąpasz po marzeniach.

William Butler Yeats, Poeta pragnie szaty niebios

Smolipaluch spoglądał z wysokości blanków na czarną taflę jeziora, gdzie pośród gwiazd odbitych w wodzie majaczyła sylweta zamku. Wiatr owiewający jego gładką twarz spadał z gór, przynosząc ze sobą chłód wiecznych śniegów. Smolipaluch znów poczuł zapomniany smak życia, na który składały się tęsknota i radość, gorycz i słodycz, i wszystko to, co przemija, co ma początek i kres, co odzyskane i stracone, stracone i na nowo odzyskane.

Nawet czerń drzew sprawiała, że był pijany szczęściem. To noc nappełniała je czernią, jakby chciała ostatecznie udowodnić, że cały ten świat składa się tylko z atramentu. A czyż śnieg na szczytach górskich nie wyglądał jak płaty papieru?

A choćby nawet...

Ponad nim księżyc wypalał srebrną dziurę w powłoce nocy, otoczony gwiazdami niby rojem ognistych elfów. Nie potrafił sobie przypomnieć, czy widział księżyc w krainie śmierci. Może tak. Dlaczego życie miało słodszy smak, od kiedy zaznał śmierci? Dlaczego serce kocha tylko to, co może stracić? Dlaczego, dlaczego...?

Białe damy znały odpowiedź na te pytania, lecz nie zdradziły mu wszystkiego.

„Później - szeptały, pozwalając mu odejść. - Innym razem. Będziesz tu wracał często. I często odchodził”.

Obok siedział Gwin, wsłuchując się niespokojnie w plusk wody obmywającej mury. Kuna nie cierpiała zamku. Za jego plecami Czarodziejski Język przewracał się we śnie z boku na bok. Nie umawiając się, obaj postanowili, że mimo nocnych chłódów będą spać tu w górze, pod gołym niebem. Smolipaluch nie lubił zamkniętych pomieszczeń i podobnie było chyba z Mo. Ale może sypiał tu dlatego, że Wiolanta dzień i noc krążyła po tych wszystkich salach pokrytych malowidłami, nie mogąc zaznać spokoju, tak jakby szukała nieżyjącej matki lub nie mogła się doczekać przybycia ojca. Czy kiedykolwiek córka z równą niecierpliwością czekała na chwilę, gdy będzie mogła zabić ojca?

Lecz nie tylko Wiolanta nie mogła zaznać snu. W komnacie z martwymi księgami siedział Balbulus, próbując nauczyć lewą rękę tego, co niegdyś jego prawica potrafiła robić tak doskonale. Przesiadywał tam całymi godzinami przy pulpicie, który Brianna oczyściła z kurzu i brudu, i zmuszał niewprawne palce do malowania liści i girland, ptaków i miniaturowych twarzy, a bezużyteczny kikut przytrzymywał pergamin, który malarz przezornie zabrał ze sobą.

- Czy mam ci przynieść z lasu szklanego ludzika? - spytał go Smolipaluch, ale Balbulus tylko potrząsnął głową.

- Nie korzystam z ich pomocy - mruknął. - Zostawiają ślady stóp na malowidłach!

Czarodziejski Język spał niespokojnie. Sen nie przynosił mu ukojenia, a ta noc zdawała się gorsza od poprzednich. Pewnie znów przyszły go odwiedzić. Kiedy białe damy wkradały się w sny człowieka, wtedy nie było ich widać. Do Czarodziejskiego Języka przychodziły częściej niż do niego, jakby chciały się upewnić, że Sójka o nich nie zapomniał - o nich i o umowie ze śmiercią.

Och, znać było, jak go męczą, dotykają serca zimnymi palcami - Smolipaluch czuł to wszystko na własnym ciele. Zdawało mu się, że słyszy ich szepty: „Sójko...” - i sam czuł mróz na ciele i tęsknotę...

„Pozwólcie mu spać - myślał - odpocząć od lęku, jaki odczuwa za dnia, lęku o siebie, o córkę, i od straszliwej rozterki, czy postąpił słusznie... Zostawcie go w spokoju”.

Podszedł do Czarodziejskiego Języka i położył mu rękę na piersi. Tamten ocknął się ze snu z pobladłą twarzą. O tak, były u niego.

Smolipaluch obudził płomyki na koniuszkach palców, wiedział, jaki chłód pozostawiają w człowieku ci goście. Był to czysty i jasny chłód śniegu, który zamroza serce. A jednocześnie pali ogniem.

- Co ci tym razem szeptały? „Sójko, nieśmiertelność się zbliża”, czy tak?

Czarodziejski Język odrzucił skórę, którą był przykryty. Ręce miał zgrabiałe, jakby zbyt długo trzymał je w lodowatej wodzie.

Smolipaluch wzmocnił płomyki i jeszcze raz położył mu dłoń na piersi.

- Lepiej?

Czarodziejski Język skinął głową. Nie odepchnął jego dłoni, choć była bardzo gorąca.

Kiedyś Farid spytał Smolipalucha: „Czy one ci wlały ogień w żyły, żeby cię ożywić?”. „Kto wie...” - odparł.

Spodobała mu się ta myśl.

- Boże, one cię naprawdę kochają - powiedział teraz, gdy Czarodziejski Język jeszcze zaspany wstał z posłania. - Zapominają, niestety, że ich miłość prowadzi nieuchronnie do śmierci.

- To prawda. Dziękuję za obudzenie. - Czarodziejski Język oparł łokcie na blankach i zapatrzył się w noc. - „Nadchodzi, Sójko” - to mi dziś mówiły. Ale mówiły też - odwrócił się i spojrzał na Smolipalucha: - „Piszczalka toruje mu drogę”. Co to może znaczyć?

- Cokolwiek by to miało znaczyć - kuglarz zgasił płomyki i stanął obok towarzysza - Piszczalka tak samo musi przejść przez most jak jego pan, a więc zobaczymy go zawczasu.

Wciąż nie mógł się nadziwić, że może teraz wymawiać imię Piszczalki bez lęku. Chyba naprawdę na zawsze zostawił strach w krainie śmierci.

Wiatr marszczył wody jeziora. Po moście przechadzali się żołnierze Wiolanty, a Smolipaluchowi wydawało się, że słyszy aż tu na blankach uparty krok ich pani, a także skrzyp pióra Balbulusa.

Czarodziejski Język spojrzał na niego i poprosił:

- Pokaż mi Resę. Tak jak wyczarowałeś z ognia matkę Wiolanty i jej siostry.

Smolipaluch zawahał się.

- No, pokaż! - ponaglił go Czarodziejski Język. - Wiem, że znasz jej twarz prawie tak dobrze jak ja.

„Opowiedziałam wszystko Mo”.

Resa wyznała mu to w lochu Mrocznego Zamku. Wyglądało na to, że nie kłamała.

„Oczywiście, że nie kłamała, Smolipaluchu. Nie potrafi kłamać, tak samo jak mężczyzna, którego kocha”.

Strzelił palcami i począł formować z płomieni postać.

Czarodziejski Język odruchowo wyciągnął rękę i natychmiast ją cofnął, gdy płomienie sparzyły mu palce.

- Teraz Meggie...

Jak wyraziście miłość malowała się na jego twarzy! Nie, wcale się nie zmienił, cokolwiek inni mówią na jego temat. Był jak otwarta księga, w jego sercu gorzała miłość, a jego głos potrafił wyczarować wszystko, co chciał, tak jak płomień czyniły to dla niego, Smolipalucha.

Ogień wymalował Meggie i tak napełnił ją życiem, że jej ojciec musiał się odwrócić, by nie włożyć ręki w płomień.

- Teraz ty - powiedział Smolipaluch, pozostawiając w powietrzu wyczarowane postacie.

- Co ja?

- Wyczaruj mi Roksanę - chyba nie na darmo zwać cię Czarodziejskim Językiem?

Sójka uśmiechnął się, opierając się plecami o blanki.

- Roksanę? To łatwe - szepnął. - Fenoglio napisał o niej cudowne rzeczy.

Gdy zaczął mówić, jego głos chwycił Smolipalucha za serce. Słowa dotykały jego twarzy, jakby to były ręce Roksany.

- Nigdy dotąd Smolipaluch nie widział piękniejszej kobiety. Jej włosy były czarne jak noc, którą tak kochał. W jej oczach był półmrok, jaki panuje pod drzewami, i połyskujące skrzydła kruka, i oddech ognia. Jej skóra przypominała mu światło księżyca rozlane na skrzydełkach wrózek...

Smolipaluch zamknął oczy i słyszał, jak Roksana oddycha, stojąc tuż obok niego. Chciał, by Czarodziejski Język mówił bez końca, aż słowa staną się ciałem i krwią, lecz słów Fenoglia nie starczyło na długo i postać Roksany zniknęła.

- A co z Brianną?

Ledwie Czarodziejski Język wymówił jej imię, Smolipalu-chowi zdało się, że widzi w ciemnościach nocy postać córki, z twarzą odwróconą, jak zawsze, gdy go spotykała.

- Twoja córka jest tutaj, lecz ty nie masz nawet odwagi na nią spojrzeć. Czy mam ci pokazać Briannę?

- Tak - odparł cicho Smolipaluch. - Pokaż mi ją.

Czarodziejski Język odchrząknął, jakby chciał się upewnić, że jego głos zabrzmiał naprawdę czysto.

- W książce Fenoglia niewiele jest informacji o twojej córce, tylko imię i parę zdań o jej dzieciństwie, ale ona od dawna nie jest już dzieckiem. Mogę więc powiedzieć o niej tylko to, co każdy widzi.

Serce Smolipalucha ścisnęło się z bólu, jakby przeraził się słów, które miały za chwilę paść. Jego córka, jego obca córka.

- Brianna odziedziczyła urodę po matce, lecz każdy, kto ją zobaczy, od razu myśli też o tobie. - Czarodziejski Język ostrożnie wypowiadał słowa, jakby każde z nich starannie wydobywał z mroku nocy, jakby formował twarz Brianny z gwiazd. - W jej włosach i sercu mieszka płomień, a kiedy patrzy w lustro, myśli o ojcu...

„Któremu ma za złe, że wrócił z krainy umarłych, nie przyprowadziwszy ze sobą Cosima - pomyślał gorzko Smolipaluch. - Zamilknij - chciał zawołać do towarzysza - mów już lepiej o Roksanie”. Ale milczał, a Czarodziejski Język mówił dalej:

- Brianna jest dojrzała od Meggie, lecz czasem ma minę zagubionego dziecka, które przeraża jego własna uroda. Ma wdzięk matki i jej piękny głos - nawet niedźwiedź księcia przysłuchuje się, gdy Brianna śpiewa - ale nuci tylko smutne pieśni

O tym, że zawsze tracimy tych, których kochamy.

Smolipaluch poczuł łzy na twarzy. Zapomniał już, jakie to uczucie, kiedy słone zimne krople ściekają po policzkach. Otarł je gorącymi palcami.

A Czarodziejski Język mówił dalej głosem tak miękkim, jakby opowiadał o własnej córce.

- Patrzy na ciebie, gdy myśli, że ty tego nie widzisz. Wodzi za tobą oczami, jakby w twojej twarzy chciała odnaleźć siebie. I zapewne chce dowiedzieć się od nas obu, jak tam jest w tej krainie umarłych i czy widzieliśmy Cosima.

- Widziałem dwóch Cosimów - rzekł cicho Smolipaluch. -

I myślę, że wymieniałaby mnie na każdego z nich.

Odwrócił się i spojrział na jezioro. - O co chodzi? - spytał Czarodziejski Język. Smolipaluch bez słowa wskazał w dal. Pośród nocy wił się ognisty wąż. Pochodnie.

Oczekiwanie dobiegło końca.

Strażnicy na moście ożywili się. Jeden z nich pobiegł do zamku, by zawiadomić Wioletę. Zmijogłowy przybywał.

Rozdział 55

Nie w porę

- Najnowsza produkcja? - spytał Mężczyzna.

- Trudno powiedzieć - odrzekł Pan Bóg, patrząc w oczka Traszki. - Być może siedziała tam już od jakiegoś czasu. Z niektórymi stworzeniami naprawdę jest straszna kupa roboty. A inne po prostu jakoś tak się pojawiają. Od razu są gotowe. To bardzo dziwne.

Ted Hughes, Towarzystwo do zabaw

Smolipaluch dostrzegł w lesie pochodnie. To zrozumiałe - Żmi-jogłowy obawiał się dnia. Do diabła, atrament znowu zgęstniał!

- Kryształek! - zawołał Fenoglio, rozglądając się i ocierając pióro o kaftan.

Widział ściany uplecione z gałęzi, pulpit sklecony przez Do-rię, posłanie z liści i mchu, świecę, którą Farid zapalał za każdym razem na nowo, gdy zdmuchnął ją wiatr... Ale szklanego pomocnika ani śladu...

On i Jaspis pewnie wciąż mają nadzieję, że znajdą sobie tu w górze towarzyszkę. Farid głupio postąpił, mówiąc im, że widział w koronie drzewa kilka przedstawicielek ich gatunku „pięknych jak marzenie”, jak się wyraził. Od tej chwili obaj bez przerwy uganiaли się po gałęziach, tylko czekać, jak spadną i się połamią. Głupie skrzaty!

Wszystko jedno. Fenoglio zanurzył pióro w kałamarzu: trudno, musi się zadowolić gęstym atramentem. Uwielbiał swój nowy gabinet położony wysoko ponad jego światem, który dosłownie ścielił mu się u stóp. Pogodził się nawet z tym, że szklane ludziki ciągle gdzieś przepadały, a nocą panował potworny ziąb. Nigdy dotąd, tak jak w tym miejscu, nie miał uczucia, że słowa same garną się do niego.

O tak, tu w koronie drzewa napisze najlepszą pieśń o Sójce. Czy istniało stosowniejsze miejsce? Ostatni obraz, jaki pokazały płomienie Farida, był raczej uspokajający: Smolipaluch oparty o blanki, obok niego śpiący spokojnie Sójka... To mogło oznaczać tylko jedno: że Żmijogłowy jeszcze nie dotarł do zamku.

„A jak miał dotrzeć, Fenoglio? - pomyślał z zadowoleniem. - Przecież złamałeś mu koło w najciemniejszym zakątku lasu”. To powinno opóźnić jego pochód co najmniej o dwa dni. Wystarczająco dużo czasu na pisanie, teraz, gdy słowa są mu znów posłuszne.

- Kryształek!

„Jeśli będę musiał go wezwać po raz trzeci, to go osobiście strączę z drzewa!”.

- Nie jestem głuchy - w przeciwieństwie do ciebie! Szklany ludzik tak nagle wychynął z ciemności, że Fenoglio z wrażenia upuścił kroplę atramentu dokładnie na wyraz będący imieniem Żmijogłowego. Oby to był dobry znak. Kryształek cienkim prętem jął mieszać atrament. Ani słowa przeprosin, ani słowa wyjaśnienia, gdzie się podziewał.

„Skoncentruj się, Fenoglio. Zapomnij o tym nicponiu. Pisz”.

Słowa zjawiały się jak na zawołanie. Żmijogłowy wróci na zamek, gdzie dawno temu zabiegał o rękę matki Wiolanty. Nieśmiertelność dręczyła go niepomierne. Trzymał w obrzmiałych dłoniach Pustą Księgę. Zadawała mu tortury, jakich nie byłoby w stanie wymyślić najlepsi kaci w Mrocznym Zamku. Ale wkrótce jego męka się skończy. Córka wyda mu człowieka, który był przyczyną jego nieszczęścia. Ach, jak siodko będzie smakowała zemsta, gdy Sójka już wyleczy księgę i jego ciało...

„Tak, tak, oddawaj się marzeniom o zemście, Srebrny Książę! - dumiał Fenoglio, opisując ponure myśli Żmii. - Zapomnij o tym, że nigdy nie ufałeś córce!”.

- Ważne, że pisze!

Słowa zostały wypowiedziane szeptem, lecz mimo to twarz Żmijogłowego, przed chwilą tak wyraźna, że mógł jej dotknąć ręką, rozmyła się w ciemności, a zamiast niej pojawiła się twarz signory Loredan. Była z nią Meggie.

„Dlaczego ona nie śpi?”.

Fenoglia nie dziwiło, że jej zwariowana babka łaziła nocą po gałęziach, uganiając się za każdą ćmą, ale Meggie musiała być potwornie zmęczona. Uparła się, że wraz z Dorią wdrapie się na drzewo, by nie wciągnano jej na górę, jak dzieciaków.

- Owszem, pisze! - warknął. - I pewnie już dawno by skończył, gdyby mu bez przerwy nie przeszkadzano!

- Co to znaczy bez przerwy? - zawołała wojowniczo Elinor.

Wyglądała prześmiesznie w trzech sukniach włożonych jedna na drugą. Aż dziw, że cokolwiek na nią pasowało przy jej tuszy. Z monstrualnego stroju, w którym przybyła do tego świata, Baptysta już dawno uszył dzieciom kubraczki.

- Elinor... - zaczęła Meggie.

Ale nikomu jeszcze nie udało się zatrzymać potoku wymowy Elinor Loredan, Fenoglio nie miał co do tego złudzeń.

- Bez przerwy, powiada! - wołała signora Loredan, a wosk z jej świecy skapywał na rękopis Fenoglia. - Czy on się troszczy dzień i noc o to, żeby dzieci nie powypadały z tych przeklętych gniazd? A może codziennie złazi z drzewa i wdrapuje się na nie z powrotem, dźwigając jedzenie? Może uszczelnia ściany, żeby wiatr nie hulał po tych „mieszkaniach”, pożał się Boże, albo trzyma straż? Nie, nic z tych rzeczy, ale wszyscy mu bez przerwy przeszkadzają!

Pac, jeszcze jedna plama wosku! I w dodatku bez żenady pochyla się nad dopiero co napisanymi słowami!

- Brzmi całkiem sensownie - zwróciła się do Meggie, jakby on sam rozplątał się w powietrzu. - Naprawdę nieźle!

To było po prostu nie do pojęcia.

A teraz jeszcze Kryształek pochylił się nad kartką, marszcząc szklane czoło, jak marszczy się woda poruszona wietrzykiem.

- Co, ty też chciałbyś wypowiedzieć swoje zdanie, zanim zacznę dalej pisać? - krzyknął na niego Fenoglio. - Masz jakieś życzenia? Może mam wprowadzić postać bohaterskiego szklanego ludzika albo grubej kobiety, która wszystko wie lepiej i doprowadza Żmijogłowego do szaleństwa, tak że ten woli już oddać się dobrowolnie w ręce białych dam? Nieźle rozwiązanie, co?

Meggie zbliżyła się do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

- Jak myślisz, ile ci to jeszcze czasu może zająć? - spytała nieśmiało.

Aż trudno uwierzyć, że ten sam głos już kilkakrotnie zmienił bieg tej historii.

- To już nie potrwa długo! - zapewnił ją pisarz, nadrabiając miną. - Słowa mnie znowu słuchają, przychodzą...

Umilkł raptownie.

Wysoko w górze rozległ się ostry przeciągły krzyk sokoła. I jeszcze raz, i jeszcze. To sygnał alarmowy strażników. O nie!

Gniazdo, w którym zamieszkał Fenoglio, miało za podstawę gałąź szerszą od uliczek w Ombrze. Mimo to za każdym razem dostawał zawrotów głowy, gdy musiał schodzić po drabinie, którą mu upłócił Doria, nie był bowiem w stanie opuszczać się i wspinać po linie. Na polecenie Czarnego Księcia zbójcy posplatali mocne liny z pnączy i kory, których używano jako środka transportu. Poza linami wszędzie pełno było korzeni powietrznych i mniejszych gałęzi, nie brakowało więc oparcia dla rąk. Mimo tylu udogodnień trudno było zapomnieć o odległości dzielącej ich od ziemi.

„W końcu nie jesteś wiewiórką, Fenoglio! - myślał, trzymając się pnączy i spoglądając w dół. - Ale jak na starego człowieka radzisz sobie całkiem nieźle”.

- Wciągają liny! - zawołała signora Loredan, która w przeciwieństwie do niego poruszała się nadzwyczaj sprawnie po napowietrznych drogach.

- Widzę! - mruknął pisarz.

Wciąganie lin sięgających aż do ziemi nie wróżyło nic dobrego.

Farid spiesznie schodził z góry, gdzie często przebywał, towarzysząc strażom rozmieszczonym przez Czarnego Księcia na najwyższych gałęziach drzewa. Boże, jak ludzka istota może tak się poruszać w koronie drzewa? Chłopak był zwinny jak kuna.

- Z góry widać pochodnie. Zbliżają się! - krzyknął bez tchu. - Słyszycie ujadanie psów? - Spojrzał z wyrzutem na Fenoglia. - A mówiłeś, że nikt nie wie o tych gniazdach! Że ludzie już dawno o tym zapomnieli!

Oskarżenia. Jasne. Jak coś źle pójdzie, kto winien? Oczywiście Fenoglio!

- I co z tego, że mówiłem? Psy potrafią odnaleźć miejsca, o których ludzie zapomnieli. Może byś lepiej spytał, kto zacierał ślady. Gdzie jest Czarny Księżę?

- Na dole. Chce ukryć niedźwiedzia. To głupie zwierzę za nic w świecie nie daje się wciągnąć na górę!

Fenoglio jął nasłuchiwać. Rzeczywiście, z daleka dochodziło ujadanie psów. Niech to wszyscy diabli!

- Nic nam nie zrobią. - Signora Loredan jak zwykle nadrabiała miną. - Takie drzewo łatwo obronić!

- Ale mogą nas wziąć głodem! - Farid znał się lepiej na tych sprawach.

Elinor mina zrzęda. I na kogo spojrzała?

- Aha, znowu jestem ostatnią deską ratunku, co? - Pisarz zaczął ją przedrzeźniać: - „Napisz coś, Fenoglio! Przecież to nic trudnego!”.

Z gniazd powypęłzafy dzieci, biegały po gałęziach, jakby to były drogi polne, z przerażeniem patrząc na dół. Wyglądały jak wielkie kolorowe żuki. Biedne maluchy.

Despina podbiegła do Fenoglia.

- Oni tu nie wejdą, prawda? Jej brat tylko na niego patrzył.

- Oczywiście, że nie - odparł pisarz, choć oczy Iwa przeczyły jego pewności.

Iwo zaprzyjaźnił się z Jehanem, synem Roksany. Trzymali się zawsze razem. Byli bardzo dojrzały jak na swój wiek. Farid chwycił Meggie za rękę.

- Baptysta mówi, że trzeba przeprowadzić dzieci do najwyższych gniazd. Pomożesz?

Meggie skinęła głową. Wciąż go jeszcze lubiła. Ale pisarz sprzeciwił się:

- Meggie zostanie tutaj. Może mi być potrzebna.

Farid od razu się zorientował, o czym mówi Fenoglio. Pisarz ujrzał w jego oczach zmartwychwstałego Cosima jadącego uliczkami Ombry i trupy między drzewami Nieprzebytego Lasu.

- Nie potrzebujemy twoich słów! - zawołał chłopiec. - Spuszczę na nich ogień, jeśli spróbują wejść na górę.

Ogień w lesie? Niezbyt dobry pomysł.

- Może jednak przyjdzie mi do głowy coś lepszego - powiedział pisarz.

Poczuł na sobie zrozpaczony wzrok Meggie.

„A co z moim ojcem?” - pytały jej oczy. No właśnie. Które zadanie było teraz pilniejsze? Do licha, do licha, do licha!

Kilkoro dzieci zaczęło płakać, a Fenoglio zobaczył w dole pochodnie, o których mówił Farid. Świeciły w ciemności jak ogniste elfy, ale stanowiły o wiele większe zagrożenie niż one.

Farid pociągnął Despinę i Iwa na górę. Inne dzieci poszły za nimi. Nadbiegł Dariusz, wyrwany ze snu, z włosami w nieładzie. Chwytał małe rączki, ufnie wyciągające się ku niemu. Rzucił Elinor pełne niepokoju spojrzenie, ale ona go nie widziała, patrząc w dół z ponurą miną i zaciskając pięści.

- Niech tylko spróbują tu przyjść! - zawołała głosem drżącym z gniewu i strachu. - Mam nadzieję, że niedźwiedź porozrywa ich na strzępy, że zbójcy posiekają ich na kawałki! Odechce im się polować na dzieci!

„Stuknięta kobieta” - pomyślał Fenoglio, choć w pełni podzielał jej uczucia.

A Meggie wciąż wbijała w niego wyczekujący wzrok.

- No, co tak na mnie patrzysz? Co ja mam robić, Meggie? - spytał z rozpaczą. - Ta historia znów rozgrywa się jednocześnie w dwóch miejscach. Które z nich bardziej potrzebuje moich słów? Powiniennem mieć dwie gło... - Urwał nagle.

Signora Loredan wciąż obrzucała wyzwiskami niewidocznych wrogów.

- Dręczyciele dzieci! Robactwo! Karaluchy w pancerzach!!! Powinno się was rozdeptać...

- Coś ty powiedziała...? - wyrwało się Fenogliowi. Rozdeptać...! Pisarz wpatrywał się w światła pochodni.

- Tak!... - szeptał. - Tak. Trochę niebezpieczne... Ale co zrobić...?

Odwrócił się i spiesznie począł wdrapywać się po drabinie do swojego gniazda. Gniazdo, gdzie lęgą się słowa... Tam było teraz jego miejsce.

Niezmordowana Loredan deptała mu po piętach.

- Masz jakiś pomysł?

Tak, miał pomysł, ale na pewno jej nie zdradzi, że to właśnie ona, już po raz drugi, mu go poddała.

- Owszem, mam. Meggie, przygotuj się!

Kryształek podał mu pióro. Na jego szklanej twarzyczce malował się przestach. Była bardziej zaróżowiona niż zwykle. Czyżby podkładał mu wino? Oba szklane ludziki odżywiały się startą korą, jak ich dzicy pobratymcy, a bladoróżowe członki Kryształka zaczynały nabierać zielonkawego odcienia. Niezbyt przyjemna kombinacja kolorystyczna.

Fenoglio położył czystą kartkę papieru na drewnianym pulpicie, który Doria zmagstrował z prawdziwym kunsztem. Do licha, nie znośił pisać dwóch historii jednocześnie!

- Co z moim tatą, Fenoglio? - spytała Meggie, klękając obok niego.

W jej oczach dostrzegł popłoch.

- Może poczekać - uspokoił ją, zanurzając pióro w kałamarzu. - Niech Farid pokaże ci ogniste obrazy, jeśli się martwisz. Ale zapewniam cię, że naprawa koła od karety to nie taka prosta sprawa. Żmijogłowy dotrze do zamku najwcześniej za dzień, dwa. Obiecuję ci, że jak tylko skończę z tym tutaj, zaraz zabiorę się do pisania słów dla Sójki. Przestań tragizować. Jak chcesz mu pomóc, jeśli Szczapa nas wszystkich przeszyje strzałami? A teraz podaj mi książkę, wiesz którą!

Pamiętał dokładnie, gdzie ma szukać. To było zaraz na początku, w trzecim albo czwartym rozdziale.

- Puścisz wreszcie farbę? - Elinor drżała z niecierpliwości. - Co zamierzasz?

Podeszła bliżej, próbując zerknąć mu przez ramię, ale Fenoglio zatrzasnął jej książkę przed nosem.

- Cisza! - wrzasnął, ale jego głos utonął w potwornym har-midrze, jaki panował na drzewie.

„Pisz, Fenoglio!”.

Zamknął oczy. Widział go oczyma duszy. Był jak żywy. Cudowne uczucie. Przy tego rodzaju zadaniach pisanie sprawiało mu szczególną przyjemność!

- No wiesz...

- Nic nie mów, Elinor! - dotarł do niego głos Meggie.

A potem zalały go słowa. Tak, to gniazdo świetnie nadawało się do pisania.

Rozdział 56

Ogień i ciemność

Co jest dobre, a co złe? Co odróżnia uczynek od braku uczynku? Gdybym mógł przeżyć jeszcze jedno życie - myślał stary król - poszedłbym do klasztoru ze strachu, że mogę uczynić coś, co prowadzi do cierpienia i bólu.

T.H. White, Był sobie raz na zawsze król, t. 4 Świeca na wietrze

- Ilu naliczyliście?

- Pięćdziesięciu.

Starali się zachować spokój, ale widać było, że strach ich paraliżuje. Mo zastanawiał się, czy żołnierze Wiolanty kiedykolwiek sami walczyli, czy też znali wojnę tylko ze śmierci ojców i braci.

- Tylko pięćdziesięciu? A więc naprawdę mi ufa! - triumfowała Wiolanta.

Córka Żmijogłowego nie wiedziała, co to lęk. Potrafiła doskonale ukrywać to uczucie tak jak i wiele innych. Mo dostrzegł pogardę w jej oczach, gdy patrzyła na trzęsących się ze strachu żołnierzy. Ale nawet na pięknej twarzy Brianny i kosmatym obliczu Tulia można było dostrzec strach.

- Czy jest z nimi Szczapa?

Chłopcy - Mo nie potrafił ich nazywać inaczej - potrząsnęli głowami.

- A co z Piszczalką? Przecież musi być z nimi.

Znów potrząsnęli głowami. Mo i Smolipaluch spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

- Na miejsca! - rozkazała Wiolanta. - Omawialiśmy wielokrotnie wszystko, co macie robić. Nie wpuscicie mojego ojca na most. Niech wyśle parlamentariusza, tylko tyle. I każemy mu czekać dwa, może trzy dni. On też tak postępuje ze swoimi wrogami.

- To mu się wcale nie spodoba! - zauważył jakby mimochodem Smolipaluch.

- Nie musi. A teraz odejdźcie wszyscy. Chcę porozmawiać z Sójką. - Wiolanta spojrzała wyzywająco na Smolipalucha. - Na osobności.

Kuglarz nie poruszył się, dopiero gdy Mo dał mu znak głową, oddalił się tak cicho, jakby był naprawdę jego cieniem.

Wiolanta podeszła do okna. Znajdowali się w komnacie, w której mieszkała matka księżnej. Na ścianach pasły się spokojnie jednorożce pospołu z cętkowanymi drapieżnymi kotami, a z okna widać było klatki dla ptaków i malowane słowiki, jakby spłowiełe w blasku dnia. Zdawało się, że Żmijogłowy przebywa daleko stąd, w zupełnie innym świecie.

- A więc nie przyprowadził ze sobą Piszczalki - odezwała się Wiolanta. - Tym lepiej. Prawdopodobnie odesłał go do Mrocznego Zamku za karę, że pozwolił ci uciec.

- Tak sądzisz, pani? - Mo patrzył na pasące się jednorożce na ścianach. Przypominały mu inne obrazy - obrazy polowań, gdzie białe futra tych stworzeń przebite lancami ociekały krwią. - Białe damy powiedziały mi co innego.

Wciąż słyszał ich szept: „Piszczalka toruję mu drogę”.

- Naprawdę? No cóż, skoro tak... Gdyby się naprawdę pojawił, musimy go także zabić. Innym możemy pozwolić uciec, ale Piszczalka musi zginąć.

Czy rzeczywiście była tak pewna swego?

- Każę cię z powrotem spętać - powiedziała, wciąż odwrócona do niego plecami. - Inaczej ojciec nie uwierzy, że jesteś moim więźniem.

- Wiem. Pozwól, pani, żeby to zrobił Smolipaluch. On potrafi tak założyć pęta, że w razie czego można je łatwo zdjąć.

„Nauczył się od pewnego chłopca, w którym jest zakochana moja córka” - dodał w myślach.

Gdzie teraz była Meggie? „Jest z matką - odpowiedział sam sobie. - I z Czarnym Księciem. Bezpieczna”.

- Po śmierci mojego ojca... - Wiolanta wypowiedziała te słowa ostrożnie, jakby nie była do końca pewna powodzenia akcji - ...Szczapa nie odda mi dobrowolnie tronu Ombry. Prawdopodobnie ściągnie posiłki od siostry z Mrocznego Zamku. Mam nadzieję, że wtedy nadal będziemy sojusznikami? - Spojrzała na niego po raz pierwszy, od kiedy znaleźli się w tej komnacie.

Co miał jej odpowiedzieć? „Nie, Wasza Wysokość, po śmierci twojego ojca odejść”. Naprawdę odejdzie?

Wiolanta odwróciła się do niego plecami, nim zadała kolejne pytanie.

- Czy ty właściwie masz żonę? - Tak.

„Książęce córki mają słabość do grajków i zbójców”.

- Oddał ją. Uczynię cię księciem Ombry. Wydało mu się, że słyszy śmiech Smolipalucha.

- Nie jestem księciem, Wasza Wysokość - odparł. - Jestem zbójcą... i introligatorem. Dwie role to aż nadto jak na jednego mężczyznę.

Odwróciła się i poczęła mu się przyglądać, jakby nie mogła uwierzyć, że mówi poważnie. Szkoda, że nie potrafił czytać w jej myślach. Ale maska, jaką nakładała Wiolanta, była bardziej zagadkowa niż maski wykorzystywane przez Baptystę w przedstawieniach ulicznych.

- I nie chcesz nawet rozważyć mojej propozycji?

- Mówiłem już: dwie role mi wystarczą - powtórzył Mo. Na jedną krótką chwilę twarz księżnej upodobniła się do twarzy jej ojca i w Mo zamarło serce.

- Dobrze, jak chcesz - powiedziała. - Ale zapytam cię jeszcze raz. Kiedy to wszystko się skończy. - I zwrócona twarzą do okna dodała: - Kazałam moim żołnierzom zamknąć cię w wieży, którą zwą Iglicą. Nie mogę cię trzymać w tych lochach, które dziadek wykorzystywał jako cele więzienne. Wypełniają je wody jeziora, ale do takiej wysokości, aby więzień się nie utopił.

Przy ostatnich słowach odwróciła się i spojrzała na niego, jakby chciała się przekonać, że wyobrażenie tych lochów napawa go lękiem.

„Napawa mnie lękiem, i to jak - pomyślał Mo. - I co z tego?”.

- Przyjmę ojca w Komnacie Tysiąca Luster - ciągnęła Wio-lanta. - Tam prosił o rękę mamy. Każę cię przyprowadzić, gdy tylko się upewnię, że przywiózł Pustą Księgę.

Złożyła ręce jak grzeczna uczennica odpowiadająca na lekcji. Mimo wszystko czuł do niej sympatię. Wzruszała go, chciał ją chronić przed gniezdzącymi się w jej sercu bólem i mrokiem, choć wiedział, że to niemożliwe. Serce Wiolanty było zamkniętą komnatą z ponurymi obrazami na ścianach.

- Powiesz mu, że potrafisz wyleczyć Pustą Księgę, tak jak to uzgodniliśmy. Każę przygotować narzędzia i materiały - Balbu-lus mi powiedział, czego ci potrzeba - a kiedy niby to zabierzesz się do pracy, odwrócę uwagę ojca, żebyś mógł wpisać trzy słowa. Spróbuję go rozzłościć, to jest najlepszy sposób, ojciec jest wybuchowy. Jeśli nam szczęście dopisze, nawet nie zauważy, że bierzesz do ręki pióro. Ma nowego ochroniarza, to może być problem. Ale moi ludzie się nim zajmą.

„Moi ludzie”.

Przecież to dzieci. Na szczęście był jeszcze Smolipaluch. Zaledwie pomyślał jego imię, magik wsunął się cicho do komnaty.

- Czego chcesz? - zniecierpliwiała się Wiolanta.

Ale Smolipaluch ją zignorował.

- Na dworze panuje podejrzana cisza - szepnął do Mo. - Żmijogłowy przyjął nadspodziewanie spokojnie wiadomość, że nie zostanie wpuszczony na zamek. To mi się nie podoba. - Podeszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz. - Gdzie są strażę? - zwrócił się do Wiolanty.

- A gdzie mają być? Posłałam je na most. Ale dwóch ludzi zostało na dziedzińcu. Najwyższy czas, żebyś stał się znowu więźniem, Sójko. Jeszcze jedna rola. Widzisz, czasem tych ról jest więcej niż dwie.

Wyjrzała przez okno na dziedziniec i wezwała strażę, ale odpowiedziała jej cisza.

W tej samej chwili Mo poczuł, że nastąpiła zmiana. Historia obrała nowy kierunek. Czas nagle zgęstniał i opanowało go uczucie niepokoju, jakby stał na scenie i zapomniał roli.

- Gdzie oni są? - Wiolanta odwróciła się z miną tak przerażoną i dziecinną, że wyglądała jak jej młodociani żołnierze.

Podbiegła do drzwi, zawołała jeszcze raz. Żadnej odpowiedzi, w zamku panowała cisza.

- Trzymaj się blisko mnie, cokolwiek się wydarzy! - szepnął Smolipaluch do Mo. - Czasem ogień chroni lepiej niż miecz.

Wiolanta wciąż stała w otwartych drzwiach, nasłuchując. Wtem usłyszeli niepewne kroki - ktoś szedł ku nim, slaniając się i potykając. Wiolanta cofnęła się od drzwi, jakby zlekła się tego, co za chwilę zobaczy... U jej stóp padł żołnierz zboczony własną krwią. To był ten sam chłopiec, który uwolnił Mo z sarkofagu. Czy teraz wiedział więcej o zabijaniu?

Słabnym głosem wyjąkał słowa, które Mo z trudem zrozumiał, pochylając się nad nim.

- Piszczalka... są wszędzie...

Chłopiec coś jeszcze szeptał, ale Mo nie mógł rozróżnić słów. Mały żołnierz umarł z niezrozumiałymi wyrazami na zakrwawionych ustach.

- Czy jest inne wejście, o którym nam nie mówiłaś? - spytał Smolipaluch, bezceremonialnie chwytając Wiolantę za ramię.

- Nie! - wyjąkała. - Nie!

I wyrwała mu się przerażona, jakby to on zabił żołnierza.

Mo złapał ją za rękę i pociągnął na korytarz, szukając miejsca, gdzie mogliby się ukryć, z dala od gwaru głosów, które nagle odezwały się w całym zamku. Ale już na pierwszych schodach nastąpił kres ich ucieczki. Smolipaluch zdążył jeszcze przepłoszyć kunę, gdy zastąpili im drogę żołnierze w pancerzach zbryzganych krwią, wcale nie młodziki. Kierując w nich napięte kusze, zapędzili ich do komnaty, gdzie matka Wiolanty i jej siostry uczyły się tańczyć. Dokoła na ścianach umieszczone były srebrne lustra, które teraz powielały odbicie Piszczalki.

- Co widzę, więzień bez kajdan? Cóż za nieostrożność, Wasza Brzydkość.

Piszczalka jak zwykle prostował się niczym napuszony kogut. Ale Mo bardziej był zaskoczony widokiem człowieka stojącego u boku Srebrnego Nosa. Orfeusz... Tego się nie spodziewał. Całkiem o nim zapomniał, kiedy dowiedział się od Smolipalu-cha, że ten zabrał mu książkę, a tym samym słowa, jakimi mógł się posłużyć.

„Jesteś głupcem, Mortimer”.

Jego twarz zdradzała, co myśli, a Orfeusz rozkoszował się jego oszołomieniem.

- Jak się dostałeś na zamek? - spytała Wiolanta, odtrącając trzymających ją żołnierzy i podchodząc do Piszczalki, jakby był zwykłym gościem.

Żołnierze cofali się przed nią, zapominając, kto jest ich panem. Córka Żmijogłowego... ten tytuł miał w sobie wielką moc, choć była tylko brzydką córką potężnego księcia.

Ale na Piszczalce nie robiło to wrażenia.

- Twój ojciec, pani, znał wygodniejszą drogę, na moście jest za dużo przeciągów - odparł znudzonym głosem. - Przypuszczał, że nie wiesz o tym wejściu, więc będzie niepilnowane. No i wygląda na to, że to była najlepiej strzeżona tajemnica twojego dziadka. Ale twoja matka pokazała tę drogę twemu ojcu, gdy uciekła z nim potajemnie z zamku. Romantyczna historia, co?

- Kłamiesz! - zawołała księżna, rozglądając się jak zaszczute zwierzę, lecz dokoła widziała tylko swoje zwierciadlane odbicie obok odbicia Piszczalki.

- Tak myślisz? Twoi ludzie wyprowadzą cię z błędu. Nie kazałem ich wszystkich zabijać. Mali chłopcy to doskonali żołnierze, bo wierzą we własną nieśmiertelność. - Podeszedł dwa kroki do Mo. - Nie mogłem się wprost doczekać spotkania z tobą, Sójko. „Poślij mnie, panie, przodem - poprosiłem Zmijogłowe-go - żebym mógł złapać ptaszka, który mi uciekł. Podkradnę się tajnymi drózkami i dopadnę go jak kot, podczas gdy on na próżno będzie wypatrywał twojego przybycia”.

Mo nie słuchał Piszczalki. Czytał w myślach Smolipalucha.

„Teraz, Sójko!” - mówiły i kiedy żołnierz stojący po jego prawej stronie począł walczyć z ognistym wężem wpełzającym mu po nodze, uderzył łokciem w pierś tego, który stał za nim.

Z posadzki podniosły się ogniste języki i podpaliły szaty pilnujących ich żołnierzy. Z krzykiem odskoczyli w tył, a ogień utworzył ochronny pierścień wokół obu więźniów. Dwaj inni żołnierze podnieśli kusze, lecz Piszczalka wytrącił im broń z ręki, wiedząc, że jego pan nigdy by mu nie wybaczył, gdyby pozwolił uśmiercić Sójkę. Jego twarz pobladła z wściekłości. Ale Orfeusz tylko się uśmiechał.

- Jestem pod wrażeniem, naprawdę! - To mówiąc, podeszedł do ognia i studiował płomienie z taką uwagą, jakby chciał odkryć, jakimi słowami Smolipaluch je wezwał. Wreszcie utkwiał wzrok w kuglarzu. - Przypuszczam, że potrafiłbyś w pojedynkę uratować intrologatora - zaczął łagodnym głosem. - Ale na nieszczęście zrobiłeś sobie ze mnie wroga. Popeliłeś fatalny błąd. Nie przybyłem tu z Piszczalką. Służę teraz jego panu. Musi poczekać do nocy, zanim złoży uszanowanie Sójce, a mnie posłał przodem, bym przygotował wszystko na jego przybycie. Niestety, mieści się w tym zleceniu także smutne zadanie ostatecznego odesłania Ognistego Tancerza w ramiona śmierci.

W jego głosie brzmiał na poły szczery żal. Mo przypomniał sobie, jak to w bibliotece Elinor stoczył z Mortolą batalię o życie Smolipalucha.

- Nie gadaj, tylko usuń go z drogi, Podwójnooki! - zawołał niecierpliwie Piszczalka, gdy tymczasem jego żołnierze zrzucali płonące ubrania. - Chcę wreszcie dostać Sójkę!

- Dostaniesz go! - powiedział z rozdrażnieniem Orfeusz. - Ale najpierw chcę swoją część. - Podeszedł tak blisko do ognistego kręgu, że płomienie zaróżowiły jego twarz. - Komu dałeś książkę Fenoglia? - zwrócił się do Smolipalucha poprzez pełgające ognie. - Jemu? - Wskazał głową Mo.

- Może - odparł Smolipaluch z uśmiechem. Orfeusz zagryzł wargi jak dziecko powstrzymujące łzy.

- Uśmiechaj się! - powiedział ochryplym głosem. - Drwij ze mnie! Wkrótce pożałujesz tego, co mi zrobiłeś.

- W jaki sposób? - rzekł z kamiennym spokojem kuglarz, nie zważając na żołnierzy mierzących do niego z kusz. - Jak chcesz nastraszyć człowieka, który już raz umarł?

Tym razem uśmiechnął się Orfeusz, a Mo zapragnął mieć w ręce miecz, choć wiedział, że na nic by się to nie zdało.

- Piszczalko, co tu robi ten człowiek? Od kiedy to służy mojemu oj... - Głos uwiązał Wiolancie w krtani, gdy cień poety drgnął jak obudzone zwierzę.

Z cienia wychynęła ogromna postać ziająca niczym wielki pies. Istota nie miała twarzy, w pulsującej, przelewającej się czerni widać było tylko oczy, tępe i złe. Mo poczuł lęk Smolipalucha. Płomienie przygasły, jakby mroczny twór tamował ich oddech.

- Nie muszę ci chyba przypominać, czym są nocne mary - powiedział Orfeusz aksamitnym głosem. - Waganci mówią, że to są umarli, których białe damy odsyłają z powrotem do świata żywych, nie mogąc zmyć czarnych plam z ich dusz. Odtąd w bezcielesnej postaci muszą się błąkać po świecie, który przestał być ich światem, póki nie szczyzną, pochłonięci przez powietrze, którym nie mogą oddychać, lub spaleni przez słońce, przed którym nie chroni ich już ciało. Ale zanim to się stanie, odczuwają głód, wieczny nienasycony głód. - Odstąpił krok w tył i zawołał do potwornego cienia: - Bierz go! Złap go sobie, mój dzielny piesku! Złap Ognistego Tancerza, który mi złamał serce.

Mo przysunął się do Smolipalucha, lecz ten odtrącił go, wołając strasznym głosem:

- Precz stąd, Sójko! To jest gorsze od śmierci!

Płomienie wokół nich zgasły i nocny mar, ciężko dysząc, wtoczył się do środka kręgu znaczonego popiołem. Smolipaluch nie cofnął się, czekał nieruchomo. Wtedy bezkształtne łapy wyciągnęły się po niego, a on zgasł, tak jak przed chwilą zgasły wzbudzone przez niego płomienie.

Gdy upadł, Mo poczuł się tak, jakby to jego własne serce przestało bić. Tymczasem nocny mar obwąchiwał nieruchome ciało Smolipalucha niby zawiedziony pies. Wówczas Mo przypomniał sobie, jak kiedyś Baptysta powiedział mu, że nocne mary interesuje tylko żywe ciało, martwych zaś unikają, obawiając się, że zabiorą je do krainy, skąd na krótko udało im się wyrwać.

- Och, co to było? - wykrzyknął Orfeusz, rozczarowany jak dziecko. - Dlaczego to tak szybko poszło? Myślałem, że popatrzę dłużej, jak umiera!

- Chwytać Sójkę! - wołał Piszczalka. - Nuże, ruszajcie się! Ale żołnierze tylko wlepiali w potwora przerażony wzrok.

A nocny mar odwrócił się i wpił tępe spojrzenie w Mo.

- Orfeuszu, powstrzymaj go! - Głos Piszczalki przeszedł w nienaturalny dyszkant. - Sójka będzie nam jeszcze potrzebny!

Nocny mar sieknął, jakby jego usta - jeśli je w ogóle posiadał - próbowały formować słowa. Przez ułamek sekundy Mo miał wrażenie, że dostrzegł coś jakby twarz w bezkształtnej czerni. Czuł, jak zmaterializowana złość wydzielana przez potwora wsącza się w jego ciało, pokrywa serce niczym pleśń. Nogi się pod nim ugięły, nie mógł złapać tchu. O tak, Smolipaluch miał rację, ten stwór był gorszy od śmierci.

- Do nogi, piesku! - Głos Orfeusza sprawił, że nocny mar zastygł w miejscu. - Tego dostaniesz później!

Mo padł na kolana obok nieruchomego ciała kuglarza. Pragnął tylko jednego: położyć się obok niego, przestać oddychać, przestać czuć. Ale żołnierze brutalnie postawili go na nogi i spętali mu ręce. Oszołomiony, nie mógł złapać tchu.

Jak przez mgłę widział zbliżającego się ku niemu Piszczalkę i usłyszał jego głos:

- Na dziedzińcu powinny być klatki dla ptaków, wsadźcie go do jednej z nich!

Uderzył go łokciem w żołądek, ale Mo czuł tylko jedno: znowu mógł oddychać, bo oto nocny mar stopił się na powrót z cieniem Orfeusza.

- Stać! Sójka jest nadal moim więźniem! - Wiolanta zastąpiła drogę żołnierzom zabierającym Mo.

Ale Piszczalka bez ceremonii odciągnął ją na bok.

- Nigdy nie był twoim więźniem - powiedział. - Uważasz swojego ojca za głupca? Odprowadźcie ją do jej komnaty! - rozkazał żołnierzom. - A Ognistego Tancerza rzućcie pod klatkę, w której zamkniecie Sójkę. W końcu nie powinno się rozłączać cienia z jego właścicielem, prawda?

Za drzwiami leżał drugi żołnierz Wiolety, jego młoda twarz stężała w przerażeniu. Zwłoki były wszędzie. Zamek należał do Żmijogłowego, a wraz z nim - Sójka. A więc tak się kończyła jego pieśń.

Zdawało mu się, że słyszy głos Meggie: „Co za okropne zakończenie. Nie chcę tej książki, Mo. Nie masz innej?”.

Rozdział 57

Za późno:

- Szczurze - rzeki Kret. - Nie mogę wrócić ot, tak sobie do domu, iść spać i nic nie robić.

Kenneth Grahame, O czym szumią wierzby

Jezioro. Resa zerwała się do biegu, gdy tylko zobaczyła wodę prześwitującą w dole między drzewami, u stóp zbocza, ale Siłacz powstrzymał ją, wskazując bez słowa namioty rozbite wzdłuż wybrzeża. Czarny namiot mógł należeć tylko do jednego człowieka... Resa oparła się o jedno z drzew porastających stromy stok, czując, że siły ją opuszczają. Przybyli za późno. Żmijogłowy był szybszy od nich. I co teraz?

Spojrzała na zamek wznoszący się pośrodku jeziora niby czarny owoc, który zamierzał zerwać Srebrny Książę. Ciemne mury były groźne i niedostępne. Czy Mo naprawdę tam był? Jeśli nawet tak, był tu też Żmijogłowy. A mostu prowadzącego do zamku pilnowało kilkunastu żołnierzy.

„Co dalej, Reso?”.

- Przez most się nie przedostaniemy, to pewne - szepnął Siłacz. - Pójdę się rozejrzeć, a ty tu zaczekaj. Może znajdę łódkę.

Ale Resa nie chciała czekać. Z trudem poczęli schodzić po stromym zboczu. Między drzewami było pełno żołnierzy, na szczęście wszyscy wpatrywali się w zamek. Siłacz poprowadził ją do wschodniego brzegu, gdzie nie było namiotów, a las ciągnął się aż do samej wody. Może spróbowaliby przepłynąć jezioro pod osłoną nocy? Ale będzie przeraźliwie zimno, a opowieści o wodach jeziora i ich mieszkańcach nie nastrojały optymistycznie. Idąc za Siłaczem, Resa dotknęła ręką brzucha. Miała wrażenie, że dziecko ukryło się w jakimś zakątku jej ciała.

Wtem Siłacz chwycił ją za ramię, wskazując kilka skał sterczących tuż przy brzegu. Między nimi ukazało się dwóch żołnierzy, jakby właśnie wyszli z wody. Kiedy wydostali się na brzeg, Resa zauważyła konie czekające na nich pod jodłami.

- O co tu chodzi? - szepnął Siłacz, gdy spomiędzy skał poczęli wychodzić następni żołnierze. - Czyżby była jeszcze inna droga do zamku? Muszę to dokładnie zbadać. Ale tym razem zostań, proszę! Obiecałem Sójce, że będę cię pilnował. Rozkwasiłby mi nos, gdyby wiedział, że tu jesteś.

- Na pewno by tego nie zrobił - sprzeciwiła się Resa szeptem, ale zgodziła się zostać.

Trzęsąc się z zimna, patrzyła, jak Siłacz ostrożnie skrada się w kierunku skał. Woda obmywała jej podeszwy butów, a pod powierzchnią majaczyły jakby twarze, płaskie i nieruchome niby wzory na grzbiecie płaszczki. Cofnęła się przerażona i w tej chwili usłyszała kroki za plecami.

- Hej, ty tam!

Odwróciła się przerażona. Między drzewami stał żołnierz z obnażonym mieczem w ręce. „Uciekaj, Reso!”.

Była szybsza od niego, obciążonego rynsztunkiem bojowym, w ciężkiej kolczudze utrudniającej ruch. Ale tamten krzyknął na towarzysza z kuszą.

„Szybciej, Reso!”. Biegła od drzewa do drzewa, jak w zabawie w chowanego. Tak by się bawiła z Meggie, ale nie było jej przy niej, gdy córka była mała. Tyle straconych lat...

Bełt z kuszy utkwiał w drzewie, za którym się schroniła, drugi zarył się w ziemię u jej stóp.

„Nie idź za mną, Reso! Proszę! Chcę mieć pewność, że cię zastanę po powrocie”.

„Ach, Mo. To zbyt trudne, nic tylko czekać i czekać”.

Skuliła się za drzewem i wyciągnęła nóż. Zbliźali się?

„Biegnij dalej, Reso!”.

Ze strachu nogi miała miękkie jak galareta. Dysząc ciężko, uskoczyła za drzewo. Czyjaś wielka dłoń zakryła jej usta.

- Zawołaj, że się poddajesz! - szepnął Siłacz. - Tylko nie idź do nich, poczekaj na nich tutaj.

Resa skinęła głową i schowała nóż. Żołnierze coś do siebie krzyczeli. Chora ze strachu wysunęła rękę zza drzewa i poprosiła drżącym głosem, żeby nie strzelali. Odczekała, aż Siłacz odpeł-znie w tył (zrobił to zdumiewająco zręcznie jak na takiego wielkoluda), i wyszła zza drzewa, podnosząc do góry ręce. Oczy żołnierzy pod okapami hełmów zrobiły się okrągłe ze zdumienia, gdy ujrzeli kobietę. Opuścili broń, ale ich uśmiechy nie wróżyły nic dobrego. Nim jednak któryś z nich zdołał jej dotknąć, Siłacz chwycił ich z tyłu za karki. Resa odwróciła się, by nie patrzeć, jak ich zabija. Zwymiotowała w mokrą trawę, trzymając się ręką za brzuch, przerażona, że dziecko może wyczuć jej strach.

- Są wszędzie! - szepnął Siłacz, pomagając jej się wyprostować.

Był ranny w ramię. Plama krwi wykwitła na koszuli szybko się powiększała.

- Jeden z nich miał nóż. „Uważaj na takich, co mają nóż” - mówi zawsze Doria. Mały jest mądrzejszy ode mnie!

Zatoczył się i Resa musiała go podtrzymać. Udało im się ukryć w gęstwinie.

- Piszczalka też tu jest - szeptał Siłacz. - Ci przy skałach to jego ludzie. Wygląda na to, że jest tam podwodny korytarz prowadzący do zamku. Są też inne złe wiadomości.

Rozejrzał się. Znad brzegu dochodził ich gwar żołnierskich głosów. Może znaleźli zabitych kolegów? Siłacz pociągnął ją dalej, do jamy cuchnącej koboldami.

Resa usłyszała szloch, gdy tylko wpełzła do środka. Za nią, stękając, wcisnął się Siłacz. W ciemnościach dostrzegła jakąś owłosioną istotę. Pomyślała, że to kobold, ale przypomniała sobie służącego Wiolanty, którego jej opisała Meggie. Jak on miał na imię? Aha, Tulio.

Chwyliła kosmatą dłoń skrzata. Oczy Tulia były okrągłe z przerażenia.

- Co się stało? Jestem żoną Sójki. Powiedz mi, proszę, czy on jeszcze żyje?

Patrzył na nią czarnymi zwierzęcymi oczami.

- Wszyscy zginęli - szepnął. Serce podskoczyło jej w piersi, jakby zgubiło rytm. - Wszędzie pełno krwi! Zamknęli Wiolantę w komnacie, a Sójkę...

Co z nim? Nie, nie chciała tego słuchać. Zamknęła oczy, jakby w ten sposób mogła się przenieść do domu Elinor, do ogrodu pogrążonego w spokoju, do warsztatu Mo...

- Piszczalka zamknął go w klatce.

- A więc jeszcze żyje?

Kosmaty stwór przytaknął skwapliwie i jej serce uspokoiło się trochę.

- Jeszcze go potrzebują! Oczywiście, jak mogła o tym zapomnieć!

- Ale Ognistego Tancerza pożarł nocny mar!

Nie, to niemożliwe... Resa ukryła twarz w dłoniach.

- Czy Żmijogłowy jest już na zamku? - spytał Siłacz. Tulio potrząsnął głową i znów szloch wstrząsnął jego piersią. Siłacz spojrział na Resę.

- W takim razie przybędzie tam dzisiejszej nocy. I wtedy Sójka go zabije... - Jego słowa brzmiały jak zaklęcie.

- Jak?

Resa odcięła nożem płat materiału z jego ubrania i najlepiej jak potrafiła, zabandażowała mu ramię.

- W jaki sposób wpisze trzy słowa, skoro Wiolanta nie zdoła mu już pomóc, a Smolipaluch... - Nie wypowiedziała słowa „umarł”, jakby dzięki temu mogło utracić moc prawdy.

Ponad ich głowami rozległy się kroki, ale zaraz się oddaliły. Resa odwiązała woreczek Mortoli.

- Nie, Lazaro - po raz pierwszy nazwała Siłacza po imieniu - Sójka nie zabije Zmijogłowego. To jego zabiją, jak tylko wyjdzie na jaw, że nie potrafi uleczyć Pustej Księgi, a to nie potrwa długo.

Wysypała na dłoń parę ziarenek dających moc przyjmowania innej postaci.

- Co ty robisz? - Siłacz próbował jej odebrać woreczek, ale trzymała go mocno obiema rękami.

- Trzeba je włożyć pod język - szepnęła - i uważać, by żadnego nie połknąć. Jeśli się ich połknie zbyt wiele, zwierzę w nas staje się zbyt silne i zapominamy, kim byliśmy przedtem. Capri-corn miał psa, który był podobno jednym z jego ludzi, zanim Mortola zaczęła wypróbowywać na nim te nasiona. Któregoś razu pies ją zaatakował i musieli go zastrzelić. Wtedy myślałam, że to bajeczka, którą straszono służące.

Zostawiła cztery ziarenka, resztę wsypując do woreczka. Cztery drobinki wielkości ziarenek maku, tylko jaśniejsze.

- Zabierz Tulia i wracaj do jaskini, Lazaro! - rzekła do Siłacza. - Opowiedz Czarnemu Księciu o tym, co tu widzieliśmy, i o Drabie. I uważaj na Meggie!

Siłacz zrobił nieszczęśliwą minę.

- Nie możesz mi pomóc, Lazaro! - szepnęła. - Ani mnie, ani Sójce. Idź i chroń jego córkę. I pociesz Roksanę. Albo nie, nic jej na razie nie mów, ja sama jej to powiem.

Zlizwała ziarna z dłoni.

- Nigdy nie wiadomo, jakiego zwierzęcia postać się przybierze - szepnęła. - Mam nadzieję, że wyrosną mi skrzydła.

Rozdział 58

Pomoc z odległych gór

Myślał o czasach, gdy to wszystko zostało stworzone. Jakże to było dawno temu! Wtedy to wraz z braćmi zabili olbrzyma Ymera, a z jego zwłok stworzyli świat. Z jego krwi powstało morze, z jego ciała ląd, jego kości zamieniły się w góry i skały, a z jego włosów wyrosły drzewa i trawa.

Tor Age Bringsvserd, Dzicy bogowie

Meggie czekała... Tymczasem wokół rozbrzmiewały krzyki i jęki, Farid gasił czarne ognie Kopcia białymi płomieniami, Dariusz uspokajał dzieci opowiadaniem historyjek (robił to głośniejsze niż zwykle, by zagłuszyć odgłosy walki), a Elinor pomagała pozostałym kobietom przecinać liny, które ludzie Szczapy przerzucali przez gałęzie.

Skracała sobie oczekiwanie, nucąc pieśni, jakich nauczył ją Baptysta, pełne nadziei i blasku, pieśni o odważnych buntownikach. Tymczasem na dole pod drzewem zbójcy walczyli o życie, a każdy okrzyk bólu przypominał Meggie tamtą walkę w lesie, kiedy to zginął Farid. Tym razem jednak bała się już o dwóch chłopców.

Nie wiedziała, którego ma szukać wzrokiem, Farida czy Dorii, czarnej czy kasztanowatej czupryny. Czasem nie widziała żadnego z nich, tak błyskawicznie przeskakiwali z gałęzi na gałąź, tropiąc płomienie, które Kopeć wypluwał w górę niby płonąca smoła. Doria tłumił je kocami i matami, Farid zaś, urągając Kopciowi, spuszczał na jego ognie płomienie jak białe gołębie, a te dławili je swoim ognistym upierzeniem. Ileż zdołał się nauczyć od Smolipalucha! Nie, nie był już uczniem - był mistrzem. Zawisć wykrzywiła grube rysy Kopcia, a Szczapa siedział na koniu pośród drzew i przyglądał się walczącym z twarzą tak obojętną, jakby patrzył na psy rozszarpujące jelenia.

Zbójcy jak dotąd bronili dostępu do drzewa mimo liczebnej przewagi wroga, ale jak długo zdołają się jeszcze opierać?

Gdzie on się podziewał? Gdzie się podziewał ten, którego wraz z Fenogliem wezwali na pomoc? Cosimo pojawił się przecież prawie natychmiast!

Nikt nie wiedział, co czytała Meggie kilka godzin temu, nikt prócz Fenoglia i obu szklanych ludzików, którzy przysłuchiwali się jej z otwartymi ustami. Nie mieli nawet okazji, by powiedzieć o wszystkim Elinor, tak gwałtowny atak przypuścił Szczapa na ich warownię.

- Musisz mu dać trochę czasu! - powiedział Fenoglio do Meggie, gdy odłożyła kartkę z jego słowami. - Przybywa z bardzo daleka. Inaczej nie dało się tego urządzić.

Oby tylko nie przyszedł wtedy, gdy będą już martwi...

Czarny Książę był ranny w ramię, prawie wszyscy zbójcy odnieśli większe lub mniejsze rany. Wkrótce będzie za późno...

Doria z trudem uniknął trafienia strzałą. Roksana pocieszała płaczące dzieci, a Minerwa i inne kobiety nie nadażały z przecinaniem lin przerzucanych przez wroga. Kiedy on nadejdzie? Kiedy?

Wtem poczuła dokładnie to, co opisał Fenoglio: ziemia zadrżała i drzewo zadrżało wraz z nią aż po wierzchołek. Wszyscy to poczuli. Walczący opuścili broń i rozejrzeli się przerażeni. Ziemia drżała pod jego stopami. Tak właśnie opisał to Fenoglio.

„Jesteś pewien, że on nam nic nie zrobi?” - upewniła się Meggie. „Oczywiście!” - odparł z rozdrażnieniem pisarz. A wtedy Meggie pomyślała o Cosimie, który także okazał się inny, niż to sobie wyobrażał Fenoglio. A może wcale nie inny? Któż może powiedzieć, co działo się w głowie starego pisarza? Może Elinor jedna potrafiłaby odgadnąć jego myśli.

Drżenie ziemi potężniało, padały łamane gałęzie, konary, mniejsze drzewa. Z gąszczu podrywały się chmary ptactwa, a zamiast krzyków bólu dały się słyszeć okrzyki przerażenia, gdy olbrzym wynurzył się spośród drzew.

Nie, nie był tak wysoki jak ich drzewo.

„Oczywiście, że nie! - przypomniała sobie słowa Fenologia. - Nie są aż tak wielcy! Przecież to by było bez sensu! A poza tym mówiłem ci, że te gniazda zostały zbudowane po to, by chronić ich mieszkańców przed olbrzymami. To chyba oczywiste! Nie dosięgnie nas tutaj, ale za to Szczapa na jego widok umknie gdzie pieprz rośnie, ile tylko będzie miał sił w tych swoich cienkich nóżkach!”.

I Szczapa rzeczywiście umknął, tyle że nie na swoich cienkich nóżkach, ale na koniu. Pierwszy opuścił plac boju. Kopeć sparzył się własnym ogniem, a zbójcy jedynie dlatego nie pierzchli, że powstrzymał ich Czarny Książę.

Elinor pierwsza się zreflektowała i opuściła linę, przywołując do porządku pozostałe kobiety, które ze strachem gapiły się na olbrzyma.

- Spuszczajcie liny! Pospieszcie się! Chcecie, żeby ich rozdeptał?

Dzielna Elinor.

Zbójcy zaczęli wspinać się po linach na drzewo, a krzyki żołnierzy oddalały się coraz bardziej, aż całkiem umilkły. Tymczasem olbrzym zatrzymał się pod drzewem i zadarłszy głowę, przyglądał się dzieciom. Na ich drobnych twarzyczkach malowały się zachwyty i przerażenie.

„Lubią ludzkie dzieci, na tym polega problem - wyjaśnił Fenoglio, nim Meggie zaczęła czytać. - W pewnym okresie polowały na nie, łowiąc je jak motyle lub chomiki. Ale starałem się stworzyć takiego, który jest po prostu zbyt leniwy na takie zabawy. To może jednak oznaczać, że nie ma zbyt wiele rozumu!”.

Meggie nie umiała powiedzieć, czy ten olbrzym wyglądał na takiego, który ma rozum. W każdym razie inaczej go sobie wyobrażała. Poruszał się niewiele bardziej ociężale od Siłacza, a kiedy tak stał pośród drzew, Meggie przebiegło przez myśl, że to nie zbójcy, tylko on pasował wielkością do tego lasu. Jego oczy sprawiały niesamowite wrażenie, były bardziej okrągłe od ludzkich, niczym u kameleona, podobnie zresztą jak skóra. Olbrzym był nieowłosiony, tak jak wróżki i elfy, a jego skóra, ilekroć się poruszył, zmieniała kolor.

Najpierw była szarobrązowa jak kora drzew, w następnej chwili upstrzona czerwonymi cętkami przypominającymi ostatnie czerwone owoce głogu. Nawet kolor włosów zmieniał się z chwili na chwilę, raz były zielone, to znów popielate jak niebo. Dzięki temu był prawie niewidoczny pośród drzew, poruszał się jak powietrze lub jak duch lasu.

- Aaa, nareszcie jest! Fantastycznie! - Fenoglio pojawił się tak nagle obok Meggie, że o mało nie spadła z gałęzi. - My dwoje znamy się na rzeczy! Nie żebym miał coś przeciwko twojemu ojcu, ale myślę, że ty jesteś prawdziwą mistrzynią. Jesteś jeszcze na tyle dzieckiem, by widzieć obrazy kryjące się za słowami z taką wyrazistością, jak tylko dzieci to potrafią. Pewnie dlatego ten olbrzym wygląda inaczej, niż go sobie wyobrażałem.

- Ale ja go sobie także inaczej wyobrażałam - powiedziała Meggie szeptem, jakby każdym głośniejszym słowem mogła ściągnąć na nich uwagę olbrzyma.

- Naprawdę? Hm... - Pisarz przesunął się ostrożnie do przodu. - Wszystko jedno. Ciekaw jestem, co signora Loredan o nim sądzi. Bardzo jestem ciekaw.

Meggie z łatwością mogła się przekonać, co o nim sądzi Do-ria. Siedząc w koronie drzewa, po prostu nie odrywał od niego oczu. Farid też był oczarowany, tak jak bywał tylko wtedy, gdy Smolipaluch pokazywał mu nową sztuczkę z ogniem. Skoczek niepewnie przycupnął na jego kolanach, obnażając kły.

- Skończyłeś może pisać dla mojego taty? - spytała Meggie. Po raz kolejny to zrobiła! Opowiedziała dalszy ciąg historii za pomocą swego głosu i słów Fenoglia. Jak zwykle w takiej sytuacji była wyczerpana i dumna, a jednocześnie bała się tego, co przywołała.

- Słowa dla twojego ojca? Jeszcze nie, ale pracuję nad tym! - Fenoglio potarł poorane bruzdami czoło, jakby chciał zbudzić myśli ze snu. - Niestety, olbrzym nie za bardzo by mu się przydał. Ale zaufaj mi, jeszcze dzisiejszej nocy skończę pisać. A kiedy Żmijogłowy dotrze na zamek, Wiolanta przyjmie go moimi słowami. Dzięki nam - tobie i mnie - nasza historia otrzyma wreszcie szczęśliwe zakończenie. Ach, ten olbrzym jest naprawdę wspaniały! - Pisarz pochylił się, by lepiej widzieć swój twór. - Chociaż zastanawiam się, skąd mu się wzięły te oczy kameleona, nic na ten temat nie pisałem! Ale co poradzić? Wygląda... interesująco. Nie, naprawdę. Może powinienem stworzyć jeszcze kilka takich egzemplarzy. To skandal, że muszą się ukrywać w górach!

Zbójcy chyba mieli inne zdanie na ten temat, wspinali się bowiem po linach tak chyżo, jakby ludzie Szczapy deptali im po piętach. Tylko Czarny Książę wciąż stał pod drzewem ze swoim niedźwiedziem.

- Co on tam jeszcze robi na dole? - Fenoglio przechylił się niebezpiecznie i Meggie musiała go przytrzymać za kaftan. - Na miłość boską, powinien zostawić to głupie zwierzę! Olbrzymy mają bardzo słaby wzrok, nasz wybawca może go niechcący rozdeptać!

- Wiesz, że Czarny Książę nigdy by nie zostawił niedźwiedzia! - Meggie próbowała odciągnąć starego pisarza do tyłu.

- Musi go zostawić! - wrzeszczał Fenoglio.

Rzadko bywał tak wzburzony. Chyba rzeczywiście lubił Czarnego Księcia bardziej niż jakąkolwiek inną postać swojej książki.

- Uciekaj na górę, książę!

Ale Czarny Książę nie słuchał, próbując przemówić niedźwiedziowi do rozumu. Tymczasem olbrzym stał pod drzewem i gapił się na dzieci. Kilka kobiet krzyknęło, gdy wyciągnął po nie rękę, ale potężne palce nie dosięgły gniazd, jak przewidział Fenoglio, choć potwór bardzo się starał.

- Precyzyjna robota! - szepnął Fenoglio. - Widzisz, Meggie? Musiała przyznać, że tym razem pomyślała o wszystkim. Olbrzym miał rozczarowaną minę. Odstąpił w bok, a jego stopa ominęła Czarnego Księcia dosłownie o włos. Niedźwiedź zaryczał, stając na tylnych łapach, a zaskoczony olbrzym jął przyglądać się dziwnemu stworkowi wijącemu się u jego stóp.

- O nie! - jęknął Fenoglio.

Począł wrzeszczeć na twór swojej wyobraźni:

- Nie, nie, nie!!! Tego nie! Zostaw Czarnego Księcia w spokoju! Nie po to tu jesteś. Ścigaj Szczapę! Łap jego ludzi! No jazda, zabieraj się!

Olbrzym podniósł głowę, szukając źródła tych wrzasków, lecz po chwili pochylił się, chwytając księcia i niedźwiedzia, tak jak Elinor chwytiała gąsienice zżerające jej róże.

- Nie! - jęknął Fenoglio. -1 co teraz będzie? Co ja zrobiłem nie tak? Połamie mu kości!

Zbójcy wspinający się po linach zastygli z przerażenia. Jeden z nich rzucił nożem w pięść olbrzyma trzymającą Czarnego Księcia. Potwór chwycił trzonek ustami i wyszarpnął nóż, jakby to był cierń, puszczając jednocześnie księcia niby niepotrzebną zabawkę. Książę runął na ziemię i znieruchomiał. Meggie i Elinor krzyknęły, a olbrzym począł walić na oślep w zbójców wiszących na linach, jakby opędzał się od os.

Zrobiło się potworne zamieszanie, wszyscy wrzeszczeli. Baptysta zjechał po linie, by pomóc księciu, Farid, Doria, a nawet Elinor poszli w jego ślady. Roksana z pobladłą twarzą przytuliła do łona dwójkę płaczących maluchów, a Fenoglio z bezsilną złością szarpał liny, których się trzymał.

- Nie! - krzyknął raz jeszcze. - To niemożliwe!

Wtem jedna z lin się urwała i pisarz runął w dół, zanim Meggie zdążyła go złapać, a olbrzym chwycił go w powietrzu jak dojrzały owoc spadający z drzewa. Fenoglio miał na twarzy wyraz bezgranicznego zdumienia.

Dzieci przestały płakać, kobiety i zbójcy zamarli w milczeniu, gdy olbrzym usiadł pod drzewem, oglądając niespodziewaną zdobycz. Puścił niedbale niedźwiedzia, ale za to znów chwycił nieprzypadkowego Księcia. Niedźwiedź chciał przyjść z pomocą swemu panu, lecz olbrzym odepchnął go niecierpliwie, wstał i spojrzawszy po raz ostatni na dzieci, odszedł, trzymając w prawej ręce Fenoglię, a w lewej Czarnego Księcia.

Rozdział 59

Anioly Sójki

Pytam cię: co byś zrobił na moim miejscu? Powiedz mi! Ale ty jesteś z dala od tego wszystkiego. Kartkujesz strony łączące w jakimś sensie twoje życie z moim, ale twoje oczy są bezpieczne. Ta historia to po prostu kolejny rozdział otwierający się w twojej głowie. A dla mnie to być albo nie być.

Markus Zusak, Dżoker

Orfeusz zobaczył Wioletę po raz pierwszy na jednej z uroczystości Szczapy i już wtedy zaczął sobie wyobrazać, jak by to było, gdyby u jej boku rządził Ombra. Każda z jego służących była ładniejsza od córki Żmijogłowego, ale Wioleta miała coś, czego tamtym nie dostawało: dumę, ambicję, żądzę władzy. Wszystko to bardzo podobało się Orfeuszowi i serce bilo mu mocno w piersi, kiedy Piszczalka wprowadził księżnę do Komnaty Tysiąca Okien. Głowę miała wysoko podniesioną, choć postawiła wszystko na jedną kartę i przegrała.

Zmierzyła ich wszystkich takim wzrokiem, jakby to oni byli przegrani: ojca, Palucha, Piszczalkę. Orfeusza zaledwie musnęła spojrzeniem, bo skąd mogła wiedzieć, jak ważną rolę odgrywał w tej historii. Żmijogłowy dotąd tkwiłby w lesie, gdyby na miejsce złamanego koła Orfeusz nie stworzył mu czterech nowych.

Jakim wzrokiem na niego patrzyli! Nawet ochroniarz Paluch czuł przed nim respekt.

W Komnacie Tysiąca Okien nie było już okien. Zasłonięto je kirem i tylko pięć płonących pochodni dawało nieco światła, aby Żmijogłowy mógł widzieć swojego śmiertelnego wroga.

Kiedy strażnicy wprowadzili Mortimera, na dumnej twarzy Wiolety pokazała się jakby rysa w masce, ale księżna szybko się opanowała. Orfeusz stwierdził z satysfakcją, że więzień nie był zbyt dobrze traktowany. Sójka ledwie trzymał się na nogach, choć ręce - o co na pewno zadbał Piszczalka - miał całe.

Światło pochodni padało tylko na Mortimera, a Zmijogłowy siedział w ciemności. Zapewne nie chciał dać swemu więźniowi satysfakcji oglądania jego opuchniętego ciała. Ale zapachu nie dało się ukryć.

- No jak, Sójko? Pewnie moja córka w innych barwach malowała ci to spotkanie? - Słowem Zmijogłowego towarzyszył chrapliwy oddech starego człowieka. - Byłem bardzo zadowolony, kiedy Wiolanta zaproponowała mi ten zamek jako miejsce spotkania. Już raz przyniósł mi szczęście, choć trwało ono krótko. A poza tym byłem pewien, że matka nie powiedziała jej nic o tajnym korytarzu. Opowiadała jej bardzo wiele o tym zamku, lecz niewiele z tego było prawdą.

Wiolanta zachowała kamienną twarz.

- Nie wiem, o czym mówisz, ojczy - powiedziała. Zadała sobie wiele trudu, by nie spojrzeć na Mortimera. „Wzruszające” - pomyślał Orfeusz.

- W ogóle nic nie wiesz i na tym właśnie polega problem - roześmiał się Zmijogłowy. - Często posyłałem szpiegów, by podsłuchiwali, o czym matka opowiada ci w starej komnacie. Znam te jej opowiadki o szczęśliwym dzieciństwie, słodkie kłamstwa, które sprawiały, że córka marzyła o miejscu zupełnie innym niż zamek, w którym dorastała matka. Rzeczywistość na ogół różni się od tego, co się o niej mówi, a ty zawsze myliłaś słowa z prawdą. Podobnie jak twoja matka, nigdy nie potrafiłaś odróżnić pragnień od tego, co istnieje naprawdę. Czy nie jest tak?

Wiolanta nie odpowiedziała. Stała jak zawsze z dumnie podniesioną głową, wpatrując się w ciemność, skąd dochodził głos ojca.

- Kiedy po raz pierwszy spotkałem twoją matkę w tej właśnie sali, myślała tylko o jednym: żeby się stąd wydostać. Spróbowała by pofrunąć, gdyby tylko ojciec dał jej po temu okazję. Czy mówiła ci o tym, że jedna z jej sióstr spadła i zabiła się, gdy usiłowała się wydostać z zamku przez jedno z tych okien? Nie? A o tym, że wodnice o mało jej nie utopiły, gdy próbowała przepłynąć jezioro? Pewnie nie. Zamiast tego powiedziała ci, że zmusiłem jej ojca, by mi ją oddał za żonę, i że wywiozłem ją z zamku siłą. Kto wie, może w końcu sama w to uwierzyła.

- Kłamiesz - odparła Wiolanta, z trudem zachowując panowanie nad sobą. - Nie będę cię więcej słuchać.

- Owszem, będziesz - rzekł spokojnie Zmijogłowy. - Najwyższy czas, żebyś przestała się ukrywać przed rzeczywistością za zmyślonymi historyjkami. Twój dziadek lubił pozbywać się adoratorów córek, dlatego matka pokazała mi ten tunel, przez który Piszczalka

dostał się niezauważony na zamek. Była wtedy bardzo zakochana we mnie, choć wiem, że mówiła ci co innego.

- Po co mi opowiadasz te kłamstwa? - Wiolanta wyprostowała się dumnie, ale głos jej drżał. - To nie mama pokazała ci tunel. Na pewno wypatrzył go któryś z twoich szpiegów. I nigdy cię nie kochała.

- Możesz myśleć, co ci się żywnie podoba. Przypuszczam, że niewiele wiesz o miłości. - Zmijogłowy zakasłał i podniósł się ciężko z fotela. Wiolanta cofnęła się, gdy ojciec wszedł w krąg światła. - Tak, tak, obejrzyj sobie, co twój szlachetny rycerz ze mnie zrobił - dodał, podchodząc wolno do Mortimera.

Chodzenie sprawiało mu wielki ból. Orfeusz miał okazję się o tym przekonać podczas długiej podróży na ten ponury zamek. A mimo to trzymał się prosto jak jego córka.

- Ale nie mówmy więcej o przeszłości - powiedział, tak bardzo zbliżając się do Mortimera, że bijący od niego zaduch stał się nie do wytrzymania - ani o tym, jak moja córka wyobrażała sobie transakcję. Spróbuj mnie przekonać - zwrócił się do Mo - że ma sens nie obdzierać cię od razu ze skóry i nie zrobić tego samego z twoją żoną i córką. Pewnie myślisz, że są teraz bezpieczne. W końcu zostawiłeś je pod opieką Czarnego Księcia, prawda? Ale ja wiem o tej jaskini, w której się ukryli, a mój bezużyteczny szwagier pewnie je do tej pory złapał i zabrał do Ombry.

O tak, to był celny strzał.

„Zgadnij, szlachetny rycerzu, kto powiedział Zmijogłowemu o jaskini!” - myślał Orfeusz, uśmiechając się szeroko, gdy Mortimer na niego spojrzał.

- No to jak...? - Zmijogłowy pchnął go pięścią w to samo miejsce, gdzie trafiła go kula ze strzelby Mortoli. - Czy możesz cofnąć skutki swojej przebiegłości? Czy możesz wyleczyć księgę, za pomocą której tak podle mnie podszedłeś?

- Oczywiście - odparł Mortimer bez wahania. - Jeśli tylko mi ją dasz.

Owszem, mimo że Sójka znalazł się w sytuacji bez wyjścia, jego głos wciąż robił wrażenie, Orfeusz musiał to przyznać (choć jego własny głos brzmiał oczywiście o wiele lepiej). Ale Zmijogłowy nie uległ jego czarowi. Z całej siły uderzył Mortimera w twarz, tak że ten upadł na kolana.

- Naprawdę myślisz, że mnie oszukasz po raz drugi? - krzyknął. - Uważasz mnie za głupca? Nikt nie może wyleczyć tej księgi! Żeby zdobyć tę wiedzę, musiałem uśmiercić wielu przedstawicieli twojego fachu. Księga jest stracona, a to oznacza, że moje ciało będzie się rozkładało po wieczne czasy. Codziennie walczę z pokusą, by samemu wpisać te trzy słowa i położyć wszystkiemu kres. Ale teraz przyszedł mi do głowy lepszy pomysł. W tym celu będę

cię jeszcze potrzebował i dlatego jestem wdzięczny mojej córce, że tak się o ciebie troszczyła. Bądź co bądź - dodał, spoglądając na Piszczalkę - znam krewki charakter mojego herolda.

Piszczalka chciał coś rzec, ale Zmijogłowy niecierpliwie uniósł dłoń i znów odwrócił się do Mortimera.

- Jaki to pomysł? - Tym razem słynny głos był ochrypły. Czyżby Sójka w końcu się jednak przestraszył? Orfeusz czuł się jak chłopiec, który z przyjemnością czyta szczególnie ekscytującą scenę w książce.

„Mam nadzieję, że się boi - myślał poeta. - I mam też nadzieję, że to jeden z ostatnich rozdziałów, w których występuje”.

Twarz Mortimera wykrzywił grymas bólu, gdy poczuł pod żebrami nóż Piszczalki.

„Nie da się ukryć, że wybrałeś sobie w tej historii nieodpowiednich wrogów - myślał Orfeusz. - I nieodpowiednich przyjaciół”.

Ale tacy właśnie są ci dobrzy bohaterowie. Po prostu głupi.

- Jaki pomysł? - powtórzył Zmijogłowy, trąc swędzące ciało. - Zrobisz mi nową księgę, to chyba oczywiste. Ale tym razem ani na sekundę nie spuścimy cię z oczu. A kiedy już nowa księga o nieskazitelnie białych kartach zacznie mnie chronić przed śmiercią, wpiszemy do tej starej twoje imię, żebyś poczuł, jak to jest, kiedy się żywcem gnije. A potem będę ją darł na drobniutkie kawałeczki, strona po stronie, i będę patrzył, jak twoje ciało się drze i jak błagasz białe damy, aby cię zabrały. Czy to nie jest dobre rozwiązanie?

„Aha, nowa księga, to niegłupie - uznał w duchu Orfeusz. - Ale moje imię wyglądałoby o wiele lepiej na tych dziewiczych kartach! Próżne nadzieje, Orfeuszu!”.

Piszczalka przytknął Mortimerowi ostrze noża do szyi.

- No, jaka jest twoja odpowiedź, Sójko? Mam ci ją przesyła-bizować nożem?

Mortimer milczał.

- Odpowiedz! - krzyknął Piszczalka. - Czy mam to zrobić za ciebie? Zresztą jest tylko jedna odpowiedź.

Mortimer nadal milczał, lecz zamiast niego przemówiła Wiolanta.

- Dlaczego miałby ci pomagać, skoro i tak zamierzasz go zabić? - zwróciła się do ojca. Zmijogłowy wzruszył ramionami.

- No cóż, mógłbym mu zgotować lżejszą śmierć albo wysłać do kopalń jego żonę i córkę, zamiast je zabijać. W końcu już raz się o nie targowaliśmy.

- Ale tym razem na szczęście nie masz ich w swojej mocy. - Głos Mortimera brzmiał tak, jakby on sam przebywał duchem daleko stąd.

„Odmówi! - pomyślał ze zdumieniem Orfeusz. - Co za głupiec z niego!”.

- Jeszcze nie, ale wkrótce to nastąpi - odezwał się Piszczalka, rysując końcem noża serce na piersi Mortimera, w miejscu, gdzie ono biło. - Orfeusz opisał nam bardzo dokładnie ich kryjówkę. Słyszałeś: w tej chwili Szczapa najprawdopodobniej prowadzi je do Ombry.

Mortimer znów spojrzał na Orfeusza, a nienawiść w jego oczach sprawiła poecie przyjemność, smakowała mu bardziej od tych ciasteczek, które Oss musiał mu codziennie kupować na rynku. Niestety, Ossa pożarł nocny mar, gdy tylko wydobył się ze słów Fenoglia (trochę to trwało, zanim Orfeusz zdołał nad nim zapanować), ale o nowego ochroniarza nie będzie trudno.

- Możesz się zaraz zabrać do roboty. Twoja szlachetna opiekunka zdążyła już przygotować wszystko co trzeba! - syknął Piszczalka i tym razem popłynęła krew, gdy znów przytknął nóż do szyi Mortimera. - Zrobiła wszystko, żeby nas przekonać, że żyjesz jeszcze tylko dlatego, iż masz wyleczyć książkę. Co za komedia! Ale zawsze miała słabość do kuglarzy.

Mortimer nie zwracał uwagi na Piszczalkę, jakby ten był powietrzem, patrzył tylko na Zmijogłowego.

- Nie - powiedział, a słowo to padło ciężko i ostatecznie w mrok sali. - Nie zrobię ci drugiej książki. Śmierć nie wybaczyłaby mi tego po raz drugi.

Wiolanta poruszyła się niespokojnie i postąpiła krok w jego kierunku, ale Mortimer to zignorował.

- Nie słuchaj go! - zawołała do ojca. - On to na pewno robi, tylko daj mu trochę czasu.

Oho, rzeczywiście zależało jej na Sójce. Orfeusz zmarszczył czoło. Jeszcze jeden powód, by posłać go do diabła! Zmijogłowy w zamyśleniu patrzył na córkę.

- Dlaczego ci tak zależy, żeby to zrobił? - spytał.

- Chodzi... o ciebie... - Wiolanta straciła pewność siebie. - Wyzdrowiałbyś dzięki temu.

- Nie rozumiem. - Zmijogłowy dyszał ciężko. - Przecież życzysz sobie mojej śmierci. Nie zaprzeczaj. To mi się właśnie w tobie podoba! Bo to oznacza, że w twoich żyłach płynie moja krew. Czasami naprawdę myślę, żeby ci oddać tron Ombry. Na pewno poradziłabyś sobie lepiej od mojego szwagra.

- Oczywiście, że poradziłabym sobie lepiej! Posyłałabym ci sześć razy tyle złota, bo nie tracę go na ucztę i polowania. Ale za to musisz mi zostawić Sójkę, kiedy już zrobi to, czego od niego żadasz.

Naprawdę imponujące! Wciąż jeszcze stawiała warunki.

„Podoba mi się - myślał Orfeusz. - Bardzo mi się podoba. Trzeba jej tylko wybić z głowy miłość do wyjętych spod prawa introligatorów. A wtedy... jakie możliwości!”.

Żmijogłowemu córka najwyraźniej też się coraz bardziej podobała. Wybuchnął głośnym śmiechem. Orfeusz jeszcze go nie widział w tak dobrym humorze.

- Popatrzcie tylko na nią! - wykrzyknął. - Targuje się ze mną, chociaż nie ma nic do zaoferowania! Odprowadźcie ją do komnaty - rozkazał żołnierzom. - Tylko dobrze jej pilnujcie. I poślijcie do niej Jacopa, syn powinien być przy matce. A ty - zwrócił się do Mortimera - albo zgodzisz się dobrowolnie, albo mój ochroniarz cię do tego zmusi.

Piszczalka ze złością opuścił nóż, gdy z mroku wystąpiła chuda postać ochroniarza. Wiolanta zerknęła niespokojnie na Palucha, wrywając się żołnierzom, którzy ją wyprowadzali. Ale Mortimer nadal milczał.

- Wasza Wysokość! - Orfeusz z szacunkiem (a przynajmniej tak mu się zdawało) wystąpił naprzód. - Pozwól, panie, żebym to ja wydobył z niego zgodę!

Szepnął jakieś imię (wystarczyło go wezwać po imieniu, jak psa) i z jego cienia wyłonił się nocny mar.

- Bzdura! - zawołał Piszczalka. - Żeby Sójka zamienił się w trupa jak Ognisty Tancerz? Nie! - szarpnął Mortimera, podnosząc nóż.

- Głuchy jesteś, Piszczalko? Ja przejmuję to zadanie - warknął Paluch, zdejmując czarne rękawice.

Orfeusz poczuł gorycz rozczarowania niby smak gorzkich migdałów na języku. Taka okazja zasłużyć się Żmijogłowemu! Ach, gdyby miał książkę, zaraz by usunął Piszczalkę z tego świata! Razem z tym całym Paluchem.

- Wysłuchaj mnie, panie! - Orfeusz zastąpił Żmijogłowemu drogę. - Ośmielam się prosić, by w trakcie tej niezbyt przyjemnej dla więźnia procedury wydobyto z niego jeszcze drugą odpowiedź. Zapewne przypominasz sobie tę książkę, o której ci mówiłem, a która pozwoliłaby ci zmieniać ten świat wedle własnego życzenia. Wydobądź z niego odpowiedź, gdzie ona jest!

Ale Żmijogłowy odwrócił się do niego plecami.

- Później - mruknął i z jękiem opadł na fotel, pograżając się w ciemnościach. - Teraz chodzi o książkę, która ma strony białe jak śnieg. Zaczynaj, Paluchu! - Z mroku wydobywało się ciężkie sapanie. - Tylko uważaj na jego ręce.

Kiedy Orfeusz poczuł chłód na twarzy, pomyślał, że to nagły podmuch wiatru wpadł przez zasłonięte kirem okno. Ale w tej samej chwili zobaczył je obok Sójki, równie białe i przerażające jak wtedy na Cmentarzu Wagantów. Otaczały Mortimera niby bezskrzydłe

anioły - postacie z mgły, o twarzach białych jak wyblakłe kości. Piszczalka cofnął się gwałtownie, upadł i skaleczył się własnym nożem. Nawet twarz Palucha utraciła swój zwykły obojętny wyraz. Żołnierze pilnujący Mortimera pierzchli jak wystraszone dzieci.

To niemożliwe! Dlaczego go chroniły? Z wdzięczności za to, że już raz je wyprowadził w pole? Że im wydarł Smolipalucha? Orfeusz czuł, że nocny mar za jego plecami kuli się jak zbity pies. Jak to, on też się ich bał? Nie, nie i nie, do diabła! Trzeba tę historię napisać całkiem na nowo! I on tego dokona! O tak, znajdzie na to sposób.

Co one szeptały?

Blade światło bijące od cór śmierci oświetliło kąt, w którym znajdował się Żmijogłowy, i Orfeusz zobaczył, że Srebrny Książę z trudem łapie oddech, zasłaniając oczy rękami. A więc wciąż jeszcze bał się białych dam, choć uśmiercił tylu ludzi w Mrocznym Zamku, aby udowodnić, że jest inaczej. Po prostu kłamał. Jego nieśmiertelne ciało trzęsło się ze strachu.

A Mortimer stał pośród aniołów śmierci Fenoglia, jakby były częścią jego istoty - i uśmiechał się.

Rozdział 60

Matka i syn

Zapach mokrej ziemi i świeżego rozrostu przetacza się nade mną. Mokry, śliski, z kwaśnym posmakiem jak kora drzewa. Pachnie jak młodość, pachnie jak złamane serce.

Margaret Atwood, Ślepy zabójca

Żmijogłowy kazał oczywiście zamknąć Wiolantę w dawnej komnacie jej matki. Dobrze wiedział, że kłamstwa matki będą tam wołały do niej najgłośniej. Nie, to niemożliwe. Matka nigdy nie kłamała. Matka i ojciec byli zawsze dla niej synonimami dobra i zła, prawdy i kłamstwa, miłości i nienawiści. Wszystko było wtedy takie proste! A teraz ojciec odebrał jej nawet to. Szukała w sobie dawnej dumy i siły, które były jej oparciem, ale znalazła tylko brzydką małą dziewczynkę, której nadzieje obróciły się w proch, ze strzaskanym obrazem matki w sercu.

Przyłożyła ucho do zaryglowanych drzwi, nasłuchując krzyków Sójki, ale ciszę zakłócały jedynie głosy strażników za drzwiami. Dlaczego się nie zgodził? Może myślał, że będzie go jednak mogła obronić? Paluch szybko wyprowadzi go z błędu. Przypomniał jej się grajek, którego ojciec kazał poćwiartować tylko dlatego, że śpiewał dla matki, a także służący, który im przyniósł książki i za to został zagłodzony w klatce zawieszanej pod ich

oknem. Dawali mu pergamin do jedzenia. Jak mogła obiecać Sójce ochronę, skoro do tej pory każdy, kto był po jej stronie, ponosił śmierć?

- Paluch będzie z niego darł pasy! - dobiegł do niej jak przez mgłę głos Jacopa. - Podobno potrafi tak zręcznie zdierać z człowieka skórę, że ten przy tym nie umiera. Zdobywał praktykę na trupach!

- Cicho bądź!

Miała ochotę uderzyć go w tę bladą twarz, która coraz bardziej przypominała Cosima, choć mały z całej siły pragnął być podobny do dziadka.

- Nic stąd nie usłyszysz. Zaprowadzą go na dół, do piwnicy z otworami. Byłem tam. Są tam jeszcze wszystkie narzędzia, chociaż zardzewiały: łańcuchy, noże, imadła i żelazne kolce...

Umilkł pod wpływem wzroku matki. Wiolanta podeszła do okna. Klatka, w której za pierwszym razem zamknęli Sójkę, była pusta. Nadal leżał przed nią tylko trup Ognistego Tancerza. Dziwne, że kruki nie rzucają się na padlinę, jakby się bały tych zwłok.

Jacopo wziął talerz, który mu przyniosła jedna ze służących, i nadąsany grzebał w jedzeniu. Ile miał lat? Zapomniała. Dobrze chociaż, że przestał zakładać blaszany nos, odkąd Piszczalka go za to wyśmiała.

- Lubisz go.

- Kogo?

- Sójkę.

- Jest lepszy od nich wszystkich.

Znów zaczęła nasłuchiwać pod drzwiami. Dlaczego się nie zgodził? Może wtedy zdołałaby go jeszcze uratować.

- Jeśli Sójka zrobi nową książkę, to dziadek dalej będzie tak okropnie śmierdział? Myślę, że tak. Myślę, że kiedyś po prostu padnie trupem. Już teraz wygląda jak trup.

Jak obojętnie to mówił. Dwa miesiące temu Jacopo jeszcze uwielbiał jej ojca. Czy wszystkie dzieci są takie? Skąd mogła wiedzieć? Miała tylko jedno. Dzieci... Wciąż widziała je oczyma duszy, jak wybiegają z bramy zamkowej w Ombrze wprost w ramiona matek. Czy były naprawdę warte tego, żeby Sójka za nie umarł?

- Nie mogę już patrzeć na dziadka! - wykrzyknął Jacopo, zasłaniając oczy rękami. - Kiedy umrze, zostanę królem?

Chłodny ton syna zaimponował Wiolancie i przeraził ją jednocześnie.

- Nie, nie zostaniesz. Królem będzie jego syn. Królem Mrocznego Zamku i prawdopodobnie królem Ombrzy.

- Ale on jest niemowlęciem.

- No to co? Dopóki nie dorosnie, będzie rządziła za niego matka. I Szczapa.

„A poza tym jak na razie twój dziadek jest nieśmiertelny - dodała w myślach - i nie zanosz się na to, żeby to kiedykolwiek miało się zmienić”.

Jacopo odsunął talerz i podszedł do Brianny, która zajęta była haftowaniem. Pracowała nad obrazem rycerza do złudzenia przypominającego Cosima, choć twierdziła, że to bohater starej bajki. Dobrze było mieć ją znowu przy sobie, mimo że od czasu gdy nocny mar zabił jej ojca, była jeszcze bardziej milcząca niż zwykle. Może go jednak kochała? Większość dziewczynek kocha swoich ojców.

- Brianna! - Jacopo szarpnął ją za włosy. - Poczytaj mi. Rusz się, nudno mi.

- Potrafisz sam czytać, i to bardzo dobrze - odparła Brianna, uwalniając włosy, i haftowała dalej.

- Przeprowadzę nocnego mara! - zapiszczał Jacopo. - Niech cię pożre, jak twojego ojca. Aha, zapomniałem, wcale go nie pożarł, leży dalej pod klatką i krzyczy się nim pozywając.

Brianna nawet nie podniosła głowy, ale Wiolanta widziała, że ze zdenerwowania drżą jej ręce i że ukłuła się w palec. - Jacopo!

Odwrócił się do niej i przez ułamek sekundy Wiolanta dostrzegła w jego oczach niemą prośbę, by mówiła dalej.

„Uderz mnie, ukarż! - mówiły jego oczy. - Albo mnie przytul. Boję się. Nienawidzę tego zamku. Chcę do domu!”.

Nie chciała mieć dzieci, bała się ich. Ale ojciec Cosima błagał o wnuka. Co miała zrobić z dzieckiem? Z trudem dawała sobie radę z własnym poranionym sercem. Gdyby to była chociaż dziewczynka. Sójka ma córkę. Wszyscy mówią, że ją bardzo kocha. Może dla niej ustąpiłby ojcu i zrobiłby mu drugą księgę. A co dalej? O jego żonie wołała nie myśleć. Może umrze. Szczapa obchodził się bardzo brutalnie z upolowaną zwierzyną.

- Masz mi czytać! - zawołał Jacopo, tak gwałtownie wyrrywając Briannie z rąk robótkę, że znów ukłuła się w palec. - Wygląda jak mój ojciec - orzekł.

- Wcale nie! - Brianna zerknęła na Wiolantę.

- Właśnie, że tak! Dlaczego nie powiesz Sójce, żeby go przyprowadził z krainy umarłych, tak jak twojego ojca?

Dawniej Brianna uderzyłaby go za takie zachowanie, ale od śmierci Cosima coś się w niej załamało. Stała się łagodna jak wnętrze muszli, łagodna i zboląta.

Mimo to Wiolanta wołała jej towarzystwo od samotności. Łatwiej jej było zasypiać, gdy Brianna śpiewała jej pieśni na dobranoc.

Wtem na zewnątrz odsunięto rygiel.

Co to mogło znaczyć? Czy przychodzą, by jej oznajmić, że Piszczalka zabił Sójkę?
Lub że Paluch go skruszył jak innych?

„Co by to zmieniło? - myślała. - Twoje serce i tak już przecież pękło z żalu”.

- Wasza Wysokość! - Orfeusz skłonił się tak nisko, że zakrawało to na kpinę.

- Czyżby Sójka dał jednak mojemu ojcu pozytywną odpowiedź?

- Niestety, nie dał. Ale jeszcze żyje, gdyby cię to, pani, interesowało.

Jak niewinnie patrzyły jego oczy spoza szkieł. Sama sprawiła sobie podobne, choć nosiła je rzadko. Czasem wolała patrzeć na świat przez zasłonę.

- Gdzie on jest?

- Aha, widziałaś pustą klatkę. No, cóż, doradziłem Zmijogło-wemu inne miejsce dla Sójki. Zapewne znacie te lochy, gdzie twój dziadek wrzucał więźniów. Jestem przekonany, że tam na dole nasz szlachetny rycerz szybko przestanie się opierać życzeniom twojego ojca. Ale przejdźmy do powodu moich odwiedzin.

Jego uśmiech był słodki jak syrop. Czegóż mógł od niej chcieć?

- Wasza Wysokość... - zdawał się tym miękkim głosem przeciągać po jej skórze, tak jak Balbulus przeciągał zajęczą łapką po pergaminie, chcąc go wygładzić. - Podobnie jak ty, pani, jestem wielkim miłośnikiem książek. Dowiedziałem się z żalem, że biblioteka zamkowa jest w opłakanym stanie. Ale doszło do moich uszu, że ty zawsze masz ze sobą kilka książek. Czy zechciałabyś mi, pani, wypożyczyć jedną albo dwie? Oczywiście odwdzięczę się za to w każdy możliwy sposób.

- A co z moją książką? - Jacopo wysunął się przed Wiolan-tę, krzyżując ręce na piersiach, jak robił to jego dziadek, póki chciały się zginać. - Jeszcze mi jej nie oddałeś. Jesteś mi winien... - policzył na krótkich tłustych paluszkach - dwanaście srebrnych monet.

Spojrzenie, jakim Orfeusz obrzucił Jacopa, nie było ani ciepłe, ani słodkie. Lecz jego głos był wciąż samą słodyczą.

- Ależ oczywiście! Dobrze, że mi o tym przypominasz, królewiczu. Przyjdź do mojej komnaty, a dam ci monety i książkę. A teraz pozwól mi porozmawiać z twoją matką, zgoda? - I z przepaszającym uśmiechem odwrócił się znów do Wiolanty. - A więc jak? - zaczął poufnym szeptem. - Czy pożyczysz mi, pani, książki? Opowiadają cuda o twoich księgach i zapewniam cię, że będę się z nimi obchodził z najwyższą czcią.

- Ma ze sobą tylko dwie! - Jacopo wskazał skrzynię stojącą obok łóżka. - Obie są o Sój...

Wiolanta zasłoniła mu usta dłonią, ale Orfeusz już zrobił krok w kierunku skrzyni.

- Przykro mi - powiedziała, zastępując mu drogę. - Za bardzo jestem do nich przywiązana, by je oddać w czyjekolwiek ręce, a ojciec, jak pewnie słyszałeś, zadbał o to, by Balbulus już nigdy więcej nie stworzył żadnej księgi.

Orfeusz nie słuchał, jak zaczarowany wpatrując się w skrzynię.

- Może pozwolisz mi je chociaż obejrzeć?

- Nie dawaj mu ich, pani!

Orfeusz do tej pory nie zauważył obecności Brianny. Twarz mu stężała, gdy usłyszał jej głos, tłuste dłonie zacisnęły się w pięści.

Brianna wyprostowała się, przyjmując ze spokojem jego wrogie spojrzenie.

- On robi dziwne rzeczy z księgami - rzekła. - Z księgami i wyrazami, jakie zawierają. I nienawidzi Sójki. Ojciec mówił mi, że chciał go przehandlować śmierci.

- W głowie jej się pomieszało! - wyjąka! Orfeusz i wyraźnie zdenerwowany poprawił okulary. - Była u mnie służącą, jak zapewne wiesz, pani, i przyłapałem ją na kradzieży. Dlatego mówi o mnie takie rzeczy.

Brianna poczerwieniała, jakby ktoś oblał jej twarz wrzątkiem, ale Wiolanta stanęła w jej obronie.

- Brianna nigdy by nic nie ukradła - powiedziała stanowczo. - A teraz odejdz. Nie mogę dać ci ksiąg.

- Nigdy by nic nie ukradła, mówisz? - odrzekł Orfeusz, próbując nadać swemu głosowi aksamitne brzmienie. - O ile wiem, pani, ukradła ci męża.

- Proszę!

Zanim Wiolanta zdążyła zareagować, Jacopo stanął przed Orfeuszem, trzymając w rękach dwie księgi.

- Którą chcesz? Tę grubszą czyta chętniej. Ale tym razem musisz mi więcej zapłacić!

Wiolanta próbowała mu odebrać książki, lecz Jacopo okazał się nadszadziewanie silny, a Orfeusz otworzył prędko drzwi, wołając:

- Szybko, zabierz te księgi na przechowanie!

Żołnierz bez trudu wyjął księgi z rąk Jacopa i Orfeusz począł je szybko wertować. Po chwili podniósł na Wiolantę triumfalny wzrok.

- Tak, to jest dokładnie ten materiał, którego potrzebuję - powiedział. - Otrzymasz, pani, księgi z powrotem, jak tylko spełnią swoje zadanie. I tym razem będę je miał za darmo, chciwy potomku martwego księcia! - syknął do Jacopa, szczypiąc go boleśnie w policzek. - Lepiej też zapomnijmy o wynagrodzeniu za tę pierwszą książkę, chyba że chcesz zawrzeć znajomość z moim nocnym marem. Z pewnością już o nim słyszałaś?

Jacopo patrzył na Orfeusza z mieszaniną strachu i nienawiści na twarzy.

Tymczasem poeta z dwornym ukłonem wycofywał się tyłem na korytarz.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować, pani - rzekł na odchodnym. - Nawet sobie nie zdajesz sprawy, jakim szczęściem są dla mnie te księgi. Teraz Sójka szybko zgodzi się na propozycję twojego ojca.

Gdy strażę na zewnątrz znów zaryglowały drzwi, Jacopo z wściekłością przygryzł wargi, jak zawsze gdy coś poszło nie po jego myśli. Wiolanta wymierzyła mu siarczysty policzek, tak że zatoczył się i upadł na łóżko. Popłakiwał cichutko, wlepiając w nią spojrzenie zbitego psa.

Brianna podniosła go i otarła mu łzy rąbkiem sukni.

Wiolanta cała się trzęsła.

- Co Podwójnooki zamierza zrobić z tymi księgami? - spytała drżącym głosem.

- Nie wiem - odparła Brianna. - Wiem tylko, że mój ojciec ukradł mu jedną księgę, bo narobił z jej pomocą wiele złego.

Wiele złego.

„Teraz Sójka szybko zgodzi się na propozycję twojego ojca”.

Rozdział 61

W nowej postaci

Archimedes dojadł szpaka, schludnie oczyścił dziób o gałąź i spojrzął Wartowi prosto w oczy. Jego własne narządy wzroku, okrągłe jak spodki, miały w sobie - jak to wyraził poeta - załączek światła, podobny liliowej poświacie na winnym gronie.

- Skoro już umiesz latać, Merlyn życzy sobie, abyś poznał Dzikie Gęsi.

T.H. White, Był sobie raz na zawsze król, t. 1 Miecz dla króla

Latanie okazało się bardzo łatwe. Nie musiała się go wcale uczyć, ptasie ciało - pióra, delikatne kosteczki - samo z siebie miało tę umiejętność. Ziarenka rzeczywiście zmieniły Resę w ptaka, dostała przy tym bolesnych skurczów, które przeraziły Siłacza nie na żarty. Jednak nie przybrała postaci sroki, tak jak Mortola.

- Jaskółeczka! - szepnął Lázaro, gdy usiadła mu na dłoni. Kręciło jej się w głowie z wrażenia, bo nagle wszystko było takie ogromne. - Jaskółki to miłe ptaszki, pasują do ciebie.

Siłacz delikatnie pogładził palcem jej skrzydełka, a Resa nie mogła się nadziwić, że nie potrafi się do niego uśmiechnąć. Ale za to mogła mówić swym normalnym ludzkim głosem, co biednego Tulia wprowadziło w jeszcze większe przerażenie.

Pióra stanowiły doskonałą ochronę przed zimnem, a strażnicy nad brzegiem jeziora nawet nie podnieśli głów, gdy nad nimi przelatywała. Wyglądało na to, że na razie nie znaleźli martwych towarzyszy. Herb na ich szarych płaszczach przypominał Resie lochy Mrocznego Zamku.

„Zapomnij o tym - myślała, czując pod skrzydłami wiatr unoszący ją w dal. - Ale to, co ma dopiero nadejść, możesz jeszcze zmienić. Chyba że życie jest splotem zrzędzeń losu, od których nie ma ucieczki... Nie myśl, Reso, tylko leć!”

Gdzie on był? Gdzie był Mo?

„Piszczalka zamknął go w klatce”. Tulio nie potrafił jej wytłumaczyć, gdzie się ta klatka znajduje. „Na dziedzińcu - wyjąkał tylko. - Na dziedzińcu z wymalowanymi ptakami”.

Resa słyszała o salach zamkowych pokrytych malowidłami. Ale z zewnątrz mury były czarne. Zamek zbudowano z tego samego ciemnego kamienia, którego pełno leżało nad brzegiem jeziora. Była szczęśliwa, że nie musi iść przez most, gdzie roilo się od żołnierzy. Padało; pod nią krople deszczu malowały w nieskończoność maleńkie kręgi na wodzie. Jej ciało było nieważkie, latanie sprawiało jej rozkosz. Widziała pod sobą swój cień, gdy śmigiała jak strzała nad wodą. Wreszcie wyrosły przed nią wieże, mury obronne i pokryte szarym łupkiem dachy, między którymi ziały ciemne studnie dziedzińców. Nagie drzewa, psie budy, studnia, zwarzony mrozem sad, a wszędzie pełno żołnierzy. Gdzie klatki...?

Znalazła je bez trudu. Ale najpierw zobaczyła ciało Smolipa-lucha rzucone na szare płyty posadzki niby kłęb starych ubrań. O Boże! A miała nadzieję, że już nigdy coś takiego się nie powtórzy. Obok stało dziecko wpatrzone w nieruchome ciało, jakby czekając, aż kuglarz ożyje. Raz już tak się zdarzyło, jeśli wierzyć pieśniom wagantów. Miała ochotę krzyknąć do dziecka: „Pieśni nie kłamią! Sama widziałam, jak się uśmiechał i całował żonę”. Ale gdy teraz patrzyła na niego, wyobraziła sobie, że nie poruszył się, od kiedy umarł w kopalni Zmijogłowego. Klatki zobaczyła dopiero wtedy, gdy opadła niżej, zasłaniał je łupkowy dach. Wszystkie były puste. Ani śladu Mo. Puste klatki i puste ciało... Miała ochotę złożyć skrzydła, runąć w dół jak kamień i znieruchomieć obok Smolipalucha...

Dziecko odwróciło się i wtedy poznała chłopca, którego widziała obok Piszczalki na blankach zamku w Ombrze. Nawet Meggie, tak czuła dla każdego malucha, mówiła o nim z odrazą.

Jacopo. Spojrzał na jaskółkę, jakby dostrzegł kobietę w jej kształcie, jednak po chwili opuścił głowę i pochylił się nad zwłokami, wodząc palcami po zastygłej twarzy. Wyprostował się, kiedy ktoś zawołał go po imieniu. Dobrze znany stłumiony, nosowy głos.

Piszczalka.

Resa poderwała się i usiadła na kamiennym gzymsie.

- Chodź, dziadek chce cię zobaczyć! - Piszczalka chwycił chłopca za kark i popchnął go ku schodom.

- Dlaczego?

Głos Jacopa do złudzenia przypominał głos dziadka, ale zarazem był to głos małego chłopca zagubionego pośród dorosłych, bez ojca... i bez matki, skoro Wiolanta go nie kocha, jak mówiła Roksana.

- A jak myślisz? Na pewno nie tęskni za tobą, ty mały zrzędo. - Uderzył go pięścią w plecy. - Chce wiedzieć, o czym rozmawia z tobą matka, kiedy jesteście sami.

- Nie rozmawia ze mną.

- To niedobrze. Co mamy z tobą zrobić, jeśli nie nadajesz się nawet na szpiega? Może rzucimy cię nocnemu marowi na pożarcie. Dawno nie kosztował stawy, a sądząc po zamiarach twojego dziadka, Sójkę nieprędko dostanie.

Nocny mar.

A więc Tulio nie kłamał. Gdy tylko obaj się oddalili, Resa sfrunęła na dół i usiadła obok Smolipalucha. Ale jaskółka, którą była, nie mogła ani płakać, ani się uśmiechać.

„Leć za Piszczalką, Reso - myślała, przebierając łapkami po mokrych kamiennych płytach. - Szukaj Mo, dla Ognistego Tancerza nic już nie możesz zrobić, tak samo jak wtedy”.

Dobrze, że nocny mar go nie pożarł, tak jak Draba. Wyczuła chłód policzków, przykładając do jego twarzy opierzony łebek.

- Skąd masz ten śliczny pierzasty kostium, Reso?

Szept dochodził z pustki, z deszczu, z przesyconego wilgocią powietrza, z zamkowych murów, na pewno nie wydobywał się z zimnych warg Smolipalucha. Ale to był jego głos, chropawy i miękki zarazem, głos, którego nigdy nie zapomni. Resa jak oparzona odwróciła ptasią głowę i usłyszała jego cichy śmiech.

- Pamiętasz, już kiedyś się tak za mną rozglądałaś, to było w lochach Mrocznego Zamku. Wtedy też byłem niewidzialny, o ile sobie dobrze przypominam, ale bez ciała to jeszcze większa frajda. Nie można tylko przesadzać z tą przyjemnością. Obawiam się, że jeśli dłużej będę przebywał na zewnątrz, ciało może przestać na mnie pasować, a wtedy nawet głos twojego męża nie zdoła mnie wskrziesić. Nie mówiąc już o tym, że bez pomocy ciała szybko się zapomina, kim się jest. Przyznaję, że prawie już zapomniałem, dopóki cię nie zobaczyłem.

Gdy zmarły się poruszył, wyglądało to, jakby ktoś budził się ze snu. Smolipaluch odgarnął z twarzy mokre włosy i spojrzał po sobie, jakby chciał się upewnić, że ciało na niego

pasuje. Taka sama scena śniła się Resie pierwszej nocy po jego śmierci w kopalni, ale wtedy się nie obudził. Obudził go dopiero Mo.

Mo. Usiadła Smolipaluchowi na ramieniu, lecz ten położył palec na ustach, gdy tylko otworzyła dziób. Zagwizdał cicho na Gwina, potem przyjrzał się schodom, którymi weszli na górę Piszczalka z Jacopem, oknom po lewej stronie i wieży z wykuszami rzucającej cień na okna.

- Wróżki opowiadają o zielu, które z ludzi robi zwierzęta, a ze zwierząt ludzi! - szepnął. - Ale mówią też, że niebezpiecznie jest używać tego środka. Jak długo już jesteś ptakiem?

- Ze dwie godziny.

- A więc najwyższy czas, żebyś wróciła do ludzkiej postaci. Na szczęście w tym zamku jest wiele zapomnianych komnat. Wyniuchałem je wszystkie, zanim zjawił się tu Piszczalka.

Wyciągnął rękę, a Resa usiadła na niej, wpijając się pazurkami w ciepłą teraz skórę. Żył, naprawdę żył!

- W krainie śmierci nabyłem parę praktycznych umiejętności - szeptał Smolipaluch, niosąc ją biegnącym pochyło w dół korytarzem. Na ścianach wymalowane były ryby i rusałki, jakby połknęło ich jezioro. - Mogę na przykład zdjąć ciało niczym ubranie, ogniowi dać duszę i czytać myśli twego męża lepiej niż litery, których mnie z takim trudem uczyłaś.

Pchnął jakieś drzwi. W komnacie nie było okien, lecz Smolipaluch szepnął coś i ściany pokryły się skrami niby ognistym futerkiem.

Gdy Resa wypluła na rękę ziarenka, które trzymała pod językiem, brakowało dwóch... Ogarnął ją strach, że na zawsze pozostanie ptakiem, lecz tym razem ciało przypomniało sobie jeszcze właściwe kształty. Odzyskawszy ludzką postać, przesunęła ręką po wypukłym brzuchu, zastanawiając się, czy dziecko też przemieniło się pod wpływem ziaren. Ta myśl przeraziła ją do tego stopnia, że o mało nie zwymiotowała.

Smolipaluch podniósł z posadzki jaskółcze pióro i oglądał je w zamyśleniu.

- Roksana ma się dobrze - powiedziała Resa. Kuglarz uśmiechnął się.

- Wiem.

Wydawało się, że wie wszystko. Nie powiedziała mu więc o Drabie ani o Mortoli, ani o tym, że Czarny Książę omal nie umarł. A Smolipaluch nie zapytał jej, dlaczego przywędrowała tu za Mo.

-I co z tym nocnym marem? - Strach obleciał ją na samą wzmiankę o potworze.

- Udało mi się wyśliznąć z jej czarnych palców. - Przesunął ręką po twarzy, jakby odpędzał cień. - Na szczęście te stwory nie są zainteresowane umarlakami.

- Skąd on się tu wziął?

- Orfeusz go przyprowadził. Jest mu posłuszny jak pies.

- Orfeusz?

To przecież niemożliwe! Orfeusz został w Ombrze i topi w winie swoje żale, od kiedy Smolipaluch zabrał mu książkę!

- Tak, Orfeusz. Nie wiem, jak tego dokonał, ale jest teraz w służbie Żmii. I to właśnie on doradził, by wrzucić twojego męża do lochów pod zamkiem.

Nad ich głowami rozległy się kroki, ale szybko umilkły.

- Zaprowadź mnie do niego!

- Nie możesz do niego iść. Lochy znajdują się bardzo głęboko i są dobrze strzeżone. Może dam radę sam się tam przedostać. We dwoje za bardzo rzucalibyśmy się w oczy. Na zamku zarozi się od żołnierzy, jak tylko odkryją, że Ognisty Tancerz po raz kolejny powstał z martwych.

„Nie możesz do niego iść... Poczekaj tutaj, Reso... To zbyt niebezpieczne...”

Nie mogła już tego słuchać.

- Jak on się ma? Mówiłeś, że czytasz w jego myślach. Odpowiedź wyczytała w oczach Smolipalucha...

- Ptak prześliznie się łatwiej niż ty... - Szeptnęła i wsunęła ziarenka do ust, nim kuglarz zdążył ją powstrzymać.

Rozdział 62

Czerń

Ty jesteś ptakiem, który wionął skrzydłem, gdy się zbudziłem w nocy i krzychałem. Krzychałem ramionami, bo twe imię jest jak stu nocy głębie niezbadane.

Rainer Maria Rilke, Anioł stróż

Jama, do której wrzucono Mo, była gorsza od więzienia w wieży Mrocznego Zamku i lochów Ombrzy. Spuścili go w dół na łańcuchu, ze związanymi rękami, tak głęboko, aż ciemność poraziła jego oczy ślepotą. A Piszczalka stał u góry i opowiadał swoim nosowym głosem, jak to przyprowadzi Resę i Meggie i zabije je na jego oczach. Ale co za różnica? Meggie była zgubiona, śmierć zabierze ją tak samo jak jego. Może jednak ta mistrzyni

przemian oszczędzi chociaż Resę i nienarodzone dziecko, jeśli on odmówi sporządzenia nowej księgi dla Zmijogłowego.

„To atrament, Mo, czarny atrament: oto, co cię otacza”.

Trudno było oddychać w tej wilgotnej czarnej nicości. Dziwnym spokojem napelniała go myśl, że to nie on opowiada dalej tę historię. Był już tym ogromnie zmęczony...

Osunął się na kolana. Mokry kamień przypominał dno studni. Jako dziecko zawsze bał się, że wpadnie do studni i utopi się lub umrze z głodu, bezsilny i samotny. Wstrząsnął nim dreszcz. Ile by dał za ogień Smolipalucha, światło i ciepło! Ale kuglarz nie żył. Nocny mar Orfeusza zgasił w nim płomień życia. Zdawało mu się, że słyszy ciężki oddech potwora, widzi w ciemności jego czerwone oczy. Ale otaczała go pustka. Usłyszał kroki i spojrzał w górę.

- No, jak ci się podoba tam w dole?

Wysoko na skraju studni stał Orfeusz. Światło pochodni nie docierało tutaj, lecz Mo cofnął się, by ukryć się w cieniu. „Jak zwierzę w klatce, Mortimerze!”

- Cóż to, nie chcesz nawet rozmawiać ze mną? No tak, wcale ci się nie dziwię.

Zarozumiały uśmiezek wykwitł na wargach Orfeusza, a ręka Mo powędrowała do miejsca, gdzie Baptysta ukrył nóż - lecz Paluch i tak go wyłuskał. Wyobrażał sobie, jak wbija nóż w tłuste ciało poety, dźgając bez końca, w zapamiętaniu. Krwawe obrazy zrodzone z dzikiej nienawiści przyprawiły go o mdłości.

- Przyszedłem ci powiedzieć, jak ta historia będzie się rozwijała, bo może myślisz, że wciąż odgrywasz w niej główną rolę.

Mo zamknął oczy, opierając się o wilgotną ścianę.

„Niech sobie gada zdrów, Mortimerze, a ty myśl o Resie i o Meggie... A może lepiej nie...”

Skąd Orfeusz mógł wiedzieć o jaskini?

„Wszystko stracone - szeptał w jego sercu smutny głos. - Wszystko”.

Spokój, który mu towarzyszył, od kiedy ukazały się białe damy, przysnął bez śladu.

„Wróćcie do mnie! Brońcie mnie!”

Ale się nie zjawily. Za to jego serce poczęły zżerać, niczym białe robaki, natrętne słowa. Skąd one się brały?

„Wszystko stracone... Przestań, Mortimerze”.

Ale słowa nie dawały mu spokoju. Skurczył się, jakby odczuwał cielesny ból.

- Nic nie mówisz! Czyżbyś już je czuł? - roześmiał się Orfeusz swawolnie jak dziecko.

- Wiedziałem, że to zadziała. Byłem tego pewien, jak tylko przeczytałem pierwszą pieśń...

Tak, tak, Mortimerze, znowu mam książkę... a nawet trzy. A wszystkie wypełnione po brzegi słowami Fenoglia, przy czym dwie z nich traktują o Sójce. To Wiolanta przywiozła je na zamek, bardzo miło z jej strony, prawda? Musiałem oczywiście różne rzeczy poprzestawiać, tu parę słów, tam parę słów. Fenoglio obchodzi się bardzo dobrze ze swoim bohaterem, trzeba to było skorygować.

Pieśni o Sójce, które stworzył Fenoglio, starannie zapisane i zilustrowane przez Balbulusa... Mo zamknął oczy.

- Ale za wodę nie jestem odpowiedzialny! - krzyknął Orfeusz. - To Żmijogłowy kazał otworzyć śluzy. Ale nie bój się, nie utoniesz, tak wysoko woda nie sięgnie, choć nie będzie to przyjemne.

Mo w tej samej chwili poczuł wodę podnoszącą się wolno wzdłuż jego nóg, jakby mrok nagle zamienił się w ciecz, zimną i czarną, i strach chwycił go za gardło.

- Nie, woda to nie mój pomysł - ciągnął Orfeusz znużonym głosem. - Za dobrze cię znam, by wierzyć, że czymś takim można cię nastraszyć. Pewnie liczysz na to, że ułagodzisz śmierć swoim uporem po tym, jak nie dopełniłeś warunków umowy. Tak, wiem o tej umowie, wiem wszystko... Tak czy owak wybiję ci upór z głowy. Sprawię, że zapomnisz o szlachetności i cnocie. Zapomnisz o wszystkim prócz strachu, bo przed moimi słowami białe damy cię nie obronią.

Mo miał ochotę udusić go gołymi rękami, ale ręce miał przecież związane...

- Najpierw chciałem napisać coś o twojej żonie i córce, ale potem pomyślałem sobie: „Nie, Orfeuszu, bo w ten sposób nie odczuje twoich słów na własnej skórze!”

Świecąca Gęba napawał się każdym słowem, jakby od dawna marzył o tej chwili.

„On tam na górze, a ja w tej czarnej jamie, bezradny jak szczur w pułapce, którego on w każdej chwili może uśmiercić”.

- Nie! - podjął Orfeusz. - „Nie - powiedziałem sobie. - Musi poczuć na własnej skórze, jak potężne są twoje słowa. Pokaż mu, że od tej chwili możesz się bawić z Sójką w kotka i myszkę. Tyle tylko, że twoje szpony są uczynione ze słów!”

I Mo rzeczywiście odczuł jego szpony na własnej skórze. Wydawało mu się, że zimna woda dosięga serca, zalewa je lodowatą czernią. Po chwili zjawiał się ból. Był tak silny i prawdziwy, że Mo chwycił się za serce, mając wrażenie, że przez palce przecieka krew. W ciemności zamajaczyła rozszerzająca się czerwona plama na koszuli i poczuł, że siły go opuszczają tak jak wtedy, że nie może się utrzymać na nogach. Zapał się plecami o wilgotną ścianę, by nie runąć twarzą w zimną toń wody sięgającej mu do pasa.

„Reso! O Boże, pomóż mi, Reso!”.

Ogarnęła go rozpacz, trząsał się na całym ciele ze strachu i bezsilnej złości.

- Z początku nie wiedziałem, co będzie lepsze. - Głos Orfeusza raził go niczym tępe ostrze. - Myślałem, żeby ci posłać parę niezbyt przyjemnych zwierzątek wodnych. W jednej z tych książek, które Fenoglio napisał dla Jacopa, występują takie różne straszidła. Ale w końcu zdecydowałem się na inne, o wiele ciekawsze rozwiązanie. Postanowiłem doprowadzić cię do szaleństwa za pomocą straszdeł wziętych z twojej głowy: są to dawne lęki, gniew i cierpienia, które nagromadziły się w twoim bohaterskim sercu, zamknięte na cztery spusty, lecz bynajmniej nie usunięte. „Wydobądź z niego to wszystko, Orfeuszu - myślałem - i wzbogać obrazami, których od dziecka się lękał: martwa kobieta, martwe dziecko. A następnie wyślij mu to wszystko w mrok i ciszę, gdzie przebywa. Poślij mu jego własny gniew, każ mu marzyć o zabijaniu, niech zaleje go wściekłość. Ciekawe, jak się poczuje bohater, trzęsąc się ze strachu, świadom, że

„On tam na górze, a ja w tej czarnej jamie, bezradny jak szczur w pułapce, którego on w każdej chwili może uśmiercić”.

- Nie! - podjął Orfeusz. - „Nie - powiedziałem sobie. - Musi poczuć na własnej skórze, jak potężne są twoje słowa. Pokaż mu, że od tej chwili możesz się bawić z Sójką w kotka i myszkę. Tyle tylko, że twoje szpony są uczynione ze słów!”.

I Mo rzeczywiście odczuł jego szpony na własnej skórze. Wydawało mu się, że zimna woda dosięga serca, zalewa je lodowatą czernią. Po chwili zjawił się ból. Był tak silny i prawdziwy, że Mo chwycił się za serce, mając wrażenie, że przez palce przecieka krew. W ciemności zamajaczyła rozszerzająca się czerwona plama na koszuli i poczuł, że siły go opuszczają tak jak wtedy, że nie może się utrzymać na nogach. Zaparł się plecami o wilgotną ścianę, by nie runąć twarzą w zimną toń wody sięgającej mu do pasa.

„Reso! O Boże, pomóż mi, Reso!”.

Ogarnęła go rozpacz, trząsał się na całym ciele ze strachu i bezsilnej złości.

- Z początku nie wiedziałem, co będzie lepsze. - Głos Orfeusza raził go niczym tępe ostrze. - Myślałem, żeby ci posłać parę niezbyt przyjemnych zwierzątek wodnych. W jednej z tych książek, które Fenoglio napisał dla Jacopa, występują takie różne straszidła. Ale w końcu zdecydowałem się na inne, o wiele ciekawsze rozwiązanie. Postanowiłem doprowadzić cię do szaleństwa za pomocą straszdeł wziętych z twojej głowy: są to dawne lęki, gniew i cierpienia, które nagromadziły się w twoim bohaterskim sercu, zamknięte na cztery spusty, lecz bynajmniej nie usunięte. „Wydobądź z niego to wszystko, Orfeuszu - myślałem - i wzbogać obrazami, których od dziecka się lękał: martwa kobieta, martwe dziecko. A następnie wyślij mu to wszystko w mrok i ciszę, gdzie przebywa. Poślij mu jego własny

gniew, każ mu marzyć o zabijaniu, niech zaleje go wściekłość. Ciekawe, jak się poczuje bohater, trzęsąc się ze strachu, świadom, że wszystkie lęki pochodzą z jego wnętrza. Jak się poczuje Sójka dręczony marzeniami o zabijaniu. Dręczony świadomością, że traci rozum. Tak, Orfeuszu - powtarzałem sobie - jeśli chcesz go złamać, to tylko w ten sposób. Niech się Sójka zagubi w sobie, niech wyje jak wściekły pies, niech padnie łupem lęku! Wypuść furie, które uśmiercą jego wolę!”.

Mo poczuł to wszystko, zanim jeszcze tamten skończył mówić. I wtedy zrozumiał, że Orfeusz już wcześniej wyrecytował te słowa językiem obdarzonym mocą równą mocy jego własnego języka. Zaiste, powstała nowa pieśń o Sójce: o tym, jak stracił rozum w wilgotnej czarnej dziurze, jak udławił się własną rozpaczą i jak w końcu błagał o litość i stworzył Zmijogłowemu nową Pustą Księgę rękami drżącymi od godzin spędzonych w mroku.

Woda przestała się podnosić, ale za to Mo poczuł, że coś wpełza mu po nodze.

„Oddychaj, Mortimerze, oddychaj równo i spokojnie. Postaraj się odrzucić te słowa, nie dopuścić ich do siebie. Potrafisz to robić”.

Lecz jak tu się skupić, kiedy jego pierś była na nowo przestrzelona, krew mieszała się z wodą, a wszystko w nim wołało o pomstę? Było mu gorąco i zimno na przemian, jak wtedy gdy Mortola do niego strzeliła. Zagryzł wargi, by Orfeusz nie usłyszał jęku, przycisnął dłoń do serca.

„Zobacz, nie ma żadnej krwi - przekonywał sam siebie. - A Meggie wcale nie umarła, chociaż twoje oczy widzą to tak wyraźnie, jak tylko Orfeusz potrafi to opisać”.

Nie, nie, nie! Ale obce słowa szeptały: tak, tak, tak! Zdawało mu się, że rozpryskuje się na tysiące kawałeczków jak rozbity gliniany dzban.

- Straż, rzucić pochodnię do studni! Chcę go zobaczyć! Zapalona pochodnia poleciała w dół, oślepiając Mo, i przez

chwilę oświetlała czarną powierzchnię wody, nim zgasła.

- No proszę, czujesz je! Czujesz każdziutkie słowo, prawda?

Nachyliwszy się nad studnią, Orfeusz przygląda! mu się z zainteresowaniem, jak dziecko przygląda się robakowi nabitemu na haczyk i wijącemu się żałośnie. Mo miał ochotę wsadzić głowę pod wodę i nie wyjmować jej, póki nie przestanie oddychać.

„Przestań, Mo! Widzisz, co on z tobą robi? Broń się!”.

Tylko jak to zrobić? Chciał zanurzyć się cały, by umknąć od tych słów, ale wiedział, że one i pod wodą na niego czyhają.

- Przyjdę za godzinę! - zawołał Orfeusz. - Oczywiście nie mogłem oprzeć się pokusie, by wpuścić ci do wody parę obrzydliwych stworów, ale bądź spokojny, nie zabiją cię. Kto

wie, może nawet potraktujesz je jako miłą odmianę po obrazach, jakie ci ukazuje twoja wyobraźnia. Sójka... Tak, tak, trzeba ostrożnie wybierać role, jakie chce się odgrywać w tym świecie. Poślij po mnie, jak tylko zrozumiesz, że twoja szlachetność jest nie na miejscu. A wtedy natychmiast rzucę ci garść zbawiennych słów, coś w rodzaju:...lecz nadszedł ranek i szaleństwo opuściło Sójkę...

Orfeusz rozeźmiał się i odszedł. Zostawił go samego z wodą, ciemnością i słowami.

„Zrób Żmijogłowemu książkę”.

Zdanie to uformowało się w głowie Mo jak wykaligrafowane.

„Zrób jeszcze jedną Pustą Księgę i wszystko będzie dobrze”.

Ostry ból przeszył jego pierś, wyrywając z niej żalony krzyk. Widział, jak Paluch chwyta obcęgami jego palce, jak Szczapa wyciąga Meggie za włosy z jaskini, jak psy rzucają się na Resę, drżał z gorączki, a może z chłodu.

„To wszystko jest tylko w twojej głowie, Mortimerze!”.

Z rozpaczą uderzył czołem o mur. Ach, gdyby mógł widzieć cokolwiek oprócz obrazów Orfeusza, czuć cokolwiek, co nie wynikałoby z jego słów!

„Uderzaj rękami w ścianę, wsadź głowę pod wodę, okładaj się pięściami, bo tylko to jest prawdziwe!”. Naprawdę?

Wstrząsnął nim szloch. Przyciskał spętane dłonie do czoła i nagle usłyszał łopot skrzydeł i ujrzał zapalające się iskierki.

Nachyliwszy się nad studnią, Orfeusz przyglądał mu się z zainteresowaniem, jak dziecko przygląda się robakowi nabitemu na haczyk i wijącemu się żałośnie. Mo miał ochotę wsadzić głowę pod wodę i nie wyjmować jej, póki nie przestanie oddychać.

„Przestań, Mo! Widzisz, co on z tobą robi? Broń się!”.

Tylko jak to zrobić? Chciał zanurzyć się cały, by umknąć od tych słów, ale wiedział, że one i pod wodą na niego czyhają.

- Przyjdę za godzinę! - zawołał Orfeusz. - Oczywiście nie mogłem oprzeć się pokusie, by wpuścić ci do wody parę obrzydliwych stworów, ale bądź spokojny, nie zabiją cię. Kto wie, może nawet potraktujesz je jako miłą odmianę po obrazach, jakie ci ukazuje twoja wyobraźnia. Sójka... Tak, tak, trzeba ostrożnie wybierać role, jakie chce się odgrywać w tym świecie. Poślij po mnie, jak tylko zrozumiesz, że twoja szlachetność jest nie na miejscu. A wtedy natychmiast rzucę ci garść zbawiennych słów, coś w rodzaju:...lecz nadszedł ranek i szaleństwo opuściło Sójkę...

Orfeusz rozeźmiał się i odszedł. Zostawił go samego z wodą, ciemnością i słowami.

„Zrób Żmijogłowemu książkę”.

Zdanie to uformowało się w głowie Mo jak wykaligrafowane.

„Zrób jeszcze jedną Pustą Księgę i wszystko będzie dobrze”.

Ostry ból przeszył jego pierś, wyrывая z niej żalony krzyk. Widział, jak Paluch chwyta obcęgami jego palce, jak Szczapa wyciąga Meggie za włosy z jaskini, jak psy rzucają się na Resę, drżał z gorączki, a może z chłodu.

„To wszystko jest tylko w twojej głowie, Mortimerze!”.

Z rozpaczą uderzył czołem o mur. Ach, gdyby mógł widzieć cokolwiek oprócz obrazów Orfeusza, czuć cokolwiek, co nie wynikałoby z jego słów!

„Uderzaj rękami w ścianę, wsadź głowę pod wodę, okładaj się pięściami, bo tylko to jest prawdziwe!”. Naprawdę?

Wstrząsnął nim szloch. Przyciskał spętane dłonie do czoła i nagle usłyszał łopot skrzydeł i ujrzał zapalające się iskierki.

Ciemność pierzchła, jak gdyby ktoś zdjął mu opaskę z oczu. Smolipaluch? Nie, on nie żyje, choć serce mówi mu co innego.

„Sójka umiera, Sójka dostaje pomieszania zmysłów...” - szeptał natrętny głos. Znow usłyszał łopot. Oczywiście, to śmierć przyszła do niego w odwiedzin. Tym razem nie posłała białych dam, lecz przyfrunęła osobiście, by go ze sobą zabrać, gdyż ją zawiódł. Najpierw jego, a potem Meggie... Ale nawet to było lepsze od słów Orfeusza.

Wszystko było czarne mimo tańczących iskierek, które wciąż widział. Skąd one się brały? Znow usłyszał łopot skrzydeł i nagle poczuł czyjąś obecność. Czyjaś ręka dotykała jego czoła, gładziła go po twarzy... Dobrze znana ręka...

- Co tobie, Mo?

Resa. To niemożliwe. Czy to Orfeusz wywołał jej obraz, by go potem zdmuchnąć nagle jak dym? Była jak prawdziwa! Nie wiedział, że Orfeusz tak dobrze potrafi pisać. Jej dłonie były takie ciepłe...

- Co z nim?

To głos Smolipalucha. Mo spojrzał w górę i zobaczył go w tym samym miejscu, gdzie jeszcze niedawno stał Orfeusz. Tak, postradał zmysły. Opadł go dziwny sen, od którego uwolni go dopiero Orfeusz, gdy powróci.

- Mo! - Resa ujęła w dłonie jego twarz.

Nie, to tylko sen. I cóż z tego? Tak dobrze ją było widzieć! Ulga wydarła mu szloch z piersi, Resa trzymała go mocno.

- Musisz stąd uciekać!

Nie, nie mogła być prawdziwa.

- Mo, posłuchaj mnie! Musisz stąd uciekać!

- To niemożliwe, żebyś tu była... - z trudem obracał język w ustach, jak wtedy, w gorączce.

- Możliwe!

- Smolipaluch nie żyje.

Resa... Wyglądała inaczej z wysoko upiętymi włosami.

Coś płynęło pomiędzy nią a nim, kołce wynurzyły się z wody, Resa cofnęła się przerażona. Przyciągnął ją do siebie i walił na oślep w to coś pływające w wodzie. Wszystko jak we śnie. Smolipaluch spuścił im linę, była za krótka, więc szepnął jakieś słowa i lina poczęła się wydłużać, splatając się z ognistych nici.

Mo chwycił linę, ale zaraz ją puścił.

- Nie mogę odejść.

Woda wypełniająca studnię stała się czerwona jak krew od iskier, które się w niej odbijały.

- Nie mogę...

- Co ty opowiadasz? - zawołała Resa, wciskając mu ognistą linę do ręki.

- Śmierć. Meggie.

Pogubił gdzieś słowa w ciemności. Puścił linę.

- Muszę zrobić księgę, Reso.

Jeszcze raz włożyła mu linę do ręki. Była gorąca, musieli się szybko wspinać, żeby nie poparzyć rąk. Mo wspinał się niezdarnie, jakby ciemność krępowała go czarnym całunem. Smolipa-luch pomógł mu wydostać się ze studni. Obok leżało dwóch strażników, martwych lub ogłuszonych.

Kuglarz popatrzył na niego, zajrzał mu w samo serce.

- Bardzo złe obrazy - rzekł.

- Czarne jak noc, jak atrament - przyznał Mo ochryłym głosem. - Pozdrowienia od Orfeusza.

Te słowa wciąż w nim trwały. Ból. Rozpacz. Nienawiść. Gniew. Każdy haust powietrza zdawał się napępniać nimi serce. Jakby czarna studnia była teraz w jego piersi.

Zabrał miecz jednemu ze strażników i przygarnął Resę do siebie. Poczł drzenie jej ciała. Może naprawdę się tu zjawiała. Tylko jak? I dlaczego Smolipaluch nie leżał już martwy pod klatkami?

„A jeśli to naprawdę tylko obrazy Orfeusza? - myślał, idąc za Smolipaluchem. - Jeśli mnie tylko mami, by mnie potem wciągnąć w jeszcze głębszą ciemność?”

Orfeusz. „Zabij go, Mortimerze, jego samego i jego słowa”. Dławiąca go nienawiść przerażała go bardziej niż czerń, w której tonął.

Smolipaluch posuwał się szybko do przodu, zdawało się, że dobrze zna drogę. Schody, bramy, niekończące się korytarze, szedł bez wahania, jakby kamienie zdradzały mu kierunek, a któreś przeszedł, z murów strzelały języki ognia, pozłacając czarne ściany. Trzykrotnie natknęli się na strażę. Mo zabijał żołnierzy z taką rozkoszą, jak gdyby to był Orfeusz. Smolipaluch musiał go odciągać od trupów. W oczach Resy dostrzegł strach. Uchwycił się jej ręki jak tonący. A w nim była ciemność.

Rozdział 63

Ach, Fenoglio!

Tutaj zamyka się Testament Y ubogiego rzecz Wilona; Przybądźcie wnieść pogrzebny lament, Gdy usłyszycie granie dzwona. Miłości pomarł on ofiarą; Odzieycie tedy się szkarłatem [...].

François Villon, Wielki testament: Ballada, służąca na zakończenie

Tkwiał w ręce olbrzyma. Własnego olbrzyma! Nieźle, nieźle! Nie ma co narzekać. Gdyby tylko Czarny Książę dawał więcej oznak życia. Gdyby, gdyby, gdyby...

„Ach, Fenoglio! - myślał. - Gdybyś skończył słowa dla Mor-timera! Gdybyś miał jakikolwiek pomysł, co z tym dalej robić...”.

Ogromne palce trzymały go mocno, a zarazem delikatnie, jakby były przyzwyczajone do noszenia ludzi. Ta myśl bynajmniej go nie uspokoiła. Nie chciał wcale skończyć jako zabawka w rękach dziecka olbrzyma. Takie zakończenie uznałby za najgorsze z możliwych. Wątpliwe jednak, by ktoś zapytał go o zdanie.

„Tym samym wracamy do najważniejszego pytania” - pomyślał Fenoglio.

Tymczasem w miarę kołysania jego żołądek coraz mocniej odczuwał nadmiar zjedzonych nóżek wieprzowych. Najważniejsze pytanie.

Czy jeszcze ktoś oprócz niego pisze tę historię?

Może gdzieś tam wśród wzgórz, które tak pięknie opisał, siedzi jakiś pisarczyk, i to on oddał go w ręce olbrzyma? A może złoczyńca mieszka w tym drugim, nieksiążkowym świecie? Przecież on sam tam przebywał, kiedy pisał Atramentowe serce.

„Nie, nie! Zastanów się, czym byś wtedy był, Fenoglio” - myślał zły i wystraszony, jak zawsze gdy dumał nad tą sprawą. Nie, jeśli chodzi o niego, nikt nie pociąga za sznurki, takie rzeczy robi Baptysta z tą głupią kukielką, z którą występuje czasem na rynku (choć może jest do niej trochę podobny). Nie, po trzykroć nie! Ani cudze słowa, ani przeznaczenie

nie czynią z niego marionetki! Lubi być panem swojego losu i nie życzy sobie, by ktoś lub coś się do tego mieszało, choć on sam chętnie posługuje się marionetkami. Sprawa była prosta: ta historia wymknęła mu się co prawda spod kontroli, ale to nie znaczy, że ktoś inny ją pisze. Ona się po prostu sama pisze! A tym razem miała ten idiotyczny pomysł z nieposłusznym olbrzymem!

Znów spojrział w dół, choć żołądek buntował się przeciwko temu. Od ziemi dzieliła go spora odległość, ale cóż to jest po tym, jak spadł z drzewa? Więcej powodów do niepokoju dawał Czarny Książę: zwisał bezwładnie, bez najmniejszych oznak życia. Co za wstyd. A tyle zadał sobie trudu, by go utrzymać przy życiu. Na nic się nie zdały przepiękne słowa o ziołach w śniegu, troska Roksany, wszystko na darmo!

- Do licha!

Głośne przekleństwo, które wyrwało się z ust Fenoglia, zwróciło uwagę olbrzyma. Podniósł go do oczu i przyglądał mu się uważnie. Tylko tego jeszcze brakowało! Może powinien się do niego uśmiechnąć? Czy on potrafi mówić?

„No, jeśli ty tego nie wiesz, Fenoglio, to kto ma wiedzieć?”

Olbrzym zatrzymał się. Nie przestając mu się przyglądać, po-łuźnił zaciśniętą pięść, a Fenoglio skorzystał z okazji, by rozprostować kości.

Słowa, potrzebne były słowa, i to właściwe. Jakim błogosławieństwem jest niemota, kiedy nie jest się zależnym od słów!

- Ehem... - chrząknął („Cóż za żalosny początek, Fenoglio”). - Ehem... Jak ci na imię?

- Doprawdy żalosne!

Olbrzym chuchnął mu w twarz i coś powiedział. Były to bez wątpienia słowa, których wszakże Fenoglio nie rozumiał. To też było dziwne.

Jakim wzrokiem ten stwór na niego patrzył! Tak kiedyś najstarszy wnuk pisarza patrzył na czarnego żuka znalezionego w kuchni. Trzymał go w palcach i przyglądał mu się z ciekawością i odrazą, a kiedy żuk zaczął przebierać nóżkami i się szarpać, przerażony Pippo rzucił go na podłogę i rozdeptał.

„Z tego wniosek, byś nie wymachiwał nogami i rękami, Fenoglio! Ani drgnij, choćby cię stare kości nie wiadomo jak bolały!”

Boże, co za paluchy, każdy z nich dłuższy od jego ramienia!

Na szczęście olbrzym zostawił go w spokoju i zainteresował się drugą zdobyczą. Potrząsnął zwiotczalym ciałem Czarnego Księcia jak zegarkiem, który przestał chodzić, i westchnął, gdy ciało zbójcy nadal nie dawało znaku życia. Ukląkł, nie przestając wzdychać, z zasmuconą miną przyjrzał się ciemnej twarzy Księcia, po czym ostrożnie ułożył go na mchu

pod drzewami. Dokładnie tak samo postępowały wnuki Fenoglia z martwymi ptakami, które udało im się wyrwać z kociego pyska. Miały takie same zasmucone miny, obsypując ciała ptaków płatkami róży.

Olbrzym nie postawił Czarnemu Księciu krzyża z gałęzi, jak czynił to Pippo, ani nie zakopał go w ziemi. Wolną ręką przykrył go zeszlými liśćmi tak ostrożnie, jakby nie chciał go budzić ze snu. Wreszcie wstał i popatrzywszy z troską na Fenoglia, najwidoczniej żeby się upewnić, że przynajmniej ten jeszcze oddycha, ruszył przed siebie, stawiając kroki z sześć razy dłuższe od kroków ludzkich. Dokąd go niesie? Jedno było pewne: coraz bardziej oddalał się od ich drzewa.

Fenoglio poczuł, że palce olbrzyma mocniej zaciskają się wokół jego ciała. Po chwili - pisarz nie wierzył własnym uszom - stwór zaczął nucić tę samą kołysankę, którą Roksana usypiała dzieci. Czyżby olbrzymy śpiewały ludzkie kołysanki? Nieważne... Olbrzym był najzupełniej zadowolony z siebie i ze świata, mimo zepsutej lalki o czarnej twarzy. Pewnie już sobie wyobrażał, jak poda synkowi tę drugą dziwną istotę, która tak niespodziewanie spadła mu z nieba.

„O rety! - zdrygnął się pisarz. - A co będzie, jeśli mały rozerwie mnie na kawałki, jak dzieci ludzkie postępują z owadami?. Ty głupcze! - myślał. - Ty stary zarozumiały głupcze! Lore-dan ma rację, nigdy nie wyzbędziesz się manii wielkości! Jak mogło ci przyjść do głowy, że zdołasz ujarzmić olbrzyma?”.

Kolejny krok i następny... Żegnaj, Ombro! Pewnie nigdy już się nie dowie, co się stało z dziećmi... i Mortimerem.

Zamknął oczy. I wtedy usłyszał w duchu uparte głosiki wnuków: „Dziadziu, udawaj umarlaka!”. Nic łatwiejszego! Ileż to razy leżał nieruchomo na kanapie, choć małe paluszki wwierały mu się w brzuch, szczypały policzki. Zabawa w umarlaka.

Fenoglio jęknął donośnym głosem, ciało mu zwiotczało, wzrok zastygł w bezruchu.

No i proszę, olbrzym się zatrzymał. Patrzył na niego zaskoczony.

„Płytki oddech, Fenoglio! Najlepiej wcale nie oddychaj. Ale twoja głupia stara głowa tego nie wytrzyma”.

Olbrzym dmuchnął mu w twarz i Fenoglio o mało nie kichnął. Ale wnuki też dmuchały mu w twarz, co prawda był to delikatny zefirek w porównaniu z tą trąbą powietrzną.

„Leż spokojnie, Fenoglio!. Całkiem spokojnie”.

Olbrzymia twarz zastygła w rozczarowaniu. Szeroką pierś uniosło westchnienie, olbrzym trącił go ostrożnie palcem, powiedział kilka niezrozumiałych słów, wreszcie ukląkł

na ziemi. Fenoglio dostał zawrotów głowy od gwałtownego zjazdu w dół, ale nie przestawał udawać trupa. Olbrzym rozejrzył się bezradnie, jakby się spodziewał, że coś sfrunie z gałęzi i pomoże mu naprawić zepsutą zabawkę. Kilka płatków śniegu zawirowało w powietrzu, opadło na szerokie bary olbrzyma mieniające się różnymi kolorami: zielenią mchu, szarością kory, bielą śniegu, który sypał coraz gęściej. Olbrzym wzdychał i mruczał coś do siebie, najwyraźniej był niepoczyszony. Wreszcie położył Fenoglia na mchu, tak jak przedtem Czarnego Księcia, po raz ostatni stuknął go palcem („Nie ruszaj się, Fenoglio!”), w końcu sypnął mu na twarz garść zwiędłych dębowych liści wraz ze stonogami i innymi wielonogimi robakami, które rozpaczliwie szukały nowego schronienia w fałdach ubrania Fenoglia.

„Umarlak! Pamiętasz, jak Pippo położył ci na twarzy gąsienicę? Wtedy też wytrzymałeś ku jego wielkiemu rozczarowaniu”.

Nie, nie poruszył się, ani jeden mięsień w jego twarzy nie drgnął, gdy coś pełzło mu po policzku. Czekał, aż kroki zaczną się oddalać, aż ziemia pod stopami olbrzyma przestanie drżeć jak napięta skóra bębna. I oto istota, którą wezwał na pomoc, odeszła, pozostawiając ich własnemu losowi. Co dalej?

Nastała cisza. Wyczuwał tylko w powietrzu odległe drzenie ziemi. Stracił z twarzy i piersi liście oraz robactwo i usiadł, stękając. Miał poczucie, jakby ktoś długo siedział na jego nogach - były zdrętwiałe, ale mógł iść. Tylko dokąd?

„Oczywiście z powrotem po śladach olbrzyma, Fenoglio! Zaprowadzą cię do gniazd. Takiego tropu nawet ty nie zgubisz”.

O, proszę, odcisk stopy. Ależ go żebra bolały, czyżby były połamane? Jeśli tak, to i on wreszcie będzie mógł skorzystać z zielarskiej opieki Roksany. Miła perspektywa. Ale w obozie czekało na niego jeszcze coś innego: cięty język signory Loredan. Na pewno będzie miała niejedno do powiedzenia na temat jego eksperymentu z olbrzymem. No i był jeszcze Szczapa...

Odruchowo ruszył zwawiej mimo obolałych żeber. A jeśli zdążyli wrócić i dawno już pościągali wszystkich z drzewa: Elinor Lo-redan i dzieci, Meggie i Minerwę, Roksanę i pozostałych...? Ach, dlaczego nie spuścił na Szczapę i jego ludzi dżumy lub innej zarazy? Na tym właśnie polegają rozterki pisarza, że jest tyle różnych możliwości. Skąd można wiedzieć, która droga będzie właściwa?

„Przyznaj się, Fenoglio, że wybrałeś olbrzyma, bo to bardziej efektowne! Zresztą dżuma nie oszczędziłaby ich drzewa...”.

Stanął, nasłuchując, jakby się bał, że potwór może powrócić.

„Potwór, Fenoglio? A co ci ten olbrzym zrobił złego? Może odgryzł ci głowę albo nogę? Sam widzisz!”.

A to z Czarnym Księciem było zwykłym przypadkiem. Zaraz, gdzie on go położył...? Wszystkie miejsca pod drzewami wydawały mu się takie same, a kroki olbrzym stawiał tak wielkie, że można się było pogubić w jego śladach.

Fenoglio spojrział w niebo. Płatki śniegu opadały mu na czoło. Zapadał zmierzch. Jeszcze i to! Natychmiast stanęły mu przed oczami wszystkie stwory, jakimi zaludnił nocę tego świata. Żadnego z nich nie chciałby spotkać. O, co to było? Czyjeś kroki! Potknął się i oparł o drzewo.

- Atramentowy Tkacz!

Jakiś mężczyzna zbliżał się ku niemu. Baptysta? Ach, jakże szczęśliwy był Fenoglio, ujrzawszy jego ospowatą twarz! Wydawało mu się, że nie ma piękniejszej twarzy na świecie.

- A więc żyjesz? - wykrzyknął Baptysta. - Myśleliśmy, że olbrzym cię pożarł!

- Czarny Książę...

Pisarz sam był zaskoczony, że drży o jego życie.

- Wiem. - Baptysta pociągnął go za sobą. - Niedźwiedź go znalazł.

- Czy on...?

- Nie, nie. - Baptysta się uśmiechnął. - Żyje tak samo jak ty. Chociaż nie jestem pewien, czy ma wszystkie kości całe. Wygląda na to, że śmierć po prostu nie ma na niego ochoty. Najpierw trucizna, potem olbrzym... Może białym damom nie podoba się jego czarna twarz? Ale teraz musimy jak najszybciej dostać się do gniazd. Obawiam się, że Szczapa może wrócić. Na pewno boi się szwagra nie mniej niż olbrzyma!

Czarny Książę siedział pod drzewem, pod którym położył go olbrzym, oparły plecami o pień, a niedźwiedź czule lizał go po twarzy. We włosach i w ubraniu pozostały jeszcze resztki liści, którymi olbrzym tak troskliwie go okrył. Żyje! Fenoglio z irytacją poczuł łzę spływającą po policzku. Mało brakowało, a byłby z radości rzucił się Czarnemu Księciu na szyję.

- Atramentowy Tkaczu, jak ci się udało wyjść cało z opresji? Po jego głosie słychać było, że cierpi. Chciał się podnieść, ale

Baptysta łagodnie go powstrzymał.

- Pokazałeś mi drogę, książę - odparł Fenoglio ochryplym głosem. - Ten olbrzym był chyba zainteresowany tylko żywymi zabawkami.

- Na nasze szczęście - rzekł Czarny Książę i zamknął oczy. „Naprawdę zasłużył sobie na lepszy los - myślał Fenoglio. -

Bez cierpień i ciągłej walki”.

W krzakach coś zaszeleściło. Fenoglio odwrócił się przestraszony, lecz byli to tylko dwaj zbójcy i Farid z noszami skleconymi z gałęzi. Chłopak skinął mu głową, ale nie ucieszył się na jego widok tak jak inni. No cóż, Farid wiedział zbyt wiele na jego temat oraz na temat roli, jaką pisarz odgrywał w tym świecie.

„Nie patrz na mnie z takim wyrzutem! - strofował go w myślach. - Co mogliśmy zrobić innego? Meggie też uważała, że to dobry pomysł... To prawda, miała pewne obawy...”.

- Nie rozumiem, skąd się ten olbrzym wziął tak nagle - rzekł Baptysta. - Już kiedy byłem dzieckiem, olbrzymy występowały tylko w bajkach. Nie znam ani jednego grajka, który by kiedykolwiek natknął się na nich, z wyjątkiem Smolipalucha, ale on zapuszczał się o wiele dalej w góry niż my wszyscy.

Farid ostentacyjnie odwrócił się plecami do Fenoglia i uciął jeszcze kilka gałęzi na nosze. Niedźwiedź najwyraźniej miał ochotę ponieść swojego pana na kosmatym grzbiecie. Baptyście z trudem udało się go poskromić na tyle, by mogli spokojnie ułożyć Czarnego Księcia na noszach. Dopiero gdy usłyszał cichy głos pana, uspokoił się i z nieszczęśliwą miną biegł truchtem obok noszy.

„Na co czekasz, Fenoglio? - myślał pisarz, ruszając za Baptystą, choć nogi odmawiały mu posłuszeństwa. - Ciebie nikt nie wsadzi na nosze. I módl się, żeby Szczapa nie wrócił”

Rozdział 64

Światło

Wszystko to były jednak mary nocne, gra wyobraźni człowieka idącego w ciemnościach [...].

Washington Irving, Legenda o Sennej Kotlinie

Ogień był wszędzie. Trawił ściany, płomienie lizały sufity, strzelały z kamiennych murów i napełniały zamek taką jasnością, jakby samo słońce zjawilo się, by spalić jego obrzmiałe ciało.

Żmijogłowy wrzeszczał na Piszczalkę, aż ochrypl od krzyków, walił pięściami w jego kościstą pierś, miał ochotę wbić mu blaszany nos głęboko w to jego zdrowe ciało, którego mu tak zazdrościł.

Ognisty Tancerz po raz drugi powstał z martwych, a Sójka uciekł z lochu, o którym jego teść mówił, że żaden więzień nie wyszedł stamtąd żywy.

- Wyfrunął! - szeptali żołnierze. - A teraz krąży po zamku jak zgłodniały wilk i wszystkich nas pozabija!

Tych dwóch, którzy pilnowali lochu, Żmijogłowy oddał Paluchowi na tortury, lecz tymczasem Sójka zabił sześciu kolejnych żołnierzy, a z każdym nowym trupem szepty stawały się coraz głośniejsze. Uciekali z zamku - jego żołnierze! - przez most, przez tajny korytarz pod jeziorem, byle dalej od zaczarowanego zamku, który należał teraz do Ognistego Tancerza i Sójki. Kilku skoczyło nawet do jeziora i nigdy już nie wychynęli z wody. Reszta trzęsa się jak gromadka przestraszonych dzieci. Wokoło płonęły malowane ściany, a światło wypalało mu mózg i skórę.

- Dawać mi tu Podwójnookiego! - wrzasnął.

Paluch przyprowadził za kołnierz Orfeusza. Jacopo wsunął się do komnaty jak dżdżownica wypełzająca z ziemi po deszczu.

- Zgaś ogień!

Ach, jak bardzo bolało go gardło! Jakby wszystkie iskry skupiły się w tym jednym miejscu!

- Zgaś go natychmiast i sprowadź mi Sójkę albo każę ci uciąć ten twój przymilny jęzor! Czy po to mnie namówiłeś, żebym go wrzucił do tego lochu? Żeby mógł stamtąd uciec?

Wodniste oczy poety rozplływały się za szklami, jakie teraz nosiła też jego córka, a jedwabisty głos brzmiał tak, jakby język Orfeusza wykapano w najdroższej oliwie. Lecz znać w nim było strach.

- Mówiłem Piszczalce, żeby postawił więcej straży. - Przebiegły padalec, sprytniejszy od Piszczalki, jak to potrafi udawać niewiniątko, nawet on sam się na to nabiera... - Jeszcze kilka godzin i Sójka błagałby cię, panie, byś mu pozwolił zrobić księgę. Spytaj strażników. Oni słyszeli, jak się tam w dole skręcał i jęczał, jak robak nabity na haczyk...

- Strażnicy nie żyją. Oddałem ich w ręce Palucha i przykazałem, by ich krzyki słyszano w całym zamku.

Paluch poprawił czarne rękawiczki.

- Podwójnooki mówi prawdę. Strażnicy powtarzali w kółko, że Sójce było bardzo źle w lochu. Słyszeli, jak krzyczał i jęczał, aż kilka razy upewniali się, czy jeszcze żyje. Chciałbym wiedzieć, jak tego dokonałeś. - Jastrzębi wzrok Palucha spoczął na Orfeuszu. - No, w każdym razie Sójka ciągle szeptał czyjeś imię...

Żmijogłowy zasłonił dłońmi płonące oczy.

- Czyje imię? Córki?

- Nie, jakieś inne - odrzekł Paluch.

- Resa. To imię jego żony, Wasza Wysokość - wyjaśnił Orfeusz z uśmiechem.

Żmijogłowy nie wiedział, czego jest więcej w tym uśmiechu: czołobitności czy zadowolenia z siebie.

Piszczalka rzucił Orfeuszowi nienawistne spojrzenie.

- Moi ludzie wkrótce złapią jego żonę. I córkę też!

- A co mi teraz z tego?! - zawołał Żmijogłowy.

Wcisnął pięści do oczu, lecz wciąż widział blask ognia. Ból rozdzierał jego ciało na strzępy, a ten, któremu to zawdzięczał, już po raz drugi zrobił z niego głupca. Potrzebuje księgi! Nowej księgi, która uzdrowi jego ciało! Wisiało na kościach jak błoto, ciężkie, wilgotne, cuchnące błoto.

Sójka.

- Zaprowadźcie dwóch z tych, którzy chcieli uciec, na most, żeby wszyscy ich widzieli i słyszeli - wycharczał. - A ty zawołaj swojego psa! - zwrócił się do Orfeusza. - Pewnie jest głodny!

Żołnierze ryczeli jak zarzynane bydło, gdy pożerał ich nocny mar, a Żmijogłowy wyobrażał sobie, że krzyki docierające do jego komnaty to krzyki Sójki. O, był mu winien wiele krzyków!

Orfeusz z uśmiechem na ustach przysłuchiwał się odgłosom kąpieli, a nocny mar powrócił do niego jak wierny pies po zjedzeniu kolacji. Ziając straszliwie, stopił się na powrót z cieniem poety. Jego widok nawet Żmijogłowego przyprawiał o dreszcze. Tymczasem Orfeusz z zadowoloną miną poprawił okulary. Szkła połyskiwały żółto w świetle ognistych skier. Podwójnooki.

- Przyprowadzę ci, panie, Sójkę - powiedział, a Żmijogłowy czuł, że wbrew jego woli ten jedwabisty głos znów napelnia go ufnością. - Nie umknął wcale, choć chwilowo tak to wygląda. Zakulem go w niewidzialne kajdany. Sam je wykułem moją czarnoksięską sztuką i teraz, gdziekolwiek się ruszy, te kajdany sprawiają mu ból. On dobrze wie, że to ja zesłałem mu te cierpienia i że nie skończą się, póki ja żyję. Dlatego będzie usiłował mnie zabić. Każ, panie, Paluchowi pilnować mojej komnaty, a Sójka sam wpadnie mi w ręce. On już nie stanowi dla nas problemu. Problemem jest Ognisty Tancerz!

Żmijogłowego zastanowiła nienawiść malująca się na tłustej bladej twarzy. Taka nienawiść następuje zazwyczaj po wielkiej miłości.

- W porządku, powrócił z martwych! - Nienawiść zaciskała Orfeuszowi gardło, a język ciężko obracał się w ustach. - I zachowuje się jak pan tego zamku. Ale jeśli posłuchasz, panie, mojej rady, jego ogień niebawem zgaśnie.

- Jaka to rada?

Żmijogłowy poczuł wzrok ukrytych za szklami oczu, jakby ktoś położył mu na twarzy dwie monety.

- Poślij Palucha do twojej córki. Niech ją wtrąci do lochu i ogłosi, że pomogła Sójce uciec, żeby ustały plotki, które twoim żołnierzom mieszają rozum. A jej piękną służkę kaźcie zamknąć w klatce, w której siedział Sójka. I powiedz Paluchowi, że nie musi się z nią cackać.

W szklach chroniących oczy Orfeusza odbijał się ogień i Żmijogłowy poczuł nagle coś, czego jeszcze nigdy w życiu nie odczuwał: strach przed innym mężczyzną. To było interesujące uczucie. Jak łaskotanie w karku, jak ucisk w żołądku...

- To właśnie zamierzałem uczynić - rzekł, ale w bladych oczach Orfeusza wyczytał, że ten wie, iż on skłamał.

„Będę musiał go zabić - pomyślał Żmijogłowy. - Jak tylko otrzymam nową księgę”.

Nikt nie może być mądrzejszy od swego pana. Zwłaszcza gdy ma na usługach tak niebezpiecznego psa.

Rozdział 65

Kamienna pułapka

Na próżno! Mózg miał swój własny pokarm, którym się żywił, a wyobraźnia, smagana trwogą, wiła się i kręciła z bólu jak żywa istota, tańczyła niczym marionetka na scenie, szczyrzyła zęby, coraz to w innej występując masce.

Oscar Wilde, Portret Doriana Graya

- Musisz stąd odejść! W tym zamku nigdzie nie jesteś bezpieczny!

Smolipaluch powtarzał w kółko te słowa, a Mo w kółko protestował.

- Muszę znaleźć Pustą Księgę.

- Ja jej poszukam. Wpiszę trzy słowa. Tyle jeszcze potrafię!

- Nie! Nie taka jest umowa. A jeśli ona mimo to zabierze Meggie? To ja sporządziłem księgę i ja muszę ją usunąć ze świata. A poza tym Żmijogłowy dybie na twoje życie tak samo jak na moje.

- Po prostu jeszcze raz opuszczę swoją skórę.

- Ostatnim razem ledwie zdołałeś do niej powrócić.

Jak oni poufale ze sobą rozmawiali. Niczym dwie strony tego samego medalu, niczym dwie twarze jednego mężczyzny.

- O jakiej umowie mówicie?

Spojrzeni na Resę takim wzrokiem, jakby chcieli, by znalazła się daleko stąd. Mo był blady, oczy mu pociemniały z gniewu, a jego ręka co chwila wędrowała w miejsce starej rany na piersi. Co oni mu zrobili w tym okropnym lochu?

W komnacie, w której się ukryli, kurz leżał grubą warstwą, a tynk był tak mokry, że w niektórych miejscach na suficie odchodził płatami. Zamek na Jeziorze był chory. Może już nawet umierał, ale na ścianach wciąż spokojnie spały baranki obok wilków, śniąc o świetle, którego nie ma. W izbie były dwa wąskie okienka. Na dziedzińcu pod oknami sterczało obumarłe drzewo.

Mury, baszty, wieże, wykusze, pomosty... Kamienna pułapka. Resa zapragnęła mieć znów skrzydła u ramion. Skóra swędziała ją, jakby pióra tylko czekały, by się przez nią przebić.

- Jaka umowa, Mo?

Wcisnęła się między obu mężczyzn, żądając dopuszczenia jej do ich tajemnic.

Rozpląkała się, gdy Mo jej o wszystkim powiedział. Teraz nareszcie go rozumiała. Tak czy owak umrze, obojętne, zostanie czy ucieknie. Był zamknięty w pułapce z kamienia i atramentu. W tej samej pułapce tkwiła jej córka.

Wziął ją w ramiona, ale duchem nadal przebywał w mokrej studni, tonąc w nienawiści i strachu. Serce waliło mu w piersi tak mocno, jakby miało pęknąć. Ukryła zapłakaną twarz na jego ramieniu.

- Zabiję go - usłyszała jego głuchy głos. - Powiniennem był to już dawno zrobić. A potem poszukam księgi.

Resa wiedziała aż za dobrze, o kim mówi. Orfeusz. Mo odsunął ją od siebie i chwycił miecz. Otarł rękawem klingę unurzaną we krwi. Wciąż jeszcze nosił czarny strój intrologatora, choć od tak dawna nie wykonywał już swojego zawodu. Zdecydowanym krokiem ruszył w stronę drzwi, ale Smolipaluch zastąpił mu drogę.

- Co to ma znaczyć? - powiedział. - Owszem, Orfeusz napisał i przeczytał te słowa, ale to od ciebie zależy, czy staną się rzeczywistością!

Unióśł dłonie, a wtedy ogień wypisał w powietrzu słowa Orfeusza, straszliwe słowa mówiące o Sójce.

Mo wyciągnął rękę, jakby chciał wymazać słowa, lecz ogień sparzył go w palce, podobnie jak słowa wypalały mu serce.

- Orfeusz tylko czeka na twoje przybycie! - ciągnął kuglarz. - Chce cię podać Zmijogłowemu na atramentowej tacy. Musisz się bronić! Wiem, jak się czuje człowiek, czytając słowa, które kierują jego krokami. Nikt nie wie tego lepiej ode mnie. A jednak w

moim przypadku słowa się nie spełniły. One mają tylko taką moc, jaką ty im nadasz. Sam pójdę do Orfeusza. Nie znam się wprawdzie na zabijaniu, nawet śmierć mnie tego nie nauczyła, ale mogę mu ukraść książki, z których czerpie słowa. A kiedy już będziesz mógł trzeźwo myśleć, poszukamy razem Pustej Księgi.

- A jeśli żołnierze znajdą tutaj Mo? - zaniepokoiła się Resa, nie odrywając oczu od ognistych linijek.

Smolipaluch przesunął ręką po wyblakłym malowidle i na ścianie poruszył się wilk.

- Zostawię wam psa do obrony. Nie jest taki straszny jak pies Orfeusza, ale w razie czego swym wyciem może powstrzymać żołnierzy tak długo, byście zdążyli znaleźć nową kryjówkę. Ogień sprawił, że żołnierze Żmii boją się własnego cienia.

Wilk zeskoczył ze ściany i wybiegł za Smolipaluchem, potrząsając płonąca grzywą. W powietrzu pozostały tylko ogniste słowa.

A kiedy Sójka nie chciał się ugiąć przed Zmijogłowym, ktoś znalazł na to radę - ktoś obcy, przybyły z dalekich stron. Rozumiał on, że Sójka może ulec tylko jednemu człowiekowi - samemu sobie. Dlatego obcy zbudził w nim to wszystko, co Sójka sam przed sobą ukrywał: lęk, bez którego byt nieulekły, i gniew, który czynił go niezwyciężonym. Kazał go wrzucić w ciemność, gdzie musiał walczyć sam ze sobą: z bólem tkwiącym głęboko w jego duszy, niezapomnianym i nieuleczonym, z bezgranicznym lękiem, jaki budziły w nim pęta i kajdany, i z gniewem, który lęk posiał w jego sercu. Ów obcy wymalował w jego sercu straszliwe obrazy...

Resa nie czytała dalej, słowa były zbyt okrutne. Spojrzała jednak na zakończenie.

A Sójka uległ mrokowi w swej duszy i błagał Zmijogłowego, by pozwolił mu sporządzić kolejną księgę, jeszcze piękniejszą od poprzedniej. Kiedy zaś Srebrny Książę otrzymał księgę, skazał Sójkę na najpowolniejszą śmierć w męczarniach, jakiej kiedykolwiek doświadczył człowiek. A wędrowni grajkowie zaintonowali ostatnią pieśń o Sójce.

Mo odwrócił się plecami do ognistych słów, które czytała Resa. Stał nieruchomo pośród warstwy szarego kurzu nagromadzonego przez lata i przyglądał się swoim dłoniom, jakby nie był już pewien, czy nadal są posłuszne jemu, czy też słowom drgającym w powietrzu za jego plecami.

- Mo?

Resa pocałowała go, wiedząc, że nie spodoba mu się to, co zamierzała uczynić. Spojrzała na nią niewidzącymi oczami, w których malowała się ciemność.

- Sama poszukam Pustej Księgi. Znajdę ją i wpiszę za ciebie te trzy słowa.

„Aby Zmijogłowy umarł, zanim sprawdzą się słowa napisane przez Orfeusza - dodała w myślach. -1 zanim imię, które nadał ci Fenoglio, doprowadzi cię do śmierci”.

Zanim sens jej słów dotarł do niego, Resa wsunęła ziarna do ust. Mo nie zdążył jej w tym przeszkodzić.

- Resa, nie!

Przefrunęła przez płonące litery, a ogień opalił jej pierś.

- Resa!

Nie. Tym razem to on musi czekać. „Zostań na miejscu, Mo, proszę!”.

Rozdział 66

Miłość odziana w nienawiść

Skąd się wzięła ta miłość? Nie wiem; przyszła do mnie jak złodziej w nocy [...]. Miałam nadzieję, że w cieniu moich potwornych zbrodni ta miłość jest nie większa niż nasionko gorczycy; i żałowałam, że nie popełniłam jeszcze większych występków, żeby głębiej ją ukryć... Ale nasionko wykiełkowało i rosnęło, a mały zielony pęd rozrywał mi serce [...].

Philip Pullman, Bursztynowa luneta

Zmijogłowy zapragnął wykapać się we krwi wrózek, by przynieść ulgę swędzącej skórze. Dlatego Orfeusz zajęty był pisaniem, które miało zaludnić gniazdami wrózek uschnięte drzewa wiśniowe rosnące pod jego oknem. Wtem usłyszał za sobą ciche kroki. W pośpiechu odłożył pióro, spryskując atramentem szare stopy Błyszczka. Sójka!

Za chwilę poczuje ostrze miecza między łopatkami. Trudno się dziwić: wszak to on sam obudził w zbójcy żądzę krwi, pogrążając go w gniewie i bezsilnej złości. Ale dlaczego strażę go przepuściły? Drzwi pilnowało trzech żołnierzy, a w sąsiedniej komnacie czuwał Paluch.

Odwrócił się i zobaczył, że to nie Mortimer, lecz Smolipaluch wszedł do komnaty.

A co ten tu robi? Dlaczego nie siedzi przed klatką ze szlochającą córką, gdzie mógłby go pożreć nocny mar? Smolipaluch.

Jeszcze kilka lat temu rozpływał się ze szczęścia na samą myśl

O tym, że kuglarz mógłby pojawić się w nędznym pokoiku, gdzie wówczas mieszkał, otoczony książkami obiecującymi to, czego gwałtownie łaknęło jego serce. Tęsknił za światem, gdzie wszyscy gną się przed nim w ukłonach, za ucieczką od szarego, monotonnego życia, za światem, gdzie byłby wreszcie sobą: Orfeuszem, jaki w nim drzemał i jakiego nie dostrzegali ci, którzy z niego drwili... Zresztą słowo „tęsknił” nie oddawało charakteru jego

uczuciu, pachniało potulnym poddaniem się losowi. Należałoby raczej mówić o żądzy posiadania tego, czego mu odmówiono.

O tak, wtedy widok Smolipalucha byłby go uczynił człowiekiem szczęśliwym. Teraz jednak serce biło mu mocno z innego powodu. Oto bowiem przepełniająca go nienawiść wciąż miała posmak przebrzmiałej miłości. I nagle książka, którą się posługiwał, podpowiedziała mu sposób zemsty doskonałej, wywołując mimowolny uśmiech na jego ustach.

- No proszę, przyjaciel z dzieciństwa. Niewierny przyjaciel! - Szybko wsunął księgę Wiolanty o Sójce pod pergamin, na którym pisał. Przestraszony Błyszczek schował się za kałamarzem. Strach. To nie musi być koniecznie złe uczucie. Może działać inspirująco. - Przyszedłeś mi ukraść jeszcze kilka książek? - ciągnął. - Sójce to nic nie pomoże. Słowa zostały przeczytane i musi się do nich zastosować. Oto jaką cenę przychodzi zapłacić za utożsamianie się z opowieścią. No, ale co z tobą? Widziałeś się ostatnio z córką?

Naprawdę nic jeszcze nie wiedział! Ach, miłość. Tak, tak, wobec miłości nawet nieulekłe serce Smolipalucha, jakie wyniósł z krainy śmierci, okazało się bezradne.

- Stanowczo powinieneś do niej pójść. Szlocha rozpaczliwie

I targa swoje piękne włosy...

Jak on na niego patrzy.

„Mam cię! - pomyślał Orfeusz. - Mam was, ciebie i Sójkę”.

- Mój czarny pies jej pilnuje. - Każde słowo smakowało jak najlepsze wino. - Pewnie dlatego tak się boi. Ale na razie zabroniłem mu nasycenia głodu jej pięknym ciałem i duszą...

Aha, więc jednak strach ma dostęp do Smolipalucha... Jak pobladła mu nagle ta gładka twarz bez blizn. Spoglądał na cień Orfeusza, ale nocny mar nie wyłuskał się z niego. Pilnował przecież klatki, w której Brianna płakała i przywoływała ojca.

- Zabiję cię, jeśli jej dotknie. Nie znam się na zabijaniu, ale dla ciebie się nauczę!

Bez blizn jego twarz wyraźniej odzwierciedlała uczucia. W jego ubraniu i włosach igrały skry.

Orfeusz musiał przyznać, że Smolipaluch nadal jest jego ulubioną postacią. Bez względu na to, jak go zranił, ile razy go zdradził, jego uczucie się nie zmieni. Jeszcze jeden powód, by wreszcie pozbyć się Ognistego Tancerza z tego świata. Choć będzie mu bardzo żal. To nie do wiary, że przyszedł do niego tylko po to, by chronić Sójkę. Taka szlachetność to nie w jego stylu! Najwyższy czas, by Ognisty Tancerz odegrał rolę, która bardziej do niego pasuje.

- Możesz wykupić córkę! - wycodził słodko.

O, słodka zemsto! Kuna na ramieniu Smolipalucha wyszczerzyła kły. Obrzydliwa bestia.

Smolipaluch głaskał brunatne futerko. - Jak?

Orfeusz podniósł się z krzesła.

- No cóż... najpierw zgasisz to kunsztowne oświetlenie zamku, i to natychmiast.

Ze ścian wystrzeliły płomienie, jakby chciały dosięgnąć poety, lecz zaraz zgasły. Ogień rozświetlał tylko włosy i ubranie kuglarza. Jaką straszliwą bronią jest miłość. Działa skuteczniej od najostrzejszego noża. Najwyższy czas wbić głębiej jej ostrze w to wiarołomne serce.

- Twoja córka wypłakuje oczy w tej samej klatce, w której siedział Sójka - ciągnął Orfeusz. - Oczywiście wygląda o wiele piękniej z tymi wspaniałymi włosami. Jak rajski ptak...

Ogień czał się wokół Smolipalucha, czerwona mgła spowijała jego postać.

- Przynies nam ptaka, dla którego przeznaczona jest ta klatka. Przynies nam Sójkę, a twoja córka będzie wolna. Jeśli tego nie uczynisz, mój czarny pies pożywi się jej ciałem i duszą. Dlaczego tak na mnie patrzysz? O ile wiem, nie po raz pierwszy przyjdzie ci odegrać rolę zdrajcy. Zamierzałem napisać dla ciebie lepszą, ale nie chciałeś o tym słyszeć.

Smolipaluch milczał, nie spuszczał z niego wzroku.

- Ukradłeś mi książkę! - mówił poeta łamiącym się głosem. - Stałeś po stronie intrologatora, chociaż on wyrwał cię przemocą z twojej historii, zamiast trzymać ze mną, człowiekiem, który cię odesłał do domu! To było okrutne. - Łzy stanęły mu w oczach. - Myślałeś, że przełknę bez słowa tę zdradę? O nie! Właściwie miałem zamiar odesłać cię tylko do krainy umarłych, bez duszy, pustego w środku, jak skorupa owada, ale ta zemsta podoba mi się o wiele bardziej. Zrobię z ciebie znowu zdrajcę. Szlachetne serce intrologatora pęknie z żalu!

Płomienie znów wystrzeliły ze ścian, z podłogi, osmały buty Orfeusza. Błyszczek trząsał się ze strachu, chowając głowę w ramionach. Cały gniew Smolipalucha skupił się w ogniu, płonął na twarzy, sypał skrami z sufitu.

- Zabieraj ode mnie ten ogień! - krzyknął Orfeusz. - Tylko ja mogę rozkazywać nocnemu marowi, a twoja córka będzie jego pierwszą ofiarą, gdy zgłodnieje. A to nastąpi niebawem. Potrzebny mi ognisty trop do miejsca, gdzie przebywa Sójka, i to ja pokażę Zmijogłowemu ten trop. Zrozumiano?

Płomienie na ścianach zgasły ponownie. Zamarły nawet płomyki świec na biurku i w komnacie zapanowała ciemność. Tylko wokół kuglarza unosiła się czerwona poświata.

Dlaczego jego spojrzenie nappełniało go takim wstydem? Dlaczego serce wciąż odczuwało miłość?

Orfeusz zamknął oczy, a gdy je otworzył, Smolipalucha nie było w izbie.

Gdy otworzył drzwi, nadbiegli przerażeni strażnicy, którzy mieli pilnować jego komnaty.

- Sójka tu był! - jęczeli. - Był cały z ognia, a potem rozwiął się jak dym. Paluch poszedł zameldować o tym Żmijogłowemu.

Głupcy! Wszystkich ich odda nocnemu marowi. „Nie złość się, Orfeuszu. Wkrótce dostarczysz Żmijogłowemu prawdziwego Sójkę, a Smolipalucha też pozre nocny mar”.

- Zameldujcie Srebrnemu Księżciu, że może przysłać paru ludzi na dziedziniec pod moim oknem - zwrócił się do strażników. - Znajdą tam tyle wrózek, że wystarczy na wypełnienie wanny ich krwią.

Rozdział 67

Inne imię

Piszę Twoje imię. Dwie sylaby. Dwie samogłoski. Twoje imię sprawia, że rośniesz, jest większe od Ciebie. Usnąłeś w kącie; Twoje imię Cię budzi, kiedy je piszę. Nie mógłbyś się nazywać inaczej. Twoje imię to cały Ty, twój smak, twój zapach. Zawołany innym, znikasz. Piszę je. Twoje imię.

Susan Sontag, Scena z listu

Zamek na Jeziorze został zbudowany, by chronić przed światem kilkoro nieszczęśliwych dzieci. Im dłużej jednak Mo błądził w jego labiryncie, tym mocniej był przekonany, że malowane ściany twierdzy tylko czekają na to, by on utonął w ciemności własnej duszy. Ognisty wilk Smolipalucha biegł przodem, jakby znał drogę. Mo zabił czterech kolejnych strażników. Zamek należał do Ognistego Tancerza i Sójki. Mo wyczytał to w twarzach żołnierzy. Gniew, który wzbudził w nim Orfeusz, był tak straszliwy, że Mo dźgał mieczem ludzkie ciała, aż jego czarne szaty nasiąkły krwią. Jego serce szerniało od słów poety.

„Powinieneś był ich spytać o drogę, zamiast ich zabijać!” - myślał z goryczą, czając się w bramie.

Stadko gołębi poderwało się do lotu, ale nigdzie nie dostrzegł jaskółki. Gdzie jest Resa? A gdzie ma być? W komnacie Żmijogłowego. Szuka książki, którą kiedyś zrobił, by ją ratować. Jaskółka leci szybko, a on miał nogi jak z ołowiu.

O tam. To chyba ta wieża, gdzie zaszył się Żmijogłowy. Zgadzała się z opisem Sniolipalucha. Jeszcze dwaj żołnierze... Na jego widok cofnęli się przerażeni.

„Zabij ich, nim zaczną krzyczeć, Mo”.

Krew, czerwona jak ogień. Niegdyś czerwień była jego ulubionym kolorem, lecz teraz robiło mu się niedobrze na jej widok. Pochylił się obojętnie nad trupami, jednemu z żołnierzy zabrał srebrnoszarą opończę, drugiemu hełm. Może to przebranie pozwoli mu uniknąć dalszego zabijania, jeśli znów spotka strażników.

Następny korytarz wydał mu się znajomy. Nie było tu straży. Wilk biegł dalej, lecz Mo zatrzymał się i pchnął jakieś drzwi. Martwe księgi. Stracona biblioteka.

Opuścił miecz i wszedł do środka. Tu także paliły się światła Smolipalucha. Ogień wypalił zapach stęchlizny.

Książki. Oparłszy o ścianę zakrwawiony miecz, gładził poczerniałe grzbiety, czując, jak brzemień słów na jego ramionach staje się lżejsze. Nie Sójka, nie Czarodziejski Język, lecz Mortimer. O nim Orfeusz nie pisał. To on, Mortimer Folchart. Introligator.

Wziął jedną z ksiąg. Jej stan był tragiczny. Druga, trzecia, dziesiąta... wszystkie umarły. Wtem usłyszał szelest. Ręka sięgnęła po miecz, słowa Orfeusza znów owładnęły sercem.

Kilka stert martwych ksiąg runęło na posadzkę, spomiędzy nich wychynęła ręka, potem druga - bez dłoni. Balbulus.

- Aha, to ciebie szukają! - powiedział, prostując się, Balbulus; palce lewej dłoni miał powalane atramentem. - Odkąd się tu ukryłem przed Piszczalką, żaden żołnierz nie wszedł przez te drzwi. Najpewniej odstrasza ich smród. Ale dzisiaj już dwóch tu zaglądało. Jak ci się udało im umknąć? Musieli cię pilnować lepiej niż mnie.

- Za pomocą ognia i pióra - odparł Mo.

Nie chciał o niczym pamiętać. Chciał choć na kilka chwil zapomnieć o Sójce i odnaleźć szczęście między pergaminowymi kartami ujętymi w oprawne w skórę okładki, szczęście zamiast nieszczęścia.

Balbulus poszedł za jego wzrokiem. Zapewne wyczuł gorące pragnienie Mo, gdyż rzekł:

- Znalazłem kilka ksiąg w dość przyzwoitym stanie. Chcesz je zobaczyć?

Mo nasłuchiwał. Wilk zachowywał się cicho, ale Mo miał wrażenie, że słyszy kroki na korytarzu. Nie, musiało mu się zdawać, wszędzie panowała cisza.

Balbulus podał mu tomik nie większy od dłoni. W kilku miejscach okładka była zżarta przez robaki, lecz pleśń oszczędziła ten egzemplarz.

Mo docenił doskonałą robotę introligatora. Jakże jego palce stęskniły się za przewracaniem zapisanych kart! Jakże jego oczy łaknęły widoku słów, które unoszą w dal,

zamiast zamykać człowieka w klatce i kierować jego krokami. Jakże jego dłonie pragnęły chwycić ostrze przeznaczone do przecinania papieru miast ludzkiego ciała.

- Co to jest? - szepnął Balbulus.

W komnacie zrobiło się ciemno. Ogień na ścianach zagasł i Mo nie widział już książki, którą trzymał w ręce.

- Czarodziejski Języku? Odwrócił się.

W drzwiach stał Smolipaluch - cień obramowany ogniem.

- Byłem u Orfeusza.

Jego głos brzmiał inaczej, zniknął spokój, jaki wyniósł z krainy śmierci. Powróciła dobrze znana rozpacz, o której obaj zdążyli już dawno zapomnieć. Smolipaluch zagubiony...

- Co się stało?

Kuglarz wywabił ogień z ciemności i wymalował klatkę z płaczącą dziewczynką. Brianna. Na twarzy Smolipalucha Mo dostrzegł ten sam lęk, który i on już tyle razy odczuwał. Krew z jego krwi, kość z jego kości. Dziecko. Potężne słowo. Najpotężniejsze ze wszystkich.

Wystarczyło, żeby Smolipaluch na niego spojrział. W jego oczach Mo bez trudu wyczytał prawdę: o nocnym marze pilnującym jego dziecka, o cenie, za jaką mógł je wykupić.

- A więc? - Mo nasłuchiwał odgłosów z zewnątrz. - Czy żołnierze już stoją za drzwiami?

- Jeszcze nie namalowałem śladu.

Mo odczuwał lęk Smolipalucha tak dotkliwie, jakby w klatce siedziała Meggie i jakby to jej płacz dobiegał z ognistego obrazu.

- Na co jeszcze czekasz? Przeprowadź ich! - rozkazał. - Najwyższy czas, aby moje ręce zabrały się do robienia księgi..! której nie wolno mi skończyć. Niech złapią intrologatora, a nie Sójkę. Nie zauważą różnicy. A ja odeślę Sójkę do lochu i sprawię słowami Orfeusza, by zasnął głęboko.

Smolipaluch chuchnął w ciemność i zamiast klatki z płaczącą dziewczynką ukazał się znak, który Mo odcisnął już na okładkach tylu książek: głowa jednoroźca.

- Jak chcesz - powiedział cicho. - Ale jeśli ty zostaniesz na powrót intrologatorem, to jaka rola mnie przypadnie?

- Zbawcy mojej córki - odparł Mo. - Opiekuna mojej żony. Resa szuka Pustej Księgi. Pomóż jej znaleźć tę księgę i przynieś mi ją.

„Żebyś mógł wpisać zakończenie” - dodał w duchu. Trzy słowa, nic więcej.

I nagle przyszła mu do głowy myśl, która wywołała uśmiech na jego twarzy. Orfeusz nic nie napisał o Resie, ani jednego słowa, które by ją wiązało. O kim jeszcze zapomniał?

Rozdział 68

Wrócił

Kimkolwiek jesteś, choćbyś była bardzo samotna, świat ofiarowuje się twojej wyobraźni, wola do ciebie jak dzikie gęsi, cierpko, pobudzająco, coraz to oznajmiając, gdzie jest twoje miejsce w rodzinie ziemskich rzeczy.

Mary Oliver, Dzikie gęsi

Roksana znów śpiewała. Śpiewała dla dzieci, którym strach przed Szczapą nie pozwalał usnąć. Prawdą było to, co Meggie zawsze słyszała o jej głosie. Zasłuchało się drzewo, ptaki w gałęziach, zwierzęta mieszkające pośród korzeni i gwiazdy na ciemnym niebie. W głosie Roksany było tyle kojącej pociechy, choć śpiewała o smutnych rzeczach, a każde słowo wibrowało tęsknotą za Smolipaluchem. Jak słodko jest słuchać takich pieśni, gdy samemu ma się serce pełne tęsknoty. Tęsknoty za spokojnym snem i beztroskimi dniami, za bezpiecznym oparciem dla stóp i pełnym żołądkiem, za uliczkami Ombry, za matkami... i ojcami.

Meggie siedziała wysoko w górze przed gniazdem, w którym Fenoglio oddawał się pisaniu, i nie wiedziała, o kogo ma się bardziej martwić: o Fenoglia i Czarnego Księcia, o Farida, który wraz z Baptistą ruszył śladem olbrzyma, czy o Dorię, który mimo zakazu zbójców znowu zlął z drzewa i zagłębił się w las, by sprawdzić, czy Szczapa naprawdę odszedł. Starła się nie myśleć o rodzicach, gdy wtem Roksana zaśpiewała jej ulubioną pieśń o Sójce. Opowiadała ona o tym, jak to wraz z córką był uwięziony w Mrocznym Zamku. Inne pieśni mówiły o jego bohaterskich czynach, ale tylko ta jedna ukazywała go jako ojca, a Meggie tęskniła za ojcem. Wyobraziła sobie, że kładzie głowę na jego ramieniu i zasypuje go pytaniami: „Myślisz, że olbrzym zanieś Fenoglia swoim dzieciom, Mo? Myślisz, że rozdepcze Farida i Baptistę, gdy będą próbowali uwolnić Czarnego Księcia? Myślisz, że można kochać dwóch chłopców naraz? Czy widziałeś Resę? A co słysząc u ciebie, Mo? Co z tobą...?”.

Nie dalej jak wczoraj jedno z dzieci spytało Elinor: „Czy Sójka już zabił Zmijogłowego? Czy przyjdzie nas uratować przed Szczapą?”. „Oczywiście!” - odpowiedziała bez namysłu Elinor, rzucając Meggie spłoszone spojrzenie.

Oczywiście...

- Chłopak jeszcze nie wrócił - usłyszała pod sobą głos Po-stracha Elfów. - Czy mam zejść i go poszukać?

- Po co? - odparł przytłumionym głosem Kuternoga. - Wróci, jak tylko będzie mógł. A jeśli nie wróci, to znaczy, że go złapali. Jestem pewien, że gdzieś tam są na dole. Mam nadzieję, że Baptysta będzie miał się przed nimi na baczności.

- Jak może mieć się na baczności? - roześmiał się drwiąco Postrach Elfów. - Za plecami ma olbrzyma, przed sobą Szczapę, a Czarny Księżę najpewniej nie żyje. Wkrótce zaśpiewamy naszą ostatnią pieśń, ale nie będzie ona brzmiała tak pięknie jak pieśni Roksany.

Meggie ukryła twarz w dłoniach.

„Nie myśl, Meggie. Po prostu o niczym nie myśl. Słuchaj śpiewu Roksany i wyobrażaj sobie, że wszyscy wrócili szczęśliwie: Mo, Resa, Fenoglio, Czarny Księżę, Farid... i Doria. Co Szczapa robi z więźniami? Nie, Meggie, nie myśl, nie pytaj...”

Z dołu dobiegły ją głosy. Pochyliła się, próbując dojrzeć cokolwiek w ciemności. Czy to Baptysta wrócił? Zobaczyła ogień, maleńki płomyk, lecz dający światło. O, Fenoglio! A obok Czarny Księżę na noszach.

- Farid? - zawołała.

- Cicho! - syknął Postrach Elfów i Meggie zakryła sobie usta dłonią.

Zbójcy spuścili liny i siatkę, by za ich pomocą wciągnąć rannego księcia.

- Szybko, Baptysto! Nadchodzą!

Jakże inaczej brzmiał głos Roksany, kiedy nie śpiewała.

Między drzewami parskwały konie, gałęzie łamały się z trzaskiem pod ciężkimi żołnierskimi butami. Zbójcy spuścili więcej lin, kilku z nich poczęło zsuwać się po pniu. Z ciemności nadleciały strzały, spośród drzew niczym srebrne żuki wyroili się żołnierze.

„Zobaczycie, że tylko czekają na powrót Baptysty z Księciem!” - powiedział Doria. Dlatego odszedł i nie wrócił.

Farid rozpalil większy ogień. Wraz z Baptystą zasłonili Czarnego Księcia. Obok nich niedźwiedź prostował się groźnie.

- Co jest? Co się znowu dzieje? - Elinor z potarganymi włosami uklękła obok Meggie.

- Chyba naprawdę usnęłam! To nie do wiary!

Meggie nie odpowiedziała. Co robić? Wspięła się aż do rozgałęzienia drzewa, gdzie klęczała Roksana z innymi kobietami. Tylko dwóch zbójców było przy nich. Wszyscy inni złazili po pniu, lecz pień był tak potwornie wysoki, a z dołu leciały strzały, niczym deszcz, który odwrócił kierunek lotu. Dwaj zbójcy, trafieni strzałą, z krzykiem runęli w dół, kobiety zatykały dzieciom uszy i oczy.

- Gdzie on jest? - wołała Elinor, wychylając się niebezpiecznie, aż Roksana złapała ją za kołnierz. - Gdzie on jest? - wrzeszczała. - Gadajcie! Czy ten stary dureń jeszcze żyje?

Fenoglio spojrział w górę, jakby usłyszał jej wołanie. Pobrużdżona twarz wyrażała paniczny lęk. Wokół niego szalała walka. Jakiś zabity padł u jego stóp i pisarz porwał jego miecz.

- Widzicie go! - wrzeszczała Elinor. - Zachciało mu się zgrywać bohatera w tej przeklętej historii!

„Muszę dostać się na dół - myślała Meggie - żeby pomóc Fa-ridowi i poszukać Dorii. Gdzie on się podziewa? A może leży martwy pod drzewami? Nie, Meggie, zapomniałaś, jakie cudowne rzeczy napisał o nim Fenoglio? Nie mógł umrzeć”.

Skąd jednak można było to wiedzieć? Chwyliła linę, lecz Postrach Elfów ją zatrzymał.

- Na górę! - rozkazał. - Kobiety i dzieci na górę, najwyżej jak się da!

-I co tam będziemy robić? - sprzeciwiła się Elinor. - Czekać, aż nas wszystkich wyłapią?

Nie było odpowiedzi na to pytanie.

- Mają księcia! - zawołała rozpaczliwie Minerwa. Wszyscy odwrócili się jak na komendę. Kilka kobiet zaczęło szlochać. Tak, mieli Czarnego Księcia. Porwali go z noszy, obok leża! nieruchomo niedźwiedz trafiony strzałą. Złapali też Baptystę. A gdzie Farid? Tam gdzie ogień.

Ogień Farida kasał i palił, lecz był tam także Kopeć, którego nieruchoma twarz rysowała się jasną plamą na tle czarno-czer-wonego stroju. Ogień trawił ogień, płomienie lizwały potężny pień, Meggie zdawało się, że słyszy jęk drzewa. Kilka mniejszych drzew stanęło w płomieniach, płacz dzieci rozdzierał jej serce.

„Ach, Fenoglio - myślała - nie mamy szczęścia z naszymi zbawcami. Najpierw Cosimo, teraz olbrzym...”. Olbrzym.

Jego wielka twarz ukazała się tak nagle między drzewami, jakby jej słowo wywołało go z nicości. Jego skóra była ciemna jak noc, a na jego czole malowało się rozgwieżdżone niebo. Jedna jego stopa zdeptała ogień tłący się w korzeniach drzewa, druga o mały włos nie zmiażdżyła Farida i Kopia. Meggie zdała sobie sprawę, że krzyczy.

- Tak, tak, wrócił! - wrzeszczał z dołu Fenoglio. Podbiegł do potężnych stóp olbrzyma i wspiął się na jego palec niby na łódź ratunkową.

Tymczasem olbrzym patrzył w górę, gdzie zawodziły dzieci, jakby szukał w gałęziach czegoś, po co wrócił.

Ludzie Szczapy puścili więźniów i po raz drugi rzucili się do ucieczki, a na samym przodzie ich przywódca na śnieżnobiałym koniu. Tylko Kopeć z paroma żołnierzami pozostał na miejscu, rzucając ogień na olbrzyma. Ten zdezorientowany spojrzał na płomienie liżące mu stopy i cofnął się o krok.

- Nie, proszę! - zawołała Meggie. - Nie odchódź! Musisz nam pomóc!

Wtem ujrzała Farida na ramieniu olbrzyma. Chłopiec rozświetlił noc snopami iskier opadającymi w dół jak deszcz. Ogniste kleszcze wżarły się w ubrania Kopcia i jego ludzi, aż poczęli tarzać się po ziemi, próbując ugasić płonące szaty. Zaskoczony olbrzym zdjął Farida z ramienia i trzymając go w wyciągniętej ręce, przyglądał mu się z ciekawością. Jak mały był Farid w tych potężnych paluchach!

Kopeć i żołnierze walczyli z płomieniami. Olbrzym z irytacją spojrzał w dół, trąc ucho, jakby ich wrzaski sprawiały mu ból. Trzymając jedną ręką Farida, drugą zamachnął się i posłał tamtych w las, tak jak dziecko strąca pająka z ubrania. Po czym znów przytknął rękę do ucha i wzrokiem szukał czegoś na drzewie, jak gdyby nagle przypomniał sobie, po co tu znów przyszedł.

- Roksano! - To był głos Dariusza dochodzący gdzieś z wierzchołka drzewa. Łagodny, lecz stanowczy. - Roksano! Wydaje mi się, że on wrócił z twojego powodu! Zaśpiewaj!

Rozdział 69

W komnacie Zmijogłowego

A przecież czeka tyle opowieści, aż za wiele, wprost roi się od splecionych ze sobą żywotów wydarzeń cudów miejsc plotek, co za obfity melanz spraw niewiarygodnych i przyziemnych!

Salman Rushdie, Dzieci północy

Resa pofrunęła za jednym ze służących, którzy nosili do komnaty Żmijogłowego wiadra z wodą zmieszana z krwią. Czerwony aż po szyję, siedział w srebrnej wannie, sapiąc i przeklinając. Wyglądał tak okropnie, że Resa poczuła jeszcze większy strach o Mo. Jaka zemsta zdoła zrównoważyć tyle cierpienia?

Paluch obejrzał się, gdy wylądowała na szafie stojącej obok wejścia, lecz w porę zdążyła się ukryć przed jego wzrokiem. Czasem dobrze jest być małym. Na ścianach wciąż płonęły ognie Smolipalucha, trzech żołnierze próbowali je gasić mokrymi szmatami, podczas gdy Żmijogłowy zasłaniał bolące oczy zakrwawioną dłonią. Obok wanny stał jego wnuk z rękami skrzyżowanymi na piersiach, jakby to mogło go uchronić przed złym humorem dziadka. Resę zdziwiła kruchość chłopca - był piękny jak ojciec i delikatny jak matka. I w

przeciwieństwie do Wio-lanty nie był ani trochę podobny do dziadka, chociaż każdym gestem starał się go naśladować.

- Wcale nie! - mówił właśnie Jacopo, wysuwając brodę i nieświadomie naśladowując tym gest Wio-lanty.

- Nie? No to kto pomógł Sójce, jeśli nie twoja matka? Sługa wylał zawartość wiadra na plecy księcia. Widok krwi spływającej po jego karku przyprawił Resę o mdłości. Nawet Jacopo spoglądał na dziadka z wyrazem strachu i wstrętu na twarzy. Szybko odwrócił wzrok, gdy dziadek pochwycił jego spojrzenie.

- Tak, przypatrz mi się! - zawołał Zmijogłowy. - Twoja matka pomogła człowiekowi, który doprowadził mnie do tego stanu.

- Wcale nie. Sójka odfrunął. Wszyscy mówią, że potrafi latać. I że nie można go zabić. Zmijogłowy roześmiał się. Oddech miał świszczący.

- Nie można go zabić? Pokażę ci, że można, jak go tylko złapię. Dam ci nóż i sam będziesz się mógł przekonać.

- Alé go nie złapiesz.

Zmijogłowy uderzył dłonią w wodę i biała szata Jacopa zabarwiła się na czerwono.

- Uważaj. Stajesz się coraz bardziej podobny do matki.

Jacopo milczał, jakby się zastanawiał, czy to źle, czy dobrze.

Gdzie mogła być Pusta Księga? Resa rozejrzała się. Skrzynie, ubrania rzucone na oparcie krzesła, rozbebeszone łoże. Gdzie on ją ukrywa? Od tej księgi zależy jego życie, nieśmiertelność. Rozglądała się za jakąś szkatułą, drogocenną materią, w którą mogła być zawinięta, chociaż cuchnęła i butwiała... Nagle w komnacie zapadły zupełne ciemności, pozostały tylko odgłosy: plusk krwawej wody w wannie, ciężkie oddechy żołnierzy i krzyk przerażonego Jacopa:

- Co się dzieje?

Ognie Smolipalucha zgasły tak nagle, jak nagle wystrzelały ze ścian, gdy prowadził ich korytarzami po uwolnieniu Mo z lochu. Resa poczuła, że ptasie serduszko w jej piersi bije jak szalone. Co się stało? Musiało się coś wydarzyć i na pewno nie było to nic dobrego.

Jeden z żołnierzy zapalił pochodnię, zasłaniając płomień dłonią, by nie raził jego pana.

- No, nareszcie! - odetchnął zaskoczony Zmijogłowy. Skinął na służących, by polewali swędzącą skórę. Gdzie oni nałapali tyle wrózek? Przecież o tej porze roku nie opuszczały gniazd.

Drzwi otwarły się, jakby historia postanowiła odpowiedzieć mu na to pytanie, i wszedł Orfeusz.

- No jak? - spytał, kłaniając się w pas. - Wystarczy tyle wróżek, Wasza Wysokość, czy mam postarać się o jeszcze?

- Na razie wystarczy. - Zmijogłowy zaczerpnął dłońmi krwawej wody i zanurzył w niej twarz. - Masz coś wspólnego z tym, że ogień nagle zgasł?

- Czy mam z tym coś wspólnego? - Błogi uśmiech wykwitł na wargach Orfeusza; Resa miała ochotę rozorać mu dziobem twarz. - Oczywiście. To ja przekonałem Ognistego Tancerza, żeby przeszedł na naszą stronę.

Nie, to niemożliwe. On kłamie.

Ptak, którym teraz była, kłapał dziobem, chwytając muchę, i Jacopo spojrział w jej kierunku.

„Pochyl głowę, Reso, nie szkodzi, że jest ciemno”. Ach, gdyby tylko nie miała tego białego pierza na piersi.

- Dobrze. Ale mam nadzieję, że nie obiecałeś mu nagrody? - Zmijogłowy zanurzył się po szyję w krwawej brei. - Wystawił mnie na pośmiewisko przed moimi własnymi ludźmi. Chcę, żeby umarł, tym razem ostatecznie. Ale to może poczekać. A co z Sójką?

- Ognisty Tancerz zaprowadzi nas do niego. Bez wynagrodzenia.

Te słowa były dostatecznie straszne, lecz piękny głos Orfeusza czynił je jeszcze straszniejszymi.

- Zostawi ognisty ślad, twoi ludzie łatwo go znajdą.

Nie, nie. Resa zaczęła drżeć. Nie mógł go zdradzić po raz drugi. Nie.

Z jej ptasiej piersi wydobył się zduszony krzyk i Jacopo znów spojrział w tamtą stronę. Ach, gdyby ją nawet zobaczył, to była przecież tylko przerażoną jaskółką zabłąkaną w świecie ludzi.

- Czy wszystko przygotowane, by Sójka mógł się zaraz zabrać do pracy? - spytał Orfeusz. - Im szybciej sporządzi księgę, tym szybciej, panie, będziesz mógł go zgładzić.

„O, Meggie, kogoś ty nam sprowadziła!” - myślała Resa.

Orfeusz ze swym jedwabistym głosem, błyskający szklami okularów, wydał jej się prawdziwym demonem.

Zmijogłowy uniósł się ciężko, opierając ręce na brzegu wanny. Jacopo cofnął się odruchowo, lecz dziadek wezwał go skinieniem dłoni.

- Panie, musisz dłużej zażywać kąpieli, inaczej krew nie zadziała! - sprzeciwił się jeden ze sług.

- Później! - odparł niecierpliwie Zmijogłowy. - Mam siedzieć w wannie, kiedy mi przyprowadzą mojego najgorszego wroga? Podaj mi ręczniki! - zawołał do Jacopa. - Pospiesz

się, bo inaczej wtrącę cię do lochu, gdzie siedzi twoja matka. Czy powiedziałem, że jesteś coraz bardziej podobny do matki? Myliłem się, jesteś coraz bardziej podobny do ojca.

Jacopo z ponurą miną podał mu ręczniki leżące obok wanny.

- Ubranie!

Słudzy poczeli grzebać w skrzyniach, a Resa schowała się w cieniu. Ale wszędzie podążał za nią głos Orfeusza niby woń śmierci.

- Wasza Wysokość... - chrząknął Orfeusz. - Dotrzymałem obietnicy. Wkrótce Sójka będzie znów twoim więźniem i zrobi ci drugą księgę. Myślę, że zasłużyłem sobie na nagrodę.

- Tak sądzisz? - Słudzy wkładali czarne ubranie na czerwone ciało Żmijogłowego. - Masz na myśli coś konkretnego?

- Owszem. Przypominasz sobie, panie, tę księgę, o której ci opowiadałem? Nadal bardzo pragnę ją mieć i jestem pewien, że możesz ją dla mnie znaleźć. Gdyby jednak okazało się to niemożliwe... - z zadowoleniem przyglądzi! rzadkie jasne włosy - mogę przyjąć w nagrodę rękę twojej córki. Orfeusz.

Resa przypominała sobie dzień, w którym zobaczyła go po raz pierwszy w domu Elinor, z Basta i Mortolą. Wtedy uderzyło ją, że był tak inny od mężczyzn, którymi zwykle otaczała się Mortola. Wydał jej się zupełnie nieszkodliwy, prawie niewinny z tą pucołowatą dziecięcą twarzą. Jakaż była głupia. Był gorszy od wszystkich, o wiele gorszy.

- Wasza Wysokość - odezwał się nagle Piszczalka. Resa nie zauważyła, kiedy wszedł. - Złapaliśmy Sójkę razem z tym malarzem Wiolety. Czy mamy go przyprowadzić tutaj?

- A może nam opowiesz, jak go złapałeś? - zaproponował Orfeusz słodziutkim głosem. - Może wyczułeś go swoim srebrnym nosem?

Piszczalka odpowiedział, zacinając się, jakby słowa kaleczyły go w język:

- Ognisty Tancerz nam go wydał. Zostawił ognisty ślad. Resa miała ochotę wypluć ziarna, żeby jej ludzkie oczy mogły zapłakać.

Orfeusz roześmiał się zadowolony jak dziecko.

- A kto ci powiedział o tym śladzie? Mów, nie wstydz się! Piszczalka długo walczył ze sobą, zanim wreszcie odrzekł ochrypłym głosem:

- No ty, a kto? Ale kiedyś się dowiem, jakim diabelskim sposobem tego dokonałeś!

- Ważne, że dokonał! - uciął Żmijogłowy. - A ty dwa razy pozwoliłeś mu uciec. Zaprowadźcie go do Komnaty Tysiąca Luster. Przykujcie łańcuchem do stołu, gdzie będzie sporządzał księgę, i obserwujcie każdy jego ruch. Jeśli i ta księga doprowadzi mnie do choroby, własnoręcznie wyrwę ci serce z piersi, Piszczalko, a wierz mi, że nie da się go tak łatwo zastąpić jak nosa.

Ptasie myśli zaćmiły umysł Resy. Przestraszyła się, ale co miała zrobić? Jakże wróci do Mo bez skrzydeł?

„A gdybyś nawet do niego pofrunęła, to co? - myślała z goryczą. - Wydziobiesz Piszczalce oczy, żeby nie widział, jak Mo ucieka? Opuść to miejsce, Reso. Ratuń nienarodzone dziecko, jeśli nie możesz uratować jego ojca. Wracaj do Meggie”.

Wypełniał ją ptasi lęk i ludzki ból, a może na odwrót. Czy dostaje pomieszania zmysłów, jak Mortola?

Drżąc na całym ciele, czekała, aż komnata się opróżni, aż Zmijogłowy pójdzie obejrzeć więźnia.

„Dlaczego Smolipaluch zdradził? - myślała. - Dlaczego?”.

Co takiego obiecał mu Orfeusz, co by było cenniejsze od życia, które mu przywrócił Mo?

Zmijogłowy, Orfeusz, Piszczalka, żołnierze i dwaj słudzy z poduszkami do podpierania obolałego ciała ich pana - po kolei opuścili komnatę. Lecz gdy Resa uniosła głowę, sądząc, że jest sama, ujrzała Jacopa, który stał pod szafą i gapił się na nią.

Jeden ze służących wrócił po płaszcz Zmijogłowego.

- Widzisz tego ptaka tam na szafie? - zwrócił się do niego Jacopo. - Złap mi go.

Ale służący chwycił go za kark i odprowadził do drzwi.

- Nie masz tu nic do roboty! Idź lepiej odwiedzić matkę. Przyda jej się towarzystwo w tym lochu!

Jacopo wzbraniał się, lecz służący wyrzucił go na korytarz i zamknął drzwi. Potem podszedł do szafy i Resa cofnęła się przerażona. Słyszała, jak przysuwa jakiś mebel.

„Musisz mu skoczyć na twarz, oszołomić go i uciec”.

Tylko dokąd? Drzwi były zamknięte, okna zawieszane ciężkimi kotarami. Służący rzucił na nią czarny płaszcz, lecz udało jej się poderwać, objęła się o drzwi, o ściany, słysząc złorzeczenia tamtego. Usiadła na żyrandolu, trzepocąc bezradnie pod sufitem, gdy wtem coś trafiło ją w skrzydło. To sługa rzucił w nią butem. Spadła na posadzkę.

- Poczekaj tylko, ukręcę ci łeb! Kto wie, może będziesz smakowała lepiej niż te paskudztwa, którymi nas karmi nasz pan.

Wyciągnął ręce, chciała uciec, lecz przetrącone skrzydło bolało ją niemiłosiernie. Tamten chwycił ją w garść. Rozpaczliwie dziobała jego palce.

- Zostaw ją!

Służący odwrócił się zaskoczony. Smolipaluch powalił go na posadzkę, za nim szedł ogień. Gwin patrzył pożądliwie na jaskółkę, lecz kuglarz odpędził kunę. Resa nie miała siły go dziobać, gdy podniósł ją ostrożnie z posadzki i wygładził jej pióra.

- Co z tym skrzydłem? Możesz nim poruszać?

Ptak ufał mu jak wszystkie dzikie stworzenia, lecz jej ludzkie serce przypomniało sobie słowa Piszczalki.

- Dlaczego zdradziłeś Mo?

- Bo on sobie tego życzył. Wypluj ziarna, Reso. Chyba nie zapomniałaś jeszcze, że jesteś człowiekiem?

„Może chciałabym o tym zapomnieć?” - pomyślała, lecz posłusznie wypluła ziarna na jego dłoń. Tym razem nie brakowało żadnego, lecz mimo to coraz wyraźniej czuła w sobie ptaka. Mała i duża, mała i duża, skóra i pióra, skóra bez piór... Przesunęła dłońmi po ramionach, zauważyła, że ma paznokcie zamiast szponów, poczuła łzy w oczach, ludzkie łzy...

- Dowiedziałaś się, gdzie jest ukryta Pusta Księga?

Resa potrząsnęła głową. Była taka szczęśliwa, że znowu może mu ufać.

- Musimy ją znaleźć, Reso - szepnął Smolipaluch. - Twój mąż zabierze się do sporządzania nowej księgi, żeby Zmijogło-wy zapomniał o Sójce i żeby słowa Orfeusza nie miały nad nim mocy. Ale nie może skończyć tej księgi, rozumiesz?

Tak, rozumiała. Zaczęli przeszukiwać wszystkie zakamarki, przyświecając sobie ogniem Smolipalucha, przetrząsali mokre szmaty, ubrania, buty, przesuwali miecze, dzbany, srebrne talerze, szukali pod haftowanymi poduchami. Kiedy usłyszeli pod drzwiami kroki, Smolipaluch zaciągnął nieprzytomnego sługę za szafę, na której przedtem siedziała Resa, i tam ukryli się oboje. Kiedy była ptakiem, ten pokój wydawał jej się ogromny, lecz teraz nie miała czym oddychać. Smolipaluch zasłonił ją własnym ciałem, ale słudzy byli zbyt zajęci uprzątnięciem krwawej łaźni Zmijogłowego. Złorzecząc i dowcipkując dla zabicia obrzydzenia, wynosili mokre szmaty, wiadra, a wreszcie wannę z krwią wrózek. Smolipaluch i Resa zostali sami.

Szukać... przeszukać każdy kąt, każdą skrzynię, rozbebe-szone łóżko, pod łóżkiem. Szukać.

Rozdział 70

Płonące słowa

Te obrazy były jej światem, który dusiła w sobie jak gulasz, siedząc z książką na kolanach, taką elegancką, pięknie oprawioną, ze stronicami od brzegu do brzegu wypełnionymi słowami.

Wy oszuści - pomyślała.

Cudowni oszuści.

Nie dam się wam dłużej uszczęśliwiać. Nie mówcie już do mnie, nie chcę myśleć, że to mi przyniesie coś dobrego.

Markus Zusak, Złodziejka książek

To Farid odnalazł Dorię. Kiedy nieśli go do drzewa, Meggie pomyślała w pierwszej chwili, że rozdeptał go olbrzym, tak jak ludzi Szczapy, którzy leżeli w oszronionej trawie niczym porozbijane lalki.

- Nie, to nie olbrzym - stwierdziła Roksana, gdy położono Dorię obok pozostałych rannych: Czarnego Księcia, Kuternogi, Jedwabnika i Jeża. - To dzieło ludzkiej ręki.

Roksana zamieniła jedno z najniższych gniazd w izbę szpitalną.

Zginęło tylko dwóch zbójców, za to Szczapa stracił nieporównanie więcej ludzi. Można było się spodziewać, że nawet strach przed szwagrem nie skłoni go, by ponownie tu wrócił.

Pośród zabitych był także Kopeć. Leżał w trawie z przetrąconym kręgosłupem i pustymi oczami spoglądał w niebo. Między drzewami czaiły się wilki zwabione zapachem krwi, lecz bały się podejść bliżej. Pod drzewem z gniazdami spał bowiem olbrzym zwinięty w kłębek jak dziecko. Spał snem tak głębokim, jakby pieśń Roksany uspiła go na zawsze.

Doria nie ocknął się, gdy Roksana bandażowała mu zakrwawioną głowę. Meggie usiadła przy nim, a Roksana poszła doglądać innych chorych. Najgorzej było z Jeżem, ale rany pozostałych zbójców szybko się goiły. Czarny Książę miał tylko kilka złamanych żeber. Wyrwał się do niedźwiedzia, ale Roksana surowo zabroniła mu schodzić na dół, a Baptysta bez przerwy musiał go zapewniać, że jego ulubieniec jak dawniej poluje na śnieżne króliki, odkąd Roksana usunęła mu z barku zdradliwą strzałę..

Tylko Doria się nie poruszył. Jego kasztanowate włosy były pozlepiane krwią.

- Myślisz, że jeszcze odzyska świadomość? - spytała Meggie, gdy Roksana pochyliła się nad chłopcem.

- Nie wiem - odparła zielarka. - Rozmawiaj z nim. Zdarza się, że to chorego przywołuje do życia.

Rozmawiaj z nim. O czym miała mu opowiadać?

„Farid mówi, że tam są karety bez koni i muzyka wydobywająca się z czarnej czarodziejskiej skrzynki”.

Ciągle ją wypytywał o ten inny świat. A więc zaczęła opowiadać nieprzytomnemu Dorii o karetach bez koni i latających maszynach, o statkach bez żagli i aparatach przenoszących głos z jednego końca świata na drugi. Opowiadała i opowiadała. Zajrzała do niej Elinor, chwilę posiedział przy niej Fenoglio, przyszedł nawet Farid i wziął ją za rękę, podczas gdy ona trzymała dłoń Dorii. Farid znów był jej tak bliski jak wtedy, gdy wraz ze Smolipaluchem wyruszyli na poszukiwanie jej uwięzionych rodziców. Czy serce może kochać dwóch chłopców jednocześnie?

- Chodźmy zobaczyć, Farid - powiedział Fenoglio po jakimś czasie - co nam ogień opowie o Sójce, a wtedy doprowadzimy tę historię do końca. Do szczęśliwego końca.

- Może powinniśmy posłać Sójce olbrzyma - zaproponował Jedwabnik.

Roksana wyjęła mu grot z barku. Zbójcy język jeszcze plątał się od wina, którym go napoiła, by nie czuł bólu. Szczapa porzucił wiele bukłaków wina, żywności i koców, broni i koni jucznych.

- Zapomniałeś już, gdzie przebywa Sójka? - spytał Czarny Książę; Meggie była taka szczęśliwa, że żyje. - Żaden olbrzym nie przeprawi się przez Czarne Jezioro. Dawniej olbrzymy tylko się w nim przeglądały.

Nie, nie będzie to takie łatwe.

- Chodź, Meggie, zapytamy ogień o nowiny - powiedział Farid.

Ale Meggie nie chciała puścić ręki nieprzytomnego Dorii.

- Idź, ja przy nim zostanę - odezwała się Minerwa, a Fenoglio szepnął:

- Przestań się martwić! To oczywiście, że chłopak się obudzi. Zapomniałaś, co o nim napisałem? Jego historia dopiero się zaczyna!

Nie było łatwo w to uwierzyć, patrząc na pobladłą twarz Dorii.

Gałęż, na której ukląkł Farid, by wywołać ogniste obrazy, była tak szeroka jak ścieżki w ogrodzie Elinor. Meggie przycupnęła obok chłopca, a Fenoglio nieufnie spoglądał ponad ich głowami na dzieciaki wpatrujące się w śpiącego olbrzyma.

- Tylko spróbujcie! - zawołał, wskazując na szyszki jodłowe, które malcy trzymali w rączkach. - Pierwszego, który rzuci szyszką, osobiście zrzucę na dół, przysięgam!

- Któreś z nich wreszcie rzuci i co wtedy? - z powątpiewaniem odezwał się Farid.

Ostrożnie posypywał korę szarym popiołem. Zostało go niewiele, choć za każdym razem zgarniał go starannie do woreczka.

- Co zrobi olbrzym, kiedy się obudzi?

- Nie wiem - mruknął Fenoglio, zerkając niespokojnie w dół. - Mam nadzieję, że Roksana nie uśpiła go na resztę życia.

Przyłączył się do nich Czarny Książę, podtrzymywany przez Baptystę. Zbójcy bez słowa usiedli obok Meggie. Tego dnia ogień zachowywał się wyjątkowo niemrawo. Farid długo wabił go, obsypując pieszczotliwymi słowami, nim z popiołu wystrzeliły nieśmiałe płomyki. Olbrzym nucił przez sen piosenkę Roksany, Skoczek usiadł na kolanach Farida, trzymając w pyszczku martwego ptaka. I nagle pojawiły się obrazy: Smolipaluch na dziedzińcu pomiędzy klatkami. W jednej z klatek siedziała płacząca dziewczyna... Brianna. Między nią a jej ojcem stała czarna postać.

- Nocny mar! - szepnął Baptysta.

Meggie ogarnęło przerażenie. Lecz oto obraz rozwiął się w szarym dymie, a w samym sercu płomieni pojawił się inny. Farid chwycił Meggie za rękę, Baptysta zaklął cicho. Mo. Przykuty łańcuchem do stołu. Obok Piszczalka i Zmijogłowy. Jego nabrzmiała twarz wyglądała o wiele okropniej niż w najgorszych snach Meggie. Na stole rozłożone były narzędzia, skóra, czyste karty papieru.

- Robi dla niego nową księgę! - szepnęła. - Co to może znaczyć? - Spojrzała przerażona na Fenoglię.

- Meggie! - Farid wskazał kolejny obraz wyłaniający się z ognia.

Były to płonące litery układające się w słowa.

- Co to jest, u diabła! - wykrztusił Fenoglio. - Kto to napisał?

Słowa rozwiały się w dymie, zanim ktokolwiek zdążył je przeczytać. Ale ogień odpowiedział na pytanie pisarza, ukazując bladą pucołowatą twarz, a na niej okrągłe szkła, niby drugą parę oczu.

- Orfeusz...! - wyszeptał Fenoglio.

Płomienie przygasły, ukryły się w popiele jak pisklęta w gnieździe. Ale kilka oderwanych słów jeszcze przez chwilę płonęło w powietrzu: Sójka... strach... uległ mrokowi... śmierć...

- Co to znaczy? - spytał Czarny Książę.

- To długa historia, książę - odparł Fenoglio znużonym głosem. - I obawiam się, że jej zakończenie napisał niewłaściwy człowiek.

Rozdział 71

Introligator

Prawdziwą autorką nie była żadna z nas: pięść to nie tylko suma palców.

Margaret Atwood, Ślepy zabójca

Falcowanie, przycinanie. Papier był dobry, lepszy niż ostatnim razem. Mo opuszkami palców wyczuwał delikatne włókna bielonych kart, wodził palcami po obrzeżach, jego ręce wracały do starych nawyków. A wraz z tym wracały wspomnienia, serce i umysł wypełniały się tysiącem obrazów dawno zapomnianych dni. Zapach klajstru przenosił go we wszystkie te miejsca, gdzie kiedykolwiek pochyłał się nad chorą książką, automatyczne ruchy rąk przypominały satysfakcję, jaką odczuwał za każdym razem, obdarzając książkę nowym życiem, by choć jeszcze przez jakiś czas jej uroda cieszyła oczy. Zdażył już zapomnieć, jakim spokojem napelniają człowieka ręce wykonujące swoją pracę. Falcowanie, przycinanie, szycie. Mortimer. Oto pojawił się znowu: introligator Mortimer, któremu ostry nóż potrzebny jest nie do zabijania i któremu słowa nie zagrażają, gdyż on jedynie sporządza dla nich nowe suknie.

- Nie spieszysz się, Sójko.

Głos Piszczalki przywołał go z powrotem do Komnaty Tysiąca Luster.

„Nie pozwól na to, Mortimerze. Po prostu wyobraź sobie, że Srebrny Nos jest nadal tylko postacią z książki, jest tylko głosem wydobywającym się spośród liter. Sójki tu nie ma, a słowa Orfeusza muszą go szukać gdzie indziej”.

- Wiesz, że umrzesz, kiedy skończysz książkę, i dlatego tak wolno pracujesz, mam rację?

Piszczalka uderzył go pięścią w plecy, tak że Mo o mało nie skaleczył się w palec. Ocknął się w nim Sójka, wyobrażając sobie, jak nóż zamiast papieru przecina Piszczalce pierś.

Mo zmusił się, aby odłożyć nóż, i chwycił nowy arkusz papieru, szukając uspokojenia w jego nieskazitelnej bieli.

Piszczalka miał rację. Nie spieszyl się z pracą, ale nie ze strachu przed śmiercią, tylko dlatego, że ta księga nigdy nie miała zostać ukończona, a każdy ruch ręki służył tylko temu, by obudził się w nim ten, którego nie wiążą słowa Orfeusza. Mo już prawie nie odczuwał ich skutku - czarnej rozpacz, która wsączyła się w jego serce w zalany wodą lochu, gwałtownego gniewu i poczucia beznadziejności... Uczucia te zbladły, jakby skrzętne ręce zmyły je z serca.

Lecz co będzie, jeśli Smolipaluch i Resa nie znajdą Pustej Księgi? Jeśli nocny mar pochłonie Briannę i jej ojca? Czy wtedy na zawsze pozostanie w tej sali zajęty tworzeniem nowej księgi?

„Nie na zawsze, Mo. Nie jesteś nieśmiertelny”.

Jakie to szczęście.

Piszczalka go zabije. Czeka na okazję od pierwszej chwili, gdy zetknęli się ze sobą w Mrocznym Zamku. A grajkowie będą opiewać śmierć Sójki, a nie Mortimera Folcharta. Ale co się stanie z Resą i nienarodzonym dzieckiem?

„Przestań myśleć, Mortimerze. Przycinaj, falcuj, zszywaj, zyskaj na czasie, choćbyś jeszcze nie wiedział, w jaki sposób go wykorzystasz. Resa może stąd odfrunąć po twojej śmierci i odnaleźć Meggie”.

Meggie...

„Proszę, pozwólcie żyć mojej córce! - błagało białe damy jego serce. - Wkrótce pójde z wami, ale zostawcie w spokoju Meggie. Jej życie dopiero się zaczyna, nawet jeszcze nie wie, w którym świecie pragnie je przeżyć”.

Przycinał, falcował, zszywał... i widział twarz córki na pustych kartach. Czuł prawie namacalnie jej bliskość, jak wtedy gdy przebywali razem w Mrocznym Zamku, w komnacie, w której żyła i umarła matka Wiolanty. Wiolanta... Wrzucili ją do tego samego lochu, z którego on uciekł. Mo doskonale wiedział, czego musi się najbardziej bać tam w dole: że ciemność odbierze jej tę resztkę wzroku, jaka jej pozostała. Wzruszał go jej los, jakże chętnie by jej pomógł, lecz Sójka musi zasnąć...

Cztery pochodnie oświetlały miejsce pracy. Nie było to wiele, ale lepsze niż nic. Łańcuchy też nie ułatwiały zadania, a brzęk kajdan przypominał mu za każdym razem, że nie znajduje się w swojej pracowni w ogrodzie Elinor.

Wtem drzwi się otworzyły.

- No proszę! - dobiegł go głos Orfeusza. - Ta rola o wiele lepiej do ciebie pasuje! Zachodzę w głowę, jak ten stary głupiec Fenoglio mógł w ogóle wpaść na pomysł, by z introligatora zrobić zbójcę!

Z triumfalnym uśmiechem na ustach zatrzymał się przed nim w bezpiecznej odległości, gdzie nie mógł go dosięgnąć nóż Mortimera. O tak, Orfeusz myślał o takich drobiazgach! Jego słodkawy oddech owionął twarz Mo.

- Powinieneś był wiedzieć, że Smolipaluch cię kiedyś zdradzi. On zdradza każdego, uwierz mi, wiem, o czym mówię. To jest rola, która mu najlepiej wychodzi. No, ale pewnie nie miałeś wyboru, dobierając sobie pomocników.

Mo przysunął płat skóry przeznaczony na oprawę. Miała czerwony kolor, jak i tamta pierwsza.

- Aha, nie chcesz ze mną rozmawiać! Doskonale cię rozumiem. - Orfeusz był w siódmym niebie.

- Nie przeszkadzaj mi w pracy, Podwój nooki! Inaczej powiem Zmijogłowemu, że musi dłużej tkwić w swędzącej skórze, bo tobie zebrało się na pogaduszki!

Głos Piszczalki był jeszcze bardziej nosowy niż zwykle. Nie, stanowczo, Orfeusz nie zjednywał sobie przyjaciół.

- Nie zapominaj, Piszczalko, że twój pan tylko dzięki mnie pozbędzie się tej skóry! - odparł znudzonym tonem. - O ile sobie przypominam, twój dar przekonywania zrobił niewielkie wrażenie na naszym przyjacielu.

Aha, ci dwaj walczyli o zaszczytniejsze miejsce u boku Zmijogłowego! Na razie Orfeusz miał lepsze karty, ale może dałoby się to zmienić.

- Co ty gadasz? - odezwał się Mo, nie podnosząc głowy. Czuł słodki smak zemsty. - Żmijogłowy zawdzięcza to tylko Piszczalce. To jego ludzie mnie schwytali. Po prostu byłem nieostrożny i sam wlałem im w łapy. Ty nie masz z tym nic wspólnego.

- Co? - Orfeusz drżącą ręką poprawił okulary.

- To właśnie opowiem Zmijogłowemu, jak tylko się obudzi. Mo ciął skórę, wyobrażając sobie, że przecina sieć, jaką zarzucił na niego poeta swoimi słowami.

Piszczalka zmrużył oczy, jakby chciał przeniknąć grę Sójki. „Sójki tu nie ma, Piszczalko - pomyślał Mo. - Ale tego nie jesteś w stanie zrozumieć”.

- Strzeż się, introligatorze! - Orfeusz niepewnie postąpił krok ku niemu, a jego głos wpadł w falset. - Jeśli użyjesz czarodziejskiego języka, żeby opowiadać o mnie kłamstwa, to każę natychmiast ci go uciąć.

- Tak? A kto miałby to zrobić? - Mo spojrzał na Piszczalkę. - Nie chcę widzieć swojej córki w tym zamku - rzekł cicho. - Chcę, żeby jej nikt nie szukał, kiedy Sójka zakończy życie.

Piszczalka odwzajemnił jego spojrzenie. Uśmiechnął się.

- Załatwione. Sójka w ogóle nie ma córki - rzekł. - I zachowaj język, póki będzie mówił to co trzeba.

Orfeusz zagryzł wargi, które stały się blade jak jego twarz. Po czym podszedł blisko do Mo.

- Napiszę nowe słowa! - syknął mu do ucha. - Będziesz się wił jak robak na haczyku!

- Pisz, co ci się żywnie podoba! - odparł Mo, spokojnie krojąc skórę.

Introligator i tak nie poczuje działania jego słów.

Rozdział 72

Tak wiele łez

[...] od początku czasu, jako dziecko, myślałam, że ból

to nie być kochanym. Ból to kochać.

Louise Gluck, Pamięć pierwsza

Płakała! Jacopo nie pamiętał, by matka kiedykolwiek płakała. Nawet wtedy, gdy przyniesiono zwłoki ojca. On co prawda też wtedy nie płakał, ale to było co innego.

Czy ma ją zawołać? Ukląkł na skraju studni i spojrzał w ciemność. Nie widział jej, mógł ją tylko słyszeć. Słyszał jej rozdzierający płacz i bał się. Matka nie płakała. Matka była zawsze silna, dumna. Nie przytulała go nigdy, tak jak robiła to Brianna, której nie przeszkadzało nawet, że jest dla niej okropny. „To dlatego, że jesteś podobny do ojca! - mówiły kucharki. - Brianna była zakochana w twoim ojcu!”. Nadal go kochała. Nosila monetę z jego podobizną w woreczku u pasa, całowała ją, wypisywała jego imię na murach. Była taka głupia.

Szlochanie w studni stawało się coraz głośniejsze i Jacopo zatkał sobie uszy dłońmi. Zdawało się, że matka tam w dole rozpadnie się na drobniutkie kawałeczki, tak że nikt już nie zdoła jej poskładać. Ale on chciał ją mieć całą!

„Dziadek zabierze cię ze sobą - mówili słudzy. - Pojedziesz z nim do Mrocznego Zamku i będziesz się bawił z jego synem”.

Ale Jacopo nie chciał jechać do Mrocznego Zamku. Chciał zostać w Ombrze, w swoim zamku. A poza tym bał się dziadka, który śmierdział i dyszał, a jego ciało było tak miękkie, że można było palcami robić w nim dziury!

Pewnie tam na dole wszystko jest mokre od łez. Jeszcze chwila i matka w nich utonie! Nic dziwnego, że jest taka smutna. Nie może czytać książek w ciemności, a bez książek jest nieszczęśliwa. Niczego nie kocha bardziej od książek, kocha je bardziej niż jego, ale to nie ma znaczenia. Mimo to Podwójnooki nie może się z nią ożenić. Nienawidził go. Jego głos był jak rozpuszczony cukier, który przykleja się do skóry.

Za to lubił Sójkę. I Ognistego Tancerza. Ale oni wkrótce umrą. Ognistego Tancerza pozre nocny mar, a Sójkę obedrą ze skóry, gdy tylko skończy księgę. Raz dziadek kazał mu się przyglądać, kiedy obdzierali człowieka ze skóry. Jacopo pragnął uciec, ukryć się na samym dnie serca, ale i tam słyszał krzyki skazańca.

Cisza. Matka przestała płakać. Może umarła z tego płaczu?

Strażnicy nie zwracali na niego uwagi. Nachylił się nad ciemnym otworem i zawołał w głąb:

- Mamo?

To słowo z trudem przeszło mu przez usta. Właściwie nigdy jej tak nie nazywał, nawet w myślach. Była dla niego zawsze Brzydką Wioletką. Ale teraz płakała.

- Jacopo?

A więc żyła.

- Czy Sójka umarł?

- Jeszcze nie. Robi księgę.

- A gdzie jest Brianna?

- W klatce.

Zawsze był zazdrosny o Briannę. Matka lubiła ją bardziej niż jego. Brianna mogła sypiać w jej komnacie, rozmawiała z nią o wiele częściej niż z nim. Ale to Brianna pocieszała go, gdy się skaleczył lub gdy ludzie Szczapy dokuczali mu z powodu ojca. A poza tym była bardzo piękna.

- Czy wiesz, co zamierzają ze mną zrobić?

Głos matki brzmiał inaczej niż zwykle. Bała się! Nigdy dotąd nie widział, żeby się bała.

Ach, gdyby mógł ją stamtąd wydostać, tak jak Ognisty Tancerz wydostał Sójkę!

- Orfeusz... - zaczął, lecz strażnik chwycił go za kark i postawił na nogi.

- Dostyc gadania! - warknął. - Wynoś się stąd! Jacopo próbował się uwolnić, ale na próżno.

- Wypuście ją! - krzyknął, waląc pięstkami w opancerzoną pierś. - Wypuście ją natychmiast!

Ale żołnierz roześmiał się grubiańsko.

- Słyszycie go? - zawołał do kolegów. - Uważaj, żebyś sam nie trafił do lochu, karzełku. Twój dziadek ma teraz syna, wnuk przestał się liczyć, zwłaszcza że jest to pomiot Cosima, a jego matka sprzymierzyła się z Sójką.

Brutalnie pchnął Jacopa. Chłopiec upadł. Żałował, że nie potrafi strzelać ogniem z palców, tak jak Ognisty Tancerz, albo nie może ich przebić mieczem, tak jak Sójka, który tyłu z nich położył trupem.

- Jacopo? - usłyszał wołanie matki.

Ale żołnierze nie pozwolili mu zbliżyć się do studni.

- Zabieraj się stąd wreszcie! - wrzasnął jeden z nich. - Bo jak nie, to powiem Podwójnookiemu, by cię rzucił nocnemu marowi na pożarcie. Na pewno jesteś bardziej kruchy od Sójki, którego dla niego zarezerwowali.

Jacopo z całej siły kopnął go w kolano i uciekł, nim żołnierze zdążyli go złapać.

Błądził ciemnymi korytarzami, wyobrażając sobie tysiące potworów zaczajonych w mroku. O ileż lepiej było, gdy wszędzie na ścianach płonął ogień.

Dokąd miał się udać? Do komnaty, w której zamknęli go z matką? Ale tam były te robaki, które włożyły do nosa i uszu. To Orfeusz mu je posłał. Sam mu to powiedział i śmiał się przy tym. Jacopo już trzykrotnie zmieniał ubranie, żeby się ich pozbyć, ale nic nie pomagało, były wszędzie.

Może powinien pobiec do klatki, gdzie siedziała Brianna? Ale tam był nocny mar. Usiadł na kamiennej posadzce i ukrył twarz w dłoniach. W myślach posiał ich do wszystkich diabłów: Piszczalkę, Orfeusza i dziadka. Chciał być taki jak Sójka i Czarny Książę... żeby ich wszystkich pozabijać. Wszystkich. Żeby im się odechciało śmiać. A potem wstąpi na tron Ombry i zaatakuje Mroczny Zamek tak jak jego ojciec. Ale on go zdobędzie i zabierze całe srebro do Ombry, a waganci będą śpiewali pieśni o nim. Codziennie kuglarze będą występować na zamku i pokazywali mu sztuczki, tylko jemu, Ognisty Tancerz wypisze na niebie jego imię, a matka będzie mu się kłaniać, no i ożeni się z dziewczyną tak piękną jak Brianna...

Widział to wszystko w wyobraźni, gdy tak siedział w ciemnościach chroniących oczy dziadka, widział tak wyraźnie jak obrazy, które malował dla niego Balbulus.

Księga o nim. O Jacopie. Równie piękna jak ta o Sójce. A nie pusta i zbutwiała jak...

Uniósł głowę.

...Pusta Księga.

Oczywiście. Dlaczego nie? Wtedy z pewnością odechce im się śmiać.

Wyprostował się. To łatwe. Trzeba się tylko postarać, żeby dziadek od razu nie zauważył. Najlepiej będzie, jak wsunie na jej miejsce inną książkę. Tylko skąd ją wziąć?

Ścisnął rękami drżące kolana.

Orfeusz zabrał mu te, które miał, książki matki też zniknęły. Ale przecież na zamku było mnóstwo książek, chorych jak księga dziadka, w tej komnacie, gdzie złapali Sójkę.

Droga była daleka i Jacopo kilka razy zablądził, lecz wreszcie zapach stęchlizny - ten sam, który otaczał dziadka - wskazał mu drogę. Był jeszcze ślad sadzy, ledwie widoczny w świetle pochodni, tędy biegł trop z płomieni, który zostawił Ognisty Tancerz, gdy zdradził

Sójkę. Dlaczego to zrobił? Dla srebra, jak Kopeć? Co chciał za to kupić? Zamek? Kobietę? Konia?

„Nie ufaj przyjaciołom jeszcze bardziej niż wrogom - powtarzał mu zawsze dziadek. - Nie ma czegoś takiego jak przyjaciel. W każdym razie księżę nie może mieć przyjaciół”.

Kiedyś dziadek często z nim rozmawiał, ale to było dawno.

„Twój dziadek ma teraz syna, Jacopo”.

Wybrał niewielki tom - Pusta Księga też była niewielkich rozmiarów - i wsunął go pod płaszcz.

Komnaty dziadka pilnowało dwóch strażników. A więc wrócił od Sójki. A może go już zabił? Nie, nowa księga na pewno jeszcze nie była gotowa. Wiedział od Balbulusa, że sporządzenie książki to nie taka prosta sprawa. Ale kiedy już będzie skończona, dziadek postara się o to, żeby Sójka krzyczał wniebogłosy. Matkę wyda za Podwójnookiego lub zostawi w lochu, gdzie rozleci się na drobne kawałeczki, a jego zabiorą do Mrocznego Zamku.

Jacopo uporządkował ubranie i otarł łzy. Przedtem w ogóle nie zauważył, że płacze. Przez łzy wszystko wyglądało jak za mgłą - strażnicy, płonące pochodnie. Głupio. Łzy są głupie.

- Chcę do dziadka!

Wykrzywili gęby w złośliwym uśmiechu. Sójka ich pozabija. Wszystkich.

- Teraz śpi. Zabieraj się stąd.

- On nie może spać, ty głupcze! - pisał Jacopo. Jeszcze kilka miesięcy temu tupnąłby nogą, ale przekonał się już, że to nie robi wrażenia. - Paluch mnie przysłał. Przyniosłem dziadkowi lekarstwa.

Strażnicy niepewnie spojrzeli po sobie. Jakie to szczęście, że jest mądrzejszy od nich wszystkich, o wiele mądrzejszy.

- No dobra, włącz! - warknął jeden z nich. - Tylko nie próbuj mu się naprzykrzać z powodu swojej matki, bo trafisz tam gdzie ona, zrozumiano?

„Już nie żyjesz - pomyślał chłopiec, mijając go. - Nie żyjesz, nie żyjesz, nie żyjesz. Czyżbyś o tym nie wiedział?”. Ach, jak dobrze.

- Czego chcesz?

Dziadek siedział na łóżku, a dwóch służących wycierało mu nogi Unurzane we krwi wróżek. Powieki opadały mu ciężko; zażył soku makowego, jak zawsze gdy pragnął zasnąć. A dlaczego nie miałyby się zdrzemnąć? Wszak złapał Sójkę, a ten pracuje nad nową księgą, która spęta śmierć.

- Dziadku, co zrobisz z Sójką, jak skończy książkę? - Jacopo doskonale wiedział, o czym Srebrny Książę najchętniej rozmawia.

Zmijogłowy roześmiał się i niecierpliwie skinął na służących, by zostawili ich samych. Wyszli tyłem, zgięci w niskich ukłonach.

- Może jednak wdałeś się we mnie, chociaż jesteś podobny do ojca. - Z jękiem ułożył się na boku. - A co ty byś najpierw z nim zrobił? - Język miał tak samo ciężki jak powieki.

- Czyja wiem? Może kazałbym mu powyrywać paznokcie? - Jacopo podszedł do łóżka.

Jest! Oto poduszka, którą dziadek nosił wszędzie ze sobą. Mówiło się, że robił to po to, by podierać ciało, ale on wiedział lepiej. Niejeden raz widział, jak dziadek wsuwa rękę pod ciężki materiał i dotyka książki. Raz nawet mignęła mu przesączona krwią okładka. Nikt nie zwraca uwagi na to, co dziecko widzi, a czego nie widzi. Nawet Zmijogłowy, choć ufa tylko sobie.

- Paznokcie? O, to naprawdę bolesne. Mam nadzieję, że mój syn też będzie miał takie pomysły, gdy będzie w twoim wieku. Choć prawdę mówiąc, po co człowiekowi nieśmiertelnemu syn? Coraz częściej zadaję sobie to pytanie. Po co mu żona albo córki...?

Ostatnie słowa wymówił bardzo niewyraźnie. Powieki mu opadły, otworzył usta i zaczął chrapać. Lewa ręka kurczowo zacisnęła się na poduszce kryjącej jego śmierć.

Ale Jacopo miał małe, sprytnie dłonie, niepodobne wcale do dłoni dziadka. Ostrożnie rozwiązał tasiemki powłóczki, wsadził rękę do środka i wydobyl stamtąd książkę. Pusta Księga... chociaż w tym stanie powinna się raczej nazywać Czerwoną Księgą. Dziadek rzucał głową, rzeził przez sen. Jacopo wyciągnął spod płaszcza tom przyniesiony z komnaty chorych ksiąg i wsunął go do środka.

- Dziadek śpi - powiedział do strażników, opuszczając komnatę. - I biada wam, jeśli go obudzicie. Każe wam powyrywać paznokcie.

Rozdział 73

Nocny mar

Co może zastraszyć tego, co się śmierci nie lęka?

Fryderyk Schiller, Zbójcy

Resa pofrunęła do Komnaty Tysiąca Okien, do Czarodziejskiego Języka.

„Reso! Nie uwolnisz się już od ptaka” - perswadował jej Smolipaluch. Ale nie posłuchała go, wkładając ziarna pod język.

Z trudem udało mu się wyprowadzić ją z komnaty, zanim wrócił Srebrny Książę. Popadła w czarną rozpacz; serce krajało mu się z żalu, gdy na nią patrzył. Nie znaleźli Pustej Księgi i oboje wiedzieli, co to oznacza: umrze nie Zmijogłowy, lecz Sójka - z ręki Piszczalki, Palucha lub za sprawą białych dam - bo nie będzie w stanie zapłacić ceny, jakiej śmierć zażądała za jego życie.

Resa tylko po to do niego pofrunęła, by nie był sam w chwili śmierci. Chyba że jeszcze wierzy w cud. Może i tak. Smolipaluch nie powiedział jej, że śmierć zabierze także i jego - a potem jej córkę.

„Gdyby się tak zdarzyło, że nie znajdziesz Pustej Księgi - powiedział mu Czarodziejski Język, nim posłał go, by wyznaczył ślad dla Piszczalki - spróbujmy chociaż uratować nasze córki”.

Nasze córki... Smolipaluch wiedział, gdzie szukać Brianny, ale jak miał ochronić Meggie przed Piszczalką, a zwłaszcza przed białymi damami?

Ludzie Piszczalki próbowali go oczywiście schwytać po tym, jak wskazał im drogę do Sójki, ale nietrudno było im umknąć. Wciąż jeszcze go szukali, ale ciemności spowijające zamek nie tylko były dobrodziejstwem dla oczu Żmijogłowego, ale także wiązały ręce wrogom Smolipalucha.

Orfeusz był najwyraźniej pewien, że jego czarny pies wystarczy do pilnowania Brianny. Dwie pochodnie paliły się obok klatki; przycupnięta w rogu dziewczynka wyglądała zupełnie jak śmiertelnie przerażony ptak. Nigdzie jednak nie było widać żołnierzy.

W jaki sposób Orfeusz zdołał go oswoić?

„Nie zapominaj, że wyciągnął go z książki - tłumaczył Czarodziejski Język. - To książka dla dzieci i nie dałbym głowy, czy Fenoglio z tego względu nie złagodził charakteru nocnego mara. Tak czy owak zrobiony jest ze słów, a Orfeusz też użył słów, by go oswoić. Wystarczy przestawić parę wyrazów, przekreślić parę zdań i już z postrachu nocy robi się potulny piesek”.

„Ależ Czarodziejski Języku - chciał odrzec Smolipaluch - w tym świecie wszystko jest podobno uczynione ze słów”. Jednego był pewien: ten nocny mar nie był łagodniejszy, lecz stokroć gorszy od tych, które spotykał w Nieprzebytym Lesie. Nie da się przepłoszyć pyłem wrózek i ogniem. Pies Orfeusza utkany był z ciemniejszej materii.

„Jaka szkoda, że nie spytałeś białych dam o jego imię” - mówił do siebie Smolipaluch, podkradając się pod klatkę. Pieśni mówią o tym, że to jedyny sposób, by zgładzić nocnego mara. Bo to właśnie musiał uczynić: całkowicie go wymazać, by Orfeusz nie mógł go wezwać z powrotem.

„Zapomnij o starych pieśniach, Smolipaluchu - myślał, rozglądając się. - Musisz napisać dla siebie nową, tak jak Sójka”.

Szepnął jakieś słowo i pochodnie zajaśniały blaskiem, jakby chciały go powitać radośnie i jakby miały dość otaczających je ciemności. Brianna uniosła głowę.

Była równie piękna jak matka.

Smolipaluch rozejrzał się ponownie, czekając, aż ciemność się poruszy. Gdzie jest potwór?

Usłyszał parskanie, poczuł jego zimny oddech, usłyszał zia-janie jakby ogromnego psa. Na lewo od niego cienie zgęstniały, były ciemniejsze od najczarniejszej czerni. Serce boleśnie waliło mu w piersi. Ach, więc jednak nie pozbył się strachu, choć tak rzadko go teraz odczuwał.

Brianna zerwała się na równe nogi i poczęła się cofać, aż oparła się plecami o sztaby klatki. Z tyłu za nią na szarym murze malowany paw roztaczał kolorowy wachlarz ogona.

- Odejdź! - szepnęła. - Proszę cię! On cię pożre! Odejdź. Kusząca propozycja, ale nie dla niego. Kiedyś miał dwie córki, teraz została mu tylko jedna. Nie zamierzał jej stracić. Chciał się nią nacieszyć przez te lata życia, które mu jeszcze zostały.

Poczuł za sobą przerażający chłód. Wtedy wezwał płomienie i otulił się nimi, lecz ogień skulił się przed chłodem i zgasł, zostawiając go sam na sam z cieniem.

- Proszę cię! Proszę, odejdź! - błagała Brianna.

Miłość bijąca z tych słów, a tak starannie skrywana, grzała go lepiej niż ogień. Raz jeszcze wezwał płomienie, tym razem surowiej, przypominając im, że są braćmi, są nierozłączni. Nieśmiało wystrzeliły z ziemi, drżały i przyginały się pod wpływem lodowatego tchnienia, lecz nie zgasły. Nocny mar cofnął się i wlepił w niego wzrok.

A więc to była prawda, co ludzie opowiadali o nocnych marach. Mówili, że są samą czernią duszy, samą złością, która nie potrafi zapomnieć ani przebaczyć, póki nie szczyzną, zżerane własnym mrokiem, i wtedy dopiero ginie o nich nawet pamięć.

Czerwone oczy wyczerające z bezdennej czerni patrzyły na niego nieruchomo, oczy bez wczoraj i jutra, bez światła i ciepła, uwięzione we własnym chłodzie, marznące zło.

Ogień otulał Smolipalucha niczym gorący płaszcz, parzył skórę, lecz była to jego jedyna osłona przed tym tępym wzrokiem i głodnymi ustami. Te usta rozwarły się szeroko i krzyczały tak przeraźliwie, że Brianna padła na kolana i zakryła usta rękami.

Nocny mar włożył w płomienie czarną łapę. Zasyczała jak woda w zetknięciu z ogniem. Kuglarzowi zdało się, że rozpoznaje jakąś twarz w mrocznej czerni potwora. Twarz, której nie zapomni do końca życia.

Czy to możliwe? A może Orfeusz też ją rozpoznał - i okiełznał swego mrocznego psa, wołając go imieniem człowieka, którym był niegdyś? A może nie, może dopiero nadał mu to imię i tym sposobem w nocnym marze przywrócił do życia tego, którego Czarodziejski Język odesłał do krainy umarłych.

Słyszał płacz Brianny za plecami, nieledwie czuł, jak drży za sztabami klatki. Ale on już przestał się bać. Był wdzięczny losowi za tę chwilę. Za to ponowne spotkanie, które - miał nadzieję - będzie ostatnie.

- Proszę, proszę, kogo my tu mamy? - powiedział cicho. Brianna przestała płakać.

- Pograżony w mroku, czy przypominasz sobie jeszcze tamtą chwilę? Pamiętasz nóż i plecy chłopca, tak drobne i bezbronne? Pamiętasz chwilę, gdy moje serce pękło?

Nocny mar nie spuszczał z niego wzroku, a kuglarz postąpił krok ku niemu owinięty w ogień, który płonął coraz mocniej i mocniej, karmiąc się bólem i rozpaczą przywołanymi z przeszłości.

- Zgiń, przepadnij! Basto! - Cisnął to imię w sam środek majaczącej przed nim ciemności. - Przepadnij na wieki!

Twarz stała się wyraźniejsza - ta wąska lisia twarz, której niegdyś tak bardzo się bał. Jął smagać płomieniami lodowaty mrok, wbijać w czerń ogniste miecze, które pisały imię Basty. Nocny mar krzyknął wniebogłosy, w jego oczach ożyły wspomnienia. I w miarę jak krzyczał, jego postać rozlewała się niby atrament i rozwiewała niby czarny dym. Pozostał tylko przeraźliwy chłód, ale i on w końcu uległ ogniewi. Smolipaluch upadł na kolana. Czuł, jak opuszcza go tamten ból, który przeżył nawet jego śmierć. Pragnął, by w tej chwili Farid znalazł się u jego boku. Zaprażył tego tak mocno, że na kilka oddechów zapomniał, gdzie jest.

- Tato? - Przez osłonę płomieni dotarł do niego szept Brianny.

Czy kiedykolwiek go tak nazywała? Owszem, dawno, dawno temu. Ale czy wtedy był tym samym człowiekiem co teraz?

Sztaby klatki z łatwością poddały się jego gorącym dłoniom. Bał się dotknąć Brianny, by jej nie poparzyć. Usłyszeli ciężkie, miarowe kroki w ciemności. Widocznie krzyki nocnego mara zaalarmowały strażę. Ale mrok pochłoniął Briannę i Smolipalucha, zanim żołnierze dotarli do klatki, gdzie na próżno rozglądali się za czarnym strażnikiem.

Rozdział 74

Tamta strona

Wyrwała stronę z książki i przedarła ją na pół. Potem cały rozdział. Po niedługim czasie otaczały ją strzępy podartych na małe kawałeczki stron i słów. [...]

No więc na co są właściwie słowa?

Liesel powtórzyła to jeszcze raz na głos, mówiąc do ścian oświetlonej na pomarańczowo biblioteki. - Po co są słowa?

Markus Zusak, Złodziejka książek

Czarny Książę nie wrócił jeszcze od Roksany. Miała mu założyć na nogę szyny, tak by mógł udać się w drogę. W drogę do Zamku na Jeziorze.

„Mamy czas” - uspokajała zbójcę Meggie, choć sama płonęła z niecierpliwości. Mo będzie przecież potrzebował na zrobienie nowej Pustej Księgi tyle samo czasu co w Mrocznym Zamku.

Czarny Książę miał zamiar wyruszyć na pomoc Sójce ze wszystkimi swoimi ludźmi. Ale bez Elinor i bez Meggie.

„Musiałem obiecać ojcu, że ty i twoja mama będziecie przebywać w bezpiecznym miejscu - wyjaśnił. - Nie dotrzymałem słowa co do mamy, chciałbym więc chociaż w twoim przypadku wywiązać się z obowiązku. Ty chyba obiecałaś ojcu to samo?”

Nie, niczego mu nie obiecała. I dlatego właśnie pójdzie, choć serce jej się krajało na myśl o tym, że musi zostawić Dorię. Wciąż jeszcze się nie obudził. Ale Dariusz na pewno będzie z nim rozmawiał i Elinor także, a ona przecież wróci...

Farid pójdzie z nią. Kiedy będą zmarznięci, chłopak wezwie ogień, który ich ogrzeje. Żywić się będą suchym mięsem, które Meggie potajemnie zabrała z zapasów; napełniła też wodą jeden z bukłaków Baptysty. Jak Czarny Książę mógł sobie wyobrazić, że zostanie po tym, jak przeczytała ogniste słowa? Jak mógł pomyśleć, że pozwoli umrzeć ojcu, jakby to była zupełnie inna historia, która jej nie dotyczy?

„Ależ, Meggie - przekonywał ją Fenoglio. - Przecież Czarny Książę nic nie wie o działaniu słów, nie ma też pojęcia o tym, co wyprawia Orfeusz!”

Ale i on uważał, że powinna zostać w obozie.

„Czy chcesz, żeby cię spotkał los matki? Nikt nie wie, gdzie jest! Nie, musisz zostać. Będziemy pomagać twojemu ojcu na własny sposób. Będę pisał dzień i noc, obiecuję. Ale jeśli nie zostaniesz, by przeczytać moje słowa, to na nic się nie zda mój trud”.

Zostać, czekać. O nie. Miała tego dość. Odejdzie potajemnie, jak Resa, ale nie zgubi się tak jak ona. Jeśli Fenoglio rzeczywiście coś napisze, może to przeczytać Dariusz (na pewno poradziłby sobie z przywołaniem olbrzyma). A jeśli chodzi o dzieci, to miały Baptystę i Elinor, Roksanę i Fenoglię. Tymczasem Mo był sam. Potrzebuje jej, zawsze jej potrzebował.

Elinor pochrapywała cichutko. Obok spał Dariusz, mając przy sobie dzieci Minerwy. Meggie poruszała się tak cicho, jak tylko pozwalała na to elastyczna konstrukcja gniazda. Zabrała kurtkę, buty i plecak, który przypominał jej o innym świecie.

- Jesteś gotowa? - W okrągłym otworze służącym za drzwi pojawił się Farid. - Zaraz zacznie świtać.

Meggie skinęła głową... i odwróciła się, idąc za przerażonym wzrokiem Farida utkwionym w coś za jej plecami...

Obok śpiących stała biała dama. Jej wzrok spoczął na Meggie.

Trzymała w ręce kredkę. Wymownym gestem wskazała Fari-dowi jedną ze świec przyniesionych przez Elinor z Ombry. Farid podszedł jak lunatyk i szeptem wezwał ogień, zapalając knot. Biała dama wsunęła kredkę w płomień, a następnie zaczęła pisać na kartce, na której Meggie na próżno próbowała stworzyć szczęśliwe zakończenie dla ojca, kiedy olbrzym zabrał Fenoglię... Pisała długo. Minerwa szeptała przez sen imię męża, Elinor odwróciła się na drugi bok, Despina przytuliła się we śnie do Iwa, przez szpary wpadał zimny wiatr, który omal nie zdmuchnął świecy, a biała dama wciąż pisała. Wreszcie wyprostowała się, jeszcze raz spojrzała na Meggie - i zniknęła, jakby wiatr porwał ją ze sobą.

Farid odetchnął z ulgą i ukrył twarz we włosach Meggie. Ale Meggie odsunęła go łagodnie i pochyliła się nad kartką zapisaną przez białą damę.

- Potrafisz to przeczytać? - szepnął Farid. Meggie skinęła głową.

- Idź do Czarnego Księcia i powiedz mu, że może oszczędzać nogę - powiedziała cicho. - Wszyscy zostajemy w obozie. Pieśń o Sójce otrzymała zakończenie.

Rozdział 75

Księga

- Dobrze - powiedziała pani, zwracając się do Abby'ego. Jutro masz przynieść książkę.

- Którą?

- Jak to? Czyżby istniała więcej niż jedna książka?

Alan Armstrong, Whittington

Niełatwo było powstrzymać ręce, kiedy wykonywały ulubione czynności. Bolały go oczy z powodu kiepskiego oświetlenia, kajdany poobcierały mu do krwi kostki u nóg, a mimo to czuł się dziwnie szczęśliwy, jakby w księdze, którą robił, miał zamknąć nie śmierć Zmijogłowego, lecz w ogóle cały czas, razem z troską o przyszłość i minionymi cierpieniami, i nie było już nic prócz teraz, prócz tej chwili, gdy jego ręce głaskały papier i skórę.

„Przyjdę z ogniem, aby ci pomóc, jak tylko uwolnię Briannę - obiecał Smolipaluch, nim pożegnał się z nim, by jeszcze raz odegrać rolę zdrajcy. - I przyniosę Pustą Księgę” - dodał.

Tymczasem zamiast Smolipalucha zjawiała się Resa. Serce przestało mu bić z przerażenia, gdy zobaczył jaskółkę wlatującą przez drzwi. Jeden ze strażników strzelił do niej z kuszy, lecz Resa w porę zrobiła unik. Brązowe piórko, wirując, spadło na ramię Mo. Obracając je w palcach, spojrział na Resę, która przysiadła na belce nad jego głową.

„Nie znaleźli księgi” - to była jego pierwsza myśl. Mimo to ucieszył go widok Resy.

Oparty o kolumnę Piszczalka śledził każdy jego ruch. Czyżby chciał wytrzymać dwa tygodnie bez snu? A może sobie wyobraża, że taką księgę można zrobić w ciągu jednego dnia?

Mo odłożył nóż i przetarł zmęczone oczy. Jaskółka rozłożyła skrzydła, jakby dawała mu znaki, musiał więc szybko spuścić głowę, by Piszczalka nie zwrócił na nią uwagi. Ale zaraz podniósł ją znowu, kiedy tamten zaklął szpetnie.

Ze ścian trysnęły jęzory ognia.

To mogło oznaczać tylko jedno: Brianna była wolna.

- Skąd ten uśmieszek, Sójko?

Piszczalka podszedł do niego i uderzył go pięścią w żołądek. Mo zgiął się wpół, a jaskółka krzyknęła przeraźliwie.

- Myślisz, że twój ognisty przyjaciel przyjdzie naprawić to, co zepsuł swoją zdradą? - szeptał zjadliwie Piszczalka. - Nie ciesz się za wcześnie. Tym razem utnę mu głowę. Zobaczymy, czy bez głowy zdoła powrócić do życia.

Sójka czuł nieprzepartą chęć wbicia mu noża w tę jego nieczulą pierś, ale Mo po raz kolejny się sprzeciwił.

„Na co czekasz? - pytał Sójka. - Na Pustą Księgę? Nigdy jej nie znajdziecie!”

„W takim razie po co mam jeszcze walczyć? - kontrował Mo. - Bez tej książki jestem martwy tak samo jak moja córka”.

Meggie. Tylko lęk o nią jednoczy! introligatora i Sójkę.

Wtem drzwi się otworzyły i do jasno oświetlonej komnaty wsunęła się drobna postać Jacopa.

Zdecydowanym krokiem podszedł do Mo. Może chce opowiedzieć Sójce o losie matki? A może przysłała go Zmijogłowy, żeby się dowiedział, jak posuwa się praca nad książką?

Syn Wiolanty stanął obok Mo, lecz patrzył na Piszczalkę.

- Czy szybko skończy? - spytał.

- Jak nie będziesz mu przeszkadzał - odparł Srebrny Nos, podchodząc do stolika, na którym służące ustawiły wino i zimne mięsa.

Jacopo wyjął spod płaszcza książkę owiniętą w szmatę.

- Chcę, żeby mi Sójka wyleczył tę książkę - powiedział. - To moja ulubiona bajka.

Mo spojrział na książkę i wstrzymał oddech. Karty nasiąknięte krwią. Jacopo spojrział Mo w oczy.

- Ulubiona bajka? Sójka ma się teraz zajmować tylko jedną książką. Zabieraj się stąd!

- Nalał sobie wina do dzbana. - Powiedz w kuchni, żeby mi przysłali na górę więcej mięsa i wina.

- Chcę tylko, żeby rzucił na nią okiem! - upierał się Jacopo. - Dziadek mi pozwolił. Możesz go spytać, jeśli nie wierzysz! - Podsunął Mo kawałek kredki, który łatwo można było ukryć w dłoni.

To było lepsze od noża, o wiele lepsze. Piszczalka odgryzł kęs mięsa, popił winem.

- Kłamiesz - powiedział. - Czy dziadek ci nie mówił, co robię z kłamczuchami?

- Nie, a co? - Jacopo wysunął podbródek tak jak matka i postąpił krok w kierunku Piszczalki.

Tamten otarł białą chustką zatłuszczone dłonie i uśmiechnął się szeroko.

Mo ścisnął w palcach kredkę i otworzył Pustą Księgę.

- No więc najpierw ucinam im język - powiedział Piszczalka. Jacopo zbliżył się jeszcze o krok.

- Naprawdę? Serce.

Mortimerowi tak drżała ręka, że z trudem stawiał litery.

- No, tak - perorował Piszczalka - bo bez języka nie da się kłamać. Chociaż, poczekaj... spotkałem kiedyś żebraka niemowę, który mnie bezczelnie oszukał. Mówił za pomocą palców.

- I co zrobiłeś?

Piszczalka roześmiał się.

- Obciałem mu je!

„Podnieś głowę, Mo, bo inaczej zauważy, że piszesz”. Krew.

Jeszcze tylko jedno słowo. Jedno jedyne. Piszczalka patrzył w jego stronę. Patrzył na rozłożoną księgę. Mo zamknął kredkę w dłoni.

Jaskółka zatrzepotała skrzydłami. Chciała mu pomóc. „Nie, Reso!”.

Ptak już odbił się od belki i przeleciał Piszczalce nad głową.

- Widziałem już raz tego ptaka! - zauważył Jacopo. - W sypialni dziadka.

- Naprawdę?

Piszczalka spojrział na jaskółkę siedzącą na gzymsie i wziął kuszę z rąk jednego ze strażników. „Nie! Reso, leć!”.

Jeszcze jedno słowo, ale Mo patrzył tylko na małą ptaszynę. Piszczalka strzelił i chybił. Jaskółka poderwała się do lotu i śmignęła mu prosto w twarz. „Pisz, Mo!”.

Przycisnął kredkę do czerwonej kartki. Piszczalka zamachnął się, chcąc strącić ptaka na podłogę. Srebrny nos przekreślił mu się na twarzy. Śmierć.

Rozdział 76

Biała noc

Biedny cesarz ledwie oddychał, miał uczucie, jak gdyby coś usiadło mu na piersiach, otworzył oczy i zobaczył, że to była śmierć; siedziała na jego piersiach, włożyła sobie na głowę jego złotą koronę, w jedną rękę wzięła złotą szablę cesarza; w drugą jego wspianą chorągiew; a naokoło ze wszystkich fałd kotary wyglądały ku cesarzowi dziwne twarze, niektóre brzydkie, inne znów miłe i łagodne; były to złe i dobre uczynki cesarza, które patrzyły na niego, podczas gdy śmierć siedziała mu na sercu.

Jan Christian Andersen, Słowik

Żmijogłowy marzył. Marzył także we śnie, chociaż przyciskał do piersi poduszkę, w której ukrył książkę mającą go chronić przed wiecznym chłodem. Ale nawet sny wywołane sokiem makowym nie zdołały go ogrzać. Śnił o mękach, jakie zamierzał zadać Sójce. Dawno temu w tym samym zamku śnił tylko o miłości. Ale czyż nie wiązało się to w jedną całość? Wszak miłość, którą odnalazł w tym zamku, sprawiła mu takie same męki jak gnijące ciało.

Ach, jak straszliwie marzył. Nawet sny zdawały się pokryte szronem. Sny o miłości. Otworzył oczy: malowane ściany patrzyły na niego oczami matki Wiolanty. Przeklęty mak! Przeklęty zamek! I dlaczego ogień powrócił? Jęcząc, zakrył oczy dłońmi, lecz pod powiekami też były palące iskry.

Czerwień. Czerwień i złoto. Światło jak ostre noże. A z ognia wydobywał się szept, przed którym czuł paniczny lęk od czasu, gdy po raz pierwszy usłyszał go u boku umierającego człowieka. Drżąc na całym ciele, ostrożnie zerknął przez rozchylone palce. Nie! Nie, to niemożliwe! Aż cztery stały wokół łoża, białe jak śnieg, nie, bielsze ponad śnieg, i szeptały imię, które otrzymał po urodzeniu. Jakby mu chciały przypomnieć o tym, że nie zawsze nosił skórę żmii.

To działanie maku, nic więcej.

Żmijogłowy wsunął drżącą rękę pod powłoczkę poduszki, chciał im pokazać księgę, ale ich zimne palce już przeniknęły jego pierś.

A jak one na niego patrzyły! W ich wzroku były spojrzenia wszystkich umarłych, których im posyłał. A potem jeszcze raz szepnęły jego imię. I jego serce przestało bić.

Rozdział 77

Ku końcowi

- Udało mi się! - zawołał, spoglądając w dół, na Wróbla, i wskazując na znikający punkcik. - Udało mi się! Zrobiłem Jerzyka!

Ted Hughes, Jak Wróbel uratował ptaki

Biała dama pojawiła się, gdy tylko Mo zamknął księgę nasiąkniętą krwią wrózek. Na jej widok Piszczalka zapomniał o jaskółce, a synek Wiolanty schował się pod stołem. Ale tym razem córka śmierci nie przybyła po to, by zabrać ze sobą Sójkę, lecz by go uwolnić. Resa dostrzegła na twarzy Mo wyraz ulgi.

Nagle jakby o wszystkim zapomniał. Może przez ułamek sekundy myślał, że ta historia została wreszcie opowiedziana do końca. Tymczasem Piszczalka nie umarł razem ze swoim panem. Przez kilka chwil strach paraliżował jego ruchy, lecz gdy biała dama zniknęła, rozwiął się też jego lęk. Resa rozwinęła skrzydła i rzuciła się na Piszczalkę, wypluwając w locie ziarna, by znów mieć ręce do chwytania i stopy do chodzenia. Ale ptak nie chciał jej uwolnić i kiedy wylądowała obok obu mężczyzn, miała wciąż szpony zamiast palców.

Mo spojrzał na nią przerażony. Zanim Resa zrozumiała, na jakie niebezpieczeństwo naraża męża, Piszczalka owinał sobie wokół ręki łańcuchy, którymi Mo był przykuty do stolika, i szarpnął z całej siły. Mo upadł na kolana. W ręce trzymał nóż, którym przed chwilą przecinał papier. Ale cóż znaczył nóż introligatorski przeciwko mieczom i kuszom?

Zrozpaczona Resa wskoczyła na stół. Otworzyła dziób, mając nadzieję, że pod językiem zostało jeszcze jakieś ziarno, ale ptak nie chciał jej uwolnić z pierzastej powłoki.

Piszczalka znów szarpnęła za łańcuch.

- Tym razem twój biały anioł szybko się pożegnał - odezwał się szyderczo. - Dlaczego nie zdjął ci kajdan? Ale nie martw się, kiedy będziesz umierał, zostawimy ci tyle czasu, że twoje białe przyjaciółki zdążą po ciebie przyjść. A teraz wracaj do pracy!

Mo z trudem podniósł się z posadzki.

- Po co? - Podsunął Piszczalce pod nos zakrwawioną księgę. - Twój pan nie będzie już potrzebował drugiej księgi. Biała dama przyszła, by mi to oznajmić. Wpisałem do księgi trzy słowa. Zmijogłowy nie żyje.

Piszczalka rzucił okiem na księgę, potem na Jacopa tkwiącego pod stołem jak przerażone zwierzątko.

- Naprawdę? - rzekł, wyciągając miecz. - No, jeśli tak... Ja też nie mam nic przeciwko nieśmiertelności! Powtarzam jeszcze raz: wracaj do pracy!

Żołnierze naradzali się szeptem.

- Milczeć! - huknął Piszczalka i wskazując na jednego z nich, rozkazał: - Idź do Żmijogłowego i powiedz mu, że Sójka twierdzi, jakoby on nie żył.

Żołnierz wybiegł z komnaty, odprowadzany spojrzeniami przerażonych kolegów. Tymczasem Piszczalka przytknął koniec miecza do piersi Mo.

- Nadal nic nie robisz!

Mo cofnęła się, na ile pozwalały mu łańcuchy.

- Nie będzie drugiej księgi z pustymi stronami. Jacopo! Zabieraj się stąd. Biegnij do matki i powiedz jej, że wszystko dobrze się skończy.

Jacopo wygramolił się spod stołu i pędem uciekł z izby. Piszczalka nawet się obejrzał.

- Kiedy Żmijogłowemu urodził się syn, doradzałem mu, żeby się pozbył bachora Cosima. Ale mnie nie posłuchał. Głupio postąpił.

W tej chwili przybiegł żołnierz wysłany do Żmijogłowego.

- Sójka mówi prawdę! - zawołał, z trudem łapiąc oddech. - Żmijogłowy nie żyje. Wszędzie są białe damy.

Żołnierze jak na komendę opuścili kusze.

- Panie, wróćmy do Ombry - wykrztusił jeden z nich. - Ten zamek jest zaczarowany. Możemy zabrać Sójkę ze sobą.

- Dobra myśl - uśmiechnął się Piszczalka. Nie.

Resa raz jeszcze podfrunęła, wczepiając mu się szponami w twarz; sama nie wiedziała, czy to robi ptak, czy ona. Usłyszała krzyk Mo, gdy Piszczalka zamachnął się

mieczem. Klinga przebiła jej skrzydło. Upadła na posadzkę, nagle znów przybierając ludzką postać, tak jakby ostrze wyrębało z niej ptaka. Piszczalka ponownie uniósł miecz, lecz w tej samej chwili Mo wbił mu w pierś nóż aż po rękojeść. Umarł, patrząc na Mo z bezmiernym zdumieniem.

Ale pozostali jeszcze żołnierze. Mo podniósł miecz Piszczalki i odpędził ich od Resy. Było ich jednak wielu, a Mo wciąż tkwił przykuły łańcuchem do stołu. Cały był zbryzgany krwią - cudzą czy także własną?

Zabijają go, a ona będzie tylko patrzyła bezsilnie, jak tyle razy dotąd. Lecz wtem ogień strawił łańcuchy, a Smolipaluch z kuną na ramieniu zasłonił ją własnym ciałem. Obok niego stał Jacopo; jego twarz do złudzenia przypominała posągi zmarłego ojca.

- Ona też nie żyje? - usłyszała Resa głos chłopca. Tymczasem strwożeni żołnierze umykali przed ogniem.

- Nie - odparł kuglarz. - Ma tylko skaleczoną rękę.

- Ale ona była ptakiem! - dziwił się malec.

- Tak! - to był głos Mo. - Czy to nie jest wspaniała historia?

Nagle w komnacie zapanowała przeraźliwa cisza. Ucichły odgłosy walki, krzyki, tylko ogień trzaskał cicho, rozmawiając ze Smolipaluchem.

Mo ukląkł obok żony. Był cały zakrwawiony, ale żył. A ona znów miała dłoń i mogła uchwycić jego rękę. I wszystko było dobrze.

Rozdział 78

Falszywa karta

Jak Orfeusz gram śmierć na strunach życia.

Ingeborg Bachmann, Wyrazić ciemność

Orfeusz czytał jak w malignie. Sam to słyszał. Czytał za głośno i za szybko, jakby każde słowo chciał wbić w pierś introligatora niby ostrą klingę. Napisał dla niego piekielne męki, żeby się zemścić za drwiący uśmiezek Piszczalki, o którym nie mógł zapomnieć. Ten uśmiech uczynił go małym i nędznym właśnie w chwili, gdy czuł się tak wielki! Niech przynajmniej Sójce przejdzie ochota do śmiechu.

Mieszając atrament, Błyszczek przyglądał mu się z zatroskaną miną. Musiał mieć gniew wypisany na twarzy, może szklany ludzik poznał to po kropelkach potu perlących się na jego czole.

„Skoncentruj się, Orfeuszu!”.

Zaczął czytać od nowa. Niektórych wyrazów nie mógł odczytać, litery zlewały mu się w oczach, był pijany z gniewu. Dlaczego wciąż mu się zdaje, jakby wypowiedane słowa wpadały w pustkę? Dlaczego czuje je na języku niby kamienie wrzucane do studni, gdzie echo ginie w bezdennej ciemności? Coś tu się nie zgadzało. Jeszcze nigdy się tak nie czuł podczas czytania.

- Błyszczek! - krzyknął na pomocnika. - Leć do Komnaty Tysiąca Luster i zobacz, co się dzieje z Sójką. Powinien się związać z bólu jak struty pies!

Szklany ludzik opuścił gałązkę, którą mieszał atrament, i spojrzał na niego przerażony.

- Ale... ale, mistrzu! Ja nie znam drogi...

- Nie udawaj głupiego, bo zapytam nocnego mara, czy dla odmiany nie miałby ochoty uraczyć się szklanym ludzikiem. Musisz skrócić w prawo, a potem iść cały czas prosto. Pytaj strażę po drodze!

Błyszczek z nieszczęśliwą miną opuścił komnatę. Głupie stworzenie! Czy Fenoglio nie mógł wymyślić dla pisarzy poważniejszych pomocników? Ale na tym właśnie polegał problem z tym światem: w swojej istocie był to świat dziecinny. Dlaczego tak bardzo ukochał tę książkę jako dziecko? Właśnie dlatego! Ale teraz był dorosły i już najwyższy czas, by ten świat również dorósł.

Jeszcze jedno zdanie... i znów miał to samo uczucie: że słowa gasną, zanim zdoła je wypowiedzieć. Niech to diabli!

Nieprzytomny z gniewu porwał kałamarz, by cisnąć nim w pokrytą malowidłami ścianę, gdy wtem usłyszał krzyki na korytarzu. Odstawił kałamarz i nasłuchiwał. Co to było? Ostrożnie otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. Przez komnatę Żmijo-głowego nie było strażników; obok niego z nieprzytomnymi minami przebiegli dwaj słudzy. Co to wszystko znaczy, u diabła? I dlaczego ściany na nowo rozjarzyły się ogniem Smolipalucha?

Orfeusz wybiegł na korytarz i zatrzymał się przed wejściem do komnaty Żmijogłowego. Drzwi stały otworem, a na łóżku leżał Srebrny Książę... martwy. Oczy miał szeroko otwarte; łatwo było się domyślić, kogo zobaczył przed śmiercią.

Orfeusz rozejrzał się podejrzliwie, nim podszedł do łoża zmarłego, ale po białych damach nie było już śladu. Dostały to, czego chciały. Ale jak? Jak?

- Tak, tak, Podwójnooki, musisz sobie poszukać nowego pana! Zza zasłony łóżka wyszedł Paluch, uśmiechając się do niego swym jastrzębim uśmiechem. Na chudym palcu miał pierścień, którym Żmijogłowy pieczętował wyroki śmierci, a w ręce trzymał jego miecz.

- Mam nadzieję, że smród z czasem się ulotni - rzekł do Orfeusza poufnym tonem, zarzucając na ramiona ciężki aksamitny płaszcz Żmijogłowego.

Opuścił komnatę i poszedł korytarzem, którego ściany płonęły jasnym ogniem.

A Orfeusz stał jak skamieniały, czując, że po policzkach ściekają mu łzy. Wszystko stracone! Postawił na fałszywą kartę. Na próżno znosił smród rozkładającego się ciała księcia, na próżno zginał przed nim kark i tracił czas w tym zamku! To nie on, tylko Fenoglio napisał ostatnią pieśń. Bo któż by inny? I znowu Sójka okaże się bohaterem, a on łotrem. Nie, gorzej! Przegrał! Był żaloszny!

Napluł w twarz martwemu Żmijogłowemu i wrócił do swojej komnaty, gdzie na stoliku leżała kartka z bezużytecznymi słowami. Trzęsąc się ze złości, wylał na nią zawartość kałamarza.

- Mistrzu! Mistrzu! Czy słyszałeś już o tym? - zawołał od progu Błyszczek, z trudem łapiąc powietrze.

Był szybki na tych swoich pajęczych nóżkach, nie ma co!

- Tak, Żmijogłowy nie żyje, wiem o tym! A co z Sójką?

- Walczą! Piszczalka i on.

- Aha, no to może Piszczalka go jeszcze zakłuje. Przynajmniej tyle - rzekł Orfeusz, zgarniając swoje rzeczy do dwóch eleganckich skórzanych worków, które przywiózł z Ombry.

Ładował wszystko jak leci: pióra, pergamin, nawet pusty kałamarz, a także srebrny świecznik, podarunek od Żmijogłowego, i oczywiście trzy księgi - tę od Jacopa i dwa tomy pieśni o Sójce. Jeszcze nie dał za wygraną, o nie.

Szklanego ludzika wsunął do kieszeni.

- Co zamierzasz, mistrzu? - zatrwożył się Błyszczek.

- Zawołamy nocnego mara i zabieramy się z tego zamku!

- Nie ma już nocnego mara, mistrzu! Mówią, że Ognisty Tancerz go zabił - rozwiął się jak dym.

Do diabła, do diabła, do diabła! No oczywiście, to dlatego ściany znów płoną! Smolipaluch poznał nocnego mara, domyślił się, kogo skrywa mrok.

„Nie martw się, Orfeuszu, dzięki książce Jacopa stworzysz nowego mara. To nie było takie trudne. Ale tym razem musisz nadać mu imię, którego Smolipaluch nie zna!”.

Znalazłszy się na korytarzu, nasłuchiwał przez chwilę, ale wszędzie panowała cisza. Szczury opuściły tonący okręt. Żmijo-głowy był sam w chwili śmierci. Orfeusz zajrzał jeszcze raz do komnaty, gdzie leżał opuchnięty trup, i zabrał stamtąd srebrne przedmioty.

Niewiele tego było, bo Paluch zdążył zgarnąć prawie wszystko. Następnie, nie zwracając uwagi na zawrodoenie szklanego pomocnika, rzucił się do podwodnego tunelu, którym Piszczalka dostał się do zamku. Po kamiennych ścianach tunelu spływała woda, jakby ktoś wbił cierń w wilgotne ciało jeziora.

Nikt nie pilnował wylotu tunelu. Między skałami leżały trupy żołnierzy, pewnie pozabijali się nawzajem, gdy wybuchła panika. Orfeusz podniósł miecz jednego z nich, ale był za ciężki, więc rzucił go z powrotem na ziemię. Innemu z żołnierzy zabrał nóż i okrył się jego płaszczem. Gruba opończa napawała go wstrętem, ale przynajmniej było mu ciepło.

- Dokąd chcesz iść, mistrzu? - pisał żałośnie Błyszczek. - Wracamy do Ombry?

- Nie mamy tam czego szukać - odparł poeta, przyglądając się ścianom skalnym zagrządzającym drogę na północ.

Na północ... Nie miał pojęcia, co go tam czeka. Fenoglio nie umiał mu nic o tym powiedzieć, podobnie jak o wielu rzeczach z jego własnego świata. Ale właśnie dlatego uda się na północ. Góry z ich ośnieżonymi szczytami i hałami bez śladów życia nie wyglądały zbyt zachęcająco, ale było to najlepsze miejsce teraz, gdy Ombra będzie należała do Wiolanty i Sójki. Niech piekło pochłonie tego przekłętą intrologatora, niech się smaży w najgorszym ogniu, jaki można sobie wyobrazić. A zdrajca Smolipaluch niech cierpi chłód po wieczne czasy, niech mu poodpadają przemarznięte palce!

Zanim wszedł między drzewa, obejrzał się po raz ostatni na most. Z zamku co sił w nogach uciekali żołnierze Srebrnego Księcia. Przed czym tak uciekali? Przed dwójką mężczyzn i ich białymi aniołami stróżami. Oraz przed widokiem opuchniętych zwłok swojego pana.

- Mistrzu, mistrzu, może byś mnie posadził na ramieniu? Co będzie, jeśli wypadnę z kieszeni? - lamentował szklany ludzik.

- Będę musiał sobie poszukać nowego pomocnika! - odparł Orfeusz.

Na północ. Do krainy, która jeszcze nie została opisana.

„O tak - myślał, wspinając się mozolnie po stromym skalnym zboczu. - Może to jest właśnie miejsce, które podda się moim słowom”.

Rozdział 79

Powrót

- Opowiedz mi coś - mówi Alba, opierając się o mnie wygodnie. Obejmuję ją ramieniem.

- Jakąś ciekawą historię. O tobie i mamie, kiedy mama była małą dziewczynką.

- *Hmmm. No dobra. Dawno, dawno temu...*

- *Kiedy to było?*

- *Dawno temu i teraz.*

- *Naraz?*

- *Tak. Wszystko zawsze dzieje się naraz.*

Audrey Niffenger, Żona podróżnika w czasie

Rana zadana Resie przez Piszczalkę była bardzo głęboka. Na szczęście Brianna nauczyła się wiele od matki, choć woląla zabawiać Wioletkę śpiewem, niż zajmować się uprawą ziół na kamienistym poletku.

- Zagoi się - powiedziała, bandażując ramię.

Ale ptak już na zawsze w niej pozostanie. Zarówno Czarodziejski Język, jak i Smolipaluch zdawali sobie z tego sprawę.

Piszczalka bardzo się starał, żeby posłać Sójkę w ślad za swoim panem: zranił go w bark i w lewą rękę. Lecz ostatecznie to

- A co?

Audrey Niffenger, Żona podróżnika w czasie on podzielił los Żmijogłowego, a Smolipaluch oddał jego ciało na pastwę płomieni wraz z ciałem jego pana.

Stojąc u boku Czarodziejskiego Języka, Wioletka patrzyła, jak Żmijogłowy i Piszczalka zamieniają się w popiół. Wyglądała tak młodo, jakby pozbyła się paru lat w lochu, do którego wtrącił ją ojciec. Nadal sprawiała wrażenie zagubionego dziecka. A gdy wreszcie odwróciła się plecami do śmiertelnych szczątków ojca, po raz pierwszy w życiu objęła ramieniem syna - tego dziwnego chłopca, którego nadal nikt nie lubił, choć ich wszystkich uratował. Nawet Czarodziejski Język - Smolipaluch dobrze o tym wiedział - nie mógł przemóc w sobie niechęci do chłopca, choć w duchu się tego wstydził.

Z młodocianych żołnierzy Wioletki tylko kilkunastu pozostało przy życiu. Znaleźli ich w lochach. Ale wszyscy żołnierze Żmijogłowego zniknęli bez śladu wraz z białymi damami. Na brzegu pozostały tylko puste namioty, czarna karetka i kilka koni wierzchowych. Jacopo twierdził, że z wody wyszły ryby ludo-jady jego pradziadka i pożarły paru żołnierzy, którzy próbowali uciec przez most. Czarodziejski Język i Wioletka nie dali mu wiary, jednak gdy Smolipaluch znalazł na moście łuski wielkości liści lipowych, zdecydowali się opuścić zamek przez podwodny tunel.

Śnieg padał, gdy wydostali się na brzeg. Zamek za ich plecami zniknął w roju wirujących płatków, rozlał się w białosc. Dokoła panowała taka cisza, jakby zostały zużyte wszystkie słowa, jakby nie było już nic więcej do opowiedzenia o tym świecie. W

zamarzniętym szlamie przy brzegu Smolipaluch odnalazł ślady Orfeusza. Czarodziejski Język podążał oczami za tropem znikającym wśród drzew z taką miną, jakby jego duszę wciąż trawiły mroczne słowa poety.

- Wolałbym go widzieć martwym - powiedział cicho.

- Dobry pomysł - odparł Smolipaluch. - Ale niestety, już za późno na jego realizację.

Szukał Orfeusza, kiedy Piszczalka poniósł śmierć, ale jego komnata była pusta, podobnie jak komnata Palucha. Tego chłodnego ranka świat przedstawiał im się w jasnych barwach, było im lekko na sercach. Ale ciemność przetrwała i będzie nadal opowiadała swoją część historii.

Złapali kilka koni pozostawionych przez żołnierzy Zmijogłowego. Czarodziejskiemu Językowi pilno było do powrotu, choć czuł się osłabiony w wyniku otrzymanych ran.

„Spróbujmy chociaż uratować nasze córki”.

- Czarny Książę na pewno dobrze strzegł Meggie - rzekł do niego Smolipaluch.

Ale wyraz troski nie schodził z jego twarzy, kiedy tak jechali coraz dalej na południe.

Mała kawalkada podążała naprzód w milczeniu. Każdy był pogrążony we własnych myślach i wspomnieniach. Czasem tylko dawał się słyszeć cienki, natarczywy głos Jacopa:

- Jestem głodny. Chce mi się pić. Kiedy wreszcie dojedziemy na miejsce?

Matka odpowiadała mu cierpliwie, choć czasem była nieobecna myślami. Pobyt w Zamku na Jeziorze pomógł im zadzierzgnąć więzi. Przyczynił się do tego wspólnie przeżyty strach i mroczne wspomnienia, a przede wszystkim fakt, że Jacopo uczynił to, po co matka przybyła na zamek. Zmijogłowy nie żył. Ale Smolipaluch był pewien, że ojciec będzie do końca życia szedł za Wiolantą niby cień. Miał wrażenie, że księżna czuje to samo.

Czarodziejski Język też zabrał ze sobą Sójkę. Wydawało się, że jedzie obok niego, a Smolipaluch nie po raz pierwszy zastanawiał się, czy ci dwaj nie są po prostu dwiema stronami tego samego człowieka. Jedno było pewne: introligator kochał ten świat tak samo jak zbójca.

Pierwszej nocy, podczas postoju pod wielkim drzewem obsypanych ich złotymi kosmatymi kwiatami, powróciła jaskółka, chociaż Resa wysypała do jeziora ziarna Mortoli. Przemieniła się we śnie i pofrunęła między kwitnące gałęzie; poświata księżycowa wysrebrzała jej pióra. Widząc ją na drzewie, Smolipaluch zbudził Czarodziejskiego Języka i razem czekali do rana, aż wreszcie jaskółka sfrunęła na ziemię i na ich oczach przemieniła się w Resę.

- Co będzie z dzieckiem? - zmartwiła się.

- Będzie śnić o lataniu - odparł Czarodziejski Język.

Tak jak introligator śnił zbójcę, a zbójca introligatora, i jak Ognisty Tancerz zawsze będzie śnił ogień i wagantkę tańczącą niczym płomienie. Może ten świat składał się po prostu ze snów, a stary pisarz tylko wyraził je słowami.

Resa wybuchnęła płaczem, gdy okazało się, że jaskinia jest pusta. Jednak Smolipaluch odkrył u wejścia znak Siłacza - ptaka namalowanego sadzą, a pod nim w ziemi zagrzebaną wiadomość, którą Doria najwyraźniej zostawił swemu bratu. Smolipaluch słyszał o drzewie z gniazdami ludzkimi, ale nigdy go nie widział na własne oczy.

Dwa dni zajęło im odnalezienie drzewa.

Smolipaluch pierwszy zobaczył olbrzyma. Złapał za uzdę konia Czarodziejskiego Języka, Resa przerażona zatkała sobie usta dłonią, a Wiolanta patrzyła na niego oczarowana jak dziecko.

Olbrzym trzymał w ręce Roksanę, jakby i ona zamieniła się w małego ptaszka. Brianna zbladła na widok potężnych paluchów ściskających matkę, lecz Smolipaluch spokojnie zsiadł z konia i podszedł do olbrzyma.

Między jego potężnymi nogami stał Czarny Książę, mając u boku niedźwiedzia. Utykając, ruszył na spotkanie Smolipalu-cha, a jego twarz promieniowała szczęściem; kuglarz dawno go takim nie widział.

- Gdzie Meggie? - spytał Czarodziejski Język, gdy Książę objął go na powitanie.

Baptysta wskazał w górę. Smolipaluch nigdy jeszcze nie widział takiego drzewa, nawet w najdzikszym zakątku Nieprzebytego Lasu. Zaprzagnął natychmiast wspiąć się po pniu w górę, ku pokrytym śnieżnymi kwiatami gniazdom i gałęziom, na których niby kolorowe ptaki siedziały kobiety i dzieci.

Meggie wykrzyknęła imię ojca, a Czarodziejski Język pobiegł jej na spotkanie. Opuściła się po linie z taką gracją, jakby przez całe życie mieszkała na drzewach.

Tymczasem Smolipaluch, zadarłszy głowę, spoglądał ku Roksanie. Ona zaś szepnęła coś do olbrzyma, który postawił ją na ziemi tak ostrożnie, jak gdyby mogła się stłuc. Kuglarz nie chciał już nigdy więcej zapomnieć jej imienia. Poprosił ogień, by wypisał mu to imię w sercu ognistymi literami, aby nawet białe damy nie potrafiły go usunąć. Roksana. Trzymał ją mocno w objęciach, a olbrzym patrzył na nich z góry oczami mieniącymi się wszystkimi barwami Atramentowego Świata.

- Obejrzyj się - szepnęła Roksana.

Kuglarz ogarnął oczami scenę powitania. Oto Czarodziejski Język przytula córkę, ocierając jej łzy z twarzy, Pożeraczka Książek z otwartymi ramionami biegnie na spotkanie

Resy (skąd ona się tu wzięła, na wszystkie wróżki świata?), Tulio wtula kosmatą twarz w suknię Wiolanty, Siłacz zamyka Czarodziejskiego Języka w niedźwiedzim uścisku... a tam...

Farid.

Chłopiec stał z boku, grzebiąc palcami stóp w świeżym śniegu. Wciąż chodził bez butów i jakby wydorósł albo tak się tylko Smolipaluchowi zdawało.

- Widzę, że dobrze uważałeś na Roksanę - rzekł, podchodząc do niego. - Czy ogień cię słuchał, kiedy mnie nie było?

- Zawsze mnie słucha! Naprawdę wydorósł.

- Walczyłem z Kopciem!

- No proszę.

- Mój ogień pożarł jego ogień!

- Naprawdę?

- Tak! Wsiadłem na olbrzyma i spuściłem ogień na Kopcia. A potem olbrzym skrzył mu kark.

Smolipaluch nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, a Farid odwzajemnił jego uśmiech.

- Czy... musisz teraz odejść? - Rozejrzał się trwoźnie, jakby się bał, że usłyszą go białe damy.

- Nie - odparł Smolipaluch i znów się uśmiechnął. - Nie, na razie nie.

Farid. Poprosi ogień, żeby także jego imię wypisał mu w sercu. Roksana. Brianna. Farid. No i oczywiście Gwin.

- Tak! Wsiadłem na olbrzyma i spuściłem ogień na Kopcia. A potem olbrzym skrzył mu kark.

Smolipaluch nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, a Farid odwzajemnił jego uśmiech.

- Czy... musisz teraz odejść? - Rozejrzał się trwoźnie, jakby się bał, że usłyszą go białe damy.

- Nie - odparł Smolipaluch i znów się uśmiechnął. - Nie, na razie nie.

Farid. Poprosi ogień, żeby także jego imię wypisał mu w sercu. Roksana. Brianna. Farid. No i oczywiście Gwin.

Rozdział 80

Ombra

Gdyby tak droga, co przez wszystkie lata Nie kryła żadnych niespodzianek, nagle Zamiast do domu - wężykiem ruszyła prosto przed siebie jak ogon latawca, Beztrosko! Gdyby asfaltowa skóra Była jak bela sukna rozwinięta, Która powtarza kształty niezliczone Skrytych pod drogą tajemniczych rzeczy! I gdyby droga bieg zmieniła dawny, Wiodąc ku miejscom nowym, pięknym górcom, Na które wspinać się aż radość bierze - Któż by nie pobiegł chętnie taką drogą, By się przekonać, jaki koniec baśni, Dokąd prowadzi szlak nieodgadniony?

Sheenagh Pugh, Gdyby tak droga

Kiedy Czarny Książę przyprowadził dzieci do Ombry, blanki murów miejskich pokrywał śnieg, ale kobiety obsypały go kwiatami zrobionymi ze starych ubrań. Na wieżach zamkowych znów łopotały flagi z herbem wyobrażającym lwa, ale teraz lew opierał łapę na księdze o pustych stronicach, a grzywę miał z płomieni. Szczapy nie było. Uciekając przed olbrzymem, nie wrócił już do Ombry, lecz pojechał prosto do Mrocznego Zamku, w ramiona siostry. A Wio-lanta pod osłoną nocy wjechała do miasta, obejmując je w posiadanie. Chciała je przygotować na powrót dzieci.

Meggie stała przed bramą miejską z Elinor, Dariuszem i Fe-nogliem, patrząc, jak matki biorą w ramiona synów i córki, a Wiolanta z wysokości blanków dziękuje Czarnemu Księciu i Sójce za uratowanie dzieci.

- Wiesz co, Meggie? - zagadnął szeptem Fenoglio (tymczasem na rozkaz Wiolanty wydawano kobietom zapasy z zamkowej kuchni). - Może któregoś dnia Brzydka Wiolanta zakocha się w Czarnym Księciu? W końcu on grał rolę Sójki wcześniej niż twój ojciec, a księżna była bardziej zakochana w roli niż w tym, kto ją odgrywa!

Ach, Fenoglio. Znów był dawnym sobą. Dzięki olbrzymowi, który zresztą powrócił w góry, odzyskał poczucie własnej wartości.

Sójka nie przybył do Ombry. Mo został z Resą w zagrodzie, którą kiedyś zamieszkiwali.

„Sójka wraca tam, skąd wyszedł - powiedział do Czarnego Księcia. - Do pieśni waganów”. A tymczasem ich pieśni rozbrzmiewały wokoło. Mówiły o tym, jak to Sójka i Ognisty Tancerz samowtór pokonali Żmijogłowego i Piszczalkę wraz z jego żołnierzami...

„Proszę cię, Baptysto - mówił Mo - chociaż ty napisz pieśń opowiadającą, jak to było naprawdę. Napisz o pomocnikach Sójki i Ognistego Tancerza, o jaskółce... i o chłopcu!”.

Baptysta obiecał napisać pieśń, ale Fenoglio pokręcił głową.

„Nie, Meggie, tej pieśni nikt nie zaśpiewa. Ludzie nie lubią, żeby ich bohaterom ktoś pomagał; zwłaszcza kobiety i dzieci nie są mile widziane w roli pomocników”.

Pewnie miał rację. Z tego powodu i Wiolanta nie będzie miała lekko jako władczyni Ombry, choć tego dnia wszyscy mieszkańcy wiwatowali na jej cześć. Obok niej stał Jacopo. Wyglądał jak miniarurowy posąg swego ojca, lecz Meggie bardziej przypominał ponurą figurę jego dziadka. Wzdragła się na myśl o tym, że chłopiec bez skrupułów wydał go na śmierć, choć w ten sposób uratował Mo.

Po drugiej stronie lasu również panowała teraz wdowa. Ona też miała syna, dla którego będzie chciała zachować tron. Meggie wiedziała, że Wiolanta spodziewa się wybuchu wojny, ale tego dnia ludzie woleli o tym nie myśleć. Ten dzień należał do dzieci wracających do domów, do swoich matek. Wróciły wszystkie. Waganci śpiewali o ogniu Farida, o drzewie z ludzkimi gniazdami i olbrzymie, który w tajemniczy sposób przybył z gór w najodpowiedniejszej chwili.

- Będzie mi go brakowało - szepnęła Elinor, gdy zniknął pośród drzew.

Meggie czuła to samo. Nigdy nie zapomni, jak Atramentowy Świat odbijał się w jego skórze kameleona i jak lekko stapał, odchodząc... Tyle delikatności w tak wielkim ciele...

- Meggie! - Farid przecisnął się przez tłum kobiet i dzieci. - Gdzie jest Czarodziejski Język?

- Został z mamą - odrzekła, czując ze zdziwieniem, że serce nie zabiło jej mocniej w piersi na jego widok. Kiedy nastąpiła ta zmiana?

Farid zmarszczył czoło.

- Tak, tak - powiedział. - Smolipaluch też nie odstępuje na krok swojej wagantki. Bez przerwy ją całuje, jakby miała usta słodsze od miodu.

Ach, Farid. Wciąż był zazdrosny o Roksanę.

- Myślę, że odejdę na jakiś czas - odezwał się chłopiec.

- Odejdziesz? Dokąd?

Za plecami Meggie wybuchła sprzeczka między Elinor i Fe-nogliem. Signora Loredan zgłosiła jakieś zastrzeżenia co do wyglądu zamku. Ci dwoje uwielbiali się kłócić, a mieli wiele okazji po temu, zostali bowiem sąsiadami. Torba, do której Elinor zapakowała różne potrzebne przedmioty włącznie ze srebrnymi sztućcami, została w tamtym świecie („Cóż, byłam bardzo zdenerwowana, wtedy zapomina się o wszystkim”), ale na szczęście w chwili gdy przenieśli się do Atramentowego Świata, miała na sobie rodzinne klejnoty Loredanów. Kryształek zdołał je spieniężyć z takim zyskiem („Nie uwierzysz, Meggie, to urodzony

biznesmen”), że obecnie Elinor była właścicielką domu położonego w tej samej uliczce co dom Minerwy.

- Dokąd? - Farid wyczarował ognisty kwiat i przypiął go Meggie do sukienki. - Mam zamiar wędrować od wioski do wioski, tak jak to dawniej czynił Smolipaluch.

Meggie spojrzała na ogniste płatki. Gasnąc, do złudzenia przypominały wędnący kwiat, aż pozostała po nim tylko kupka popiołu. Farid. Kiedyś już na sam dźwięk jego imienia czuła przyspieszone bicie serca, lecz teraz z roztargnieniem słuchała o jego planach, o wioskach daleko w górach, gdzie zamierzał występować. Dopiero na widok Siłacza otoczonego wianuszkami kobiet serce podskoczyło jej w piersi. Kilkoro dzieci wdrapało mu się na ramiona, jak to robiły w jaskini. Ale obok niego nie dostrzegła twarzy, której szukała jej oczy. Rozczarowana błędziła wzrokiem w tłumie... i zarumieniła się, gdy Doria wyrósł przed nią jak spod ziemi. Farid umilkł i spojrzał na drugiego chłopca tak, jak dotąd patrzył tylko na Roksanę.

Na czole Dorii pozostała szrama długości palca Meggie.

„To uderzenie maczugi nabijanej kolcami - orzekła Roksana, gdy go opatrywała po pierwszym starciu z ludźmi Szczapy. - Taka rana mocno krwawi, dlatego myśleli, że jest martwy, i zostawili go”.

Roksana pielęgnowała go przez wiele dni i nocy, ale Fenoglio był przekonany, że Doria przeżył tylko dzięki historii, którą dawno temu napisał na temat jego przyszłości.

„A poza tym, gdyby nawet zawdzięczał wyzdrowienie Roksanie, to kto ją wymyślił, co?” - dodał. Cóż za zarozumialec!

- Doria! Jak się czujesz? - Meggie odruchowo wyciągnęła rękę i dotknęła szramy na jego czole.

Farid dziwnie na nią spojrzał.

- W porządku. Głowa jest jak nowa. - Doria wyciągnął coś zza pleców. - Czy one tak wyglądają?

Meggie ze zdumieniem przyglądała się samolocikowi, który chłopak wystrugał z drewna.

- Tak je przecież opisałaś. Latające maszyny.

- Ale byłeś nieprzytomny! Uśmiechnął się, dotykając ręką czoła.

- A mimo to słowa tu zostały. Do dziś je wyraźnie słyszę. Tylko nie rozumiem, jak to jest z tą muzyką. No, wiesz, chodzi o te małe pudełka, z których wydobywają się dźwięki...

Meggie uśmiechnęła się mimo woli.

- Ach, radio. Nie, to nie zadziała. Nie wiem, jak to wyjaśnić... Farid nie spuszczał z niej wzroku.

- Zaraz wrócimy - powiedział do Dorii, pociągając Meggie za sobą. - Czy Mo wie, jak ty na niego patrzysz?

- Na kogo?

- Na kogo! - Przesunął palcem po czole, markując ranę Dorii. - Posłuchaj! - Odgarnął jej włosy do tyłu. - Może byś poszła ze mną? Wędrowalibyśmy od wsi do wsi. Tak jak wtedy, gdy razem ze Smolipaluchem szukaliśmy twoich rodziców. Pamiętasz?

Jak mógł o to pytać?

Meggie obejrzała się przez ramię. Doria stał obok Elinor i Fenoglia, który oglądał samolot.

- Przykro mi, Farid - odrzekła, zdejmując łagodnie jego rękę ze swego ramienia. - Ale ja nie chcę odchodzić.

- Jak to nie?

Próbował ją pocałować, ale Meggie odwróciła głowę, choć zbierało jej się na płacz. „Pamiętasz?”.

- Życzę ci szczęścia! - powiedziała, całując go w policzek. Miał najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziała u chłopaka. Ale jej serce biło teraz dla innego.

Później

Niecałe pięć miesięcy później urodzi się dziecko w tej samotnej zagrodzie, gdzie kiedyś Czarny Książę ukrywał Sójkę. Będzie to chłopiec, ciemnowłosy jak ojciec, lecz o oczach takich, jakie miały jego matka i siostra. Będzie przekonany, że w każdym lesie mieszkają wróżki, że na każdym stole sypia szklany ludzik, jeśli tylko znajdzie się na nim trochę pergaminu, że księgi pisze się ręcznie, a najsłynniejszy miniaturzysta maluje ilustracje lewą ręką, bo prawa jest ze skóry. Będzie myślał, że na każdym rynku kuglarze pokazują sztuczki z ogniem, a przed każdą bramą miejską stoją żołnierze.

I będzie miał ciotkę imieniem Elinor, która mu opowie o istnieniu świata, w którym wszystko jest inne. O świecie, gdzie nie ma wróżek ani szklanych ludzików, ale za to są zwierzęta noszące młode w torbie pod brzuchem i ptaszki tak szybko machające skrzydełkami, że wydają odgłos podobny do brzęczenia trzmiela, są karety poruszające się bez koni i ruchome obrazy. Elinor opowie mu o tym, jak to przed wielu laty pewien okropny człowiek imieniem Orfeusz za pomocą czarów sprowadził ich rodziców z tego innego świata, a wreszcie musiał uciekać przed ojcem i Ognistym Tancerzem w góry na północy, gdzie - jak

miała nadzieję - zamarzył na śmierć. Opowie mu, że w tym innym świecie nawet najpotężniejsi panowie nie noszą mieczy, ale za to mają o wiele potężniejszą broń. (Jego ojciec ma bardzo piękny miecz, przechowuje go w swojej pracowni owinięty w szmaty. Ukrywa go przed nim, ale on czasem potajemnie rozwija go ze szmat i gładzi błyszczącą ostrą klingę). O tak, Elinor będzie mu opowiadała niestworzone rzeczy o tym innym świecie, będzie nawet twierdziła, że są tam karety, które potrafią latać w powietrzu, ale on już w to nie uwierzy, chociaż Doria zrobił jego siostrze skrzydła, na których przeleciała z murów miejskich aż do rzeki.

Zresztą wyśmiała ją za ten wyczyn, bo sam wie o wiele więcej

O lataniu. Czasem w nocy wyrastają mu skrzydła i wtedy wraz z matką unosi się w powietrze i siada na wierzchołkach drzew. Ale może mu się to tylko śni. Prawie co noc ma takie sny. Ale te latające karety chętnie by zobaczył, i te zwierzęta z workami,

I poruszające się obrazki, no i oczywiście dom, o którym mu ciotka opowiada, dom pełen książek, których nie napisała ręka, a które są smutne, gdyż czekają na powrót swej pani.

- Kiedyś odwiedzimy je razem - powtarza Elinor, a Dariusz kiwa głową z aprobatą; Dariusz też potrafi opowiadać cudowne historie o latających dywanach i duchach uwieczonych w butelce. - Kiedyś pojedziemy tam we trójkę i wtedy wszystko ci pokażę.

A chłopiec biegnie do warsztatu, gdzie ojciec sporządza skórzane suknie dla książek ilustrowanych przez słynnego Balbulusa.

- Mo! - woła już z daleka (nigdy nie nazywa ojca inaczej, może dlatego, że siostra tak na niego mówi). - Kiedy pojedziemy do tamtego świata, z którego tu przyjechałeś?

A ojciec bierze go na kolana, przesuwając ręką po jego ciemnej czuprynie i mówi tak jak Elinor:

- Kiedyś na pewno tam pojedziemy. W tym celu potrzebne nam są słowa, właściwe słowa, bo jedynie one otwierają drzwi między światami. Ale tylko jeden człowiek mógłby je napisać, a to jest stary leń, nie mówiąc o tym, że z wiekiem pamięć coraz bardziej go zawodzi.

A potem opowiada synkowi o Czarnym Księciu i jego niedźwiedziu, o olbrzymach, które chcieliby kiedyś zobaczyć, i o nowych sztuczkach, jakich Ognisty Tancerz nauczył płomienie. I w oczach ojca chłopiec wyczyta prawdę, że czuje się szczęśliwy w tym świecie i wcale nie ma ochoty wracać do dawnego. Tak samo jak siostra. I mama.

I pomyśli, że pewnego dnia będzie musiał sam wybrać się w drogę, jeśli chce zobaczyć ten świat. Albo razem z Elinor. I że musi się dowiedzieć, jakiego to starego człowieka ma na myśli tata, gdyż w Ombrze jest ich kilku. Może to ten, który ma dwóch szklanych ludzików i pisze pieśni dla wagantów i dla Wiolanty (ludzie nazywają ją Dobrą i

lubią ją o wiele bardziej niż jej syna). Baptysta nazywa tego człowieka Atramentowym Tkaczem, a Meggie czasem go odwiedza. Może następnym razem wybierze się razem z nią, żeby go zapytać o słowa otwierające drzwi. Bo ten inny świat musi być bardzo interesujący, o wiele bardziej niż jego własny...

Kto jest kim w Atramentowym Świecie

Nazwiska i miejscowości występujące w trylogii w układzie alfabetycznym:

Anselmo

Atramentowy Tkacz

Balbulus

Baptysta

Basta Bella

Benedykta Białe damy Błyszczek Borsucza Jama Brianna

Brzydka Wiolanta

Carla

Capricorn

Cerber

Cieleca Głowa

Cockerell

Cosimo

Cukier Czarnobrody Czarny Książę

strażnik na zamku w Ombrze patrz: Fenoglio

iluminator na zamku w Ombrze wagan, wędrowny aktor, twórca masek dla aktorów

nożownik i prawa ręka Capricorna zielarka w przytułku dla chorych prowadzonym

przez Puszczyka niedowidząca wagancka pomocnicie śmierci szklany ludzik Orfeusza kryjówka zbójców

córka Smolipalucha i Roksany; służy u Wiolanty, potem u Orfeusza patrz: Wiolanta

mała posługaczka w przytułku Puszczyka

herszt bandy podpalaczy i szantażystów;

spalił egzemplarze Atramentowego serca

pies Orfeusza

patrz: Orfeusz

jeden z ludzi Capricorna

Piękny Cosimo; syn Thustego Księcia;

mąż Wiolanty

służący Mortoli; służący Orfeusza zbójca

król wagantów; przywódca zbójców; ma oswojonego niedźwiedzia

Czarodziejski Język

Człowiek-szafa

Dariusz

Despina

Doria

Drab

Dwupalcy

Elinor

Farid

Fenoglio

Fulvio

Gekon

Góra Mięsa

Gwin

Iwo

Jąkała

Jeż

Jacopo

Jaspis

Jedwabnik

Jehan

Kopeć

Krętacz

Kryształek

Książę

Kuternoga

Lazaro

patrz: Mo patrz: Cukier

były lektor Capricorna; bibliotekarz Elinor córka Minerwy

zbójnik; młodszy brat Siłacza; przyjaciel

Luca

zbójca

zbójca

Elinor Loredan: ciotka Resy, cioteczna babka Meggie

przez pomyłkę sprowadzony przez Mo z Baśni z tysiąca i jedne) nocy; uczeń

Smolipalucha

twórca Atramentowego Świata, autor

książki Atramentowe serce

jeden z ludzi Capricorna

zbójca

patrz: Oss

kuna z różkami należąca do Smolipalucha syn Minerwy patrz: Dariusz zbójca

syn Wiolanty i Cosima; wnuk Zmijogłowego szklany ludzik Orfeusza zbójca

syn Roksany z drugiego małżeństwa

kuglarz; połykacz ognia

zbójca

szklany ludzik Fenoglia patrz: Czarny Książę zbójca imię Siłacza

Loredan Luc

Ludzkie gniazda

Meggie Mina Minerwa Mo

Mortola

Mortimer Mroczny Zamek Mszanki Mysi Młyn Niedźwiedź Nieprzebyty Las

Ognisty Tancerz Ombra

Orfeusz

Oss

Paluch

Paula

Pippo

Piszczalka

Płaski Nos

patrz: Elinor

zbójca; przyjaciel Dorii

olbrzymie gniazda w koronach drzew,

w których ukrywali się zbójcy razem

z dziećmi po opuszczeniu pieczary

olbrzymów
córka Mo i Resy; lektorka wagantka
gospodyni Fenoglia, matka Despiny i Iwa Mortimer Folchart, introligator; mąż Resy,
ojciec Meggie; zwany także Czarodziejskim Językiem, a przez pewien czas Sójką matka
Capricorna; przez pewien czas pani Resy patrz: Mo
zamek Żmijogłowego zielarki
miejsce strasznej zdrady
stale towarzyszy Czarnemu Księciu
las rozciągający się na południe od Ombry;
w tym miejscu przybyli do Atramentowego
Świata Meggie i Farid
patrz: Smolipaluch
zamek i miasto Ombra: jedno
z najważniejszych miejsc akcji trylogii
poeta i lektor
ochroniarz Orfeusza
ochroniarz Żmijogłowego
wnuczka Fenoglia
wnuk Fenoglia
grajek Capricorna; później w służbie
u Żmijogłowego
jeden z ludzi Capricorna
Podniebny Tancerz
Podpalacz
Podwój nooki Pokrzywa Postrach Elfów Pusta Księga
Puste drzewa
Puszczyk
Resa Rico Roksana
Rosanna Rozpruwacz
Siłacz
Skoczek
Słony Książę Smolipaluch
Smolarz Smutny Książę Sójka
kuglarz; dawniej linoskoczek; przyjaciel Smolipalucha

jeden z ludzi Capricorna i jego następca;
herold Zmijogłowego
patrz: Orfeusz
zielarka
zbójca
zrobił ją Mo dla Zmijogłowego; zapewnia nieśmiertelność
miejsce, w którym Roksana ukryła ciało Smolipalucha
balwierz; założył przytułek najpierw w cieniu Mrocznego Zamku, a potem w Ombrze
Teresa Folchart: żona Mo; matka Meggie wnuk Fenoglia
żona Smolipalucha; dawniej wagantka; zielarka
młodsza córka Smolipalucha i Roksany oprawca w służbie Capricorna, potem
Zmijogłowego
kuglarz i zbójca; jeden z najwierniejszych towarzyszy Czarnego Księcia kuna z
rózkami należąca do Smolipalucha i Farida
dziadek Wiolety ze strony matki kuglarz; połykacz ognia; wędrowca pomiędzy
światami zbójca
patrz: Tłusty Książę legendarny zbójnik, postać stworzona przez Fenoglia; przybrane
imię i rola Mo
Srebrny Książę Srebrny Nos,
Srebrnonosy Sroka Szczapa
Szpon
Świecąca Gęba Taddeo Tłusty Książę
Tulio
Twierdza
Capricorna
Waganci
Włóczęga Wioleta
Zamek na Jeziorze
Zamek Szkieletów
Żmija
Zmijogłowy
patrz: Zmijogłowy
patrz: Piszczalka patrz: Mortola
szwagier Zmijogłowego; namiestnik

Ombry

zbójca

patrz: Orfeusz

bibliotekarz w Mrocznym Zamku

pan zamku i kraju Ombra; ojciec Cosima

Pięknego; teść Wiolanty

paż Tłustego Księcia i Wiolanty

kryjówka zbirów i podpalaczy

Capricorna w Nieprzebytym Lesie;

to tutaj Mo wraz z Resą po raz pierwszy

wkracza do Atramentowego Świata;

to tutaj Mortola rani Mo

(kuglarze, kuglarska brać) wędrowni

aktorzy i sztukmistrze w Atramentowym

Świecie: magicy, linoskoczkowie,

polykacze ognia, rzucający nożami...

zbójca

Brzydka Wiolanta: córka Zmijogłowego; wdowa po Cosimie; matka Jacopa ojczyzna matki Wiolanty; miejsce ostatniej, decydującej rozprawy miejsce przebywania umarłych patrz: Zmijogłowy

najokrutniejszy książę Atramentowego Świata; ojciec Wiolanty

„Wykaz cytowanych źródeł

Wszystkie przytoczone w tym tomie cytaty z książek niepublikowanych w języku polskim przełożył Jan Koźbiał. Część z tych cytatów pochodzi z dzieł, które wcześniej nie były publikowane w języku niemieckim. Zostały one specjalnie przetłumaczone na potrzeby wydania oryginalnego Atramentowej śmierci (Tintentod) przez: Thomasa Eichhorna [T.E.], Cornelię Funke [CE] i Andreeasa Steinhófelę [A.S.].

Motto [s. 13]

Charles Causley, / Am The Song [Jestem pieśnią}, [w:] Staying Alive - Real Poems for Unreal Times, Nowy Jork 2003 [T.E.]

Rozdział 1

Rainer Maria Rilke, Larenopfer [Larom w ofierze], [w:] Erste Gedichte (Vigilien III), Frankfurt nad Menem 1955.

Rozdział 2

Alfred Noyce, The Highwayman [Zbójca], [w:] Once upon the Poem, Frome/Somerset 2004.

Rozdział 3

Artur Rimbaud, Siedmioletni poeci, tłum. Julian Tuwim, [w:] Wybór poezji, tłum. zbiorowe, Wydawnictwo Siedmioróg, Wrocław 2004, s. 21.

Rozdział 4

Billy Collins, On Turning Ten [Dziesięciolatek], [w:] The Art of Drowning, University of Pittsburgh Press, 1995 [A.S.].

Rozdział 5

Joanne K. Rowling, Harry Potter i czara ognia, tłum. Andrzej Polkowski, Media Rodzina, Poznań 2001, s. 622.

Rozdział 6

Oscar Wilde, Szczęśliwy książę [w:] Szczęśliwy książę i inne opowiadania, tłum. Irena Tuwim i Jerzy Stawiński, Nasza Księgarnia, Warszawa 1977, s. 7.

Rozdział 7

Geoffrey Chaucer, Opowieści kanterberyjskie. Wybór, tłum. Helena Pręczkowska, Ossolineum, Wrocław 1963, s. 284-285.

Rozdział 8

Paul Stewart, Północ nad Sanctaphraksem, tłum. Maciejka Mazan, Amber, Warszawa 2003, s. 237.

Rozdział 9

Mervyn Peake, Tytus Groan, tłum. Jadwiga Piątkowska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1981, s. 299.

Rozdział 10

Louise Glück, Lament, [w:] Vita Nova, Nowy Jork 2001 [AS.].

Rozdział 11

Emily Dickinson, W tych dniach straciłam cały świat... [w:] Poezje, tłum. Kazimiera Hłakowiczówna, PIW, Warszawa 1965, s. 105.

Rozdział 12

Carlos Drummond de Andrade, Auf der Suche nach der Poesie [W poszukiwaniu poezji], [w:] Gedichte. Portugiesisch und Deutsch, Suhrkamp Verlag, Frankfurt nad Menem 1982.

Rozdział 13

T.H. White, Był sobie raz na zawsze król, t. 2 Pani powietrza i ciemności, tłum. Jolanta Kozak, Editions Spotkania, Warszawa 1991, s. 18.

Rozdział 14

Rainer Maria Rilke, Improwizacje z capryjskiej zimy III, [w:] Wiersze rozproszone i pośmiertne z lat 1906-1926, tłum. Bernard Antochewicz, KAW, Wrocław 1991, s. 17.

Rozdział 15

Ivan V. Lalić, O dziełach miłości albo Bizancjum, tłum. Joanna Salamon, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977, s. 68.

Rozdział 16

Graham Greene, [w:] Jon Winokur (red.), Advice to Winters [Rada dla autorów], Nowy Jork 1999.

Rozdział 17

Paavo Haavikko, Nur leicht atmen die Bäume [Drzewa oddychają w ciszy], [w:] Nur leicht atmen die Bäume, Volk + Welt, Berlin 1991 [CF].

Rozdział 18

Artur Rimabaud, Siedmioletni poeci, tłum. Julian Tuwim, [w:] Wybór poezji, tłum. zbiorowe, Wydawnictwo Siedmioróg, Wrocław 2004, s. 21.

Rozdział 19

Garth Nix, Sabriel, tłum. Ewa Elżbieta Nowakowska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004, s. 277.

Rozdział 20

Wendell Berry, The Peace of Wild Things [Spokój dzikiej przyrody], [w:] The Selected Poems of Wendell Berry, Counterpoint, USA 1998 [T.E.].

Rozdział 21

John Irving, Regulamin tłoczni win, tłum. Jolanta Kozak, Prószyński i S-ka, Warszawa 2000, s. 168.

Rozdział 22

Michael Ende, Kuba Guzik i Dzika Trzynastka, tłum. Ryszard Wojnakowski, Siedmioróg, Wrocław 2004, s. 198.

Rozdział 23

Tor Age Bringsvaerd, Die wilden Götter [Dzicy bogowie], Eichborn AG, Frankfurt nad Menem 2001.

Rozdział 24

Audrey Niffenger, *Zona podróżnika w czasie*, tłum. Katarzyna Malita, Świat Książki, Bertelsmann Media, Warszawa 2007, s. 486.

Rozdział 25

Markus Zusak, *Złodziejka książek*, tłum. Hanna Baltyn, Nasza Księgarnia, Warszawa 2008, s. 9.

Rozdział 26

Barbara Gowdy, *Der Weiße Knochen* [Biała kość], Verlag Antje Kunstmann GmbH, Monachium 1999.

Rozdział 27

Saul Bellow, *Henderson, król deszczu*, tłum. Krystyna Tarnowska, PIW, Warszawa 1983, s. 142.

Rozdział 28

Fenoglio, *Die Eichelhäher-Lieder* [Pieśni o Sójce], Ombra 2007 [C.F.].

Rozdział 29

Derek Mahoń, *Życia*, [w:] *Wszystko będzie dobrze*, tłum. Piotr Sommer, Centrum Sztuki - Teatr Dramatyczny w Legnicy 1998, s. 16.

Rozdział 30

William Szekspir, *Makbet*, akt V, scena 5, tłum. Józef Paszkowski, Interart, Warszawa 1995, s. 149.

Rozdział 31

John Irving, *Regulamin tłoczni win*, tłum. Jolanta Kozak, Prószyński i S-ka, Warszawa 2000, s. 178.

Rozdział 32

Robert Louis Stevenson, *The Land of Story Books* [Kraina książek przygodowych], [w:] *A Child's Anthology of Poetry*, Nowy Jork 1995 [AS.].

Rozdział 33

Louise Glück, *Child Crying Out* [Płacz dziecka], [w:] *Ararat*, Nowy Jork 1992 [AS.].
657

Rozdział 34

Margo Lanagan, *Black Juice* [Czarny sok], Allen and Unwin 2004.

Rozdział 35

Anonim, / *Shall Not Pass This Way Again* [Nigdy już nie pójde tą drogą], [w:] *A Child's Anthology of Poetry*, Nowy Jork 1995 [TE.].

Rozdział 36

Ted Hughes, Tajemnica żony Człowieka, [w:] Pogromca snów i inne opowieści o stworzeniu świata, tłum. Magda Heydel, Znak, Kraków 2006, s. 310.

Rozdział 37

Franz Werfel, Beschwörungen 1918-1921 [Zaklinania 1918-1921], [w:] Gedichte aus den Jahren 1918-1945, S. Fischer Verlag GmbH, Frankfurt nad Menem 1953.

Rozdział 38

Ray Bradbury, Kroniki marsjańskie, tłum. Adam Kaśka, Iskry, Warszawa 1986, s. 78.

Rozdział 39

Norman H. Russell, The Message of the Rain [Deszczowa opowieść], [w:] A Child's Anthology of Poetry, Nowy Jork 1995[A.S.].

Rozdział 40

William Goldman, Narzeczona księcia, tłum. Paulina Braiter, Prószyński i S-ka, Warszawa 1995, s. 200.

Rozdział 41

Joanne K. Rowling, Harry Potter i czara ognia, tłum. Andrzej Polkowski, Media Rodzina, Poznań 2001, s. 623.

Rozdział 42

Antonio Munoz Molina, The Power of the Pen [Moc pióra], [w:] PEN America - World Voices, Nowy Jork 2006 [CE].

Rozdział 43

Bertolt Brecht, Maska złego, [w:] Postylla domowe, tłum. Robert Stiller, PIW, Warszawa 1988, s. 397.

Rozdział 44

Rainer Maria Rilke, Na koniec, [w:] Księga godzin i inne wiersze z lat 1898-1908, tłum. Andrzej Lam, Dom Wydawniczy Elipsa, Warszawa 2007, s. 144.

Rozdział 45

Isaac Bashevis Singer, [w:] Jon Winokur (red.), Advice to Writers [Rada dla autorów], Nowy Jork 1999.

Rozdział 46

John Steinbeck, Podróże z Charleyem. W poszukiwaniu Ameryki, tłum. Bronisław Zieliński, Kantor Wydawniczy SAWW, Poznań 1991.

Rozdział 47

Rainer Maria Rilke, Niewidoma, [w:] Kto mówi o zwycięstwach? Przetrvanie jest wszystkim!, tłum. Bernard Antochewicz, Wydawnictwo Silesia, Wrocław 1994, s. 19.

Rozdział 48

Thomas Stearns Eliot, *Little Gidding*, [w:] *Wybór poezji*, tłum. Krzysztof Boczkowski, Ossolineum, Wrocław 1990, s. 328.

Rozdział 49

Salman Rushdie, *Harun i morze opowieści*, tłum. Michał Kłobukowski, Wydawnictwo AiB, Warszawa 1993, s. 77.

Rozdział 50

Ted Hughes, *Zlepkowiec*, [w:] *Pogromca snów i inne opowieści o stworzeniu świata*, tłum. Magda Heydel, Znak, Kraków 2006, s. 165.

Rozdział 51

Emily Dickinson, *Odchodząc...* [w:] *Wiersze wybrane*, tłum. Stanisław Barańczak, Znak, Kraków 2000, s. 245.

Rozdział 52

Wallace Stevens, *Trzyście sposobów spoglądania na kosa*, [w:] Stanisław Barańczak, *Od Chaucera do Larkina. 400 nieśmiertelnych wierszy 125 poetów anglojęzycznych z 8 stuleci*, Znak, Kraków 1993, s. 443.

Rozdział 53

Carlos Drummond de Andrade, *Auf der Suche nach der Poesie [W poszukiwaniu poezji]*, [w:] *Gedichte. Portugiesisch und Deutsch*, Suhrkamp Verlag, Frankfurt nad Menem 1982.

Rozdział 54

William Butler Yeats, *Poeta pragnie szaty niebios*, tłum. Leszek Engelking, [w:] *Wiersze wybrane*, Ossolineum, Wrocław 1997, s. 32-33.

Rozdział 55

Ted Hughes, *Towarzystwo do zabaw*, [w:] *Pogromca snów i inne opowieści o stworzeniu świata*, tłum. Magda Heydel, Znak, Kraków 2006, s. 146-147.

Rozdział 56

T.H. White, *Był sobie raz na zawsze król*, t. 4 *Świeca na wietrze*, tłum. Jolanta Kozak, Świat Książki, Warszawa 1991.

Rozdział 57

Kenneth Grahame, *O czym szumią wierzby*, tłum. Maria Godlewska, Nasza Księgarnia, Warszawa 1969, s. 117.

Rozdział 58

Tor Age Bringsvaerd, Die wilden Götter [Dzicy bogowie], Eichborn AG, Frankfurt nad Menem 2001.

Rozdział 59

Markus Zusak, Der Joker [Dżoker], C. Bertelsmann Kinder-und Jungenbuch Verlag München in der Verlagsgruppe Random House GmbH 2006.

Rozdział 60

Margaret Atwood, Ślepy zabójca, tłum. Małgorzata Hesko-Kołodzińska, Zysk i S-ka, Poznań 2002, s. 614.

Rozdział 61

T.H. White, Byt sobie raz na zawsze król, t. 1 Miecz dla króla, tłum. Jolanta Kozak, Editions Spotkania, Warszawa 1991, s. 138.

Rozdział 62

Rainer Maria Rilke, Anioł stróż, [w:] Księga Godzin i inne wiersze z lat 1898-1908, tłum. Andrzej Lam, Dom Wydawniczy Elipsa, Warszawa 2007, s. 111.

Rozdział 63

François Villon, Wielki testament, Ballada, służąca na zakończenie, tłum. Tadeusz Żeleński (Boy), Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2002, s. 79.

Rozdział 64

Washington Irving, Legenda o Sennej Kotlinie, [w:] Rip van Winkle i inne opowiadania, tłum. Wacława Komarnicka, Nasza Księgarnia, Warszawa 1971, s. 32.

Rozdział 65

Oscar Wilde, Portret Doriana Graya, tłum. Maria Feldmano-wa, Siedmioróg, Wrocław 2000, s. 150.

Rozdział 66

Philip Pullman, Bursztynowa luneta, tłum. Danuta Górka, Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2004, s. 408-109.

Rozdział 67

Susan Sontag, The Letter Scenę [Scena z listu], [w:] Nadine Gordimer (red.), Telling Tales, Bloomsberry, Londyn 2004.

Rozdział 68

Mary Oliver, Dzikie gęsi, tłum. Czesław Miłosz, [w:] Czesław Miłosz, Wypisy z ksiąg użytecznych, Znak, Kraków 2000.

Rozdział 69

Salman Rushdie, Dzieci północy, tłum. Anna Kołyszko, Czytelnik, Warszawa 1989, s. 10.

Rozdział 70

Markus Zusak, Złodziejka książek, tłum. Hanna Baltyn, Nasza Księgarnia, Warszawa 2008, s. 470-471.

Rozdział 71

Margaret Atwood, Ślepy zabójca, tłum. Małgorzata Hesko-Kołodzińska, Zysk i S-ka, Poznań 2002, s. 606.

Rozdział 72

Louise Glück, First Memory [Pamięć pierwsza], [w:] Ararat, Nowy Jork 1992 [A.S.].

Rozdział 73

Fryderyk Schiller, Zbójcy, tłum. Feliks Konopka, Siedmio-róg, Wrocław 1998, s. 111.

Rozdział 74

Markus Zusak, Złodziejka książek, tłum. Hanna Baltyn, Nasza Księgarnia, Warszawa 2008, s. 471.

Rozdział 75

Alan Armstrong, Whittington, Random House, Nowy Jork 2005 [C.F.].

Rozdział 76

Jan Christian Andersen, Słowik, [w:] Baśnie, tłum. Stefania Beylin i Stanisław Sawicki, Nasza Księgarnia, Warszawa 1988, s. 78

Rozdział 77

Ted Hughes, Jak Wróbel uratował ptaki, [w:] Pogromca snów i inne opowieści o stworzeniu świata, tłum. Magda Heydel, Znak, Kraków 2006, s. 85.

Rozdział 78

Ingeborg Bachmann, Dunkles zu ragen [Wyrazić ciemność], [w:] Dass noch tausend und ein Morgen wird, Piper Verlag GmbH, Monachium 1983.

Rozdział 79

Audrey Niffenger, Żona podróżnika w czasie, tłum. Katarzyna Malita, Świat Książki, Bertelsmann Media, Warszawa 2007, s. 486.

Rozdział 80

Sheenagh Pugh, What If This Road [Gdyby ta droga], [w:] I'd Hospit, Bridgend/Wales 1997 [C.F.].

(podziękowania

Do podziękowań za Atramentową śmierć niewiele mogę dodać w porównaniu z poprzednimi tomami. To znów ci sami ludzie przyczynili się do tego, że z maszynopisu powstała książka. Są to: redaktor prowadzący Ursula Heckel, która i tym razem pieczołowicie pochylała się nad moimi kartami, następnie Martina Petersen, grafik wydawnictwa Cecilie Dressler Verlag, która także i temu tomowi zapewniła przepiękną szatę zewnętrzną, a także introligator Anke Metz, która zechciała przejrzeć korektę, aby Mo nie popełnił błędów przy oprawianiu księgi.

Na moją wdzięczność zasługuje również Katia Muissus, autorka przepięknych materiałów reklamowych książki, korektorzy Jutta Kirchner i Udo Bender, a także nowa osoba - Jutta Hävecker, która przy tym tomie wspomagała Ursulę Heckel i mnie w pracach redakcyjnych (nie mówiąc o odnajdywaniu zaginionych maili!).

Szczególne wyrazy wdzięczności kieruję w stronę Anglii. Moja cudowna tłumaczka Anthea Bell czytała opowieść już w drugiej redakcji, była więc tym razem pierwszą jej czytelniczką (za zgodą mojej córki Anny zawalonej lekturą szkolną). Co wieczór wygładzony rozdział książki wędrował pocztą elektroniczną do Cambridge, a następnego ranka wracał tą samą drogą z poprawkami Anthei. Przez wiele tygodni towarzyszyła mi w pracy, podążała wraz ze mną tropem opowieści, niecierpliwie domagając się dalszego ciągu. Mam nadzieję, że również przy następnej książce zechce mi wyświadczyć tę bezcenną przysługę.

Dziękuję oczywiście również wszystkim introligatorom, drukarzom i pracownikom wydawnictwa Cecilie Dressler Verlag, a także - last, but not least - księgarzom! Każde słowo wdzięczności za Atramentową krew wypada powtórzyć także w odniesieniu do Atramentowej śmierci. Aby książka trafiła do księgarń, potrzebna jest współpraca wielu ludzi, a moja praca jest tylko pierwszym krokiem na tej drodze.

Spis treści

Zwyczajna kartka papieru i pies 15

Wioska jak każda inna 20

Pisane srebro 31

Atramentowe szaty 44

Fenoglio użala się nad sobą 55

Smutek Ombry 71

Niebezpieczne odwiedziny 84

Cierpienie Roksany 98

Niebezpieczeństwo 101

Jak gdyby nigdy nic 117

Chora z tęsknoty 125
Znowu w służbie u Orfeusza 130
Cios w samo serce 141
Wieści z Ombry 144
Głośne słowa, ciche słowa 156
Oferta Piszczalki 161 Falszywy strach 175
Niebezpieczny pomocnik 182
Żołdackie łapy 193
Bezsenna noc 199
Przykre słowa 206
Ryba połknęła haczyk 212
Cmentarz Wagantów 219
Wina 227
Koniec i początek 232
Znajomy głos 239
Utracony i odzyskany 242
Nowa pieśń 245
Wizyta w piwnicy domu Orfeusza 250
Ogień Kopia 262 Odpowiedź Sójki 270
Nareszcie 279
Zioła dla Wiolety 285
Spalone słowa 295
Następna strofa 302
Nieoczekiwana wizyta 311
To tylko sroka 320
Pozdrowienia dla Piszczalki 334
Wykradzione dzieci 342
Nowa klatka 349
Obrazy z popiołu 359
Audiencja u Zmijogłowego 369
Tylko cztery jagody 389
Śmierć wyciąga rękę 393
Napisane i nienapisane 404
Zamek na Jeziorze 413

Rola kobiety 423
Oczekiwanie 428
Nowi i dawni panowie 439
Leniwy starzec 453
Bezużyteczni pomocnicy 464
Trupy w lesie 469
Ludzkie gniazda 474
Biały szept 486
Nie w porę 493
Ogień i ciemność 501
Za późno 511
Pomoc z odległych gór 516
Anioły Sójki 523
Matka i syn 532
W nowej postaci 540
Czerń 546
Ach, Fenoglio! 555
Światło 563
Kamienna pułapka 567
Miłość odziana w nienawiść 571
Inne imię 576
Wrócił 580
W komnacie Zmijogłowego 585
Płonące słowa 593
Introligator 598
Tak wiele łez 603
Nocny mar 610
Tamta strona 615
Księga 618
Biała noc 622
Ku końcowi 624
Fałszywa karta 628
Powrót 633
Ombra 639

Później 644

Kto jest kim w Atramentowym Świecie 647

Wykaz cytowanych źródeł 653

Podziękowanie 663

Cornelia Funke, światowej sławy niemiecka autorka bestsellerów dla dzieci i młodzieży, zaczęła pisać po uzyskaniu dyplomu z pedagogiki oraz ukończeniu studiów artystycznych na wydziale grafiki. Najpierw pisała teksty do książek z obrazkami i do nauki czytania. Potem zaczęła pisać powieści dla dzieci i młodzieży, które w większości sama ilustrowała - niektóre z nich to znakomite lektury dla całej rodziny.

Za swą twórczość literacką otrzymała wiele nagród i wyróżnień, zarówno krajowych, jak i zagranicznych, a jej książki stały się bestsellerami i były tłumaczone na wiele języków.

Światowy sukces odniosły powieści: *Król Złodziei*, *Smoczy Jeździec*, a przede wszystkim *Atramentowe serce* i *Atramentowa krew* (pierwsza i druga część trylogii o *Atramentowym Świecie*).

Książki: *Król Złodziei* i *Atramentowe serce* doczekały się już ekranizacji.

Cornelia Funke przez wiele lat mieszkała w Hamburgu, ale w maju 2005 roku postanowiła na jakiś czas przenieść się do Los Angeles w Kalifornii.

Więcej informacji na temat autorki znajdziecie na stronie internetowej:
www.corneliafunke.de